



Amy A. Bartol

PRZECZUCIA

# *Prowokacja*



Amy A. Bartol  
PRZECZUCIA

*Prowokacja*

przełożył Waldemar Gzubicki



Tytuł oryginału: ***Incendiary***

Ilustracja i projekt okładki: *Krzysztof Krawiec*

Redakcja: *Dorota Kielczyk*

Redakcja techniczna: *Anna Sawicka-Banaszkiewicz*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzowski*

Korekta: *Katarzyna Głowińska (Lingventa),  
Anna Sawicka-Banaszkiewicz*

Copyright © 2012 Amy A. Bartol

All rights reserved.

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2018

© for the Polish translation by Waldemar Gzubicki

ISBN 978-83-287-0857-0

Wydawnictwo Akurat

Wydanie I

Warszawa 2018

## *Spis treści*

- Rozdział 1 Księżyc
- Rozdział 2 Konflikty
- Rozdział 3 Nicolas i Simone
- Rozdział 4 Gruchot
- Rozdział 5 Wzniesienie
- Rozdział 6 Anya
- Rozdział 7 Nie budź mnie
- Rozdział 8 Jesteś kim?
- Rozdział 9 Bardzo za mną tęsknisz
- Rozdział 10 Pokłon dla mistrza
- Rozdział 11 Duch żalu
- Rozdział 12 Wymarzony Drew
- Rozdział 13 Powstanie
- Rozdział 14 Jestem na łodzi
- Rozdział 15 Nie odchodź
- Rozdział 16 Wieczna miłość
- Rozdział 17 Irlandia
- Rozdział 18 Witaj w domu
- Rozdział 19 Obiad
- Rozdział 20 Nie oglądaj się za siebie
- Rozdział 21 Tańcząc w kręgu
- Rozdział 22 Szpiedzy i sprzymierzeńcy
- Rozdział 23 Stare jest nowe
- Rozdział 24 Twoje serce staje się zimne
- Rozdział 25 Wątpić w gwiazdy

Rozdział 26 Wejść do kręgu

Rozdział 27 Dom

Rozdział 28 Crestwood

Rozdział 29 Łaska

## *Rozdział 1*

### *Księżyc*

EVIE

Otwieram oczy w ciemności sypialni, pospolity baldachim otaczający łóżko iskrzy się od szronu. Siadam, opierając się o poduszki, a jedwabne okrycie delikatnie zsuwa się z mojego ciała. Reed, który śpi obok mnie, wygląda tak spokojnie... Anielsko. Jego ciemnobrązowe włosy opadają na brwi w bałaganie kosmyków. Gładząc te włosy, lekko przesuwam je z czoła, czuję pod opuszkami palców ciepłą skórę. Antracytowe anielskie skrzydło porusza się, delikatnie ocierając się o moje udo. Czuję jego ciepło na swojej lodowatej skórze.

Coś jest nie tak. Drzę, z każdym oddechem wydechane powietrze zwija się w obłok pary jak w czasie zimy. Jest za chłodno. Gęsia skórka pojawia się na moich ramionach, gdy strach przenika mnie jak lodowata woda. Wyspa Zefira znajduje się na Południowym Pacyfiku: tu nigdy nie robi się tak zimno.

Zarzucam długie kasztanowe włosy za ramiona i asekuracyjnie otulam się białym prześcieradłem. Stawiam bose stopy na tekowej podłodze, czuję, jak pęka od mrozu. Szron pokrywa cały pokój, wszystkie powierzchnie niesamowicie iskrzą się w mglistym świetle księżycy wkradającym się przez przymknięte żaluzje.

Powoli podchodzę do drzwi sypialni, skręcam, idąc do drzwi wejściowych naszego małego plażowego bungalowu. Z chwilą, kiedy je otwieram, czarne chmury przetaczają się i kipią w kierunku zatoczki rajskiej wyspy Zefira. Moja dłoń kurczowo chwyta ramę drzwi, widzę, jak złowieszczy sztorm wdziera się przez nią. Wiatr gwiżdże, uderzając o pióra moich karmazynowych skrzydeł, stroszy je i mierzwi. Palmy wzdłuż plaży kołyszą się w bryzie, a bałwany fal pienia się na białym piasku.

Słyszę trzaski, jakby ktoś szedł po lodzie zbyt cienkim, aby go utrzymać. Poniżej sztormowych chmur mroczna postać sunie po wodzie w moim kierunku. Przy każdym kroku pod jej stopami tworzy się cienka powłoka lodu. Wiatr

przywiewa do mnie słodki, lepki zapach – otacza mnie, jakby oznaczając swoje terytorium. W moim sercu zaczyna wzrastać okropny rodzaj miłości – bolesny i surowy, zniewalający i okrutny.

Wolno, posłusznie zbliżam się do krawędzi wody, czuję między palcami sypki lodowaty piach. Zimna fala uderza o moje stopy, moczy dół prześcieradła. Czekam, aż Brennus do mnie podejdzie. Ubrany w ciemny, doskonale skrojony garnitur wydaje się spokojny. Jego kroki nie dają się zmierzyć, posuwa się po lodzie naprzód, osłonięty złowrogim niebem.

Zatrzymuje się tuż przede mną, na odległość oddechu, uśmiecha się. Uważnie skanuje mnie cał po calu badawczym spojrzeniem. Jego czarne włosy, wyraźnie kontrastujące w świetle księżyca z bladą skórą, nie przesłaniają oczu coraz ciemniejszych od przyjemności.

– *Mo chroí* – nazywa mnie „swoim sercem”. – Zdaje się, że całkiem nieźle udało ci się uciec przed aniołem Upadłym.

Przytakuje w odrętwieniu.

– Jak widać, ty też przetrwałeś – szepczę. Strach i ulga w tonie mojego głosu zdradzają uczucia do niego. Spoglądając w jego jasnozielone oczy, zauważam, że on też czuje ulgę, że mnie odnalazł.

Brennus wzrusza ramionami.

– Jestem dobrym pływakim, więc przetrwałem twoje zaklęcie rzucone, aby rozproszyć upadłe anioły. A bez Casimira jako przywódcy Upadli zdekoncentrowali się i zaczęło do nich docierać, że przegrywają bitwę – odpowiada Brennus z anielskim wyrazem na swojej pięknej twarzy.

Widząc jego uśmiech, ledwo pamiętam o tym, że jest mordercą, zabójczym drapieżnikiem. Teraz trudno mi myśleć, że Brennus to zło, przecież mnie ochronił, nie tylko przed ifritem i Valentine’em, którzy by mnie zabili, ale także przed ciągle nękającą mnie armią aniołów Upadłych. Jednak to on mnie zniewolił, trzymając z dala od tych, których kocham, po to, by uczynić mnie swoją królową: królową panującą nad Gankanagami – jego rasą ożywieńców o zniewalającej, toksycznej skórze.

– Myślałem, że zostałaś zabrana przez upadłe anioły. To właśnie u nich cię szukaliśmy – dodaje Brennus.

Jego słowa przywołują obrazy ostatniego spotkania z nim kilka tygodni temu. Casimir ze swoją armią Upadłych otoczyli nas w posiadłości Brennusa w Irlandii. Użyłam magii, aby przywołać morze i zanurzyć nas wszystkich

we wzburzonej otchłani oceanicznej wody. To mnie oddzieliło od Brennusa, zniosło z dala od niego, wprost pod kontrolę Casimira.

– Jak Molly? Finn? Declan? – Nie mogę powstrzymać ciekawości, co z bratem Brennusa, Finnem, i moim ochroniarzem z Gankanagu, Declanem – moimi strażnikami więziennymi.

– Molly ma się wspaniale. Z Finnem już lepiej. To o Declana wszyscy się martwiliśmy. Bardzo ciężko przeżył utratę ciebie. Trochę mu się polepszyło, kiedy zobaczył poćwiartowane ciało Casimira na trawniku przed posiadłością. To ty go zabiłaś? – pyta, upewniając się.

Kręcę głową.

– Nie. Reed go zabił – odpowiadam i widzę błysk zazdrości w oczach Brennusa, gdy słyszy imię Reeda. Ostrzegał mnie, abym nigdy nie wypowiadała imienia mojego anioła w jego obecności, więc próbuję ukryć swoją wpadkę i pytam: – Jak mnie znalazłeś?

– Zabrałaś ze sobą moje ostrze. Należy do mnie i podobnie jak ty wzywa mnie, ale ty o tym nie wiesz – odpowiada.

Zamykam oczy. Czuję, jak serce zaczyna mi bić szybciej, gdy myślę o nożu, który zabrałam i wsunęłam w cholewę buta podczas naszej ucieczki przed Upadłymi.

– Chodź, znajdziemy sposób, abyś opuściła tę wyspę. Twoja rodzina tęskni za tobą. Ja za tobą tęsknię – mówi łagodnie Brennus. – Tym razem będziesz mieć dom.

Otwieram oczy, gapię się prosto w jego oczy odzwierciedlające całkowitą pewność tego, że wykonam jego rozkazy i wrócę z nim. Jako jego jeniec przez kilka ostatnich miesięcy usilnie starałam się działać jak jedna z nich, jak Gankanag, po to, aby przeżyć. Lecz teraz nie jestem jego więźniem. Teraz mam szansę pozostać ze swoim ukochanym Reedem. Oblizuję wysuszone wargi.

– Nie mogę z tobą pójść, Brennusi, przykro mi.

– Dlaczego nie? – pyta cierpliwie, jakby miał całą wieczność, aby rozwiązać ten problem.

– Ponieważ moja rodzina mnie potrzebuje, a ja potrzebuję ich – odpowiadam. Jego brwi zaczynają opadać, a twarz wykrzywia się w grymasie.

– My jesteśmy twoją rodziną, *mo chroi*. Ty jesteś królową. – Wypowiada te słowa dość spokojnie, ale jego blada twarz wygląda srogo. – Ja jestem twoim



królem.

Kręcę głową, cofam się o krok od krawędzi wody i od jego ręki wyciągniętej w moim kierunku. Moje serce bije teraz tak mocno, że słyszę jego uderzenia w uszach.

– Ja należę do tego miejsca, do nich... Do niego – mówię cicho, obserwując, jak grymas na twarzy Brennusa zmienia się w najciemniejszy gniew. Słyszę kliknięcie kłów, gdy wysuwają się nagle z jego ust, obnażając przerażające, ostre jak brzytwa końcówki.

– Zostawisz mnie samego z tym wszystkim, co do ciebie czuję? Ja za ciebie oddałbym życie. Czy nie wystarczy ci to, że ciebie kocham? – pyta głosem pełnym zranienia i krzywdy.

– Wiem, że mnie kochasz, Brennusie. Wiem też, że oddałbyś życie, aby mnie chronić, jeśli bym ci na to pozwoliła, ale nie mogę tego zrobić. Nie mogę z tobą być... – Czuję, jak łzy napływają mi do oczu.

– Możesz i będziesz – ripostuje, próbując chwycić mnie za rękę. Jego palce przenikają przeze mnie, pozostaje tylko mroźny podmuch powietrza w miejscu, gdzie przed chwilą była jego dłoń.

Zdziwiona spoglądam na niego, widzę jego frustrację.

– Ty jesteś klonem... zakłębem. – Wzdycham. – Tak naprawdę ciebie tu nie ma.

– Zaskoczona? – Traci odrobinę swojego gniewu na widok mojej zdziwionej miny. – Jak żyjesz wystarczająco długo z niezwykle istotami, podobnymi do ciebie, to się uczysz paru rzeczy. Genevieve, to jest zakłębem. Podobało mi się to, co robiłaś ze swoimi klonami... obrazami ciebie, które tworzyłaś. Pomyślałem, że sam mógłbym spróbować. Chcesz zobaczyć, co jeszcze potrafię? – Nie czekając na moją odpowiedź, zarzuca wokół mnie swoje ramiona utworzone z fal.

Pulsujące echo energii kłębi się dookoła nas. Mroczne postaci Gankanagów zaczynają wyłaniać się z głębin morza, formują się w legiony i czekają na plaży. Ci ożywieńcy tłoczą się wokół nas, wyglądają bardzo realnie w świetle księżyca.

– Ich też tutaj nie ma. – Próbuję ukryć strach i złość przenikające mnie na widok armii, którą Brennus mógłby po mnie wysłać.

– Jeszcze nie – odpowiada mrocznie. – Nie zmuszaj mnie, abym ich wysłał, żeby znów cię do mnie sprowadzili. Myślałem, że już to przerabialiśmy. Pogoń

za tobą zaczyna odciskać na mnie piętno, *mo chroí*. Już nie wiem, jak mam sprawić, abyś zrozumiała, że jesteś moim sercem. Ja nie istnieję bez ciebie... I ty też nie możesz istnieć beze mnie.

– Więc mówisz, że zabijesz mnie, jeśli nie wrócę do ciebie? – pytam go, czując, jak chłód przenika moje wnętrze.

– Wysączę cię do ostatniej kropli krwi – straszy mnie, odsłaniając białe kły. Jego obraz pochyla się, zbliża do mojej szyi, a mroźne powietrze uderza o moją skórę.

Wzdrygam się na wspomnienie potwornego bólu, który towarzyszy ukąszeniom.

– Jeśli mnie ugryziesz i tak zostaniesz z niczym – wypalam. Czuję się zdradzona przez niego. – Nie napiję się twojej krwi i nie stanę się jedną z was.

– Ja zostanę z niczym?! Z chwilą, kiedy cię ugryzę, staniesz się Gankanagiem – zapewnia. – O, królowo. Nie zdołasz oprzeć się działaniu mojej krwi.

– Nie – kręcę głową. – Odmówię – oznajmiam z całkowitą świadomością każdego słowa.

Gniew powoduje, że Brennus zaczyna szydzić:

– Może odmówisz, a może nie. Zamierzam skorzystać z szansy i to sprawdzić.

– Naprawdę? – Czuję, że każde jego kiedykolwiek wypowiedziane słowo było kłamstwem.

– Tak – odpowiada, patrząc na mnie jak drapieżnik na ofiarę.

– Oddałbyś moją duszę do Szeolu? Na całą wieczność tym potworom? – pytam z rezygnacją. Jeśli rzeczywiście wypiję jego krew, moja dusza zostanie skazana na Szeol, na wieczność wśród upadłych aniołów. Umrę i zostanę wskrzeszona jako ożywieniec... Podobna do niego.

– Jeśli mnie zmusisz, tak zrobię – odpowiada bez cienia wątpliwości.

Zbliżający się głos Russella przerywa nam rozmowę.

– Brr, czujesz to, Ruda? Teraz to dopiero zimno – mówi, wymachując swoim kijem golfowym, aby odczarować obrazy Gankanagów, które Brennus sprowadził na plażę.

Russell odkłada na ramię kij w chwili, kiedy wszystkie obrazy rozmywają się i nikną. Jego wysoka postać góruje nade mną. Russell bez wahania odrzuca kij,

aby otulić mnie ramionami. Obdarowuje mnie kolejnym miażdżącym kości uściskiem, pozbawiając tchu.

– Russell... – Jego imię wyrywa mi się jak modlitwa, gdy spoglądam w czekoladowobrązowe oczy. W świetle księżyca jego włosy wydają się złote.

Szczerzy się do mnie szeroko.

– Ach, wiesz, chętnie pościskałbym cię dłużej, ale to musi boleć – przyznaje, zwalniając nieco uścisk. – Czy w czymś przeszkadzam? – Spogląda na zsiniałą z gniewu twarz Brennusa. – Ach, to znów ten prześladowca. Powinienem się domyślić, ale twój odór nie jest taki odrażający tu, na zewnątrz... Może byłoby lepiej, gdybyście wy wszyscy przeprowadzili się gdzieś do tropików – sugeruje przemądrzałym tonem. Widząc, jak brwi Brennusa zaczynają łączyć się w gniewie, dodaje: – Tak tylko mówię.

– Ten drugi... – zaczyna Brennus, używając imienia, które nadał Russellowi. Nazywa Russella „tym drugim”, ponieważ Russell jest jedyną istotą podobną do mnie: ludzko-anielską hybrydą. Choć mógł też mieć na myśli drugą połowę mojej duszy, bo Russell jest moją bratnią duszą.

Russell unosi rękę.

– Sekundkę, Brennusie, ty totalny popaprańcu! – rzuca obraźliwie Russell. – Muszę dostać co nieco od swojej dziewczyny.

Dłoń Russella wsuwa się w moje włosy u podstawy szyi, a wargi pewnie dociskają się do moich. Całuje mnie z intensywnością i tęsknotą, jakiej się nie spodziewałam. Brennus wydaje z siebie niskie warknięcie i niemal natychmiast odpowiada mu warknięcie Reeda. Jestem pewna, że Reed skierował je do Brennusa, ale tak czy inaczej odpycham Russella, próbując powstrzymać jego pocałunek. Jednak Russell jest szalenie silny i pomimo moich wysiłków nie udaje mi się go przesunąć nawet o milimetr.

Kończąc pocałunek, Russell spogląda na mnie, jakbyśmy byli zupełnie sami, i mówi:

– Ruda, brakowało mi ciebie.

Opuszkami palców dotykam swoich warg; czuję się zdezorientowana i przytłoczona.

– Mnie ciebie też – odpowiadam delikatnie. Nie mieliśmy okazji zbyt długo pobyć ze sobą sam na sam, od kiedy zostałam uratowana z posiadłości Brennusa w Irlandii. Większość czasu spędziłam z Reedem. Jeszcze jest wiele rzeczy

niewypowiedzianych między mną a moją bratnią duszą.

– Brennus, a ty nadal tutaj? – pyta Russell. Nie patrzy w jego kierunku, tylko nadal na mnie. – Czemu się teraz nie poddasz? Nie znajdziesz kogoś innego do nawiedzania, ty straszny, martwy draniu.

– Z przyjemnością cię zabiję – odpowiada Brennus z pełnym przekonaniem.

– Łatwo tak mówić, gdy tak naprawdę ciebie tu nie ma, co? – odpowiada Russell, uśmiechając się do mnie, jakby to był tylko nam znany dowcip. – Następnym razem przybądź osobiście... Przynajmniej zyskasz więcej szacunku.

– Prowokujesz bójkę, w której moja wygrana jest pewna – odpowiada z twardym uśmiechem.

Patrząc na twarz Brennusa, Russell uśmiecha się bez zakłopotania, a jego karmazynowe skrzydła Serafina złowrogo wysuwają się z ciała. To przypomina mi o niszczycielskiej sile, jaką Casimir miał w swoich skrzydłach.

Brennus przenosi wzrok na mnie.

– Nie ukrywaj się przede mną, *mo chroí*, i nie każ mi po ciebie przychodzić. Nie chcę cię zmuszać, abyś mnie błagała – mówi, ignorując warczących na niego Reeda i Russella.

Moja skóra blednie, czuję się, jakby cały świat runął na mnie. Czuję się tak źle jak w celi w Houghton, kiedy Brennus po raz pierwszy próbował mnie przemienić w ożywieńca – potwora podobnego do niego samego. Nie, teraz czuję się znacznie gorzej. Wtedy nienawidziłam Brennusa. Wtedy nie był dla mnie przyjacielem. Teraz jest jak stale powracający koszmar, Freddy Krueger z ulicy Wiązów. Wpuściłam go do serca, a on je rozdziera.

– Brennus, dlaczego ty jesteś taki tępy? – pyta Russell, marszcząc brwi, jednocześnie uwalnia mnie z uścisku.

– On nie mógł się powstrzymać. – Reed odpowiada, podając mi dłoń. Chwytam ją mocno, czuję, jak Russell sięga po moją drugą dłoń.

– Ruda – Russell używa przezwiska, które dla mnie wymyślił. – Powiedz mu tylko, że między wami nie wypaliło, że on jest naprawdę złym chłopakiem. Powiedz mu, że to nie twoja wina, że to przez niego. – Uśmiecha się pogardliwie w kierunku Brennusa.

Powietrze wokół nas robi się coraz zimniejsze. Obserwuję, jak moje oddechy zamieniają się w dymiące obłoki.

– Zastanów się, *mo shíorghrá* – ostrzega mnie Brennus. – Zbliżam się i wiesz,

co mogę zrobić. Kiedy cię znajdę, lepiej bądź przygotowana, aby oddać się swojej prawdziwej rodzinie. Mam mówić dalej?

Dłonie drżą mi tak, jakby on był tu naprawdę. Reed i Russell ściskają je mocniej, czując mój strach.

– Przybądź, a umrzesz, Brennusie. – Reed staje pomiędzy mną a Gankanagiem.

Brennus mierzy Reeda spojrzeniem.

– Mam ci tylko jedno do powiedzenia. *Cogadh*.

Blednę. Wiem, że to słowo znaczy „wojna”.

– *Tuigim*, Brennus – odpowiada Reed ze spokojem, „rozumiem”.

– *Póg mo thóin*. – Russell szczerzy się, każąc Brennusowi pocałować się w tyłek. – A teraz spadaj. Chcę pogadać ze swoją dziewczyną.

– Rzeź, to jest to, co lubię – mówi Zefir, a ja aż podskakuję przestraszona. Nie słyszałam, jak w niewykrywalny sposób mój mentor, anioł Mocy, zbliżył się do nas. – Kiedy do nas przybędziesz? Zmęczyło mnie już to czekanie – pyta. Jasnobrzęde pióra w jego skrzydłach poruszają się w oceanicznej bryzie.

– Wkrótce – odpowiada Brennus chłodno, nie spuszczać ze mnie jasnozielonych oczu.

– Nie rób tego! Proszę – szepczę do niego.

Obraz Brennusa zbliża się do mnie, czuję, jakby on sam tu był.

– Jesteś tak pięknym bólem, Genevieve. Przepiękną trucizną. – Gdy to wyznaje, jego oczy przepełniają się najbardziej gorzkim żalem.

– Więc pozwól mi odejść – błagam. Ból w mojej piersi zaczyna narastać.

– Czemu miałbym to zrobić, skoro lubię ból? Każdy. – Jego brwi unoszą się pytająco. – Będiesz moją kochanką i dowiesz się wszystkiego o bólu, obiecuję.

Russell warczy.

– Zee, patrz, jak ten umarłak się rzuca – mówi złowrogo.

– Zamierzałem wbić do ciebie na imprezę, jak tylko cię odnalazłem, Brennusie. Ale jeśli wolisz, czuj się zaproszony na naszą – dorzuca lekko Reed. – Tylko się pospiesz.

– Tak zrobię, aniołku – odpowiada mu Brennus, starając się zachować spokój. Spogląda na mnie, a jego czarne włosy błyszczą srebrnym blaskiem księżyca. – Miałaś rację... Rzeczywiście na koniec źle mnie potraktowałaś. Ja dałem

ci wszystko. Całą wieczność będziesz musiała poświęcić, aby mi to wynagrodzić. – W jego głosie słychać szorstki ton osoby zdradzonej.

Obraz Brennusa odwraca się i zaczyna się oddalać; kroczy po morzu w stronę przerażającego horyzontu czarnych chmur. Z każdym jego krokiem stawianym na zmrożonej wodzie coraz bardziej staje się dla mnie zrozumiałe to, że mu wierzę. Dotykając drżącymi palcami onyksowego medalionu na swojej szyi, szepczę:

– On nadchodzi. Musimy odejść.

Łagodny głos Reeda zakłóca moje spanikowane myśli.

– Nigdy nie pozwolę mu znów cię zabrać – mówi miękko.

Mroczne chmury zaczynają się usuwać. Cofając się, odkrywają piękne nocne niebo, upstrzone milionami gwiazdnych ogników. Russell i Zefir zbliżają się do nas, aby swoją obecnością okazać mi wsparcie. Nadal drżąc, puszczam dłoń Russella i jak najmocniej wtulam się w ramiona Reeda, a księżyc oświetla tę scenę.

– Nadal uważam, że powinniśmy iść – odpowiadam. Nie mogę powstrzymać dygotania.

– Spodziewaliśmy się tego, że nas znajdzie. – Reed głaszcze moje skrzydła. – Masz jego nóż...

– Wiedziałaś, że mnie znajdzie. – Odpycham się od niego, aby spojrzeć mu prosto w oczy.

– Tak – odpowiada szczerze. – Żałuję tylko, że dziś wieczorem nie stawił się osobiście. Wtedy z łatwością bym go namierzył, ale odkąd nie jestem pod wpływem jego magii, nie mogę wyczuć jego mrocznej obecności.

– Ja czułem tego zimnego popaprańca przez całą drogę z drugiej strony wyspy – dodaje posępnie Russell.

– Dlaczego nie powiedzieliście mi, że jego nóż doprowadzi go do mnie? – pytam Reeda z takim uczuciem, jakbym właśnie brała udział we własnym pogrzebie.

Brwi Reeda unoszą się nad pięknymi zielonymi oczami.

– Evie, nie chciałem cię martwić – mówi troskliwym tonem. – Tak wiele przeszłaś...

– Tak – wtrąca Russell. – Zabierzemy go stąd – zwraca się do Reeda i Zefira.

– Russell, ty nie znasz Brennusa – ostrzegam. – On zniszczy samego siebie, aby tylko mnie odzyskać.

– Dobrze! To będzie jednocześnie jego pogrzeb. Jesteśmy gotowi na przybycie jego i jego armii. Podoba mi się, jak mu się postawiłaś, mówiąc, że nigdzie z nim nie idziesz. Obawiałem się, że skoro kiedyś owinął cię wokół swojego palca, to tak zostało.

– Nie jestem jego niewolnicą – bronię się.

– Przez ostatnich kilka tygodni byłaś z nim i zachowywałaś się jak jedna z nich – kontruje cicho Russell. – Bałem się, że możesz nadal do niego należeć.

– Musiałam zachowywać się jak jedna z nich. – Cała się trzęsę. Bryza staje się delikatna, niesie zapach soli i tropikalnych kwiatów, utkany balsamicznym upałem. – Ale przez cały czas chciałam wrócić do domu.

– Ciii – ucisza mnie Reed łagodzącym tonem. – Oczywiście, że chciałaś wrócić – potwierdza, jednocześnie posyłając Russellowi karcące spojrzenie.

– A więc macie plan i nie powiedzieliście mi o nim? – Przeszywam każdego z nich zawiedzionym spojrzeniem.

– Czekaliśmy, aż w pełni dojdiesz do siebie po powrocie z niewoli – wyjaśnia Zefir; jego jasnobrażowe skrzydła drgają delikatnie.

– Kiedy zamierzaliście mnie o tym poinformować? – odpieram poirytowana faktem, że kolejny raz coś przede mną ukrywają.

Zefir się uśmiecha, a jego brwi tworzą teraz łuk nad lodowobłękitnymi oczami.

– Wierzę, że właśnie udowodniłaś swoją gotowość – odpowiada.

– Okay – oddycham głęboko. Próbuję spowolnić pracę swojego łomoczącego serca. – Więc jaki jest plan? – pytam, aby skoncentrować się na czymś innym niż nieuniknione przybycie tutaj Brennusa.

Reed troskliwie otacza mnie ramionami.

– Zefirze, czy mógłbyś obudzić Buns i Brownie? Spotkamy się w dużym domu, aby przedyskutować z Evie nasz plan.

Spoglądam w stronę dużego domu w stylu posiadłości właściciela plantacji, znajdującego się na grani górującej nad plażą. Zefir i moje przyjaciółki anielice Kosiarze, Buns i Brownie, zamieszkiwali tam od czasu do czasu, kiedy to w ciągu kilku ostatnich miesięcy próbowali ustalić miejsce mojego pobytu, a później znaleźć sposób, jak mnie uwolnić.

Zefir potwierdza skinieniem, obdarowuje mnie delikatnym pocałunkiem w czubek głowy.

– Cieszę się, że jesteś znów z nami. – Traktuje mnie jak swoją młodszą siostrę.

– Ja też – odpowiadam.

Zefir kiwa głową w stronę Russella i udaje się w kierunku dużego domu. Russell nie za bardzo chce odejść. Wie, że nadal bardzo się boję.

– Już w porządku, Russell – zapewniam.

– Nie, wcale nie – mówi z uporem. – Ale będzie w porządku, kiedy zabijemy Brennusa.

Russell zna mnie na wylot. Jest moją bratnią duszą, a suma naszych poprzednich istnień rozciąga się tysiące lat wstecz. On je wszystkie pamięta, lecz ja nie pamiętam żadnego swojego poprzedniego życia jako człowiek.

– Brennus już jest martwy, Russell. – Marszczę brwi na wspomnienie dotyku pięknej i zimnej skóry ożywieńca. Drzę.

– Semantyka, Ruda. On nie może być martwy, skoro chodzi i powraca – odpowiada.

– Nie, on jest ożywiony za pomocą magicznych sił, które z łatwością mogą zmiażdżyć ciebie i mnie – odpowiadam, choć wiem, że trochę przesadzam.

Reed uśmiecha się potwierdzająco.

– Magia Brennusa nie może mnie zranić, dlatego rozwalę jego i to jego niby-imperium. – Reed mówi to cicho.

Magia Gankanagów nie działa na anioły takie jak Reed i Zefir, ale ja i Russell jesteśmy ludzko-anielskimi hybrydami i magia czarnoksiężników może nas pogrzebać. Gdy słyszę słowa Reeda, serce zaczyna uderzać mocniej w mojej piersi. Potrzeba bycia z nim dała mi siłę, aby przetrwać niewolę u Gankanagów. Bez tej siły poddałabym się nękającej mnie potrzebie wypicia krwi Brennusa po tym, jak zostałam przez niego ukąszona. Nie mogę go teraz stracić, nie po tym, jak do niego wróciłam.

– Uciekajmy – szepczę do jego ucha. – Możemy znów się ukryć – proszę.

– Nawet jeszcze nie usłyszałaś, jaki mamy plan. – Reed przytula mnie jeszcze mocniej.

– Jeśli wymaga tego, żebyś zbliżył się do Brennusa, to ja zdecydowanie się



sprzeciwiam. – Żołądek wykręca mi się na myśl o Brennusie używającym swojego zniewalającego dotyku, aby móc kontrolować Reeda.

– Ciii, Evie. – Reed gładzi moje włosy i przysłuchuje się szaleńczemu biciu mojego serca. – Teraz, kiedy twoje życie nie jest związane z Brennusem, mogę bez żadnych konsekwencji go zabić. Jedynym powodem tego, że jeszcze żyje, był magiczny kontrakt wiążący z nim ciebie. Gdyby nie to, już dawno przestałby istnieć. Miałem tak wiele dogodnych sytuacji, aby go zabić, ale nie mogłem tego zrobić, bo to przyczyniłoby się do twojej śmierci. Lecz Brennus zerwał ten kontrakt i teraz już nic nie jest w stanie mnie powstrzymać.

Robię się coraz bledsza.

– Reed, ale on ma armię.

– Obiecuję ci, że już nigdy nie będziesz jego niewolnicą – szepcze mi te słowa do ucha, a ja tak bardzo chcę mu wierzyć. – Pozwól, że wyjaśnię ci nasz plan. Zrozumiesz.

Ostrożnie prowadzi mnie w stronę domu na plaży. Wahając się, zerkam na Russella, który odprowadza nas wzrokiem. Jego oczy zdradzają, jak bolesny dla niego jest widok mnie razem z Reedem. Gdy byliśmy razem przez wieki, zawsze byłam miłością jego życia, i to każdego, z wyjątkiem tego obecnego. To życie jest inne. Już nie jestem tylko człowiekiem, jestem także anielicą i ta anielska część mnie prawdziwie kocha i potrzebuje Reeda. A moja dusza... Moja dusza zawsze będzie kochać Russella, to on jest moim najlepszym przyjacielem.

– Idziesz, Russ? – rzucam przez ramię.

– Neee – odpowiada spokojnie, uderzając kijem golfowym o piasek przy stopach. – Ja już poznałem ten plan. Możemy porozmawiać jutro w czasie naszego treningu na plaży.

– Okay – zgadzam się, nie wiedząc, co jeszcze powiedzieć. Zdaję sobie sprawę, jaką torturą dla niego jest moje uczucie do Reeda, ale nie potrafię tego zmienić. Nie wiem, czy istnieje jakiś sposób. Obserwuję, jak Russell odchodzi na drugą stronę wyspy... Tak daleko ode mnie i od Reeda, jak to tylko możliwe.

## *Rozdział 2*

### *Konflikty*

– Skoncentruj się, Ruda, kurde... Musisz być w jednym miejscu – mówi Russell, siedząc ze skrzyżowanymi nogami obok mnie na plaży. Kieruje przed nami swoim klonem, który unosi mojego klona, uderza nim o ziemię, aż ten w końcu rozpływa się w powietrzu jak mgiełka.

– Russell – jęczę sfrustrowana. – Przestań zabijać moje klony!

– Ale to ty sprawiasz, że to takie łatwe... – Milknie z uśmiechem na twarzy, który znika zaraz po tym, jak wymierzam mu szturchańca w ramię. Jest silny jak lew i niczym nie byłabym w stanie zrobić mu krzywdy.

Opadam na piasek, zasłaniam ramieniem oczy, aby zablokować intensywne promienie słońca. Tworzenie klonów – moich lustrzanych odbić – jest bardzo wyczerpujące fizycznie. Russell teraz może to robić bez problemu, a każdy wygenerowany przez niego klon wygląda i zachowuje się tak jak jego brat bliźniak. Russ może siedzieć obok mnie na piaszczystej plaży i jednocześnie sterować swoim obrazem tak, jakby jego umysł i świadomość znajdowały się w jego ciele podobnym do ducha.

A po przeciwnej stronie ja. Mój cały świat wiruje, jak gdybym była na karuzeli w Disneylandzie. Z trudem usiłuję wykreować swojego klona. Sterowanie nim i próby patrzenia jego oczami to jak otwieranie oczu w wodzie lub patrzenie przez czyjeś okulary korekcyjne, wszystko tak niewyraźne i rozmyte.

Russell odciąga moje ramię, którym zasłaniam oczy przed słońcem. Teraz, klęcząc nade mną, sam osłania mnie swoim ponad stodziewięćdziesięciocentymetrowym ciałem.

– Mamy jeszcze czas na jednego klona... – Natychmiast milknie, widząc moją twarz. – Ach, Ruda, bardzo cię przepraszam – mówi niespokojnym głosem.

Odchyła się, wyciąga chusteczkę z kieszeni swoich szortów i delikatnie

wyciera krew, która cieknie mi z nosa.

– Znów mi leci krew? – pytam zmęczona, biorę chusteczkę z jego dłoni i przykładam do nosa.

– Musisz mi mówić, kiedy dochodzisz do takiego momentu. – W głosie Russella słyszę poczucie winy. Obejmuje mnie i pomaga mi usiąść tak, aby z łatwością móc spojrzeć mi prosto w oczy. – Powiedz, ilu mnie widzisz.

– Trzech. Nie, czterech... I każdy z was potrzebuje fryzjera – odpowiadam, próbując zminimalizować swoją dezorientację.

Puszcza moje ramię po to, by przeczesać dłonią brunatne włosy, które od słońca zostały ozdobione blond pasemkami. Zaraz po wykonaniu tego gestu musi szybko mnie chwycić, bo zaczynam słabnąć i osuwać się na ziemię.

– O kurczę! – wypowiada to i przyciąga mnie, abym mogła odpocząć na jego nagiej piersi. Kojąco głaszcze moje plecy. Jego imponujące karmazynowe skrzydła wysuwają się z kamuflażu na plecach, a on, trzymając mnie w swoich ramionach, wygląda w każdym calu jak zabójczy anioł Serafin, którym teraz jest. – Ach, nie cierpię, kiedy moje skrzydła tak robią – przyznaje poirytowany.

– Wiem. – Bardzo dobrze go rozumiem. – Mnie zawstydzają, gdy moje skrzydła same tak robią, bez mojej wiedzy.

– Cały czas zastanawiam się, czy nie byłoby nam łatwiej, gdybyśmy byli w pełni aniołami. Wiesz, o co mi chodzi? Czy te rzeczy dzieją się nam dlatego, że jesteśmy także częściowo ludźmi? – pyta lekko sfrustrowany.

– Chodzi ci o to, że gdybyśmy nie byli półkrwi, to mielibyśmy więcej kontroli nad anielską częścią naszej natury... na przykład nad naszymi skrzydłami? – pytam dla jasności. Zamykam oczy i stwierdzam, że to nic nie pomaga na moje zawroty głowy. Otwieram je bardzo szybko.

– Tak, właśnie o to mi chodzi. – Przytula mnie mocno.

– Reed powiedział, że to normalne. Zdaje się, że to emocje działają na nie jak zapalnik. Myślę, że z wiekiem to się uspokoi. Ty masz teraz zaledwie, ile, dwadzieścia lat? – pytam, pamiętając o jego urodzinach w sierpniu, na których mnie nie było.

Znów zamykam oczy, aby nie myśleć o tym, gdzie Russell spędził swoje ostatnie urodziny. Dreszcz przerażenia przeszywa całe moje ciało na wspomnienie kościoła na Ukrainie, gdzie był przetrzymywany i torturowany przez sadystycznego ifrita.

– Tak... Tamte urodziny były nieco mroczne – mamrocze pod nosem, włosy stają dęba na jego ramionach, a skrzydła trzepoczą nerwowo, uderzając o piasek. Bierze głęboki wdech, próbując uspokoić swoje serce; słyszę, jak ono łomocze. – Mam nadzieję uzyskać całkowitą kontrolę nad swoimi skrzydłami za sto, no, może dwieście lat. – Uśmiecha się drwiąco.

– Założę się, że to nastąpi wcześniej, niż myślisz. Szybko opanowujesz wszystko z mistrzowską precyzją – przyznaję szczerze. – Tylko z jednym będziesz musiał zmagać się bardzo długo.

– Z czym? – pyta pogodnie, z uśmiechem.

– Nie sądzę, że kiedykolwiek będziesz w stanie w pełni oddzielić się i wyzbyć wszystkich emocji jak ten Serafin, którego widziałam. Na to jesteś zbyt ludzki... To nie w twojej naturze – odpowiadam.

– Do tej pory poznałeś tylko jednego Serafina, Casimira, a on, Ruda, był Upadłym dziwakiem. Oni wszyscy nie mogą być tacy jak on... Zimni i ostrzy... Całkowicie źli.

– Mój ojciec jest jednym z nich i chociaż tak naprawdę go nie znam, to wyobrażam sobie, że bardzo przypomina Casimira. – Czuję ciężar, kiedy o nim mówię.

– Ach, nie wiesz tego na pewno... On jest aniołem Boskim i w ogóle nie znasz okoliczności, w jakich musiał się znaleźć.

– I nie chcę ich poznać, Russell – odcinam się.

– Zawsze byłaś córeczką tatusia i to w każdym życiu, jakie z tobą przeżyłem... No, może z wyjątkiem tego razu, kiedy byłaś synalkiem mamusi. – Śmieje się.

Przewracam oczami i zaraz potem muszę się mocno przytulić do niego, aby nie stracić równowagi.

– Szkoda, że nie pamiętam naszych poprzednich żyć razem. Jestem pewna, że musiałeś interesująco wyglądać jako dziewczyna. Czy kiedykolwiek miałeś w sobie ten dziewczęcy pierwiastek? – pytam. Jego znajomość naszych poprzednich wcieleń jest dla mnie równie fascynująca, co irytująca. Samo wyobrażenie siebie jako jego wiecznej ukochanej kompletnie rozsadza mi umysł.

– Zawsze uważałaś, że jestem sexy. – Szczerzy się, zapominając o przerażających dla niego kobiecych wcieleniach z przeszłości.

– Russell, nie jestem w stanie wyobrazić sobie siebie jako kobiety. – Czuję jego atrakcyjny męski zapach, równie atrakcyjny jak on sam.

– Dobrze, odkąd to prawdopodobnie ostatnia forma, jaką przyszło mi przyjąć, zdecydowanie wolę pozostać mężczyzną... Aniołem... Męską wersją anioła... Ach... Musimy jakoś znaleźć nazwę dla stanu, w jakim teraz jesteśmy. Jak ci się podoba „ludzioly”? Albo jeszcze lepiej „serameni”? – pyta, delikatnie się ze mną drocząc.

Jęcę na jego próby rozweselenia mnie.

– To okropne. Zdecydowanie wolę być nazywana półkrwi albo półczłowiekiem. – Odpycham się od piersi Russa, aby spojrzeć w jego brązowe oczy.

– Będziemy to teraz często słyszeć. Możemy powoli się do tego przyzwyczaić – oznajmia radosnym głosem.

– Czy to ci nie przeszkadza? – Wycieram nos, który wreszcie przestał krwawić.

– Nie, myślę, że to tylko zazdrość. Oni wszyscy chcieliby być mną – odpowiada. Spogląda mi w oczy i sprawdza, czy już mi lepiej.

– Zazdrość? – Unoszę brwi z niedowierzaniem.

– Tak. – Uśmiech powoli zaczyna rysować się na jego twarzy. – W tym, że mam duszę, jest coś, co sprawia, że wszyscy spotkani aniołowie pragną być mną. Oczywiście pomogło mi też to, że powaliłem największego anioła, jakiego mogłem znaleźć, kiedy po raz pierwszy spotkałem anioły Mocy z Dominium. – Połuźnił swój uchwyt, aby sprawdzić, czy mogę stać o własnych siłach. Udało mi się utrzymać równowagę, ale on i tak nie pozwolił mi stać samodzielnie.

– Co? – pytam.

– No tak... Nie spotkałem Prebena ani nie uderzyłem go pierwszego jako największego anioła Mocy, jakiego widziałem. Nie, ja walnąłem... jak on się nazywał? – Russell próbuje sobie przypomnieć, strzelając przy tym palcami. – Tycho. – Chyba tak miał na imię. Tak czy inaczej, musiałem pokazać im, jak daję sobie radę z ich Shenem[1].

– Co się wtedy zdarzyło? – Oczy robią mi się coraz większe, gdy słyszę te wszystkie rewelacje.

– Ach, pozwolili nam chwilę powalczyć, zanim wkroczył Zee i przerwał nam zabawę. Dawałem mu radę i to ich przeraziło. Wiedzieli, że ja mam tylko

dwadzieścia lat, a oni mają jakiś miliard, i to liczony w psich latach. – Uśmiecha się. – Oni nie walczą w taki sposób, w jaki ja byłem trenowany jako żołnierz, jako człowiek. Oni walczą jak anioły i oczekują, że pewne rzeczy się wydarzą podczas walki.

– Jakie rzeczy? – głośno się zastanawiam, nie wiedząc, jak bardzo my oboje różnimy się od nich.

– Oni odczytują język ciała. Oczekują, że zawsze będą wiedzieć, co zrobisz, zanim to zrobisz, ponieważ wielu z nich posługuje się telepatią. Ale ja jestem częściowo człowiekiem... Nie wychowywano mnie w ich towarzystwie. Nie otrzymałem ich anielskiego kodu zachowania i gestów, więc jeszcze nie potrafią mnie odczytywać – wyjaśnia.

– A więc to sprawiło, że Tycho był prawie jak ślepiec podczas walki z tobą? – pytam, próbując zrozumieć.

Russell przytakuje.

– Ale i tak jego prawy sierpowy był ostry. – Pociera swój podbródek, jakby pamiętał tamten ból.

– Russell, to było bardzo głupie. On mógł cię zabić. Przecież nawet jeszcze w pełni nie ewoluowałeś. – Wyobrażam sobie, co złego mogło się wtedy stać.

– Ruda, w tamtym czasie nosiłem w sobie bardzo dużo gniewu. – Odwraca wzrok. – Wahałem się pomiędzy udawaniem, że Tycho jest ifritem, Valentine'em, a udawaniem, że walczę z Brennusem. – Wzdrygam się, słysząc, jak Russell wypowiada jego imię. – Przepraszam... naprawdę nie chciałem wymawiać imienia tego wampira w twojej obecności – mówi niskim tonem i zaczyna zatapiać palce w moich włosach.

– On nie jest wampirem, Russell – odpowiadam, próbując ukryć delikatne drżenie ręki. – On jest ożywionym czarnoksiężnikiem.

– Kiedy znów go zobaczę, to już na dobre powróci do martwych – oświadcza Russell, odsuwając pojedynczy zabłąkany włos opadający na moją twarz.

– Musisz zachować szczególną ostrożność, gdy jest w pobliżu. – Chwytam go za ramię i patrzę mu głęboko w oczy.

Twarz Russella pogodnieje.

– On nie działa na mnie. Może mnie dotknąć, a ja i tak nie zamienię się nagle w zombie, które ślepo będzie wykonywać każdy jego rozkaz, jak to się dzieje z aniołami, które są przez niego dotknięte – odpowiada. – A to czyni mnie

doskonałym kandydatem na jego pogromcę.

Marszczę brwi, słysząc to oczywiste lekceważenie moich ostrzeżeń.

– Nie, to nie czyni cię żadnym kandydatem na pogromcę – oznajmiam.

Brwi Russella zbliżają się do siebie w gniewie.

– On chce zobaczyć ciebie na kolanach, pełzającą, powracającą do niego. Z pewnością ciebie zabije, jeśli znów cię dopadnie, a ty pozostaniesz jego zimną jak lód ożywioną królową... – Milknie nagle.

– Kochanką Gankanaga... Jego królową – kończę za niego.

Twarz Russella nagle pochmurnieje.

– Nie pozwolę mu na to. Nie pozwolę mu wysłać twojej duszy do Szeolu na całą wieczność, nie do tych upadłych potworów na wieczną udrękę. – Gniew wzbiera na jego twarzy. – Dlaczego jeszcze go tu nie ma? Mówił, że wkrótce przybędzie, a minęło kilka tygodni. Do tej pory powinien wykonać już jakiś ruch.

– On jest naprawdę inteligentny, Russell. On tu jest od zawsze i nie zacznie działać, dopóki nie będzie miał przewagi, całkowitej przewagi – wyjaśniam. Znam sposób, w jaki działa Brennus, ponieważ spędziłam z nim kilka ostatnich miesięcy jako jego uwięziona królowa. – A kiedy już zacznie działać, to będzie to równie szybkie i prawie niezauważalne jak ukąszenie węża.

– On jest rozgoryczony, Ruda. To może spowodować, że zacznie popełniać błędy.

Kręcę głową.

– Nie licz na to. On wie o mnie prawie wszystko, czego można się dowiedzieć. Wdarł się do mojej głowy i wpełzł w każdy jej zakamarek... On wie o nas wszystko. Przystudiował mnie – szepcząc, czuję się tak, jakby lina zaciskała się dookoła mojej szyi, dusząc mnie.

– My też ich przystudiowaliśmy, kiedy ty byłaś jego zabawką – odpowiada Russell. – Niech sobie myśli, że marny ze mnie przeciwnik. Nie docenia mnie i to doprowadzi go do śmierci.

– Russell, ale on wie, jak wiele dla mnie znaczysz – rzucam w panice.

– Naprawdę, Ruda? To jak to jest? Kim dla ciebie jestem? – W jego głosie wyczuwam dużą dozę goryczy.

– Jesteś moja bratnią duszą... najlepszym przyjacielem... – Milknę.

Zagryzam wargi na widok smutku w jego oczach.

– Najlepszym przyjacielem... – powtarza z opuszczoną głową. – Tak, Ruda. Jeśli nie jestem niczym więcej, to na pewno jestem przyjacielem. Pamiętam wiele naszych istnień, kiedy to ja byłem dla ciebie wszystkim... wszystkim, czego kiedykolwiek pragnęłaś.

– Potrzebuję Reeda – szepczę. Nie chcę ponownie próbować wyjaśnić ogromu uczuć dla Reeda. Patrząc na Russella, czuję, z jego powodu, niewyobrażalny ból w piersi. Ból, który mnie już nigdy nie opuści. To on był moim kochankiem w każdym poprzednim życiu, ale nie w tym, a moja dusza nadal rozpoznaje go jako swoją połówkę. – Jestem związana z Reedem na wieczność. Złożyłam mu przysięgę. On jest moim przeznaczeniem i tego nie da się odwrócić.

– A my byliśmy małżeństwem w niemal każdym naszym wspólnie przeżytym życiu i słyszałem, że bycie czyjąś bratnią duszą jest równie nieodwracalne, co twoja przysięga – odpowiada łagodnie.

Nagły odgłos grzmotu zmusza nas, żeby spojrzeć ponad horyzont, gdzie ciemne burzowe chmury gromadzą się z dala od brzegu. Blednę, widząc, jak lazur morza pod nimi zaczyna ciemnieć.

– Miało dziś padać – delikatnie komentuje to zjawisko Russell. Ja zaczynam się trząść ze strachu, który mnie przeszywa na wspomnienie o jeszcze ciemniejszym kolorze nieba, kiedy to Brennus odnalazł mnie tutaj. – Nie obawiaj się... to nie Brennus.

Przytakuje, starając się ukryć strach.

– Jakie mamy szanse, żeby nie trenować z Reedem i Zefirem, jeśli będzie łało? – Zadając mu pytanie, odwracam się do niego z desperacką nadzieją, że pozwoli mi zmienić temat.

– W Vegas nie przyjęliby o to zakładów – odpowiada, wstając. Wyciąga dłoń, żeby pomóc mi się podnieść. – Chodźmy lepiej coś zjeść, zanim anioły zaczną tłuc nami o ziemię i nazywać to treningiem.

– Dzięki – mówię z ulgą, pozwalając mu obejmować mnie, abym mogła odzyskać równowagę.

Trzymając się za rękę, idziemy na lunch w stronę znajdującego się na wzgórzu olbrzymiego domu na plantacji.

Kiedy docieramy na miejsce, Russell prowadzi mnie przez eleganckie kręte



korytarze do bogato zdobionej jadalni. Otwarto okna, pozostawiając okiennice przymknięte tak, aby przepuszczały morską bryzę dla ochłody. Russell odprowadza mnie do stołu, odsuwa dla mnie krzesło stojące obok Reeda i zasiada na pustym krześle obok mnie.

– Dzięki, Russell – mamroczę pod nosem; próbuję wyglądać normalnie. Nie chcę, by Reed zorientował się, że nadal kręci mi się w głowie. Wolę nie przechodzić przez cały zestaw badań, które z pewnością kazałyby mi zrobić.

– Właśnie mieliśmy omówić sprawy bezpieczeństwa. – Buns próbuje zwrócić moją i Russella uwagę. Przesuwa w moim kierunku kosz pełen bułek, bacznie mi się przyglądając. – Wyglądasz na zmęczoną, skarbie – komentuje, marszcząc brwi.

– Dobrze się czuję – zapewniam pospiesznie, sięgam po bułkę i kładę ją na talerzu.

Wybierając białą rybę z miliarda dań, przysłuchuję się Buns, Brownie i Zefirowi, jak rozprawiają o ostatnich informacjach przekazanych im przez Kosiarzy z odległych wysp. Nie zanotowano tam jeszcze żadnej aktywności Gankanagów.

Czuję na sobie spojrzenie Reeda i nie dziwi mnie jego podejrzliwość.

– Błado wyglądasz. – Jego palce suną po blacie stołu i trafiają na moje.

– Jestem rudzielcem, co nie? Taka moja uroda. Ale wolę określenie depigmentacja niż bladość. – Uśmiecham się do niego.

Spojrzenie Reeda łagodnieje po tym komentarzu, a jego idealna twarz sprawia, że moje policzki nabierają koloru, a puls przyspiesza.

– O, teraz już lepiej – szepcze mi do ucha.

– Kolejny raz miała krwotok z nosa – informuje Russell.

Oczy Reeda stają się coraz ciemniejsze, a jego brwi łączą się w jedną linię.

– Evie, zbyt mocno się eksploatujesz. Musisz znaleźć zdrową równowagę... – zaczyna, ale ja mu się wtrącam.

– Tak zrobię, po prostu zorientowałam się zbyt późno. Popracuję nad sobą – obiecuję kojącym tonem, podczas gdy pod stołem moja stopa z impetem łąduje na stopie Russella; w ten sposób karzę go za zdradzenie mnie przed Reedem.

Russell ignoruje moją nieudolną próbę, uśmiechając się anielsko.

– Może nie powinnaś trenować dziś po południu – sugeruje Reed z powagą

i odkłada widelec blisko swojego talerza.

– Naprawdę wszystko w porządku – oświadczam to obojętnie, aby nie wyglądać na zbyt zaniepokojoną, bo wtedy on zmusi mnie do odpoczynku, a ja nie zamierzam odpoczywać. Kiedy próbuję się zrelaksować, wszystko, o czym mogę myśleć, to Brennus i jego obietnica, że nauczy mnie każdego rodzaju bólu, zaraz gdy tylko mnie odzyska.

Dotykam onyksowego medalionu na swojej szyi, czuję gładki opalowy księżyc przytwierdzony do jego powierzchni. Tak naprawdę to portal, transport do miejsca daleko stąd. Ja i Reed dobrze wiemy, dokąd prowadzi. Ja planuję użyć go, jeśli będę zmuszona uciekać przed Gankanagami. Nasze portale, Reeda i mój, prowadzą do tego samego miejsca. Portale Zefira i Buns przeniosą ich w zupełnie inne miejsce. Będziemy zmuszeni zorganizować z nimi spotkanie i do tego posłużą nam Internet. Russell i Brownie ponownie są połączeni w parę, co bardzo mnie denerwuje, bo mam świadomość, że zostali pojmani i omal zabici, kiedy ostatnim razem pozostawiono ich zdanych na własne siły.

– Powinniście się przygotować na to, że przemokniecie. – Reed spogląda przez otwarte okna, za którymi strugi ulewnego deszczu podlewają tropikalną rajską wyspę Zee.

– No to lepiej się pospieszę, kochanie, i zjem, zanim ulewa zamieni się w monsun – mówię z sarkazmem.



Stoję na plaży w okropnej ulewie. Stróżki wody spływają mi po twarzy, formując się w potoki, które suną ku brodzie. Pochyłam głowę nieco w przód i na lewo, aby móc zobaczyć każdy ruch Reeda w moja stronę.

Łup, łup, łup... moje serce chce przyspieszyć rytm. Odgłosy skrzyżowanych mieczy dochodzące z oddali powoli giną w tle, ponieważ doskonale wiem, że śmiertelne zagrożenie znajduje się tuż przede mną. Palce mojej lewej dłoni drgają na długiej rękojeści sztyletu, prawa ręka zaciska się na rękojeści miecza.

Biorę głęboki wdech i już podczas wydechu Reed wykonuje ruch, natychmiast zmniejszając o połowę dzielący nas dystans. Napinam mięśnie na milisekundę, czekam, aż się zbliży, i rzucam się, biegnąc ile sił w jego kierunku. Przeskakuję nad zamaszystym ciosem miecza w jego prawej dłoni, stopą ląduję na jego ramieniu. Czuję świst powietrza spowodowany ciosem sztyletu w jego lewej dłoni. Ostrze mija mój policzek o milimetry; moja druga

stopa staje na jego ramieniu. Wystrzelam w powietrze, mocno wybijam się z nadzieją, że zwałę go z nóg. Rozkładałam karmazynowe skrzydła i bezpiecznie ląduję na piasku. Obracam się wokół własnej osi i ponownie stoję twarzą w twarz z przeciwnikiem.

Gapię się w ciemnozielone tęczęwki Reeda, mrużę oczy, gdy dostrzegam, że kąciaki jego ust zdradzają uśmiech. Nagle czuję, jak zerwane ramiączko mojego bezrękawnika opada mi z ramienia. Materiał koszulki zwisa niedbale, lecz nadal klei się do mojego mokrego ciała. Na taki widok jeszcze bardziej mrużę oczy i marszczę czoło. Przenoszę wzrok na twarz Reeda. Obie jego brwi unoszą się szybko, potem opadają spokojnie, czyniąc jego twarz całkowicie pozbawioną ekspresji.

Czekam pół sekundy i – jak na znak – przednia kieszeń jego koszulki oddziela się od reszty i leci na ziemię. Reed spogląda na nią, potem na mnie. Unoszę znacząco brwi, aby za chwilę pozwolić im opaść.

Antracytowe skrzydła Reeda złowrogo rozwijają się zza jego pleców, a grymas zaczyna gościć na jego wargach. W napięciu czekam na kolejny ruch w moim kierunku. Niemalże natychmiast Reed wystrzeliwuje w powietrze i niemal się dematerializuje. Obracam się dookoła, serce o mało co nie wyskoczy mi z piersi, kiedy próbuję go zlokalizować i – co ważniejsze – odgadnąć kierunek, z którego rzuci się na mnie. Pospiesznie przyciągam energię, wznosząc z niej transparentny mur jako tarczę, czuję się bezpieczna może przez milisekundę. Wtedy ciepłe ramiona owijają się wokół mojej talii. Krzyczę ze strachu, kiedy Reed wychodzi zza moich pleców i przyciąga mnie do swojej piersi. Trzyma mnie w objęciach i szczyrzy się do mnie, pokazując swój triumf, a po chwili całuje moje wargi.

– Jak przeszedłeś przez moją tarczę? – pytam, tracąc oddech. Czuję, jak serce zaczyna mi bić szybciej, gdy jego ręce wędrują coraz niżej.

– Byłem tu, zanim ty zaczęłaś ją budować. – Stuka palcami o otaczające nas niewidzialne pole siłowe. – Mimo to jestem pod wrażeniem.

Upuszczam swoją broń na piasek, delikatnie zarzucam ramiona na szyję Reeda, muskając jego ciemnobrązowe włosy przesiąknięte deszczem.

– Zamiast tego powinnam zbudować mur okalający ciebie – szepczę, ocierając wargami o jego brodę, policzki i usta; czuję posmak słonej wody na jego skórze.

– Nie byłoby lepszej strategii – potwierdza, a jego palce wędrują od mojej

talii w górę. – Ale i tę musiałbym pokonać.

– Mówisz to tak, jakbyś mógł pokonać moją magię – odpowiadam sarkastycznie, delikatnie całując jego wargi.

– Jakbym mógł... – zgadza się, pogłębiając nasz pocałunek.

Puk, puk, puk... Odgłos pukania dochodzi spoza otaczającej nas niewidzialnej bariery. Przestraszona spoglądam i widzę ociekającą wodą twarz – Zefir gapi się na nas z pełną dezaprobatą. Jego przerażające oczy stają się coraz węższe w miarę, jak moje policzki stają się czerwone.

– Zdaje się, że jeszcze nie pora obiadu. – Pokazując nam zegarek, przypomina Reedowi i mnie, że czeka nas jeszcze trening, zanim będziemy mogli spędzić ze sobą trochę czasu.

– Ojej, przepraszam – mamroczę, przyciągając do siebie energię, a tarcza wzniesiona wokół nas jakby topnieje i odchodzi w nicość.

– Zamieniamy się partnerami – mówi Zefir karcąco do Reeda, podczas gdy ja zbieram swoją broń leżącą na piasku. – Ty idziesz trenować z Russellem – rozkazuje Reedowi, a jego jasnobrażowe skrzydła rozkładają się pobudzone.

– Nie, Zee, ja będę trenował z Evie – odzywa się Russell, stając za nim; jego twarz ciemnieje.

– To nie zda egzaminu, bo ja chcę nauczyć was walczyć tak, jak robią to anioły – sprzecza się Zefir. – Chcę, żebyście przeanalizowali, czego oczekiwać po anielskim przeciwniku. Tego nie możesz nauczyć się od Evie.

– O rany, Zee. – Russell zerka na Zefira.

– Musimy podnieść umiejętności Evie do twojego poziomu, Russell – wyjaśnia Zefir. – Ona nie miała prawdziwego treningu w walce, kiedy była u Gankanagów.

– Oj, trochę trenowałam... – Milknę, widząc grymas na twarzy Zefira.

– Oni trenowali cię, abyś walczyła jak czarnoksiężnicy. Musimy pozbawić cię wszystkich złych nawyków, które w tobie wyrobili – odpowiada Zefir z wyższością. Unosi swój olbrzymi pałasz i spogląda na rękojęść, wskazując na mnie. – Ty nie potrafisz się skoncentrować, trenując ze swoim obecnym partnerem.

Zerkam na Reeda, który obdarza mnie zmysłowym uśmiechem. Na chwilę gubię swój tok myślowy, kiedy umysł zaczyna analizować sposób, w jaki Reed mnie całował przed kilkoma minutami. Chwilę później zostaję wytrącona

ze swojej sielanki przez Zefira.

– Słyszałaś, co powiedziałem?

– Tak... Złe nawyki czarnoksiężników? – pytam, widząc, jak jego brwi przyciągają się do siebie; najwyraźniej umknęło mi coś ważnego z jego wypowiedzi.

– Reed – mówi Zefir srogim tonem, a woda kapie z jego brązowych włosów.

Reed niechętnie robi krok w przód, obejmuje mnie i przyciska do swojej piersi.

– Będziemy mieć trochę czasu tylko dla siebie dziś wieczorem, kochanie – szepcze mi do ucha, a ja przytakuję.

Gdy tylko Reed podchodzi do Russella, każdy z nich zaczyna mierzyć drugiego wzrokiem. Oni tak naprawdę nigdy ze sobą nie trenowali. Nie rozmawiają ze sobą prawie wcale, ponieważ więź pomiędzy nimi, utworzona w czasie, gdy byłam uwięziona u Gankanagów, ciągle się rozluźnia. Brownie i Buns to zauważyły. Przedyskutowałyśmy to kilka razy, kiedy brałam u nich lekcje latania, wieczorami po obiedzie. Martwi mnie perspektywa, że ci dwaj będą razem. To jak prawdziwa walka o upragnioną nagrodę.

– Zee – mamroczę, obserwując, jak miecz Russella niebezpiecznie zbliża się do szyi Reeda. – Czy to dobry pomysł?

– Czas pokaże – odpowiada, zajmując pozycję na plaży, i zaczyna instruować mnie, jak używać pałasza, który trzyma w dłoni.

Mam olbrzymie trudności, aby się skupić na czymkolwiek, co do mnie mówi, bo moje oczy ciągle uciekają w stronę zacieklej walki pomiędzy Russellem i Reodem.

– To nie tak. – Biorę wdech przez zaciśnięte zęby, widząc, jak miecz Russella zostawia cienką linię na policzku Reeda. Wykonuję ruch w ich kierunku, lecz Zefir przytrzymuje mnie, chwytając za ramię.

– Evie, nawet nie myśl o dostaniu się w środek tej walki – ostrzega. – To się ciągnie już zbyt długo i pewne granice muszą zostać wytyczone.

– Jakie granice? – pytam odrętwiale, próbując uwolnić ramię z jego uścisku.

– Ciemne, wyraźne, groźne i bolesne – odpowiada. – Może lepiej by było, gdybyś teraz gdzieś sobie poszła, nie musisz na to patrzeć.

– Na co? O czym ty mówisz, Zee? – zadaję mu pytanie przesiąknięte strachem. Spoglądam na miecz Reeda, jak zadaje dużą ranę ciętą na górnej

części ramienia Russella; krew miesza się ze strugami deszczu.

– Reed! – krzyczę. Ramiona Zefira oplatają mnie, unoszą ponad ziemią tak, abym nie mogła tam pobiec. Reed całkowicie mnie ignoruje, jego mimika jest sztuczna, niezdradzająca tego, o czym teraz myśli.

Niemalże natychmiast Russell zaczyna się przemieniać, w miejsce jego jasnoczerwonych skrzydeł pojawiają się pomarańczowe i czarne paski dzikiego tygrysa. Skacze w kierunku Reeda, zębami próbuje dosięgnąć jego gardła. Reed robi unik przed ostrymi tygrysimi kłami, ale nie udaje mu się ochronić przed pazurami. Głęboko wbijają się w jego plecy, na których pojawiają się poszarpane rany wypełnione krwią. Milisekundę później Reed przemienia się w panterę, rzuca się na tygrysa i oba zwierzęta tarzają się wzdłuż brzegu.

– Oni nie mogą tego robić, Zee! – błagam, próbując zmusić go do tego, żeby mnie puścił, lecz on tylko kręci głową.

W mgnieniu oka podnosi mnie, zarzuca sobie na ramię i zabiera z dala od plaży. Biegnie przez obfitą zieleń swojej wyspy na Południowym Pacyfiku w kierunku rozległego domu na plantacji.

Przechodząc przez obszerną werandę, Zee woła Buns.

W mniej niż kilka sekund Buns się pojawia.

– Co jest, skarbie? – mówi to do mnie, przemoczonej i przerzuconej przez ramię Zee.

– Powiedz Zee, żeby mnie postawił! Muszę iść powstrzymać Russella i Reeda, zanim się pozabijają – wyjaśniam rozpaczliwie, nie widząc jej twarzy, bo nadal zwisam do góry nogami. Przez chwilkę dostrzegam jej miodowe włosy, kiedy odwraca się do Zefira.

– Och... Brownie! – woła głośno Buns. Opiera dłonie o biodra, a jej błękitne oczy robią się coraz węższe. – Nie mogli zrobić tego w ukryciu, Zee?

Brownie pojawia się natychmiast u boku Buns i bacznie nam się przygląda.

Zee wzrusza ramionami.

– To i tak musiało nadejść... On naprawdę jest teraz potężny, Reed wiedział, że do tego dojdzie.

– Reed wiedział, że do tego dojdzie? – pytam, robiąc się coraz bledsza.

– Zdawał sobie sprawę, że wcześniej czy później się ze sobą zetną – odpowiada Zefir.

– Ale to bez sensu, Zee! – krzyczę, nie mogąc opanować swoich obaw. – Reed nie musi o mnie walczyć!

– Powiedz to Russellowi, on jest takim samym samcem alfa jak Reed i pragnie ciebie tak samo jak Reed.

Wzdrygam się, czuję mdłości.

– Dobrze, postaw mnie, pójdę mu to powiedzieć – warczę.

– Nie. Ty musisz zostać tutaj, a ja pójdę i postaram się, żeby nie zrobili sobie krzywdy. Muszę mieć tylko pewność, że nie będziesz się w to mieszać.

– Dlaczego? – Zupełnie nie rozumiem, dlaczego nie mogę przerwać najgłupszego starcia w historii walk.

– Ponieważ ty tylko pogorszysz sytuację. Zaufaj mi, Evie – mówi to bez cienia wątpliwości.

– Dobra, Zee, postaw ją. Zaopiekuję się nią, gdy ty będziesz sędziował. Zrób tylko tak, żeby każdy z nich został w jednym kawałku. Obaj są nam potrzebni – oznajmia Buns.

Krew zaczyna odpływać mi z twarzy.

– Zgodzę się być sędzią, jeśli Evie obieca, że nie ruszy się stąd do momentu, aż to wszystko się skończy – mówi Zee.

– Skarbie, powiedz Zee, że zostaniesz z nami, a wtedy on będzie mógł pomóc – nalega Buns.

Wstrzymuję się, nie chcąc złożyć obietnicy, bo nie jestem przekonana, czy oni mnie nie posłuchają, jeśli do nich pójdę.

– Zatrzymując mnie tutaj, dłużej pozostawiasz ich sam na sam – zauważa Zee.

– Okay, obiecuję – jęczę.

Zefir stawia mnie na ziemi i znika, zanim udaje mi się odzyskać równowagę.

– Evie, jesteś całkowicie przemoknięta. – Brownie otacza mnie ramieniem.

– Co się stanie? – pytam ją, kiedy prowadzi mnie w górę olbrzymiej klatki schodowej, wyglądającej jak w powieści z czasów wojny secesyjnej. Buns podąża za nami, najwyraźniej trochę zmartwiona.

– Nie sądzę, żeby Zee pozwolił im posunąć się zbyt daleko – odpowiada Brownie. Idziemy do jej pokojów na drugim piętrze. Wprowadza mnie do swojej łazienki i odkręca prysznic.

– Jak daleko to nie jest zbyt daleko? – pytam, odmawiając kolejnych czynności do chwili uzyskania odpowiedzi.

– Zarówno Reed, jak i Russell są świadomi tego, że potrzebujemy ich w walce z Gankanagami. Prawdopodobnie próbują ustalić hierarchię... – Milknie, widząc, jak się czerwienię. – Obaj są mężczyznami i obaj mają anielskie DNA. To musiało się wydarzyć. – Sprawdza, czy woda jest już wystarczająco ciepła.

– Brownie, dlaczego wszystko jest tak skomplikowane? – Zamykam oczy i kryję twarz w dłoniach.

– Takie jest, bo jest – odpowiada. – Weź prysznic, przyniesiemy obiad tutaj.

Jemy w pełnym przepychu pokoju Brownie. Buns próbuje odciągnąć mnie od nieustannego patrzenia się na stary zegar z wahadłem, tykający co sekundę na gzymsie kominka. Godziny mijają, a my nie mamy żadnej informacji z plaży. Deszcz pada równomiernie, przynosząc ze sobą odgłosy grzmotów oraz doskonałe obrazy błyskawic.

– Nie schodzę na żadne lekcje latania w taką pogodę. A ty, Brownie? – pyta Buns, sącząc herbatę z filiżanki. Siedzi na szeszlengu przy kominku, a jej złote, podobne do motyli, anielskie skrzydła spoczywają wygodnie za nią.

– Nie... Zróbmy coś zabawnego. – Brownie spogląda na mnie ze swojego miejsca na łóżku, a jej miedziane, też podobne do motyli, skrzydła poruszają się z gracją.

– Na przykład co? – Przygaszona siedzę przy oknie. Rozkładam karmazynowe pióra swoich skrzydeł, usilnie próbując usłyszeć cokolwiek ze strony tych totalnych idiotów na plaży.

– Na dole w sali balowej jest stara szafa grająca. Chodźmy zobaczyć, co w niej jest. – Brownie wstaje i gładzi swoje perfekcyjnie ułożone platynowe włosy. Jej błękitne oczy się iskrzą.

Buns natychmiast przyłącza się do niej, wygląda na podekscytowaną.

– Skarbie, nauczyłyśmy się kilku niesamowitych kroków tanecznych, kiedy będąc w Londynie, próbowałyśmy pozbyć się aniołów Mocy z Dominium.

– Och! – wtrąca się Brownie. – No dalej, Evie! Musisz to zobaczyć!

Brownie chwyta mnie za nadgarstek i pociąga za sobą. Podobnie jak Buns jest anielicą Kosiarzem, lecz ma znacznie więcej siły niż człowiek.

– Okay – mamroczę, czując, jakbym miała coś jeszcze do zrobienia, zanim



zacznę nerwowo chodzić po ścianach, co tak naprawdę potrafię bez trudu.

Brownie prowadzi nas w stronę holu. Sala balowa znajduje się na tyłach domu. Wchodzimy do obszernego, zdobionego złotem pomieszczenia, Brownie przesuwa wyłącznik sterujący rzędami żyrandoli wiszących nad naszymi głowami. Przepiękne, bielone ściennie panele, drewniane, o złożonych fasetkach, znajdują się na ścianie przeciwległej do rzędu wielkich francuskich okien ciągnących się na całej długości pokoju. Podłogi z litego polerowanego drewna odbijają światło równie efektownie jak zdobiące ściany lustra w złożonych ramach. Sufity udekorowane sztukateriami, z malowidłami przedstawiającymi odpoczywające anioły, górują nad naszymi głowami. Buns obejmuje mnie i prowadzi na drugi koniec sali.

– Tu jest tak pięknie – wzdycham, podczas gdy ona dotyka sekretnego przycisku wbudowanego w tylną ścianę.

Ukryte drzwi otwierają się. Naszym oczom ukazuje się pokój wypełniony najdrogocenniejszymi przedmiotami, jakie kiedykolwiek widziałam. Stary fonograf stoi na antycznym stoliku obok nieco mniej antycznej szafy grającej.

Spoglądając nieco dalej w głąb pokoju, odkrywam suknie o przeróżnym kroju i stylu, wykonane setki lat temu. Większość z nich, owinięta w folie ochronne, wisi wzdłuż ścian.

– Ta sukienka by na tobie dobrze wyglądała, Evie. – Brownie wybiera srebrną sukienkę w stylu flapper, która wygląda jak wyjęta z szafy damy z szalonych lat dwudziestych. – Będzie doskonale pasować do twoich szarych oczu. Ile masz wzrostu? – pyta, ciągle trzymając sukienkę jak z filmu *Wielki Gatsby*.

– Mmm... Sto siedemdziesiąt dwa centymetry – odpowiadam nieobecna, nadal spoglądając na skrzynie ustawione wzdłuż ścian. Nagły pisk rozradowanej Buns odciąga mnie od pomysłu, żeby każdą z nich otworzyć.

Podchodzę do szafy grającej, zaglądam przez szklany front, widzę eklektyczny wybór muzyki: od klasycznej do absolutnie nieśmiertelnych złotych przebojów.

– Zee twierdzi, że tak naprawdę nie używał tego pokoju od lat sześćdziesiątych... Myślę, że to widać. Och! Zobacz! Jerry Lee Lewis *Great Balls of Fire* – piszczy. Podłącza szafę do prądu i obserwuje, jak maszyna rozbłyska światłem. Po naciśnięciu przycisku elektryczne ramię przenosi płytę i umieszcza ją na talerzu gramofonu. W rytm melodii piosenkarz wykrzykuje coś o nerwowym potrząsaniu i grzechoczącym mózgu.

– Sock hop[2]! – wyjaśnia Buns, chwytając mnie za rękę i ciągnąc na parkiet. Pokazuje mi tańce, których musiała nauczyć się w latach pięćdziesiątych.

Uśmiecham się, kiedy Brownie przyłącza się do nas z Elvisem Presleyem i The Big Bopper, tego drugiego w ogóle nie znam.

Po przetańczeniu godziny otwieram francuskie drzwi, aby chłodna bryza mogła wtargnąć do sali. Spoglądam na ciemne niebo, zamykam oczy i napełniam płuca wilgotnym tropikalnym powietrzem; deszcz ciągle pada. Słyszę, jak kolejna płyta opada na gramofon, zaciekawiona czekam, aby usłyszeć, co takiego teraz wybrała Buns. Dźwięki melodii, której nigdy przedtem nie słyszałam, zaczynają wypełniać pomieszczenie. W moim brzuchu czuję, jak motyle unoszą się do lotu. Wiem, że to Reed właśnie objął mnie w talii.

– Czy mogę dostąpić zaszczytu tańca z tobą? – prosi mnie tak seksownym tonem, że aż moje serce chce wyrwać się z piersi.

– No nie wiem... Jestem na ciebie zła. – Odwracam się i spoglądam na jego idealną twarz, którą teraz szpecą skaleczenie na policzku i rozcięta warga. Na widok jego ran zagryzam wargę i delikatnie dotykam jego policzka. Natychmiast zamyka oczy. Chwyta moje palce i prowadzi mnie na środek parkietu. Czuję jego delikatną dłoń spoczywającą na moim krzyżu. Reed pewnie prowadzi w tańcu.

Podążam za nim, zaskoczona łatwością, z jaką sunę z nim w takt łagodnej, rytmicznej muzyki, która unosi się dookoła nas. Bez wysiłku, jak we śnie.

– Jaki tytuł ma ten utwór? – pytam zniewolona uduchowioną, romantyczną melodią.

– *Pavane*. Skomponował ją Gabriel Faure[3] – odpowiada, patrząc mi prosto w oczy. – Przypomina mi ciebie... Piękną i zniewalającą, przepełnioną gracją i elegancją... Oraz odrobiną smutku i tęsknoty.

Czuję, jak oddycha obok mojego ucha, budząc we mnie całej dzikość pożądania. Jego męski policzek ociera się o mój, a każde włókno w moim ciele zaczyna drgać, dostrajając się do jego rytmu.

– Czy właśnie w taki sposób mnie widzisz, Reed? – pytam, ciągle podążając po całym parkiecie za jego eleganckimi ruchami.

– Ty masz tak wiele wspaniałych cech, Evie – odpowiada, jego oczy ciemnieją z pożądania, gdy podnosi głowę, aby na mnie spojrzeć. – Myślałem, że nie będę mógł cię bardziej kochać niż wtedy, kiedy byłaś delikatną, dzielną

dziewczyną, która dopiero zaczynała się przemieniać w anioła. Byłaś wtedy taka odważna, aż brakowało mi tchu – wyznaje, delikatnie kierując mną w hipnotycznym tańcu. – Ale wtedy zaczęłaś się zmieniać, a ewoluując, otrzymałaś moc. Moc, jakiej się nigdy nie spodziewałem. Siła i inteligencja, nieskazitelne piękno... – Uśmiecha się; jego oczy jakby dotykały każdego milimetra mojej twarzy. – Z tych wszystkich lat, które przeżyłem, czas spędzony z tobą jest najbardziej wyjątkowy... A ta chwila, nasz pierwszy taniec, nigdy go nie zapomnę, nawet gdyby przyszło mi żyć wiecznie.

– A ja nadal nie mogę uwierzyć, że ty jesteś prawdziwy – szepczę. Moja głowa spoczywa na jego ramieniu, słyszę w jego piersi mocne uderzenia serca. – Kocham cię.

– A ja ciebie – odpowiada wprost do mojego ucha w chwili, kiedy końcowe dźwięki utworu milkną powoli.

Unoszę głowę, zatrzymujemy się na środku sali, uśmiecham się, a bryza unosi moje włosy i przesuwa je na twarz. Kolejna płyta ląduje na talerzu gramofonu; moje oczy otwierają się szerzej, kiedy zaczyna napływać lepki zapach.

### *Rozdział 3*

## *Nicolas i Simone*

Sztywnieję ze strachu, wydaję z siebie warknięcie w reakcji na zapach Gankanagów, który dotarł do mnie z tropikalną bryzą. Antracytowe skrzydła Reeda wystrzeliwują zza jego pleców, rozrywając białą oksfordzką koszulę, kiedy staje przede mną, aby osłonić mnie od strony francuskich drzwi. Moje źrenice rozszerzają się na widok szarpanych ran na jego plecach. Ma przynajmniej dwa duże czarne sińce na żebrach, liczne uszkodzenia, a to jest tylko to, co mogę zauważyć, patrząc pod tym kątem.

– Evie – znajomy głos nawołuje mnie gdzieś z ciemności. – To ja. Nie panikuj...

– Molly? – Usiłuję obejść Reeda, lecz ten blokuje każdą moją próbę dojrzenia tego, co jest za francuskimi drzwiami.

– Rusz się i już jesteś martwa – warczy Zefir ukryty w mroku.

– Co ty nie powiesz, aniele – odburkuje Molly, a ja słyszę w jej głosie znajomy żartobliwy ton. – Mam kilka informacji, którymi podzielę się z przyjaciółką i już mnie nie ma. Fajną miejscówkę macie tutaj. Zapytałabym was, czy pokazywali ją w MTV Cribs, ale wątpię, czy znacie ten program[4].

– Molly – powtarzam i zamykam oczy, próbując uciszyć szalejące serce. – Jest okay, Zee. Ona nie zrobi nam krzywdy.

– Nie, Zee. Nie jest okay – mówi Reed, zachowując postawę obronną. – To jest ta przyjaciółka, która pomogła wywabić Evie z kryjówki w Chinach.

– Pamiętam cię – cedzi Zefir.

– To byłem ja, to prawda – potwierdza Molly, parodiując akcent charakterystyczny dla Gankanagów. – Ale można powiedzieć, że dobra passa się skończyła. Zdaje się, że odkąd Evie jest wolna, to ja stałam się ich graczem numer jeden i to ja mam pomóc im ją sprowadzić. Tylko że nie jestem niczym graczem numer jeden.

– Ona chce, żeby się nad nią litować, Reed – stwierdza Zefir z odrazą.

Molly syczy:

– Nie zmuszaj mnie, żebym cię dotknęła, aniołku, bo z przyjemnością pobawiłabym się tobą jako swoim niewolnikiem. – Brzmi tak, jakby miała zaraz spełnić swoją groźbę. – Evie jest moją przyjaciółką od drugiej klasy... Jediną rodziną, jaka mi została, i nie zamierzam pozwolić im przemienić jej w Gankanaga, jeśli sama nie będzie tego chciała. Więc albo pozwolisz mi z nią porozmawiać, albo będziesz musiał mnie bliżej poznać.

Słyszę niskie warknięcia Zefira i Buns.

– Zee! Proszę, nie rób jej krzywdy... Molly, nie strasz śmiertelnie niebezpiecznych aniołów... Ostudźcie wszyscy swoje emocje! – Rozkładam ramiona, daję znaki Buns, aby się wycofała, nie pokazując Molly, jak bardzo denerwuje się groźbami pod adresem jej ukochanego.

– Jeśli o nią chodzi, to ochłodzenie nie będzie dla niej problemem – odpowiada Zefir, kpiąc z Molly jako zimnego jak lód ożywieńca.

– Bardzo oryginalne. – Molly przewraca oczami. – Jestem zimna i śmierdząca. Słyszałam to już wcześniej, więc może zaktualizujesz swoją listę obelg.

– Reed, proszę, pozwól jej wejść. Muszę usłyszeć, co takiego ma mi do powiedzenia. – Czuję, jak z jej powodu przenika mnie smutek.

Brennus znalazł Molly, zanim ja uciekłam z Houghton. Nakazał swojemu bratu, Finnowi, aby ją przemienił. Finn ugryzł ją i dał jej napić się swojej krwi, zmieniając Molly w Gankanaga. Chcieli wykorzystać ją jako przynętę, aby zmusić mnie do powrotu do nich. Zakładali, że będę starała się pomóc przyjaciółce z dzieciństwa. Niestety, nie jestem w stanie nic dla niej zrobić. Ona jest teraz pragnącym krwi Gankanagiem o toksycznej skórze, której używa, aby kontrolować wolę swoich ofiar. Każdy, kogo dotknie, staje się jej niewolnikiem, każdy z wyjątkiem mnie i Russella. My jesteśmy odporni na dotyk Gankanagów. To jeden z powodów, dla których Brennus uważa mnie za tak pociągającą. Może mnie dotknąć, a ja nie stanę się niewolnicą, która wykona każdy jego rozkaz.

– Evie... – Reed kręci głową ze smutkiem. – Ona już nie jest twoją przyjaciółką.

Kładąc dłoń na jego ramieniu, udaje mi się przyciągnąć jego wzrok.

– Posłuchaj mnie. Molly zaoferowała się mnie ugryźć, aby przerwać kontrakt z Brennusem i uwolnić mnie zaraz po ataku Werree na mnie.

Obie jego dłonie wędrują na moje ramiona, kiedy prostuje się, patrząc mi prosto w oczy.

– Dlaczego nie pozwoliłaś jej na to? – Wydaje się spokojny, ale wiem, że wewnątrz zapłonął ogień na myśl o możliwości mojego wcześniejszego powrotu do niego.

– Ponieważ Brennus zabiłby ją, gdyby to zrobiła. Zapowiedział tortury i śmierć każdemu, kto by ugryzł mnie i tym samym uwolnił od magicznego kontraktu – odpowiadam.

– Ona jest teraz zła – oznajmia bez cienia wątpliwości.

– Zawsze była dla mnie jak siostra, a ja dla niej – odpowiadam, obserwując, jak jego brwi się marszczą. – Proszę, wysłuchaj jej.

Reed milknie, patrzy niechętnie.

– Molly... Wejdz, proszę – mówi, ale nie spuszcza ze mnie wzroku.

– Niezły odjazd. – Molly wkracza do sali balowej. – Fajna chata, Eves.

Jest cała przemoczona i zostawia za sobą mokry ślad. Zatrzymuje się, zachowując około dwumetrową odległość od każdego z nas. Buns i Brownie stoją dużo dalej od niej, podczas gdy Zefir podąża za Molly, celując z karabinka automatycznego.

– Dzięki. – Próbuję zbliżyć się do Molly, lecz silny uścisk Reeda nie pozwala mi ruszyć się o milimetr. – Reed – mruczę.

– Możesz wysłuchać jej z tego miejsca – odpowiada spokojnie.

– Co mu się stało? – Molly wskazuje na Reeda.

Odwracam wzrok i robię się blada, po raz pierwszy widząc jego pierś. Ma na niej ślad pazurów, ciągnący się od lewego ramienia aż do prawego biodra oraz wyraźny ślad tygrysiich zębów zatopionych w boku. Rany goją się, ale nadal wyglądają na bolesne.

Moje oczy dryfują w stronę jego zaczerwienionej twarzy, kiedy bełkotliwie się usprawiedliwia:

– Powinnaś zobaczyć jego.

– Dajcie spokój. Szczerze? Nie chcę nic wiedzieć o waszych pokręconych anielskich sprawach. – Molly macha ręką, jakby wymazywała kilka ostatnich zdań. – Jestem tu, aby powiadomić was o tym, że Brennusowi odbiło, i to bardzo. – Obserwuje mnie. – Finn dostarcza mi informacji, kiedy tylko może, ale

nie widziałam się z nim od kilku dni.

– Jak to? – pytam. – Nie jesteście już razem?

Kręcąc głową, wyjaśnia:

– Finn odesłał mnie z posiadłości, zanim otworzyłaś kompakt, który dostałaś od Casimira. Wiedział, że Upadli wezmą odwet, zwyciężą lub przegrają, i chciał mnie chronić. Wiedział też, że jeśli aniołom uda się ciebie odbić, to będę ugotowana. Finn zdawał sobie sprawę, że porwali Leifa, aby ten cię ugryzł i zerwał kontrakt. To stawiało mnie w niebezpiecznej sytuacji, ryzykowałam własne życie. – Molly mówi dalej: – Brennus nie zawahałby się mnie torturować na twoich oczach po to, byś zrobiła wszystko, czego zapragnie, ale ja nie zamierzam mu na to pozwolić.

– Przecież... Finn ciebie kocha! Brennus nie mógłby zrobić czegoś takiego swojemu bratu... – Milknę, widząc, jak kręci głową.

– On wpadł w obsesję po twoim uwolnieniu, Eves. Jest teraz niepoczytalny. Mam nadzieję, że nigdy cię nie dopadnie, ponieważ to byłoby... makabryczne. Nigdy przedtem nie był takim tyranem. Teraz zabije każdego, kto choć w najmniejszym stopniu przeciwstawi się jego woli. Dlatego też Finn i ja nie będziemy się widywać przez jakiś czas, aż to się wszystko skończy – mówi przepełniona bólem. – Więc teraz jestem sama... No, może niezupełnie. Finn powiedział, że mnie odnajdzie zaraz po tym, jak ten problem zostanie rozwiązany.

– Tak mi przykro. – Milknę, kiedy unosi dłoń.

– Nie mów, że jest ci przykro. Nie miałaś żadnych szans... Nie po tym, jak Alfred dał Brennusowi twój portret.

Wzdrygam się na myśl o portrecie przedstawiającym mnie jako Persefonę.

Russell był przeciwny, abym do niego pozowała. Powinnam była go posłuchać.

– Kiedy przypuszczą na nas atak? – Reed próbuje dowiedzieć się więcej.

– Nie wiem, ale wkrótce. Brennus jest niecierpliwy jak dwuletnie dziecko. Znam kilka szczegółów. Nie oczekuj, że obejdą się z tobą łagodnie, Eves. Zabawa się skończyła. Wszyscy jego ludzie wiedzą, że mogą cię ugryźć. Brennus uważa, że to pozwoli mu ciebie sobie podporządkować, ponieważ ma świadomość, jak potężna się stajesz. Musi sprawić, że będziesz dla niego mniejszym zagrożeniem.

– Ale to dla niego duże ryzyko... Ktoś taki jak Eion ma trudności z opanowaniem głodu zaraz po ugryzieniu... Byłby w stanie wyssać mnie zupełnie, zanim Brennus zdołałby go powstrzymać. – Z falą mdłości wspominam, jak się czułam po ostatnim ugryzieniu.

Narasta we mnie dręczący głód krwi i jeśli nie zaspokoję go, pijąc krew zwierzęcą, to wkrótce zacznę mieć potworne halucynacje. Ktokolwiek inny ugryziony przez Gankanaga nie czułby tego typu bólu, będąc pod narkotycznym wpływem jego skóry. Tylko mnie i Russella to dopada niemal natychmiast.

– Obawiam się, że to ryzyko, które zdecydował się podjąć. Ostrzegł ich, aby nie dzielili się z tobą swoją krwią. On chce mieć ciebie jako swoją sclábhaí, niewolnicę. Nikt inny nie będzie twoim máistir, panem, tylko on – tłumaczy Molly, cała drżąc. – Już nie ma jasnej wizji. Waha się, czy zabić cię powoli, odmawiając ci przemiany, w czasie kiedy ty stopniowo będziesz umierać, czy jednak czekać do ostatniej możliwej chwili, kiedy będzie mógł cię przemienić, i patrzeć, jak błagasz o to i wyznajesz mu miłość.

Drętwieję ze strachu, gdy słyszę o planach, jakie ma Brennus. Jeśli jeden z jego ludzi ugryzie mnie i nie przemieni, to będę znosić okropny ból, prosząc o rychłą śmierć... lecz ta nie nadejdzie. Będę strasznie cierpieć, jeśli nie ubłagam Brennusa, aby to zakończył... aby podzielił się ze mną swoją krwią. On może mi odmówić w takim momencie i po prostu zostawić w cierpieniach na całą wieczność.

Jak długo będę musiała znosić ten rodzaj bólu? Zastanawiam się nad tym, czując, jak wszystko zbliża się do końca. Moja nadzieja na bycie razem z Reedem teraz zdaje się taka nikła i naiwna.

– Opowiedz, jaką bronią i iloma ludźmi dysponują, w jaki sposób zaatakują? – dopytuje Reed, jego twarz blednie. Wyraźnie przełączył się na tryb wojenny.

– Mają problemy... – Molly milknie, a ja widzę, jakie to dla niej trudne. Jest wewnątrz rozdartą. Informacje, które nam przekaże, mogą bezpośrednio zaszkodzić Finnowi. – Wasza anielska armia sieje spustoszenie wśród sił Gankanagów. Oni czynnie polują na nas... Oni i ich kolesie, Upadli.

– To Brennus zrobił z was cele dla nich – mówi Zefir.

– Tak myślisz? – pyta z sarkazmem. – No i dobrze... Nabrałam smaku na anioły Upadłe. Są tego świadomi, przecież mają moją duszę.

– Brennus ma trudności ze zmobilizowaniem swoich wojsk. Manewrowanie nimi tak, aby nie zostały wykryte, jest trudne, nawet jeśli się ma pieniądze.



– Uderzenie z chirurgiczną precyzją da się łatwiej i szybciej przeprowadzić. Atak i odwrót – dodaje Reed.

– Albo ugryzienie i odwrót – odpowiada Molly. – Lecz ja nie liczyłabym na to, że Evie jest jego jedynym celem. On pragnie zemsty. Chce krwi i zadośćuczynienia. Zabraliście coś, co należy do niego, i nikomu na tym świecie nie ujdzie to płazem.

– O czym ty mówisz? – Czuję narastające nudności.

– Mówię, że w tym przypadku nie możesz stać się męczennicą, Eves. Nawet nie myśl o tym, że do niego pójdziesz. – Molly potrafi wszystko wyczytać z mojej twarzy. – Nie możesz wymienić siebie za nich ani za mnie. Te czasy się skończyły. Tylko jego koniec może zapewnić bezpieczeństwo twoim przyjaciółom. Nawet jeśli uczyni cię swoją królową, co stoi pod wielkim znakiem zapytania, to i tak oni wszyscy zginą.

– To wariat – kpi Zefir, bagatelizując zagrożenie ze strony Gankanagów.

– Dopiero teraz to do ciebie dotarło? – Molly spogląda na swoje paznokcie.

– Wyśle tu swoich ludzi czy przybędzie osobiście? Czy mamy zacząć go tropić? – pyta cicho Russell, stojąc w wejściu do sali balowej.

Przeraża mnie sposób, w jaki niepostrzeżenie wszedł. Zerkam na niego i aż opada mi szczeka. Jego twarz jest cała opuchnięta i posiniaczona po walce z Reedem; jedno oko ma całkowicie zamknięte.

– Russell... – Jego imię wyrywa się z moich ust, coś ściska mój żołądek. On jednak ignoruje mnie, patrząc na Molly.

– Nie wiem. Może powinniście zebrać więcej ludzi... Chyba że to nie jest wasze stanowisko obrony. – Odchyła głowę, jakby oceniała nas wszystkich. – Nie wydaje mi się, żebyście planowali być tutaj, kiedy wykona pierwszy ruch.

– Ile masz lat? – pyta podejrzliwie Zefir.

– Dziewiętnaście i pół, ale miałam dorastających braci, którzy grali w każdą znaną nam grę wojenną – odpowiada Molly. – W pewnym sensie przeraziło mnie to, jak blisko pozwoliliście mi do was podejść. Myślałam, że to poziom dla amatorów, a nad wami zawieszono wielki neon z napisem: „Potencjalne ofiary tutaj”. Ale wy chyba nie jesteście lamerami, co?

– Zapewniam cię, skarbie, że poziom lamerstwa tutaj jest równy zeru – odpowiada Buns, nie kryjąc kpiącego uśmiechu.

– Świetnie, więc wyświadcz mi olbrzymią przysługę i zabij go dla mnie.

Brennus musi zginąć, inaczej ja i Finn nie będziemy mogli być razem – wyjawia prawdziwy, wyrachowany powód swojej wizyty. – Nie sądzę, byśmy się szybko ponownie spotkały, Eves – mówi to powoli, wycofując się w stronę drzwi.

– Molly, poczekaj! – Moje serce zamiera w piersi, gdy próbuję uwolnić się z uścisku Reeda. – Nie zapomnij o mnie i ja też o tobie nie zapomnę. Pamiętasz, jak razem wychodziłyśmy przez okno w łazience na dach, aby przegadać całą noc i gapić się w gwiazdy? Nieważne, ile lat minie, zawsze będziemy pod tymi samymi gwiazdami.

– Nie zapomnę – mówi łagodnie. – Może pomyślisz o mnie nawet teraz, w tym deszczu. *Drogę odnajdź przez bezdroża, Eves.*

– *Z wiatrem w plecy śmiało goń, Mols.* – Łzy płyną z moich oczu.

Molly odwraca się od nas, idzie w stronę drzwi, podejrzliwie obserwując Zefira, który ciągle celuje do niej z broni. W chwili, kiedy dochodzi do krawędzi ciemności, odwraca się i ucieka z domu.

– Ona jest częścią planu Brennusa – mówi Russell, ciągle stojąc w wejściu do sali. – Może powinniśmy się nią zająć?

– Nikt jej nie tknie – oznajmiam szorstko. – Ona pragnie śmierci Brennusa, nic im nie powie.

– Może uprzedzić swojego chłopaka, żeby tu nie przychodził, wiedząc, że chcemy, aby tu przybyli. Istnieje zagrożenie, że jeśli Finn nie przybędzie, to może nakłonić do tego samego swojego brata – odpowiada, wskazując słabe punkty w naszym planie. – Oni tylko wyślą swoich ludzi.

– Mam to gdzieś – ucinam. Nie pozwolę skrzywdzić Molly. – Tak czy inaczej, życzę wam powodzenia w poszukiwaniu jej. Teraz może być równie dobrze za siódmą górą i za siódmą rzeką – blefuję. – Piękno naszego planu jest oparte na tym, że do jego wykonania potrzebna jest obecność tutaj tylko jednej osoby... i tą osobą jestem ja, bo to na mnie im najbardziej zależy. Wy powinniście już stąd odejść, a ja wykonam ten plan i ucieknę przez portal. – Dotykam medalionu w kształcie księżyca wiszącego na mojej szyi, upewniam się, czy nadal tam jest.

Każdy obecny w sali spogląda na mnie z dezaprobatą.

– Słyszałaś, co mówiła Molly? – Reed nadal trzyma dłonie na moich ramionach, które teraz zaczynają drżeć, w miarę jak opuszcza mnie odrętwienie. – Powiedziała, że nie możesz się poświęcić za żadnego z nas. Oni pragną zemsty. Będą na nas polować, dopóki wszystkich nie zabijemy.

– Słyszałam... A więc muszę ich wszystkich zabić – odpowiadam, patrząc mu prosto w oczy. – Nie pozwolę skrzywdzić swoich najbliższych.

– Wróciła! – Zefir szczerzy się, spoglądając na mnie z dumą. – Witaj w domu, Evie!

– Skarbie! – wykrzykuje uradowana Buns. Razem z Brownie podbiegają i tulą mnie bardzo mocno, a przez to zmuszają Reeda, aby mnie puścić. – Myślałyśmy, że skradli nam część ciebie, ale teraz mamy cię z powrotem!

– Buns, ja uczę się na swoich błędach. – Pozwalam im się przytulić, zerkając ponad ich głowami na Reeda. Ciekawi mnie, czy czuje mój wewnętrzny ból. – Nigdy nie będziecie bezpieczni, jeśli choć jeden z nich pozostanie żywy, dlatego musimy z nimi skończyć – kontynuuję.

Ból przepelnia moje serce, jakbym przed chwilą straciła coś, co kocham. Gdzieś głęboko wewnątrz mojego ciała są potłuczone kawałki mnie, które już nie pasują do reszty. Czuję się zdradzona przez nich... przez Brennusa. Mówił, że mnie kocha, ale jego wersja miłości nie jest moją wersją.

– Nikt od ciebie nie oczekuje, że to zrobisz, Evie. Ja to zrobię, to moja misja – deklaruje Reed.

– Nie, ten zimny jak głaz dziwoląg jest mój – sprzeciwia się Russell groźnym głosem, wchodząc do pokoju. W chwili gdy światło z żyrandola pada na jego twarz, wzdrygam się, widząc złamany nos.

Zefir zbliża się do Russella.

– Stój nieruchomo! – rozkazuje. Przystawia kciuki do obu stron nosa Russella i prostuje go z głośnym trzaskiem.

– Dzięki. – Russell nawet nie drgnie.

– Ja jestem jej *aspire* – mówi cicho Reed, stając twarzą w twarz z Russellem.

– Dobrze, a ja jestem jej bratnią duszą – odpowiada Russell. – Brennus będzie cierpiał za to, że próbuje poniżyć moją dziewczynę.

– A poniżenie go w zamian jest moim prawem. Czy nie ustaliliśmy już, że ona nie jest twoją dziewczyną? – pyta Reed, ściągając brwi.

– Może być twoją anielicą, ale zawsze będzie moją dziewczyną – odpowiada Russell, krzyżując ramiona na piersi.

– Dokonała już wyboru i czas, żebyś to zaczął akceptować – ripostuje Reed chłodnym tonem, jego palce wędrują w dół i delikatnie chwytają moją dłoń.

– Ktoś zawsze próbuje wejść między nas, ale to tylko chwilowe. Zawsze kończymy razem, wcześniej czy później – odpowiada Russell pewnie, aż na mojej twarzy pojawia się grymas.

Widzę, jak brwi Reeda łączą się w jedną linię, jakby były zszyte razem; spoglądam na Russa.

– Mogę z tobą porozmawiać? – Nie czekając na odpowiedź, puszczam dłoń Reeda i podchodzę do Russella, próbuję pociągnąć go w stronę drzwi.

– Pewnie – odpowiada. – Możemy porozmawiać w mojej willi.

– Na razie powinniśmy zostać w dużym domu. – Zatrzymuje nas Zefir. – Rano możecie skompletować swój ekwipunek i przenieść go tutaj. Sądzę, że już czas zorganizować tu naszą kwaterę główną. Nikt nie porusza się sam.

– W porządku, Ruda, zgodzisz się towarzyszyć mi w drodze do kuchni po jedzenie? Umieram z głodu. – Bierze mnie pod rękę, jakby nic niezwykłego się nie zdarzyło.

Marszczę brwi, pokazując mu w ten sposób, jak bardzo irytuje mnie jego zachowanie.

– Fajnie – odpowiadam, a później mrużę oczy, spoglądając na Reeda. – Nie myśl sobie, że ci się upiekło, Reed. Pogadamy później.

Wygląda na zaskoczonego moim nerwowym głosem aż do momentu, gdy widzi, że wychodzę razem z Russellem.

– Evie... – mówi. Zaczyna wyglądać bardzo groźnie. – Jasne, pogadamy później – zgadza się.

Idę za Russellem do kuchni. Przechodzimy przez wejście w kształcie łuku, które wygląda jak z czasopisma dla projektantów wnętrz. Ta olbrzymia przestrzeń jest oświetlona płomieniami w marmurowym kominku; światło odbija się w szybach drzwi prowadzących na kamienny taras, służący jako zewnętrzna jadalnia. Drzwi są teraz zamknięte, aby chronić nas przed ulewnym deszczem. Russell puszcza mnie, włącza światła, które wiszą bezpośrednio nad kuchenną wyspą z kamiennym blatem. Podchodzę do lodówki z nierdzewnej stali, przeszukuję jej wnętrze i sprawdzam zawartość.

– Zostało jeszcze trochę smażonego kurczaka – mówię do niego przez ramię. – Albo te rzeczy z wczorajszego grilla.

– Tak. – Russell przyłącza się do moich poszukiwań; wyciąga zarówno kurczaka, jak i wieprzowinę. – Czy zostało może jeszcze tych muffinów? –

Ładuje na swoje ramiona jedzenie i transportuje je na barowe krzesła przy wyspie.

– Muszę sprawdzić. – Otwieram pojemnik, gdzie Hati, szef kuchni, trzyma świeżo pieczony chleb. – Z żurawiną czy mandarynkami?

– Mhm – potwierdza.

Przewracam oczami i wyciągam kilka muffinów z puszki. Przynoszę mu i kładę na serwetce.

Nalewam sobie szklankę soku pomarańczowego, siadam na krześle obok Russella i bawiąc się naczyniem w dłoni, obserwuję, jak on je.

– Nie martw się, Ruda – mówi, gdy spoglądam na jego twarz. – Za kilka godzin powinienem znów być piękny.

– Nigdy nie byłeś ładny, więc nie liczyłabym na to. Nie tym się martwię, Russell. – Wzdycham, nie unosząc wzroku znad szklanki. – Martwi mnie to, dlaczego ty i Reed walczyacie ze sobą.

– Tak tylko sprawdzamy formę.

Marszczę czoło.

– Wolno spytać, o co wam chodzi?

– Reed jest uosobieniem siły i zręczności. Muszę wiedzieć, gdzie ja znajduję się na tej skali – mówi cicho, biorąc kolejny kęs kurczaka.

– Dlaczego więc nie walczysz z Zee? – Wiem, że w tej bójce chodzi o coś więcej, niż chce mi powiedzieć.

– Reed jest najlepszym wojownikiem, nawet Zee to przyznaje, a to wiele mówi – odpowiada niechętnie Russell.

– I na którym miejscu skali się znajdujesz?

– U szczytu – odpowiada z lekkim uśmiechem.

– Jakiego szczytu, Russell? – naciskam.

– Tego, na którym muszę być.

– Jeśli walczysz z mojego powodu, to przestań – proszę cicho.

– Nie mogę przestać, kiedy chodzi o ciebie – odpowiada z uporem i zaciska szczęki. – To moja wieczna wada.

– Nie możesz walczyć o mnie. – Znów spoglądam na swoją szklankę.

– To nie jest do końca prawdą – odpowiada przed kolejnym kęsem muffina. –

Normalnie miałybyś rację co do tej twojej więzi z Reedem, nie byłoby szans... Ale tutaj mamy szczególne okoliczności. Reed niezupełnie przestrzegał wszystkich zasad, kiedy wiązał swoje życie z twoim...

– O czym ty mówisz? – pytam z napięciem.

Russell kończy przeżuwać, dopiero potem wyjaśnia:

– Po pierwsze, działałaś pod przymusem, kiedy wiązałaś z nim swoje życie...

– Nie działałam pod przymusem. Dokładnie wiedziałam, co robię – obalam jego argument. – Nigdy bym tego nie zrobiła, gdybym nie chciała być razem z Reedem na wieki.

– Ruda, przecież ty masz dziewiętnaście lat – mówi to, jakby mnie w ogóle nie słuchał. – Nie masz pojęcia, ile czasu mu obiecałaś.

– A może ty masz? Ty masz zaledwie dwadzieścia lat.

Powolny, pełen żalu uśmiech zaczyna gościć na jego wargach.

– Ja mam tysiące lat, ponieważ w przeciwieństwie do ciebie pamiętam każde poprzednie życie, które miałem tu na ziemi, i większość tych chwil, które spędziłem z tobą... lub marzyłem o tobie...

– Więc powinieneś wystarczająco dobrze mnie znać, żeby wiedzieć, że nie obiecałabym Reedowi niczego, gdybym nie zamierzała dotrzymać każdego słowa. – Wstaję z krzesła, zanoszę szklankę do zlewu i ją opłukuję. Zamykam oczy, stojąc plecami do Russella, i kontynuuję: – O cokolwiek walczyacie, to nie ma sensu.

– Po drugie... – Russell wyraźnie jest zraniony i zły. – Nigdy nie pytałaś mnie o pozwolenie, żeby się z nim związać.

Nieruchomieję na chwilę.

– Co takiego? – Odstawiam szklankę, odwracam twarz w jego kierunku i czuję, jak moje serce zaczyna bić coraz szybciej.

– Powinnaś pytać mnie o zdanie, jeśli chcesz się z kimś związać. Jestem twoją bratnią duszą. Mam prawo się sprzeciwić twoim planom – mówi rozgoryczony.

– Skąd ty wiesz o tym wszystkim? – Czuję, jak mój puls przyspiesza.

– Zee i Buns mi powiedzieli – przyznaje.

– Kiedy?

– Zanim wyszedłem – wyjaśnia. – Musieli mi powiedzieć o tym, co zrobiłaś,

ponieważ ty byłaś z Brennusem i innymi wampirami... Reed nie mógł się pozbierać. Jak więc myślisz, w jaki sposób się o tym dowiedziałem? – pyta oskarżająco. – Powinnaś mi powiedzieć.

– Nigdy nie chciałam, żebyś dowiedział się o tym od innych – mówię, nie odpowiadając na jego pytanie. – Ale niby kiedy miałam ci to powiedzieć? Przez telefon?

– Może to i lepiej, że Zee powiedział mi o tym zamiast ciebie. Nie przyjąłem tego zbyt dobrze. – Wstaje i odnosi talerz do zlewu. Przesuwam się wokół wyspy z dala od niego, czuję dziwny smutek.

– Russell, nie wy dostałabym się z zamku Dominion bez pomocy Reeda. Kiedy tam się udałam, narobiłam sobie wielu wrogów. Na pewno znaleźliby sposób, żeby mnie zabić – próbuję wyjaśnić.

– Taak, ja wiem. Co nieco do mnie dotarło: twoje życie było zagrożone i to o taki przymus chodzi – wyjaśnia.

– Znam znaczenie słowa „przymus”. Próbuję ci wyjaśnić, że to może dlatego nikt nie poinformował mnie, że powinnam poprosić cię o pozwolenie – odpowiadam poirytowana.

– Nie, Zee stwierdził, że oni mnie nie prosili, bo obawiali się, że odmówię.

– Co? – pytam, upewniając się, czy dobrze usłyszałam.

– Tak, on powiedział, że razem z Buns wstrzymali oddech, ponieważ bez mojego pozwolenia to nie powinno zadziałać.

– Ale zadziało – odpowiadam automatycznie, dotykając koszuli w miejscu, gdzie znak skrzydeł Reeda leży powyżej mojego serca. Znak, który wygląda jak obraz jego skrzydeł, pojawił się na mojej skórze po tym, jak złożyliśmy sobie przysięgę, aby połączyć się na wieczność.

– Tak – mówi cicho Russell. – Ale to może nie być nieodwracalne. Nadal mam przynajmniej takie same prawa do ciebie.

– A gdzie ja jestem w tym wszystkim? – Obserwuję go, jak opłukuje swoje naczynie i wkłada do zmywarki. – Czy nie sądzisz, że powinieneś zapytać mnie, czego pragnę?

– Mówię tylko, że ty nadal masz czas, by się zastanowić, Ruda.

– Nie potrzebuję czasu na zastanowienie. Ja go kocham. – Moje gardło się zaciska. Walczę, aby powstrzymać emocje, ponieważ ta rozmowa z Russellem mnie dobija. Za żadne skarby nie chcę go ranić. Kocham Russella. Kocham go i

jestem pewna, że nigdy nie znajdę lepszej duszy od niego, ale musi wiedzieć, że Reed jest moim aniołem, moim *aspire*. – Czy ty... Czy kiedykolwiek zastanawiałaś się, dlaczego tu jesteśmy?

Ogarnia go pusty śmiech.

– Cały czas się zastanawiam. – Opiera się o blat, z ramionami skrzyżowanymi na piersi. – A co? Reed powiedział ci o swojej teorii?

– Reed ma teorię na to, dlaczego tu jesteśmy? – odpieram zmieszana. – Co powiedział?

– Nie mówił ci o tym? – pyta wyraźnie zaskoczony.

Kręcę głową.

– Co... o co chodzi? – pytam spokojnie, choć nie wiem, czy jestem gotowa usłyszeć tę teorię.

– Kiedy przybył po mnie... po tym, jak udałem się do domu... mógł co nieco mi powiedzieć o powodach, dla których ty wybrałaś tę misję... aby być pierwszym półkrwi aniołem z duszą.

– On myśli, że ja tak wybrałam? – Mój niepokój rośnie, ponieważ Reed nigdy mi o tym nawet nie wspominał.

– Zapytał mnie, co takiego zrobiłem, że ty zaakceptowałaś misję taką jak ta... Taką, na którą niewiele dusz zgłosiłoby się na ochotnika, gdyż jest tak wiele sposobów, by doprowadzić do strącenia duszy do Szeolu – odpowiada.

Drzę. Zamykam oczy, zasłaniam twarz dłonią.

– Och, to jakiś koszmar – mruczę półgłosem. – Jestem pewna, że to nie z twojego powodu.

– Jednak coś mi powiedział i nie mogę o tym zapomnieć. Zapytał, w jaki sposób mógł stanąć pomiędzy dwiema bratnimi duszami. Wyglądało to tak, jakby to mu nie dawało spokoju... – ciągnie Russell, obserwując moją reakcję.

– Teraz jestem po części aniołem – wyjaśniam. – Może gdybym nadal była całkowicie człowiekiem, wszystko potoczyłoby się inaczej.

– Ale to ciągle nie wyjaśnia, dlaczego podjęłaś się tej misji.

– Chciałabym wiedzieć, Russell, lecz tak jak ty błądzę w ciemności – przyznaję.

– Ja po prostu... Gdybym ci coś zrobił... Coś, co zmusiłoby cię do ucieczki... Przepraszam – mówi głosem pełnym napięcia.



– Przestań. My tak naprawdę nie wiemy, co się stało. Jestem pewna, że to nie ty, to nie mogłeś być ty. – Czuję się okropnie.

– Nie pamiętam nic z Raju. Pamiętam życie przedtem.

– Pamiętasz? – pytam, obserwując, jak światło błyskawicy oświetla jego twarz. Zaczyna wyglądać troszkę lepiej, nie jest tak opuchnięty jak wcześniej.

– Mhm, to było w pewnym sensie tragiczne. Byliśmy Francuzami. – Uśmiecha się.

– Och tak? – Ja też uśmiecham się na tę jego uwagę. – Nie mów mi, że razem trafiliśmy na gilotynę – dodaję rozbawiona.

– Nie. Nie jestem pewien, co stało się z tobą. Ja byłem żołnierzem. Przysięgam, w większości swoich poprzednich wcieleń walczyłem – wspomina ze smutnym wyrazem twarzy. – Byłem młody, miałem dwadzieścia jeden lat, a w Europie wybuchła pierwsza wojna światowa. To było lato tysiąc dziewięćset czternastego roku. Zakochałem się w tobie w momencie, kiedy pierwszy raz cię ujrzałem. Byłaś kilka lat młodsza ode mnie. Twój brat, Michelle, przedstawił nas sobie, kiedy rok wcześniej przyjechałem razem z nim na wakacje z uniwersytetu – mówi, a wzbudzony wspomnieniami uśmiech zaczyna rozświetlać jego twarz. – Pierwszy raz, kiedy cię zobaczyłem, siedziałaś w salonie w swoim domu, grałaś na fortepianie dla swoich tłumnie zgromadzonych adoratorów. Byłaś okropna, najgorsze wykonanie Bacha, jakie kiedykolwiek słyszałem. – Uśmiecha się, a kąciki jego brązowych oczu lekko drżą.

– Miło wiedzieć, że nic się nie zmieniło – odpowiadam złośliwie.

– Nie, nic się nie zmieniło, bo to wszystko było udawane. – Uśmiecha się, kręcąc głową. – Mogłaś grać bezbłędnie. Kiedy wszyscy wyszli, zaczęłaś grać, jakbyś sama napisała ten kawałek.

– To takie do mnie podobne. – Uśmiecham się. – Czy powiedziałaś mi wtedy, że powinnam dołączyć do orkiestry? – pytam, wiedząc, jakim może być cwaniakiem.

– Stojąc w wejściu do salonu, zapytałem, jak udało ci się zaczarować powietrze wokół siebie zaledwie lekkim dotykiem palców. – Kolejna błyskawica oświetla połowę jego twarzy. – Ale mówiąc szczerze, to nie była tylko muzyka... To na twój widok zaparło mi dech w piersi.

– A więc co się stało? – pytam, nie mogąc się opanować.

– Więc kiedy wróciłem do szkoły, moje życie było czekaniem na listy

od ciebie – przyznaje, zerkając na mnie, a dotyk zawstydzenia barwi jego policzki. – Poślubiłem cię wiosną tysiąc dziewięćset czternastego roku. To było mniejsze wesele od tego, jakie powinnaś mieć... Byłaś córką najbardziej prominentnego prawnika w mieście – kontynuuje. – Ale wtedy wszystko było bardzo trudno zdobyć.

– Jak się nazywałaś? – Próbuję wyobrazić sobie życie, które mi opisuje.

– Nicolas... Pierpont, a ty Simone... Vassar – wypowiada te nazwiska, jakby był prawdziwym Francuzem. – Ty byłaś... O Boże, nawet nie potrafię ciebie opisać, bo nie znajduję słów, które określiłyby twój rodzaj urody. Myślę, że po prostu powinnaś spojrzeć w lustro. Byłaś troszeczkę inna... Niższa, włosy koloru czekolady, oczy ciemne, ale teraz wyglądasz bardzo podobnie, ta sama twarz.

– Simone – powtarzam szeptem to imię, zamykam oczy i sprawdzam, czy potrafię przypomnieć sobie, kiedy nią byłam.

– Nie dane nam było spędzić dużo czasu razem, zanim musiałem cię opuścić – mówi, a pełne bólu spojrzenie upewnia mnie, że on to wszystko teraz widzi.

– Czy ty zginąłeś na tej wojnie? – pytam, kiedy nie kontynuuje opowieści.

– Tak... Ostatnia rzecz, jaką pamiętam, to jak byłem w okopie blisko belgijskiej granicy. Obrywało nam się od tych... Niemców. – Obserwuje moją twarz, widzi moje zmieszanie. – Byliśmy tam przez wiele tygodni. Masakra. Ludzie umierali wokół nas od strzałów, ale sanitariusze mieli trudności, by dotrzeć do naszej placówki na froncie. Miałem ze sobą twoje zdjęcie... Było umazane błotem. Trzymałem je w dłoni, kiedy pojawiły się nad nami chmury... – Milknie.

– Chmury? – pytam niepewnie.

– Jakiś rodzaj gazu. Chyba chlor... Pierwsze, co poczułem, to zapach basenu, ale chwilę potem... – Kręci głową, przeczesując włosy dłonią, tak jak to zawsze robi, kiedy jest zdenerwowany. – Następna rzecz, jaką pamiętam po tym, co się stało, to uczucie wściekłości na moją młodszą siostrę Scarlett, że porzuciła moje zielone plastikowe żołnierzyki, które wcześniej ustawiłem w ogrodzie za domem. Miałem około sześciu lat już w tym życiu. – Spogląda na mnie po drugiej dzielącej nas stronie wyspy kuchennej. – A więc kiedy zapytałaś mnie wcześniej o powód, dla którego myślę, że tu jestem... Wiem, że tym powodem jesteś ty, bo to zawsze byłaś ty.

Słyszę, jak deszcz delikatnie uderza o taflę szkła. Widzę, jak wielki ból

sprawiam Russellowi tym, że kocham Reeda.

– Russell... Nie jestem pewna, dlaczego my tu jesteśmy, ale jedną rzecz wiem na pewno: nikt, kto jest blisko mnie, nie jest bezpieczny.

– Myślisz, że ja się tym przejmuję? – pyta ze spokojem. – Umarłem już tyle razy i na wiele różnych sposobów, ale sądzę, że można mnie zniszczyć tylko w jeden sposób, więc zamierzam walczyć o ciebie, ponieważ ty, Ruda, jesteś wszystkim, co mam.

– Russell... – Wybucham płaczem, skrywając swoją twarz w dłoniach. – Ty nie rozumiesz. Walczysz o bombę zegarową! A ja wybuchnę ci prosto w twarz! To będzie gorsze niż chlor. To będzie piekło.

Russell szybko okrąży wyspę, obejmuje mnie i przytula do siebie.

– Cii... Ach, no weź... nie płacz – szepcze i całuje mnie w czubek głowy.

– Przepraszam – odpowiadam mu szeptem. – Nie wiem, co wydarzyło się między nami, ale teraz wszystko jest inaczej. Czy tego nie czujesz? To, że byłam dla ciebie tą jedyną przez wieki, nie oznacza, że sytuacja nie może się zmienić. Spójrz na nas... Już nie jesteśmy tacy sami. Mamy skrzydła, potrafimy latać, wywołać ogień lub deszcz... – Milknę, pociągając nosem.

– I możemy wiecznie kochać – dodaje, nachylając się w moim kierunku, jakby chciał mnie pocałować.

Odsuwam się.

– Chcesz wiedzieć, dlaczego ja tu jestem? – Nie czekając na odpowiedź, ciągnę dalej: – To wszystko musi być z powodu Reeda. Już teraz wiem, że ja zaryzykowałabym wszystko, aby być przy nim. Więc przestań walczyć o mnie, proszę.

Pozwalam, żeby jego dłonie opadły, widzę tragiczny grymas jego ust, gdy jego brązowe oczy badają moją twarz. Nie patrząc na mnie, odwraca się i powoli udaje w kierunku drzwi kuchennych.

Zatrzymuje się na progu i stojąc do mnie tyłem, mówi:

– Wieczność trwa bardzo długo, Ruda. Powinnaś być całkowicie pewna, że podejmujesz właściwą decyzję, zanim mnie odtrącis.

Kiedy Russell opuszcza pokój, czuję, że coś we mnie powraca i pcha mnie, aby za nim pójść, aby błagać go, by ze mną został, by mnie kochał. To moja dusza przypomina mi, że nadal go kocham, nawet jeśli nie pamiętam odgłosów czasu, który razem dzieliliśmy.

## *Rozdział 4*

### *Gruchot*

Obserwuję przez szklane drzwi kuchenne, jak deszcz pada na zewnątrz, po chwili otwieram je szeroko i czuję chłodny powiew bryzy wdzierającej się do środka. Po wyjściu na zewnątrz przechodzę bezpiecznie przez kamienny ganek i zaczynam iść w deszczu. Woda opada na moją twarz i miesza się z moimi łzami. Siadam na kamiennych schodach tarasu i skrywam twarz w dłoniach. Jestem całkowicie przemoknięta w ciągu kilku minut. Reed cicho pojawia się obok mnie, unosi i przytula do siebie. Oplatam ramionami jego szyję, a mój policzek spoczywa na jego piersi. W milczeniu niesie mnie przez dom, w górę po schodach, do pokoju znajdującego się w przeciwnym skrzydle do tego, w którym Brownie i Buns mają swoje pokoje. Sadza mnie przy strzelającym ogniu, sam wchodzi do łazienki, aby po chwili wrócić z dużym ręcznikiem. Otula mnie nim i przyciąga do siebie.

Pozwalam, aby ręcznik opadł z moich ramion i wylądował mi u stóp. Odsuwam się od Reeda, spoglądam w jego ciemnozielone oczy, zauważam w nich czyste emocje. On wie, że czuję ból, a mój ból powoduje ból u niego. W ułamku sekundy wszystko stało się dla mnie jasne. Kiedy jestem z Reedem, elementy układanki pasują do siebie. To, czego pragnę, znajduje się wprost przede mną. Wystarczy, że sięgnę i to wezmę.

Powoli wyciągam rękę w jego kierunku, pozwalam opuszkom palców spocząć na jego wilgotnej koszulce. Poszukuję obszycia, owijam palce wokół niego. Niemal natychmiast skrzydła wystrzeliwują z jego pleców, przedzierając się przez koszulę, której porwane resztki trzymam w dłoniach. Koszula Reeda wysuwa mi się z dłoni. Moje palce wędrują do dolnego guzika bluzki, bawię się nim i obserwuję, jak Reed wlepia w to miejsce oczy. Jego tęczęwki stają się ciemniejsze, kiedy przeciągam ten guzik przez dziurkę, pokazując pępek.

Żar z ogniska muska mi skórę, gdy moje palce dobierają się do kolejnego guzika, przepychają go przez dziurkę, aby odkryć więcej. Obserwuję przyspieszony oddech Reeda, czuję przyływ ciepła tańczący na skórze. Reed

wyciąga rękę, lecz ja cofam się o krok, drażniąc go, nie pozwalając mu się dotknąć. Powoli robi krok w moim kierunku, zaczyna na mnie napierać. Robię kolejny krok w tył i jednocześnie rozpinam kolejny guzik, a przez to odsłaniam brzeg swojego koronkowego stanika.

W chwili, kiedy moje kolana opierają się o krawędź łóżka, uśmiech pojawia się na moich wargach i teraz już wiem, że Reed steruje mną w kierunku, w którym on chce, bym poszła. Siadam na łóżku i opadam na nie plecami. Rozkładam ramiona. Materac ugina się, kiedy Reed opiera się dłońmi o łóżko. Pochyliła się nade mną, jego wargi dotykają skóry blisko pępka, to mnie łaskocze, więc napinam mięśnie. Gdybym mogła zobaczyć teraz swoje serce, jestem pewna, że byłoby rozpalone do czerwoności.

Kolejne pocałunki Reeda przesuwają się w górę mojego podbrzusza, biegną zakosami po mojej bluzce, aż do nasady szyi. Kładę dłoń na jego policzku, a drugą dotykam jego włosów; bawię się mokrym puklem na skroni. Gapiąc się w jego oczy, szepczę:

- Jesteś wszystkim, czego pragnę.
- Evie – moje imię staje się ledwie słyszalne, gdy nasze wargi się stykają.

Kończy rozpinąć bluzkę. Tkanina zsuwa się, eksponując moje nagie ramiona. Reed pieszczotliwie całuje krzywiznę ramienia aż do wgłębienia pod szyją, a ja szepczę jego imię. Żadne słowo już więcej nie pada między nami, lecz my składamy sobie obietnice.



Gdy leżę w ramionach Reeda, przesuвам opuszkami palców po śladach pazurów wydrapanych w jego piersi.

- Chcę, byś przestał walczyć z Russellem. – Delikatnie całuję te zadrapania.

Unosi moje palce do swoich warg, całuje je i mówi:

- Nie.

Poszukuję jego oczu.

- Dlaczego?
- Zajmę się tym – odpowiada łagodnie.

Grymas pojawia się na mojej twarzy.

- To sprawa pomiędzy Russellem i mną. Rozmawiałam z nim dziś

wieczorem. Poprosiłam go, aby przestał z tobą walczyć o mnie, bo ja już ciebie wybrałam.

– Myślisz, że to zadziała? – Przenikliwie patrzy mi w oczy.

Zagryzam wargę, opuszczam wzrok.

– Może... Ale już moja w tym głowa – odpowiadam.

– Kochanie... – Reed wzdycha. – Jakim ty jesteś frustrującym stworzeniem. – Marszczy brwi.

– Słucham? – pytam przerażona tym komentarzem.

– Mam prawo walczyć z nim o ciebie. Nie wtrącaj się – odpowiada, przyciągając mnie bliżej siebie.

– Co to ma znaczyć? – stanowczo żądam wyjaśnień.

– Russell musi mnie pokonać, żeby ciebie dostać. Odkąd jesteśmy ze sobą związani, może ciebie adorować, tylko jeśli zostanę przez niego pokonany – wyjaśnia.

– Jak pokonany? – mamroczę w rosnącej panice.

– Gdyby mnie zdominował, mógłby otworzyć przejście pomiędzy wami. Odkąd jest twoją bratnią duszą, jego więź z tobą jest równie silna – przyznaje Reed spokojnym tonem. – Ma takie samo prawo do ciebie. Nie zamierzam usunąć się w cień i pozwolić, aby to się zdarzyło, więc nie proś mnie o to więcej. Będę walczył o ciebie, czy to cię złości, czy nie.

– Więc mówisz, że ja przeszkadzam wam w jakimś samczym rytuale pomiędzy wami dwoma?

– Tak – odpowiada gniewnie.

– Ale to jest... Dlaczego nie mogę sama zdecydować, kogo chcę? – pytam rozgoryczona.

– Ponieważ ty mogłabyś zmienić zdanie, widząc, jak potężny jest jeden w przeciwieństwie do drugiego – odpowiada. – Ja nigdy mu się nie poddam. Ja nigdy nie pozwolę mu się pokonać. Kiedy mnie wyzwie na pojedynek, przyjmę to wyzwanie i nie przegram.

– Brennus ma rację, jestem trucizną – mamroczę. Odsuwam się od piersi Reeda i kładę głowę na swojej poduszce.

– On się myli. Jego słowa zostały wypowiedziane w rozgoryczeniu powodowanym zazdrością i stratą. Dobrze wie, jaka jesteś. I dlatego nie może

pozwoić ci odejść – wyjaśnia Reed.

– Jaka jestem? – pytam.

– Niezapomniana – odpowiada Reed. – Jesteś sztuką, której nie da się ukryć... Niebezpieczeństwem, którego nie można uniknąć... Miłością, której nie da się zmierzyć... Nowym prawem, które zaprzecza regułom prawdopodobieństwa.

– A ty jesteś moim sercem – szepczę.

Chwyta mnie i przyciąga do swojej piersi.

– Chcę coś z tobą przedyskutować, Evie – mówi to, bawiąc się kosmykiem moich włosów.

– Hmm? – Tylko tyle udaje mi się z siebie wydobyć.

– Otrzymałem pewne informacje z Dominium. Molly mówiła prawdę o tym, że Dominium zaangażowało się w walkę z Gankanagami.

– Powiedziałaś im, gdzie jesteśmy? – pytam, wiedząc, że Dominium nie zostało powiadomione o miejscu naszego pobytu, ponieważ chcą przejąć kontrolę nad Russellem. On jest dla nich fascynującą bronią. Przyciąga do siebie zło tak samo jak ja, a oni chętnie go użyją, aby zwabić Upadłych i inne istoty, które zamierzają usidlić.

– Nie zdradziłem im, gdzie jesteśmy. My nie chcemy ich mieć tutaj, lecz jest pewna komplikacja... Oni mają coś, na czym nam zależy – mówi Reed.

Rozbudzam się, siadam oparta o poduszkę.

– Co takiego?

– Tau przybył do Dominium – oznajmia.

– Jest w zamku? Mój ojciec jest w ich zamku? – pytam dla pewności.

– Zdaje się, że tak.

– Dlaczego? – ciekawię się.

– On ciebie szuka.

Mocno ściągam brwi.

– No to się trochę spóźnił, nie sądzisz? – pytam sarkastycznie; żar gniewu napływa do moich policzków.

– Nie, powiedziałbym, że przybył w samą porę – ripostuje Reed.

Moje oczy się rozszerzają.

– Ty myślisz, że to dobre wiadomości – rzucam oskarżycielsko.

– Tak.

– Skąd masz pewność, że nie zjawił się tu po to, by wyrwać moje złe serce? – pytam, krzyżując ramiona na piersi.

– Twoje serce nie jest złe. – Reed mruży oczy. – Wiem to, ponieważ on jest w stanie przetrząsnąć każdy zakamarek, szukając ciebie.

– To nie dowodzi niczego poza tym, że chce mnie odnaleźć z jakiegoś powodu – odpowiadam.

– On żąda swojej córki – oświadcza Reed spokojnie.

– Och, więc dlatego, że uznaje mnie za swoją córkę, uważasz, że jest po mojej stronie? – Moje oczy robią się coraz węższe, wychodzę z łóżka i zbliżam się do ognia. – Może po prostu słyszał, że tu jestem i zainteresował się tym...

– Nikt, działając z czystej ciekawości, nie robi najazdu i nie grozi unicestwieniem całego miasta aniołów, jeśli nie oddadzą mu córki. – Reed siedzi na łóżku i obserwuje każdy mój ruch przed kominkiem, podobnie jak kot obserwuje swoją zdobycz. Powolny, zmysłowy uśmiech pojawia się w kącikach jego ust i przysięgam, że gdyby Reed miał ogon, to teraz by nim merdał z radości. – Kiedy się dowiedział, że rada wojenna skazała cię na karę śmierci, wyzwiał ich wszystkich na pojedynek.

Zamieram w bezruchu.

– On to zrobił? – Biorę głęboki wdech; czuję, jak się cała rumienię.

– Zrobił to – przytakuje Reed.

– Och – mrużę, lekko zagubiona w tym wszystkim. Zwracam się w kierunku ognia, a moje skrzydła poruszają się nerwowo. Odgłos jęku dobiega do mnie z łóżka znajdującego się za mną. Spoglądam przez ramię na Reeda i moje brwi unoszą się z zaciekawieniem.

– Evie, cały czas próbuję z tobą poważnie porozmawiać, ale to jest naprawdę trudne, gdy wyglądasz tak kusząco... – Wskazuje dłonią na mnie, zupełnie naga przed kominkiem.

– Och! – wzdycham przestraszona.

Wracam do łóżka, ściągam prześcieradło i owijam je wokół ciała.

– Teraz lepiej? – pytam, okrywając się.



Kręci głową.

– Nie bardzo, ale musi wystarczyć.

Niechętny uśmiech osiada na moich wargach, zanim zadaję mu pytanie.

– Z kim rozmawiałeś w Dominium?

– Z Prebenem, ale nasza rozmowa została przerwana, kiedy Tau dowiedział się, że on rozmawia ze mną – wyjaśnia Reed.

– Rozmawiałeś z Tau? – Powoli tracę oddech.

– Tak, był dziwnie pobudzony jak na Serafina. – Uśmiecha się.

– Co masz na myśli? – pytam.

– Serafina słyną ze swojego stonowanego zachowania. Tau groził, że mnie rozszarpie na kawałki, jeśli nie pozwolę mu porozmawiać z tobą – odpowiada.

Robię wielkie oczy.

– Co mu na to powiedziałaś?

– Że przekażę ci informację i jeśli zechcesz z nim porozmawiać, to do niego zadzwonisz – odpowiada, obserwując mnie i analizując mój język ciała. – Mam jego numer.

– Czego chce? – Siadam na krawędzi łóżka, a Reed chwyta moją dłoń.

– Ciebie – mówi, pocierając kciukiem moją skórę.

– Dlaczego? – Widzę, jak wyraz twarzy Reeda łagodnieje.

– Nie wiem. Może dlatego, że jesteś jego córką – mruczy pod nosem.

– Jak sądzisz, co powinnam zrobić? – Bawię się brzegiem prześcieradła.

– Zadzwoń do niego – odpowiada bez wahania.

Gardło mi się zaciska.

– Dlaczego? – Wyciągam dłoń z jego dłoni.

– On może mieć odpowiedzi wyjaśniające powód, dla którego tutaj jesteś, twoją misję. Jest także wielkim aniołem. Jego waleczność jest legendarna. Moglibyśmy nauczyć się wielu rzeczy od niego... – Milknie, widząc, jak się krzywię.

– Ty go szanujesz? – pytam, nie mogąc opanować zdenerwowania w głosie.

– Oczywiście. Jest jednym z najodważniejszych aniołów, jakie kiedykolwiek stworzono, Evie. Kiedy są pertraktacje prowadzone pomiędzy Szeolem a Rajem, to właśnie Tau jest wysyłany, aby przemawiać do Upadłych... Sam...

W Szeolu...

– Więc jest dobry w komunikacji. Brawo – mówię skwaszona.

– Trzeba czegoś więcej niż zdolności komunikacyjnych, aby wejść do Szeolu. Wiesz o tym. Potrzeba takiej odwagi, która cechuje niewielu. Nie powinnaś osądzać go, dopóki nie poznasz faktów, a nie możesz ich poznać, dopóki z nim nie porozmawiasz. – Reed mówi to, nachylając się nade mną i głaszcząc moje włosy.

– Dobrze, skoro już musisz tak rozsądnie do tego podchodzić – bełkoczę, nadal bawiąc się prześcieradłem.

– Możesz od razu do niego zadzwonić. – Bierze mnie w ramiona i przytula do piersi.

– Nie, teraz jestem zmęczona... Później. – Głowa opada mi na pierś Reeda, patrzę, jak płomienie tańczą.

– Więc odpoczywaj, kochanie. – Reed nieprzerwanie głaszcze moje włosy aż do momentu, kiedy zasypiam w jego ramionach.



Promienie słońca rzucające poświatę nad moim łóżkiem delikatnie mnie budzą. Powoli podnoszę głowę, zauważam, że Reed siedzi obok mnie i czyta starą, podniszczoną książkę. Uśmiecham się zaspana i wzdycham, prawie niesłyszalnie mówiąc:

– Głodna.

Rozciągam kończyny. Reed odrzuca książkę na stolik przy łóżku.

– Ja też jestem głodny – mruczy i zaczyna delikatnie szczypać wargami moją szyję.

Wijąc się, gdyż jego usta mnie łaskoczą, śmieję się głośno i przyciągam go bliżej.

– Kto potrzebuje jedzenia? – pytam, delikatnie podszczypując skórę na jego ramieniu.

Reed znów kocha się ze mną w zatopionym świetle, słonecznym doskonałym poranku. Jakiś czas później, leżąc w jego ramionach, słyszę, jak głośno burczy mi w brzuchu.

Moje oczy rozszerzają się, kiedy twarz Reeda unosi się nad moją.

– Głodzę cię – mówi skruszony.

– Głodzisz mnie – zgadzam się, nawet nie próbując go usprawiedliwić.

– Więc chodźmy coś zjeść. – Wstaje i idzie do garderoby blisko łazienki.

– Muszę wziąć prysznic – odpowiadam, pędząc do łazienki, i odkręcam wodę. Myjąc zęby po prysznicu, bezwstydnie przyglądam się w lustrze, jak Reed wciska się w spodenki plażowe i T-shirt. Uśmiechając się do siebie, podchodzę do garderoby i znajduję swoje ubrania, które zostały przeniesione z bungalowu na plażę. Wybieram dżinsowe szorty i top prawie całkowicie bez pleców, który wiążę na szyi. Wciskam stopy w sztywne sandały.

– Gotowy? – pytam Reeda, a on z uśmiechem chwyta moją dłoń i wychodzi ze mną z pokoju. – Czy dziś trenujemy? – pytam, ponieważ wszystko wydaje się inne po wizycie Molly.

– Przedyskutowaliśmy to z Zefirem. Pozostaniemy blisko domu. Możemy trenować w sali balowej lub na patio przy kuchni po wyjściu personelu. Oni tutaj tylko dostarczą zapasy. Łódź zabierze ich z powrotem na inną wyspę. Zamówiliśmy żywność na kilka tygodni, bo od teraz zawieszamy wizyty personelu... Więc jak dobra jesteś w gotowaniu? – pyta się z uśmiechem.

– Robię słabe kanapki z masłem orzechowym i galaretką – odpowiadam. – Porządną lazanię i zabójczą jajecznicę.

– Dobrze. Zee powiedział, że Hati zbiera dla nas przepisy na potrawy, które łatwo możemy zrobić – informuje.

– Cudownie. Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę cię w fartuszku – droczę się z nim, próbując wyobrazić sobie, jak cokolwiek pichci.

– Kiedyś przygotowywałem jedzenie, ale to było jakiś czas temu – mówi, uśmiechając się do mnie.

– Dawno temu?

Spogląda w sufit.

– Kilka dziesięcioleci... Mniej więcej – odpowiada.

– Ach... Przed erą lodówek czy też po? – Skrywam uśmiech.

– Hmm, przed... Tak myślę... – mówi to poważnie, a kiedy ja wybucham śmiechem, bawi go moja reakcja. – Co? – pyta, a ja kręcę głową. – Powiedziałem, że to było jakiś czas temu.

– Możesz pomóc mi przygotować śniadanie. To będzie zabawne. – Ściskam

jego dłoń, patrząc w błyszczące zielone oczy. Wchodzimy do kuchni, ja udaję się prosto do zlewu i myję ręce. Reed podąża za mną, myje dłonie, stojąc za moimi plecami. Podchodzę do lodówki, otwieram ją i sprawdzam zawartość. – Jajka? – Zerkam przez ramię, widzę, jak Reed mnie obserwuje.

– Tak – odpowiada, podchodzi bliżej i seksownie opiera się ramieniem o drzwi lodówki.

Rumieniec powoli pojawia się na mojej twarzy, gdy nasze oczy się spotykają, w końcu muszę odwrócić wzrok. Wyciągam opakowanie jajek, mleko i masło, niosę to na blat.

– Lubisz ser? – Zerkam na przytakującego Reeda.

Podchodzę do szafki. Stając na palcach, próbuję zdjąć miskę z jednej z wyższych półek. Reed staje tuż za mną, obejmuje mnie w talii, pochyla się, aby złożyć zmysłowy pocałunek na mojej szyi, i wyciąga rękę po naczynie. Zagryzam wargę, całe moje ciało reaguje na jego dotyk.

– Dziękuję. – Odbieram miskę z jego rąk.

– Proszę bardzo – odpowiada niskim tonem i zaczyna muskać nosem moje ucho, co wysyła dreszcze pożądania do każdego kawałka mojego ciała.

– Okay – wyduszam z siebie.

Dłoń Reeda opada z mojej talii, gdy przesuвам się w stronę blatu, gdzie zostawiłam jajka. Gorąco uderza do moich policzków. Stawiam miskę na blacie. Biorę jedno jajko, rozbijam je o krawędź blatu i wlewam je do miski. Jeszcze kilka jajek ląduje tam, zanim zauważam twarz Reeda. Stoi oparty o blat, z oczami utkwionymi we mnie.

Znajduję trzepaczkę w szufladzie i wkładam ją do miski, którą przekazuję Reedowi.

– Wymieszaj to, proszę. – Sama udaję się na poszukiwanie patelni. Stawiam ją na kuchni, zapalam palnik i roztapiam w niej odrobinę masła. Spoglądam na Reeda – ani drgnął, tylko nadal mnie obserwuje. Unoszę brew i kiwam głową w stronę miski. Spogląda na nią przez sekundę, zanim zdaje sobie sprawę, że nie robi tego, o co prosiłam. W końcu stawia miskę na blacie, zaczyna mieszać jej zawartość tak, jak robiłoby to dziecko: kręci kółka.

Uśmiechając się, podchodzę do niego, kładę dłoń na jego dłoni i pokazuję mu, jak należy ubijać jajka trzepaczką.

– Ach, to jest na to technika. – Szczerzy się do mnie, co przyspiesza bicie

mojego serca.

– Nie mów, że w końcu znalazło się coś, o czym wiem więcej niż ty. – Podnoszę miskę, podchodzę do kuchni i wlewam płynną masę na patelnię. Szpatułką mieszam skwierczące jajka i dodaję ser.

– Właśnie pokazałaś mi całkowicie nieznaną świat, Evie. Powinniśmy to robić zawsze. To bardzo intymne – mówi, obserwując moją reakcję na jego słowa.

– To tylko jajecznica, Reed. Powinieneś zobaczyć lazanie – odpowiadam kuszaco.

– Nie wiem, czy dam radę z lazanią... Co będziesz miała na sobie, kiedy będziesz ją robić? – Obejmuje mnie w talii i tuli mocno od tyłu.

– Talerze, proszę – rozkazuję; zdejmuję patelnię z ognia i wyłączam palnik. Reed niechętnie mnie puszcza.

Podaję jajecznicę, stawiając talerze na wyspie przed stołkami barowymi. Gdy siedzimy obok siebie i jemy jajecznicę, zdaje się, jakby między nami przechodziła energia kinetyczna. Potem Reed zabiera talerze do zlewu i zaczyna je opłukiwać, a ja sprzątam cały nasz bałagan.

Wycierając dłonie w ręcznik, zbliża się do mnie opartej o blat. Bacznie go obserwuję. Unosi mnie, sadza na blacie, całując ze skumulowanym żarem, który gromadził się w czasie wspólnego posiłku.

Pożerająca pasja przejmuje nade mną kontrolę, lecz kończy się gwałtownie, gdy Reed raptownie przestaje mnie całować. Świat wiruje, gdy w ciągu ułamka sekundy zostaje przeniesiona w powietrzu za plecy Reeda. Jego skrzydła są już rozłożone, chroniąc mnie przed czymś, co sprawiło, że Reed przyjął postawę obronną. Instynktownie moje skrzydła też wystrzeliwiają jak z procy.

Reed warczy; kilka sekund później w wejściu do kuchni pojawiają się Zefir i Russell. Zatrzymują się i gapią na otwarte szklane drzwi prowadzące na patio. Nieruchomieję u boku Reeda, widząc na zewnątrz Hati, szefową kuchni, i jej personel. Oni wszyscy wyglądają blado jak zombie; krew cieknie strużkami z punktowych ran w różnych częściach ich ciał.

Hati, potykając się, wchodzi do kuchni. Patrzy tylko na mnie, gdy się zbliża, jej twarz jest stara i zniszczona, wcale nie wygląda jak zwykła ofiara Gankanagów, lecz jak taka wybrana specjalnie, ponieważ ja ją znam. Ugryzienia na jej szyi są szczególnie głębokie i ciągle sączy się z nich krew.

Oczy Hati obserwują wszystko przy każdym kroku; kobieta zachowuje się jak narkomanka na głodzie.

– Mój mistrz rozkazał mi, abym przekazała ci wiadomość – syczy Hati swoim rozpoznawalnym akcentem z Południowego Pacyfiku.

Cała się spinam, bo wiem, że ona jest w niewoli Gankanagów i nie jest w stanie oprzeć się ich rozkazom.

– Brennus mówi, że będzie trzymał cię w ramionach, gdy będziesz błagać o śmierć swojego serca i nic więcej je zdołasz zrobić. On zabije twojego kochanka, twojego anioła, a śmiercią obarczy ciebie... Wszystkim obarczy ciebie. On się zbliża, jest coraz bliżej. Czujesz go? On nadchodzi, a z nim ból bez końca. – Oddycha ciężko i wyciąga nóż z kieszeni.

– Nie, proszę – szepczę, czując, jak krew odpływa mi z twarzy.

Patrzę, jak zanurza ostrze w swojej piersi, obraca nim z uśmiechem pełnym satysfakcji, a później opada na kuchenną podłogę. Spoglądam na zewnątrz, reszta personelu Zefira wykonała dokładnie to samo – zadała sobie śmiertelny cios na naszych oczach.

Mój umysł próbuje udawać, że to wszystko jest teatrem, jakimś koszmarnym snem, ale ja wiem, że właśnie się budzę. Że to jest rzeczywistość. Łzy żalu wypełniają mi oczy, ponieważ Brennus właśnie je otworzył. Chcę ukryć się w ciemności. Brennus wie, co mnie przeraża; został wtajemniczony we wszystkie moje najskrytsze lęki. Kiedy zapytałam go wcześniej o to, co może mnie zniszczyć, odpowiedział: „*tristitiae*”, co oznacza „smutek”. Utrata Reeda byłaby dla mnie boleśniejsza, niż gdyby Brennus zatrzymał bicie mojego serca.

– Evie... Kochanie – odzywa się Reed delikatnie, unosząc mi podbródek i próbując odwrócić mój wzrok od bezwładnego ciała Hati. – To wojna psychologiczna. Będzie próbował osłabić twoją obronę, wywołując strach.

– To pająk... – mówię odrętwiale.

– Co takiego, kochanie? – Wzrokiem bada moją twarz.

– Jest pajakiem... Bawi go, kiedy rzucam się w jego sieć. To sprawia, że bardziej mnie chce – odpowiadam, czując chłód w tym upale.

– Twoje serce jest zbyt czyste, aby mógł je schwycić – zapewnia Reed. – Uwolniło się z jego sieci, a on teraz płacze, ponieważ jego serce umarło, jest tutaj, w gniewie, który nam okazuje. Ale niedługo pozbedziemy się Brennusa i to wszystko się zakończy.

– Jest zdeprawowany, Reed. – Łzy ciurkiem płyną mi z oczu. – Nie wiedziałam, nie mogłam wiedzieć, ja...

Reed przytula mnie do swojej piersi.

– Dusze. – Do kuchni wchodzi Buns.

Zefir zatrzymuje ją blisko drzwi, gdy z Brownie próbują podejść do ciał rozrzuconych przed nami.

– Zostań – ostrzega, poruszając się niemal niepostrzeżenie i badając patio. Ulatuje na zewnątrz, by przeczesać pobliski teren.

Russell podąża tuż za nim w poszukiwaniu Gankanagów.

Buns i Brownie klęczą przy Hati.

– Co się stało? – pyta Brownie.

– Oni wszyscy byli kontrolowani przez Gankanagów – odpowiada Reed.

– Musicie zabrać stąd Evie i Russella. Trzymajcie ich w ukryciu, póki nie będziemy mogły negocjować dusz – mówi Brownie rozkazującym tonem, unosząc się znad ciała Hati

– Musicie to robić teraz? – pyta Reed, głaszcząc moje włosy.

– Oczywiście – prycha Brownie.

– To nasza praca, skarbie – dodaje Buns. – Jesteśmy Kosiarzami.

– Tak, ale sytuacja jest niestabilna. Nie chcielibyśmy jej komplikować obecnością Upadłych. Czy można po prostu... przywołać ich z Raju, bez wciągania w to Kosiarza? – Reed wygląda na zatroskanego.

– Och nie – mówi pośpiesznie Brownie, nawet nie rozpatrując takiej opcji. – My lubimy oddychać.

– Co najgorszego może się zdarzyć, gdybyście musiały przestać zajmować się ludźmi? – rzucił Russell, wchodząc z Zefirem.

– W najlepszym wypadku mogą nas rozerwać na strzępy – wyjaśnia Brownie.

– A to są Trony lub Cherubiny w Raju. Nawet nie chcemy myśleć, jak postąpiono by z nami w Szeolu.

– Nie możemy dłużej czekać, musimy uwolnić dusze z ich ciał. Same znajdą sposób, jak uciec z ciał, jeśli my tego nie zrobimy. W chwili, gdy to się stanie, Upadli przybędą – mówi podenerwowana Buns.

– Dobra. Ci półkrwi znajdą miejsce, gdzie będą mogli się ukrywać, póki to wszystko się nie skończy – uspokaja Russell, wyciągając do mnie dłoń. –

Dawaj, Ruda, chodźmy stąd, zanim te upadłe dziwolągi przybędą i odkryją, że tu jesteśmy.

Ramiona Reeda zaciskają się wokół mnie ochronnie.

– Zostanę z wami. Zefir, ty będziesz obserwował Kosiarzy – mówi to nad moją głową, potem zwraca się do Brownie i Buns: – Nie bierzcie niczego za pewnik. To jest przemyślany ruch Brennusa. My nie wiemy, czy Upadli są w tej samej lidze co Gankanagowie, teraz, kiedy Evie wróciła. Jeśli upadły Kosiarz zrobi coś dziwnego, nie wahaj się go wykończyć, Zee.

– Nie możesz tego zrobić, Zee – rzuca Buns z rosnącą paniką w głosie. – Nawet jeśli to sabotaż, ryzykujesz zakłócenie równowagi pewnych rzeczy.

– Ta równowaga już dawno została zakłócona, Buns – odparowuje Zefir, szerokim gestem wskazując rzeź na podłodze.

– Pozwól Brownie i mnie się tym zająć. My jesteśmy profesjonalistkami – mówi Buns tak, jakby próbowała wytłumaczyć coś dziecku. – Ty pójdziesz z innymi. Ci ludzie byli pod kontrolą Brennusa. Mogą nie pamiętać, co się stało, i dlatego nie będziesz mógł im wyjaśnić, dlaczego tu przyszli i to zrobili. To będzie wyglądało podejrzanie, gdy między nami będzie się kręcił anioł Mocy.

– To tragiczne, ale nie da się tu nic zrobić. – Zefir krzyżuje ramiona i kręci głową, całkowicie lekceważąc to, co właśnie powiedziała. – Wolę to od tej drugiej opcji.

– Skarbie, nic nam się nie stanie – zapewnia go Buns, lekko się uśmiechając do Zefira, który ma naprawdę srogą minę.

– Nic się nie stanie, ponieważ ja się stąd nie ruszam – odpowiada. Spogląda ponad głową Buns na Reeda i dodaje: – Zabierz ich. Ja zostaję.

– Zee... – zaczyna Buns.

Zefir obejmuje Buns i ją całuje. Przerywa pocałunek dopiero, gdy Reed znacząco pokasłuje.

– Zostaję – mruczy Zefir. Nie spuszczać wzroku z Buns, mówi do Reeda: – Zbrojownia jest dogodną kryjówką.

– Tak – mówi Reed, prowadząc mnie do wyjścia. Z oczami utkwionymi w Russellu kiwa w stronę drzwi, wskazując, żeby ten poszedł z nami.

– Jak mówicie „hura” w języku aniołów? – pyta Russell Zefira.

Uśmiechając się, Zefir wypowiada po anielsku słowo, które brzmi podobnie jak „gruchot”.



– Nieźle... „Gruchot”, Zee – odpowiada Russell, strzelając kostkami dłoni.

Przywracając powagę sytuacji, Zefir radzi:

– Miejcie oczy otwarte.

– Jak znam te śmierdzące diabły, to nie moje oczy wyczują ich zapach – ripostuje Russell.

Reed mówi coś Zefirowi, Buns i Brownie po anielsku. Wszyscy przytakują, a Brownie i Buns nerwowo dotykają swoich naszyjników z portalami.

– Co takiego powiedziałaś? – pytam. Pozwalam Reedowi wyprowadzić się z pokoju i upewniam się, że Russell idzie za nami.

– Tak w skrócie, życzyłem im braku strachu i powodzenia w misji – odpowiada Reed.

Wychodzimy z holu i wchodzimy do galerii – w tym momencie pierwsza linka alarmowa aktywuje alarm, rozpętując piekło.

## Rozdział 5

### Wzniesienie

– Jesteśmy – mówi Reed cicho tuż za mną, ściskając moją drżącą dłoń. – Russell, nie oddalaj się. To brzmiało jak zapalnik w naszym bungalowie. Jeśli podążaliby za zapachem Evie, wtedy zostaliby przyciągnięci tam.

– Nienawidzę tego – szepczę, podążając za Reedem w dół korytarza, który prowadzi do biblioteki znajdującej się po jednej jego stronie i do zbrojowni po drugiej.

– Dlaczego? – pyta Reed, a seksowny uśmiech gości na jego twarzy. Wygląda na całkowicie zrelaksowanego.

– Ponieważ oni nadchodzą. – Czuję, jak moje serce odbija się o ściany klatki piersiowej.

– Tak, nadchodzą, a ja mogę ich zabić, nie martwiąc się o konsekwencje, zwłaszcza gdy myślę o tym, co mogłoby się tobie przydarzyć. – Uczucie czystej satysfakcji maluje się na jego twarzy; przez chwilę odrobinę mniej się boję.

Wchodzimy do zbrojowni, Reed udaje się prosto do sejfu. Otwiera sekretne panele w ścianie i uzyskuje dostęp do wszelkiego zła, którego nawet nie jestem w stanie opisać.

– Co bierzemy? – Reed spogląda na Russella.

– Karabin maszynowy, pałasz, shuriken, granaty hukowe – wylicza Russell i przymocowuje broń do swojego ciała tak szybko, jak Reed jest w stanie mu ją podawać. – Ty to czujesz, Ruda? – pyta, widząc, jak elektryczność zaczyna narastać dookoła mnie i nakłuwać moją skórę.

– Tak, ktoś po nas nurkuje... To denerwujące. – Marszczę nos, a włosy stają mi dęba. – Zobaczmy, czy lubią być rażeni prądem – mruczę, zamykając oczy i ściągając do siebie energię, która tańczy na mojej skórze. Wyrzucam ją z siebie jak impuls elektryczny, który rozbija okna i wypada poza dom.

– To było coś więcej niż porażenie. – Uśmiecha się Reed, widząc deszcz szkła opadający na podłogę.

– Ojej... – Sarkastycznie wzruszam ramionami, co wywołuje u niego uśmiech od ucha do ucha. – Ja biorę sztylety i bardysz[5]. – Pochyliam się, przytwierdzam sobie sztylety do ud i zauważam, że obaj, Reed i Russell, gapią się na mój tyłek. Prostując się, chrząkam znacząco, patrząc na nich zmrużonymi oczami. Reed z trudnością ukrywa swój uśmiech. – Czy nie powinniście być skoncentrowani? – karzę obu.

– Ja tylko próbuję dobrze się zmotywować do walki. Jest dużo fajniej, kiedy wiesz, kogo chronisz. – Szczerzy się Russell.

– Martw się o własny tyłek, Russell. Ja zadbam o swój – odpowiadam, sięgając po topór, potem sprawdzając jego ciężar i wyważenie.

Reed zakłada sprzęt, który ma chronić jego skórę. To tarcza chroniąca przed dotykiem Gankanagów. Nie naciąga kaptura na głowę, pozostawiając twarz wystawioną na atak.

– Ruda, przygotuj się, by wypróbować teorię – mówi Russell; wszelkie oznaki humoru nikną, gdy spogląda ponad moją głowę w kierunku ściany z potłuczonymi oknami.

Ciemne, złowieszcze chmury burzowe kłębią się na zewnątrz, przynosząc mroźny wiatr pachnący słodko i lekko.

Wąchanie zapachu Gankanagów ma na mnie osłabiający wpływ. Nic na to nie mogę poradzić, to instynktowna reakcja. Reed obejmuje mnie i przytrzymuje przy sobie.

– Kochanie, nie musisz tutaj zostawać – mówi mi delikatnie do ucha. – Ty już wykonałaś swoje zadanie. Oni są tutaj. Odejdź teraz, dołączę do ciebie, kiedy będzie po wszystkim.

Na jego sugestię mój strach rośnie zamiast maleć.

– Nie! Zostaję. Idziemy razem albo wcale nie idziemy.

– Kochanie, oni mnie nie dotkną – mówi to z promieniującą pewnością siebie. – Użyj swojego portalu, a ja do ciebie dołączę później.

– Zostaję. Będę cię ubezpieczać. – Czuję przeraźliwy chłód bijący od okna. – Czujesz to? – pytam Reeda, dreszcz przeszywa moje ciało; lodowate prądy zaczynają wirować wokół nas.

– Czuję co? – Reed spogląda na mnie troskliwie.

– Brrr... – mówi Russell stojący obok nas. – Temperatura właśnie spadła o dwadzieścia stopni.

– Nie czuję tego – przyznaje Reed. Patrzy na gęsią skórę pojawiającą się na moich ramionach. – Ich magia nie działa na mnie.

– A na mnie działa cholernie dobrze – mamrocze Russell, pokazując nam włoski stojące dęba na jego ramionach.

– Walcz z tym. – Reed marszczy brwi. – Nie pozwól im przejść kontroli nad swoim otoczeniem. Ono jest twoje, Russell, utrzymaj je, obroń.

– Dobrze, Ruda, pomóż mi. – Russell wyciąga mnie z ramion Reeda, obejmuje i odgarniając mi włosy z czoła, spogląda prosto w oczy. – Zaczynij ściągać energię, podgrzejmy troszkę to miejsce.

– Co ci chodzi po głowie? – pytam, przyciągając do siebie energię.

– A może byśmy rozwinęli dla nich czerwony dywan? – odpowiada Russell w skupieniu.

Sięgam po rękę Reeda, przyciągam go, tworzę krąg i mówię:

– Jesteśmy w tej chwili w pewnym sensie wolnymi strzelcami, Reed. Lepiej być blisko, kiedy wystrzelimy.

– Zauważyłem – mówi, pozwalając spocząć swojej dłoni na moim biodrze.

Czuję, jak energia płonie we mnie.

– Okay, Russell, wypowiedz te słowa.

Russell bełkocze coś na wydechu. Kiedy ściska moje ramię, odwracam kierunek energii na zewnątrz. Russ uwalnia z nas masę kłębiącego się żaru. Ogień wybucha w pokoju, podczas gdy rzeka płomieni, wijąc się i oddala od nas, tworzy dziurę na wylot w ścianie budynku i podąża dalej w stronę plaży.

– Russell... – mruczę; z niedowierzaniem wyglądam przez dziurę. Gankanagowie, których nigdy wcześniej nie widziałam, przechodzą teraz z plaży przez płonąca rzekę ognia, jakbyśmy dla nich rozwinęli czerwony dywan.

Russell jęczy:

– Zupełnie nie takiego efektu się spodziewałem. – Puszczą mnie i wydobywa karabin maszynowy zza pleców.

– W końcu – wzdycha Reed. Kryjąc mnie za swoimi plecami, przesuwa się do przodu; miecz połyskuje w jego dłoni.

Panika zaczyna pozbawiać mnie tchu, moje skrzydła trzepoczą nerwowo. Ruszam do walki, unoszę się w powietrzu w centrum pomieszczenia. Żołnierze

Gankanagów rozdzielają się i poruszają w grupach po dwóch lub trzech. Szepcząc do siebie, przyciągam energię, czuję, jak ci zimni kolesie walczą ze mną, aby przejąć nad nią kontrolę. Uwalniając energię, formuję tarczę w płonącym otworze w ścianie, co zmusza ich do wchodzenia przez rozbite okna.

Pierwsza fala Gankanagów dostaje się do domu, pełzają z nienaturalną prędkością ożywieńców; łażą jak pająki po ścianach. Reed nie waha się, naciera na nich z zawrotną prędkością, pozbawia kończyn, używając brutalnej siły mszczącego się anioła.

– Gdzie wasz król? – cedzi przez zaciśnięte zęby, ale nie pozwala żołnierzowi odpowiedzieć, przecina jego tkankę chrzęstną i ścięgna; gęstniejąca krew zaczyna sączyć się obficie z odciętej głowy.

Ostry ogień z karabinu Russella przeszywa powietrze, gdy pociski kaliber czterdzieści wystrzelują, dziurawiąc piersi kilku Gankanagów, którzy zbliżają się do niego z upiornym uśmiechem umarłaków.

Ale Russell nie dostaje szansy, żeby użyć swojego miecza. Reed opada na nich i tnie ich na kawałki, zanim mogą złapać oddech. Udaje mu się zabić każdego z przeciwników w ciągu kilku sekund.

– Hej, ci byli moi – rzuca oskarżycielsko Russell.

– Przepraszam. – Reed wzrusza ramionami. – Będzie ich więcej.

Zefir wpada przez drzwi do pokoju, niosąc Buns pod jednym ramieniem, a Brownie pod drugim. Stawia je i pyta:

– Coś przegapiłem?

– Tylko rozgrzewkę – odpowiada Reed, śmiejąc się.

– Ech, jesteście nienormalni – mamrocze Buns, poprawiając swój top.

– Jak poszły negocjacje? – pyta Russell; nie patrzy na Buns ani Brownie, lecz skanuje otoczenie na zewnątrz domu w oczekiwaniu na więcej ożywieńców.

– Powiem ci, jak poszły, Russell. Źle. Bardzo, bardzo źle – odpowiada Brownie ze ściągniętymi brwiami. Przechodzi do sejfu i ściąga kuszę z haka na ścianie. Ładuje ją i przypina sobie kołczan pełen strzał o stalowych ostrzach. – W pewnym sensie – mówi dalej – wpadliśmy w impas, kiedy Zee odciął głowę Kosiarzowi! – Wskazuje na Zefira, który uśmiecha się szeroko.

– Nie podobał mi się jego wygląd. – Zefir wzrusza ramionami, sprawdza swój miecz i całą menażerię noży, którymi się obładował. – Coś ukrywał.

– Pozwól, że cię oświecę, Zee. Oni wszyscy coś ukrywają. Każdy z nich. Bez wyjątku. Och, my również jesteśmy zepsuci! Ty go wyfiletowałeś. – Pociera czoło, potem wciska się w odzież ochronną, która chroni przed trucizną Gankanagów.

– On nie miał nic na tamte dusze. Grał na zwłokę. Mogłaś to zauważyć, kiedy zaczął się pocić – argumentuje Zefir, zakładając zbroję.

– Skarbie, może to ty, gapiąc się na niego, powodowałeś, że się pocił. W pewnym sensie jesteś straszny – mówi Buns, chwytając w jedną rękę łuk rzucony w jej kierunku przez Brownie, napina cięciwę i mrużąc oczy, wygląda przez boczne okno.

– Naprawdę myślisz, że jestem straszny? – Nieprawdopodobnie niebieskie oczy Zefira błyszczą mocno.

– Mhm. – Buns przytakuje swoją miodowoblond głową. – Bardzo straszny.

– Dobrze już, zachowajcie tę łózkową rozmowę na później. – Brownie przewraca oczami.

– Nie bądź hejterką. – Zefir uśmiecha się do Brownie i puszcza oczko do Buns, wślizgując się w swoją zbroję. – Czuję Upadłych. Oni są tutaj, na mojej wyspie, bez mojego pozwolenia. Tamten Kosiarz zbierał informacje. Był zwiadowcą, ale marnym. Dlaczego oni zatrudniają takich tragicznych nieudaczników? – pyta kpiąco, spoglądając na Reeda. – Dostawca pizzy zna się na tym lepiej.

– Ten Kosiarz nie spodziewał się, że będziesz z dziewczynami, Zee – mówi Reed.

– Nie, nie spodziewał się – zgadza się. – Znalazłem przy nim to. – Zefir rzuca w kierunku Reeda mikroskopijną szpiegowską kamerę wbudowaną w guzik.

Reed trzyma ją na otwartej dłoni, po chwili ściera na proch i strzepuje pozostałości na ziemię.

– Brownie, jesteś wolna – mówi, wciągając nosem powietrze. – Zee ma rację. Upadli nas tropią.

– To nie czyni nas wolnymi. Oni nie dbają o to, czy Szeol nas prześladowe. Nikt nie przeskoczy o poziom wyżej w tej grze bez wysiłku – mówi współczująco Brownie. – Wyślą Cherubina, a w najlepszym wypadku Trona.

– Wywoła się gównoburza – wtrąca Russell. – Czujesz to, Ruda? – dodaje pośpiesznie.

– Tak. – Łąduję na ziemi blisko niego i kładę mu dłoń na ramieniu.

– Co? – Zefir pociąga nosem.

– Czuję to, jak krąg w powietrzu, jakby ktoś dotknął powietrza palcem i wzbudził rozchodzące się fale, tak jak na powierzchni wody. – Próbuję opisać fale energii, które w nas uderzają.

– Robią się coraz większe! – mówi Russell przez zaciśnięte zęby, a energia zmienia się w fale uderzeniowe.

Nagle jedna olbrzymia fala uderza w nas. Unosi nas oboje i rzuca mną i Russellem o najodleglejszą ścianę; po chwili lądujemy jak na stosie.

– To jest do bani – sapie Russell, trzymając się za bok.

Reed natychmiast jest przy mnie, nie pozostaje pod wpływem całej tej magii, która wiruje wokół nas.

– Już czas wyłączyć z tego was dwoje – oznajmia Reed, a jego dłonie wędrują po moim całym ciele, szukając ran. – Użyjcie portali teraz, wkrótce za wami podążę.

– Nie, ja zostaję – odpowiadam uparcie, próbuję wstać, lecz Reed naciska moje ramię, przytrzymując mnie przy podłodze.

– Czas minął, Evie. – Sięga do mojego naszyjnika.

Szybko zakrywam dłonią jego dłoń spoczywającą na onyksowym księżycu, który mam na szyi.

– Proszę, pozwól mi zostać ze sobą. – Czuję smak krwi w ustach.

– Nie – odpowiada ponuro. – To całe miejsce jest zaminowane. Wszystko, co musimy zrobić, to zwabić ich do środka. Nie zorientują się, że ciebie już nie ma. Twoja misja jest wykonana. Kiedy przyjdą, spalę ich i dołączę do ciebie. – Trzyma w dłoni detonator, który odpala wszystkie ładunki C4 na wyspie. Przez wiele dni zamiast deszczu będą spadać szczątki Gankanagów.

– Reed... – zaczyna Zefir.

Spoglądam w górę, niebo staje się ciemniejsze, kiedy roje aniołów krążą nad dużym domem.

– A niech to wszyscy diabli! – odzywa się Russell obok mnie.

Okna w drugiej części domu zaczynają się rozpadać, co sygnalizuje przybycie naszych złych gości.

– Nie wiedziałem, że dziś są moje urodziny! – Zefir uśmiecha się, jakby

ta zmasowana obecność Upadłych była jego prezentem. – Czas już na was, Buns i Brownie, to nasza impreza. – Kiwa głową w kierunku Reeda.

– Zostajemy – oświadcza Buns melodyjnym głosem.

– Ach, jesteś taka słodziutka, chodź tutaj – mówi Zefir.

Podchodzi do Buns, bierze ją w ramiona i całuje. Odchyła nieco głowę i dodaje: – Do zobaczenia. – Otwiera portal w jej naszyjniku, jednocześnie się od niej odsuwając.

Niemal natychmiast Buns zwija się i wykręca tak, aby zmieściła się przez mały otwór w słonecznym wisiorze. Blednę, wiedząc, że właśnie teraz jest przeciskana w przestrzeni do innego miejsca. Pamiętam, jak to jest, i nie bardzo spieszy mi się, by ponownie tego doświadczyć. Jej naszyjnik opada na podłogę, zaczyna przyciągać do siebie meble. Zefirowi udaje się go podnieść, jego dłoń – tracąc kształt i wyginając się – pospiesznie go zatrzaskuje. Zee obraca naszyjnik w tył, aby nikt nie mógł przejść przez portal za Buns.

– Och, już nie żyjesz, Zee – rzuca Brownie, a jej usta formują się w uśmiech. – Nawet nie zamierzam ci pomóc tym razem. Usiądę wygodnie i będę patrzeć, jak ona rozrywa cię na kawałki.

– Brownie, czy możesz mi pomóc? – stęka Russell; wygląda, jakby miał trudności ze staniem.

Brownie przenosi na niego wzrok.

– Co z tobą? – pyta, a jej oczy się rozszerzają. Po chwili biegnie w stronę Russella, kuca blisko niego.

– Nic takiego. Przepraszam. – Sięga i otwiera jej gwiazdny naszyjnik.

Brownie zwija się i wykręca do wewnątrz naszyjnika, który opada na ziemię jakby w zwolnionym tempie. Russell głucho zatrzaskuje portal Brownie i zamyka go w swojej dłoni.

Odrzucam dłoń Reeda ze swojego naszyjnika, kiedy akurat jest rozproszony tym, co właśnie zrobił Russell.

– Nie ma mowy! – Chwytam księżyc zawieszony na mojej szyi i zaciskam go w pięści. – Ja zostaję.

– Evie – mówi Reed srogim tonem, lecz nie może się ze mną sprzeczać, bo nagle słyszy głos zza pleców, który go rozprasza.

– Oj! Genevieve! Tobie naprawdę udało się tym razem. – Eion przechodzi przez otwór w ścianie, który już nie jest blokowany moją magią. – Złamałaś



mu serce, teraz lepiej to napraw, jeśli wiesz, co jest dla ciebie dobre.

– Eion. – Staję na równe nogi. – Czy ty kiedykolwiek widziałaś, żebym robiła to, co dla mnie dobre?

– Nie – odpowiada, patrząc, jak staję za Reedem. – Jesteś pogmatwaną, pyszną istotą, ale mnie to nie przeszkadza, ponieważ teraz spróbuję, jak smakujesz, a to jest więcej warte niż te wszystkie nieprzespane noce, które spędziłem, marząc o tobie.

– Eion, ty nigdy nie śpisz ani nie marzysz – odpowiadam chłodno. Przyglądam się jego armii Gankanagów i rozpoznaję wiele twarzy za nim. Nie ma Brennusa ani Finna, Faolana oraz Declana. Moje serce skręca frustracją, wiem, że Brennus uniknie naszej pułapki. – Gdzie mój król? – pytam, udając, że jestem spokojna.

– Nie udało mu się przybyć – odpowiada Eion, pozwalając, by Ninian, Eibhear, Goban, Keefe i Torin weszli do pomieszczenia i stanęli przed nim.

Russell staje tuż za mną, wyciąga miecz, który przytwierdził sobie na plecach, i przerzuca go z ręki do ręki.

– W zamian wysłał mnie – ciągnie Eion. – Wkrótce się z nim zobaczysz, ale dopiero po tym, jak ja ciebie spróbuję.

– Jeśli którykolwiek z was wróci do Brennusa, niech przekaze mu wiadomość ode mnie – oznajmiam, ignorując Eiona. – Proszę, powiedzcie mu, że nie jest moim królem. Nie udało mu się tu przybyć osobiście. To czyni go tchórzem i nie muszę być lojalna wobec tchórza ani wobec żadnego z was – dodaję, unosząc odrobinę podbródek i badawczo przyglądając się ich twarzom.

– Może nie znaczysz dla niego tak wiele, jak myślisz, Genevieve – odpowiada Eion zgryźliwym tonem.

– Więc dlaczego tu jesteś, Eionie? – Przechylam głowę.

Drzwi za nami otwierają się szeroko. Wchodzi ponad dwadzieścia aniołów Upadłych, a za nimi stoją całe szeregi. Ich odór wypełnia pokój, wzdrygam się z odrazy, a moje źrenice robią się szersze.

– To są moje urodziny – raduje się Zefir, wygląda wręcz na wniebowziętego. Mówi w języku aniołów do dużego anioła Mocy na przodzie tej paczki, odciągając jego przepelniony złem wzrok ode mnie.

Widząc, jak zwięzione oczy anioła kierują się na Zefira, mogę tylko odgadnąć, że Zee teraz miesza go z błotem, ale brzmi to jak przepiękna muzyka.

– Idź już, Evie – szepcze do mnie Reed. Wygląda na spokojnego i zrelaksowanego, jak zawsze przed każdym konfliktem.

– Pójdę, muszę tylko stawić czoła Gankanagom. Muszę im pokazać, że się ich nie boję, że nie mam nic wspólnego z żadnym z ich przywódców. – Unoszę swój topór w kierunku Eiona. To wszystko, czego trzeba, by Gankanagowie rozproszyli się jak karaluchy, biegając po ścianach i zeskakując z nich.

Wzlatuję na środek pomieszczenia, widzę, jak Russell podąża za mną i osłania moje plecy. Ninian skacze na mnie pierwszy, próbuje mnie schwycić, kiedy z siłą rakiety przebija się przez powietrze. Łapię go za nadgarstek, kręcę nim w locie, aby zwiększyć siłę odśrodkową, i rzucam nim prosto w Gobana, który właśnie się do mnie zbliża. Obaj zderzają się w powietrzu, opadają na podłogę pod nami, gdzie Reed miażdży ich szyje stopą i odcina głowy.

Horda Upadłych wciąga Reeda i Zefira do walki. Z trudnością podążam za nimi wzrokiem, nie tylko dlatego, że walczę z Gankanagami, lecz także dlatego, że aniołowie są nieprawdopodobnie szybcy. Jest zbyt wielu Upadłych, nawet jeśli Reed i Zefir są najlepsi w tym, co robią, to i tak wkrótce zostaną powaleni.

Russell właśnie rąbie Gankanagów, którzy rzucają się na niego ze ścian.

– Russ, musimy już iść – wołam, wystawiam dłoń i odpycham energię, aby osłonić się przed elfickimi rzutkami, które Torin miota we mnie i Russella.

Ogniste kule odbijają się rykoszetem od tarczy, deszcz iskier i płomieni opada na anioły Upadłe napierające na Reeda.

– Nie, cholera! Jestem z tobą, Ruda – odpowiada Russell atakowany przez mrocznego nevaraha[6], sprowadzonego przez Eiona.

Czarny i kolczasty ogon okręca się wokół Russella, kiedy stwór próbuje zatopić swoje ostre, drapieżne szpony w jego szyi. Odciągam energię od Eiona, potwór jakby wędnie i niknie niczym spadająca gwiazda.

– Evie! – krzyczy Reed, unikając ataku ze strony Upadłych, podlatuje blisko nas. – Idźcie już! – rozkazuje, chwytając ramię anioła, który już ma mnie rozplątać toporem. Zmaga się z przeciwnikiem, zmuszając go, aby wrócił pod ścianę, i ostatecznie wbija topór w pierś Upadłego.

Zamykam oczy, ściągam całą energię w pokoju do siebie. Szeptem wypowiadam słowa, zanim uwolnię energię ze swojego ciała. Sople lodu biegną wzdłuż ścian, wiją się i rozprzestrzeniają, mroząc wszystko na swojej drodze. Zefira omijają zaledwie o milimetry, rozkwitająca lodowa fala otacza wiele

z aniołów Upadłych w pobliżu drzwi i ciągnie się dalej korytarzem. Zefir zadaje cios mieczem jednemu z zamrożonych aniołów, tworząc długą pajęczynę pęknięć, które rozrywają tragiczną figurę, jakby upadły anioł Mocy był ze szkła.

Zadowolona z tego, że zrobiłam wszystko, aby pomóc, sięgam do naszyjnika, dając znać Russellowi, że musimy iść. Moje spojrzenie wędruje do Reeda, mrugam do niego; gdy dotykam naszyjnika, czuję gładki onyks pod opuszkami palców. Odhaczam klamerkę i naszyjnik się otwiera. Wyraz twarzy Reeda zmienia się z pełnego ulgi w przerażenie, które mocno rozszerza mu oczy. Moment później Eion skacze na mnie, owijając mnie nogami w tali i przyciskając swoje ciało do mojego jak wąż. Przystawia chłodne wargi do mojej szyi. Ostre kły wbijają się w moje ciało, w trakcie gdy razem jesteśmy przeciskani przez portal.

## Rozdział 6

### *Anya*

Ląduję na twardej podłodze w przepięknej sypialni, moje usta otwierają się szeroko w agonii, zanim zęby zacisną się w bólu. Eion jest pode mną; jego nogi nadal opasują mnie jak kłamra, gdy ciągle gwałtownie wysysa mi krew z szyi. Próbuję mu się wyrwać, mój wzrok traci ostrość, kiedy dotyka mnie przeszywający ból. Czuję się, jakby Eion rozwalał mi komorę serca, chciwie wysysając coraz więcej krwi. Napinając się, sięgam do tyłu i wbijam mu paznokcie w oczy. Musi oderwać ode mnie zęby, by uniknąć ich wyłupienia.

– Jesteś niesamowita, Genevieve – sapie za moimi plecami, jakby właśnie ukończył wyścig.

Unoszę głowę i chwilę potem uderzam mocno w jego twarz, słyszę pękającą chrząstkę łamanego nosa. Jego nogi rozluźniają uścisk na mojej talii. Próbuję wstać, ale zamiast tego padam do przodu. Czołgam się w stronę drzwi łazienki, kopiąc Eiona, który stękając, usiłuje mnie dosięgnąć.

Łapie moją nogę, przyciąga się do mnie; znów obnaża zęby i wbija w moje udo. Kiedy karmi się moją krwią, wyrывa się ze mnie krzyk agonii. Łapię jego włosy, wyrывam całą garść i zrzucam go z siebie. Kopię go w twarz, odwracam się i znów czołgam w stronę drzwi. Prawie udaje mi się stanąć, chwieję się i opadam, przytłoczona zawrotami głowy.

– To jest dużo lepsze niż takie bezmyślne podporządkowanie się tamtych – mówi Eion za mną, odnosząc się do zaczarowanych kobiet, które nie mogą się bronić. – Nic dziwnego, że on nie może bez ciebie żyć. To takie sexy, jak się bronisz... Czuję smak ognia w twojej krwi albo może ty tak zawsze smakujesz.

Stojąc nade mną, wygląda na pijanego; chwieje się trochę, zanim chwytą kolumnę wielkiego łóżka.

– Muszę wiedzieć, jakie to uczucie, kiedy walczysz, gdy się w ciebie zanurzam... Możesz dla mnie to zrobić, aniele... Powalczysz dla mnie przez chwilę, gdy ja będę się z tobą kochał? – Bierze mnie jak dziecko z podłogi i niesie w kierunku łóżka.

– Eion, nie – mówię osłabiona.

– Opieraj się, Genevieve, a ja podzielę się z tobą swoją krwią. Ty będziesz moją sclábhaí, moją niewolnicą, a ja zabiję dla ciebie Brennusa – obiecuję, całując mnie w skroń.

– Oszalałeś. On ciebie zniszczy. – Czuję miękki materac pod sobą. – Moja krew sprawia, że jesteś pijany...

– Tak, Genevieve, a teraz, gdy spróbowałem twojej krwi, umrę, zanim oddam cię innemu – odpowiada. Zanurza palce w moich włosach i zbliża twarz do mojej na odległość kilku centymetrów, jego brwi ściągają się groźnie, kiedy mówi: – A teraz mi się opieraj!

Ciągnie mnie za włosy, wygina mi szyję i wgryza się ponownie, czuję nieprawdopodobny ból, gdy trucizna zaczyna krążyć w moich żyłach. Sięgam w dół i wyciągam jeden ze sztyletów z pochwy na udzie. Obracam nóż w dłoni, wbijam ostrze w bok Eiona, wiercę nim, zanim zęby cofają się z mojego ciała. Dłoń Eiona przykrywa moją i odrzuca moją rękę z dala od niego. Odpycham Eiona nogą, wyciągam drugi sztylet, przesywając powietrze pomiędzy nami, tak aby drań pozostawał z dala ode mnie. Przesuwam się na przeciwną stronę łóżka i udaje mi się z niego zsunąć, teraz ono oddziela mnie od Eiona. Ból głodu atakuje mnie, gdy wychwytyuję napływający zapach krwi sączącej się z boku Eiona.

– Czujesz mnie, co? – Uśmiecha się, jego kły nadal ociekają moją krwią. – Możesz mnie spróbować, Genevieve. Ja ciebie chcę... Zawsze chciałem. Teraz nie mogę bez ciebie żyć. Przyłącz się do mnie... Razem podbijemy świat.

– Eion, jesteś odrażający – mówię. Ochota, by rzucić się na niego i pić jego krew, powoduje, że się pocę.

– To się zaraz zmieni. Sprawię, że będziesz mnie chciała. – Z uśmiechem rozcina sobie nadgarstek nożem, który wbiłam mu w bok; z ręki wypływa obfity strumień krwi. Unoszę ramię i próbuję zakryć nim nos i usta, by nie czuć tego zapachu. Żołądek wykręca mi się z głodu, skamle i ściskam podbrzusze.

Jasnoczerwone skrzydła przykuwają moją uwagę, kiedy obok mnie przelatuje Russell, odbijając się i tocząc po podłodze z bladym kołesiem przyczepionym do niego. Russell wstaje z Keefe'em na swoich plecach. Rzuca się do przodu, Keefe przelatuje nad nim jak szmaciana lalka. Chwyta Keefe'a za gardło, łamie mu kark z głośnym chrzęstem i upuszcza bezwładne ciało na podłogę.

– Aaa, ten popieprzony zwierzak mnie ugryzł! – krzyczy Russell ze złością,

wygląda jak wściekły byk; kręci się dookoła i zauważa Eiona. – Gdzie ona jest? – wrzeszczy, jego skrzydła rozkładają się, gdy podchodzi groźnie w jego kierunku.

Eion unosi sztylet, aby bronić się przed Russellem, lecz ten rzuca się na niego, wyrywa mu sztylet z dłoni i zwraca ostrzem w jego kierunku.

– Tam. – Eion pokazuje w moim kierunku.

Russell patrzy na mnie, a złość na jego twarzy zmienia się w niepokonowaną wściekłość. Mój zakrwawiony wygląd rozprasza Russa, Eion wykorzystuje tę chwilę i zanurza kły w jego ramieniu, potem opada na niego całym ciałem i wysysa krew.

– Ty wstrętny pasożycie! – wścieka się Russell, ściąga z siebie Eiona i unosi go, trzymając za gardło jedną ręką, potem miażdży mu krtań.

– Russell! – mówię bez tchu, widząc, jak upuszcza trupa na podłogę. – Jak? – Nie rozumiem, jak się tutaj znalazł. Miał być razem z Brownie. Ich portale są sparowane, podobnie jak Zefira i Buns. To Reed powinien być ze mną w tej bezpiecznej kryjówce.

– Ale te ugryzienia pieką! O Panie, to jest do bani! – grzmi Russell, potrząsając ramieniem, które ugryzł Eion.

– Ile masz ugryzień? – pytam osłabiona, opieram się o ścianę za swoimi plecami.

– Nie wiem – odpowiada i zaczyna się chwiać.

Mogę policzyć przynajmniej pięć lub sześć śladów ugryzień na jego piersi, z których nadal sączy się krew.

– Obróć się – mruczę. Gdy się odwraca, wzdygam, widząc przynajmniej jeszcze dziesięć ugryzień na jego plecach poniżej skrzydeł. – Co się stało? – pytam, adrenalina daje mi kopa, więc staję się bardziej przytomna.

– Kiedy Eion cię schwytał, Reed rzucił mi detonator i próbował iść za tobą. Uruchomił swój portal... – Russell spogląda w dół.

Rozglądam się jak oszalała, kuśtykam do drzwi sypialni, szukając, gdzie Reed mógłby być w tym domu. Nie usłyszałam go. Może potrzebować naszej pomocy na innym piętrze.

– Ruda, jego tu nie ma. – Russell ma minę winowajcy.

– A gdzie jest? – pytam, cały świat wiruje dookoła i opada na różne strony.

– Kilka dni temu zamieniłem nasze portale. Nie zamierzałem usunąć się w cień i pozwolić, żeby Reed mi ciebie zabrał, więc zamieniłem nasze zegarki, kiedy pływaliście. Dlatego Reed opuścił pole walki na wyspie i przeniósł się do kryjówki Brownie – wyjaśnia Russell pospiesznie.

– O matko, Russ! On cię zabije! – wzdycham, kuśtykając do krzesła przy kominku. Chwytając za oparcie, próbuję ustać na nogach. – Co się zdarzyło po moim zniknięciu? – Wolę nie myśleć, co Reed robi Russellowi, kiedy nas znajdzie.

– Nie mogłem odejść, by ci pomóc, ponieważ miałem detonator. Naskoczyło na mnie kilku śmierdzących diabłów, dla których smakowałem jak Niebo – mówi. Głos ma napięty i szorstki; pociera dłonią swoje włosy. – Zee dotarł do mnie i ściągnął ze mnie tych drani. Zabrał detonator i kazał iść, więc poszedłem. Planował wysadzić wyspę i wskoczyć do swojego portalu. Ten tutaj złapał się na stopa, kiedy już odchodziłem. – Russell stęka, wskazując na ciało Keefe’a. – Co to za zapach? – Chwyta się za brzuch.

– To Eion i prawdopodobnie Keefe... Ich krew – odpowiadam, dysząc. – Ona pachnie...

– Pysznie – kończy za mnie.

– Ruszajmy, Russell, zanim spróbujemy ich zjeść. – Z trudem łapię oddech, kolejny koralik potu ścieka mi z twarzy. – Musimy znaleźć czystą krew. Zwierzęcą, która zaspokoi naszą żądzę.

– Pamiętam... Ja po prostu nie wiedziałem... To jest... – Próbuje stanąć.

– Agonia – dopowiadam za niego, zaciskając zęby, odpycham się od krzesła.

– Tak. Myślę, że zaczyna mi odbijać, Ruda – mówi, gapiąc się na coś, co widzi w próżni. – Albo to miejsce jest przepełnione moskitami wielkości ciastek Krispy Kremes[7]. – Russell opuszcza głowę.

– Nie, to halucynacje – mamroczę, dusząc się, ponieważ z trudnością mogę się poruszać. – Russell, masz tak dużo ugryzień...

Panika zaczyna przechodzić mi przez kręgosłup, wiem, że muszę szybko pomóc Russellowi, zanim kompletnie oszaleje. Z chwilą, gdy całkowicie straci poczucie rzeczywistości, prawdopodobnie będę wyglądała dla niego jak wróg. Może mnie zabić, nawet nie wiedząc, że to robi... Lub ja mogę zabić jego.

Gorączkowo próbuję myśleć.

– Russell, zdejmij całą swoją broń i odrzuć ją jak najdalej.

– Dlaczego? – Nie rób tego, co mu każe.

– Bo wkrótce będziemy dla siebie najgorszym koszmarem i wolę, żebyś nie odciął mi głowy pałaszem – kwituję.

– Och... Dobry powód. – Zdejmuje swoje uzbrojenie i odrzuca je blisko okna.

Robię to samo i wrzucam swoje do kominka.

– Okay, teraz... zwijajmy się stąd. Musimy być jak najdalej od krwi Gankanagów. – Zaczynam się ślinić.

– Ruda, na zewnątrz pada śnieg. – Russell spogląda przez okno na śnieżne nocne niebo.

– Może Reed ma jakieś ubrania... – Powoli unoszę dłoń w kierunku eleganckiej szafy. Pokój jest piękny, ze stiukiem, arabskim olistwowaniem i barokową architekturą. To najbardziej wytworny pokój, w jakim byłam.

– Ruda, to bez znaczenia – odpowiada Russell, z trudnością podchodząc do mnie. – Nie ma mowy, żebym w tym stanie zdołał schować skrzydła. Nawet nie mogę założyć płaszcza. – Chwyta mnie za ramię, prowadzi w kierunku drzwi do sypialni. – Wiesz, gdzie jesteśmy?

– Toruń, Polska – odpowiadam.

– Nie żartujesz? – Kąciki ust Russella unoszą się w lekkim uśmiechu.

– Nie, a dlaczego? – Nachylam się do niego.

– Ponieważ ja już tu wcześniej byłem... Jakieś sześćset lat temu, mniej więcej... Byłem córką jednego z miejskich kupców.

Wchodząc do przedpokoju, Russell chwieje się na nogach i uderza o ścianę. Ja chwytam się poręczy okalającej podest i zauważam, że jesteśmy na trzecim piętrze eleganckiej kamienicy. Spiralna klatka schodowa jest zdobiona, drewniane tralki w formie aniołów biegną wzdłuż schodów.

Opierając się dłońmi o ścianę, Russell zostawia na niej duże krwawe odciski rąk. Rozpaczliwie próbuje odzyskać równowagę.

– Przepraszam, Ruda – jęczy.

– Jest okay – mamroczę, czując, jak chwyta moje ramię i prowadzi mnie w stronę schodów.

– Zaczynam podejrzewać, że nic nie dzieje się z przypadku. – Russell siada na najwyższym schodku i zmusza mnie, bym usiadła obok niego. Zsuwa się



o jeden stopień w dół tak, jak to robią małe dzieci, i ciągnie mnie za sobą. – Czy te anioły na barierce płaczą, Ruda? – Przez chwilę przygląda się balustradzie.

Przypatruję się rzeźbionej barierce, która trzęsie się i rozmazuje.

– Nie – odpowiadam. – Russ, widzisz takie malutkie, złośliwie wyglądające duszki, które żują nietoperze skrzydła? – mamroczę, zsuwając tyłek o jeden stopień niżej.

– Nie. – Rozgląda się w szoku.

– Nie? Żadnych ostrożnych, małych stworzeń ubranych podobnie jak elfy Świętego Mikołaja? – dopytuję nieufnie, gdy złowrogi duszek zerka na mnie, przelatując tuż nade mną.

– Nie. – Russell kręci głową. – Jak myślisz, jak dobrze może być przygotowany Reed? – Russell ściąga mnie szybciej ze schodów.

– Och... Reed? Przy nim skauci to bumelanci – odpowiadam, odbijając się od kolejnych schodków.

– A tak, zawsze wpada w megaparanoję, kiedy chodzi o ciebie.

– Czasem jest nadopiekuńczy – zgadzam się.

Russell ściąga mnie z pozostałych schodów. Na dole staję na nogach. Ja też próbuję wstać, lecz nie daję rady. Opadam na ziemię, leżę, patrząc na niego.

– Jak myślisz, którędy do kuchni? – Pyta ponuro.

Kiedy wzruszam ramionami, chwytą moją dłoń i ciągnie mnie po podłodze. Włokąc mnie od pokoju do pokoju, w końcu znajduje to, czego szukał – kuchnię. Puszczą moje ramię, które bezwładnie opada na pierś. Utykając, Russell otwiera lodówkę.

Śmieje się głośno i wykrzykuje:

– Gruchot, Ruda! – Unosi duży szklany słoik; wygląda na to, że krew się rozwarstwiła. Potrząsając nim, miesza ją dokładnie w słoiku, co czyni ją bardziej podobną do krwi. Znów zerka do lodówki i się krzywi. – Cholera!

– Co takiego? – Podciągam się do pozycji siedzącej, opieram się o ścianę.

– To jest to – mówi. Trzyma litr krwi. Wystarczy dla jednego z nas. – Proszę. – Wyciąga słoik i podchodzi do mnie.

– Nie – ledwie wysapuję, wystawiam dłoń, aby się do mnie nie zbliżał. – Nie pozwól mi, żebym ją powąchała. Mogłabym... Mogłabym próbować z tobą o nią walczyć. – Zakrywam dłonią nos i usta.

– Podzielimy się... – proponuje Russell, ale kręcę głową.

– Nie wystarczy dla nas obojga. Ty powinienes ją wypić... – zaczynam.

– Nie – odparowuje Russell, a gniewny grymas zmienia jego twarz. – Jest dla ciebie!

– Pomyśl o tym, Russ – mamroczę; czuję się naprawdę chora. – Jesteś silniejszy... Jeśli ja ją wypiję, a ty nadal będziesz mieć halucynacje, to prawdopodobnie ostatecznie mnie zabijesz, nawet jeśli uda mi się przynieść krew dla ciebie. Powiedziałeś, że byłeś już tu wcześniej...

– Tak, sześćset lat temu! To miejsce prawdopodobnie się zmieniło! – krzyczy na mnie.

– Russell, jestem tak słaba, że nawet nie mogę wstać. Eion wyssał ze mnie z połowę krwi. Tamta krew jest twoja, bo ty możesz wyjść i przynieść więcej dla mnie, a ja... Ja poczekam tutaj na ciebie – mówię ślamazarnie, czując, że za chwilę wybuchnę płaczem.

– Nie! – krzyczy Russell z uporem.

– Tak! – odcinam mu się ostatkiem sił. – I zwiąż mnie, żeby nie odeszła lub nie spróbowała zrobić krzywdy sobie... Albo tobie. Użyj paska, przywiąż mnie do krzesła, jedno z tych kuchennych krzeseł będzie okay.

– Nie! Zabiorę cię ze sobą – spiera się ze mną, widać ból w jego oczach.

– To będzie wyglądało dziwnie, gdy będziesz niósł anielicę przez miasto w poszukiwaniu krwi. Co, jeśli zauważą nas Upadli? – pytam. Russell jęczy, nie mogąc podjąć decyzji, więc naciskam dalej. – Pospiesz się, Russ. Nie robi mi się ani trochę lepiej, jak siedzisz tu na dupie!

– Potrafisz dokopać! – wypluwa z siebie. – Jesteś najtrudniejsza, irytująca, uparta, zawsze musi być po twojemu! – mówi, a po chwili odkręca pokrywę słoika i przykładą go do warg; opróżnia połowę zawartości kilkoma haustami.

Moje usta robią się wilgotne, gdy patrzę na niego. Wbijam paznokcie w zaciśniętych dłoniach, patrzę w dal, by nie wstać i nie próbować odebrać mu krwi.

Kiedy kończy pić, powoli wstaję, przytrzymując się ściany. Podchodzę do jednego z kuchennych krzeseł. Siadam na nim i sapiąc, rozkazuję:

– A teraz mnie zwiąż.

– Ruda... – zaczyna Russell.

– Kiedy skończysz mnie wiązać, przewróć krzesło, żebym nie mogła się poruszać. Szybciej! – Jestem coraz bliższa tego, żeby go zaatakować i odebrać mu krew. Russ zdejmuje pasek, przewleka go przez oparcie krzesła i wokół moich rąk, a ja skupiam się na tym, by siedzieć nieruchomo.

Russell obchodzi krzesło, poluzowuje oparcie tak, żebym swobodnie na nie opadła.

– Nie umieraj, Ruda – prosi delikatnie. – Obiecuj, że nie umrzesz.

– Nie umrę – mówię słabo, próbuję się uśmiechnąć, lecz przez łzy nie widzę jego twarzy. – Obiecuję.

Russell odskakuje i znika z domu z głośnym trzaskiem drzwi. Zamykam oczy. W domu panuje cisza jak w grobowcu; jedyny odgłos to mój nierównomierny oddech, który przechodzi przez wysuszone wargi. Robi się coraz ciszej, gdy oddech zaczyna zwalniać, a ja resztkami sił, świszcząc, wypowiadam:

– Reed... Reed... Reed...

Jakby odpowiadając na moją mantrę, z każdego zakamarka kuchni opływają mnie syczące szepty: „Genevieve... Opierasz się... To sprawia, że bardziej cię pragniemy”. Otwieram oczy, cienie błyskają i nikną, poruszają się jak chrząszcze na ścianach, jak okropne potwory Werree.

– Nie... Was tutaj nie ma! – krzyczę na nie ze łzami spływającymi po policzkach, a mój oddech znów staje się nieregularny.

Zapach krwi Eiona napływa do mnie z piętra wyżej, oczy zachodzą mi mgłą w agonii. Wyprężam się, walczę ze skórzanym paskiem trzymającym moje dłonie, chcę iść do Eiona, nakarmić się jego martwym ciałem. Kilkukrotnie uderzam głową o oparcie krzesła, próbuję się przewrócić tak, aby się stąd wydostać. Moja głowa jest lepka, tak jakbym ją sobie rozciąła, a dezorientacja powoduje, że znów opada na oparcie.

Słyszę hałas dochodzący z przedpokoju za kuchnią. Wzdrygam się, wyobrażając sobie każdy typ potwora, którego spotkałam, bo wydaje właśnie takie odgłosy. Jęcząc, próbuję podnieść głowę, żebym mogła zobaczyć przejście.

Złoty błysk ostrza strzały wbija się w ramę drzwi. Moje oczy rozszerzają się, śledzą lot strzały i zatrzymują się na delikatnie wyglądających opuszkach palców, które pociągnęły cięciwę naprężonego łuku.

Głęboki, drżący wydech wychodzi ze mnie, gdy piękna, blada twarz anielicy

spogląda na mnie poza cięciwą łuku. Jej atramentowoczarne skrzydła unoszą się groźnie, a oczy zwężają się, gdy spogląda na mnie z ponurym wyrazem twarzy. Przekraczając próg kuchni, nie opuszcza łuku, lecz cofa ramię, jeszcze bardziej napinając cięciwę.

– Ty nie jesteś prawdziwa – bełkoczę do niej, znów gapię się w sufit i czekam, by zobaczyć, czy zjawa zmieni się w coś innego lub zniknie.

Słodka, łagodna muzyka wypływa z jej warg, słowa brzmią tak, jakby mówiła do mnie w języku aniołów. Lecz jeśli naprawdę stoi tutaj, to jej kpiący wyraz twarzy powiadamia mnie, że nie jest przyjaźnie nastawiona.

– Bla, bla, bla – mruczę słabo. – Jesteś moją halucynacją. Powinnaś wiedzieć, że nie mówię językiem aniołów.

Zbliża się do mnie, spogląda z góry, chwyta podstawę krzesła i gwałtownie stawia je pionowo. Nachyla się tak, by nasze oczy znajdowały się na tym samym poziomie. Jej czarne włosy opadają na twarz; znów mówi w swoim języku. Czubek strzały niebezpiecznie zbliża się do mojej głowy.

– Okay... – Oblizuję wargi. – Teraz wydajesz się bardziej prawdziwa.

Ze skrzywioną miną anielica o czarnych skrzydłach stawia stopę na moim krześle, które przesuwam po podłodze, a ono uderza w ścianę za mną; boleśnie wykręcają mi się ramiona.

– Ty dziwko! – krzywię się, moje skrzydła trzepoczą, co sprawia mi niemiłosierny ból. Próbuję odpowiedzieć na jej atak, ale moje dłonie są nadal uwięzione za plecami.

I znów piękna muzyka wydobywa się z jej ust.

– Ja nie mówię w języku aniołów! – odkrzykuję do niej, napinając dłonie w kolejnej próbie ich uwolnienia.

Jej palce rozluźniają się, wypuszczając cięciwę i wysyłając strzałę – ta spiralnie leci ze śmiertelną prędkością w moim kierunku. Rzucam się w lewą stronę; podbijając krzesło, unikam strzały wycelowanej w moje serce. Grot wbija się w ścianę za mną. Uderzając o podłogę, krzesło rozpada się, a to uwalnia mi ręce.

– Russ-el – krzyczy nieznajoma, wyciągając następną strzałę z kołczanu przypasanego do boku. Anielica wygląda jak wytrenowany zabójca; obcisły, czarny strój otacza każdy łuk jej ciała, tak aby nie było żadnego luźnego kawałka ubrania, za który przeciwnik mógłby chwycić.

– Poczekaj... – Z trudnością staję i pocieram odrętwiałe dłonie. Zawroty głowy pokonują mnie; opadam plecami na ścianę, osuwam się po niej na podłogę.

– Russ–el – powtarza przez zęby, naprężając cięciwę łuku i celując kolejną złotą strzałą w moją głowę.

– Ruda! Znalazłem krew! – słyszę, jak Russ wydziera się, wpadając przez drzwi kamienicy, ciężko biegnie przez hol w stronę kuchni.

– Russell, nie! – krzyczę.

Czarnooka anielica odwraca się na głos Russella, opuszcza łuk.

Russell wchodzi do kuchni, nagle jego twarz zmienia się – wyraz ulgi zastępuje mina wyrażająca pełną dezorientację. Russ zamiera w bezruchu, analizuje to, co widzi.

– Choleeera, Ruda – wypowiada, gapiąc się na anielicę na środku pokoju. Jego dłoń wędruje do brzucha, lekko go dotyka. Zwraca wzrok ku mnie, siedzącej bez sił na podłodze.

– Russell – szepczę. – Uciekaj.

## Rozdział 7

### *Nie budź mnie*

RUSSELL

Skanując połamane krzesło kuchenne obok Rudej, moje oczy szybko wędrują do jej bladej twarzy, a po chwili koncentrują się na czarnoskrzydłej anielicy między nami. Znów łapię się za brzuch – faluje i podskakuje tak, jakby był wypełniony konikami polnymi. Moja twarz ciemnieje. Powoli odstawiam pod ścianę pojemnik, który trzymam. Moje skrzydła rozkładają się jak wielkie oślepiające bannery. Wcześniej to był dla mnie znaczny wysiłek, aby je wciągnąć, lecz teraz czuję ulgę, gdy się rozłożyły.

– Ruda, kto to jest? – pytam, ostrożnie robiąc krok w kierunku nieznajomej anielicy. Ruda pół siedzi, pół leży na podłodze oparta o ścianę.

Czarne skrzydła intruzki rozkładają się szeroko, zasłaniając mi widok Rudej swoją okazałością i imponującą długością. Badam wzrokiem twarz anielicy; piękne, zielone oczy śledzą każdy mój ruch. Jej skrzydła trzepoczą nerwowo, poruszając długie, czarne, gęste włosy.

– Nie wiem – mówi szeptem Ruda. – Ale ona nie jest przyjazna. Musisz już iść. – Rozdzierający ból czai się w jej głosie. Znam to cierpienie. Prawdopodobnie czuje się tak, jakby kamieniały jej żyły.

– Tak... tak się nie stanie – też szepczę; powinienem się spocić, lecz jest mi potwornie zimno, jakbym już nigdy nie miał się rozgrzać. – Czego chcesz? – żądam odpowiedzi od nieznajomej w kuchni. Moje dłonie słabną i chcę je oprzeć na biodrach, ale nie dają rady.

Przechylając głowę, wpatruje się w moją twarz. Nieskazitelna skóra rumieni się, delikatny róż gości na policzkach. Po chwili jej wzrok przyciąga moja szyja, a idealna twarz się krzywi. Piękna muzyka płynie wartkim potokiem anielskich słów. To brzmi tak, jak gdyby Buns rozmawiała z Zefirem po anielsku. Anielica zbliża się do mnie, a ja asekuracyjnie robię krok w tył.

Przestaje mówić i tylko patrzy na mnie. To milczenie trwa dość długo, zanim

czarnowłosa piękność coś jeszcze dodaje. Jej oczy wyglądają dziwnie, jakby oczekiwała ode mnie innej reakcji. Śledzę jej wzrok i zauważam, że spogląda na moją pierś; gapi się na krew, która ciągle się sączy z miejsc ugryzienia przez Gankanagów.

Dotykam lekko swojej szyi.

– Tak... dopadli mnie krwio pijcy – przyznają łagodnie. – Dopadli też moją dziewczynę. Muszę dać jej krew... żeby tak bardzo nie cierpiała – próbuję wyjaśnić, pokazując na Rudą, która leży na podłodze za nią. Podnoszę przyniesiony pojemnik i znów próbuję ostrożnie obejść piekielnie seksowną anielicę.

Kolejny raz staje przede mną, unosi łuk i celuje we mnie strzałą ze złotym grotem.

– Okay, posłuchaj... – Wystawiam obie dłonie przed siebie, aby powstrzymać ją przed strzeleniem do mnie. – To jest krew. – Demonstracyjnie potrząsam pojemnikiem. – Muszę ją dać tej dziewczynie za tobą. Nigdy byś nie uwierzyła, ale ten sklep mięsny, który tu był sześćset lat temu, nadal istnieje. – Stawiam kolejny krok w stronę Rudej, udając, jakby nic się nie stało i wszystko było pod kontrolą. – Mogłabyś powiedzieć, że to zbieg okoliczności, ale według mnie to wszystko zostało zapisane w olbrzymiej księdze strategii, a ja przeanalizowałem tę strategię i jedyne, co muszę zrobić, to wprowadzić ją w życie.

Więcej muzyki płynie z jej ust, kiedy patrzy na mnie zza cięciwy łuku. Biorę głęboki wdech i dodaję:

– Wiem, że to brzmi poważnie... i widzę, że wszystko co mówisz do mnie, bierzesz bardzo serio, ale musisz zejść mi z drogi, inaczej zaraz zwariuję, jeśli nie pozwolisz mi tego dać mojej dziewczynie.

Przesuwam się obok czarnoskrzydłej, aby opaść na kolana obok Rudej. Otwieram pokrywę pojemnika, podnoszę głowę Rudej, tuląc ją jak dziecko, dotykam krawędzią pojemnika do jej warg. Pije gęsty, powoli krzepnący płyn, a krwawe strużki znaczą ścieżkę na jej brodzie i opadają na mały bezrękawnik.

– To jest to, Ruda, pij więcej, skarbie – szepczę do niej, widzę, jak na moje słowa otwierają się jej oczy.

Unosi dłonie do pojemnika, dociska go do ust, łapczywie ciągnąc płyn, jakby umierała z pragnienia.

Anielica warczy za mną, więc prężę się nerwowo.

– Jeszcze sekunda... zaraz tobą się zajmę – rzucam przez ramię; odsuwam Rudej włosy z twarzy. Mruczę: – Wszystko będzie dobrze. Już cię nigdy nie zostawię.

Niemal natychmiast czuję, jak coś uderza mnie w głowę. Chwytam się za szyję. Przed oczami wirują mi czarne plamy, a każdy dźwięk dochodzi jakby z oddali. Kolejny cios w tył głowy sprawia, że upuszczam Rudą, opadam na nią, a wszystko robi się ciemne.



Budzę się, widzę jak przez mgłę, a w pobliżu słychać ogłuszający gwizd. Głowa mi pęka, jak po całonocnym picciu tequili z pięknymi *señoritas* na meksykańskim *Cinco de Mayo*, a ja całą noc bym pił tequilę z. Unoszę głowę w kierunku, z którego dochodzi ten dźwięk, widzę czajnik na kuchennym palniku emitujący przez gwizdek strumień pary. Próbuję się poruszyć, ale odkrywam, że to niemożliwe. Grube łańcuchy owinięte wokół mojego pasa przytwierdzają mnie do krzesła w kuchni. Ręce mam związane za plecami podobnymi łańcuchami.

Spoglądając dalej, widzę Rudą w podobnej pozycji, przywiązaną do krzesła obok mnie. Podbródek opada na jej pierś, ale wygląda, jakby jeszcze oddychała. Szarpie łańcuchy, brzęczą metalicznie za moimi plecami. Woda na kuchni wrze nieprzerwanie do chwili, gdy piękna młoda kobieta o sprężystej figurze wchodzi do kuchni i zdejmuje czajnik z palnika. Skrzydła ma wciągnięte, włosy upięte w elegancki kucyk, lecz nadal rozpoznaję w niej groźną anielicę z czarnymi skrzydłami.

Wyciąga z szafki dwa kubki, napełnia jeden z nich gorącą wodą i wrzuca torebkę herbaty, aby naciągnęła. Podnosi stojącą na blacie butelkę whisky, nalewa szczodłą ilość do drugiego kubka. Zerka przez ramię na mnie i jej wzrok spotyka się z moim. Zachowując kamienną twarz, odwraca się, podchodzi i stawia kubek whisky na stole przede mną. Wyciąga rękę i delikatnie odsuwa mi kosmyk włosów z czoła.

– Przebrałaś się. To jakiś sweter Reeda? – pytam szorstkim głosem.

Jej brwi stają się łagodniejsze, gdy dotyka mojego policzka smukłymi palcami. Zapach czarnowłosej powoli dociera do mnie i coś łopocze w moim umyśle jak szept nękający mnie przeszywającym... pragnieniem.

Przełykam z trudnością, walcząc z zaciskającym się gardłem.



– Uwolnisz mnie czy nie? Ponieważ przez ciebie zaczynam totalnie wariować – wyznaję uczciwie, próbując poluzować łańcuchy krępujące mi ręce. – Nie zrozum mnie źle, to jest dziwnie ekscytujące i w innych okolicznościach prawdopodobnie uznałbym to nawet za podniecające... ale właśnie teraz muszę powiedzieć, że to jest naprawdę podejrzane. – Rozluźnię ramiona, usiłując odsunąć tułów od krzesła, lecz mam do niego przywiązane barki.

Gruchający dźwięk wydobywa się z ust nieznajomej anielicy, gdy ta przyciska swój palec do moich warg, muskając je z wdziękiem, co przyprawia mnie o dreszcze. Pochyla się i teraz nasze spojrzenia się spotykają.

– Russ–el – mówi, by po chwili zmienić język na anielski, a w jej spojrzeniu widoczne jest zatroskanie. Lekko dotyka mojej piersi w miejscu, gdzie nadal krwawię od ugryzień Keefe’a. Odsuwa palce, by pokazać mi krew na ich koniuszkach.

– Tak, wiem, że krwawię – odpowiadam, znów spoglądając w jej oczy. – Uwolnij mnie, a ja wezwę swoich przyjaciół, oni będą wiedzieć, jak to zatamować.

Marszczy brwi, spogląda na stół, unosi kubek do moich ust.

– Hola, poczekaj! Przestań! – prychnam, kręcę głową, nie pozwalam sobie napić.

Odsuwa kubek od moich ust z nachmurzoną miną.

– To czysta whisky! Nie dam rady wstać, jeśli to wypiję – wyjaśniam szybko.

Mimo to przystawia naczynie do mojej twarzy i ponownie próbuje mnie napić. To, co wpada do ust, natychmiast wypływam na nią ze złością.

– Ja tego nie piję! – cedzę przez zęby.

Zdenerwowana odstawia kubek na stół, wycierając z rękawa swetra wyplutą przeze mnie whisky. W rozmazanym ruchu anielskim piękność podchodzi do blatu. Dzierżąc w dłoni bardzo ostry kuchenny nóż, unosi za włosy głowę Rudej i przytrzymuje ostrze przy jej szyi, obserwując moją reakcję.

O mało co nie zwariuję, wściekam się i rzucam, próbując rozerwać łańcuchy. Czuję, jak przecinają moje nadgarstki. Kiedy jestem już wycieńczony tą akcją, siadam nieruchomo. Sapiąc i groźnie patrząc na agresorkę, fantazjuję na temat sposobów powolnego jej zabicia.

Odsuwa nóż od szyi Rudej, kładzie go na stole i po raz kolejny unosi kubek z alkoholem. Delikatnie przysuwa go do moich warg, przechyla tak, abym napił

się odrobinę, lecz ja ponownie odmawiam; whisky spływa po mojej twarzy, gdy ostentacyjnie patrzę w oczy anielicy.

Odsuwa kubek. Prawie desperacko wbijając w niego wzrok, zbliża go do swoich ust i bierze duży łyk. Niemal natychmiast krztusi się i kaszle, jej oczy napełniają się łzami na skutek działania mocnego alkoholu. Po tym, jak odzyskuje oddech, stawia kubek na stole. Podnosi nóż i idzie z nim w stronę kuchenki. Kładzie go na jednym z palników i przekręca kurek z gazem. Płomień podskakuje dookoła ostrza noża. Dziewczyna wcale na mnie nie patrzy, gdy nóż grzeje się na palniku; stoi z opuszczoną głową, jakby cierpiała.

Po kilku minutach podnosi rozgrzany do czerwoności nóż. Moje nozdrza zaczynają poruszać się ze strachu.

– Ach, daj spokój... Co ty wyczyniasz? – pytam ze strachem.

Prostuje ramiona i zbliża się do mnie.

– Nie musisz tego robić... Dlaczego to robisz? – Wbijam wzrok w rozgrzane do czerwoności ostrze. Mocno napinam łańcuchy i walczę, jakbym ponownie znajdował się w podziemiach kościoła zła. Zmieszane ślina i pot spływają mi z podbródka.

Staje za mną. Po chwili ta piękna syrena o zielonych oczach przykłada rozgrzany nóż do moich pleców, co powoduje nagły skurcz mięśni. Zamykam oczy, krzycząc z bólu. Sapię i próbuję nie zemdleć, czuję, jak odsuwa metal od mojej skóry, a zapach palonego białka dociera do moich nozdrzy. To przenosi moje myśli do ołtarza kościoła zła i tortur, które zadał mi Valentine.

Zaciskając zęby, krzyczę:

– Już jesteś martwa! Zabiję cię! Będziesz żałować, że kiedykolwiek mnie spotkałaś!

Przykłada ostrze w innym miejscu. Pałący ból wybucha, powodując, że moje plecy spinają się w łuk, a ja znów się drę wniebogłose. Odchodzi ode mnie, aby nagrzać nóż, i nie próbuje patrzeć mi w oczy, kiedy wraca, powtarzając cały proces. Kiedy przenosi proces przypalania na moją pierś, pochylam się, próbując uderzyć ją głową, lecz jestem tak osłabiony, że ledwo ją trzymam prosto.

Anielica chwyta moją głowę, obejmuje ramieniem i dociska do swojej twarzy. Trzyma mój policzek przy swoim policzku, szepcząc szorstkie słowa, które już nie brzmią tak melodyjnie jak wcześniej. Kiedy próbuję się od niej odciągnąć, odmawia, trzymając mnie w tej samej pozycji kilka minut. Kiedy się nie ruszam, puszcza mnie. Wraca do kuchenki i ponownie zaczyna ogrzewać

nóż. Mój podbródek opada na pierś, czekam na walkę, kiedy zbliży się czarna.

Nie słyszę, kiedy wraca, ale już nie ma noża, przykłada zimną tkaninę do moich pleców i ociera oparzenia. Początkowo wzdrygam się, lecz ona zostawia materiał przyklejony do moich pleców tak, aby chłód odrobinę złagodził ból.

Otwieram oczy i widzę, jak nieznajoma do mnie podchodzi. Klęka obok mnie i przytrzymuje moją pierś, żebym nie przesunął się do przodu. Unosi nóż, a ja obserwuję, jak przykłada go do krwawiącego śladu ugryzienia, przypalając ranę. Gdy to robi, jej zęby zaciskają się, napinając jej delikatną szczękę. Ciemne, łukowate brwi zbliżają się do siebie, gdy odchyła głowę, jakby zmuszając się do oglądania mojej skwierczącej skóry. Jej nozdrza poruszają się, kiedy zapach palonego ciała dociera do niej – wygląda, jakby ją dusił.

– Ty próbujesz mi pomóc – mówię słabo, ogarniają mnie narastające mdłości.

Ona znów mnie dotyka, kładzie dłoń na moim policzku. Gdy kontynuuje przypalanie ugryzień, moje ciało drży i zaczyna stawać się odrętwiałe. Lecz kiedy przechodzi do szyi, napinam łańcuchy, jęcząc i próbując odsunąć się od niej.

W końcu ode mnie odchodzi. Moja głowa zwisa niemal bezwładnie; obserwuję, jak dziewczyna podchodzi do blatu. Kładzie na nim obie dłonie i spuszcza głowę. Potem bierze miękką ścierkę z szuflady i zanurza ją w filiżance herbaty, którą wcześniej zaparzyła. Odrobinę wyciska materiał i otwiera zamrażarkę. Wyciąga trochę lodu, zawija kostki w ścierkę z herbatą i wraca do mnie. Przytrzymuje opatrunek przy mojej szyi, w miejscu, gdzie mnie przypaliła.

– Jak masz na imię? – pytam, walcząc z nudnościami i zawrotami głowy.

Tylko cisza odpowiada na moje pytanie. Nieznajoma nie przestaje łagodzić oparzeń. Staje przede mną, klęka tak, że nasze twarze są na tym samym poziomie. Wyciera moją twarz, próbując zaczesać mi włosy za uszy.

– Twoje imię... Jakie jest? – pytam po raz kolejny, próbując nawiązać z nią kontakt wzrokowy.

Przerywa na chwilę, aby powiedzieć coś w języku aniołów.

– Jestem Russell. Jak masz na imię? – mówię raz jeszcze.

– Russ–el – powtarza, obdarowując mnie posępnym uśmiechem.

– Tak, to ja, Russ–el – potwierdzam, naśladowując jej mimikę, gdy wypowiada

moje imię. – Jak mam cię nazywać? – Wskazuję na nią podbródkiem.

Jej twarz zmienia się wtedy, a oczy uważnie wpatrują się w moje. Wygląda tak smutno. Trzymając obie dłonie na piersi, szepcze:

– Anya.

– Anna? – upewniam się, ale kręci głową i łzy napływają jej do oczu.

Pochrząkuje i ze wzrokiem utkwionym gdzieś w dal mówi:

– An–ya.

– An–ya? – powtarzam, a ona przytakuje, nie patrząc na mnie.

Wstaje z kolan i staje za mną. Łańcuchy brzęczą i luzują się, zanim ostatecznie opadają z moich nadgarstków.

Anya pospiesznie odsuwa się ode mnie, wraca do blatu przy kuchni. Podnosi nóż i trzyma go przed sobą, jakby broniła się przede mną. Uwolnionymi rękami pospiesznie pozbywam się pozostałych łańcuchów, które przytrzymały mnie na krześle. Pochylając się, pocieram nadgarstki, próbując przywrócić w nich krążenie.

– Jedno miejsce ominęłaś... – Unoszę nadgarstek, aby pokazać Anyi ugryzienie Eiona na moim ramieniu.

Szybko zamyka oczy na widok sączącej się krwi. Odwraca się i kładzie nóż na palniku.

Gdy nóż jest znów gorący, zdejmuję go z palnika. Powoli podchodzi do mnie, obserwując moją twarz. Spokojnie kładę dłoń na stole. Widząc kubek whisky, unoszę go drugą ręką i osuszam z całej zawartości w kilku łykach. Pałący alkohol powoduje, że moje oczy trochę łzawią. Anya stoi obok mnie, próbując wręczyć mi rękojeść noża, abym mógł sam zająć się tą raną.

Kręcę głową.

– No co ty, chyba teraz nie zamierzasz przestać, prawda? Już nieźle mnie przypiekłaś i mogłabyś dokończyć tę robotę. – Uśmiecham się ironicznie.

Waha się, lecz po chwili pochyla się nad moim ramieniem. Jej dłoń drży, kiedy przykładła mi nóż do nadgarstka, wypalając ze mnie wszystkie ślady Gankanagów. Moja pięść zaciska się, a ja zamykam oczy, usiłując nie poruszyć nadgarstkiem. W parę chwil już jest po wszystkim. Anya odsuwa ode mnie nóż, rzuca nim mocno, a ten wbija się w odległą ścianę.

– Dziękuję ci, Anyu – mówię ponuro i otwieram oczy.

Opada na kolana przede mną i kładzie głowę na moich nogach. Słyszę, jak szlocha, a jej ciało całe drży, gdy po policzkach spływają łzy. Zmieszany, kładę dłoń na jej głowie, powoli gładzę włosy, ale ona nadal płacze, jakby zmarł jej najlepszy przyjaciel.

– Cii – mruczę kojąco. – Wszystko w porządku. Teraz musimy zająć się moją dziewczyną, Evie. – Spoglądam na Rudą. Jest nadal nieprzytomna i przywiązana do krzesła.

Anya powoli unosi głowę z moich kolan, jej oczy stają się węższe, gdy grzbietami dłoni ociera sobie łzy.

– Nie Ev–ie – sączy przez zęby.

– Co? – pytam zaniepokojony gniewem, który widzę w jej oczach.

– Nie Ev–ie – powtarza, wskazując na Rudą. Potem mówi coś po anielsku i wygląda, jakby naprawdę była na mnie zła.

Rozkładam ramiona.

– Okay, okay... Co do... Dlaczego tak się wściekasz na mnie?

Zdejmuje sweter, odrzuca go, pozostawiając na sobie za duży T-shirt, który też pewnie należy do Reeda. Naciągając dekolt koszulki, pokazuje tatuaż nad sercem. To jest obraz głęboko czerwonych skrzydeł Serafina wtopiony w jej delikatną skórę – znak związania się z kimś. Wskazując na ten symbol, nachyla się, bym mógł się mu bliżej przyjrzeć, a po chwili wyciąga rękę i gładzi pióra na moim skrzydle. Śledzę wzrokiem jej dłoń na karmazynie moich piór.

– Russ–el, Anya *aspire*... Nie Ev–ie. – Robi skrzywioną minę. – Russ–el bratnia dusza. – Po chwili bierze moją dłoń i kładzie na swoim sercu, wyznając ponownie: – Russ–el *aspire*.

Odsuwam swoją dłoń od niej, czując, jakby znów mnie przypalała.

– O czym ty mówisz, Anyu? Nawet cię nie znam! Nigdy w życiu cię nie widziałem! – Rozglądając się zakłopotany, spoglądam na swoją pierś, nie widzę na niej nic wypalonego, żadnego znaku związania, takiego jak pokazuje Anya. – Myślę, że masz nie tego faceta, bo ja nie noszę obrączki – wyjaśniam, stukając się palcem w pierś.

Marszczy brwi, gryząc dolną wargę. Kręcąc głową, mówi do mnie nieugięcie:

– Russ–el *aspire*.

– Nie znam cię – odpowiadam poirytowany; robi mi się niedobrze. Łupie mnie w głowie i jedyne, o czym teraz marzę, to położyć się na kuchennej

podłódze, ale nie mogę tego zrobić, bo Ruda nadal potrzebuje pomocy.

Wstaję i prawie upadam z powrotem, chwytam stół przede mną, aby się wesprzeć i poczekać, aż zawroty głowy miną. Prostuję się i idę do odległej ściany. Wyciągam sterczący z niej nóż, biorę go do zlewu i oczyszczam. Potem uruchamiam palnik i ogrzewam ostrze, aby użyć je na Rudej.

Z ponurą miną wracam do Evie, odsuwam włosy z jej twarzy.

– Ruda? Słyszysz mnie? – pytam. Kątem oka widzę, jak Anya wychodzi. Nie patrzy na mnie, ale po prostu idzie zgarbiona, oplatając się ramionami. Coś zmienia się w moim sercu, jakby było łamane od środka.

– Anyu, poczekaj! – wołam, ale nie wraca. Po kilku sekundach trzepoczące koniki polne w moim brzuchu znikają, ale czuję się gorzej niż przedtem.

– Evie... – Szturcham ją delikatnie i poklepuję policzki, żeby ją ocucić. Jęczy, nie otwierając oczu. – Evie, zajmę się teraz twoimi ugryzieniami. Może to i lepiej, że się nie budzisz. – Przynoszę nóż z kuchenki. Zauważam butelkę whisky na blacie, unoszę ją, biorę głęboki łyk i wycieram usta grzbietem dłoni.

Widząc, jak krew wycieka z uda Rudej, właśnie od niego zaczynam, dociskając nóż do rany. Oczy Evie otwierają się szeroko, gdy straszny krzyk wydiera się z jej ust. Patrząc na mnie dzikim wzrokiem, wrzeszczy:

– Russell! Ty totalny dupku! Przestań! – Odejmuję nóż, czując swąd.

– Chętnie bym przestał, Ruda – mruczę zrezygnowany, obserwując, jak się ode mnie odsuwa. – Obiecuję, że dam ci spokój, gdy wszystko będzie dobrze.

– O cholera, Russell! – sapie z bólu. – Nienawidzę tej części! Boże, jak ja nienawidzę tej części!

– Tak samo było ostatnim razem? Kiedy zostałaś pogryziona przez Brennusa?  
– Biorę kolejny łyk whisky.

Przytakuje, nie spuszczać oczu z butelki w mojej dłoni.

– Ej, daj mi trochę tego – szepcze, wskazując brodą flaszkę.

Ostrożnie przystawiam butelkę do jej ust, pozwalając jej na dość sporego łyka.

Kaszląc i krztusząc się, łapie oddech.

– Okay, ile mam ugryzień? – pyta ponuro po chwili.

– Na szyi chyba dwa – oceniam, oglądając ją dokładnie. – To chyba tyle.

– Okay – mówi ze stoickim spokojem. – Jestem gotowa.

– Na pewno? – pytam pełen podziwu dla niej.

Przytakuje i zamyka oczy, zanim przykładam nóż do jednej z ran. Sapiąc i zaciskając zęby, uwalnia potok przekleństw pod moim adresem, których różnorodności nie jest w stanie dorównać żadne przekleństwo usłyszane w męskiej szatni. Nie bacząc na sytuację, uśmiecham się.

Otwiera oczy i widzi, jak się szczerzę.

– Dobrze się bawisz?

– Tak, to naprawdę niesamowite – odpowiadam z sarkazmem. – Może razem zbudujemy letni domek tutaj. Wrócimy wiosną, kiedy zrobi się cieplej. – Znów daję jej się napić whisky. – Jeszcze jedna i koniec.

– Dawaj – odpowiada szorstko.

Przypalam ostatnią ranę, widzę, jak Ruda zagryza wargę, żeby już nie krzyknąć.

– Zawsze musisz być lepsza – bełkoczę półgłosem, odsuwam od niej nóż i wstaję. Znajduję klucz na stole, rozpinam łańcuchy i uwalniam Rudę z krzesła. Chwytam ją szybko, nie pozwalając jej upaść na podłogę, unoszę ją w ramionach do drzwi.

Kładę Evie na eleganckiej sofie i na oparciu krzesła odnajduję koc, którym delikatnie ją okrywam. Siedząc na drugiej sofie, kładę głowę na oparciu.

– Russell? – odzywa się osłabiona.

– Tak? – pytam, zamykając oczy.

– Co się stało z tamtą anielicą? – szepcze.

– Nie wiem – odpowiadam wycieńczony. – Ona... Nie wiem.

– Myślałam, że mnie zabije – ciągnie Ruda łagodnym głosem.

– Ja też myślałem, że mnie zabije – odpowiadam.

– Tron... czarne skrzydła... Ona była aniołem Tronu... Karma – mruczy Ruda.

– No tak, ona i jej karma. Nieźle mnie przypaliła...

– Uleczyła cię? – pyta sennie Evie.

– Och, myślę, że tak... – odpowiadam zmieszany.

– Dlaczego?

– Nie wiem. – Czuję, jak coś boleśnie napina się w moim sercu. Otwieram

oczy i patrzę na Rudą.

– Wyszła... po tym, jak cię opatrzyła? – pyta Evie, odwracając się w moim kierunku.

– Myślę... Myślę, że ją zraniłem – mówię niskim tonem.

– Jak? Ale wróci? – Ruda nerwowo spogląda na drzwi.

– Nie wiem – odpowiadam znużony, pozwalając opaść swoim powiekom.

– Ale... – zaczyna Ruda, gotowa drążyć temat.

– Cii – syczę poirytowanym tonem. – Głowa mi pęka. Czy możesz być cicho? Czuję się, jakbym przed chwilą został opieczony na rożnie podczas rodzinnej imprezy. Potrzebuję odrobiny spokoju, okay?

– Okay – zgadza się, ignorując mój ton.

Odnoszę wrażenie, jakbym unosił się na powierzchni oceanu, a ja zasypiam z oczami przysłoniętymi przedramieniem.

Chwilę później duszący nacisk na moją szyję sprawia, że gwałtownie otwieram oczy. Reed unosi mnie nad sofą. Trzyma mnie nad ziemią jedną ręką. Natychmiast chwytam ją, próbując odciągnąć jego palce od mojego gardła.

– Podaj mi choć jeden powód, dla którego nie powinienem cię zabić, Russell, i nie mów, że dlatego, że Evie się wścieknie, ponieważ to już nie ma dla mnie znaczenia – syczy Reed śmiertelnie spokojnym głosem.



## *Rozdział 8*

### *Jesteś kim?*

Jestem całkiem pewien, że Reed nie chce, bym mu odpowiedział, bo nacisk na moją szyję zwiększa się i nie ma szans, żebym przemówił. Stopy zwisają mi nad ziemią, charczenie wydobywa się ze mnie falami. Lecz sekundę później, ktoś wpada do pokoju i rzuca się na Reeda.

Opadam na ziemię. I dobrze, to pozwala mi zaczerpnąć tchu. Rozmazane ruchy aniołów zwartych razem w groźnej walce błyskają przede mną. Meble przewracają się i rozpadają w drzazgi, kiedy skrzydła uderzają we wszystko dookoła. Reed musiał mieć przewagę, bo piękna czarnoskrzydła anielica zostaje rzucona o odległą ścianę. Osuwa się po niej, wygląda na zaskoczoną przez ułamek sekundy, później zaczyna warczeć. Wstaje i pędzi na Reeda. Evie wyskakuje, słysząc warczenie i cały ten chaos. Anya okłada Reeda. Na ten widok oczy Evie zwężają się, a skrzydła rozkładają dookoła niej.

Warząc na Anyę, rzuca się w jej kierunku, lecz ja chwytam ją w talii, odciągając od tej rozróby.

– Reed! Przestań! – wydzieram się na niego, widząc, jak podnosi anielicę i znów ciska nią o tę samą ścianę.

Reed przyjmuje pozycję obronną pomiędzy Anyą i nami, mówiąc do niej pospiesznym potokiem słów w języku aniołów. Trzymając się za żebra, Anya tym razem nie wstaje, tylko siedzi na podłodze i dysząc, złowrogo patrzy na Reeda.

Widząc torbę przy drzwiach, upuszczoną pospiesznie, podchodzę i ją podnoszę. Jest wypełniona chlebem i serem. Odwracam się i staję u boku Anyi. Gdy jestem obok niej, osuwam się po ścianie, aby usiąść. Oczy anielicy wyrażają ból, gdy wręczam jej torbę.

Reed trzyma Evie w ramionach, tuli ją u boku, gładząc jej skrzydło. Lecz jego oczy są utkwione w Anyę i we mnie, wygląda na zdenerwowanego i zdezorientowanego.

– Russell, kto to jest? – pyta.

– Nie wiem. Powiedziała, że ma na imię Anya, ale nie sędzę, żeby mówiła w jakimkolwiek ludzkim języku – odpowiadam. Brzuch znów pulsuje mi dziko.

Reed ponownie przemawia do Anyi w języku aniołów. Ona unosi podbródek, lecz nic nie odpowiada na to, o cokolwiek ją pyta. Reed mruży oczy, puszcza Evie, przesuwa się bliżej, wyciągając nóż i przechylając głowę; wygląda śmiertelnie niebezpiecznie.

– Co ty robisz? – zwracam się do Reeda. Czuję, że muszę stanąć pomiędzy nimi, zanim wydarzy się coś naprawdę złego.

– Ona nie odpowiada na moje pytania, Russell – mówi miękko Reed. – To nie do zaakceptowania. Ja po prostu zaraz sprawię, że ta panna odzyska głos.

– Poczekaj! Zaraz! – wrzeszczę, gdyż wszystko wymyka się spod kontroli. – Myślę, że ona broniła mnie. Ona weszła, a ty wtedy... Prawdopodobnie myślała, że chciałeś mnie zabić.

– Bo ja chciałem cię zabić – przyznaje Reed spokojnym tonem. – I robiłem to bardzo powoli.

– Reed! – wtrąca się Evie obrażonym głosem.

– Russell, kim ona jest? – ponownie pyta Reed.

– Nie wiem! – krzyczę, gotowy rzucić się na niego, jeśli się do niej zbliży. – Ale... – Waham się, zerkając na Anyę. – Ona ma... Ma... – Milknę.

– Co ona ma, Russell? – Reed spogląda spode łba.

– Ma taki tatuaż... Na sercu – odpowiadam zmieszany.

– Znak przysięgi związania się? – pyta Reed, a jego zmarszczone czoło się wygładza.

– Tak, coś takiego.

Znów mówi coś do Anyi, a ona mruży oczy i mu odpowiada.

– Ona mi nie ufa – informuje Reed.

– Może dlatego, że właśnie próbowałeś ją zabić – cedzę z sarkazmem. – Co takiego powiedziała?

– Tak ogólnie to kazała mi się wypchać i iść do Szeolu, gdzie jest moje miejsce – odpowiada ponuro.

– I to wszystko? – Z trudem kryję uśmiech.

– Niezupełnie. Jeszcze: że osobiście dopilnuje, żeby każdy Tron usłyszał o mnie, i umieścił mnie na liście płac karmy. – Krzywi się.

– To źle?

– To niedobrze, Russell – odpowiada oschle Reed. – Ona myśli, że jestem tutaj, żeby zrobić ci krzywdę. Musimy ją zapewnić, że nie zamierzam cię zabić.

– Jak to zrobimy?

– Czemu nie usiądziemy wszyscy w kuchni? – sugeruje spokojnie Reed, wycofuje się o krok i prostuje.

– W kuchni nie będzie dobrze. Połamaliśmy prawie wszystkie krzesła – zauważam.

Reed się rozgląda.

– No tak, salon jest zniszczony. Może na górze?

– Martwi kolesie na trzecim piętrze – oświadczam.

– A co z jadalnią na drugim? – uprzejmie dopytuje Reed.

– Powinno być spoko – odpowiadam.

– Fajnie, ja poprowadzę Evie, a ty weźmiesz Anyę. – Reed bierze Rudą w ramiona, a jego oczy wędrują milimetr po milimetrze po jej twarzy.

Podnoszę się i podaję dłoń Anyi z nadzieją, że ją przyjmie i Reed nie spróbuje ponownie zaatakować. Ostrożnie wkłada swoją dłoń w moją, pozwalając mi się podnieść. Trzyma rękę przy swoich żebrach, jakby jej przeszkadzały. Niemal natychmiast jej skrzydła składają się za plecami, sprawiając, że Anya wygląda prawie jak człowiek. Otwiera torebkę i wyciąga z niej T-shirt. Zakłada go na swój obcisły czarny strój. Potem spogląda na mnie.

Powoli biorę ją pod rękę i prowadzę w stronę klatki schodowej. Zabiera ze sobą torbę. Kiedy idziemy razem, jej oczy skanują moją twarz, jakby chciała zapamiętać każdą linię. Wchodzimy do królewskiego apartamentu na drugim piętrze, odstawiam eleganckie krzesło dla Anyi i pomagam jej usiąść.

Kiedy już siedzi, zajmuję miejsce obok niej. Reed i Evie sadowią się po drugiej stronie stołu, twarzami w naszym kierunku. Rozglądam się po pomieszczeniu, za Reedem i Evie znajduje się kilka okien wzdłuż ściany. Niebo na zewnątrz jest ciemne; śnieg opada miękko.

Reed przemawia do Anyi po anielsku, próbując się uśmiechnąć, ale ona sroży brwi. Pokazuje na okno za nim, czeka, aż Reed i Evie odwrócą się przez ramię,

i szybko chwyta świecznik z blatu. Ukrywa go na kolanach pod stołem, zamiera w bezruchu, kiedy ci dwoje odwracają się do niej.

– Czy ona właśnie wzięła świecznik? – zagaduje Reed.

– Tak – odpowiadam. – A co takiego powiedziała, że się odwróciliście?

– Zapytałem ją, czy właśnie przybyła na Ziemię. Odpowiedziała, że tak i że nie jest przyzwyczajona do zimna i do śniegu – odpowiada Reed.

Drobny uśmiech wypełza z kącików moich ust, ale po chwili uznaję, że ona pewnie się boi i dlatego zabrała świecznik. Może myśli, żeby go użyć jako broni do samoobrony. Impulsywnie sięgam po jej dłoń pod stołem. Przestraszona wzdryga się trochę, blednie, zanim orientuje się, co robię. Zimne palce anielicy mocno ściskają moje i czuję, że jej dłoń drży odrobinę.

– Może byłoby lepiej, gdyby to wyglądało tak, jakbym to ja zadawał pytania, a ty je tłumaczył...? – Patrzę na Anyę, jej zielone oczy obserwują mnie.

Reed mówi coś do niej po anielsku i Anya przytakuje. Cały czas jest skupiona na mnie. Jej zielone oczy stają się łagodniejsze, gdy ja w nie spoglądam.

– Och... – Mam trudności ze skupieniem myśli, kiedy tak się na mnie gapi. – Dlaczego tu jesteś?

Reed tłumaczy to Anyi. Ona słucha, a potem wzdryga ramionami. Jej głos jest delikatny, kiedy odpowiada, jakby mówiła tylko do mnie.

– Powiedziała, że musiała przybyć – tłumaczy Reed. – Martwiła się o ciebie.

Moje brwi unoszą się z zaciekawienia.

Reed słucha Anyi, gdy ta znów przemawia.

– Powiedziała, że miała się nie mieszać, ale jej przyjaciele słyszeli jakieś bardzo niepokojące rzeczy, więc... Musiała przybyć – kończy odrobinę zaskoczony Reed.

Marszczę brwi.

– Czy ty wiesz, o czym ona mówi? – pytam zmieszany. – Czy ona mnie obserwowała?

– Tak. – Reed siada; wygląda na zainteresowanego. – Powinniśmy zapytać jej, co o tobie słyszała.

– Okay, pytaj – zgadzam się.

Reed zadaje pytanie w języku aniołów.

Anya odpowiada.

Wyraz twarzy Reeda zmienia się w pełen niedowierzania.

– Stwierdziła po prostu, że nie wróciłeś. Miałeś wrócić, ale zniknąłeś na dobre – mruczy.

– Kiedy niby miałem wrócić? – odpowiadam, widząc ból w oczach Anyi.

Obserwuję jej twarz, staje się smutna, kiedy Reed tłumaczy to pytanie. Zerka ponownie na mnie i mówi:

– Russ–el zostać Ev–ie. Bardzo płakać.

Reed mówi coś do niej.

– Bardzo smutna – poprawia się.

Reed nachyla się i wypuszcza z siebie potok anielskich słów, jego twarz poważnieje.

Anya odpowiada, a Reed opada plecami na oparcie krzesła, jakby nagle coś go zaskoczyło.

Mamrocze:

– Miałeś umrzeć, Russell... W markecie w Crestwood. Taki był plan.

– Co!?! – krzyczę.

– Wszystko się zmieniło, kiedy Evie cię uzdrowiła... Kiedy zgodziłeś się zostać – ciągnie. Bacznie patrzy na mnie i coś mi mówi, że on jest tak samo przerażony jak ja.

– Anyu – zwraca się do niej Reed w języku aniołów. Słyszając jej odpowiedź, robi minę „a niech to”. – Jej nie powinno tu być, Russell – oświadcza.

– Co przez to rozumiesz? Że nie powinno być jej tutaj w Toruniu czy tutaj, tutaj... na Ziemi? – dopytuję.

– Tutaj, tutaj – odpowiada Reed. – Ona słyszała straszne rzeczy... Słyszała o Gankanagach. Bała się, że zmuszą cię, byś oddał swoją duszę, a wtedy nigdy byś nie wrócił... do niej.

– Wrócić do niej? – Adrenalina we mnie buzuje. – Dlaczego miałbym do niej wrócić? – Spoglądam na Evie, sprawdzam, jak to wszystko przyjmuje. Jest absolutnie nieruchoma, ale włoski na ramionach stoją jej dęba. – Czy ona naprawdę jest moją *aspire*? – pytam Reeda.

Jego twarz staje się bez wyrazu, tak jak wtedy, kiedy ruszał do walki.

– Co powiedziałeś, Russell? – mruczy, jakby chciał się upewnić, czy dobrze

usłyszał.

– Zapytaj, czy jest moją *aspire* – powtarzam, próbując nie oszaleć.

Reed przekazuje pytanie Anyi.

Patrzemy, jak anielica podciąga bok T-shirtu, a potem czarny strój, eksponując znak więzi nad swoim sercem, który wygląda bardzo podobnie do moich skrzydeł. Reed sięga po świecznik – ten, który jeszcze został na stole. Miażdży go na kawałki w ułamku sekundy. Potem zaczyna się głośno śmiać, jakby usłyszał najlepszy dowcip w życiu.

Całuje czoło Rudej, odwraca się do mnie i ogłasza:

– Russell, poznaj swoją *aspire*, Anyę!

– Ale jak to? – krzyczę. Czuję się dziwnie zraniony i pokrzywdzony. – Ja nie mam żadnych znaków na ciele.

– Nie mógłbyś mieć, prawda? – Szczerzy się Reed. – Wypełniasz misję i ponownie narodziłeś się jako Russell. Russell jest człowiekiem, zawsze byłeś człowiekiem. – Odwraca się do Anyi i pyta ją o coś w języku aniołów.

Czarnoskrzydła odpowiada na jego pytanie.

Reed przytakuje z uśmiechem.

– Powiedziała, że jej znak był inny; dawniej odzwierciedlał zamię twojej duszy, ale gdy się przemieniłeś, on także się zmienił.

– I ja nie mam żadnego znaku, bo jestem na jakiejś misji? – wyrzucam z siebie pospiesznie.

Jego brwi ponownie się łączą, kiedy przetwarza moje pytanie Anyi.

Czarne oczy przesłania zmartwienie; anielica wygląda naprawdę smutno, kiedy mu odpowiada.

Reed marszczy czoło.

– Może – mówi. – Nic nie jest pewne, tak stwierdziła. To jest misja, która ciągle ewoluuje. Gdybyś miał stracić duszę w Szeolu, ona byłaby zwolniona z przysięgi. To był warunek, jaki postawiłeś przed przybyciem tutaj.

– Ach, do diabła, Reed! – wydieram się na niego, skacząc na równe nogi i przeczesuję dłonią włosy. – Czy jest możliwe, by choć jedna rzecz w tym wszystkim miała sens?

– Russell, to do ciebie podobne – odzywa się cicho Evie ze swojego miejsca.

Odwracam się do niej w gniewie.

– Co jest podobne do mnie? Odrzucenie na bok miłości moich wszystkich żyć dla kogoś innego? Czy też może poślubienie kogoś i niepowrót do niego? – Wszystko wewnątrz mnie wrze, pozostawiając Rudej wygraną.

– Przyjęcie misji, aby mnie chronić – odpowiada ze spokojem. – Pozostanie, aby mnie chronić, nawet jeśli planowałeś wrócić, i zamartwianie się, żeby ktoś, kogo kochasz, nie cierpiał, ponieważ ty mógłbyś nie zdołać powrócić, więc oferujesz drogę wyjścia, tak na wszelki wypadek... To podobne do ciebie, Russell.

Wtedy Anya zwraca się do Reeda, jej głos nie ma nic wspólnego z muzyką. Wskazuje na Evie, odwracając nadgarstek, patrzy na nią gniewnie, jakby jej nienawidziła. Ruda, nie rozumiejąc więcej niż ja sam, siedzi trochę cofnięta na swoim siedzeniu. Twarz Reeda ponownie traci swój wyraz, ale on uważnie słucha Anyi, jakby wyjawiała mu sekrety wszechświata.

– I co? – Opieram pięści o stół, kiedy anielica kończy mówić.

Reed ma ponurą minę i nic mi nie odpowiada. W końcu wstaje ze swojego krzesła.

– Pójdę na górę zająć się trupami – mówi cicho. – Na tym piętrze są łazienki, jeśli chcielibyście umyć się i odpocząć. Kochanie – dodaje, biorąc dłoń Evie, i wskazuje w kierunku drzwi. – Powinnaś się położyć. Wyglądasz blado.

– Czuję się dobrze. Co takiego powiedziała Anya? – pyta Evie. Wygląda na zatroskaną, nie wstaje z miejsca.

Mięśnie na szczęce Reeda napinają się. Wygląda, jakby ktoś uderzył go w brzuch.

– Ona jest zdenerwowana. Właśnie przeniosła się z Raju. Potrzebuje naszego wsparcia. Tutaj jest jak dziecko... W ogóle nie wie, o co chodzi.

– Reed, powiedz jej, żeby odeszła – proszę cichym tonem. – Jej nie powinno tu być, więc każ jej wrócić.

– Nie mogę – odpowiada, patrząc na mnie.

Robię nachmurzoną minę.

– Co to znaczy: nie możesz? – Czuję, jak gniew znów we mnie narasta.

– Ona nie może, raczej tak powinienem się wyrazić – odpowiada. – Odeszła na własną rękę. Musi zostać przywołana, tak jak pozostali z nas, Russell.

– Więc dlaczego jej nie przywołali?

– Może to aprobuja. Ma prawo chronić swojego *aspire*. Może wierzą, że ona jest w stanie nam pomóc – wyjaśnia delikatnie.

– Lub może to po prostu ją zabije – dopowiadam. – Anya nie ma duszy... Więc nie dostanie drugiej szansy. Nie trenuje walki tak jak ty, prawda? Więc jest bardziej kulą u nogi niż cennym nabytkiem.

– Tak – zgadza się Reed, bacznie mnie obserwując.

– Czego ty ode mnie oczekujesz, Reed? – wydzieram się na niego.

Evie podskakuje zdenerwowana.

– Czekam na jakąś iskrę poznania od ciebie – odpowiada Reed. – Na coś, co zapewni mnie, że to, w co ona wierzy, nie jest prawdą.

– A w co ona wierzy? – Uporczywie i gwałtownie pocieram skronie.

– Myśli, że Evie przyjęła tę misję, aby ciebie od niej oddzielić... Aby ciebie odzyskać – odpowiada chłodno.

Czuję się jednocześnie uszczęśliwiony i wkurzony, opadam na siedzisko krzesła i kryję twarz w dłoniach.

– Ona tak myśli? – bełkoczę.

– To właśnie powiedziała – zapewnia Reed.

– Czy możemy wierzyć w to, co mówi? – Rzucam okiem na Anyę, która nadal patrzy gniewnie na Evie siedzącą po drugiej stronie stołu.

– Ona nie jest Upadła, Russell – odpowiada Reed, też przenosząc wzrok na anielicę. – Sama wierzy w to, co mówi, ale... Nikt z nas nie jest nieomylny. – Reed rzuca do niej jakiś tekst, a Anya spogląda w jego oczy z żalem.

– Co do niej powiedziałaś? – pytam.

– Tylko tyle, że jeśli zrobi krzywdę Evie, to ją zabiję – oznajmia niskim tonem.

– Reed... – wtrąca się Evie.

– Kochanie, ona myśli, że ty wchodzisz pomiędzy nią a jej faceta – tłumaczy delikatnie Reed, nie spuszczając wzroku z Anyi. – Będzie walczyć o to, co do niej należy. Ona jest Tronem, ty jesteś Serafinem, to prawie ta sama ranga, ale ja nadal mogę cię obronić. – Podciąga jedną stronę swojej koszuli, nachyla się do Anyi, pokazując jej swój znak związania.

Wtedy Anya uśmiecha się, cała jej twarz się rozjaśnia, jakby Reed właśnie dał jej klucze do rajy. Mówi coś szybko do Reeda, pociągając go za ramię bliżej



siebie, by mogła lepiej zobaczyć znak skrzydeł Evie na jego piersi. On także się uśmiecha po tym, jak strumienie muzyki wypływają z Anyi.

Spoglądając na Rudą, mówię łagodnie:

– To jest jak przysłuchiwanie się symfonii opadających płatków śniegu... Ich głosy... Jakby miały moc zmienić nasz świat.

– Mają taką moc, Russell – odpowiada, obserwując mnie z bliska.

Słowa Rudej uderzają we mnie, moje gardło się zaciska tak, że z trudnością łapię oddech. Zerkam za okno na padający śnieg, cień porusza się wzdłuż parapetu.

– Padnij! – Chwytam Reeda i Anyę w chwili, gdy kule rozsadzają okno za nami.

Opadamy na podłogę poniżej okna, Reed spycha mnie z siebie, przesuwa się w stronę krzesła Rudej i ściąga ją na ziemię w pobliżu nas. Oczy Anyi zaciskają się, gdy kawałki szkła i skrawki zasłon opadają na nas.

Spoglądam w górę i widzę czubek buta, który przesuwa się wzdłuż krawędzi parapetu. Chwytam kogoś za kostkę stopy, przekręcam ją i słyszę głośne pęknięcie. Odpycham nogę – krzyk leci z okna ku ulicy poniżej. Reed przytrzymuje telefon wyciągnięty z kieszeni, używa jego ekranu jak lusterka, by sprawdzić, co dzieje się na zewnątrz.

– Gankanagowie... Wyczuwasz jakąś magię, Russell? – pyta Reed pośpiesznie.

– Nie, jeszcze nie... Pozwól mi zrobić zwiad. – Zamykam oczy i koncentruję się. Świat wokół mnie zaczyna robić fikołki w tył, kiedy tworzę swoje drugie ja. Anya, widząc mojego klona, wzdycha i próbuje sięgnąć dłonią, aby go zatrzymać i nie pozwolić mu od nas odejść. – Reed, wyjaśnij Anyi, o co chodzi.

– Idę z tobą – mówi Ruda, tworząc swojego klona, który pojawia się u boku mojego.

– Okay – zgadzam się, kierując mojego klona na parapet.

Ogień karabinów automatycznych pulsuje przez mojego klona, a ja uśmiecham się do śmierdzącego dziwoląga w oknie budynku po drugiej stronie ulicy. Rozkładałam skrzydła klona, tylko dla zabawy, i obserwuję, jak frustracja wypływa na twarz tego zimnego trupa, gdy żadna z jego kul nie ma na mnie wpływu.

Klon Rudej marszczy brwi na mojego klona.

– No co? – pryham.

Ignorując mnie, kieruje swoim klonem tak, aby przeleciał przez ulicę. Mój podąża za nim.

Kiedy zbliżamy się do Gankanaga z karabinem maszynowym, pytam:

– To jeden z twoich przyjaciół?

– Nie, nie znam go – odpowiada. Krąży i bada teren. – Jeszcze dwóch jest w sypialni. Mówią po polsku, tak sędzę – informuje mnie. – Jak się mówi po polsku „Kiss my ass”?

– „Pocałuj mnie w dupę” – odpowiadam z uśmiechem, podczas gdy jeden z tych zimnych trupów zamachuje się na mojego klona, a jego ręka przechodzi przeze mnie. Dodaję po polsku: – Twoja matka to wiedźma.

– Co to znaczy? – Ruda zwraca się swoim klonem prosto w moją twarz, nawet nie próbując zrobić uniku przed ostrą włócznią Gankanagów, rzuconą w nią z tyłu.

Wzruszam ramionami.

– „Twoja matka to zła czarownica”. Dobrze, tam jest trzech. Powinniśmy sprawdzić inne piętra wzdłuż tej ulicy.

– Okay – mówi klon Rudej i znika.

Ja także pozwalam swojemu klonowi pospiesznie wrócić do mojego ciała. Gdy odzyskuję już normalną świadomość, składam raport:

– Trzech po drugiej stronie ulicy. Niszczycielska broń magiczna, niezbyt duży arsenał: kilka spluw i maczug... O, i tamte długie, ostre włócznie.

– Dzięki, Russell – mówi Reed. – Zaraz wracam. – W ułamku sekundy opuszcza naszą kryjówkę pod oknem.

Odgłosy wystrzałów odzywają się z kamienicy po drugiej stronie, kiedy jeden z zimnych drani krzyczy: „Gdzie on się podział?”.

– Russ, co on powiedział? – dopytuje Evie nerwowo.

– Pyta, gdzie się podział Reed. – Uśmiecham się, wiedząc, że Reed nieźle napędzi im strachu, zanim ich zabije. Staje się wredny, kiedy chodzi o ochronę Rudej.

Spoglądam obok, Anya patrzy na mnie, jakby właśnie zobaczyła ducha... No, może nie aż tak, bo prawdopodobnie widziała już mnóstwo duchów, ale z pewnością jest równie blada jak jeden z nich.

Reed wychodzi z pólpiętra prowadzącego na dół.

– Jestem prawie pewny, że to już wszyscy. Musieli namierzyć Eiona lub tego drugiego...

– Keefe’a – Evie i ja mówimy jednym głosem.

Spoglądając na mnie i na nią, Reed ma posępną minę:

– Właśnie, przez nich stajemy się łatwym celem.

Ostrożnie wstaję z podłogi i strzepuję potłuczone szkło z włosów. Evie wygląda na wstrząśniętą, natychmiast staje przy Reedzie, a ten unosi ją i mówi:

– Muszę tu posprzątać, pozbyć się ciała. W tym czasie chcę, byście wzięli prysznic i się przebrali. Opuszczamy to miejsce za dwadzieścia minut. – Obraca się do mnie i pyta: – Zdążycie?

– Tak, muszę pożyczyc trochę ubrań – odpowiadam.

– Na tym piętrze są sypialnie z łazienkami. Sprawdźcie, co jest w szafach. Może coś będzie na was pasowało. – Reed wychodzi z pokoju, niosąc Evie w ramionach.

Kiedy ponownie spoglądam na Anyę, zauważam, że w ogóle się nie poruszyła. Siedzi zwinięta w kłębek, z mocno zaciśniętymi oczami i drżącymi dłońmi. Kucam obok niej, dotykam jej ramienia.

– Anyu...

Wystrzeliwuje z podłogi, obejmuje mnie za szyję. Jej całe ciało drży, a płytki oddech łaskocze moją skórę.

– Hej... To była tylko mała strzelanina, Anyu. Jeśli zamierzasz trzymać się z nami, to przygotuj się na dużo gorsze rzeczy. Może jest jakieś inne miejsce, gdzie mogłabyś się udać? Masz tu przyjaciół? – Delikatnie głaszczę jej plecy, aby ją uspokoić. Nie odpowiada mi, więc wzdycham: – Nie rozumiesz ani jednego mojego słowa, prawda? Okay, doprowadźmy cię do porządku, a później zastanowimy się, jak to rozwiązać.

## Rozdział 9

### *Bardzo za mną tęsknisz*

Biorę Anyę w ramiona, głównie dlatego, że nie mogę jej odzepić od swojej szyi. Przeszukuję drugie piętro kamienicy Reeda. Sypialnia na końcu holu wygląda na dobre miejsce do odświeżenia się, więc od razu idę do przylegającej do niej łazienki. Jest mała jak większość wszystkiego w Polsce... o czym jeszcze pamiętam, ponieważ – technicznie rzecz biorąc – nigdy nie byłem tutaj jako mężczyzna o takim wzroście.

Delikatnie odkręcam kurek w prysznicu, spoglądam na Anyę i czuję, jak zaczerwienienie pojawia się na mojej szyi. Odchrząkuję.

– Och... Anyu? Chcemy stąd odejść jak najszybciej; musimy wziąć prysznic i przebrać się w ubrania, które są mniej... Które nie będą nas odróżniać od tutejszych mieszkańców.

Unosi swoją głowę i fale jej pięknych ciemnych włosów osuwają się z mojego ramienia. Widzę, że nadal jest przerażona tym, co właśnie zdarzyło się z Gankanagami.

– Russ–el *leh–Chi lit*... – mówi.

– Hę? – pytam, sprawdzając, czy woda nie jest zbyt gorąca.

– *Leh–Chi lit* – powtarza, delikatnie dotykając piór moich skrzydeł.

Robię wielkie oczy.

– To brzmi podobnie... Czy ty mówisz w języku Indian Nawaho? – pytam zaskoczony. – Czy ty właśnie nazwałaś mnie „czerwony dym”? – pytam, zastanawiając się, czy mówiła to o moim klonie.

– Russ–el, *a–tkel–el–ini*. – Wskazuje moją pierś.

– Wichrzyciel, ha? – Uśmiecham się. – Cholera... Jedyne, co pamiętam z Nawaho, to *Altseh–hogan*... To jest tymczasowe miejsce, obozowisko. Musimy przenieść się, aby uniknąć kolejnej *khac–da*... Kolejnej pułapki. – Widzę, jak jej oczy powiększają się ze strachu. Dodaję delikatnie: – Russell *yah–A–da–hal–yon–ih* Anya... Zaopiekuję się tobą. – Gładzę jej włosy.

– Anya *yah– A–da–hal–yon–ih Russ–el*. – Mówi, że to ona się mną zaopiekuje, i po chwili dotyka swoimi wargami moich.

– Anyu... – mruczę, odwracam głowę, próbując uniknąć jej pocałunków.

– *O– Zhi, Russ–el* – szepcze tuż przy moim policzku, wyjaśniając, jak bardzo za mną tęskniła.

– Ja ciebie nie pamiętam – odpowiadam, a moje brwi się ściągają.

– *Russ–el, na–ne–klah*. – Nazywa mnie „trudnym” i dociska swoje nieprawdopodobnie ponętne wargi do moich.

Czuję, jak coś we mnie eksploduje, jak jej usta powodują, że płonę, przygważdżam jej plecy do szklanych drzwi kabiny prysznicowej, całując Anyę, jakby coś sprawiało mi ból... Od bardzo dawna.

Słyszając, jak wzdycha z przyjemności, zdzieram z niej koszulkę i wtapiam wargi w jej szyję. Skóra Anyi jest ciepła i ma zapach kwiatów, który czułem tylko w snach. Wtedy rzeczywistość dopada mnie i odciąga od niej, patrzę na to piękne stworzenie w swoich ramionach. Jest doskonała. Jej twarz jest wytworna... Długie czarne rzęsy okalają zielone oczy – taki kolor widziałem wcześniej tylko u kotów. Łuki brwi są równie czarne jak włosy... A ciało, o, mamusiu. Ciało jest stworzone do najśłodszeo grzechu.

– Och... – Dotykam czołem Anyi, próbuję myśleć. – Musimy teraz przestać – sapię. – *Ji–din–nes– Chanh* – mamrocze słowa oznaczające „odwrót”.

Anya ponownie dociska się do mojej szyi.

– *Na–dzah...* – co znaczy „wrócić” – *Russ–el to–ho–ne* – właśnie powiedziała mi, że cierpi.

– Tak, ja też cierpię – jęczę. Moje wargi wykrzywają się w wymuszony uśmiech. Walczę o każdy oddech, gdy czuję dotyk jej miękkiej skóry. Pozwalam jej samodzielnie stanąć, odwracam się i przesuwam ją pod prysznic.

– *Nil–ta* – nazywa mnie „upartym”. Nie odwracając się, zdejmuję resztę ubrań.

Ciepło eksploduje w dole mojego brzucha i zmusza, bym się od niej odwrócił.

– Pójdę poszukać ciuchów. – Uciekam z łazienki, bo jeśli zacznę znów całować Anyę, to prawdopodobnie nie będę mógł przestać. A muszę przestać, ponieważ wiem, że cokolwiek później by się zdarzyło, miałoby zupełnie inne znaczenie dla mnie niż dla niej.

Biegnę piętro wyżej, pukam do drzwi głównej sypialni. Reed podchodzi do nich i wpuszcza mnie. Już pozbył się ciał z podłogi, spalił je w kominku. Dobrze się palą, ale ich zapach jest podobny do przypalanego cukru.

– Jakiś problem? – pyta Reed w swoim lakonicznym, wojskowym stylu.

– Potrzebuję ubrań – odpowiadam. – Paszporty też by się przydały.

– Ubrania już mam; dokumentami będziemy martwić się później. – Idzie do szafy i wyciąga naręczę damskich ciuchów, które prawdopodobnie kupił dla Evie. Podaje je mnie, podchodzi do kolejnej szafy i wyjmuję ubrania, w które powinienem się zmieścić.

– Dzięki – rzucam.

– Jak Anya? – pyta, a jego twarz nie zdradza żadnych emocji.

– Mówi trochę w języku Nawaho... Niedużo, kilka słów – odpowiadam. – Mogę cię o coś zapytać?

– Tak. – Reed wygląda na zaintrygowanego.

– Ta sprawa z motylami, które czujesz, kiedy jesteś blisko Evie... Czy odczuwasz to tak, jakby koniki polne skakały ci w brzuchu?

Na twarzy Reeda powoli pojawia się radosny uśmiech.

– Tak, Russell, właśnie tak to czuję.

– Jak sądzisz, co to oznacza?

– To byłby jeden ze sposobów, aby rozpoznać kogoś bliskiego sercu, nawet jeśli go nie pamiętasz... – Reed wygląda na szczęśliwszego niż kiedykolwiek.

– Tak, ale... Czy to powoduje, że chcesz zedrzeć z niej ubrania? – Ta rozmowa mnie trochę krępuje.

– O, tak – potwierdza Reed. Wygląda na jeszcze bardziej nakręconego.

– Okay... Miło się gawędziło – rzucam niepewnie, czując się jeszcze bardziej zagubiony niż przedtem.

– Bardzo miła rozmowa... – zgadza się Reed, patrząc, jak wychodzę.

Biegnę na dół, wchodzę do sypialni i rzucam ubrania na łóżko. Przeszukuję szafę i wyciągam z niej małą walizkę. Kładę ją także na łóżku, zatrzymuję się i widzę, jak Anya wychodzi z łazienki ociekająca wodą i całkowicie naga.

– *Tkoh* – wypowiada słowo oznaczające wodę i wskazuje na to, że z niej ścieka.

– Niech to wszyscy diabli! Co ty ze mną robisz? – wzdycham, patrząc na nią, gdy tak stoi cała mokra. Czuję się, jakby ktoś wystrzelił we mnie z miotacza płomieni. – Hm, trzeba przyznać, że w ogóle nie czujesz wstydu.

Wpatruję się w nią i widzę, jak jej zęby szcękają z zimna.

– *Tkin.* – „Lód”.

Idę do łazienki i przynoszę ręcznik. Okrywam ją nim.

– Proszę. Ubierz się, a ja skoczę pod prysznic. Musimy już iść... *da-de-yah...* musimy „wyruszyć”.

Przytakuje i powoli podchodzi do łóżka, bierze ubrania i spogląda na nie krytycznie. Wzdycham, odwracam się i zamykam drzwi od łazienki. Biorę szybki prysznic. Chwytam ręcznik i wiążę go sobie wokół bioder, dłonią przeczesuję włosy, gdy wracam do sypialni.

Anya stoi u stóp łóżka, wciągając jeansy na swoją koronkową bieliznę, co powoduje, że zatrzymuję się, prawie się potykając. Jej skrzydła są schowane i już odkryła, do czego służy stanik, lecz ten jest dla niej trochę za mały.

– Powinienem wziąć zimny prysznic – bełkoczę do siebie, próbując nie patrzeć na Anyę, kiedy wybieram dla siebie ciuchy ze sterty na łóżku.

Znajduję idealnie pasujący sweter robiony ścięciem warkoczowym, jakoś się w niego wciskam, lecz wszystkie spodnie są dla mnie za małe. Przeszukując szafę w tym pokoju, znajduję więcej ubrań. Wyciągam jeansy, które były zaprojektowane jako luźne, zakładam je, w miarę pasują, są tylko trochę krótkie.

Siedzę na krawędzi łóżka, po chwili opadam na plecy, zasłaniając oczy ramieniem. Czuję się, jakbym został przejechany przez ciężarówkę, podniesiony i rzucony do rowu, przeturlany i zanurzony w benzynie, aby ostatecznie być podpalonym... mniej więcej w tej kolejności. Wiem, że powinienem czuć straszny głód, lecz nic takiego się nie dzieje.

– *Russe-el tso* – mówi Anya. Kładzie się obok mnie i wtula w mój bok.

Choć czuję się fatalnie, uśmiecham się, słysząc, jak mnie nazywa „duży”.

– Tak, *Russell tso* – odpowiadam.

– *Russell...* – Do pokoju wchodzi Evie. – Och, przepraszam... – Jąka się, odwraca i próbuje wyjść, wygląda na zawstydzoną.

– Nie! Ruda, nie odchodź! – nakazuję, siadając. – Już stąd spadamy?

– Och, tak... Jeśli jesteście gotowi – odpowiada, czerwieniąc się i odwracając

od nas wzrok.

– Czy ta sytuacja jest niezręczna, czy to może moja wina? – pytam, przecierając oczy.

– Nie, nie... Ta sytuacja jest niezręczna – zgadza się, podobnie jak ja czuje się niekomfortowo. – Ona mnie nienawidzi, Russell – szepcze do mnie, spoglądając na Anyę, która teraz wygląda tak, jakby za chwilę miała się na nią rzucić.

– To jest takie samo spojrzenie, jakim Reed obdarowuje mnie. – Wskazuję na twarz Anyi.

– Och, co ja robię?

– Po pierwsze, myślę, że powinnaś przestać mówić szeptem. To chyba jej przeszkadza, a ona i tak ciebie nie rozumie, więc szeptanie nie ma sensu – odpowiadam.

– Jest gorsza niż Candace – stwierdza. – Tamta przynajmniej nie była w stanie rozerwać mnie na kawałki.

– Ruda, jesteś dość silna i odważna. Niełatwo byłoby jej naskoczyć na ciebie – zauważam.

– Czy ona naprawdę jest twoją *aspire*, Russell? – Evie wygląda blado.

– Nie mam pojęcia, Ruda. W tej chwili wszystko jest możliwe. – Wzruszam ramionami.

– Ona jest naprawdę piękna. – Ruda patrzy na Anyę usilnie próbującą doprowadzić swoją fryzurę do porządku.

Evie szybko idzie do łazienki i przynosi szczotkę do włosów.

Anya niepewnie bierze tę szczotkę, nadal patrząc się na Evie, jakby ta miała za chwilę przełamać ją w pół. Anya jest więcej niż ładna... Jest sexy. Nawet koszula i sweter nie są w stanie ukryć jej krągłości. Na samo wspomnienie o jej nagim ciele znów robi mi się gorąco w brzuchu.

– Tak... Piękna – zgadzam się.

– Co zamierzasz zrobić? – pyta Ruda, obserwując, jak anielica czesze swoje długie czarne włosy.

– Nie wiem, może powinniśmy zacząć wybierać porcelanową zastawę – odpowiadam sarkastycznie.

– Okay, więc jeszcze nie masz żadnego planu? – Marszczy brwi.



– Ruda, a powinien być jakiś plan? Naprawdę? Jaki? – Przecieram oczy. – Nigdy przedtem nie byłem w takiej sytuacji. Przydałaby się pomoc.

– Właśnie. Potrzebujemy Brownie i Buns – zgadza się, nie zwracając uwagi na sarkazm w moim głosie.

Anya warczy i niemal natychmiast Reed pojawia się w drzwiach. Coś do niej mówi. Przysłuchuję się ich rozmowie, która brzmi, jakby właśnie omawiali jakąś niecną strategię. Potem Reed uśmiecha się do niej i powoli potakuje, spoglądając to na mnie, to na Evie.

– Co takiego, Reed? – pytam zaciekawiony ich dyskusją.

– Anya zapytała mnie, jak mogę znieść widok waszych dusz współdziałających ze sobą. Jej przeszkadza to, jak intymna więź jest między wami – odpowiada.

– Co?! – wypalamy jednocześnie ja i Evie.

– Dawno temu zdecydowałem się ignorować wasze aury, które się rozwijają, gdy jesteście blisko siebie. Ją to jednak irytuje – odpowiada, ponownie uśmiechając się do Anyi.

Anielica znów coś mówi do Reeda, który celowo jej nie odpowiada.

– Co powiedziała?

– Że razem narażacie się na duże niebezpieczeństwo, stanowicie łatwy cel. Chce wiedzieć, co robię, by was chronić, i jak może mi w tym pomóc – odpowiada.

– Czy wyjaśniłeś jej, że teraz całkiem dobrze potrafimy chronić samych siebie? – zapytałem bez wahania.

– Powiedziałem, że mamy przyjaciół, którzy nam pomagają, i obiecałem, że wkrótce ich pozna. – Reed ignoruje mój komentarz.

– Nie powinieneś jej tego obiecywać. Powinieneś kazać jej wracać do domu – prychnam.

– Przecież już ci mówiłem, że nie może wrócić do domu.

– Więc powiedz jej, że powinna znaleźć bezpieczną kryjówkę i przeczekać, aż to wszystko się skończy, Reed. – Przepelnia mnie frustracja.

– Kiedy to będzie, Russell?

– Nie wiem – odpowiadam. – Ale przebywanie z nami jest niebezpieczne. Zbyt niebezpieczne dla kogoś takiego jak Anya.

– Russell, to jej wybór. Przebyła całą tę drogę z Raju dla ciebie. Wiesz, jakie to poświęcenie? – Reed wygląda na zszokowanego.

– Nie prosiłem jej o to – zauważam.

– Lecz ona i tak postanowiła przybyć – mówi Reed. – Jeśli odwaga coś dla ciebie znaczy, to Anya ma jej bardzo dużo.

Jestem skonsternowany.

– Odwaga będzie jej bardzo potrzebna, prawda, Reed? – pytam retorycznie, wstając z łóżka. Jestem wściekły i nawet nie wiem dlaczego. Anya jest anielicą i pewnie potrafi dość dobrze się o siebie zatroszczyć. Prawdopodobnie też jest bardzo stara, wystarczająco dojrzała, aby samodzielnie podejmować decyzje. Więc dlaczego czuję się za nią odpowiedzialny?

– Przedyskutujemy to w innym miejscu – mówi Reed, marszcząc czoło. – Znalazłem to, gdy zajmowałem się porządkowaniem spraw na górze. Twój? – Trzyma w dłoni telefon komórkowy.

– No nie... Cholera! – Schodzę z łóżka. – Ile czasu nam zostało?

– Minuty. – Reed chwyta dłoń Evie i prowadzi ją na dół.

Ja biorę za rękę Anyę i ciągnę ją za sobą.

– Myślisz, że Brennus namierzył ten telefon? – pytam. – Czy to on nasłał tych polskich ożywieńców, aby nas nękali?

Ruda sapie.

– Pewnie nie zorientował się od razu, że nie umarliśmy na wyspie, inaczej już dawno by tutaj był. Teraz wie. I nadchodzi.

– Masz tu jakiś samochód? – pytam z nadzieją.

– Tak, ale musimy go zostawić – mówi, rzucając nam płaszcze z szafy i wyprowadzając nas przez kuchnię na tył kamienicy. Anya widzi swój łuk i kołczan na stole, chwyta je i zakłada na plecy, po czym okrywa się płaszczem.

– Dokąd idziemy? – pytam Reeda, biorę od niego nóż i zakładam płaszcz, który mi podał.

– Właśnie miałem cię zapytać o to samo, Russell – odpowiada, przyglądając mi się.

– Hę? – Przywykłem, że to on ciągle rozkazuje.

– Potrzebuję twojej pomocy. Jestem zbyt przewidywalny dla Brennusa – odpowiada Reed. – Działam według nadprzyrodzonego instynktu i zasad

treningu. Mój instynkt każe nam odlecieć stąd, ale z jakiegos powodu wiem, że to złe posunięcie.

– Myślisz, że tam są? – Czuję, jak cierpnie mi skóra.

– Tak – przyznaje Reed. – Możesz jeszcze raz zrobić rozpoznanie?

– Tak. – Nie czekam na wskazówki, tworzę kłona, który wystrzeliwuje z mojego ciała i wychodzi tylnym wyjściem.

Wspina się po rynnie na dach i kryje w nieoświetlonej części. Światło księżycy ukazuje kręcących się po drugiej stronie ulicy ludzi, którzy obserwują kamienicę Reeda. Po zbadaniu terenu mój klon zbliża się do dachu sąsiedniego domu. Niewyraźne głosy nieludzkich porywaczy ciał docierają do mnie w stłumionym śnieżnym powietrzu. Obok nich trzech Upadłych drani stoi na otwartej przestrzeni.

Jeśli nawet nie próbują się schować, to oznacza, że musi ich być znacznie więcej w pobliżu. Ta myśl powoduje, że chaos zaczyna rządzić w moim wnętrzu.

Pospiesznie wracam do swojego ciała, relacjonuję:

– Mamy kłopoty. Takie, że aż włosy stają mi dęba.

– Kevev? – Reed unosi brwi.

– Nie, inni. Ci cali pokryci pleśnią, co niby chodzą jak zombie, ale gdy zaczną cię gonić, to poruszają się jak psy gończe, nieziemsko szybko na czterech łapach. Mówią, jakby mieli usta wypełnione wodą. – Opisując, czuję, jak adrenalina buzuje w całym moim ciele.

– Inikwi – odpowiadają jednocześnie Ruda i Reed.

Unoszę palec.

– Tak, to oni; naliczyłem trzynastu. Pięciu po drugiej stronie ulicy, czterech na dachach każdego domu w pobliżu tego miejsca – oceniam. – I jeszcze trzech Upadłych, oni nawet nie próbują się zamaskować.

– Gotowi rzucić się na nas, gdybyśmy chcieli odlecieć – mówi oschle Reed. – Evie, musimy wyjść stąd niezauważeni. Znasz zakłęcie, które może nas osłonić? – pyta, pocierając jej ramiona.

– Dlaczego jeszcze nas nie zaatakowali? – zastanawia się Evie.

– Upewniają się, że nie odejdziemy. Brennus nadciąga – wyjaśnia Reed, a Ruda wygląda tak, jakby zaraz miała zemdleć.

– Jak długo muszę utrzymać to zakłęcie? – dopytuje zmęczona

i przestraszona.

– A gdzie się udajemy, Russell? – Reed spogląda na mnie przez ramię.

– W dół tego kwaterału. Potem przetniemy jeszcze kilka przecznic. Tam jest pub – odpowiadam.

– Dlaczego tam? – pyta Reed z chmurną miną.

– Bo to ostatnie miejsce, do którego byście poszli, zwłaszcza teraz – tłumaczę. – Jeśli Inikwi są tutaj, to zakładam, że obstawiają kolej, drogi i rzekę. Chodźmy napić się piwa. Pomyślą, że się wymknęliśmy, i odejdą.

Reed przeciera oczy, uważając, że całkowicie mi odbiło.

– Ty jesteś najbardziej ludzki i masz rację, to ostatnie miejsce, do którego właśnie bym się udał.

– Spodoba ci się, Reed. Postawię ci piwo – obiecuję, próbując zmusić się do uśmiechu.

– Jesteś gotowa, kochanie? – łagodnie pyta Reed Evie.

– Mhm, powiedz Anyi, jaki jest plan.

Reed robi Anyi sprawozdanie i chociaż ta nagle zaczyna coraz bardziej blednąć, to i tak przytakuje dzielnie.

Przyciągam energię do siebie, a po chwili odwracam jej kierunek w stronę Rudej, wypowiadającej swoje zaklęcie. W czasie gdy Ruda powoli uwalnia energię, znika z moich oczu, a wraz z nią Reed i Anya.

– Proszę, powiedzcie, że nadal tu jesteście – szepczę, na oślep badając ręką przestrzeń wokół mnie. Nagle czuję bliską obecność Anyi. Opuszki moich palców pospiesznie poszukują jej dłoni.

– Jesteśmy – odpowiadają Reed i Ruda.

– Teraz moja kolej – mówię ponuro. – Ruda, chwyć dłonie Anyi i Reeda. To będzie jak zabawa z przedszkola, zatańczymy kółko graniaste. Reed, ty jesteś kwatermistrzem, więc twoim zadaniem jest upewnić się, że śnieg zatrze nasze ślady.

– Okay – odpowiada mi głos Reeda.

– Ruszamy. Zachowajcie ciszę w holu – rozkazuję.

Wychodzimy na zewnątrz, poruszając się wolno, bezszelestnie. Po dotarciu do chodnika zamieram w bezruchu. Kilku Inikwi stoi po drugiej stronie ulicy, dokładnie przed nami. Nic nie mówią, tylko bacznie obserwują dom, a ich ciała

poruszają się spazmatycznie – niekontrolowane skurcze mięśni powodują ich nerwowe i nieskoordynowane ruchy.

Jeden z Inikwi węszy głośno, mamrocząc coś kumplom w swoim pokręconym języku. Ten musiał ograbić jakiś grób z ciała, bo jego skóra jest niebieska, a zamiast wilgotnych oczu ma suche koraliki w oczodołach. Atakując jak pies, rzuca się przez ulicę w naszym kierunku.

Oddech zamiera mi w gardle, nie wiem, czy mam ujawnić się i odciągnąć go od pozostałych, czy raczej stać i czekać. Wiatr się wzmacnia. Inikwi zatrzymuje się, nadal węszy, aby odzyskać trop. Stoi na czterech łapach na środku ulicy i nie wie, co dalej zrobić.

Dłoń Anyi ściska moją coraz bardziej, a ja – stojąc zaledwie o centymetr od tego stworza – czuję, jak strach przetacza się przeze mnie. Serce bije mi jak oszalałe, posuwam się powoli po chodniku. Udaje nam się dotrzeć do zakrętu, skręcam i przyspieszając kroku, idę w dół ulicy. Słyszę zmęczony oddech Rudej, ucieka z niej resztką energii utrzymującej naszą osłonę. Nagle wszyscy znów stajemy się widzialni.

– Przepraszam – mówi osłabiona Ruda.

– Nie, Ruda, wszystko dobrze. Już prawie jesteśmy na miejscu – szepczę. Obejmuję Anyę ramieniem, prowadząc ją pospiesznie, aby nikt nas nie zauważył.

Słyszę śpiewny i uspokajający gwar ludzkich głosów, otwieram drzwi pubu, a ciepłe powietrze wylatuje na zewnątrz. Przytrzymuję dla nich drzwi i podążam za nimi po schodach prowadzących w dół do klubu. Lokal znajduje się na starym mieście, jest w piwnicy składającej się z trzech dużych pomieszczeń. W dwóch umieszczono półokrągłe kanapy i alkowy, w trzecim zaaranżowano tętniącą życiem salę taneczną i bar.

Reed udaje się w kierunku prywatnej alkowy. Pochyla się i mówi coś do ludzi, którzy tam siedzą. Po chwili wszyscy wstają z kanapy i bez słowa zwalniają nam miejsca. Uśmiecham się do niego. Wiem, że właśnie użył na nich swojej siły perswazji.

Prowadzę Anyę w stronę wygodnej kanapy i siadam obok niej. Zdejmując płaszcz, mówię:

– Reed, przypomnij mi, abym cię zabrał na następne *keg party*[\[8\]](#). Unikniemy wtedy stania w długiej kolejce.

– Co teraz, Russell? – Reed spogląda na mnie z kanapy ustawionej

po przeciwnej stronie.

– Teraz się wyluzujemy – odpowiadam. Obserwuję, jak Reed tuli Evie do swojego boku. Nadal trawi mnie płomień zazdrości na myśl, że ją dotyka.

– I tyle? – Wygląda na sfrustrowanego.

– Posłuchaj, plan jest taki, by wszystko było maksymalnie proste... Jak u ludzi – odpowiadam. – W kilku moich poprzednich wcieleniach byłem marynarzem. Nauczyłem się, że czasami lepiej zakotwiczyć w jakiejś sytuacji, gdy nie możesz sterować. Teraz działamy jak ludzie. Dowiemy się, gdzie jest schronisko młodzieżowe, i załatwimy kilka łóżek na noc. Będziemy trzymać się z dala od środków transportu w tym rejonie. Brennus rozpuści swoje macki, ale zostanie z niczym, ponieważ będzie pytał niewłaściwych ludzi. Uważaj jedynie, żeby Ruda się nie skaleczyła, a wszystko będzie dobrze.

– Russell, unikamy schronisk młodzieżowych – przypomina Evie ponuro. – Gankanagowie często je odwiedzają jak swoje jadalnie. Młode kobiety podróżujące za granicą są... Smakowite.

– Ach, to okropne. – Mimowolnie marszczę nos. – Więc dokąd powinniśmy iść? – pytam.

– Czy przypadkiem nie widziałeś w okolicy sklepów meblowych? – odpowiada.

– Dlaczego? – pytam z ciekawości.

– Oni mają na wystawie najbardziej miękkie łóżka... Może jakiś karnawał materaców? – sugeruje z uśmiechem.

Chrząkam, moje wargi wyginają się w dziwny uśmiech, bo pamiętam, jak byłem z nią w Houghton, gdy nie wiedzieliśmy jeszcze, że Gankanagowie istnieją.

– Głodni? – Teraz spoglądam na Anyę. Ona gapi się na wszystko dookoła jak turystka i uśmiecha, bawiąc się zwisającą kryształową dekoracją świecznika na środku stołu.

– Tak – mówi Reed, podając mi menu.

Zamawiamy jedzenie i napoje, potem posilamy się w ciszy, podczas gdy tłum bywalców klubu gęstnieje wokół nas. Reed i ja na zmianę sprawdzamy naszą pozycję, z ukrycia, próbując dokonać rozpoznania, czy przypadkiem nie zbliżają się te dziwolągi oddalone od nas o kilka przecnic.

Wracając po sprawdzeniu drzwi, nagle zatrzymuję się przy arkadzie

prowadzącej do pomieszczenia z didżejem i parkietem. Impreza jest rozkręcona na maksa, a szalony bit pulsuje z głośników. Ale to widok Anyi blisko parkietu mnie tam zatrzymuje. Anielica trzyma w dłoni szklankę wody i obserwuje młodych tancerzy, którzy poruszają się w rytm muzyki.

Oczywiście nie pozostaje niezauważona. Przyciąga spore grono mężczyzn. Szczególnie jeden wydaje się zainteresowany dziewczyną – okrąża ją, sygnalizując swoim kumplom, jak ostro laska wygląda z tyłu, i pokazując, że należy do niego. Czuję, jak złość rozpała się we mnie, zmieniam kierunek, wchodzę do baru zamiast wrócić do stolika. Zaczynam zbliżać się do głupca, który nęka moją...

– Russell... – Reed staje za mną. – Jaki mamy status?

– Co? – Nie przestaję obserwować Anyi. Nakręcony chłopak nawiązał z nią kontakt. Pochyliła się blisko niej i mówi jej coś do ucha, a jego oczy badają każdy fragment jej ciała. Mój kark robi się gorący, przeczesuję dłonią włosy.

– Zauważyłeś coś na górze? – Reed dostrzega, na kogo się patrzę.

– Nie – mruczę, nie odrywając wzroku od Anyi. – Wszystko w porządku. Gdzie Evie?

– W łazience – odpowiada.

Jak na zawołanie Ruda pojawia się u boku Anyi. Teraz każdy koleś w tym lokalu gapi się na moje dziewczyny.

Jak w zwolnionym tempie facet rozmawiający z Anyą ociera się o krągłość jej piersi. Ułamek sekundy po tym ramiona Reeda przytrzymują mnie, gdy napinam się do skoku w kierunku nieszczęśnika dotykającego Anyę.

Kiedy próbuję zrzucić z siebie Reeda, on mówi mi do ucha:

– Nie możesz go zabić, Russell. Sam zobacz...

W napięciu przyglądam się, jak Anya chwyta tego człowieka za mały palec i wykrzywia go do tyłu tak, że nieszczęśnik opada na kolana u jej stóp. Ona uśmiecha się do niego, wygrażając mu palcem wskazującym, i puszcza go wolno.

Oddychając ciężko, rozluźniam się trochę. Chwył słabnie, lecz Reed nadal nie uwalnia mnie całkowicie.

– Co to było? – Mam ochotę coś rozbić.

– Instynkt – odpowiada spokojnie Reed.

– Co takiego?

– Jesteś Serafinem. Będziesz chronił to, co twoje – wyjaśnia.

– Reed, ona nie jest moja... – zaczynam się z nim spierać.

– Ona jest twoja... Na pewno. Jakaś część ciebie ją pamięta, inaczej nie rwałbyś się, żeby zabić tamtego chłopaka. – Wskazuje na gościa, który podnosi się z kolan.

– Nadal chcę go zabić – przyznaję, zgrzytając zębami.

– Proszę. – Reed wręcza mi pustą butelkę po winie.

Miażdżę ją w dłoniach i ścieram na pył, który opada na podłogę.

– Dzięki – mruczę.

– Czy już się kontrolujesz?

– Tak... Chyba tak... No, nie wiem – odpowiadam, a Reed uwalnia mnie, bacznie obserwując. – O, chodźmy ich wystraszyć.

Uśmiecha się.

– Okay – zgadza się, krocząc u mojego boku. Podchodzę do mężczyzn gapiących się na Anyę i Evie. Góruję nad nimi wzrostem, rzucam wściekłe spojrzenie i naruszam ich przestrzeń osobistą. Odwracają się ode mnie i pospiesznie odchodzą w stronę baru.

Melodyjny śmiech wydobywa się zza moich pleców. Zerkam przez ramię, by ujrzeć uśmiechającą się do mnie Anyę. Coś w mojej piersi się zaciska, a kolana uginają się pode mną.

– Co? – Udamę niewiniątko.

Any podchodzi do mnie powoli i kładzie dłoń na mojej piersi. Spogląda na mnie, a jej brwi delikatnie drgają, gdy mówi:

– *Ne-ol*. – To słowo oznacza „burza”.

– Tak, coś się tu dzieje i nie jest to nic dobrego – zgadzam się, patrząc, jak jej palec osuwa się w dół mojego swetra. Żar uderza we mnie ponownie. Zatrzymuję ją, kładąc swoją dłoń na jej dłoni.

– Wkrótce zamykają ten lokal – oznajmia Ruda. Stoi tuż przy nas. – Co powinniśmy zrobić?

– Nic – odpowiadam. – Zostajemy tutaj. Reed, przekonaj personel, że nas tu nie ma. Możemy spać na kanapach. Słońce wkrótce wstanie. Powiedz, że zostajemy tutaj na cały dzień. Kiedy znów się ściemni, wyniesiemy się stąd.



Reed ponownie się do mnie uśmiecha.

– Znalazłem komputer w biurze. Postaram się poszukać Brownie, Zee i Buns, a wy i Evie spróbujcie zasnąć. Wyglądacie na wycieńczonych.

– Ja jestem ranny – mrużę pod nosem, ponownie przecierając oczy.

Potem Reed rozmawia z Anyą, ta natychmiast bierze moją dłoń i prowadzi w kierunku alkowy. Przesuwa nasze płaszcze, pokazuje mi, abym usiadł na długiej kanapie. Zatapiam się w miękkie siedzisko; anielica delikatnie popycha mnie, bym się położył. Okrywa mnie moim płaszczem i po chwili siada po przeciwnej stronie. Wyciąga strzałę o złotym ostrzu ze swojego kołczanu ukrytego pod płaszczem, wpina ją w cięciwę łuku, który umieszcza na kolanach. Ukrywa swoją broń, kładąc na niej płaszcz Reeda. Ona mnie strzeże.

Pytająco unoszę brwi, gdy patrzę na jej twarz.

Z pełnym determinacji spojrzeniem mówi mi:

– Anya *yah– A–da–hal–yon–ih* Russell. – To deklaracja, że się mną zaopiekuje.

## *Rozdział 10*

### *Pokłon dla mistrza*

EVIE

Budzę się. Wzrok mam wbity w żyrandol ze sztucznego kryształu, wiszący nad moją głową. Zapach intensywnego dymu tytoniowego lepi się do moich ubrań i włosów. Russell leży rozciągnięty na kanapie po drugiej stronie, śpi. Przecieram oczy, żałując, że nie mam szczoteczki. Siadam na kanapie. Nadal jesteśmy w piwnicznym klubie kilka przecznic od domu Reeda w Toruniu. Wokół jest całkowicie pusto. Nie mam pojęcia, która może być godzina, bo nie ma tu okien.

Zerkam na krzesło obok mnie, podrywam się, widząc Anyę. Przygląda mi się, a jej twarz jest całkowicie pozbawiona wyrazu.

– Och... – wzdygam. Czuję się tak, jakbym właśnie robiła przedstawienie dla jednego widza. – Przestraszyłaś mnie, Anyu. – Wyraz jej twarzy nie zmienia się, więc pytam: – Czy to ja, czy ty czujesz, jakby wszystko było napisane od końca?

Jej zielone oczy skanują mnie, jak gdyby właśnie teraz wyszukiwała wszystkie moje słabości. Przeczesuję włosy dłońmi, próbując je trochę rozczesać.

Pochyla głowę, jakby próbując mnie zrozumieć, więc mruczę półgłosem:

– Nieważne. – Unoszę się z pluszowej sofy. – Wiesz, gdzie jest Reed?

Warczy niskim tonem i niemal natychmiast Reed pojawia się obok mnie.

– Reed – mówi Anya, nadal wpatrując się we mnie.

– Och... Dzięki. – Widzę zdziwione spojrzenie Reeda. – Cześć. – Uśmiecham się do niego. – Co mnie ominęło? – pytam, przekonana, że nadal potrzebuję szczoteczki do zębów.

– Ominęła cię konferencja prasowa, pani de Graham – odpowiada z ironicznym spojrzeniem.

Moje brwi unoszą się pytająco:

– Co takiego?

– Tak, co to miało znaczyć? – pyta Russell, siadając i ocierając dłońmi twarz.

– Brennus. Jest w Polsce – wyjaśnia Reed.

– Skąd wiesz? Co ten wampir robi? – Russell wstaje z kanapy, włosy ma w nieładzie.

– Szuka nas – informuje Reed, wskazując na płaskie ekrany zamontowane nad barem. Włącza wszystkie jednym przyciskiem i pogłasnia pilotem.

Na każdym ekranie w barze pojawia się wyraźne zdjęcie przedstawiające mnie – stoję w sukni ślubnej u boku Brennusa, a obok widać miejscowy numer telefonu.

– Jakie to ludzkie z jego strony... – Niemal się duszę ze strachu. – Co oni takiego mówią? – Gęsia skórka pojawia mi się na przedramionach.

Reed pociera moje ręce uspokajająco.

– Mówią, że jesteś żoną Brennusa porwaną z waszego domu w Irlandii. Proszą każdego, kto ma jakiegokolwiek informacje na temat miejsca twojego pobytu, o kontakt pod podanym numerem telefonu... Oczywiście jest przewidziana nagroda.

Na ekranie pojawia się fotografia Reeda zrobiona w Crestwood.

– Co teraz mówią? – Serce podchodzi mi do gardła.

Odpowiada Russell:

– Opisują Reeda jako prześladowcę, który cię nękał. Podają, że jest zamieszany w tę sprawę, i oferują nagrodę za informację, za każdą wiadomość dotyczącą miejsca jego pobytu. Ach! To chyba żarty... – Russell milknie, przysłuchując się słowom prezenterki, gdy jego zdjęcie z drużyny piłkarskiej pojawia się w lewym dolnym rogu ekranu.

– Co robimy? – pytam. – Nie możemy opuścić tego miejsca niezauważeni. – Na ekranie ponownie pojawia się moje zdjęcie ślubne. Wskazując na nie, śmieję się kpiąco: – Proszę! Nawet jako ozywieniec nie pozwoliłabym się wcisnąć w taką suknię!

Russell się uśmiecha.

– Kiedy ty myślisz, że Brennus prawdopodobnie oszalał, on tak naprawdę ukazuje swoje nowe ja... Siebie w wymiarze ekonomicznym.

– Więc teraz każdy człowiek też nas będzie szukał. – Żołądek aż mi się skręca. – Jak możemy pozostać niezauważeni?

– Nie możemy, kochanie – odpowiada delikatnym tonem Reed. – Potrzebujemy pomocy. Skontaktowałem się z Dominium...

– Dominium! Nie możemy tego zrobić! Co z Russellem? – przerywam mu. Panika przeszywa mnie na wskroś.

– Russell ma własną *aspire*, Trona, który rangą przewyższa najpotężniejszego z aniołów Mocy. Anya może zaopiekować się Russellem tak, by oni nie użyli go jako swojej broni – odpowiada otwarcie Reed.

– Och... – mamroczę, widząc zmieszanie na twarzy Russella. – Już się z nimi skontaktowałeś? – pytam dla jasności.

– Tak. – Reed patrzy gdzieś w dal.

Unoszę brwi.

– Co? – rzucam podejrzliwie na widok jego miny winowajcy. – Rozmawiałeś z Prebenem?

– Nie – odpowiada Reed, gapiąc się na nasze zdjęcia na ekranie.

Marszczę czoło ze złości.

– Z Radą Wojenną? – próbuję ponownie.

– Nie. – Kręci głową, unikając mojego wzroku, a kiedy wzdycham, wzdryga się odrobinę.

– Ty rozmawiałeś z moim ojcem! – wydzieram się na niego. Rumieniec pojawia się na moich policzkach, a ciało napina się jak do skoku.

Reed odwraca się i spogląda mi w oczy.

– Tau jest mistrzem strategii i taktyki. Sprowadza armię, aby zapewnić ci bezpieczeństwo. Może być w stanie schwycić Brennusa, zanim ten ponownie się ukryje – wyjaśnia.

– Nawet mnie nie zapytałeś, co ja sędzę o twoim planie – mówię delikatnie, czując przeszywający ból.

– Spałaś – odpowiada Reed niskim tonem.

– Chcesz powiedzieć, że czekałeś, aż zasnę – oskarżam go.

Jego oczy zwężają się.

– Wezwanie pomocy było konieczne, żeby się stąd wydostać – oznajmia

wojskowym tonem. – Nie mogłem wezwać Zefira. Teraz po tym mieście pełzają setki Upadłych. Inikwi też są wszędzie... – Urywa nagle.

– I? – pytam, unosząc brew.

Dodaje bez wahania:

– Zauważyłem Werree kilka godzin temu.

Dreszcz przerażenia przeszywa mnie na myśl o tym, że Werree są w pobliżu.

– Brennus pozwala, aby Werree na mnie polowali? Nawet po tym, jak zabili Lachlana? – Jestem odrętwiała z szoku.

– Casimir już nie kontroluje Werree, więc oczywiście powrócili do swojego starego paktu z Gankanagami. – Reed mówi to tak, jakby to było nieuniknione.

Ale jego nie było w holu, kiedy Werree nas zaatakowali. Nie był świadkiem śmierci Lachlana, który próbował mnie chronić. Nadal widzę cieniste sylwetki Werree, jak opadają na nas ze ścian i sufitu i próbują zbliżyć się do mnie, aby skraść część mojego ciała na swoje cielesne stroje.

Gardło mi się zaciska.

– Jak Declan i Faolan mogli się na to zgodzić? – pytam, wspominając swoich gankanagańskich ochroniarzy, którzy walczyli razem ze mną. – Co jest nie tak z nimi wszystkimi? – Łzy napływają mi do oczu. – Nie rozumiem! Jak oni mogą pozwalać temu czemuś polować na mnie! Jak oni mogą to robić? – zdrada rani jak nigdy przedtem. – Ja uratowałam ich przed Werree, a teraz oni zamierzają pozwolić, by Werree mnie zabili?

– Zło jest... – Reed się chmurzy.

Unoszę dłoń ku niemu.

– Nie! Ja wiem, że tego nie rozumiesz, ale oni byli moimi przyjaciółmi! – wyjaśniam, czując, że powoli tracę zmysły; łzy spływają strumieniami po mojej twarzy. – Declan i Faolan byli moimi przyjaciółmi!

– Może tak jak Eion był twoim przyjacielem? – pyta cicho Reed. – Tylko że ja właśnie spaliłem jego ciało, ponieważ kilka godzin temu karmił się tobą, jakbyś była przekąską.

Macham dłonią.

– Eion to Eion. On zawsze miał problemy z samokontrolą – odpowiadam, wycierając łzy ramieniem.

– Nie, Evie, to jest ich trwały znak. Oni będą się tobą karmić, aż nic nie

zostanie – odpowiada. – Wiem, że potrzebujesz czasu, by zdać sobie z tego sprawę...

– Nie ma na to czasu, Reed. Na to nigdy nie ma czasu – szepczę i odchodzę w stronę łazienki.

Reed woła za mną:

– Brennus widział całą swoją przyszłość z tobą. Kiedy ty go opuściłaś, Evie, on... – Głos Reeda jest szorstki, a ja zatrzymuję się, słuchając. – On został pozostawiony ze swoim życiem takim, jakie było, zanim się zjawiałaś, i on... Zdał sobie sprawę, że nie ma życia bez ciebie, że nic się nie liczy. To ty skradłaś jego życie i to powoli zaczęło go niszczyć. Wszystko inne jest takie samo, ale wiąże się z taką szarzyzną, o której ty nie masz pojęcia... – Reed wydaje z siebie sztuczny śmiech. – On nadal czuje twój smak na swoich wargach, przechowuje w pamięci twój zapach, pamięta, kiedy uśmiechałaś się tylko dla niego, a myśl, że już nigdy tego nie odzyska, jest dla niego udręką. Więc chce ciebie zranić, ponieważ skupia się na bólu, aby zabić wszystko to, czym dla niego byłaś... Aby przetrwać swój ból.

Łza wyznacza szlak w dół mojego policzka. Niemal natychmiast ramiona Reeda oplatają mnie i przyciągają do siebie.

– Tak mi przykro, że ci to zrobiłam – szlocham.

– Cii... To wszystko minęło, gdy do mnie wróciłaś.

– Ja nigdy...

– Wiem. – Głaszczę moje plecy. – Już wkrótce, gdy to wszystko się skończy, będziemy mieć czas, mnóstwo czasu dla siebie. Obiecuję, że tak będzie.

– Mój ojciec tu przybywa – mówię stłumionym głosem. – Co ja mu powiem?

– Więc... ja nigdy nie miałem ojca i... Ja... – jąka się.

– Nie będziesz musiała nic mówić – wtrąca się Russell. – On i tak cię polubi.

– Skąd wiesz? – pytam, pociągając nosem. – Pamiętasz, że w pewnym sensie jesteśmy wybrykami natury?

– Tak, ale ty jesteś jego wybrykiem. Jego małym, dziwnym dzieckiem – mówi Russell, uśmiechając się.

Reed marszczy brwi.

– Tau jest także aniołem, Evie. Może być inny, niż się spodziewasz.

Moja brew się unosi.

– Co masz na myśli?

– On nie jest człowiekiem, więc nie oczekuj, że będzie się zachowywał jak człowiek – mówi Reed. – On też nigdy nie miał wzorca, nie miał ojca... Z nikim nie miał nawet takiej relacji, jaką ty miałaś z wujkiem Jimem.

– Och... – wzdycham. – Więc mówisz, że może mnie nie polubić.

– Nie, mówię, że ty możesz nie polubić jego – odpowiada zmartwiony.

– Nie tak wyobrażałam sobie spotkanie z nim – bełkoczę, spoglądając w dół.  
– Czy ktoś ma szczoteczkę do zębów? – Czuję się tak, jakbym miała znów wybuchnąć płaczem.

– Myślę, że jest jedna nierozpakowana w biurze... – Reed milknie, spoglądając na ekrany telewizorów. Twarz Brennusa pojawia się na każdym z nich.

– Zrób głośniej – prosi Russell. Wygląda na spiętego.

Reed naciska guzik na pilocie.

– Genevieve jest światłością naszej rodziny – peroruje Brennus, a jego twarz posepnije. Wygląda spokojnie i dostojnie w ciemnym garniturze. Czarne włosy zaczesane do tyłu podkreślają elegancję. – Ona jest... Niezastąpiona... – Jego głos jest jak jedwab, przyciąga reporterkę, która teraz go dotyka. Brennus jest jednym z najpiękniejszych i najwytworniejszych mężczyzn, jakich kiedykolwiek widziałam, tyle że tak naprawdę nie jest mężczyzną. Teraz wygląda dużo chłodniej; jest bardziej jak posąg: twardy i nietykalny.

– Czy uważa pan, że ona teraz jest z tym Reedem Wellingtonem albo Russellem Marxem? – pyta reporterka po angielsku.

– Tak. Uważamy, że jest przetrzymywana wbrew własnej woli przez tych ludzi. – Wygląda, jakby bardzo cierpiał, jego jasnozielone oczy wyrażają rozpacz.

Russell marszczy nos.

– Ach, ty straszny, zimny popaprańcu! – Mówi to obok mnie, przeczesując dłonią swoje kasztanowe włosy. – To będzie wspaniałe uczucie, kiedy pozbawię cię głowy!

Ponownie słucham przekazu w telewizji. Brennus mówi:

– Dowiedzieliśmy się, że Genevieve ostatnio była widziana w Toruniu. Jakakolwiek informacja od widzów będzie dla nas wielką pomocą w śledztwie. Potrafimy ocenić rodzaj informacji i jej wartość dla nas. Pani widzowie muszą

zdecydować, jaka nagroda jest dla nich wystarczająco zadowalająca.

– Dlaczego po prostu nie ustalisz ceny za nasze głowy, Brenn? – rzucam pytanie w kierunku ekranu telewizora.

– Właśnie to zrobił – odpowiada Reed, jego zielone oczy ciemnieją.

– Czy on użył samoopalacza? – Pyta prześmiewczo Russell, stojąc obok mnie.

– Tak sądzę... I nawet wygląda dobrze... – mówię oschle.

Russell spogląda na mnie swoimi brązowymi oczami, jakbym straciła rozum.

– Co? Ja tylko mówię, że to powoduje, że wygląda na mniej, no wiesz, martwego.

Russell się krzywi.

– Dla mnie wygląda pomarańczowo – mówi, a ja wzruszam ramionami z poczuciem winy.

– Co chciałby pan powiedzieć naszym widzom o Genevieve? – pyta reporterka, próbując przyciągnąć ludzką ciekawość.

Brennus obdarowuje ją małym, uwodzicielskim uśmiechem i odpowiada:

– Że jest po prostu bardzo... Słodka...

– W smaku? – wtrąca Russell.

– I naiwna – kontynuuje Brennus. – Jest zbyt ufna, to jej jedyna wada. Jest zawsze gotowa walczyć w straconej sprawie. To może zabrzmieć, jakby moje serce było nieczułe...

– Masz na myśli takie, które nie bije? – prychna Russell sarkastycznie do telewizora.

– Ale ja cierpię, odkąd ją straciłem – ciągnie Brennus. Wygląda jak wrak człowieka.

– No i jeszcze będziesz cierpiać, popaprańcu – warczy Russell.

– Jeśli mógłby jej pan coś teraz powiedzieć, gdyby teraz pana słuchała, to co by to było? – pyta reporterka łagodnym i pełnym szacunku tonem.

Nozdrza Brennusa poruszają się, gdy próbuje opanować skrywane gwałtowne emocje.

– Razem byliśmy niepokonani i znów tacy będziemy – oznajmia surowym głosem.



– A co powiedziała by pan jej prześladowcom? – pyta reporterka.

Przyptyw adrenaliny pulsuje we mnie w oczekiwaniu na odpowiedź. Widzę, jak Brennus nieruchomieje, potem marszczy brwi. Po chwili wyciąga telefon z kieszeni. Spogląda na wyświetlacz, zanim chytry uśmiezek wypełza na jego twarz. Sięgają do kołnierzyka, odpina mikrofon i wyciąga odbiornik przytwierdzony do paska.

– Panie de Graham? – odzywa się dziennikarka ze zdziwieniem, lecz Brennus po prostu schodzi z kadru, pozostawiając ją samą w dziwnej sytuacji, gdy gość nieoczekiwanie opuszcza wywiad.

– Och... Nie jest dobrze – mruczę. Odwracam się do Reeda, a moje oczy się rozszerzają.

– Ach... cholera, Ruda! Czujesz to? – pyta Russell, a mnie przyptyw energii unosi najmniejsze włoski.

– Russell! – krzyczę w ataku paniki. Próbuję ściągnąć do siebie całą energię.  
– My potrzebujemy...

Niemal natychmiast mój świat eksploduje. Unoszę się nad ziemią i obracam w powietrzu jak tornado. Cały pokój skacze i wiruje wokół mnie, gdy ja szybuję nad ziemią.

– Russell, zrób coś! – krzyczy Reed, podlatuje do mnie i próbuje mnie zatrzymać. Rozkłada swoje skrzydła, żeby spowolnić mój ruch obrotowy, lecz to powoduje, że tylko obraca się razem ze mną.

– Oj, Russell, co teraz? – woła Lonan od drzwi, które właśnie wysadził z zawiasów i stoi w opadającym deszczu drzazg. Alastair i Cavan są u jego boku, a wiatr unosi ku nam ich ciężki zapach.

Moment później przestaję się obracać, ale nadal czuję się jak moneta w polu elektromagnesu. Jedyna rzecz, która powstrzymuje mnie przed rzuceniem się w ramiona Lonana, to obejmujące mnie mocne ramiona Reeda.

– Och – jęczę, czując, jak moje wnętrzości próbują się ze mnie wylać. – Tarcza – szepczę osłabiona.

– Gdzie Brennus? – woła Russell do Gankanagów, chmurząc się na widok Reeda, który usilnie próbuje mnie zatrzymać w ramionach.

– W drodze – odpowiada Lonan z zadowoleniem.

Jęk rozczarowania wydobywa się z ust Russella.

– Dlaczego on ciągle przysyła Drużynę B? Czyżby bał się stanąć twarzą

w twarz ze mną?

Lonan odpowiada rozbawiony:

– O nie, to my prosiliśmy o zaszczyt spotkania z tobą. Pamiętasz Ultana? – W Lonanie kipi żądza zemsty.

Russell unosi brew.

– Masz na myśli Zoltana? Tak, pamiętam go. Był pierwszym wampirem, którego uczyniłem naprawdę martwym – mówi kpiąco.

– Był Gankanagiem! Moim bratem – prycha Lonan ze złością.

– Naprawdę? Nie rozróżniam, dla mnie wszyscy wyglądacie tak samo. – Russell robi obojętną minę.

Cavan zgrzyta zębami. Cofając rękę, rzuca elficką rzutkę w Russella. Ognista kula obraca się i syczy w powietrzu jak łaża z topiącej się gwiazdy.

Unosząc dłoń, Russell wypowiada szeptem słowa, które zmieniają kurs płomiennego pocisku, tak aby wrócił do Cavana – ten zaledwie o kilka centymetrów unika płomieni, rzucając się na bok i opadając na Alastara. Jego oczy otwierają się szeroko od szoku na widok umiejętności Russella manipulowania jego zaklęciami.

– Żaden z was nie wytrzymałby ani sekundy na meczu ligowym baseballa – kpi Russell.

– Russell, zablokuj zaklęcie, które rzucili na Evie – żąda Reed, nadal próbując mnie zatrzymać.

Russell krzywi się, widząc, jak pochylam się w chwili, gdy uchwyt Reeda odrobinę słabnie. Ściąga energię z pomieszczenia do siebie i wypowiada szeptem słowa, których nie jestem w stanie usłyszeć. Po chwili ciszy następuje trzęsąca wibracja, a z piersi Russella wydobywa się niesamowicie głośny pomruk. Ta wibracja porusza powietrzem jak głośnik niskotonowy subwoofera. Falująca bańka rozkłada się wokół nas jak stalowoszara woda w basenie. Ściany piwnicy drgają, w miarę jak wytworzone pole rośnie pulsująco. Kurczę się w agonii spowodowanej tym hałasem, jednocześnie wdzięczna, że znajduję się za tym dźwiękiem, a nie przed nim. Ryk podobny do dudniącego grzmotu wstrząsa podłogą, gdy odgłos przypominający burzę przesuwa się naprzód. Dźwięk zderza się ze znajdującymi się na jego drodze krzesłami i stołami, rozrywa je w obłoki drewnianych drzazg. Przez twarz Lonana przebiega niedowierzanie. Kiedy fala dociera do jego ludzi, strąca Lonana z nóg, rzuca

go w tył, a Alastar i Cavan toczą się jego śladem. Przyciąganie mnie do Lonana przestaje działać, a ja tułę Reeda do siebie.

– Potrzebujemy tarczy, Russell – udaje mi się powiedzieć.

Reed ląduje ze mną na podłodze obok Russella i Anyi.

– Okay – odpowiada Russell i natychmiast tworzy przed nami ścianę z energii.

– Uch – jęczę, trzymając się za głowę, a świat wokół mnie nadal wiruje.

– Ruda, coś nadchodzi – ostrzega Russell, kucając. – Reed, powiedz Anyi, aby się za mną skryła.

W drzwiach na szczycie schodów zacienione postaci pełzają wzdłuż ramy drzwi i poruszają się po ścianach w dół.

– Werree – wzdrygam się. Robię krok w tył, czując, jak chłód przebiega po moich plecach.

Cienie poruszają się pomiędzy szczelinami, gdy pozbawione ciał demony zbliżają się do nas. Nie są same, towarzyszy im fala Inikwi, mówią coś gardłowymi głosami i ostrożnie przemieszczają się w dół schodów na czworakach.

U Reeda wzmagą się potrzeba, aby mnie chronić, staje przede mną, osłaniając mnie przed bezpośrednim atakiem.

– Światło... – mówi. – Kochanie, aby zabić Werree potrzebujemy światła. – Ocenia ściany pozbawione okien. – Mogę zabić Inikwi. Ty skup się na Werree.

Przytakuje z nadzieją, że wkrótce pokój przestanie wirować.

Inikwi zbierają się podobnie jak wataha wilków. Gnijąca skóra i odór rozkładającej się pleśni powoduje, że powietrze w piwnicy bez okien staje się gęste i przyprawia o mdłości, lecz ta całkowita odmienność od siebie także czyni ich straszными. Gdyby byli zwykłymi ludźmi, nie byłiby ze sobą razem. Starsza kobieta z limonkowozielonym szalem okrywającym drutowate siwe włosy pochyla się na prawą stronę, jej białe ortopedyczne buty stąpają bezszelestnie po kamiennych stopniach. Tej damie towarzyszy nieprawdopodobnie wysoki mężczyzna w średnim wieku, który musiał umrzeć z powodu szerokiego rozcięcia u podstawy szyi. Dwudziestokilkuletni hipster w dzinsowych rurkach idzie w lewo, jego kiedyś modny szalik ciągnie się za nim poszarpany. Dalej podąża szpakowate, wyglądające na starożytne martwe ciało w brązowym nylonowym garniturze.

W centrum grupy Inikwi trzydziestokilkuletni trup kobiety o włosach koloru pszenicy i nienaturalnie mlecznobłękitnych oczach bulgoczącym głosem wydaje rozkazy pozostałym. Jedna z jej kości policzkowych została zmiażdżona i przebarwiona. Płynna czarna pleśń skapuje z kącików jej ust, plamiąc płaszcz koloru kości słoniowej. Po sekundzie ta upiorna kobieta wrywa się z szyku i biegnie wprost na Reeda, a pozostała czwórka próbuje nas otoczyć. Poruszają się na czterech łapach jak psy.

Reed wydaje Anyi jakiś rozkaz w języku aniołów. Anya umieszcza strzałę o złotym czubku w swoim łuku, naciąga cięciwę i ją zwalnia. Strzała trafia dowodzącą Inikwi w pierś, a srebrna krew przesiąka przez tkaninę jasnego płaszcza.

Blond głowa pochyla się, a włosy opadają na twarz. Ścierwo gospodarza osuwa się na kolana i po chwili ląduje plecami na podłodze. Gruba, podobna do węża kreatura zaczyna wypełzać z ust martwej kobiety. Wygląda prawie jak jej jelito grube, które próbuje uwolnić się od reszty ciała. Z trzaskiem rozrywa jej żuchwę, wilgotny ogon wyslizguje się przez zęby. Druga strzała Anyi przeszywa śluzowate ciało srebrzystego Inikwi, wydzierając duży otwór.

Odwracam się od ohydnej sceny, widzę Reeda, który już rozdziera hipstera, oddzielając go od partnera w nylonowym garniturze. Rozproszona przez Inikwi całkowicie zapominam o Werree nadchodzących z góry.

Cienisty Werree naciąga atramentową strzałę, która w rzeczywistości jest przedłużeniem jego samego. Wypuszcza ją w moim kierunku, ten obraz przeszywa mój bok, przesuwając mnie w tył siłą uderzenia. Ciemna strzała wtapia się we mnie, wchłaniana przez moją skórę. Lodowata trucizna przesuwana się w górę mojego boku i w dół nogi.

Jęczę z bólu, próbuję schwycić drzewce strzały i wyciągnąć je, lecz ono nie jest stałe, a trucizna wciąż wsiąka we mnie.

– Russell! – Zaciskam zęby.

Russell warczy, a na jego twarzy pojawia się maska niezdecydowania. Natychmiast kuca u mego boku.

– Jak to wyciągniesz, Ruda?

Szczękam zębami z narastającego zimna, które mnie przeszywa.

– N... n... nie wiem – jęczę i zamykam oczy, by pomyśleć. Gdy je otwieram, krzyczę: – Russ! Za tobą! – ostrzegam, odpychając go na bok, żeby skoncentrował się na grupie Werree nad nami. Unoszę rękę i cedzę przez zęby: –

Ciemność kryje światło. Światło niszczy noc... – W tym czasie cała energia, którą zebrałam, wypływa z mojego ciała.

Snop rozpalonej do białości masy wybucha wprost ze mnie, oświetlając Werree. Światło działa na nich tak, jakby było pomarańczowymi węglami rozpalającymi schnące brązowe liście; Werree opadają z sufitu i wiją się w agonii, aby w końcu zamienić się w popiół i dym. Pozostałe zmieniają kierunek, wycofują się z dala od nas i opuszczają klub.

Russell wygląda na zdenerwowanego:

– Ruda, jesteś ranna – oznajmia i zbliża się do mnie.

– Ja... nie... – mamroczę, przykładam dłoń do swojego boku w poszukiwaniu strzały, lecz już jej tam nie ma... Ale byłam ranna.

– Co zrobiłaś? Uzdrowiłaś się czy co? – Russell oddycha z ulgą, widząc, że już nie krwawię, unosi moją koszulę, aby sprawdzić. Czerwone zadrapanie to wszystko, co zostało po czarnej, cienistej strzale Werree. – Jak to zrobiłaś?

– Może to przez to światło? – zastanawiam się na głos. Wtedy na moich oczach dwóch Inikwi przewraca na ziemię Anyę. Jeden z nich skacze jej po piersi, podczas gdy drugi dobiera się do głowy.

Russell też to widzi, szybko zrzuca Inikwi z piersi Anyi, aby po chwili zająć się jego kompanem. Stwory cofają się aż do ściany. Russell podąża za nimi, unosi każdego z nich, uderza nimi o siebie, jakby strzepywał brud z podeszew butów. Srebrzysta krew wypływa z ich ust, pewny znak, że cokolwiek w nich było, teraz jest już na pewno martwe, lecz Russell nie przestaje uderzać jednym o drugiego.

Nastaje cisza. Jedyne, co słyszemy, to wyłącznie obijanie się dwóch martwych ciał Inikwi o siebie. Reed już zabił pozostałych i teraz klęczy nad Anyą, pomaga jej usiąść, tak aby móc obejrzeć jej rany.

– Russell – mówię, lecz on mnie nie słyszy. Nadal obija już dawno martwych Inikwi. Kładę dłoń na jego ramieniu, aby go powstrzymać.

Twarz Russella staje się coraz bledsza.

– Czy z nią wszystko w porządku? – pyta tonem pełnym strachu, jakby bał się odwrócić i przekonać o tym na własne oczy.

Zerkam na Anyę.

– Reed, co z nią?

Reed rozdziera na paski biały obrus i zaczyna opatrywać zebra Anyi.

– Ma złamane dwa żebra i ranę szarpaną na przedramieniu. Powinna szybko wyzdrowieć – zdaje raport.

– Będzie dobrze – przekazuję Russellowi. Dotykam jego ramienia i wskazuję, że powinien opuścić już tych dwóch Inikwi. Robi to, by po chwili powoli spojrzeć na Anyę. – To twardzielka – komentuję, patrząc, jak pręży mięśnie, podczas gdy Reed zaciska opatrunki na jej żebrach.

– Powiniennem ją ochronić – mamrocze Russell z odrętwiałym żalem.

– Właśnie to zrobiłeś, Russ. – Wskazuję na zmiażdżone ciała na podłodze.

Twarz Russella znów ciemnieje.

– Jej tu nie powinno być – zwraca się do mnie złowieszczo. – Musimy sprawić, by wróciła do domu.

– Nie wygląda na to, żeby chciała wracać...

Jego grymas się pogłębia.

– W takim razie w jakiś sposób trzeba ją zmusić do powrotu – odpowiada ponuro.

– Jak? – pytam zagubiona.

– Nie wiem jak, ale nie jestem w stanie chronić was obu – odparowuje ze złością.

– A co jeśli... – Marszczę brwi.

– Nie, Ruda! Nie spieraj się ze mną! To za twoją sprawą tu zostałem, więc teraz musisz mi pomóc! – Atakuje pełnym napięcia tonem, a jego brązowe oczy stają się groźne. Wskazując palcem w kierunku Anyi, mówi: – Nie wiem dokładnie, kim ona jest dla mnie, ale kimś jest, i ja... Ty po prostu musisz mi pomóc – cedzi przez zaciśnięte zęby.

– Okay – zgadzam się. Przyływ poczucia winy uderza mnie, ponieważ to ja sprawiłam, że Russ został tu w chwili, kiedy go uzdrowiłam. – Ale najpierw trzeba się stąd wydostać.

– Idę na zwiad – oznajmia Russell i natychmiast wysyła swojego kлона. Jego ciało opada, chwytam je, zanim runie bezwładnie. Delikatnie układam Russella na podłodze obok siebie i trzymam go w tym czasie, gdy jego świadomość podróżuje z klonem.

Russell niemal natychmiast powraca, poznaję to po tym, jak wyrywa się z moich ramion i mówi z powagą:

– Nigdzie nie idziemy.

– Dlaczego? – Czuję, jak Reed pojawia się obok mnie.

– Czy kiedykolwiek widzieliście ten stary film... ten, w którym jest dużo czarnych ptaków? – pyta Russell, a włosy na jego ramionach stają dęba. – Hitchcocka?

– *Ptaki?* – pytam szeptem.

– Tak, ten. W pewnym sensie tak jest na zewnątrz, no może z wyjątkiem tego, że zamiast ptaków mamy tam Upadłych i Gankanagów. Całymi stadami siedzą na dachach i czekają, aż wyjdziemy – opowiada błady Russell. – Po prostu robi się ciemno i Upadli latają dookoła, nie bacząc na to, że są wśród ludzi.

– No to już po nas – wyduszam z siebie z dziwnym spokojem.

– Nie, jesteśmy na dobrej pozycji – mówi Reed, spoglądając nam w oczy. – Russell, dobrze zrobiłeś, wybierając ten klub. To podziemna forteca tylko z jednym wejściem. Wydrążono ją w skale, tym samym pozbawiając właściwości łatwopalnych. Nawet gdyby próbowali nas wykurzyć ogniem, to ty i Evie możecie sprowadzić deszcz i go ugasić. Teraz to my jesteśmy przynętą, a pułapka została zastawiona. – Reed obdarza nas radosnym uśmiechem, jego zielone oczy błyszczą się z ekscytacji.

– Tau... – Czuję jednocześnie strach i nadzieję.

– On sprowadzi na nich rządy terroru, których nigdy wcześniej nie widzieli – mówi Reed, spoglądając na zegar ścienny, jakby liczył, o której godzinie te rządy nastąpią. – Zefir będzie rozczarowany.

– Kiedy Tau zjawi się tutaj? – pyta Russell, lecz nagle zaczyna dzwonić telefon za barem.

Podskakuję na ten gwałtowny dźwięk. Oblizuję wargi, zerkam na Reeda.

– Tau? – pytam.

– Dałem mu mój prywatny numer – odpowiada Reed, pozwalając, aby telefon nadal dzwonił.

– Więc może... – zaczynam i patrzę, jak Reed powoli kręci głową.

– Nie, to Brennus – odpowiada. Podchodzi do telefonu i miażdży go, uciszając dzwonek.

– Jak sądzisz, czego chce? – pytam, drżąc.

– Ciebie. Russell, czy możesz zająć się drzwiami, a ja skontaktuję się z Tau?

– Zacznę warczeć, jeśli zaobserwuję jakiś ruch – informuje Russ.

– Chcesz rozmawiać z Tau? – Reed przysuwa się do mnie i dotyka mojego policzka.

– Nie. Idę się umyć i potem pomogę strzec drzwi – odpowiadam, czując kolejny przypływ adrenaliny.

– Zaraz do ciebie wracam. – Reed całuje mnie w czoło i pozwala mi odejść.

Idę pospiesznie do łazienki, myję się na tyle, na ile można to zrobić w mikroumywalce. Zerkam w lustro i zauważam, że jestem naprawdę blada. Moja krew nie mogła w pełni się zregenerować, prawdopodobnie na skutek pobicia. Nadal czuję się słaba. Magia Brennusa mogłaby mnie teraz przeciąć na pół, a ja nie miałabym siły walczyć.

Kiedy wracam do pomieszczenia, Russell stoi za barem i wyciera ociekające dłonie i twarz ręcznikiem. Wychodząc zza baru, niesie torbę precli i wodę. Rzuca mi butelkę, siada obok Anyi na eleganckiej kanapie i częstuje anielicę preclami. Ona tuli się do niego, opiera głowę o jego pierś, co najwyraźniej mu nie przeszkadza obserwować wejście przed nim.

– *Lei- Cha-ih-yil-knee-ih il-day* – odzywa się Russell do Anyi. – *Be- Al-doh-tso-lani al-tah-je-jay Gankanag.* – Uspokajająco gładzi jej włosy.

Siadam przy nich na przyległej sofie.

– Co jej powiedziałaś? – pytam.

– Że armia przybędzie... Wiele dużych spluw, aby zaatakować Gankanagów – odpowiada Russell.

– *Ne-tah* – szepcze Anya konspiracyjnie.

Russell przyciska ją do siebie i radośnie się uśmiecha:

– Tak, oszukamy ich, Anyu – odpowiada.

– Co to za język? – pytam, biorąc garść precli z torby, którą wystawia w moim kierunku.

– Nawaho – mówi, przeżuając. – Byliśmy Apaczami, ale handlowaliśmy z Nawaho od czasu do czasu – dodaje i potem obdarza mnie szyderczym uśmiechem. – Z ciebie była uroczą *squaw*.

Drżącymi rękami unoszę kolejny precel do ust. Pokazuję dłonie Russellowi i mówię:

– Pomyślałbyś, że już powinnam się do tego przyzwyczaić.



Anya uważnie przygląda się moim dłoniom i po chwili pokazuje swoje...  
Równie drżące.

– *Toh– Bah–ha– Zsid* – mówi.

– Co? – pytam, czując ulgę, że już nie patrzy na mnie ze złością.

– Powiedziała, że też się boi – odpowiada Russell z posepnym wyrazem twarzy, zakłopotany ostatnią potyczką.

Głęboko zielone oczy Anyi patrzą prosto w moje, a ja czuję, że chcę ją przeprosić, tylko nie wiem dokładnie za co. Po chwili przeszywające zimno dotyka mojej skóry. Wijące się wzory ze szronu tworzą się na ścianach za Anyą, biegną w górę do sufitu, aby skryzalizować się na szklanych żyrandolach. Mój oddech wydobywa się z ust w formie mglistych obłoków, a temperatura w pokoju gwałtownie spada. Russell, Anya i ja natychmiast wstajemy. Reed błyskawicznie pojawia się u mojego boku i odruchowo chwyta moją dłoń. Słyszymy trzaskanie, podobne do odgłosu pękającego lodu, po którym się stąpa. W wejściu do klubu pojawia się Brennus.

Nadal w ciemnym garniturze, błyszczący elegancją jak król; badawczo spogląda na nas z góry. Jego wzrok zatrzymuje się na mnie.

– Genevieve – wypowiada moje imię jak modlitwę. – Moja królowa... moja żyjąca ciemność.

## Rozdział 11

### *Duch żalu*

– To nigdy nie osłabnie – mówi do mnie Brennus, schodząc z królewską gracją po schodach piwnicznego baru. – Ten przeszywający dreszcz pożądania, który przenika mnie za każdym razem, kiedy cię trzymam w ramionach, *mo chroí*. – Lodowa ścieżka rozprzestrzenia się wokół niego, pokrywając szronem powierzchnie w pubie. Choć wiem, że to tylko obraz Brennusa, magiczne zaklęcie wyświetlone nam przez jego ogromną moc, nadal czuję prawie paraliżujący strach, że znów mnie odnalazł.

– Kochanie, podtrzymuj rozmowę – szepcze mi Reed do ucha. – Postaraj się go tu ściągnąć, niech przybędzie fizycznie.

Z udawanym opanowaniem odpowiadam Brennusowi.

– Przybądź więc i przedawkuj mnie. – Prostuję ramiona, przygotowując się do wojny. – Jestem zaskoczona tym, że nie męczy cię ten kac.

Jasnozielone oczy Brennusa przeszywają mnie, jakby wyszukując nawet najdrobniejsze zmiany, jakie mogły nastąpić od czasu, kiedy mnie przetrzymywał.

– Masz najbardziej pokrętny umysł spośród wszystkich, jakie znam. Byłem pewien, że schwytaliśmy cię na twojej wyspie na błękitnym morzu. – Zbliża się do mnie, ignorując innych.

– Tak mi przykro, to musiało być rozczarowujące, to przesiewanie resztek po rzezi i nieznażenie moich szczątków – odpowiadam, widząc, jak mój oddech tworzy lodowe kosmyki w mroźnym powietrzu.

– Wtedy myślałem, że tego pragnę, Genevieve... Ujrzeć cię całkowicie pozbawioną życia. Taka była moja ambicja, prawdę mówiąc. Lecz gdy twoja marna wysepka spłonęła, a ja wierzyłem, że moi ludzie cię unicestwili, wtedy coś we mnie pękło. – Wzdycha, nadal zbliża się do mnie. Nachyla się, żeby poczuć zapach moich włosów, ale krzywi się z niezadowoleniem, gdy dociera do niego, że przecież nic nie poczuje.

– Było ci przykro, że to nie ty pociągnąłeś za spust? – pytam zdezorientowana nieoczekiwaną zmianą jego zachowania.

– Nauczyłem się, że istnieje bezdenna głębia bólu, który muszę znieść – wyjaśnia, obserwując moją reakcję.

– Miałeś swój moment skruchy? – Unoszę brwi z niedowierzaniem. – Cóż za irytująca dla ciebie sytuacja, Brenn: być u szczytu sławy, a jednocześnie czuć zniechęcenie spowodowane żalem.

– To nie był żal – odpowiada ostrym tonem. – To była strata na niewyobrażalną skalę. Agonia, której nie można porównać do śmierci własnego serca lub serca brata.

– Z tego, co widzę, już całkowicie ci przeszło. – Unoszę podbródek. – Sądząc po nasłanych na mnie Werree, znów jesteś skłonny mnie zabić. – Zachowuję spokój, ale oskarżający ton głosu mnie zdradza.

– Nie przeze mnie zostali tu przysłani! – syczy Brennus wściekle. – To Lonan zmienił moje rozkazy. – Widząc dosadny grymas na jego twarzy, coraz cieńszą kreskę zaciśniętych warg, rozpoznaję, że mówi prawdę. – To nienawiść do tego drugiego zaślepiła go i zapomniał o naprawdę ważnych sprawach.

– Czyli o czym? – Nie mogę się powstrzymać.

Brennus wzdycha i odpowiada zmęczonym tonem:

– Czy naprawdę musisz mnie o to pytać? Czy nie wiesz, że jesteś wszystkim, co ma dla mnie znaczenie?

– Przepraszam, mój błąd! – odpieram z sarkazmem, uderzam się w czoło z udawanym zaskoczeniem. – Musiałam błędnie odczytać twoje intencje! Myślałam, że próbowałeś... jak to było... Ugasić we mnie życie? Teraz, kiedy powiedziałeś mi, że jestem wszystkim, co ma dla ciebie znaczenie, czuję się dużo lepiej.

– Zdajesz sobie sprawę, Genevieve, że sarkazm jest najgorszą formą humoru? – mówi z powagą.

– Na twoją huśtawkę nastrojów najlepiej zażywać lit, Brenn. – Kręcę głową z odrazą.

– Czy dotarło do ciebie choćby jedno słowo, które padło z moich ust? – pyta przepełniony frustracją. – Próbuję wyjaśnić, że myślałem, że cię zabiłem, i kilka następnych godzin było dla mnie najbardziej bolesnym czasem, jakiego przyszło mi doświadczyć.

– Och – mruczę zaskoczona. – Więc... zdecydowałeś się darować mi życie? – pytam, świadoma, że nie przybyłby tutaj, gdyby tak było.

– To nie do końca tak. Jeśli przez życie rozumiesz to, że wyszę z ciebie krew i podzielę się z tobą swoją krwią, abyś mogła zostać moją ożywioną królową, to masz rację. Nawet nie będziesz musiała mnie o to błagać, wystarczy, że mi się oddasz.

Spoglądam na Reeda, który natychmiast mówi:

– Nie.

– Ach, tak mi przykro, Brennusie – odpowiadam głupekowato. – Mój адвокат doradził mi, abym odrzuciła twoją ofertę. Widzisz, w pewnym sensie mamy inną umowę i ta powinna wystarczyć.

Russell zamyka oczy na chwilę, jakbym właśnie wyjawiała wielki sekret. Na widok reakcji Russella Brennus robi skwaszoną minę.

– Umowa? Jaka umowa, Genevieve? – pyta.

– Właśnie teraz jest w fazie planowania, ale myślę, że mogę cię wtajemniczyć – oznajmiam konspiracyjnym tonem.

– Ruda, nic mu nie mów – ripostuje podenerwowany Russell.

– Spokojnie, Russ. On nie może nas teraz powstrzymać. – Puszczam do niego oko.

– Mów. – Brennus wyszczekuje rozkaz jak przywódca przyzwyczajony do rządzenia.

– Zrobiliśmy małe rozpoznanie – zaczynam z powagą. – Zebrałeś legion z armii Upadłych, nie mówiąc nic o Inikwi i moich ulubionych Werree... Lachlan byłby na ciebie wściekły.

– Już wyjaśniłem, że Werree nie są tu z mojego rozkazu, ale Upadli i Inikwi byli konieczni. Nie wolno ci stąd uciec, tęsknię za tobą, *mo chroí*... Bardziej, niż możesz sobie wyobrazić. Potrzebuję teraz ciebie u swojego boku. – Spokojnie określa swoje stanowisko.

– Wyraziłeś się jasno, że nie wyjdziemy stąd żywi – wyjaśniam, obserwując jego reakcję. – To ty jesteś królem, który przybywa, by nas zniszczyć.

– Trudno pamiętać, że nadal jesteś słabą dziewczyną. Kiedy mówisz do mnie w ten sposób, krew zaczyna mi płonąć. – Brennus uśmiecha się obleśnie. – To sprawia, że chciałbym tu być naprawdę, aby wdychać całą woń upajającej krwi, która tętni w twoich żyłach.

Marszczę nos.

– To dla mnie też bardzo rozczarowujące – zgadzam się, a dreszcz strachu muska moje ciało.

– Planujesz się ze mną targować? Czy proponujesz inny kontrakt w zamian za ocalenie ich życia? – Z trudem ukrywa uśmiech.

– Nie – wzdycham smutno. – Wiem, że i tak nie oszczędzisz ich życia bez względu na to, co ci zaoferuję, Brennusie – odpowiadam i widzę, jak jego uśmiech staje się szerszy.

– Interesujące, Genevieve. Myślałem, że będziesz próbowała płaszczyć się przede mną, aby ich uratować. – Unosi brew, jakby był zaintrygowany.

– Ach... *Tristitia*, to oznacza smutek, prawda? – pytam, a on przytakuje. – Zawsze twierdziłeś, że to moja największa słabość.

– Tak – potwierdza, a jego oczy powoli stają się coraz węższe.

– A twoim smutkiem jestem ja – dodaję bez wahania.

– Co ty mówisz? – Nagle przestaje wyglądać na pewnego siebie.

– Jak już powiedziałam, jeszcze nie opracowałam wszystkich szczegółów, ale ogólnie rzecz biorąc, to ty marnujesz swój czas, przybywając tutaj, ponieważ ja zaraz zniknę – odpowiadam. – Anya, to jest ta anielica tam dalej, od chwili kiedy mnie spotkała, o niczym innym nie marzy jak tylko o tym, żeby mnie zabić – wyjaśniam i wskazuję na Anyę stojącą obok Russella.

– Dlaczego? – pyta Brennus sztywnym tonem, okrążając Anyę, która warczy na widok jego magicznego obrazu.

– To skomplikowane. – Macham dłonią od niechcenia. – Russell jest w pewnym sensie jej *aspire*, a ja jestem tą, która go od niej odciąga... Bla, bla, bla. Wystarczy powiedzieć, że szczerze mnie nienawidzi.

Wargi Brennusa wykrzywia złośliwy grymas.

– Zabij ją – rozkazuje mi. Wygląda bardzo groźnie.

– Nie mogę. – Wzruszam ramionami. – Jeśli ją zabiję, to będę zmuszona poprosić Russella lub Reeda, aby zabili mnie, a to dla nich zbyt wiele. Nie, dla mnie najlepszym wyborem jest Anya. Albo mogłabym wyjść teraz na zewnątrz, mając nadzieję, że jakiś Upadły zgładzi mnie natychmiast. Być może obiecałeś im coś lub oni mogą cię oszukać i wtrącić mnie do Szeolu, a ja nie bardzo chcę skorzystać z tej okazji.

Brennus zaczyna przeklinać w języku czarnoksiężników – przynajmniej tak mi się wydaje, że przeklina. Bierze głęboki wdech i przechodzi na angielski.

– Posłuchaj mnie, Genevieve. Możesz teraz wyjść przez te drzwi i poddać się Lonanowi. On będzie cię chronił aż do mojego przybycia. Zgodzę się darować życie twoim przyjaciołom. – Obserwuje, jak siadam na sofie i zanurzam dłoń w torbie z preclami, a po chwili wyciągam całą ich garść.

– Wiesz, precle jako ostatni posiłek to nie jest taki zły pomysł. Tak naprawdę chciałabym zjeść Twinkies, ale precle też mogą być. Przynajmniej tym razem mam wodę. – Wrzucam kolejny precelek do ust i obserwuję reakcję Brennusa.

– A co z tym drugim i tym *aingeal*... Aniołem – pyta, próbując znaleźć sposób na to, bym mu się oddała.

– Więc, z chwilą, gdy Anya mnie zabije, moja dusza może unieść się do Raju. Jeśli tam dotrę, będę przekonywała zwierzchników, aby wezwali Reeda, Russella i Anyę do Raju, zanim ty zdążysz ich skrzywdzić – odpowiadam z gęsią skórką na ramieniu, która powstaje, gdy tylko pomyślę o niezliczonych przeszkodach dla tego planu.

– To złe posunięcie, Genevieve. Oni nigdy się na to nie zgodzą – odpowiada Brennus natychmiast, jakby właśnie zadziałała jego osobista wiedza na temat Raju.

– W takim razie jest też plan B. Reed może zabić Russella... co pewnie nawet by mu się trochę spodobało. – Spoglądam na obojgu. – Jeśli to zrobi, wtedy Anya będzie chciała zabić jego... – Na myśl o utracie Reeda bądź Russella ściska mi się gardło.

Posępny wyraz twarzy zdradza, co Brennus sądzi o moim nowym planie. Gniew grzmi w jego głosie, kiedy zbliża się do Russella, mówiąc:

– Rozkazuję ci chronić Genevieve do czasu mojego przybycia.

Z coraz gorszym grymasem Russell odpowiada:

– Wiesz, to zabawne... Coś mi podpowiada, żebym posłuchał twojego rozkazu.

– Zostałeś ugryziony, Russell – odparowuje Brennus groźnym tonem. – Mój jad krąży teraz w tobie, ponieważ krąży w żyłach wszystkich moich ludzi. To ja jestem twoim królem i tak czy inaczej wykonasz moje rozkazy.

– To wszystko? Zastanawiałem się, dlaczego twoje słowa wydają mi się rozsądne – rzuca Russell od niechcienia. – Ale nie, ty nie jesteś moim królem.

Nie kupuję twojego wizerunku stylizowanego na przesiąkniętego złem dyktatora.

– Już niczego nie kupisz, jeśli postąpisz zgodnie z planem Genevieve – atakuje Brennus. – Ona zamierza cię zabić.

– Normalnie ja nie z tych, co dają się sprowadzić na złą ścieżkę, Brennusie, zwłaszcza gdy wiem, jak źle to się kończy – odpowiada spokojnie Russell. – Jestem raczej typem gościa „zobaczmy, ile złych koleśi mogą powalić”. Więc istnieje duża szansa na to, że będę tutaj, kiedy ty przybędziesz, ale upewnię się wcześniej, że Ruda już stąd zniknie, ponieważ jej dusza jest dla mnie najważniejszą rzeczą. Nie zamierzam ci pozwolić wysłać ją do Szeolu.

Widząc, że nie udaje mu się przekonać Russella, Brennus zwraca się do Reeda, obserwując go bardzo uważnie.

– Zachowujesz nienaturalny spokój w tej sprawie – zauważa.

– Tak – zgadza się Reed.

– To cię nie martwi, że ona planuje umrzeć tutaj, odciąć się w tej nędznej, podziemnej spelunie? – pyta Brennus głosem pełnym odrazy, wskazując na otaczające go pomieszczenie.

– Jakie znaczenie ma miejsce? – odpowiada Reed poważnym tonem. – Świat skończy się dla nas obu, kiedy ona odejdzie.

– Co za ironia, że to ty jesteś tym jedynym, który to rozumie.

– Nieprawdaż? – zgadza się Reed.

– Nam dwóm najbardziej zależy na tym, by pozostała przy życiu. Czy możemy znaleźć na to rozwiązanie? – Twarz Brennusa wygląda na nieco bledszą niż wcześniej.

– Zależy mi na tym, żeby Evie została przy życiu. Tobie zależy, by stała się ożywieńcem – mówi Reed.

– To też prawda. – Brennus wzdycha. – To tylko dlatego, że nie mogę jej kontrolować, kiedy jest żywa, a nie dlatego, że mam coś przeciwko pozostawieniu jej żywej. Uwielbiam każdy jej zmysłowy oddech.

– Tak, to jest to. A co, jeśli ona już nie będzie taka sama po tym, jak wysiesz z niej duszę? – odpowiada Reed, a jego oczy delikatnie się zwężają.

– To mnie niepokoi – potwierdza Brennus.

– Kochasz czystość jej ducha – oznajmia Reed.

- Nie ma w niej rzeczy, której bym nie kochał – mówi Brennus zamyślony.
  - Z wyjątkiem jej miłości do mnie i Russella – odpowiada Reed, a jego głęboko zielone oczy spoglądają na mnie pełne miłości.
  - Z wyjątkiem tego. – Brennus patrzy gniewnie. – Więc myślimy podobnie.
  - Zagoniłeś ją w kozi róg i okrążyłeś, więc ona widzi tylko jedną drogę wyjścia – ciągnie Reed. – Tak samo było w jaskiniach w Houghton... Będzie cię unikać w każdy możliwy sposób.
  - Więc mówisz, że jedyną opcją dla mnie jest pozwolić jej uciec, jeśli chcę nadal mieć szansę, żeby ją odzyskać – pyta Brennus z ironicznym grymasem ust.
  - Albo to, albo musisz przybyć tutaj i powstrzymać ją przed uśmierceniem siebie... tik, tak, tik, tak... Albo... mógłbyś wyeliminować zagrożenie czyhające na zewnątrz – radzi Reed ze szczerym uśmiechem na swoich doskonałych wargach. – To oznacza wycofanie Inikwi, Upadłych i Werree po to, by ją ocalić.
  - To oznaczałoby zwrócenie się przeciwko własnym sojusznikom – oznajmia Brennus odrętwiale.
  - Pożegnaj wszystkich swoich przyjaciół. – Reed uśmiecha się, wiedząc, że Upadli ponownie zaczną polować na Gankanagów, jeśli zostaną przez nich zdradzeni.
  - Ile mam czasu, aby umożliwić wam ucieczkę? – Brennus wygląda na poruszonego.
  - Ile potrzebujesz? – Reed spogląda na zegar wiszący na ścianie.
  - Kilku godzin.
  - Mogą być dwie? – pyta Reed.
  - Cztery.
  - Załatwione.
- Brennus wyciąga dłoń i próbuje pogłaskać mój policzek, lecz jego dłoń przenika przeze mnie.
- Nie odchodź do miejsca, gdzie nie będę mógł cię znaleźć, Genevieve – mówi, a jego oczy łagodnieją.
  - Nie zmuszaj mnie do tego – odpowiadam cicho.
- Brennus nachyla się do mojego ucha i szepcze:
- Nie rozumiałem, jak miłość może męczyć... może uczyć nowych rzeczy. – Odsuwa się ode mnie, a jego jasnozielone oczy uważnie wpatrują się w moje.



– Szkoda, że nie mogłam przekonać cię, byś mnie wypuścił, zanim zostaniesz spalony – mówię do niego szeptem.

– Ja już płonę... – oznajmia i po chwili usuwa się w cień, zamienia w ciemny obłok dymu.

Oddycham pospiesznie.

– On odeśle Upadłych! – syczę i odwracam się w stronę Reeda.

Uśmiezek pojawia się na jego wargach.

– Nie zrobi tego. Tylko kupował sobie czas na opracowanie innego planu. Zaszedł już zbyt daleko, by pozwolić ci odejść, ale wstrząsnęłaś nim, przedstawiając mu swój samobójczy pakt. – Reed staje przy mnie i dotyka dłonią mojego policzka. – Zaatakuj szybko. Musimy być przygotowani na rzeź. Myślę, że będzie chciał przypuścić zmasowany atak.

– Tak sądzisz? – Czuję, jak żołądek wykręca mi się pod wpływem przeciwstawnych emocji.

Zanim Reedowi udaje się odpowiedzieć, wyjący wiatr dociera przez otwór z ulicy, przynosząc ze sobą wirujące płatki śniegu.

– Ho, ho, na zewnątrz robi się nieciekawie. – Russell drży. – Założę się, że Upadli nie są przyzwyczajeni do takiego zimna.

– To przykrywka – mówi półgłosem Reed, zbliżając się do wejścia do klubu.

– Co takiego? – Russell podąża jego śladem.

– Nie możemy rozpętać wojny na otwartej przestrzeni, ale teraz nie mamy wyjścia – wyjaśnia Reed, zajmując pozycję przy klatce schodowej.

– My... masz na myśli anioły? – Russell ustawia się przy przeciwległej ścianie, obserwując klatkę.

– Tak, myślałem o aniołach. Do tej pory Upadli byli odkryci. Pogoda się zmieniła, żeby mieli przykrywkę. Ludzie wkrótce znikną z ulic z powodu ostrej zamieci śnieżnej, co pozwoli nam ukryć swoją obecność przed nimi – odpowiada, zerkając na Russella.

– Kto kontroluje pogodę? – pyta Russell Reeda, który bez uśmiechu na twarzy unosi wskazujący palec.

– Czy nasi wrogowie nie domyślą się przez to, że coś się ma zdarzyć? – Przyłączam się do nich i obserwuję szczyt schodów.

– Tak, domyślą się – przyznaje Reed. – W chwili, gdy Brennus nie będzie

mógł zmienić pogody, zrozumie, że jedyne, co mu pozostaje, to desperacka próba wyciągnięcia cię stąd.

Z ulicy dobiega piskliwy odgłos hamulców ciężarówki, co powoduje, że Reed obejmuje mnie i kryje za sobą. Szorstkie i bełkoczące głosy towarzyszą odgłosom zamykanych drzwi samochodu. Napinam mięśnie, wiedząc, że coś nadchodzi, a koralik potu powoli spływa po obrysie mojej twarzy. I wtedy nagle jak z węża w rzeźni krew zaczyna spływać kaskadami ze schodów, upodabniając je do szkarłatnej fontanny.

– To krew? – pyta posepnie Russell.

– Tak – odpowiada Reed, a jego nos marszczy się z odrazą.

– Dlaczego? – Miękną mi kolana.

– Czy to taktyka polegająca na zastraszeniu? – pyta Russell z nadzieją.

– Brennus jest zbyt praktyczny na coś takiego – odpowiada spokojnie Reed.

– Oznaczanie swojego terytorium? – próbuje ponownie Russell.

– Przynęta – oznajmia Reed.

– Przynęta na co?

Drzwi ciężarówki ponownie otwierają się i zatraskują, a po chwili słychać wycie silnika oddalającego się od nas. Włosy na ramionach stają mi dęba z przerażenia.

– Oto jest pytanie. – Reed dokonuje oceny wszystkiego w pomieszczeniu. Mówi do Anyi w języku aniołów, a ta zabiera łuk i kołczan z sofy i przymocowuje go do ciała.

Bang.

– Co to, do diabła, było? – Russell wytrzeszcza oczy na widok pyłu opadającego z belek sufitowych.

Cofamy się o kilka kroków od wejścia, ciągle obserwując sufit.

– Ja nie... – zaczyna Reed.

Bang.

Kamienny sufit ustępuje, a pęknięcia formują na nim ślad pajęczyny. Kawałki gruzu opadają na podłogę, krusząc się jak gips. Czuję, jak serce wędruje mi do gardła, pospiesznie chwytam ramię Reeda i go przyciągam. Russell gapi się na sufit.

– Nie jest dobrze...

Bang.

Narastający dźwięk sprawia, że wszyscy podskakujemy, a Anya pospiesznie zjawia się u boku Russella, przyciskając go do siebie tak, jak ja przyciskam Reeda. Z góry dobiega odgłos, jakby ktoś odrywał dach. Stoły i krzesła rozpadają się na kawałki, a szklanki stojące niegdyś na barowych półkach spadają i się tłuką. Pociągam Reeda za sobą, klękam na jedno kolano, przytrzymując ramię nad głową, gdy moje skrzydła próbują rozłożyć się jak ochronny parasol.

– Cholera, to dziwne – mówi Russell obniżonym tonem, jednocześnie obserwując kamienny sufit ze swojej przykucniętej pozycji.

Dłonie mi drżą po tym, jak kolejne kawały sklepienia z głośnym łomotem uderzają o podłogę. Reed zerka na mnie, chwytając moją dłoń, przyciąga zimne palce do swoich warg i je całuje.

– Jestem z tobą, kochanie – mówi krzepiącym tonem.

Zgrzytam zębami i odruchowo opuszczam głowę, kiedy kolejne „bang” dochodzi do nas z góry, jakby coś naprawdę ciężkiego opadło na sufit. Reed puszcza moją dłoń, by rzucić się w stronę baru i wrócić po chwili z dużym zapasem drogiego alkoholu.

– Dzięki. – Russell odkręca butelkę brązowego płynu i pociąga obfity łyk.

– Nie pij tego, Russell – rzuca Reed lakonicznie. – Podrzyj ten obrus na paski i wepchnij po jednym do każdej butelki, robiąc z nich lont.

– To jest niewłaściwe używanie alkoholu – mamrocze Russ i wykonuje rozkaz Reeda. – Przecież wiesz, że mogę wywołać ogień, prawda? – Znacząco unosi brew.

– Tak, ale niektórzy z nas muszą zrobić to w tradycyjny sposób – odpowiada Reed. Wygląda na zdenerwowanego. Odbiera Russellowi butelkę i stawia ją razem z innymi, które wcześniej przygotował.

– Reed, osłaniam cię – mówi Russell tonem całkowicie pozbawionym humoru.

– Wiem. A ja osłaniam ciebie.

– Więc wszystko powinno skończyć się dobrze – mówi z powagą Russell, tuląc Anyę do swojego boku.

– Proszę. – Wręczam Russellowi kilka skrawków obrusa. – Owiń nimi skórę Anyi, gdzie się tylko da, tak aby Gankanagowie jej nie zniewolili.

Używam serwety do owinięcia twarzy Reeda i wiązę materiał z tyłu jego głowy, więc teraz wygląda jak rabuś kolejowy.

Potem spoglądam w jego doskonałe oczy, czując strach przed tym, że już nigdy ich nie zobaczę. Odsuwam kawałek serwety z jego twarzy, dociskam swoje wargi do jego warg w pełnym napiętości pocałunku. Właśnie wtedy zapada się sufit; belki i gruz opadają wszędzie, rozwalając stoły i tłukąc lustra. Duszący pył skalny i nieznośny odór przenika powietrze, zmuszając nas do kaszlu. W ciemności słyszę, jak coś zbliża się do nas od strony schodów. Niski, gardłowy chichot, podobny do śmiechu hieny, przenika otaczające nas chmury pyłu.

Sparalizowana tym dźwiękiem próbuję sobie przypomnieć, co może go wydawać. Włosy na moim ciele unoszą się, gdy kilka par błyszczących oczu pojawia się wraz z ciemnymi kształtami schodzącymi po schodach. Odgłos pazurów ocierających się o kamienne stopnie sprawia, że sztywnieję.

Kolejne przerażające „bang” dochodzi z góry. Cokolwiek tam się znajduje, także chce nas ustrzelić.

Błyszczące pary oczu znów się pojawiają.

– Co to jest? – pytam Reeda.

– Przebudzeni. – Reed rozgląda się i chwyta nogę połamanego krzesła.

Russella przebiega dreszcz.

– Dlaczego oni się śmieją?

– Nie śmieją się. Kłóćą się o to, kto jest najważniejszy. Wysokość tonu głosu określa, kto jest samcem alfa – wyjaśnia Reed.

– Dlaczego to takie ważne? – docieka przyciszonym tonem Russell.

– Ponieważ w Szeolu, jak i w każdym innym miejscu, samiec alfa jest karmiony pierwszy – wyjaśnia Reed.

Przebudzony schodzi z ostatniego stopnia, a ja robię głęboki wdech na ten widok. Jego głowa jest psia, ciało ma podobne do garbowanej skóry, ściśle przylegające do kości. Uszy cienkie jak papier – jakby coś je zmiażdżyło. Rozmiarem zbliżony do psa, przypomina wychudzonego charta.

– Nie możemy pozwolić im nakarmić się tą krwią, ponieważ urosną – mówi Reed niskim tonem.

Wyciąga zapalniczkę z kieszeni i zapala domowej roboty lont przy jednej

z butelek. Rzuca ją w stronę schodów. Butelka rozbija się i zapala kałużę krwi, oblewając ją ogniem. Obserwuję unoszący się dym, a cienie na schodach stają się bardziej rozpoznawalne, gdy pięć par oczu zerka na mnie. Już zlizują kałuże krwi powstałe na schodach.

– A niech to diabli! One się karmią! – wskazuje zdenerwowany Russell.

Chichot, do niedawna cienki i piskliwy, staje się coraz niższy. Gdy jeden z przebudzonych unosi głowę znad kałuży krwi, widać, że zaczyna się zmieniać; wyciąga się i poszerza, stając na tylnych nogach, a jego kręgosłup się prostuje. Podobny do psiego pysk płaszczy się i jest coraz mniej zwierzęcy, a bardziej ludzki, nie... bardziej podobny do twarzy demona.

Russell wyprowadza elficką rzutkę z dłoni, celując prosto w przebudzonego. Trafia dokładnie w pierś. Płomienie okrywają demona, lecz ten się nie rusza; nawet nie drgnie. Zamiast tego chichocze, ponownie przywołując swoich braci.

– Russell, kiedy oni powstają tak jak ten, magia prawie na nich nie działa. – Reed marszczy brwi.

– Jak mam go zabić? – pyta sfrustrowany Russell.

– Brutalną siłą. Przebij serce lub odetnij głowę – radzi Reed.

– Czym? – Russell krzywi się. – Nie mam żadnej broni.

– Improvizuj, Russ, wszystko może być bronią. Stań za mną – mówi Reed, nie patrząc na Russella, lecz ciągle obserwując demony, które zaczynają wchodzić głębiej do pomieszczenia.

Słodki, melodyjny głos dobiega ze szczytu schodów.

– Nie dotykajcie tej małej Serafinki – nawołuje do przebudzonego poniżej.

W ciemności z trudem rozpoznaję delikatne kształty sylwetki przepięknej anielicy stojącej w ośnieżonym wejściu. Włosy ma związane w długi, uporządkowany kucyk. Nie mogę określić ich koloru, ponieważ wszystko teraz jest w odcieniach szarości. Gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że to Serafinka; jest coś prawie królewskiego w kształcie jej skrzydeł. Kołnierz oprawiony futrem ociera jej policzek, falując we wzburzonym powietrzu.

Niskie warknięcie wydobywa się z gardła Reeda, gdy ten podąża wzrokiem ku obserwującej nas Upadłej.

– Twoje zwierzątka wiedzą, co robić, Larken – mówi potężny anioł stojący obok Larken. Krzyżuje ramiona na piersi i obserwuje nas z góry. Jego brwi przyciągają się do siebie w grymasie. – Ona rzeczywiście wygląda na bardzo

delikatną... zbyt delikatną... Powinienem zejść i...

– Hail – wyszczekuje Larken jego imię, chwytą go i przyciąga do siebie. – Ona jest silniejsza, niż się zdaje. Niech Valerius najpierw ją sobie podporządkuje... Obiecaliśmy mu...

Wszystko, co później wypowiada Larken, tonie w podobnym do śmiechu klauna, głośnym chichocie przebudzonych. Psie potwory urosły w ciągu kilku chwil do masywnych rozmiarów potężnych bestii ze szponami przeznaczonymi do rozrywania i szczękami ociekającymi śliną w oczekiwaniu na posiłek. Rozprzestrzeniają się i spychają nas w stronę otworu w suficie na środku pomieszczenia.

Reed napina mięśnie.

– Evie, proszę, stań za mną, dobrze? – mówi niskim tonem, obserwując moją reakcję.

– Obiecuję.

Skrzydła Reeda rozkładają się i przez chwilę widzę tylko ciemne pióra, które strzępią się na końcówkach. Z nogą od krzesła w dłoni Reed przeskakuje całą szerokość pomieszczenia w pół sekundy. Kieruje w dół kołek i zanurza go w szyi potwora, raniąc go podobnie jak matador zabijający byka. Stojący przed nim przebudzony pada na ziemię. Reed odrywa jego łapę i za pomocą szponów rozcina ciało kolejnego przebudzonego stojącego po lewej. Ślina tryska z pyska bestii, paląc wszystko niczym kwas. Sierść na grzbiecie najbliższego Reedowi przebudzonego jeży się. Potwór chwytą Reeda w swoje potężne ramiona, ścisną go i zanurza zęby w jego skrzydle.

Serce podchodzi mi do gardła. Biorę stłuczoną butelkę z podłogi, w czasie gdy Reed uderza przebudzonego głową w twarz, tym samym zmuszając go, by uwolnił jego skrzydło. Demon nadal próbuje zmiażdżyć Reeda, a jego śmiech staje się coraz wyższy, gdy anioł walczy o wolność. Biegnę w stronę przebudzonego, używam krzesła jako podpory do wyskoku, by nabrać tempa. Z potłuczoną butelką w dłoni ląduję i zanurzam ją w skroni przebudzonego, ciągle próbując zagłębić ją w jego czaszkę. Reed natychmiast zostaje uwolniony z klatki jego ramion, a sam potwór przewraca się. Reed odsuwa mnie, gdy kolejny przebudzony z rozpędem rzuca się na niego. Opadam na podłogę. Siedząc na niej, przyciągam do siebie energię i całą jej moc kieruję w stronę przebudzonego – wypuszczam ją jak błyskawicę z mojej wyprostowanej ręki. Przebudzony absorbuje przyływ energii ode mnie, co czyni go jeszcze

większym.

Rozglądam się, szukając pomocy, lecz Russell i Anya są atakowani, próbują pokonać dwóch krążących wokół nich przebudzonych. Russell trzyma Anyę blisko swojego boku, starając się zawsze stać na drodze napastników przed anielicą.

Rozglądam się za kolejną bronią, której mogłabym użyć, cofam się o krok i przeszukuję podłogę. Reed wydobywa się spod przebudzonego, odrzucając go w tył i skacze na niego, próbując przygwoździć go do ziemi. Z każdym następnym oddechem czuję narastający żar i zapach, który każe każdemu sięgnąć w moim ciele zrywać się do ucieczki. Spoglądam na dziurę w suficie, jedno olbrzymie intensywnie brązowe oko gapi się na mnie. Wzdrygam się, nie mogąc się poruszyć.

Oko odsuwa się od otworu. Russell. Chcę wykrzyknąć jego imię, lecz zamiast tego wydobywa się tylko szept stłumiony narastającym we mnie przerażeniem.

Russell musiał mnie usłyszeć, ale tylko chrząknął w odpowiedzi; to chwilowe rozproszenie pozwoliło szponom przebudzonego wbić się w jego przedramię.

– Jesteś mi potrzebny – błagam, odsuwając się na roztrzęsionych nogach od otworu.

– Co? – syczy Russell, ledwo unikając ciosu w głowę.

– Magia! – Odzyskuję głos, zaczynam przyciągać do siebie energię z pomieszczenia.

Nie ma jej zbyt wiele, ponieważ coś odciąga ją ode mnie, prawdopodobnie grupy Gankanagów czyhające na zewnątrz lub jakiś ifrit, który teraz mnie zauważył. Zamykam oczy i zaciskam zęby, starając się skoncentrować.

– Potrzebujemy magii!

– Ona na nich nie działa! Przez nią stają się tylko więksi! – sapie Russell.

– Ifrit! – wrzeszczę, widząc, jak Russell opada na podłogę z siedzącym na nim przebudzonym.

Anya skacze na jego skórzany grzbiet, wbijając w niego strzałę o złotym ostrzu jak sztylet.

Ifrit przeciska się przez otwór w suficie. Wygląda jak człowiek z wyjątkiem tego, że obecnie jest kurczącym się olbrzymem.

– Valerius – mówię szeptem, spoglądam na schody i widzę Larkena oraz Hail nadal obserwujących nas z nieskrywaną fascynacją.

– Słyszałaś o mnie. – Okrutny uśmiech odsłania idealnie proste zęby Valeriusa. – Czy może mój brat Valentine mówił coś o mnie?

Teraz jest rozmiarów billboardu, wygląda, jakby właśnie zszedł z reklamy na Times Square. Już widziałam ich zdolność do zmiennokształtności, lecz nadal przyprawia mnie to o mdłości.

Pochylając głowę, Valerius chwyta mnie w swoją dłoń, miażdżąc, jakbym była papierową lalką. Reed nadlatuje do mnie, próbuje odciągnąć jego palce, by uwolnić mnie z uchwytu. Valerius drugą dłonią strzepuje Reeda ze swojego kciuka, odrzucając go w kierunku ściany przy barze.

Ponownie rosnąc, Valerius opuszcza ze mną piwnicę, całkowicie demolując podłogę na parterze. Miażdżący nacisk pięści staje się lżejszy, prawdopodobnie na skutek gwałtownego powiększania się ifrita. Spoczywam na wewnętrznej stronie jego dłoni i zauważam, że jesteśmy już na wysokości okrytych śniegiem dachów. Upadli okupują strome dachy, obserwując rozwój wydarzeń. Gankanagowie zablokowali dostęp do tej ulicy wojskowymi pojazdami. W pobliżu nie ma żadnych ludzi ani samochodów, być może z powodu metrowej pokrywy śnieżnej dookoła.

Obłok powstały z oddechu Valeriusa pali śnieg opadający z nieba.

– Ty jesteś ta półkrewi, która targowała się o śmierć Valentine’a.

Moje skrzydła unoszą się, osłaniając mnie przed palącym ogniem, który wydobywa się z jego ust. Czuję zapach nadpalonych piór.

– On torturował moich przyjaciół! – Odrobinę opuszczam skrzydło, by obserwować reakcję ifrita.

– On był księciem! – odpowiada Valerius w gniewie.

Moje skrzydło ponownie osłania mnie przed płonącym żarem.

– Był zwykłym dupkiem! – krzyczę bezsilnie, próbując imitować jego srogiego ton.

Gdzieś w oddali słyszę wysoki ton brzęących rogów. Niemal natychmiast Upadli, którzy siedzieli na dachach domów, zrywają się do lotu jak przestraszone kruki. Ich skrzydła trzepocą w panice; Upadli rozpraszają się w niepewności. Kiedy róg znów rozbrzmiewa, jest jak komenda „bacznosc”; wszystkie anioły Upadłe zamierają w powietrzu, spoglądając posepnie w niebo.

Zerkam spoza mojego skrzydła i widzę twarz Valeriusa, który w ciszy również patrzy badawczo w niebo.



Tank – dźwięk wywołuje strzała przesywająca pierś Upadłego anioła, który unosi się obok nas. Czerwone pióra wystające z jej drzewca są jak deklaracja wojny. Potem kolejne tank, tank, tank, tank, tank i pięć strzał dziurawi pierś, powodując, że krew wydobywa się z ust anioła, gdy ten bezwładnie opada w stronę ziemi.

Odciągając skrzydło od twarzy, prostuję się na tyle, by w pełni poczuć uderzenie ramion, które obejmują mnie z miażdżącą siłą, a jednocześnie porywają z dłoni olbrzyma.

– Uchhhh. – Mój oddech wydobywa się gwałtownie, gdy ktoś wyciska mi całe powietrze z płuc.

– Przepraszam, kochanie – mówi Reed. Zaciskając zęby, przebija się przez ramiona stłoczonych Upadłych, którzy skupili się na nas jako swoim celu.

Pasemka czarnych włosów pięknego Upadłego anioła dotykają mojej skóry. Jego silne dłonie sięgają, aby wyrwać mnie z ramion Reeda, lecz po chwili opadają, gdy inny anioł rzuca się na jego plecy. Ten jasnowłosy, niebiański anioł o ponurym wyrazie twarzy przecina sztyletem gardło Upadłego, a krew tryska z niego pod wpływem prędkości lotu.

– Kto to był? – pytam, obserwując blond anioła, który odbija się od martwego Upadłego i ląduje na kolejnym.

– To jeden z armii Tau – wyjaśnia Reed, nurkując, unikając ciosu pałaszem, który miał nas przeciąć na pół.

W powietrzu wybucha chaos, gdy zarówno anioły Upadłe, jak i Boskie latają pochłonięte okrutną walką.

Spoglądam za nas, widzę, jak Valerius ponownie zmienia kształt, tworząc skrzydła z ramion. Teraz przypomina pterodaktyla. Jednocześnie zmniejsza swój rozmiar do niespełna pięciu metrów długości.

– Jest za nami! – krzyczę ostrzegawczo, lecz Valerius już na nas naciera, uderza w plecy Reeda pięściami i zmusza nas do spiralnego lotu w stronę ziemi.

Odzyskawszy kontrolę nad lotem, Reed rozpościera skrzydła, lecąc zygzakami pomiędzy budynkami; o mało nie ociera się o śnieg.

Valerius uderza w nogi, Reed traci równowagę. Nurkujemy w stronę ziemi, objając się i ślizgając po śniegu i lodzie. Ifrit miękko ląduje za mną, chwytając mnie za sweter i unosi do swoich oczu.

Reed łapie zaparkowany samochód i rzuca nim w Valeriusa. Dach auta

wygina się przy uderzeniu w plecy ifrita, lecz potwór najwyraźniej tego nie odczuwa. Valerius odwraca się i ziejże ogniem w Reeda – parzy mu pierś i opala jego lewe przedramię, którym Reed próbował osłonić twarz. Reed nie wydaje z siebie żadnego odgłosu, nawet jeśli potwornie cierpi. Zamiast tego pędzi w stronę ifrita i okłada go stalowym prętem z rozwalonego auta.

Valerius wcale się tym nie denerwuje; ignoruje Reeda i ponownie zwraca się w moją stronę.

– Podobała ci się śmierć Valentine’a? – syczy, unosząc mnie trochę wyżej, z ramieniem wyciągniętym przed sobą. Drugą ręką chwyta Reeda i trzymając go za szyję, umieszcza obok mnie. – To twój *aspire*? – pyta mnie, a jego brwi ściągają się w grymasie. W akcie desperacji próbuję przyciągnąć do siebie energię, ale czuję, że ona płonie. – Odpowiedz mi! – żąda Valerius, potrząsając mną mocno.

– Tak! – krzyczę. – Jest moim *aspire*!

Patrząc na mnie krzywo, warczy:

– Więc będzie zapłatą za Valentine’a.

Uwalniając nagromadzoną energię, szepczę:

– Lód jak ogień zimny i prawdziwy, zamroź go szybko na wskroś, na wskroś...

Trzaskający lód podąża wzdłuż przedramienia Valeriusa, usztywniając go i pokrywając tak, że w ciągu kilku sekund przypomina prawie pięciometrową lodową rzeźbę. Reed uderza pięściami o dłoń Valeriusa, odłamując kończynę ifrita. Opada na ziemię, lądując na nogach. Pięściami rozbija na kawałki ośnieżoną dłoń Valeriusa, która nadal mnie trzyma w powietrzu. Po chwili chwyta mnie w ramiona i tuli do siebie w śmiertelnym uścisku.

– Evie, ty jesteś w stanie zabić ifrita – szepcze mi Reed do ucha. Brzmi, jakby był oczarowany. – To był test. Upadli chcieli sprawdzić, czy możesz go zniszczyć.

– Nie sądzisz, że ten ifrit był wysłany przez Brennusa? – odpowiadam bliska szoku.

Reed delikatnie odsuwa się, uwalniając mnie.

– Myślę, że Brennus traci kontrolę. Upadli też ciebie pragną, a jego tu nie ma, by ich powstrzymał. Tych dwoje Upadłych w barze, Larken i Hail, próbowali cię pojmać przed przybyciem Brennusa. Mogą też utrudniać mu dostęp do tego

miejsca. – Reed rozgląda się i bada teren dookoła.

Brnie w śniegu do rozbitego auta i odrywa stalowy pręt. Używa go jak maczugi – uderza w lodowy posąg Valeriusa i rozbija go na tysiąc kawałków.

– Brennus naprawdę ciebie chce, Genevieve, i mamy rację, że jedyne, co jest pewne u aniołów, to że zwrócą się przeciwko tobie w odpowiedniej dla siebie chwili – mówi Lonan z lampy ulicznej oddalonej o dwadzieścia metrów. – Brennus ma obsesję na twoim punkcie. Chciał podjąć ryzyko i zabrać cię od twojego anioła, zabić go i wymazać z twojego serca. – Zwraca się do Reeda: – On pragnie twojej śmierci. – Jego wzrok ponownie kieruje się do mnie. – I pragnie swojej królowej. Jesteśmy gotowi sprawdzić, o co ta cała afera... Pozwól nam spróbować, jak smakujesz, a my sprawimy, że będziesz znów jedną z nas.

Reed staje przede mną, chroniąc mnie przed Lonanem, Cavanem i Alastarem. Klik, klik, klik, wysuwają się kły Lonana i jego pozostałych towarzyszy.

– Nie bądź jak ćpun, Lonan – proszę go, gdy nas otaczają.

Reed sięga do żelaznej lampy ulicznej i odrywa ją od ziemi. Deszcz iskier i trzask elektryczności dochodzą z jej podstawy, gdy gaśnie światło. Reed bez trudu wymachuje nią przed nami, szczerząc się radośnie do Lonana, a ten odpowiada na jego uśmiech, wyciąga gwizdek z kieszeni, przykłada do ust i po chwili głośno gwizdże. Gęsia skórka pojawia się na moich ramionach, gdy Reed prostuje się i opuszcza lampę. Po chwili Upadłe anioły Mocy i Archanioły zaczynają lądować na zaparkowanych autach i pod zadaszeniami sklepów wokół nas.

Moje rozszalałe serce pędzi szybciej niż myśli w głowie, gdy otacza nas ponad dwieście aniołów. Świat wiruje poza moją kontrolą, opadam na jedno kolano, widząc, jak jaskrawobiały klon uwalnia się z mojego ciała. Odlatuje ode mnie, a ja doznaję szoku na widok kierunku, który obiera... Unosi się pionowo w górę.

Reed i ja powoli cofamy się, chronieni przez ciemny, zamknięty sklep za nami. Lonan unosi dłoń i topi dzielący nas śnieg. Bezczelny Upadły anioł Mocy z ciemnymi, przypominającymi sokole, skrzydłami atakuje nas pierwszy. Przyciągając do siebie energię, pospiesznie szepczę słowa, kierując w niego moje zaklęcie.

Gdy magia uderza w niego, Upadły kurczy się w ubraniu; buty spadają, a sweter staje się jak suknia. Nagle przeciwnik zmniejsza się do rozmiarów

krasnala ogrodowego. Spogląda na mnie w panice, zanim Reed trafia go uliczną lampą w podbrzusze i odsyła daleko w stronę parku.

Warkot niedowierzania dochodzi od Upadłych, którzy są świadkami działania na aniele mojej magii. Odwracam się do nich, wyrzucając energię i szepcząc przenicowujące zaklęcie, które sama wymyśliłam. Trafiam nim w kilku Upadłych, powodując, że osuwają się na kolana, a ich wnętrza zaczynają wychodzić przez usta.

Lecz kilka sekund później Upadły Archanioł kieruje swoją automatyczną broń we mnie i Reeda, przesywając kulami powietrze. Reed osłania mnie, przyjmując kilka kul. Zatacza się i opada na ziemię w agonii. Mógł zmienić swój kształt, aby uniknąć kul, lecz nie zrobił tego, by mnie chronić, przyjął je za mnie. Obserwuję Reeda, jak próbuje wstać z kolan, i tracę oddech w ataku paniki.

Spoglądam w górę i widzę, jak Archanioł celuje we mnie; jego oczy mrużą się z zadowolenia, kiedy dwie kule przechodzą przez mój prawy bok poniżej żeber. Siła uderzenia odrzuca mnie do tyłu; tracę większość energii, którą utrzymywałam. Zostaje dosłownie odrobina. Udaje mi się unieść dłoń i pospiesznie wznieść magiczną ścianę pomiędzy nami a wrogami. Ścianę, która zatrzymuje kule jak przednia szyba muchy.

Sapiąc i trzymając się za bok, usuwam się w tył, usilnie próbując utrzymać się na nogach przed Reedem. Krew przecieka przez moje odrętwiałe palce, przynosząc ciepło.

Natychmiast zbliża się do nas kilku Upadłych, lecz szybko przekonują się, że mogą zbliżyć się zaledwie na metr, zanim trafiają w ścianę, którą stworzyłam swoim zaklęciem. Niektóre anioły rozstawiają się wokół nas, poszukując słabego punktu obrony. Warczę na nich w nadziei, że to ich odstraszy.

Moja skóra jest przebijana drżącą energią, kiedy Lonan próbuje wyciągnąć ją ze mnie i zniszczyć chroniącą nas ścianę. Spoglądam na niego i sapiąc, walczę o zachowanie każdej drobiny tej energii.

Reed za mną, potykając się i upadając, ostatecznie staje na nogi. Jego krew wycieka z piersi z niezliczonych ran postrzałowych, które przyjął za mnie. Kiedy widzę go, jak próbuje utrzymać równowagę, coś we mnie się rozdziera... Jeszcze bardziej, gdy widzę, jak bardzo cierpi. Powoli prostuję się, podczas gdy nic bólu wewnątrz mnie staje się coraz grubsza i kiedy ten ból osiąga przerażające natężenie, nic pęka, a ja czuję, jakby ktoś wydzierał mi serce

z piersi. Bez zastanowienia odkrywam, że już nie potrzebuję przyciągać energii, gdyż sama do mnie napływa. Już nie wypowiadam szeptem rymowanek, ponieważ ich nie potrzebuję. To są tylko słowa, które nie mają znaczenia w tym stanie. Zamiast tego wyzwalam czysty, surowy ludzki gniew.

Jasny promień światła, na tyle intensywny, by wypalić błękit nieba, wydobywa się z moich dłoni, tworząc rozpaloną do białości ścieżkę wprost przez zastępy Upadłych i Gankanagów. Spopiela niektórych z nich tak, że jedyne, co po nich pozostaje, to cienie ciał wypalone na ziemi. Widząc prochy aniołów, których chmury mieszają się ze świeżo opadłym śniegiem, chwieję się na nogach. Jestem już na ziemi, zanim zdaję sobie sprawę, co się stało.

Zimne płatki śniegu opadają na mój policzek, a Reed próbuje przyciągnąć moje obolałe ciało do siebie. Układa sobie moją głowę na udzie i głaszcze mnie po włosach, opierając się o drzwi sklepu. Naszą pozycję otacza trzepot większej ilości skrzydeł. Nie mogę unieść głowy, by dojrzeć te anioły. Reed warczy ostrzegawczo do kogoś, kto się do nas zbliża, lecz jedyne, co widzę, to jego czarne buty i dolną część karmazynowych skrzydeł.

Głęboki, męski głos mówi:

– Evie wysłała mi wiadomość... Ona jest moją córką.

## Rozdział 12

### Wymarzony Drew

*Mój ciepły oddech unosi się dookoła mnie jak dym, mieszając się z lodowatym powietrzem. Kap... kap... krew kapie z opuszek moich palców na pokrytą śniegiem zamarzną powierzchnię chodnika, obok moich stóp. Zegar na wieży w Crestwood wybija ostrzeżenie w ciemności: ding... ding... ding... – wybrzmiewa, lecz dla mnie to raczej: uciekaj... uciekaj... uciekaj...*

Ciche głosy, śpiewne tony przerywają złowrogie, śmiertelne dzwony pogrzebowe w moim śnie. Zataczając się, wychodzę z koszmaru, chwytam się za bok, próbując stanąć na nogi i się bronić. Silna dłoń dociska mnie do ziemi, wyduszając ze mnie warknięcie. Chwytam ograniczającą mnie dłoń i próbuję skoncentrować się na rozmazanych twarzach.

– Puść mnie. – Grymas wykrzywia moje wargi, gdy odpycham tę dłoń. Nade mną unoszą się nieznajome twarze aniołów o przeszywających spojrzeniach. Wyginając plecy, spoglądam na pokój za mną. To podobne do skarbcza stare pomieszczenie o ceglanych ścianach, ozdobione średniowiecznymi zbrojami i tunikami krzyżowców – jakiś rodzaj średniowiecznej wieży.

Dłoń napastnika powoli unosi się, pozwala mi ześlizgnąć się ze stołu i stanąć na nogach. Zataczam się i opieram o zimną ścianę, uważnie obserwując otaczające mnie średniowieczne okna. Mój wzrok wraca do stojących przede mną pięciu aniołów Mocy, które zbliżają się do anioła trzymającego skalpel. Wszelkie możliwe zabójcze scenariusze pulsują mi w głowie. Teraz muszę zastanowić się, jak walczyć.

Jeden z aniołów przemawia do mnie melodyjnym językiem.

Moja głowa kieruje się w jego stronę, a skrzydła rozkładają się szeroko. Szepczę:

– To nie zabawa... Zaraz cię zabiję... – Unoszę drewniane krzesło, szybkim ruchem rozbijam je o ścianę i chwytam odłupane duże drzazgi.

Spoglądają na siebie z zaniepokojeniem, gdy przyjmuję postawę obronną.

– Gdzie ja jestem? Gdzie Reed? – pytam, unosząc dłoń, jakbym miała za chwilę przebić pierwszego, który się poruszy. Powoli przesuwam się w stronę drzwi na odległej ścianie; anioły obserwują mnie z konsternacją.

– Jesteś w Bramie Mostowej. Możesz się położyć – odpowiada mi delikatnym tonem jeden z aniołów Mocy i wskazuje na stół.

– Jesteśmy w Crestwood? – muszę się upewnić, choć architektura nadal wskazuje na Polskę.

Anioł marszczy brwi.

– Nie. To Toruń – oznajmia.

Obraz przed moimi oczami staje się zamglony. Unoszę dłoń, by przetrzeć oczy, i zauważam, że jej wewnętrzna strona jest oparzona; jakbym dotknęła ognia. Zdezorientowana próbuję przypomnieć sobie, jak się tutaj dostałam i jaki to był koszmar, który właśnie miałam. Ciche głosy rozmawiających w swoim języku aniołów powodują, że sztywnięję.

– Cokolwiek chodzi wam po głowie... nie próbujcie – ostrzegam ich, widząc, że mają jakiś plan.

– Masz połamane żebra i zostałam postrzelona – mówi do mnie anioł Mocy ze skalpelem, wskazując na mnie ostrzem. – Zepsujesz to, co tak pracowicie naprawiłem.

Opuszczam dłonie, moje palce ocierają się o bandaże z gazy, które okrywają mi piersi i tors. Gdy orientuję się, że mam na sobie tylko bandaże i bieliznę, warczę do nich:

– Nienawidzę budzić się półnaga.

To wywołuje uśmiech na twarzy jednego z aniołów. Rzucam w niego kołkiem z krzesła, lecz z łatwością go chwyta, a jego brwi się ściągają.

– Gdzie Reed? – powtarzam srogim tonem i nadal wymachuję drugim drzewcem.

– Walczy – odpowiada ten ze skalpelem i odkłada go na stół.

Dłonią wskazuje na ścianę za mną, przesuwam się w stronę okna i wyglądam na zewnątrz. Jesteśmy w pobliżu rzeki, w jednej z bram zwieńczonych wieżami, które otaczają miasto. Właśnie je rozpoznaję, lecz nikną przytłumione śnieżycą. Bicie mojego serca boleśnie przyspiesza, gdy czuję zapach magii niesiony z dala przez wiatr. Odpycham się od ściany i próbuję przejść w stronę drzwi.

Otwieram je na oścież i wpadam na anioła stojącego po drugiej stronie.

Ramiona Fedrusa obejmują mnie i przyciskają do siebie. Otwieram oczy szeroko, czując pokryte meszkiem pióra, które tworzą jego sówie skrzydła.

– Fedrus! Co ty tu... – Milknę, kiedy podaje mi ubrania. – Jesteś kochany! – wykrzykuję.

– Wiem – mówi, a jego czarne oczy wpatrują się w moje, gdy przypominam sobie, że potrafi czytać w myślach. – Dobrze cię widzieć – dodaje cicho. Unosi dłoń w stronę aniołów stojących za mną. – Porozmawiam z nią.

Czytając w jego twarzy, rozpoznaję, że pamięta nasze ostatnie spotkanie. To było na drodze za kościołem, gdzie ifrit Valentine przetrzymywał Russella i Brownie. Fedrus musiał mnie opuścić, gdy samotnie weszłam do kościoła. Poczucie winy towarzyszące tamtej chwili nadal rysuje się na jego twarzy. On jest aniołem Cnót, dokonuje cudów, lecz wtedy ta misja była przeznaczona wyłącznie dla mnie i to właśnie nadal nie daje mu spokoju.

Radośnie go obejmuję i szepczę do ucha:

– Zawsze pojawiaasz się wtedy, kiedy cię potrzebuję. – Odsuwam się od niego, aby wcisnąć się w ubrania, które dostałam. – Zostałeś wysłany tutaj po mnie? – pytam, zastanawiając się, czy to ja jestem jego kolejną cudowną misją.

– Tak... w pewnym sensie – odpowiada. – Przybyłem razem z Tau.

– Tau? On tu jest? – Czuję, jakby drzazga utkwiała w moim gardle.

– On przyniósł cię tutaj z ulicy, lecz potem wrócił, by walczyć, a Reed poszedł z nim – wyjaśnia.

– Ale Reed został postrzelony...

– Trzeba czegoś więcej niż kilku kul, by osłabić anioła Mocy na tyle, by nie mógł walczyć – wyjaśnia łagodnym tonem Fedrus.

– A Russell i Anya? – Czuję narastający strach.

– Reed poszedł ich szukać.

– Wiesz, gdzie oni są? – pytam pośpiesznie.

– Nie, ale ty wiesz. – Bierze moją dłoń.

Krzywię się z bólu, ponieważ skóra nadal pokryta jest pęcherzami po oparzeniu.

– Evie! – Fedrus wpatruje się w moje ręce. – Co...

– Myślę... że poparzyłam się, zabijając Lonana – odpowiadam smutno.

Zabiłam Lonana, starłam go w pył... Nie myśl o tym teraz, ostrzegam samą



siebie.

Z dłonią na moim ramieniu Fedrus kieruje mnie w dół holu i prowadzi do innego pomieszczenia. To jest czyjeś biuro z biurkiem i kilkoma krzesłami. Fedrus kieruje się do pięknie zdobionego dywanu rozłożonego na starej podłodze i siada na nim. Idę za nim i po chwili siadam ze skrzyżowanymi nogami, patrząc w jego twarz. Czuję dojmujący ból w boku.

– Potrzebujemy kontrolowanego kлона – radzi mi Fedrus. – Takiego, który podąży za energią Russella i będzie mógł zapytać o jego pozycję. Wtedy wyślesz innego kлона do Reeda z instrukcjami, jak do nich dotrzeć.

– To ty nauczyłeś Russella to robić... Wtedy, kiedy byłam u Gankanagów? – Próbuję oddychać spokojnie, zwalczając w ten sposób przyływ adrenaliny. Muszę pozostać spokojna.

– Pomogłem – odpowiada skromnie Fedrus.

– Okay... a więc klon. – Biorę głęboki wdech. – Powinam więcej ćwiczyć.

– Przetrawanie było ważniejsze. Pamiętaj, teraz jesteś słaba, więc musisz się skoncentrować.

Usiłuję osiągnąć stan medytacji, gdy pierwszy klon wyskakuje ze mnie i natychmiast znika. Odgarniam włosy z twarzy i próbuję ponownie.

Pojawia się kolejny klon, przez chwilę skąpany w złotej poświacie. Krople potu pojawiają się na moim czole, gdy staram się go kontrolować. Przelatuję przez ścianę bramy wprost na zimne, delikatnie oświetlone ulice miasta. Skrzydła kлона rozkładają się, gdy mknie znacznie szybciej, niż ja bym mogła, ponieważ mnie ograniczają grawitacja, masa, siła i inne takie.

Spoglądanie jego oczami przypomina lekcję fizyki kwantowej. Wszystko jest energią i ma swój własny wzór oraz sposób wykorzystywania tej energii. Wszystko jest ze sobą połączone. Ponieważ dysponuje takimi możliwościami, nie dziwi mnie to, że mój klon dokładnie wie, gdzie jest Russell w tym olbrzymim, powiązanym ze sobą wzorze świadomości.

Niestety moja obecność przyciąga Upadłych. Zauważono kлона i kilku z nich zaczęło za mną podążać. Na moment zwalniam i się zatrzymuję, pozwalając im się złapać. Nie chcę doprowadzić ich do Russella.

Fakt, że nie muszę machać skrzydłami, chyba przeszkadza upadłemu Archaniołowi o długich, ciemnych włosach, który krzywi się na mój widok. Towarzyszący mu anioł Mocy wykonuje zamach mieczem i przeszywa mój

obraz w powietrzu.

– Poddaj się – mówię do upadłego anioła Mocy, obserwując, jak raz za razem zadaje mi ciosy.

– Jak mam się poddać?

Powaga jego pytania zwraca moje oczy ku jego twarzy.

– Proszę... – Milknie z miną torturowanego.

– Nie wiem – odpowiadam. Łzy napływają mi do oczu wywołane smutkiem, który w nim jest.

– Chcę wrócić do domu – przyznaje z dobrze mi znanym zmęczeniem.

– Ja też – mówię.

Kiedy upadły anioł Mocy ponownie przecina mieczem mój obraz, Archanioł o smutnych oczach broni mnie. Odcina mu głowę jednym czystym ciosem. Mgła krwi przenika przeze mnie, a ciało martwego anioła opada na ziemię jakby w zwolnionym tempie.

Skowyczący wiatr ze śniegiem zdmuchują włosy z twarzy Archanioła i mogę spojrzeć mu w oczy. Widzę w nich coś, czego przedtem nie dostrzegałam: żal.

– Powiedz mi, jak mam się poddać – błąga, a gdy oczekuje na moją odpowiedź, na jego twarzy maluje się ból.

– Przepraszam, nawet jeśli istnieje jakiś sposób... ja go nie znam. – Czuję się bezsilna.

– A gdybym przyłączył się do twojej armii? – Zerka na mnie badawczo brązowymi oczami.

– Mojej armii? Ja nie mam żadnej armii.

– To jest twoja armia. – Rozkłada szeroko ramiona, wskazuje na chaos i rzeź dookoła.

– Nie. – Kręcę głową. – Oni nie mnie słuchają.

– Przybyli po ciebie... obie strony – odpowiada. – My za tobą pójdziemy. Połówko... wielu z nas za tobą podąży.

– Wolę określenie półkrwi – odpowiadam bez zastanowienia.

– Jakie znaczenie ma nazwa? – pyta zmęczony. – Posiadasz moc, której żaden z nas nie ma. Ty możesz poprowadzić tę armię... Wszystkich z nas, nie tylko Boskich.

– Ale my ze sobą walczymy – zauważam.

– Ja bym za tobą poszedł – odpowiada bez cienia wahania.

– A dokąd byś poszedł?

– Do domu.

– Nie rozumiem... – Milknę, dostrzegając coś w jego oczach. Coś jakby nadzieję. – Chcesz, bym pomogła ci wrócić do Raju?

– A czy mogłabyś to zrobić? – Jego oczy rozszerzają się.

Przytakuje sztywno, widząc uśmiech pojawiający się w kącikach jego ust, w chwili gdy niebiański anioł Mocy zatrzymuje się za nim i przeszywa go swoim mieczem. Krew spływa z jego ust, lecz uśmiech nadal na nich pozostaje.

– Nie! Nie rób tego! – krzyczę przerażona, chwytając umierającego upadłego anioła, ale dłonie mojego klona przechodzą przez niego.

– Jesteś ranna? – pyta niebiański anioł, gdy upadły Archanioł opada na ziemię, martwy i połamany.

Wszystko, co mogę teraz zrobić, to poruszyć głową mojego klona i się odwrócić. Mój klon powoli się rozwiewa, w miarę jak słabnie moja koncentracja.

Ciepła dłoń Fedrusa dotyka mojej skóry.

– Skup się, Evie. Musisz znaleźć Russella. On ciebie potrzebuje.

Biorę głęboki wdech, mam zamknięte oczy i próbuję uspokoić rozszalałe serce. Po chwili ponownie jestem w pełni świadomości w swoim klonie. Sięgam dłonią i czuję przyciąganie w stronę centrum miasta. Przemieszczając się tak szybko, jak to możliwe, kieruję się w stronę energii; mój klon wchodzi do wieży zegarowej przez czarną tarczę z dwunastoramienną złotą gwiazdą.

Znajduję Russella i Anyę na klatce schodowej wieży zegarowej. Odwróceniu do siebie plecami walczą z kolejnymi napływającymi Upadłymi.

– Znalazłam ich – informuję Fedrusa obok mnie.

– Dobrze, gdzie są?

– Wieża zegarowa... Czarna tarcza ze złotą gwiazdą – opisuję.

– Ratusz miejski – mówi pospiesznie. – Musisz stworzyć kolejnego klona i wysłać go z informacją do Reeda.

– To możliwe? – pytam. – Sss... – syczę, widząc, jak Anya dostaje kolejny

cios mieczem w bok.

Kieruję mojego kлона tak, aby skoczył na stalowe barierki klatki schodowej nad Russellem i Anyą. Wymachując jego dłońmi, próbuję przyciągnąć uwagę Upadłych, wydieram się:

– Hej! Wy złe dziwolągi!

Upadli otaczający Anyę natychmiast zauważają mnie; nurkuję z krawędzi barierki i opadam głową w dół otoczona przez wijące się schody. Udaję, że opadam na ziemię jak ranny ptak; wszyscy pozostawiają Russella i Anyę, aby mnie dopaść.

– Ty żyjesz – mówi klon Russella, opadając po chwili obok mojego.

– Jestem w Bramie Mostowej... To średniowieczna wieża blisko rzeki – odpowiadam, uśmiechając się z ulgą do niego.

– Och, Brama Mostowa... – Prawdopodobnie przypomina sobie, jak wyglądała sześćset lat temu. – Ładna, co? – pyta, dotykając marmurowej posadzki w ratuszu.

– Ładna? Nie bardzo. Wygląda jak połączenie średniowiecznego więzienia z biurem korporacji, ale ma jedną zaletę: nie ma w niej Upadłych – odpowiadam.

– Dla mnie brzmi nieźle. Teraz potrzebujemy pomocy, by tam dotrzeć – mówi z grymasem na twarzy. – Powietrze na zewnątrz jest gęste od zgnilizny Upadłych. No i mam Anyę. Muszę do niej wracać. – Pokazuje palcem miejsce, gdzie zostawił swoje ciało i anielicę. – Chyba jest ranna.

Upadli zaczynają zadawać ciosy naszym klonom, lecz my ich ignorujemy.

– Powiem Reedowi, gdzie jesteście; może on będzie mógł pomóc – dodaję pośpiesznie.

– Okay – zgadza się Russell, a jego klon się dematerializuje; otaczający mnie Upadli warczą sfrustrowani.

– Fedrus, muszę zostać w tym klonie, aby Upadli nie weszli na górę i nie próbowali dopaść Russella... – zaczynam.

– Rozpadnij się – radzi mi delikatnie, co brzmi jak głos w mojej głowie.

– Co takiego? – pytam zdezorientowana.

– Chcę, byś rozpadła się jak potłuczone szkło. Wyślij Reedowi fragment kлона, w którym teraz jesteś – wyjaśnia. – To będzie twój szept, lecz wystarczy,

by Reed poczuł, usłyszał, wychwycił zapach i podążył za tobą...

– Kawalek mnie... – mówię niskim tonem. Czuję się przytłoczona, pragnę być podobna do Russella, czyli być typem człowieka czynu, a nie myśliciela. – Rozpadaj się... – Biorę głęboki wdech. Nic się nie dzieje. – Rozbij się...

– Reed może mieć kłopoty, musisz go ściągnąć tak szybko, jak to możliwe – brzmi głos Fedrusa w mojej głowie.

Natychmiast czuję, jak klon kruszeje. Pęknięcia zaczynają pełzać powoli w górę moich ramion, a światło z wnętrza mnie wydobywa się przez nie strużkami. Upadli, którzy mnie otaczali, cofają się, zachowując dystans od tego, co dla nich niezrozumiałe. Kawalek mnie z miejsca, w którym jest serce, odłamuje się od mojego klona. Błyszcząc się złotem, miękki odłamek unosi się pospiesznie na oczach upadłych aniołów i po chwili strzela przez ścianę z brązowych cegieł.

Upadli nadal mnie otaczają, a ja próbuję ignorować ich poniżające mnie słowa, ponieważ pewne z rzeczy, które chcą mnie i mojej duszy zrobić, są bardzo przerażające. Czuję, jak Fedrus sięga po moją dłoń, i rozumiem, że słyszy, co mówią Upadli, ponieważ po prostu ma wgląd w moje myśli. I właśnie wtedy jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki oni przestają mówić, a dwóch z nich opada rozbitych na kawałki na podłogę. Reed pokryty ranami staje przede mną, spogląda w oczy mojego klona, w czasie gdy kilka niebiańskich aniołów rozprawia się z pozostałymi otaczającymi nas Upadłymi.

– Kochanie, co ty tutaj robisz? – pyta Reed.

Wskazuję palcem w górę.

– Russell i Anya tam są.

Uśmiech pojawia się w kącikach jego ust, gdy nawołuje:

– Russell?

– Tak! Będziesz mnie teraz osłaniał? – pyta z goryczą Russell i spogląda przez barierki u góry wieży. – Jedna z tych popapranych demonicznych kreatur prawie mnie pożarła po tym, jak odszedłeś!

– Przebudzony prawie cię pożarł? – pyta Reed tonem pełnym humoru.

– Tak, nieważne; to nic śmiesznego! – krzyczy poirytowany. – Następnym razem chcę, aby to Zee był moim skrzydłowym.

– To dlatego, że ja jestem bezwzględny zabójcą – odpowiada Zefir stojący za Reedem.

Russell nadlatuje z wieży, unosząc Anyę w ramionach.

– Zee! – Russell się uśmiecha.

– Russell... – Ton Zefira delikatnie poważnieje, kiedy kładzie dłoń na ramieniu Russella. – Ostatnim razem, gdy cię widziałem, byłeś nadgryzany przez Gankanagów.

– Widocznie jestem smaczny – odparowuje Russell z żartobliwym uśmiechem, a Zefir opuszcza dłoń. – Buns też tu jest? – pyta Zefira.

– W pobliżu. Ona nie walczy – odpowiada Zefir, marszcząc brwi. – Przynajmniej nie powinna. Kazano jej pozostać w bramie wieży.

– Wpadła w szal? – Russell szczerzy się do niego. – Wiesz, chodzi o aktywowanie jej portalu i wysłanie z wyspy do bezpiecznego schronienia przed rozpoczęciem walki...

– Zdefiniuj „szal” – ripostuje Zefir z coraz bardziej zmarszczonymi brwiami.

– Wściekle zła – odpowiada Russell.

– Tak – potwierdza Zefir, nieugięcie wskazując na niego. – Od tego czasu nie mówi do mnie „skarbie”.

– Oooo... – Russell pochyla głowę i marszczy nos. – Ciche dni.

– Tak – zgadza się Zefir. – Musimy omówić, jak mam z tego wybrnąć. Ale któż to jest? – Zefir wskazuje na Anyę.

– To długa historia. – Russell przyciąga do siebie anielicę.

– Takie lubię – odpowiada Zefir, a jego oczy zabójcy prawie błyszczą.

– Muszę umieścić ją gdzieś w bezpiecznym i ciepłym miejscu, ona zamarza. Myślisz, że możesz mi w tym pomóc? – pyta Russell także odrobinę zziębnięty.

– Zabierzemy cię do Bramy Mostowej – odpowiada Zee. – Może ona uspokoi Buns.

– Jakież ślady Brennusa? – przerywam im i wstrzymuję oddech.

– Albo nigdy tu nie dotarł, albo zniknął zaraz po tym, jak rozpoczęła się bitwa, ponieważ my go nie widzieliśmy. Nie zauważyliśmy także żadnych Gankanagów od czasu, gdy zajęliście się tymi na ulicy – odpowiada Reed, widząc moją reakcję. Nie wiem, co o tym myśleć, więc może on powie mi później.

Olbrzymie łukowate drzwi otwierają się na ulicę, a przez nie wkracza legion aniołów Boskich. Ich przywódca, odziany od stóp do głowy w białą zbroję

zbroczoną krwią, odróżnia się od pozostałych niezwykle długimi, karmazynowymi skrzydłami, ale też krótkimi, kasztanowymi włosami o takim samym odcieniu jak moje. Wiedząc, że ten niesamowicie pewny siebie anioł kroczący ku mnie jest moim ojcem, natychmiast milknę i bacznie mu się przyglądam.

Po krótkim rozpoznaniu zwraca się do Reeda.

– Widzę, że znaleźliście Russella i Anyę – mówi Tau bez żadnych wstępów, kiwając głową w stronę Russella.

– Evie ich odnalazła, my zabezpieczyliśmy teren – odpowiada Reed równie bezpośrednio.

Tau zatrzymuje się i odwraca, aby po raz pierwszy spojrzeć mi prosto w twarz. Rozpoznaję go; szczęka mi opada. On ma także szare oczy prawie takie jak moje, lecz moje są ciemniejsze... A jego twarz się nie zmieniła... Nadal jest anielska, piękna i doskonała w każdym calu... Taka, jaką pamiętam...

– Drew... Wymarzony Drew jest moim ojcem... – szepczę, zanim mój klon rozplywa się w powietrzu, a ja otwieram oczy, aby spojrzeć na Fedrusa u mojego boku.

– Ach... – wzdycham; czuję się całkowicie zagubiona. Wstaję z podłogi z zaciśniętymi pięściami i maszeruję po małym średniowiecznym biurze w Bramie Mostowej.

Fedrus trzyma się za głowę.

– Możesz zwolnić? – prosi. – Nie nadążam za wszystkimi obrazami w twojej głowie.

– Więc wyjdź z niej – odcinam się gniewnie, przykładając sobie dłoń do czoła.

– Czy Tau był królem ogólniaka? – pyta Fedrus z uśmiechem, choć próbuje się powstrzymać. Prawdopodobnie ponownie przeżywa ten chłodny wrześniowy wieczór spędzony ze mną, obserwuje bal semestralny na boisku, kiedy Drew, a właściwie Tau, był koronowany na króla i stał obok Stacy Hingus.

– On był wszystkim. Przewodniczącym klasy, kapitanem drużyny międzystanowej, kapitanem drużyny piłki nożnej, przewodniczącym kółka dyskusyjnego. Siedział za mną na zajęciach z rachunku różniczkowego. Powiedziałam Molly, że wyglądał na dorosłego w dziewiątej klasie! – wydzieram się, gestykułując bezładnie. – Nikt nie wygląda jak on w wieku

czternastu lat! Każdy nazywał go „wymarzony Drew”, ponieważ było z niego niesamowite ciacho.

– Technicznie rzecz biorąc, on jest znacznie starszy od dorosłego – odpowiada racjonalnie Fedrus.

– Tak myślisz? – odcinam się sarkastycznie.

– Więc znasz go od jakiegoś czasu...

– Nie! Nie bardzo, od pierwszej klasy liceum. Zawsze był dla mnie podły – odpowiadam cicho, totalnie wkurzona. Próbuję ukryć łzy.

– Był dla ciebie podły? – Fedrus marszczy brwi.

– Tak, mówiłam mu „cześć”, bo siedział przy mnie na wielu zajęciach... Na wszystkich zajęciach, ale mnie ignorował, jakbym była zerem. I wtedy... Jestem tego całkiem pewna, rozpuszczał o mnie plotki – mówię zgorzkniałym tonem.

– Plotki?

– Nieważne – odpowiadam z rumieńcem na twarzy.

– Serowa? – pyta, czytając w moich myślach.

Odchylam głowę, zerkając sfrustrowana na sufit.

– Powiedział wszystkim, że pachnę... jak ser, więc przez jakiś czas ludzie nazywali mnie „Serowa” zamiast Evie – wyjaśniam, czując to samo poniżenie co kiedyś.

– Ty nie pachniesz jak ser... zupełnie inaczej... – Fedrus wygląda na zmieszanego.

– Dziękuję ci! – odpowiadam z ulgą. – Wtedy też tak nie pachniałam, ale jak ktoś raz przyczepi ci łatkę, to nieprędko da się ją odczepić.

– Łatkę?

– To jak stygmat. Kto chce umówić się z „Serową”? – pytam.

– Ale to przecież musi się znudzić?

– Och, uwierz mi, było tego więcej – zapewniam, wykręcając dłonie. – Muszę stąd wyjść.

– Co? Dlaczego? – Jego oczy się rozszerzają.

– Ponieważ wszystkie moje złudzenia rozwiały się, Fedrusie – odpowiadam, próbując wyjaśnić to, czego nie da się wyjaśnić. – On jest tym... a ja jestem



po prostu... i on mnie nienawidzi.

– Dlaczego miałyby ciebie nienawidzić? – dopytuje rozsądnie Fedrus.

– Fedrusie, nie wiem, ale uznaję, że tak jest – odpowiadam. – Może gdybyś ty był Tau i był przyzwyczajony do przebywania w najbliższych kręgach Boga... Radością dla ciebie byłoby zabijanie zgniłych, śmierdzących upadłych aniołów oraz udawanie się na niebezpieczne misje do Szeolu, aby pertraktować ze złymi dupkami, uważałyś zadawanie się ze mną w małomiasteczkowym liceum jako coś poniżej twojej godności.

– Ale przecież jesteś jego córką – mówi Fedrus z szacunkiem, który sprawia, że chciałabym być jego córką przez chwilę.

– A co upewnia cię w tym, że on chciał być moim ojcem?

– Ty tu jesteś – odpowiada.

– Tak, ale czy naprawdę zawsze odpowiadasz „nie, dzięki”, kiedy Bóg prosi cię, abyś coś zrobił? – ripostuję.

– Hmm... – Fedrus nie chce przyznać mi racji.

– Tak – mówię z udawanym uśmiechem.

– Właśnie określiłaś jego rolę, czyli to, co on robi, a nie kim jest. Chcesz odejść, nie dając mu szansy na wyjaśnienia: na rozmowę z tobą w taki sposób, w jaki kiedyś nie wolno mu było tego zrobić?

Zakrywam dłońmi twarz i wzdycham sfrustrowana.

– Och, okay, masz rację. Ale używając słów Russella: sytuacja jest niezręczna jak diabli.

– Twój mocny punkt: radzenie sobie z niezręcznymi sytuacjami – odpowiada Fedrus.

– Mam już ich dość, Fedrusie.

– Dasz radę – zapewnia mnie, a ja mrużę oczy.

– Czy to jest twoja misja? – pytam, widząc jego uśmiech.

– Aniołowie Cnót muszą dokonywać wielu rzeczy... – zaczyna.

Unoszę dłoń.

– Rozumiem. Potrzeba cudu, byśmy się zrozumieli.

– Być może. – Uśmiecha się.

– Nieważne. – Marszczę brwi. – Słyszysz? – Podchodzę do okna i przez nie

wyglądam.

Roje niebiańskich aniołów lądują wokół pradawnych murów wieży. Wyglądają, jakby świętowały zwycięstwo, wzajemnie się pozdrawiając.

Chmurząc się, Fedrus spogląda na tłum. Uśmiecha się i mówi:

– Bitwa musiała dobiec końca.

– To znaczy, że wygraliśmy, prawda? – pytam, szukając potwierdzenia.

– To znaczy, że wygraliśmy tę bitwę – przytakuje.

– Dokąd teraz pójdziemy?

– Dobre pytanie. Może zapytasz swojego tatę – odpowiada niewinnie.

– Pewnie, i może on po prostu da mi kluczyki do swojego samochodu i kasę na kino, zaraz jak tam dotrzemy.

– Coś w tym stylu.

– Czy powinnam mu podziękować? – pytam delikatnie. Widzę, jak brew Fedrusa unosi się, więc dodaję: – Za uratowanie mnie.

– Byłoby miło. Wdzięczność dobrze przełamuje lody – odpowiada, gdy oboje spoglądamy przez okno na aniołów cieszących się zwycięstwem.

– To teraz będę musiała jej trochę znaleźć – mówię cicho.

– A co do tej drugiej sprawy... nie uważam, żebyś na ten temat chciała z nim teraz rozmawiać – mówi Fedrus, nie odrywając swoich czarnych oczu od sceny za oknem.

– Hmm? – Udaję, że nie wiem, o czym mowa.

– Przysłuchiwałem się, kiedy ten Upadły prosił cię o pomoc – odpowiada. – Czułem twój żal powodowany jego końcem.

– Więc myślisz, że Tau nie będzie chciał się dowiedzieć, czy jest jakieś rozwiązanie dla Upadłych? – pytam z coraz silniej bijącym sercem.

– On wie, że takiego rozwiązania nie ma – odpowiada Fedrus.

– No tak, ale wcześniej też nie było mowy, żeby anioł miał duszę.

– Hmm – mruczy. – Herezja z ust heretyka. Jesteś odważna, prawda? – pyta, próbując mnie podejść.

Zanim udaje mi się odpowiedzieć, przerywa mi nagły głos z głośników:

– Uwaga, wszystkie skarby! Tu mówi Buns. Mamy potańcówkę na parapetach i szaloną imprezę nad rzeką. Przyprawdźcie swoich kumpli.

Evie, rusz tyłek i włącz na dach na imprezkę rodzinną! To tyle!

– Uwielbiam ją – mruczę.

– Tak. Jest coś godnego poszanowania w jej braku szacunku.

– Właśnie. – Uśmiecham się. – Idziemy do niej?

– Ty pierwsza.

## *Rozdział 13*

### *Powstanie*

Podążam za Fedrusem w górę starych schodów Bramy Mostowej aż na dach. Każdy anioł, którego mijam, usuwa się przede mną. Tak jakbym znów przebywała z Gankanagami, gdzie byłam ich królową, a oni musieli mnie szanować. Wychodząc przez zewnętrzne drzwi, czuję nagłe uderzenie zimnego, śnieżnego powietrza. Zauważam Buns i Brownie otoczone przez kilka aniołów Mocy, starających się chłonać każde słowo tej anielicy Kosiarza. Buns ma na sobie długi szary płaszcz i pasującą do niego czapkę w stylu wojskowym – taką z nausznikami. Czadowa muzyka, której nigdy wcześniej nie słyszałam, wydobywa się z przyniesionego przez kogoś starego sprzętu stereo.

Na mój widok Buns wznosi okrzyk:

– Skarbie!

Przebija się przez tłum, zarzuca na mnie ramiona i mocno tuli.

– Ładny beret – mówię, uśmiechając się, gdy Brownie też mnie przytula.

– Żeby tylko Rosjanie tego nie usłyszeli. To jest uszanka! Przywiozłam jedną dla ciebie z Petersburga. – Zakłada mi czapkę na głowę. Otula mnie też dopasowanym długim płaszczem.

– Rosja? To tam byłyście? – pytam wdzięczna za ciepłe ubranie.

– Da, towarzyszko. To pomysł Zee. – Przewraca oczami. – Chciał, byśmy sprawdziły, jakie tam mają spa, ale ma naprawdę poważne problemy ze mną i myślę, że mu ulżyło, gdy pojawiła się sprawa tej bitwy. – Macha dłonią, jakby to nie było nic wielkiego.

– Niezła impreza.

– W stylu retro, prawda? – Spogląda na średniowieczne mury miasta. – Prosto z ciemnych wieków. Uwielbiam to!

Uśmiecham się, gdy podaje mi pierogi zawinięte w papier.

– Chciałam urządzić pokaz fajerwerków, ale musimy utrzymać to w

tajemnicy, więc pomyśleliśmy, że im mniej, tym lepiej... Tak jak ty nas uczyłaś: minivan, a nie ferrari – dodaje.

– Myślę, że już tego nie dało się utrzymać w tajemnicy w Toruniu. Po nocy walk wątpię, czy jakkolwiek człowiek będzie przekonany, że anioły nie istnieją – odpowiadam, zagryzając pieroga.

– Już się tym zajęto – mówi Buns nonszalancko. – Wszystko w obrębie miasta prawdopodobnie wróciło do normy.

– Co takiego? Całe miasto to ruina. Wszędzie martwe anioły, zdemolowane budynki, dziury po kulach, zgliszcza na ulicach... krew... zniszczone samochody... – Milknę, patrząc, jak kręci głową.

– Przysłano tu Cherubina – wyjaśnia z uśmiechem.

– Myślałam, że oni rejestrują grzechy. – Obserwuję jej powiększający się uśmiech.

– Niektóre to robią, a pozostałe sprzątają grzeszników. Założę się, że aniołowie Cnót też pomagają – dodaje. Spoglądam na Fedrusa, który znacząco przytakuje.

– Ten klub, gdzie byliśmy, został zniszczony... – zaczynam, lecz przestaję, gdy ona kręci głową. – Dom Reeda... – Ona nadal kręci głową.

– Teraz wyglądają tak samo, jak wyglądały przed waszym przybyciem – odpowiada.

– Ale jak? – dziwię się głośno.

– Niebiańskie projektowanie.

Sfrustrowana jej wyjaśnieniami zwracam się do Brownie.

– Jak tu dotarliście? – pytam.

– Zabrałam się na stopa z Prebenem. – Brownie wskazuje palcem srebrnowłosego anioła Mocy, którego pamiętam z pałacu Dominium. Pomógł mi kiedyś, gdy mnie sądzono.

– Preben! – wykrzykuję.

Jego wysokie ciało pokrywa biała zbroja, ale jasnobrązowe skrzydła pozostają bez osłony.

– Czy ty jesteś odpowiedzialna za to wszystko? – pyta, udając srogość.

– Eee, to zależy – odpowiadam.

– Doprawdy? Od czego? – pyta zaintrygowany.

– Czy całkowicie zmieniono moje prawa? – Krzyżuję ramiona, przypominając sobie, jak wtedy w Dominium powiedział mi, że mam tylko jedno prawo: modlitwy o śmierć.

– Znacząco się zmieniły; tkniemy ciebie, a Tau pozbawi nas skrzydeł.

– I głów – dodaje Brownie, klepiąc się delikatnie w policzek.

– Posypią się głowy! – wykrzykuje radośnie Buns.

Aniołowie Mocy stojący obok niej zdają się tym bardziej rozbawieni niż obrażeni. Widząc, że Preben patrzy na Brownie, jakby była smakowitym kąskiem, prostują się i spoglądają na Buns. Brew Buns unosi się, gdy ta potakuje w odpowiedzi na moje nieme pytanie.

– Brownie, jak udało ci się znaleźć Prebena? – pytam, gdy opuszki palców Brownie delikatnie dotykają policzka Prebena.

– Eee... hmm... Więc w pewnym sensie to on mnie znalazł w kryjówce – mówi, a twarz jej oblewa się rumieńcem.

– On?

Preben bawi się końcówkami jej platynowych włosów.

– Coś mi kiedyś wspominała, kiedy byliśmy razem w Chinach... po tym, jak Gankanagowie ciebie zabrali, powiedziała, że zamierzała cię odnaleźć, a potem chciała odpocząć przez chwilę. Mówiła coś o jakimś fajnym miejscu w Austrii w Alpach... – Milknie, kiedy Brownie się uśmiecha.

– Więc ty tego szukałeś? – pytam. – Dziwi mnie, że nie podążyłeś za Reedem, kiedy przeszedł przez swój portal za Brownie.

– Wtedy byłem zajęty czymś innym. – Uśmiech pojawia się na ustach Prebena, a Brownie się rumieni. – Nie oczekiwałem, że ona tam będzie. Po tym, jak Reed uwolnił cię z legowiska Brennusa w Irlandii, straciliśmy z wami wszystkimi kontakt – odpowiada z żalem; jego jasnoszare oczy spoglądają na mnie.

– Udaliśmy się na wyspę – mamroczę, wiedząc, że celowo nie poinformowaliśmy go o miejscu naszego pobytu.

– Tak, wiem. Chcieliście chronić Russella przed nami... przed Dominium.

– Teraz on ma swoją *aspire*, Trona, więc nie możecie go dorwać – odpowiadam pospiesznie, upewniając się, że Russell nigdy nie będzie ich sługą.

– Co?! – pytają Brownie i Buns jednocześnie.

Preben unosi brew w zaskoczeniu.

– Nie wiedziałem, że to nastąpi.

– To dopisz się do listy! – Buns i Brownie znów odzywają się razem, a ich oczy otwierają się szeroko.

– *Aspire* u jego boku to już nie nasza sprawa... Ani to, co się stanie z nim lub z tobą – mówi.

– Czy Dominium się wycofuje? – pytam, czując ulgę, że nie będziemy walczyć o Russella.

– Ktoś ważniejszy się tym zajmie – odpowiada. – Przybył Serafin.

– Ach... – Nagle robi mi się gorąco. – W mieście jest nowy szeryf.

– Rzeczywiście jest – mówi, spoglądając gdzieś w przestrzeń za mną.

Czuję zimny wiatr, a gęsia skórka pojawia się na moich ramionach, gdy wszystkie anioły stają na baczność. Buns nachyla się do mojego ucha i mówi, drażniąc się ze mną:

– Skarbie, twój tata to niezłe ciacho!

– Zamknij się, Buns – odparowuję półtonem, a jej oczy tańczą w uśmiechu na mój komentarz.

– Kto z nim jest? Znasz ich, skarbie? – Zmusza mnie, abym zerknęła za siebie na Serafina, który właśnie wylądował na gzymsie wśród aniołów Mocy.

Tau, stojąc zaledwie kilka kroków ode mnie, przygląda mi się uważnie. Nie zmienił się od czasu bitwy, a krew nadal znaczy jego białą pełną zbroję.

Mój wzrok pada na ciemnowłosego anioła obok Tau. Zdziwiona odkrywam, że go rozpoznaję. On także chodził do mojej szkoły.

– Ten tam to najlepszy przyjaciel Tau, Cole Martin. W szkole wszystko robili razem. – Przenoszę wzrok na innego Serafina stojącego obok Cole'a i zapiera mi dech w piersi. Rumienię się z gorąca, gdy spoglądam prosto w oczy Xaviera Reece'a.

Xavier jest wysoki i podobnie zbudowany jak Tau, ze złotymi blond włosami, ale to jego oczy są szokujące; jedna tęczówka jest niebieska, a druga zielona. Pan Freidmen, nasz licealny nauczyciel biologii, wyjaśnił nam na zajęciach, że to genetyczna anomalia nazywana heterochromia iridium, która powoduje, że jedna z tęczówek ma więcej melaniny i tym samym inny kolor. Kenny nazwał Xaviera genetycznym dziwolągiem i powiedział nam, że kiedyś widział psa

o dwóch różnych tęczęwkach... Wkrótce przeniósł się do prywatnej szkoły.

– Coś nie tak, skarbie? Czy tamtego też znasz? – szepcze do mnie Buns, widząc moją gwałtowną reakcję na widok Xaviera.

Sztywnieję.

– Och... Xavier Reece – mamroczę półgłosem.

Buns spogląda na Xaviera i ponownie na mnie.

– Był twoim chłopakiem czy kimś takim?

– Kimś takim – udaje mi się wydusić z siebie.

– Zerwaliście ze sobą? – ponownie zgaduje.

– Coś w tym stylu – mamroczę.

– O jak bardzo dramatycznym zerwaniu mówimy? – pyta.

– O takim, że musisz zebrać wszystko, co dostałaś od niego, i zakopać to w ogrodzie, by nie pozostało nic, co przypominałoby ci, jak bardzo go kochałaś – odpowiadam cicho, czując się tak samo źle jak tej nocy, kiedy wykopałam taki dół.

– Serowa Claremont, ale urosłaś – woła Cole Martin; jego skrzydła rozkładają się w oszalamiający, królewski sposób. Śnieg nadal opada na jego czarne włosy, które teraz są odrobinę dłuższe od tych, które miał w liceum.

Biorę głęboki wdech i odwracam się do niego twarzą w twarz.

– Zimna Nędzo, wyglądasz świeżo. Czy to resztki mózgu na twoich włosach?

– Patrzę w jego orzechowe oczy, w których kryje się uśmiech.

Opieram się jakby od niechcenia o kamienną ścianę za mną i krzyżuję nogi niedbale. Brwi Buns unoszą się, gdy spogląda na nas, nie wiedząc, o co chodzi.

– Zawsze lubiłem to przezwisko – odpowiada Cole, a uśmiech osiada na jego kuszących wargach. – Ty je wymyśliłaś?

– Tak, ale to nie tylko moja zasługa; sam też na nie zapracowałeś – odpowiadam, krzyżując przed sobą ramiona z twarzą niezdradzającą emocji.

– Ostro ciebie potraktowaliśmy – przyznaje, stojąc obok mnie. – Musieliśmy przygotować cię do wyzwań, którym stawisz czoła; pogrubić twoją skórę. Założę się, że łatwiej zaakceptować określenie „półkrwi” po przetrwaniu przezwiska „Serowa” w liceum.

– Tak to sobie tłumaczyliście? – pytam Cole’a znudzonym głosem.



– Musieliśmy także trzymać nabuzowanych hormonami ludzi z dala od ciebie  
– dodaje Xavier.

– W takim razie brawo. Misja zakończona – odpowiadam beznamiętnie.

– Niezupełnie. Musieliśmy się twórczo wysilić z kilkoma mężczyznami w szkole, prawda, Tau? – pyta retorycznie. Tau przytakuje. Xavier kontynuuje: – Greg Landon chciał czegoś więcej, niż tylko oglądać z tobą film... Ale z niego był bardziej kochaś niż wojownik.

– Dlaczego miałbyś się przejmować tym, z kim się umawiam? To ty zdecydowałeś, że nie pasujemy do siebie – mówię do Xaviera. – Poczekaj... Czy ty udawałeś, że mnie lubisz? – Moje serce wykręca poczucie zdrady. – Byłeś tylko po to, by mnie szpiegować? – pytam Xaviera monotonnym głosem, aby ukryć poirytowanie. Nie mogę pozwolić, by mnie teraz dopadli.

– Chroniłem cię – oznajmia.

– Okłamując mnie – ripostuję.

– Nie pozwolono mi nic ci powiedzieć. – Pochmurnieje.

– Jesteś aniołem – rzucam oskarżycielsko.

– Ty też jesteś – odpowiada z uśmiechem.

– Nie, nie jestem. Powinieneś mi powiedzieć.

– Dobrze się zaadaptowałaś od naszego ostatniego spotkania. – Cole zajmuje miejsce u mojego drugiego boku, dokładnie mi się przyglądając. – Spójrz na jej brak emocji, Xavier – dodaje, jakby był dumny z mojej postawy. – Kto cię nauczył zachowywać się jak Serafin?

– Upadły anioł o imieniu Casimir – odpowiadam, obserwując, jak uśmiech schodzi z twarzy Cole'a. Pewnie znali Casimira. Był Serafinem podobnym do nich, a może nawet się przyjaźnili, zanim upadł. – Próbował zabrać mnie do Szeolu, kiedy przebywałam z Gankanagami.

– Kiedy byłaś królową Brennusa – oznajmia Tau, a jego usta opadają w pogardzie. – Powiadomiono nas o tym incydencie. – Cechy twarzy Tau stają się coraz bardziej nieczytelne, w miarę jak zbliża się do mnie. – Czy to prawda, że Reed zabił Casimira?

– Tak, mój *aspire* – oświadczam.

Xavier zaczyna warczeć, co powoduje, że moje oczy stają się coraz węższe.

– Dlaczego masz swojego *aspire*? – pyta ze złością.

– Dlaczego cię to obchodzi? – odpowiadam, marszcząc brwi, jakby mnie nudził.

– Obchodzi mnie to z wielu powodów. – Nachyla się nade mną i narusza moją przestrzeń osobistą.

Udaję, że go ignoruję, lecz moje skrzydła i tak reagują. Płaszcz opada ze mnie, gdy rozkładają się, spychając go w tył. Xavier mówi coś w języku aniołów i sięga delikatnie, aby pogłaskać moje skrzydło. Prostuję się, czując zagubienie.

Zwracam się do Buns stojącej z uchylonymi ustami.

– Co on powiedział? – pytam.

– Uważa, że twoje skrzydła są urocze – tłumaczy, potem uśmiech rysuje się na jej twarzy. – Myślę, że mu się podobaś – dodaje szeptem po chwili.

Moje spojrzenie spotyka się ze wzrokiem Xaviera.

– Nie, nieprawda, nigdy mu się nie podobałam... – Powoli zbliżam się do Buns. – Więc dziękuję, że dziś przybyłeś... Tau. Doceniam pomoc... Zabicie Upadłych... Dobra robota. Myślę, że spotkamy się na dziesięcioleciu ukończenia szkoły. Będziemy w kontakcie.

Prostuję się, biorę Buns pod rękę i próbuję przejść obok nich. Natychmiast tworzą przede mną mur, tak byśmy nie dotarli do drzwi, które prowadzą w dół wieży.

Fedrus mówi coś do Tau w języku aniołów.

– Co powiedział Fedrus? – pytam Buns.

Jest tak samo przerażona jak ja, prawdopodobnie dlatego, że nie przywykła przeciwstawiać się Serafinom.

– Ogólnie powiedział, żeby trochę wyluzowali, żeby nie naciskali cię zbytnio. Powiedział, że są zbyt agresywni – tłumaczy szeptem.

Tau odpowiada Fedrusowi, a ja oczekuję na tłumaczenie od Buns.

– Skarbie, och... On chciałby powiedzieć, że trudno chronić ciebie, nie będąc jednocześnie zbyt agresywnym.

Przymrużam oczy.

– Jak powiedzieć „wypchaj się” w języku aniołów, Buns? – mówię, widząc, jak Fedrus się wzdryga.

– Uważaj – ostrzega Tau delikatnym tonem, jego skrzydła rozkładają się,

co czyni go olbrzymim i, szczerze mówiąc, przerażającym.

Odsuwam się od Buns, moje skrzydła też się rozkładają, a ja naśladuję agresywną postawę Tau.

Podczas gdy on spogląda na mnie groźnie, Xavier szczerzy się:

– Evie, daj spokój. Czekałem na ciebie, aż dorośniesz. Jeszcze tyle muszę cię nauczyć.

– Nie jestem zainteresowana – odpowiadam.

Uśmiech znika z twarzy Xaviera, a w jego miejscu pojawia się złość.

– To bądź zainteresowana – nakazuje surowo.

– Dlaczego? Ja już mam swoich mentorów i obrońców – odpowiadam.

Brew Xaviera unosi się chytrze nad niebieskim okiem.

– I oczywiście nie potrzebowałaś nas dzisiaj? – pyta spokojnie.

– Dzięki za pomoc, ale gdzie byliście, kiedy wszystko się waliło? Gdzie on był, kiedy to wszystko się zaczęło? – Wskazuję dłonią w stronę Tau. – Kiedy zaczęłam przemieniać się w całkowitego dziwoląga? Nigdzie was nie było. Troszeczkę się spóźniliście i nie można na was polegać – wygarniam, a powieki Xaviera okrywają jego niepasujące do siebie oczy.

– Zostaliśmy przywołani z powrotem! – odpowiada ostro Xavier. – Nikt z nas nie chciał cię opuścić. I nie jesteś dziwolągiem!

– Spokojnie, Xavier – wcina się Tau.

Walczę, by zachować maskę spokoju, która i tak powoli opada, a ja próbuję nie płakać.

Bryza muska moją twarz; Reed jest obok, tuli mnie w ramionach i trzyma blisko siebie.

– Wygraliśmy, kochanie – delikatnie szepcze do mojego ucha. – Teraz weź głęboki oddech i razem się tym zajmijmy. – Całuje mnie, powodując, że dziwne rzeczy dzieją się w moim brzuchu, a kolana uginają się pode mną.

Xavier warczy za nami. Reed uśmiecha się i w jego oczach pojawia się radość.

– Kolejny wielbiciel, kochanie? – pyta podniecającym, seksownym tonem. – Naprawdę musisz zacząć mówić im o mnie.

– Dlaczego mam im mówić, skoro mogę im to pokazać? – Obejmuję go za szyję i delikatnie ocieram wargi o jego usta, i mocno przyciskam się do niego.

Słyszając kolejny niski pomruk Xaviera, przerywam pocałunek i zerkam w jego stronę. Karmazynowe skrzydła rozpościerają się szeroko, a Tau mocno przytrzymuje go za ramię.

Reed lekko odsuwa mnie od siebie i rozkłada skrzydła, warcząc w stronę Xaviera. Wydaje się groźny ze ściągniętymi brwiami i zaciśniętymi zębami. Obaj wyglądają, jakby mieli za chwilę na siebie skoczyć, co powoduje, że strach pełźnie mi po kręgosłupie.

Fedrus staje pomiędzy nami z twarzą skierowaną do Tau. Przemawia pospiesznie do Serafina, jakby próbował mu coś wytłumaczyć. Wtedy Tau zwraca się do Xaviera; jego głos, pomimo tego, że melodyjny, ma autorytatywny ton, co nawet ja rozpoznaję. Xavier, nadal złowrogi, powoli składa skrzydła, a jego szczeka jeszcze bardziej się zaciska.

Następnie Tau mówi do Reeda tym samym tonem. Antracytowe skrzydła Reeda także powoli składają się i elegancko spoczywają na jego plecach.

Tau wbija we mnie wzrok.

– Zamierzam wydać rozkazy aniołom Mocy. Opuścimy to miejsce w ciągu godziny. – Odwraca się i podchodzi do drzwi wieży z Cole'em u boku.

Xavier gapi się na mnie przez chwilę i niechętnie podąża za Tau do Bramy Mostowej.

– Usuń numer Tau z listy szybkiego wybierania w telefonie, Reed – mamrocze.

– Posłuchaj, kochanie... Tau jest przyzwyczajony do wydawania rozkazów. W głębi serca chce dla ciebie jak najlepiej. Uważam, że powinnaś dać mu szansę – tłumaczy Reed, trzymając moją dłoń. – Powinniśmy rozważyć opcję, żeby z nim pójść.

– A dokąd on idzie? – pytam, ściskając jego dłoń.

– Na Morzu Bałtyckim czeka na nas statek. – Spogląda w niebo.

– Czy Cole i Xavier też idą? – Liczę na to, że zaprzeczy. Zbyt dużo mam wspólnej historii z Xavierem. On grał główną rolę w każdym moim śnie z czasów liceum... A potem złamał mi serce.

– To jest ich łódź – odpowiada, baczenie przyglądając się moim oczom.

– Jak się tam dostaniemy?

– Polecimy. – Wygląda na szczęśliwego.

– To znaczy... Na skrzydłach? – pytam łamiącym się głosem. Reed przytakuje. W połowie nie zgadzając się na to, co się dzieje, pytam: – Gdzie ma nas zabrać ta łódź?

– Możemy o tym pomówić, kiedy tam dotrzemy – odpowiada Reed jedwabistym głosem i ponownie zbliża swoje wargi do moich.

W jakiś sposób zdaję sobie sprawę, że nie chce zdradzić mi lokalizacji.

– Tak źle, he? – pytam niespokojna. – Nie możemy odjechać bez Russella. Czy on tu jest? – Przytłacza mnie strach.

– Tuż za mną. Musieliśmy się zatrzymać i uzyskać pomoc medyczną – odpowiada Zefir stojący obok Buns. Ta odwraca się i tuli go do siebie, jednocześnie badając dłońmi jego ciało w poszukiwaniu ran. – Załapałem się na sam koniec. Xavier będzie interesującym przeciwnikiem. – Spogląda znacząco na Reeda.

– Z niecierpliwością na to czekam – odpowiada spokojnie Reed.

Patrzę na Russella i widzę, jak bardzo jest wycieńczony.

– Wszystko okay, Russell? – pytam.

Russ ściska dłoń Anyi; oboje mają bandaże w kilku miejscach.

– Tak, przydałoby się trochę jedzenia... Łóżko i telewizor – odpowiada znużonym tonem.

– Armia przenosi się na nową pozycję – informuje Reed, obserwując reakcję Russella. – My lecimy... na skrzydłach.

– Wy wszyscy jesteście źli – oznajmia Russ zmęczony.

Zefir chyba się z nim zgadza.

– Jak długo jeszcze na to pozwolimy? – pyta Zefir Reeda z powagą w głosie. – Serafiny wierzą, że to one są odpowiedzialne za Evie.

– Potrzebujemy odpowiedzi, a oni je znają – odpowiada Reed. – Poza tym Tau jest ojcem Evie, więc spróbujemy pójść na kompromis.

– To są Serafiny i, bez obrazy, Evie, ale nie słyną z tego, że potrafią iść na kompromis – wtrąca Zefir.

– Jestem tylko w połowie Serafinem, więc nie mam o co się obrażać. – Wzruszam ramionami.

– Oni mają informacje, których potrzebuję, Evie. Jestem skłonny współpracować, aby znaleźć odpowiedzi na kilka pytań. Czy wszyscy zgadzamy

się ze strategią, aby z nimi współpracować? – pyta nas Reed, jakbyśmy mieli równe prawo do wypowiedania się.

– Wchodzę w to, skarbie – oznajmia Buns, uśmiechając się do mnie. – Lubię łodzie.

– Ja też – przyłącza się Brownie natychmiast, pozwalając, aby jej miedziane motyle skrzydła rozłożyły się za jej plecami.

Wzrok Prebena podąża za ich wysublimowaną linią.

– Będę wam potrzebny, więc również jadę – mówi Zefir tonem, w którym wyczuwa się doświadczenie zdobywane przez kilka miliardów lat.

Moje oczy wędrują do Russella, ten oświadcza:

– Co tu gadać, ja idę, gdziekolwiek ty jesteś, Ruda.

Przytakuję mu, nie oczekując od niego niczego innego.

Oczy wszystkich w naszej grupie kierują się do Anyi. Reed mówi do niej w języku aniołów, a ona spogląda raz na Russella, raz na mnie. Prostuje ramiona i kiwa głową na znak potwierdzenia.

Patrzę na Fedrusa, który po chwili uśmiecha się i mówi:

– Och, ja muszę jechać... Wysłano mnie, abym pomógł Tau.

– Jesteś po jego stronie? – pytam poirytowana.

– Może to on jest tym, który modli się o cud – pomrukuje Fedrus.

– Fedrusie, czy ty na pewno nigdy nie byłeś rodzicem? – pytam. – Ponieważ wyczuwa się w tobie dziwną umiejętność wzbudzania u innych poczucia winy.

– To dar – odpowiada.

Anioły wokół nas unoszą się w powietrze po otrzymaniu rozkazu, żeby odejść.

– Okay, ale jeśli Tau okaże się dręczycielem, to będziemy musieli poważnie porozmawiać – ostrzegam Fedrusa śmiertelnie poważnym tonem, wiedząc, że mam kłopoty... poważne kłopoty.



Po wielogodzinnym locie przez coś, co można byłoby określić śnieżną apokalipsą, lądujemy wśród niezliczonych aniołów na pokładzie jednego z najbardziej odlotowych statków, jakie widziałam. Wojskowy i elegancki, jest

jak pływające miasto z samolotem na olbrzymim pokładzie. Słońce właśnie zaczyna wschodzić nad rufą; jeden z aniołów Mocy prowadzi mnie do kajuty.

Zatrzymuję się w wejściu.

– Och, to jest pojedyncza kajuta – zauważam. Pojedyncza koja, mała szafa i mała kabina prysznicowa są jedynym wyposażeniem na tej mikroprzestrzeni.

– To pomieszczenie, które kazano mi tobie dać – odpowiada anioł.

Spoglądam na niego gniewnie.

– Kto nakazał ci dać mi tę kajutę?

– Xavier – odpowiada swobodnie anioł.

– Działa mi na nerwy – mamrocę pod nosem i wchodzę do pomieszczenia. Reed podąża za mną i wkurza mnie, że on nawet nie wygląda na zmęczonego.

– Xavier podpuszczał cię, krytykując twój lot tak, abyś się wnerwiła i bardziej się starała – wyjaśnia Reed, obserwując, jak wchodzę do łazienki i puszczam wodę.

Podchodzę i przykładam palec do jego warg.

– Cii, nie rozmawiajmy o Xavierze... W ogóle nie rozmawiajmy... – Wciągam Reeda do małej kabiny prysznicowej i między nami nie pada ani jedno słowo przez bardzo długi czas.

Reed wyprowadza mnie spod prysznica w stronę pojedynczego łóżka. Owinięci w ręcznik, zasypiamy w swoich ramionach, wdzięczni za to, że jesteśmy razem.



*Genevieve... Genevieve... Chodź do mnie, mo chroí... To ty będziesz nosić moją koronę... na zawsze nietykalna... Należysz do mnie...*

– Evie! – Reed potrząsa moją ręką; otwieram oczy, by ujrzeć blask jaskrawego słońca.

Stoję na zewnątrz na pokładzie statku w swoim ręczniku, kręci mi się w głowie i jestem zdezorientowana. Reed, też w ręczniku, bierze mnie na rękę i przenosi obok gapiących się aniołów Mocy, a moje włosy rozwiewa delikatna bryza.

Ciepło ciała Reeda przenika przez szronową powłokę, która mnie pokrywa.

Ktoś okrywa moje ramiona kocem zaraz po wejściu do przyciemnionego holu. Kilka aniołów Mocy prowadzi nas do luksusowego pomieszczenia, jeden wyjaśnia Reedowi, że Tau chce nas widzieć. Mój wzrok spoczywa na szklanych drzwiach, które prowadzą na balkon z widokiem na morze. Reed siada w skórzanym fotelu i usadza mnie na swoich kolanach. Gładzi moje włosy; powoli dociera do mnie, że jestem odrętwiała z zimna. Drżąc w jego ramionach, słyszę, jak szeptem wypowiada do mnie słowa w języku aniołów.

Szczękając zębami, unoszę głowę z piersi Reeda, przytomnieję na tyle, by zdać sobie sprawę, że nie jestem w naszym łóżku. Kiedy się rozglądam, staje się jasne, że już nie jesteśmy w sterówce, lecz w jednym z prezydenckich apartamentów na tym statku. Wnętrze, z podłogami i półkami z ciemnego drewna, wygląda bardziej jak męska jaskinia niż to, co można zwykle zobaczyć na statkach.

Widzę, jak Tau obserwuje mnie z eleganckiego fotela stojącego naprzeciwko nas, i po chwili odwracam wzrok, kładąc policzek na nagiej piersi Reeda.

– Często jej się to zdarza? – pyta Tau Reeda łagodnym tonem.

– Nigdy nie słyszałem, żeby chodziła we śnie – odpowiada zaniepokojony Reed.

Czuję się zmieszana; moje myśli są mgliste i ciężko mi się skoncentrować.

– Czy ja właśnie... wyszłam na zewnątrz w ręczniku? – pytam, szczękając zębami.

Pocierając moje ramiona, Reed odpowiada łagodnie:

– Tak, ale nie przejmuj się, myślę, że załodze to się podobało.

– Dokąd ty szłaś? – zwraca się do mnie Tau.

– N...n... nie wiem. – Czuję zawstydzienie.

– Chciałabyś coś ciepłego, może kawę? Herbatę? – proponuje Tau, a jego szare oczy uważnie badają moją twarz.

– K...k... kawę – odpowiadam; zagryzam zęby i kulę się w kocu.

Po otrzymaniu filiżanki kawy obejmuję ją zziębniętymi palcami. Nagle sztywnieję ze strachu, gdy ktoś wali do drzwi kabiny.

– Wejść – wykrzykuje Tau, nie spuszczać ze mnie wzroku.

– Ruda! – Przez drzwi wpada Russell. – Wszystko z tobą dobrze? – Wygląda na zmartwionego, gdy widzi mnie siedzącą na kolanach Reeda.



Kiwam głową, nadal szcękając zębami.

– Zacząłem cię szukać zaraz po tym, jak wyłapałem ich energię. Czuję zapach ich magii... Jest ciężki... Twój pokój jest nim przesiąknięty. – Siada na krześle obok nas. – Cholera, on się tobą bawi, prawda? – pyta Russell.

– Kiedy dowiedziałeś się, że chodzę naga po pokładzie statku?

– Jakiś czas temu. – Uśmiecha się znacząco. – Przynajmniej kilka setek lat.

– Czy to był Brennus? – pyta Reed, tuląc mnie mocniej.

– Mhm – przytakuję.

– Czy to było zaklęcie? – dopytuje Russell.

– Nie czułam tego tak jak inne zaklęcia – przyznaję, pijąc powoli kawę. – To raczej coś, jakby on był w mojej głowie i czerpał energię bez ograniczeń.

– Zniewolenie – mówi Tau. – I też magia. Czy zostałaś niedawno ugryziona?

– Tak – odpowiadam, spoglądając na Tau.

– I zostałaś ugryziona wcześniej... Wiele miesięcy temu?

– Tak.

– Większa ilość jadu wzmacnia zniewolenie i być może teraz zaczyna na ciebie działać. Lecz nadal muszą używać magii. Cała jesteś pokryta szronem.

– Tau wskazuje na moją skórę, która dopiero teraz traci niebieskawy odcień. – Co Brennus kazał ci zrobić?

– Kazał mi przyjść do siebie.

– Wiesz, gdzie on jest?

– Nie – mówię niepewnie.

– Nie... ale? – podsuwa mi łagodnie.

– Nie, nic. – Nie patrzę mu w oczy.

Tau w milczeniu obserwuje, jak piję kawę. Zerkam na Russella. On wie, że ja mam sposób na zlokalizowanie Brennusa. Oboje mamy. Zaczynam się rozgrzewać i przestaję szcękąć zębami.

– Z niecierpliwością czekam na spotkanie z nim – oznajmia Tau.

– Wiesz, gdzie on jest? – Mieszane uczucia wybuchają we mnie, wśród nich zaczyna dominować strach.

– Nie w tej chwili, ale nie muszę wiedzieć, ponieważ on przyjdzie do mnie – odpowiada i bierze łyk swojej kawy.

– Dlaczego miałby to zrobić? – pytam dociekliwie.

– Ponieważ planuję to tak, aby nie miał innego wyjścia – odpowiada spokojnie.

– Czyli jak?

– Najpierw zacznę go obrażać – wyjaśnia Tau. – Kiedy sprawię, że zostanie ośmieszony, będzie musiał wziąć odwet lub zaryzykować utratę pozycji wśród swoich.

– Jak go obrazisz? – Ściągam brwi.

– Zamierzam wprowadzić się do jego domu, przejąć tron... z królową.

Mój żołądek kurczy się ze strachu, a usta stają się suche.

– Czy my wracamy do Irlandii? – pytam szorstkim tonem.

– Tak – odpowiada spokojnie, jakby omawiał pracę domową z angielskiego.

– Powinieneś być ostrożny. Brennus jest bardzo sprytny i... zdeterminowany.

– Znów patrzę na niego przenikliwie.

Tau milknie, a jego szare oczy zdradzają rozbawienie.

– Czyżbyś bała się o mnie? – Przechyliła głowę i ocenia moje nastawienie.

Powoli kręcę głową.

– Nie, ja boję się o siebie – odpowiadam ze złością. – Ja żyłam z nimi i to była walka o przetrwanie z dnia na dzień, a ty teraz chcesz mnie znów tam zabrać.

– Nie wierzysz mi, że mogę cię ochronić. – Jego brwi łączą się gniewnie.

– Nie ufam ci. Kropka – odpowiadam natychmiast.

– Tak, widzę to. Nie musisz mi ufać, tylko musisz mi być posłuszna.

Unoszę brwi w zaskoczeniu.

– Być posłuszna tobie? – pytam z niedowierzaniem. – Nawet cię nie znam.

– Jeśli nie szanujesz tego, że jestem twoim ojcem, to przynajmniej uszanuj moją rangę – mówi bez emocji, a na twarzy pojawia się maska spokoju. – Ja tu sprawuję władzę.

Spoglądam na Russella, który także gniewnie zerka na Tau.

– Czy ty to słyszysz, Russ? – pytam go.

– Tak, słyszę. I próbuję zrozumieć. Zgadzam się na ten cały pomysł z obrażaniem Brennusa, ale mam problem, jeśli chodzi o zaciągnięcie cię

z powrotem do tego straszego zamku. Chcesz, żeby twoja córka była przynęta?  
– zwraca się do Tau z wyczuwalnym podenerwowaniem.

– Chcę tego, co ty chcesz: bezpieczeństwa Evie, a ona może być bezpieczna tylko ze mną – odpowiada Tau.

– Brennus chce widzieć mnie klęczącą przed nim. Przed tym nie możesz mnie uchronić – wtrącam, jeszcze bardziej zła na niego, niż powinnam być. Moje emocje są w całkowitym rozpadzie.

– To on przyjdzie na kolanach do ciebie – odpiera Tau.

– Nie chcę tego.

– Więc czego chcesz?

– Żeby przestał... tylko przestał – wzdygam.

– W takim razie zmuszę go, by przestał – oświadcza Tau.

– A co, jeśli nie możesz? – szepczę.

– Mogę – odpowiada, jego oczy łagodnieją.

– Myślisz, że go znasz, lecz tak nie jest – mówię ponuro, czując nieopisaną desperację. – On jest kuszący i słodki w jednej minucie, a w kolejnej zmienia się w bezwzględny i przerażający typ. On się zmienia, adaptuje. Układa się z najokropniejszymi potworami. Morduje kobiety, ale pragnie jednej rzeczy: mnie. Nie zdołasz go powstrzymać; nikt nie zdoła go powstrzymać. – Kręcę głową.

Tau wstaje z fotela. Podchodzi bliżej mnie i kuca u mego boku, spoglądając w oczy, które są dokładną repliką jego własnych.

– Nie posiadasz mojego doświadczenia, by wiedzieć, że on nie jest wszechwładny. Ma wiele, wiele słabości, szczególnie jeśli chodzi o pożądanie ciebie. – Tau niepewnie wyciąga rękę i zakłada mi pukiel moich włosów za ucho. – Pokażę ci, jak pokonywać wrogów... Jedyne, co musisz, to pamiętać, kim jest Brennus: twoim wrogiem.

Odsuwam się od jego dłoni, sztywnieję.

– Nie sądzisz, że ja wiem, że Brennus jest moim wrogiem?

– Uważam, że gdybyś naprawdę w to wierzyła, już dawno byś go zabiła – odpowiada.

Moje oczy stają się wąskie i bardzo złowrogie.

– Myślisz, że chciałam, żeby się pojawił w moim życiu? – cedzę

z zaciśniętymi zębami.

– Myślę, że nie chcesz go zabić – oświadcza Tau uczciwie. Wstaje i odchodzi ode mnie. – On nie powinien istnieć, Evie. Jest mordercą, który żywi się słabymi. W chwili, gdy ujrzysz go takim, jaki naprawdę jest, będziesz mogła uczynić to, co masz zrobić.

– A co ja mam zrobić?

– Chronić słabych. Usuwać zło i je niszczyć, nie mając dla niego współczucia.

– Czerń i biel, dobro i zło, grzesznik i święty? – kpię.

– Tak.

– Więc dlaczego nie potrafię myśleć tymi kategoriami?

– Może to twoja dusza, która zawsze chce pozostawić miejsce dla możliwości odkupienia się – odpowiada zamyślony.

– Albo może nie jestem taka jak ty – sugeruję niezbyt miłym tonem. – Wiedziałaś, że Brennus uratował mnie przed ifritem?

– Tak, Valentine'em – przyznaje cicho. Jest zwrócony do mnie plecami, gdy wygląda na morze poza szklanymi drzwiami. – Zrobił to dla siebie, nie dla ciebie... A ty uratowałaś go przed Werree i to także było dla niego, nie dla ciebie. Chociaż to, że twoje życie zostało związane z jego życiem, także działa na twoją korzyść. Niedawno byłem w Dominium i poinformowali mnie o tym, co się stało, gdy byłaś z Gankanagami.

– Więc wszystko wiesz? – pytam go w obraźliwy sposób, ponieważ prawdopodobnie nie wie wszystkiego. Nie ma pojęcia, jak się wtedy czułam.

– Wszystko? – Zerka przez ramię. – Nikt z nas nie może wiedzieć wszystkiego. I ty nie rozmawiałaś o tym ze mną, więc się nie orientuję, jak to wyglądało z twojej perspektywy.

– To prawda... Nie znasz mojej perspektywy. Nie miałaś szansy porozmawiać o tym ze mną – zgadzam się łagodnie. – Ponieważ byłeś... gdzie właściwie byłeś? – Z trudnością usiłuję powstrzymać gniew, by nie wypłynął z moim głosem.

– W Raju – odpowiada.

Potakuję.

– Właśnie, w Raju... Chwila wytchnienia od ojcostwa... – dodaję

z sarkazmem. – Musiałeś nim być bardzo zmęczony.

Tau powoli odwraca się do mnie. Utracił swoją pozbawioną emocji maskę spokoju, grymas na twarzy pogłębia się.

– Okay, kochanie. Myślę, że powinnaś odpocząć – wtrąca się Reed, unosząc mnie w ramionach, gdy sam wstaje z krzesła.

Russell także wstaje.

– Tak, Reed, przytrzymam dla was drzwi.

– Miałaś wspaniałego rodzica... Jamesa. Bardzo cię kochał... – mówi Tau, a moje gardło zaciska się, gdy łyzy natychmiast napływają mi do oczu.

Wykręcając się w ramionach Reeda, zmuszam go, by mnie postawił. Spoglądam w twarz Tau.

– On był najlepszym rodzicem i kochał mnie bardziej niż ktokolwiek inny, a anioły go za to zabiły! – szlocham, łyzy spływają mi po policzkach. – Rozerwały go na strzępy w domu, w którym mieszkaliśmy, ponieważ nie było nikogo, kto by go chronił... ani ciebie, ani mnie... a on cierpiał... I umarł... – Ostatnie słowa mówię szeptem, ponieważ z trudnością mogę oddychać. Zakrywam dłońmi oczy i czuję, jak serce znów mi się łamie.

– Evie... Nie mogłaś go ochronić... – tłumaczy zatroskany Tau.

– Muszę stąd wyjść – wzdygam i po chwili opuszczam pokój.

Biegnę ile sił, wszystko mi się zamazuje. Mijam korytarze i klatki schodowe w ułamkach sekund. Docieram do maszynowni, ukrywam się za olbrzymią metalową grodzią i wypłakuję oczy.

## *Rozdział 14*

### *Jestem na łodzi*

RUSSELL

Skრęcając w stronę maszynowni, słyszę, jak ktoś pociąga nosem, a później czka. Uśmiech pojawia się na moich wargach – poznaję tę czkawkę. Wpycham się przez metalowe drzwi i nasłuchuję kolejnego czknięcia dochodzącego zza metalowej grodzi.

– Odejdź, Russell – mówi Evie, a ja siadam na podłodze obok niej.

– Prosisz mnie, bym odszedł od damy w niebezpieczeństwie. Tego moje sumienie by nie zniosło.

Zdejmuję koszulkę i podaję Rudej. Bierze ją z poirytowanym spojrzeniem. Wciska się w nią, potem odwija ręcznik. Koszulka opada jej prawie do kolan.

– Dzięki – mamrocze pod nosem. – Nie musisz zostawać.

– Tak... Ale może ja tak jak ty chcę się ukryć. – Wzruszam ramionami i wspominam Anyę w kabinie obok mojej.

– Dlaczego? Twój straszny staruszek też się pojawił? – Ociera łzę spod oka.

– Nie, ale naprawdę straszne jest to, że on wygląda młodziej ode mnie – przyznaję spokojnym tonem. – Założę się, że mógłbym go pokonać.

Ruda przewraca oczami i mówi sarkastycznie:

– Tak, Russ, ty walczący z Tau dodałbyś kolejną warstwę dziwactwa do tego wszystkiego.

– A co z tym drugim, z Cole'em?

– Cole Martin? – pyta, a kiedy przytakuję, czuję w jej głosie podejrzliwość. – A co? Co on tym razem zrobił?

– Cały czas zagadywał Anyę w drodze tutaj – odpowiadam i słyszę, że mój ton robi się nerwowy. Widząc zagubiony wzrok Rudej, wyjaśniam: – Trzymał się zbyt blisko niej w czasie lotu tutaj i gadał bardzo głośno, jakby miał

przekrzyczeć jakiś silnik. Nie wiem, co jej mówił, bo używał języka aniołów.

– Może po prostu rozmawiali?

– No... może. Ale to chodzi o sposób, w jaki z nią rozmawiał... Gadali jak starzy, dobrzy znajomi i tak łagodnie... No wiesz: „jestem aniołem i wiem, jak rozmawiać w języku aniołów”... – Milknę, kiedy Ruda rozbawiona moim obraźliwym naśladowaniem Cole’a zaczyna chichotać. – Co takiego? – Też się uśmiecham. – Jak tak dalej pójdzie, to ty i ja będziemy musieli komuś wkrótce ostro dokopać, pokazać im, że nie jesteśmy nowymi dzieciakami w tej okolicy.

– I nie paktujemy z ich klanem? – pyta i znów zaczyna czkać.

– To prawda – zgadzam się. – Musimy im udowodnić, że sami damy sobie radę.

– Więc próbujesz mi powiedzieć, że powinnam się ogarnąć i przestać płakać?  
– Zagryza dolną wargę, aby przestać wykrzywiać ją w płaczącym grymasie.

– O rany, spójrz na siebie – mówię delikatnym tonem, nachylając się i wycierając jej ostatnią łzę. – Cała tragiczna i piękna. Musimy coś razem obmyślić.

– Plan? – Wygląda na zaniepokojoną.

– Zabierają nas znów do gniazda żmij. My wiemy, co to oznacza – zaznaczam.

– Wszyscy nasi aniołowie są narażeni na niebezpieczeństwo – odpowiada Ruda, podążając za moim tokiem myślowym. Jej potrzeba stworzenia planu sprawia, że siada wyprostowana.

– Nie podoba mi się to. Te zimne dranie znają swoje miejsce na wylot. My widzieliśmy tylko powierzchnię, kiedy ostatnio tam byliśmy, ale...

– Magia Gankanagów sięga głęboko – kończy za mnie.

– Przenika aż do kości, Ruda – zgadzam się. – Musimy przestać myśleć ludzkimi i anielskimi kategoriami i zacząć myśleć jak czarnoksiężnicy.

– Ich magia przecież nie ma wpływu na anioły.

– Tak, ale ich miejsce jest maksymalnie uzbrojone. Pokazałaś, jak działają portale, i bardzo im się to spodobało, więc prawdopodobnie umieścili portale, gdzie tylko mogli, i wysłali przez nie wszystko, co żyje. Już wcześniej czułem tam magię, lecz teraz pewnie jest wszędzie. To, że aniołowie nie mogą być dotknięci ich magią, nie oznacza, że te przebiegłe małe diabły nie użyją jej, aby do nich podejść... na tyle blisko, by ich dotknąć.

– Tak jak Declan i jego towarzysze zrobili w Dominium. – Spogląda na mnie szeroko otwartymi oczami.

– A jeśli uda im się przemienić jedno z nas, to natychmiast otrzymają maszynę do zabijania, ponieważ nikt nie będzie chciał zabić swoich. – Twarz Rudej błednie, więc szybko ciągnę dalej. – Pierwsze, co zrobimy po dotarciu na miejsce, to przeszukamy pokój za pokojem w poszukiwaniu wszystkiego, co... niewłaściwe. Teraz, kiedy ich smród na mnie nie działa, będzie mi łatwiej wywąchać inne rzeczy – wyjaśniam z nadzieją, że jeśli ona skupi się na planie, to odwróci jej uwagę od faktu, że jest ponownie wprowadzana do więzienia.

– To może nam zabrać całe życie – mamrocze; wie, jak duży jest zamek Brennusa i że prawdopodobnie wszędzie umieszczono pułapki.

– Musimy zrobić to szybko, w przeciwnym razie zacznie się sezon polowania na naszych przyjaciół – oznajmiam. – Brennus staje się coraz sprytniejszy... Przystosowuje się. Prawie cię ściągnął z pokładu tego statku.

– A co z tobą, Russell? – Ruda wygląda na przestraszoną. – Co się stanie, kiedy Brennus się zorientuje, że zostałeś ugryziony kilka razy więcej niż ja?

– Wtedy zorganizuje dla mnie imprezę powitalną z konfetti i szampanem. – Widzę, jak jej oczy przenika strach.

– Russ, musimy cię chronić! Nie możesz iść z nami! – Pospiesznie wypowiada te słowa i podskakuje na równe nogi.

– Spokojnie, Ruda. My tylko rozmawiamy tutaj... ty i ja – uspokajam. Też wstaję. – Gdzie można się ukryć przed magicznymi stworzeniami? – pytam retorycznie, ponieważ oboje wiemy, że te demony zawsze nas znajdą.

– On nie może cię dopaść! – Wskazuje na mnie palcem.

– Masz cholerną rację, nie może mnie dopaść – zgadzam się. – Mogę być zielony, jeśli chodzi o magię, ale szybko się uczę. – Otwieram dłoń, wypowiadam szeptem kilka słów do siebie i tworzę małą kulę światła. Rzucam nią o ścianę i obserwuję, jak odbija się od niej rykoszetem niczym kauczukowa piłeczka. Kiedy przelatuje przy mojej głowie, zatrzymuję ją w powietrzu i czekam, aż wybuchnie ciasteczkami Twinkies.

Ruda podnosi jedno Twinkies leżące na stosie na podłodze.

– Jak to zrobiłeś? – Śmieje się głośno.

– To nie takie trudne. Teraz pora na Twinkies – szczerzę się.

– Kocham cię, Russ – wyznaje impulsywnie, podchodzi do mnie i mocno tuli



się z twarzą przyciśniętą do mojej piersi.

Natychmiast, prawie odruchowo, ją obejmuję i głaszczę jej miękkie włosy. Coś nieodmiennie drży w moim sercu, gdy ona jest w pobliżu... Lecz czegoś brakuje. Nie próbuję zderzyć z niej ubrań i kochać się z nią na podłodze w maszynowni i to jest właśnie dla niej dziwne. Składam delikatny pocałunek na czubku jej głowy, a po chwili dzikie koniki polne zaczynają skakać w moim brzuchu – tak jak to się dzieje, kiedy niedaleko jest Anya...

Niski pomruk dobiega od wejścia do maszynowni. Moje skrzydła wystrzeliwiają na ten dźwięk i ukrywam Rudą za swoimi plecami, jednocześnie przyjmując postawę obronną. Ponownie prostuję się na widok czarnych skrzydeł Anyi, rozłożonych w reakcji na moje zachowanie. W jej szmaragdowych przymrużonych oczach widzę pobudzenie. Reed przytrzymuje ją za ramię, na wypadek gdyby stwierdziła, że już wystarczająco dużo widziała.

Mówi coś do niej w języku aniołów, a ona odwraca głowę w jego stronę i patrzy ze złością. Po chwili uwalnia z siebie lawinę słów, które powodują, że się czerwienię, chociaż nie mam zielonego pojęcia, o czym mówi. Wystarczy mi sposób, w jaki pokazuje mnie palcem.

Odwracam się i spoglądam na Rudą, całkowicie blada gapi się na Reeda. Takiego spojrzenia nie widziałem u niego od czasów Crestwood: skumulowany gniew.

– Moment, o co chodzi? – pytam Reeda. – Przecież wiesz, że to tylko rozmowa, prawda? – Macham dłonią pomiędzy Rudą a mną.

– Naprawdę tylko rozmowa? – odpowiada cicho Reed. – Coraz trudniej mi to rozróżnić.

Gniew wpełza do mojego głosu, kiedy się odzywam.

– Myślisz, że właśnie teraz to było uwodzenie? Tutaj, na otwartym morzu? Z Gankanagami próbującymi ściągnąć ją ze statku i jej ojcem, który rości sobie do niej prawa? – Czuję, jakby kwestionowano szczerłość moich intencji.

– Ja go przytuliłam... To moja wina – wtrąca się Evie zza pleców, po chwili staje u mojego boku, wykręca palce u rąk, co sprawia, że wyglądamy na winowajców.

Reed pyta z pozbawioną emocji miną:

– Jak mogłabyś się oprzeć, skoro przyniósł Twinkies?

Reed puszcza ramię Anyi i wychodzi z maszynowni.

Ruda przeciska się obok mnie i próbuje dogonić Reeda, pozostawiając mnie samego z Anyą.

Przesuwam stopą po podłodze; czuję się jak przestępca, który tym razem naprawdę jest niewinny.

– Dlaczego tu jesteś, Anyu? – pytam, choć wiem, że mnie nie rozumie. Ocieram dłonią czoło w miejscu, gdzie czuję ból. – Ten świat złamie ci serce.

– Ty łamiesz serce. Ty wszystko wyrzucić – odpowiada natychmiast, z dłońmi opartymi o biodra i wzrokiem pełnym złości.

– Ty mnie rozumiesz? – mruczę, a usta otwierają się ze zdziwienia.

– Buns i Brownie... pomagać Anya – odpowiada. – Uczyć słowa i... – Wyciąga kieszonkowy słownik z tylnej kieszeni obcisłych biodrówek. – I dać słownik.

– Tak? O, to dobrze. To znaczy, że jesteś mądra, prawda? Więc wszystko zrozumiesz. Ja ciebie nie znam. – Gniew na całą tę sytuację wybucha we mnie.

– Ty nie próbować poznać Anyę – odpowiada nerwowym tonem.

– Fakt. Nie chcę ciebie poznać – zgadzam się; wolę nie rozmawiać o tym teraz, lecz skoro ona ciągnie ten temat, myślę, że ta pora może być równie dobra jak każda inna. Pragnę, by odeszła, zanim dotrzemy do Irlandii. Nie powinna być częścią tego wszystkiego i jeśli usunę powód, dla którego tutaj jest, to może odejdzie w jakieś bezpieczne miejsce.

– Więc to komplikacja? – pyta delikatnie. Jej gładkie hebanowe skrzydła opadają za jej plecami.

– Nie, nie komplikacja. To mur między nami – odpowiadam z nadzieją, że rozumie, co do niej mówię.

– Więc... Ja rozwalę ten mur. – Zbliża się do mnie o krok.

Unoszę dłoń.

– Ten mur mi odpowiada.

Zatrzymuje się i przechyla głowę w moją stronę, jakby przetwarzała to, co właśnie powiedziałem.

– To druga komplikacja – odpowiada, pokazuje dwa palce.

– A oto numer trzy: chcę, żebyś odeszła – oznajmiam surowym tonem i czekam, aż zmieni wyraz twarzy, ale tylko spogląda na mnie, jakby nie rozumiała, co do niej powiedziałem. – Nie kocham ciebie i nigdy nie pokocham.

Więc równie dobrze możesz sobie załatwić nowy tatuaż lub cokolwiek, co robi się w takiej sytuacji. – Wskazuję na jej pierś i widzę, jak jej palce dotykają miejsca tuż pod ubraniem, w którym umieszczono znak moich karmazynowych skrzydeł na jej skórze.

– To ślepotą – odpowiada cichym, niespokojnym tonem. – Ty nie rozumiesz, kim jesteśmy. – Wskazuje na siebie i na mnie.

– Nie mów mi, że jesteś jedną z tych psychicznych dziewczyn, które nie chcą słyszeć, że to już koniec – pytam najostrożniej, jak potrafię, żołądek ściska mi się na widok miny Anyi. Przez jej rysy przenikają ból i zagubienie.

– Co to jest „psychiczna”? – Otwiera słownik i zaczyna szukać. – Przeliteruj, proszę.

– Szalona... kuku, loco, nienormalna, chora umysłowo – odpowiadam tak niemilo, jak to tylko możliwe, ale ona nadal nie rozumie. – *Non compos mentis*... niespełna rozumu.

Wzdycha, jakbym uderzył ją w twarz, po chwili powieki opadają na zielone oczy.

– Anya Tron... Tron – warczy, uderzając się pięścią w pierś. Zaczyna wygłaszać do mnie swoją agresywną przemowę w języku aniołów, jakby mówiła mi, gdzie mogę pójść, jak zmądrzeję. Ostatecznie po kilku minutach wraca do angielskiego: – Ty zostawić mnie i mówisz „wrócić po ciebie”, to czyni cię kłamcą, a nie mnie *non compos mentis*... sza–lo–na.

Teraz oddycha ciężko, wygląda dziko i groźnie... Egzotycznie i nieprawdopodobnie pięknie. Jej czarne włosy opadają falami na plecy, a twarz rumieni się od emocji.

Człowieku, zostań na tym kursie, myślę, pospiesznie dając sobie wykład; jej niesamowity powab mi przeszkadza.

– Nie potrzebuję wybawczynie o złamanym sercu. – Wskazuję na nią.

Prostuje się natychmiast, a usta stają się coraz cieńsze i posępne.

– Tak, mam oczy... wiem, czego chcesz teraz. – Cofa się o krok ode mnie, a uczucie koników polnych skaczących w brzuchu sprawia, że chcę się do niej ponownie zbliżyć.

– Dobrze – przytakuję, czując narastające mdłości. W mojej twarzy odbija się smutna mina Anyi. – Więc wkrótce wyjeżdżasz – oznajmiam, a mój głos tonie w żalu.

– Ja decyduję, co robię.

Bez zastanowienia sięgam dłonią jej ramienia i przytrzymuję, gdyby chciała odejść.

– Wsiadasz z tej łodzi.

– Ta anielica już do ciebie nie należy – odpowiada łagodnie Anya. – Ty odrzuciłeś... ty wyrzuciłeś... ty nic nie... – Zatrzymuje się na chwilę, szukając właściwego słowa. – Ty nie dbasz o to, co robi Anya.

– Mylisz się. Dbam o to, co robisz, ponieważ jestem za ciebie odpowiedzialny tak długo, jak tu jesteś. Powinnaś wrócić do domu. – Moja dłoń zaciska się na jej ramieniu.

– Myślisz, że dużo wiesz? – pyta kpiąco. – Ty porównujesz Anyę do dziecka. Ja zatroszczę się o siebie.

– Wiem, że cię nie opuszczę, aż do twojego wyjazdu – odpowiadam groźnym tonem, mocno zbliżając do niej twarz.

– Twoje słowa są złe – mówi zmieszana. – Nie rozumiem ciebie. Ty mówisz, że ty mnie nie chcesz. Ja mówię, ja zaopiekuję się sobą... Ty chcesz, żebym ja wyjechała... Dlaczego martwisz się, czy tutaj, czy nie tutaj? Ja nie będę dla ciebie problem.

– Problemem dla mnie jest to, że cię tu widzę – wyjaśniam.

Wyciąga ramię z mojego uścisku, krzyżuje ręce na piersi i pyta:

– Dlaczego? Ja mówię ci, że opuszczę Russella, by ten mógł biegać za Evie. – Krzywi usta, jakby spróbowała czegoś niedobrego. – Nie mam domu, do którego mogę się udać – przyznaje. – Nie znam nikogo tutaj... Bardzo dużo źle rozumiem. Kosiarze oferują pomoc Anyi... Brownie jest dobra.

– Ponieważ ja nie chcę cię tutaj, więc nie możesz zostać. Brownie jest moją przyjaciółką, nie twoją – ripostuję. Muszę zacisnąć pięści, aby powstrzymać się przed przytuleniem jej, kiedy widzę zrozpaczone spojrzenie, którego nie potrafi ukryć.

– Odmówiłbyś Anyi pomocy? – pyta ze zszokowaną miną.

– Powiedziałaś, że zajmiesz się sobą. Udowodnij to – mówię, lecz gorycz w moim tonie pojawia się nie dlatego, że tak myślę, tylko dlatego, że muszę to powiedzieć. Przeciwnie, bardzo chciałbym ją utulić, lecz to nie pozwoliłoby mi jej chronić. Muszę trzymać ją z dala od Brennusa.

– Nie znam cię... Nie mój *aspire*... Kiedyś pomógłbyś Anyi... Kochałbyś

mnie... Sprawiłbyś, bym czuła się bezpieczna we własnej skórze, nie jak ta... brzydka... nieznajoma. – Anya z trudem łapie oddech.

– Porozmawiam z Zee, on ma miejsca, gdzie mogłabyś zostać, zna mnóstwo aniołów. Wszystko będzie dobrze – mówię burkliwym tonem.

– Nie! – woła Anya, a jej brwi się ściągają. – To byłoby jak korozja, która powoli mnie zjadać. Przestań mówić. Tylko ranisz. Bardzo chcesz zniszczyć. Znajdę sposób na życie bez ciebie.

– To fajnie – odpowiadam zgorzkniale, lecz moja pierś zaciska się i boli.

Przytakuje raz, potem pyta:

– Chcesz teraz spotkać się z Fedrusem?

– Co? – Nie rozumiem, o co jej chodzi.

– Ty mówisz Anya nie twoja. Ty powiesz Fedrusowi, on usunie znamię ze mnie – odpowiada blada i bardzo zmęczona.

– Co powinienem teraz zrobić? – Czuję, że coś ściska mnie w piersi tak, jakby moje serce umierało.

– Ty mówisz Anya nie *aspire*; ty musisz mnie uwolnić – mamrocze przez ściśnięte gardło.

– Naprawdę to mam teraz zrobić? – pytam i nie wiedzieć czemu czuję wściekłość, że to mówi.

– Tak, to musisz zrobić, by odzyskać Evie. Ty wypowiesz słowa i zakończysz naszą znajomość – odpowiada.

– Wiesz... trochę jestem zajęty planowaniem ataku na Gankanagów. – Nerwowo przeczesuję włosy.

Wygląda na zmieszaną i przytłoczoną. Kręci głową.

– Kiedy nadejdzie czas dla ciebie?

– Tak, kiedy będę miał czas – odpowiadam nieuprzejmie. – Dasz sobie radę. – Nie mogę się powstrzymać przed powtórzeniem tych słów, kiedy zaczyna zbliżać się do drzwi.

Zatrzymuje się, lecz się nie odwraca. Wychodzi, i dobrze, bo już i tak nie mogę wydusić z siebie ani słowa. Ścieram w pył klamkę stalowych drzwi obok grodzi. Siadam na podłodze ze spuszczoną głową, jakbym nie wiedział już, kim jestem.

Nie mam pojęcia, jak długo przesiedziałem w tym małym pomieszczeniu,

lecz gdy wstaję z podłogi, moje nogi są odrętwiałe. Powoli wracam do swojej kabiny i czuję nagle obecność Brownie i Buns przy mnie. Obie biorą mnie pod ręce, jakby eskortowały więźnia na egzekucję. Unoszę brwi, gdy zauważam, że mają na sobie stroje kąpielowe i półprzezroczyste pareo, choć o mało nie uderzamy w góry lodowe na zewnątrz. Nie za bardzo wiem, co mogę im powiedzieć o tym wszystkim, ponieważ właśnie oddałem Rudej swoją ostatnią koszulę.

– Słowo? – pyta mnie Brownie groźnym tonem, wciągając mnie do swojej kabiny i zatrzaskując drzwi.

– „Pułapka” to jest słowo. „Więzień” to kolejne – mówię, podczas gdy opierają się o drzwi, ich ramiona są skrzyżowane, a twarze jeszcze bardziej wściekłe.

– Znamy cię, Russell – szydzi Buns. – Jesteś niesamowicie rycerski...

– Aż do bólu. – To brzmi tak, jakby Brownie mnie oskarżała.

– I jesteś dupkiem dla kobiety, która ciebie potrzebuje.

– Totalnym dupkiem. – Brownie tupie stopą w czółenku.

– O co ci chodzi, kowboju? Gdzie dostałeś ten czarny kapelusz? – Buns zaciska niebieskie oczy ze złością.

– Co zrobiłem? – cedzę przez zęby.

– Przestań chrzanić jak wieśniak – ostrzega mnie Brownie. – Wiemy, jaki potrafisz być zdolny...

– Zdolny – przytakuje głową Buns.

– Musicie mi wytłumaczyć, o co wam chodzi... – Milknę na chwilę, zastanawiając się, co im powiedzieć.

– Wygląda na to, że Russell powinien spędzić trochę czasu z syrenami, Brownie – mówi Buns ze złowrogim uśmiechem.

– Albo z ondynami – syczy Brownie.

– Co chcecie wiedzieć? – wzdycham zrezygnowany.

– Zacznijmy od Evie, a później przejdziemy do Anyi – proponuje Buns. – Nigdy nie widziałam, żeby Reed i Evie się kłócili... Żeby się ze sobą nie zgadzali, owszem, ale nie żeby się kłócili.

– A kłócą się? – mówię zaskoczony, że nie sprawia mi to przyjemności.

– O tak – prycha Brownie, zawstydzając mnie, aż twarz mi płonie.

– O ciebie. Co zrobiłeś? – Buns marszczy nos, jakbym brzydko pachniał.

– Przytuliliśmy się... I ja pocałowałem ją w czubek głowy... kojąco, a nie z namiętnością. – Milknę. – Tak samo zrobiłbym wobec was, gdybyście sobie wypłakiwały oczy.

Brownie i Buns spoglądają na siebie i tracą odrobinę ze swojej buńczuczności.

– Och – mruży Buns obniżonym tonem.

– Mogę już iść? – Czuję się, jakbym wygrał bitwę, lecz wiem, że nadal czeka mnie wojna, której nie mogę uniknąć.

– A Anya? – wypala Brownie, powodując, że zamykam na chwilę oczy. Znalazła ranę i zaczęła ją rozdrapywać. – No, dalej – żąda.

– Ona musi odejść i wy też – oznajmiam autorytatywnym tonem.

– Jak to: musi odejść? Jest twoją *aspire* – atakuje Brownie. – Sama zbadalam ten znak więzi. To twoje skrzydła...

– Bez wątpienia – kończy Buns.

– I co z tego? – pytam zdenerwowany. – Wcale jej nie znam; wcale!

– Więc ją poznasz – wyjaśnia cierpliwie Brownie, jakbym był opóźniony umysłowo.

– Teraz? Czy to musi być teraz? – pytam, nerwowo przeczesując dłonią włosy. – Czy to nie może poczekać, aż zabijemy Brennusa? Aż pozbędziemy się tych wszystkich złych gnojków, którzy nas atakują?

– Prawdopodobnie zawsze będą jakieś złe gnojki, które będą was atakować – zauważa Brownie.

– W pewnym sensie wabicie je do siebie i to leży w waszej naturze – zgadza się Buns.

– Chodzi o Brennusa. Nie chciałby niczego więcej, tylko zbliżyć się do Anyi. I jeśliby jej dotknął... – urywam.

– Stałaby się jego sługą – kończy Brownie, a ja patrzę na nią ze złością.

– Jego *sclábhaí* – mrużę, używając Brennusowego określenia niewolnika.

– No i masz biały kapelusz! – mówi podekscytowana Buns, szturchając łokciem Brownie.

– Wiedziałam! – zgadza się Brownie z błyskiem w oczach. – Więc kazałeś jej odejść. Powiedziałaś, że jej nie chcesz, aby nie była w niebezpieczeństwie.

- To bardzo staroświeckie, Russell. – Srogi ton Buns wraca.
- Zapadłe Ciemne Wieki... – A potem mówi w języku aniołów coś, czego nie rozumiem.
- Tak, bardzo – rzuca Buns i dalej syczy coś po anielsku, przytakując głową.
- Fajnie, ja... – Próbuję coś powiedzieć, ale mi się nie udaje; widzę, jak obie uśmiechają się szeroko. – Mogę już iść?
- Nie. – Buns marszczy brwi.
- Nie ma szans – potwierdza Brownie.
- Dlaczego nie? – wzdycham.
- Właśnie narobiłeś niezłego bałaganu – wyjaśnia Buns.
- Olbrzymiego bałaganu – podkreśla Brownie.
- Nie odrzuca się Trona – ostrzega Buns.
- Ee... czy ci odbiło? – pyta mnie Brownie niedowierzająco, uśmiechając się jednak.
- Nie... To dobry plan. Każę jej odejść, pozbawię jej jakiegokolwiek szansy pojednania i będzie bezpieczna – wyjaśniam, obserwując, jak ich twarze pochmurnieją.
- Okropny plan – stwierdza Brownie.
- Najgorszy – zgadza się Buns.
- Dlaczego? – pytam sfrustrowany, a moje brwi się ściągają.
- Tron – mówią jednocześnie.
- Więc? – mruczę i widzę, jak zerkają na mnie z niedowierzaniem. – Wy wszyscy jesteście aniołami. Czym może się ona różnić od was?
- Obie fukają jednocześnie.
- One dokonują karmy, Russell – mówi Buns ze współczuciem.
- Wszystko dla nich jest kręgiem – włącza się Brownie. – Całą tę ideę „jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz” traktują osobiście.
- Bardzo osobiście – zgadza się Buns.
- To ty sprawiłeś, że jest osobista – ciągnie dalej Brownie.
- O czym wy mówicie? – pytam zmęczony.
- Ignorujesz ją, a ona odpłaci ci dziesięciokrotnie.



– Co?

– Mówisz jej „odejź”, a ona może odejść tak daleko, że już jej nigdy więcej nie zobaczysz – wyjaśnia Brownie.

Nieoczekiwany ból ściska mnie w piersi.

– Albo może być blisko ciebie i nie pozwolić się dotknąć – dodaje Buns.

– Albo może wysiąść z tej łodzi i odejść, zanim Gankanagowie zdołają ją dotknąć – argumentuję natychmiast.

– Och, prawie mi go żal – zwraca się Buns do Brownie.

– No, fakt... – zgadza się Brownie. – Potrzebujesz naszej pomocy.

– Desperacko – oznajmia Buns, bawiąc się włosami jak niegrzeczna młodsza siostra.

– Ach, żartujecie sobie. – Wzdycham, machając na nie ręką. – Jakiś czas z nią byłem, wiem co nieco i nie chcę jej tutaj.

– Okay – mówi Buns.

– Cudownie – przytakuje Brownie.

– Uwielbiam fajerwerki. – Buns odsuwa się i otwiera dla mnie drzwi od kabiny.

– Takie duże, głośne i z mnóstwem ognia – cieszy się Brownie.

– Wiesz, takie ze wszystkimi kolorami tęczy. Hej, to teraz Anya w pewnym sensie jest singielką? – pyta prześmiewczo Buns.

– Wierzę, że masz rację, Buns – zgadza się Brownie.

– Kiedy usuniesz swoje znamię z Anyi, Russell?

– Czy nie możemy zająć się formalnościami po bitwie z Gankanagami? – bełkoczę.

– Dlaczego mamy czekać?

– Bo nie mam teraz do tego głowy – wypluwam z siebie ze złością.

– Oj, chyba coś do niej czujesz – sugeruje Buns.

– Sam nie wiem, co czuję – odpowiadam. – Myśl o tym, żeby pozostała, sprawia mi ból, a myśl, żeby odeszła, czyni mnie... zagubionym.

– Brzemie miłości... – szepcze Brownie, spoglądając na mnie tak samo jak wtedy, kiedy byliśmy zamknięci w piwnicy kościoła zła. Powiedziała mi, że chce żyć, ponieważ nigdy nie była zakochana. – Musisz wiedzieć na pewno, że

jej nie kochasz, dopiero wtedy możesz pozwolić jej odejść, Russell. Nie możesz tak po prostu kazać Fedrusowi usunąć więź między wami, nie, jeśli nie wiesz, co naprawdę was łączy. A ona zasługuje na uczciwe wyjaśnienie, dlaczego chcesz, by teraz odeszła.

– Ponieważ nie możesz jej do niczego zmusić... Jest niezależną anieliwą – wyjaśnia Buns.

Patrzę na nie ze złością.

– Ale jeśli będę uczciwy, a ona zdecyduje się zostać, to nie będę miał szansy przekonać jej, żeby odeszła.

– Uparty. – Buns kręci głową.

– Psychol – potwierdza Brownie śpiewnym głosem.

– A wy nie puście pary z gęby na temat tej rozmowy. Nie chcę, byście wypaplały to Anyi. – Mrużę groźnie oczy.

Buns wzdycha.

– Russell! My jesteśmy książkowym przykładem dyskrecji.

– Jesteśmy Kosiarczami! – dodaje Brownie, jakby to wszystko tłumaczyło.

– Tak, więc... Dobrze. – Przechodzę obok nich na korytarz.

Buns wystawia głowę z kabiny.

– Będziemy się za ciebie modlić!

– Będziesz tego potrzebował – woła współczująco Brownie.

– Nadal możemy ci pomóc. Przyjdź na naszą plażową imprezę... Jest jutro... na lewej burcie przy boisku do koszykówki – krzyczy za mną Buns.

Kręcę głową tak, jakby to one potrzebowały modlitwy, a nie ja.

## *Rozdział 15*

### *Nie odchodź*

– Aniołowie Mocy nie wiedzą, co zrobić z Anyą – mówi Zefir, zatrzymując się obok mnie przy tablicy do koszykówki. Musiał przyłapać mnie na tym, jak obserwuję Anyę stojącą razem z Brownie i Buns przy stole z napojami oddalonym o dwie długości boiska do koszykówki.

Ten statek jest wyposażony jak luksusowy liniowiec, lecz o możliwościach okrętu wojennego. Z tego, co mi powiedziano, rzadko zawija do portu, ale jest obsługiwany cyklicznie przez statki towarzyszące, zorganizowane i utrzymywane przez aniołów Mocy.

– Co przez to rozumiesz? – pytam Zefira; widzę, że Buns dopadła go i zmusiła, by założył spodenki kąpielowe i klapki na plażową imprezę. Ja też nie miałem co na siebie włożyć, więc skorzystałem z tego, co dała mi Brownie, czyli z kąpielówek.

– Ona jest Tronem. Ma wyższą rangę niż aniołowie Mocy, ale złamała zasady, więc nie mówi się o niej – odpowiada Zefir.

– A zatem będą trzymać się od niej z dala? – Czuję się lepiej, niż powinienem w tej sytuacji. Moje oczy wędrują do jej długich ciemnych włosów, opadających na naprawdę seksowną górę od bikini i owijaną spódnicę, którą założyła na ten wieczór. Wygląda absolutnie oszałamiająco z elegancko rozłożonymi czarnymi skrzydłami.

– Aniołowie Mocy mogą trzymać się z daleka, ale zdaje się, że mocno zaintrygowała Serafinów – odpowiada Zefir.

Obaj obserwujemy, jak Cole podchodzi do naszych dziewczyn i je zagaduje. Każdy tutaj mówi w języku aniołów, co bardzo mnie irytuje. Wprawdzie bardzo pilnie uczę się tego języka, ale czuję się jak karaluch próbujący mówić po angielsku.

– Nienawidzę tego gościa – mamrocze cicho, lecz Zefir nadal mnie słyszy.

– Jest denerwujący – zgadza się, widząc, jak Cole dotyka naszyjnika

z kwiatów na szyi Buns.

– Czemu on się kręci blisko nas? – Zmieniam pozycję, aby lepiej obserwować Cole’a.

– To nie o nas chodzi... O nie... – Zefir wskazuje głową na dziewczyny. – Nasze anielice Kosiarze są fascynujące, pociągające...

– Sexy – dodaję.

– To też. A Anya jest dzielna i kusząca... – Milknie, kiedy instynktownie warczę na niego. Zefir próbuje ukryć uśmiech i dodaje: – Ja już znalazłem dla siebie anielicę.

– Przepraszam. Nie chciałem tego zrobić... To tak samo wyszło ze mnie... – zaczynam.

– Wiem, instynkt. Ona zdecydowanie jest twoją *aspire*. Musisz z nią porozmawiać, Russell. Naraziła się na niebezpieczeństwo, aby tu przybyć.

– Myślisz, że o tym nie wiem? – prychem sfrustrowany. – Doskonale zdaję sobie sprawę, że jest narażona na atak tutaj. Nie będzie miała drugiej szansy, Zee! Jeśli ja umrę, moja dusza i tak wróci do Raju. Wy wszyscy po prostu... – Milknę, nie potrafię wyrazić słowami tego, co czuję na myśl, że któremuś z nich mogłaby się stać krzywda.

– Warto ryzykować nasze życie – odpowiada spokojnie Zefir.

– Czyżby? – reaguję natychmiast.

– Widziałeś Brennusa. Powiedz mi, czy lepiej ignorować jego zło.

– Nie planuję go ignorować – odpowiadam niskim tonem. – Ja tylko nie uważam, że wszyscy musicie jechać z nami do Irlandii. Buns i Brownie powinny zabrać Anyę w inne miejsce.

– Sam chcesz je o tym poinformować? – Zefir zerka na gawędzące dziewczyny.

– Gdybyś ty to zrobił, mogłyby usłuchać... – Szukam jego pomocy.

– I w ciągu kilku następnych sekund mógłbym zostać przywołany do Raju... – Po chwili spogląda w sufit. – Nie. Nic z tego.

– O, nauczyłeś się sarkazmu, Zee – zauważam markotnie.

– Musiałem się nauczyć, kiedy zacząłem zadawać się z półludźmi – odpowiada łagodnie.

– To tak, jakbyś przestał być aniołem twojego rodzaju – odpowiadam

skwaszony, a jego uśmiech się rozszerza.

– Walczyliśmy z nimi w Irlandii. – Zefir wspomina czas, kiedy Evie była w Irlandii z Gankanagami, a my nękaliśmy ich, szukając sposobu, by ją uratować.

– Wiem, ale tym razem czuję to inaczej. To jest poza naszą kontrolą. – Próbuję sprawdzić, czy rozumie, co mam na myśli. Teraz Serafiny rozdają karty.

– Tak, to jest problem – przyznaje Zefir.

Spoglądam przez boiska: Cole nachyla się do Anyi i szepcze jej coś do ucha. Kolejny niski pomruk wydobywa się z mojego gardła; mrużę oczy, a w moim mózgu analizowane są wszystkie możliwe zabójcze scenariusze.

Zefir chwyta mnie za ramię.

– Będiesz żywił się czystymi emocjami, jeśli chodzi o Anyę... jak każdy inny, kto jest świeżo związany.

– Skąd ta pewność, że ona jest moją *aspire*? – odcinam się, warcząc.

– Wystarczy tylko na ciebie spojrzeć, żeby to wiedzieć. – Lodowobłękite oczy Zefira wpatrują się w moje. – Jeśli masz na celu zmusić ją do odejścia, to zupełnie ci się to nie uda, jeśli pokażesz, że jesteś o nią zazdrosny.

– Mogę go pokonać – oznajmiam, zaciskając pięści.

– W to nie wątpię, przecież sam cię trenowałem – odpowiada Zefir z autentycznym uśmiechem.

– Nie, myślę, że sprowokuję bójkę. – Próbuję uwolnić się od Zefira.

– Russell, to nie jest obojętność – mówi pełnym determinacji tonem.

– Obojętność nigdy nie była bronią w moim arsenale. – Biorę głęboki wdech, żeby się trochę uspokoić.

– To nie ja wymyśliłem ten plan. Ja ledwie staram się pomóc ci go wykonać, jeśli uważasz, że tak powinieneś postąpić – mówi Zefir, jakby był moim prawdziwym skrzydłowym.

– Dobra, okay – warczę i delikatnie zdejmuję jego dłoń ze swojego ramienia. – Może w takim razie powinienem wrócić do kabiny – dodaję, poszukując najbliższego wyjścia. Właśnie wtedy widzę nadchodzącą Evie.

Ubrana na imprezę w białą górę od bikini, Ruda nerwowo gładzi dłońmi dopasowaną owijaną spódnicę. Luźne kasztanowe włosy opadają jej na plecy między karmazynowymi skrzydłami, a biały, egzotyczny kwiat wystaje kusząco

zza ucha. Przeszukując wzrokiem pomieszczenie, nerwowo bawi się drewnianymi koralikami zawieszonymi na szyi.

– Evie jest tutaj – mówię Zefirowi.

– Tak, i ma eskortę – odpowiada.

Moje oczy zwężają się na widok Xaviera podążającego za Rudą. Jest nawet większy i szerszy bez zbroi, a moje skrzydła przy jego potężnych karmazynowych wydają się małe. Ma na sobie spodenki kąpielowe i drewniany naszyjnik z zębem rekina. Zastanawiam się przez chwilę, co kombinuje.

Xavier nachyla się blisko policzka Rudej i szepcze coś do jej ucha, wskazując na parkiet. Ona marszczy nos i mówi do niego: „nie”, co powoduje pojawienie się uśmiechu w kącikach jego ust.

Rozglądając się ponownie, Evie zauważa Buns i Brownie, lecz ignoruje je i nadal przepatruje pomieszczenie, aż w końcu jej wzrok spoczywa na Zee i na mnie. Chwilę później stoi u mojego boku z ręką na ramieniu Zefira.

– Zee – zaczyna głosem pełnym obaw. – Musisz mu powiedzieć, że jestem w pełni zdolna, by z nim pójść... Jestem teraz strasznym potworem, wiesz... widziałeś mnie...

– A dokąd idzie Reed? – pyta Zefir, bo podobnie jak ja zna jej sposób bycia i wie, że o nikim innym nie mogłaby mówić, tylko o Reedzie.

– Zgłosił się na ochotnika, że uda się przed statkiem z informacją od Dominium do posiadłości Brennusa. Oni mają zabezpieczyć pozycje i zlikwidować jakiegokolwiek nieprzewidziane trudności. To niebezpieczne; on nie wyczuwa zapachu magii, w przeciwieństwie do mnie, ale oni mi nie pozwolą iść... – Evie wylewa z siebie potok słów w takim tempie, w jakim może to robić tylko kobieta.

– Kto nie pozwoli ci iść?

– Ten idiota Serafin, Preben, i jego głupi anioł Mocy z Dominium... Reed – odpowiada bezpośrednio, zaciskając zęby, kiedy Xavier chichocze za nią. – Czy moglibyście powiedzieć Xavierowi, że powinien przestać się śmiać, jeśli nie chce stać się albatrosem? – Mamroczę, co rozśmiesza go jeszcze bardziej.

– Ja pójdę – zgłaszam się, ignorując Xaviera i koncentrując się na Rudej.

– Dzięki, Russell, ale myślę, że Zee zdoła przekonać Reeda, by pozwolił mi sobie towarzyszyć... On nadal jest trochę cięty przez tę aferę z ciasteczkami Twinkies... – odpowiada Ruda, zanim jej przerywam.

– Nie, chodzi o to, że ja udam się do matni Brennusa. Ja wyczuwam zapach magii może nawet lepiej niż ty, a poza tym jemu nie zależy na mnie tak bardzo jak na tobie – wyjaśniam.

– Nie! – Zasłania mi usta dłońmi. – Musisz tu zostać.

– Dlaczego? – Mrużę oczy.

– Ponieważ zostałeś ugryziony zbyt wiele razy, by to nie miało na ciebie wpływu. Czary Brennusa to nie są żarty... Może mieć nad tobą kontrolę...

– Nie, nie może – wcinam się jej w słowo. – Próbowałem zmusić mnie, bym zabił Anyę, kiedy byliśmy w klubie, ale ja tego nie zrobiłem, prawda? – pytam retorycznie.

– Jego tam nie było – argumentuje. – To był tylko hologram. Co się stanie, kiedy znajdzie się z tobą w tym samym pomieszczeniu i użyje magii?

– To wtedy będzie wojna na słowa, a ja pracuję nad kilkoma zaklęciami – odpowiadam.

– Jesteś śmieszny. Zee, powiedz mu, że jest śmieszny. – Evie odwraca się do Zee z frustracją w spojrzeniu.

– Zlokalizujemy twoją zbroję, musimy przygotować się przed misją – mówi do mnie Zefir ponad głową Evie.

– Co?! – wrzeszczy Ruda.

Uśmiech pojawia się na twarzy Zefira.

– Ja pójdę i będę chronił ich obu. – Zee całuje Evie w czoło. – Nie ma potrzeby się martwić.

– Idę z wami! – nalega, zaciskając pięści.

– Ty zostaniesz na tym statku – mówi groźnym głosem Xavier za jej plecami, co mnie zaskakuje i jednocześnie irytuje.

– Przypomnij mi: kim jest ten gość? – kpię, zwracając się do Rudej.

– Jestem jej cieniem – wcina się Xavier, odpowiadając na moje pytanie z kamienną twarzą, ani trochę niewzruszony moimi słowami.

– Ona już ma swój cień i on nie wygląda tak jak ty – odpowiadam, stając tuż przed nim.

– A ty masz swoją *aspire*, która bardzo długo na ciebie czeka. Może już czas zacząć być jej cieniem – odcina się bezczelnie.

– Ach, nie! Nie waż się tego mówić. – Zaciskam zęby i staję oko w oko

z Xavierem.

– Ale to zrobiłem – odpowiada ze spokojną gracją, która jest znakiem rozpoznawczym Serafinów. – Kiedyś powiedziałeś, że widzisz wieczność w oczach Anyi, ale uwierz mi, że byłaby zadowolona, gdybyś po prostu widział ich zieleń.

– Co? – Czuję, jakby właśnie walnął mnie w podbrzusze.

– To, co słyszałeś. Bardzo mało wiesz, więc nie wtrącaj się w to, jak mamy chronić Evie – odpowiada z całkowitą pewnością, że on tu rządzi.

– Może nie wiem za dużo, ale z pewnością to nie ja zostawiłem ją samą, aby się broniła, w ogóle nie wiedząc, kim jest i skąd pochodzi – argumentuję, odzyskując trochę kontroli, której mnie pozbawił.

– Co za szkoda, że wiesz dużo mniej niż to... Ty nic nie wiesz – odbija piłeczkę.

– Jeśli planujesz iść razem z kontyngentem z Dominium, to lepiej się pośpiesz. Oni nie są jak Anya i nie będą na ciebie czekać.

Nadal analizując sposoby, jak mu przywalić, czuję małe płatki śniegu – opadają na moje ramiona i twarz i topią się na mojej skórze, muskając ją jak delikatne pocałunki. Z drugiej strony Xavier jest pokryty dużymi, grubymi kawałami mokrego śniegu, które Evie stworzyła jednym ruchem ręki.

Xavier odwraca się w stronę Evie stojącej ze skrzyżowanymi ramionami na piersi i zerkającej na niego ze złością.

– Evie! – Z uśmiechem pędzi ku niej, unosi ją w powietrzu w niedźwiedzim uścisku, a jego blond włosy falują energicznie. Duże kawały topniejącego śniegu opadają na jej jedwabistą skórę.

Przez chwilę czuję, jakbym oglądał dwoje anielskich kochanków zajętych pewną formą młodzieńczego flirtu. Xavier ociera swój zimny, mokry policzek o jej policzek, a ona pośpiesznie łapie powietrze i impulsywnie chichocze kobieco, gdy czuje to połączenie lodowatej wody i dotyku męskiej skóry.

– Xavier, przestań! – woła. – Odstaw mnie!

– Ty przestań pierwsza. – Spogląda w górę na ciągle padający na nich śnieg.

– Dobrze. – Jednym ruchem nadgarstka sprawia, że śnieg przestaje padać.

Prawdę mówiąc, zwariowałem po tym, co zobaczyłem, i to wrażenie we mnie zostało. Zerkam na Zee i widzę, że to też prawie go powaliło.



- Jak długo się znacie? – pyta spokojnym głosem.
- Od liceum. – Evie pochmurnieje i uderza w dłoń Xaviera, kiedy nie chce jej uwolnić zaraz potem, jak postawił ją na ziemi.
- A ty jak długo znasz Evie? – Zee kieruje wzrok na Xaviera.
- Trochę dłużej – odpowiada, już się nie uśmiechając.
- O ile dłużej?
- Dłużej – odparowuje błyskawicznie z pozbawionym ekspresji spojrzeniem.
- Russell... – Zefir zwraca się do mnie, lecz nie spuszcza wzroku z Xaviera.
- Powinniśmy przygotować się do podróży.
- Tak... Okay – potwierdzam cicho i zerkam na Evie. – Będzie dobrze, Ruda. Upewnię się, żeby nie ominęło ich nic brzydkiego.
- Przytula nas, jakbyśmy nigdy więcej mieli się nie zobaczyć.
- Zabierzcie mnie ze sobą – prosi, a siła, z jaką nas przytrzymuje, odzwierciedla jej narastającą desperację i potęgujący się strach.
- Wrócimy do ciebie – zapewnia Zefir łagodnie.
- Oczywiście, że wrócimy. Nie jesteśmy jakieś śmieci. – Spoglądam na Xaviera, który patrzy na mnie ze złością. No i gdzie podziała się twoja kamienna twarz, myślę, uśmiechając się delikatnie.
- Jeśli pozwolicie mi iść ze sobą, to będę mogła wam pokazać, gdzie ustawili kamery bezpieczeństwa... wyjaśnić, jak oni działają, ilu jest ich na zmianie... – Dalej próbuje przekonać nas, byśmy ją zabrali.
- Zefir jest aniołem Mocy rangi Prostat, Evie. – Xavier używa anielskiego określenia, którego nigdy wcześniej nie słyszałem. – Tylko kilku aniołów osiągnęło jego poziom doskonałości. Gankanagowie nigdy nie usłyszą jego nadejścia, jeśli tam będą oczywiście.
- Xavier, ja wiem, że Zee jest bezwzględnym zabójcą. Sam mnie trenował – zauważyła Evie i puszcza nas.
- To ty byłaś trenowana? – pyta śmiertelnie poważnym tonem.
- Tak.
- Kiedy?
- Co kiedy? – Patrzy na niego zdziwiona.
- Kiedy byłaś trenowana? Przed przemianą czy po niej?

– Och... To trudny temat dla mnie – odpowiada wymijająco.

Spoglądając ponad jej głowę, Xavier pyta Zefira:

– Kiedy była trenowana?

– Zaczęliśmy podczas ostatniej części jej przemiany w anioła – odpowiada Zefir spokojnie i nawet nie drgnie, kiedy brwi Xaviera łączą się i niski pomruk dobywa się z jego gardła.

Ruda i ja przyjmujemy postawy obronne przed Zee, na wypadek gdyby Xavier zdecydował się go zaatakować. Całe pomieszczenie milknie; uwaga wszystkich kieruje się na nas.

– Interesujące – mruczy pod nosem Xavier, pozostając nadal wzorem opanowania.

– Doskonała uczennica. Zacięła mnie tutaj raz – oznajmia dumnie Zefir, unosząc nadgarstek i wskazując na to miejsce.

– Chciałbym być tego świadkiem – odpowiada Xavier rozbawionym głosem.

– Nie, nie chciałbyś. – Patrzę na niego gniewnie. – Ponieważ zaraz go uleczyła i musieliśmy się przyglądać, jak jej ciało otwiera się, a ona cała krwawi, zanim Reed ją oczyścił. – Wyraz twarzy Xaviera staje się ponury. – Ach, ty nie wiedziałeś, że zrobiłaby coś takiego, prawda? Zadała sobie ból, by ratować swoich przyjaciół. A to cała ona. Nigdy nikogo nie opuści. Chodź, Zee, musimy złapać lot do miasteczka horroru i upewnić się, że nie będzie żadnego złego palanta, kiedy Evie tam przybędzie.

– A ja? – woła Evie za nami.

– A ty baw się dobrze na imprezie – odpowiadam.

Zee i ja opuszczamy boisko i przechodzimy przez kilka korytarzy. Dopiero wtedy pytam:

– Co o tym sądzisz?

Spogląda na mnie:

– Ona go zna.

– Też to zauważyłeś. – Długo i głośno wypuszczam powietrze z płuc.

– Ona nie wie, że go zna – dodaje. – Ale to nic w porównaniu z tym, jak dobrze on ją zna. Ma to spojrzenie.

– Spojrzenie?

– Pewnie Buns lepiej by ci to wytłumaczyła niż ja, ale spróbuję. Kiedy dusza

przybywa do Raju po życiu spędzonym na ziemi, czasami tęskni za bratnią duszą, która została.

– I on ma takie spojrzenie? – pytam.

– Nie... On ma to spojrzenie – odpowiada Zefir ze smutkiem.

– To spojrzenie? – Unoszę brwi.

– Spojrzenie tamtej duszy, kiedy ponownie łączy się ze swoją bratnią duszą – odpowiada poważnie.

– Nie, mylisz się! – wyrzucam z siebie i po chwili zatrzymuję się w połowie wąskiego korytarza. – Jak to możliwe, kiedy to ja jestem jej bratnią duszą? – Wskazuję palcem swoją pierś.

– Nie wiem, Russell – przyznaje prosto z mostu. – On jest aniołem i nawet nie ma duszy. Mówię ci tylko to, co widziałem.

Idę obok Zee, lecz tym razem odrobinę wolniej.

– Dlaczego Serafiny nie spotkały się z nami... Nie powiedziały nam, co się dzieje, gdzie były i co robiły? – pytam. – Dobrze by było znać ich plan gry, zamiast być zmuszonym do reagowania, kiedy wszystko dookoła wybucha.

– Musimy zacząć przeprowadzać własny zwiad, zanim staniemy się zbędni – stwierdza Zefir. – To jest to, co robi Reed. Próbuje zbliżyć się do nich... do Tau.

– Ja niestety mam znaczną trudność, Zee. – Myślę o tym, co właśnie powiedział. – Nie mówię w języku aniołów.

– Russell, ty masz u nich swojego człowieka – zauważa cicho Zee. Kiedy na niego spoglądam, dodaje: – Anyę.

– Wykluczone – pry cham. – Nie wykorzystam jej do niczego.

– Ona może wiedzieć tyle samo co oni, albo nawet więcej – tłumaczy. – Prawdopodobnie wie, co zdarzyło się między tobą a Evie, czy pomyślałeś o tym?

– Oczywiście, pomyślałem o tym! Prawie tylko o tym myślę, ale moja żądza wiedzy nie jest tak silna, jak potrzeba, by ją stąd zabrać – odpowiadam defensywnie.

Skręcając za rogiem w korytarz prowadzący do mojego pokoju, zastaję Reeda – stoi przed drzwiami. Jest już w pełnej czarnej zbroi bojowej... Kiwa głową Zefirowi i mnie, gdy się do niego zbliżamy.

– Zamówiłem zbroje dla was obu, na wypadek gdybyście chcieli się do nas

przyłączyć. – Reed wskazuje na mój pokój.

Otwieram drzwi i widzę zbroję w szafie.

– Ach, ponownie zbierasz swoją bandę. Spójrz, Zee, mamy nowe mundury. – Szczęczę się do Reeda, a ten uśmiecha się niedbale.

– Szkoda, że nie mogę zaoferować wam niczego lepszego, ale to jest podobna akcja jak ostatnio – odpowiada, wzruszając ramionami. Gestem zapraszam Reeda i Zefira, aby weszli, i zamykam za nimi drzwi.

– Jestem zdołowany... Będzie goręcej niż na tej plażowej imprezie, na której przed chwilą byliśmy – rzucam od niechcienia.

– Źle? – pyta Reed.

– Jeśli przez „źle” rozumiesz „dobrze”, to nie. Aniołowie Mocy to strasznie powolni gracze, bez obrazy. – Obdarowuję go szerokim uśmiechem za oszczerstwo, które rzuciłem pod jego adresem.

– Papierowi gangsterzy? – pyta z humorem Reed.

– Coś takiego. Z drugiej strony aniołowie Mocy o randze Prostat... – Zawieszam tę uwagę w powietrzu pomiędzy nami, dając mu do zrozumienia, że należy do elity.

– Mają chory styl – wtrąca się Zefir, pokazując, że Buns miała wpływ na jego język.

– Zdecydowanie tak – zgadzam się. – Więc jak ci idzie? – pytam Reeda, wyciągając czarną zbroję i sprawdzając, czy na mnie pasuje.

– Idziemy pierwsi. Zakradamy się niepostrzeżenie, szukamy punktów zapalnych, kieszeni wypełnionych magią, śmiertelnych zaklęć wymierzonych w półanioły... – Spogląda prosto na mnie.

– Nie zapomnij o portalach – dodaje.

– Te mogą być twoim specjalnym zadaniem, Russell. – Reed uśmiecha się do mnie i dodaje: – Masz do nich nosa.

– Nieważne. Po prostu zazdrościsz mi mojego nowego anielskiego powonienia... Dużo było zabawy z moim starym... – Milknę, kiedy koniki polne zaczynają skakać w moim brzuchu i słyszę, jak sąsiednie drzwi otwierają się i zamykają. To może oznaczać tylko jedno: że Anya właśnie weszła do swojej kabiny.

Reed rzuca okiem na zegarek.

– Dobra, spotkamy się na pokładzie, kiedy będziesz gotowy, wkrótce trzeba wyruszać.

– Dołączę do was za chwilę – mówię, kiedy Reed i Zee wychodzą na korytarz.

Reed się odwraca.

– Russell... W tej sprawie... z tobą i Evie... Przesadziłem... ja...

– Reed, wszystko w porządku – odpowiadam. – Nie potrafię tego wyjaśnić, ale naprawdę przynajmniej raz się tym nie przejmuję.

Na jego wargach pojawia się szyderczy uśmiech.

– Te koniki polne nadal ci przeszkadzają? – pyta.

– Jeszcze jak... – odpowiadam.

– Powiesz mi, kiedy będziesz chciał o nich pogadać?

– Tak, powiem. – Zamykam drzwi.

Pospiesznie przebieram się w zbroję. Wychodzę na korytarz; obok mnie kroczy Anya. Moje skrzydła rozwijają się natychmiast, kiedy widzę obcisłą czarną zbroję, pokrywającą jej niebezpiecznie pociągające kształty. Bardziej wygląda jak dominatrix niż jak żołnierz, z włosami spiętymi w gruby kucyk i złotym łukiem na ramieniu.

Bez zastanowienia nad tym, co robię, staję tuż przed nią, blokując jej drogę na pokład.

– Ach, nie! – odzywam się z ponurym grymasem na twarzy. – A ty dokąd?

Nie odpowiada, tylko próbuje mnie ominąć. Chwytam jej ramiona, aby zatrzymać ją przed sobą. Mruży oczy, gdy unosi swój anielski głos w frustracji. Słodką muzyka płynie z jej ust, kiedy dźga powietrze palcem, tuż obok mojej twarzy.

– Tak, tak, tak... prawdopodobnie jestem tym wszystkim albo jeszcze gorzej – zgadzam się ponuro. – Ale nawet przez chwilę nie myśl, że pozwolę ci zejść z tego statku, więc lepiej teraz zrób w tył zwrot do swojej kabiny.

– Opuść statek! Zostań na statku! – krzyczy Anya, gwałtownie gestykułując.  
– Ty jesteś *non compos mentis*, Russell. Nie możesz się zdecydować, czego chcesz.

– Nie próbuj odwracać kota ogonem – odpowiadam równie zapalczywie. – Chcę, byś udała się gdzie indziej... Nie do tego samego miejsca, gdzie ja idę.

– Skąd miałam wiedzieć, że ty też się zgłosiłeś na tę misję? Nie mówisz mi o swoich planach. Nie posiadam magicznej mocy czytania w twoich myślach!

– Tak? Założę się, że możesz powiedzieć, o czym teraz myślę – odpowiadam ze złością.

– Już nie dbam o to, co myślisz – odpowiada. – Zgłosiłam się na tę misję i idę. – Próbuje mnie ominąć, lecz zagradzam jej drogę.

– Anyu – warczę, gdy próbuje precyzyjnie się obok mnie z drugiej strony. – Zostajesz tutaj aż do mojego powrotu – rozkazuję, unoszę ją i zarzucam na ramię. Niosę seksowną anielicę w dół korytarza i opuszczam pośpiesznie na moje łóżko.

– Russell! – piszczy na mnie zbyt zła, żeby wydzierać się w języku aniołów.

– Pogadamy o tym później. – Tyłem wycofuję się z kajuty.

Zamykam drzwi i wypowiadam zakłęcie, pieczętując je mocno na następną godzinę lub dłużej. Uśmiecham się, słysząc, jak Anya próbuje sforsować drzwi, które stawiają jej opór, odwracam się i biegnę na pokład statku.

Śmigłowce podobne do wojskowych z zaawansowaną bronią owiewają pokład rozgrzewającymi się silnikami wirników. Zauważam Zee – już siedzi w jednym z nich; biegnę do niego i siadam obok.

– To nie lecimy na skrzydłach? – pytam.

Wzrusza ramionami.

– Dzięki temu dużo szybciej znajdziemy się w pobliżu zamku. To jest też mniej męczące. Wskoczmy wcześniej, aby nas nie usłyszeli. Już myślałem, że się spóźnisz – komentuje, siedząc obok mnie i przekrzykując odgłos silników.

– Napotkałem pewną komplikację – wrzeszczę, ale uśmiecham się na wspomnienie ciała Anyi przylegającego do mnie. Koniki polne nadal dziko szaleją wewnątrz mnie.

– Myślę, że twoja komplikacja poszła za tobą – odpowiada Zefir, przekrzykując warkot wirników.

Anya przebiega przez statek i wchodzi do naszego śmigłowca.

Gdy mnie mijają, małe kawałki drewna i włókna szklanego opadają z jej zbroi, co wskazuje na to, że Anya, nie mogąc wyłamać drzwi, przebiła się przez ścianę. Siedząc blisko mnie, delikatnie gładzi swoje włosy jak kotka, przebiegle unosi brwi, kiedy patrzę na nią ze złością. Gdy udaje mi się oderwać od niej wzrok, usilnie próbuję kontrolować swoje sprzeczne emocje, które są wywołane

obecnością Anyi. Po prostu nie wiem, czy chcę nią teraz potrząsnąć, czy też ją pocałować, a może jedno i drugie.

Przez otwarte wejście widzę Reeda – stoi wśród Serafinów na pokładzie statku. Kiwa głową, kiedy Tau kładzie dłoń na jego ramieniu na znak szacunku. Kiedy Tau cofa dłoń, Reed kieruje się do głównych drzwi. Spoglądam dalej w tamtą stronę i widzę Rudą, jak stoi przy wejściu z ramionami skrzyżowanymi na piersi, a wiatr targa jej włosy. Reed podchodzi, unosi ją i całuje tak, jakby nie miał zamiaru przestać.

Marszczę brwi, nie dlatego, że jestem zazdrosny – wiem, że jestem, ale w jakiś sposób ta zazdrość osłabła... jest inna. Spoglądam na Anyę, która już nie patrzy się na mnie, tylko na morze. Po kilku chwilach Reed pojawia się na siedzeniu naprzeciwko mnie i śmigłowiec opuszcza pokład.

Kiedy Anya nieprzerwanie gapi się na morze, moje oczy przyglądają się delikatnemu łukowi jej szyi. Ciekaw jestem, o czym teraz ta anielica myśli i co by było, gdybym ją teraz pocałował, o czym marzę za każdym razem, kiedy zamykam oczy.

## Rozdział 16

### Wieczna miłość

EVIE

Zimne, drobne krople deszczu opadają delikatnie na moje policzki, gdy wychodzę z ciemnego wnętrza statku na szare, zachmurzone niebo nad głównym pokładem. Otulam się ciemnym marynarskim płaszczem, a wiatr unosi rude kosmyki moich włosów. Powoli podchodzę do barierki oddzielającej mnie od otwartego morza...

Pomimo tego, że wstępne raporty od Reeda i jego zespołu były dobre, to i tak brakowało mi tchu, gdy je czytałam w wygodnym centrum dowodzenia Serafinów. Nie byłam w stanie usiedzieć spokojnie i myśleć logicznie, wyobrażając sobie, jak Reed, Russell i Zefir przeszukują mroczne pomieszczenia w zamku Brennusa. Nie zastanawiałam się zbyt długo nad tym, co pomyślą sobie Serafiny po tym, jak pospiesznie opuściłam ich spotkanie. To one nalegały, żebym została z nimi, więc ich opinia na mój temat nie jest dla mnie niczym ważnym.

Spoglądam po raz pierwszy na irlandzkie wybrzeże – skalisty krajobraz sprawia, że drzę z przerażenia. Trudno mi wyobrazić sobie, w jaki sposób Gankanagowie uczynili z tego miejsca swój dom i nikt nie dowiedział się o tym przez tak długi czas. Zimne, pokryte mchem gmachy tak naprawdę krzyczą, wskazując na ich obecność. Przyglądając się cieniom pomiędzy spadzistymi skałami, wyobrażam sobie straszliwe postaci ożywionych czarnoksiężników przyczepione do skały i oczekujące na zbliżenie się naszego statku.

Unoszę głowę; deszcz obmywa moją twarz. Zmywa pot, który się pojawił ze strachu i zamarł na mojej brwi.

– Nie zdajesz sobie sprawy, jak groźnie piękna jesteś, prawda? – Cichy głos dobiega zza moich pleców.

Sztywnieję, wpatruję się w skały wzdłuż brzegu.

– Xavier – mówię nerwowo. – Teraz jest najlepszy czas, żebyś zostawił mnie



samą.

– Zostawiłem cię samą... Zbyt długo byłaś sama – odpowiada.

Zerkam na niego przez ramię i zauważam dziwny wyraz twarzy, który przypomina coś niepokojącego, jakby żal.

– Nie zmieniaj tego, to mi nie przeszkadza – odpowiadam.

– Kiedy obrażanie mnie połączone jest z twoim ujmującym uśmiechem, to cała negatywna energia wypowiedzi ginie. – Uśmiecha się do mnie.

– Następnym razem zastąpię go grymasem.

Podchodzi do barierki.

– Spróbuj, lecz twój grymas jest równie kuszący... – zaczyna.

– Czego chcesz? – przerywam mu tę jałową gadkę.

– Widziałem, jak wymknęłaś się z narady strategicznej. Dlaczego?

– Strategia – wypowiadam cicho to słowo, jakby było związane z iluzją. – Sztuka planowania.

– Pamiętam, jak bardzo to lubiałaś. Miałaś strategię na wszystko... Na studia, rozrywkę, zakupy... Każdego wieczoru przygotowywałaś ubrania do szkoły na następny dzień. – Xavier kolejny raz się uśmiecha. – Cole i ja zakładaliśmy się, czy ty naprawdę zakładasz te przygotowane ubrania, czy raczej zmieniasz zdanie w ostatniej chwili.

– Szpiegowaliście mnie w mojej sypialni? Co za perwersja – odpowiadam, marszcząc nos. Policzki płoną mi nie tylko na myśl o tym, ale także z powodu mojej głupoty i nieświadomości, że tam byli.

– Nie perwersja. Ochrona. Strzegłem cię – poprawia mnie. – A więc dlaczego opuściłaś naradę strategiczną? To niepodobne do ciebie, aby jakkolwiek szczególnie umknął twojej uwadze. – Jego usta układają się w przebiegły uśmiech, gdy pochmurnieję.

– Śmiało, idź i układaj plany – odpowiadam z dezaprobatą, poirytowana tym, że myśli, że mnie dobrze zna.

– To brzmi tak, jakbyś uważała, że to nie ma sensu – dodaje Xavier.

Stojąc z nim twarzą w twarz, widzę zarówno jego błękitne, jak i zielone oko. Jest taki duży jak Russell i w rzeczywistości bardzo do niego podobny, lecz Russell ma włosy brunatne, a Xavier jaśniejsze... bardziej złote... Jest niezwykle przystojny. Kiedyś lubiłam jego dużą sylwetkę, lecz teraz denerwuje

mnie to, że czuję się przy nim mała.

– To bezcelowe – odpowiadam. Zaciskam pięści na barierce, moje dłonie stają się białe.

– Jeśli znasz swojego wroga, to zawsze możesz mieć plan – mówi Xavier cicho.

– Ja znam swojego wroga i dlatego nic nie planuję.

– Czego chce od ciebie Brennus? Wiesz? – pyta Xavier.

Na dźwięk imienia Brennusa wzdrygam się.

– Chce, żebym była jego królową – odpowiadam lekko drżącym głosem.

– Dlaczego? – Unosi brwi, jest wyraźnie skoncentrowany.

– Co dlaczego? – Krople deszczu ślizgają się po moich policzkach.

– Co jest w tobie takiego, czego on pożąda? – pyta dociekliwym tonem. – Poza tym, że jesteś pięknym i kuszącym kąskiem...

Moja twarz ponownie nabiera koloru, gdy jego oczy badawczo mi się przyglądają.

Chętnie bym go walnęła, kiedy zaczyna chichotać.

– Myślę, że dla niego ważne jest to, że widzę w nim dobro, które jeszcze nie umarło – odpowiadam z uniesioną głową, a z twarzy Xaviera znika uśmiech i pojawia się pochmurne spojrzenie. – Przetrwało w nim coś dobrego, czego Aodh, jego twórca, nie mógł zabić, i właśnie ta część pragnie miłości... Tęskni za nią.

– Mylisz się – rzuca Xavier oschłym tonem. – Nic dobrego nie przetrwało po jego transformacji z czarnoksiężnika w Gankanaga.

– Skąd wiesz?

– Ponieważ idzie za tobą, nawet jeśli to jest złe. Gdyby jego miłość była czysta, puściłby cię wolno, abyś mogła podążać za swoimi marzeniami. Nie próbowałby przemienić cię w jedną z nich, ponieważ wie, że to oznaczałoby dla ciebie śmierć. – Oddech Xaviera przyspiesza, co zdradza powstrzymane emocje.

– Brennus jeszcze mnie nie przemienił, a miał ku temu wiele okazji – zauważam. – Nie jest tym, kim się wydaje... I myślę, że przy mnie jest inny.

– Inny? W jaki sposób inny? – Xavier zaciska szczęki.

– Jest... miłszy. To ja sprawiam, że jest miłszy – przyznaję.

– Milszy? – powtarza, jakby nie rozumiał znaczenia tego słowa.

– Kiedy jest ze mną, nie chce nikomu zrobić krzywdy. Może to ja tak na niego wpływam. Może to przez to, że zawsze daję mu swoją energię. Tak mówi. I że pożąda jej jak narkotyku. Może to ja sprawiam, że jest miły – wyjaśniam.

– Ty go bronisz? – Oczy Xaviera stają się węższe. – On jest zły.

– Chciał przetrwać – syczę przez zaciśnięte zęby.

– Kosztem wszystkich.

– Zrobił to dla swojego brata. Finn został wcześniej przemieniony; Brennus wierzył, że brat nie zniesie okrucieństwa Aodha bez niego – sprzecam się, nie mogąc się powstrzymać.

– Szlachetny powód tragicznego błędu w osądzie, taki, który, jestem pewien, czeka, abyś go naprawiła – oznajmia Xavier, odzyskując spokój.

– Nie rozumiem... – Czuję jakiś chłód, który pełza mi po kręgosłupie.

– Gdybym miał przestać istnieć... to myślę, że nie byłoby dla mnie lepszego miejsca niż ramiona anielicy, szczególnie takiej, która mnie kocha...

– Nie kocham Brennusa – przerywam mu zmieszana; szepczę, bo wrze we mnie poczucie winy.

– Ty masz wielką skłonność do miłości. To leży w twojej naturze. Przyciągasz innych do siebie jak pasterka owce... I kochasz ich, nawet jeśli postępują źle. – Wyciąga dłoń i ociera swoimi ciepłymi, szorstkimi palcami krople deszczu z mojego policzka. – Lecz dla Brennusa to będzie tylko zemsta: jego myśli o tobie są ohydne i pokrecone. Po tym, jak spróbował twojej krwi, każda inna była dla niego bez smaku, a to pożądanie ciebie jest równie silne jak pożądanie twojej krwi. Miał dużo czasu, aby przygotować swój horror... torturę tylko dla ciebie.

– Dlaczego mi to mówisz? – pytam, unikając jego dotyku.

– Nie chcę, byś zawahała się przed jego zabiciem. – Spogląda mi w oczy. – Nie pozwól, by twoja ludzka natura i potrzeba współczucia stanęły na drodze do zniszczenia jego wulgarności. Nie daj się oszukać fałszem jego miłości, jednocześnie odrzucając tych, którzy naprawdę cię kochają.

– Co ty wiesz o moich przyjaciołach? Nie znasz żadnego z nich – wtrącam.

– Mówiłem o twojej rodzinie, która cię kocha: o Tau, Cole'u i o mnie –

poprawia, a jego twarz staje się nieruchoma, ukrywa emocje.

– Moja rodzina? – jąkam zaskoczona. – Bądźmy szczerzy, tak naprawdę nigdy was nie znałam, żadnego z was, a to, co wiem teraz, wcale mi się nie podoba! Okłamywałeś mnie od czasu, gdy spotkaliśmy się w liceum!

– Znasz mnie, Evie. Ja byłem twoim... – Milknie.

– Moim chłopakiem? – pytam. – Widzisz, nawet nie możesz tego wypowiedzieć, tak jak nie mogłeś, kiedy byliśmy w szkole! Czasami zachowywałeś się, jakbyśmy byli razem, a po chwili traktowałeś mnie jak jeszcze jedną z dziewczyn, które znasz.

– Nigdy nie byłeś jedną z dziewczyn. Nie mogłem ci powiedzieć, kim jestem, bo mi na to nie pozwolono – odpowiada.

– A ja mam ci wierzyć, ponieważ byłeś taki uczciwy wobec mnie? – szydę.

– Zawsze byłem wobec ciebie uczciwy, chyba że musiałem ukryć przed tobą pewne rzeczy, by cię chronić.

– Jak to, że jesteś aniołem? – mówię oskarżająco.

– Tak, właśnie jak to. – Pochmurnieje.

– Co jeszcze przede mną ukrywałeś?

– Mnóstwo rzeczy – przyznaje z miną winnego.

– Lucy Clark – podsuwam, myśląc o bardzo popularnej i pięknej dziewczynie, z którą Xavier umawiał się po rozstaniu ze mną latem, przed naszym ostatnim rokiem w szkole.

– Próbowałem cię rozzłościć, a nie zasmucić... A ty naprawdę byłaś smutna...

– Byłam smutna, bo zламаłeś mi serce, rozstając się ze mną tak nagle; nie podałeś mi nawet dobrego powodu. – Wymierzam w niego palec.

– Powiedziałem ci, że jesteśmy zbyt blisko... – odpowiada bez zająknięcia, jakby to był ten dobry powód.

– Bycie blisko siebie jest dobre – argumentuję, marszcząc brwi.

– Nie jest, gdy mogę cię zmiażdżyć; i wiele razy omal tego nie zrobiłem – mówi ze złością. – Tau powiedział mi, że traciłem perspektywę, i to on nakazał mi z tobą zerwać.

– A ty go posłuchałeś! – podkreślam szyderczo, nie chcąc słuchać jego wymówek. To ja musiałam obserwować, jak paraduje po szkole z uwieszoną

na nim Lucy. Byliśmy przyjaciółmi od pierwszej klasy, a on zachowywał się tak, jakby mnie nie znał. Dla niego byłam niczym... nie, byłam mniej niż niczym.

– Tau jest twoim ojcem. Będziesz musiała zaakceptować ten fakt.

– Zdaję sobie z tego sprawę. Ale ty jesteś przypadkowym aniołem, który miał to okropne nieszczęście opiekowania się osobniczką półkrwi – odpowiadam sztywno.

– Nie nazywaj tak siebie! – prycha Xavier pełnym złości tonem, który mnie przeraża. – Jesteś pierwsza ze swojego gatunku i już to czyni cię odważną!

– Czego ty ode mnie chcesz? – pytam szeptem.

Xavier zaciska szczękę, gdy mgiełka wody odbijającej się od burty statku opada na niego.

– Chcę być kimś więcej niż tylko przypadkowym aniołem, którego zadaniem było cię chronić...

– Dlaczego? Próbujesz powiedzieć, że nie byłeś przypadkowy? – pytam szorstko. – Dlaczego zgodziłeś się przyjąć misję chronienia mnie?

Spuszcza swoją głowę i obserwuje wodę poniżej barierki. Deszcz ścieka z jego twarzy.

– Gdybym walczył o ciebie w Dominium, to czy to by cię ochroniło? – odburkuje. – Nie byłbym zadowolony ze zniszczenia dla ciebie tylko Pagana. Ja unicestwiłbym cały trybunał wojenny za to, że ciebie sądził...

– Jak dziwoląga – kończę, marszcząc brwi.

Sfrustrowany, odrzuca głowę do tyłu, a spokojny potok anielskich słów wypływa z jego ust. To wygląda tak, jakby rozmawiał bezpośrednio z Niebem. Kiedy znów na mnie spogląda, jest już spokojniejszy.

– Nigdy nie ponizaj siebie w mojej obecności. Nie jesteś dziwolągiem. Jesteś wyjątkowa. – Muszę wyglądać na zaskoczoną, ponieważ rysy twarzy Xaviera łagodnieją. – Nawet nie wiesz, jak doskonała jesteś – dodaje w skupieniu, niemal natchnionym tonem.

– Wiem, że nie pachnę jak ser – odpowiadam. Nieśmiały uśmiech pojawia się na moich ustach, zanim Xavier wybucha śmiechem.

– To na początek – mówi.

Jego duża dłoń przykrywa moją na barierce. Cofam rękę i chowam ją do kieszeni wełnianego płaszcza. Dłoń Xaviera pozostaje w miejscu, gdzie przed

chwilą była moja.

– Kłócisz się ze swoim *aspire* – oznajmia.

– Między nami wszystko w porządku. – Odcinam jego chęć zagłębienia się w moje życie prywatne.

Kieruję wzrok ku odmętom morza. Czuję na sobie ciężar spojrzenia. Zerkam na Xaviera, gdy mówi:

– Potrzebowałaś go... Kiedy byłaś sama... Kiedy my... Kiedy ja... – Urywa, jakby próbował szukać słów.

– Tak, potrzebuję Reeda – zgadzam się. – Pomógł mi, kiedy sama nie dawałam rady... Kiedy nikt nie mógł mi pomóc.

– Zasłużył na twój szacunek – przyznaje, a kostki jego dłoni stają się bielsze, z taką siłą ściska barierkę.

– Zasłużył na moje oddanie – poprawiam go. Moje oczy stają się coraz większe, kiedy jego palce z trzaskiem wykrzywiają metal.

Zamyka oczy, jakby walczył z jakimiś wewnętrznymi demonami. Puszcza barierkę.

– Rozumiem, dlaczego zasłużył na twoją lojalność, ale wspieranie ciebie było jego obowiązkiem. Ty jesteś Serafinem, a on jest aniołem Mocy, więc... – zaczyna.

– Marnujesz czas, wyjaśniając mi rangę aniołów, ponieważ dla mnie jest to koncepcja bez znaczenia – odpowiadam, mrużąc oczy.

– Kiedy stałaś się tak nierozsądna? To nie jest bez znaczenia, kiedy rozpatrujesz to, co zrobił dla ciebie; dla niego to nie było niczym innym tylko jego zadaniem – atakuje Xavier, jakby jego zdanie było ważniejsze, co oczywiście nie ma dla mnie znaczenia.

– A więc Reed miał mnie chronić; to było jego zadanie? – pytam go takim tonem, jakby oszalał.

– Tak, każdy niebiański anioł Mocy, którego spotkałaś, powinien cię chronić – przytakuje arogancko.

– Każdy z nich? – dopytuję ze spokojem.

– Owszem – potwierdza.

– Ale tak się nie stało. – Poruszam brwiami.

– Masz rację – zgadza się posępnie.

– Zdajesz sobie sprawę, że większość aniołów chciała mnie zabić?

– Teraz tak. – Mocno marszczy brwi.

– Jak się dowiedziałeś? – pytam z chorobliwej ciekawości.

– Dominium przekazało nam raport po naszym powrocie i zaczęliśmy ciebie poszukiwać...

– Musieliście mnie szukać? – wtrącam się, kpiąc. – Dlaczego? Czy właśnie nie powiedziałaś, że przybyliście z Raju?

– Tak – potwierdza.

– Więc czy nie powinniście wiedzieć, gdzie ja jestem? Co robię? Co się tutaj dzieje? Nie wykonaliście żadnego zwiadu? Czy macie plan? – pytam, uznając jego odpowiedzi za podejrzane.

– Jeśli chodzi o ciebie, to tak nie działa. Informacje na twój temat są pilnie strzeżone. Nie jestem wszechmocny i celowo nie informowano mnie o twojej pracy tutaj...

– Dlaczego? – znów wchodzę mu w słowo.

– Ponieważ aż do teraz nie pozwolono mi, bym był częścią tego równania. – Próbuje zachować oficjalny ton, lecz przepełnia go gniew.

– Okay, powiedzmy, że ci wierzę – mówię sceptycznie, co jeszcze bardziej go denerwuje.

– Kwestionujesz moją uczciwość? – pyta srogo.

Unoszę rękę, aby uspokoić jego poirytowanie spowodowane moim ostatnim komentarzem.

– Fajnie... Nie wiedziałeś, gdzie jestem ani co robię. Więc udałeś się do Dominium po pomoc? – podpowiadam mu, oczekując kontynuacji.

Uspokaja się trochę, lecz szczękę nadal ma zaciśniętą.

– Tak, szukaliśmy rozwiązania z Dominium i wtedy... – Milknie, odwracając się plecami do oceanu. Opiera się o wygiętą barierkę, by spojrzeć na statek za mną.

– I wtedy co? – pytam.

– I wtedy Tau z Cole'em musieli mnie powstrzymać, żebym nie rozdarł Gunnara na kawałki – mówi mrocznym tonem, krzyżując ramiona na piersi.

Moje usta otwierają się szeroko na wspomnienie Gunnara. To anioł Mocy, który był przeciwko mnie w czasie procesu w Dominium... Specjalny przyjaciel

Pagana w radzie wojennej.

– Dlaczego miałbyś to zrobić? – Nic z tego nie rozumiem.

– Ponieważ Gunnar stopniowo doprowadził do ceremonii powiązania ciebie i Reeda – odpowiada ponuro.

– A ty nie uznajesz mojego *aspire*? – Nie jestem pewna, czy rozbawiam go tym pytaniem, czy obrażam.

– Nie – odpowiada przez zaciśnięte zęby.

– Dlaczego? – Narasta we mnie złość.

– Nic nie jesteś Reedowi winna – odpowiada z goryczą. – Zdecydowanie mniej niż wieczność, którą mu obiecałaś.

– Nie wiesz, o czym mówisz, Reece. – Używam jego nazwiska, żeby nasza rozmowa stała się bardziej oficjalna.

– Reece... Reed... Czyż to nie głupi przypadek? – pyta, jego usta wykrzywiają się w ponurym uśmiechu, który w żaden sposób nie odbija się w jego oczach.

– O czym ty gadasz? – W ustach robi mi się sucho, a przerażenie oblepia mnie jak zimny pot.

– Nie pamiętasz, o czym mówię – odpowiada z napięciem i dźga mnie palcem. – Związałaś swoje serce i duszę z Reedem, nie wiedząc nawet... – Nie kończy; zgrzyta zębami, zaciskając je bardziej. Powoli opuszcza palec, którym wymachiwał w moją stronę.

Czuję, że zrobiłam się biała jak ściana.

– Nie wiedząc nawet o czym, Xavier? – Wstrzymuję oddech w oczekiwaniu na odpowiedź.

Odpycha się od barierki.

– Zajmę się tym. – Zaczyna odchodzić w stronę wejścia na statek.

– Czym się zajmiesz? – rzucam w stronę jego szerokich oddalających się pleców.

– Wszystkim – dociera do mnie jego przytłumiona odpowiedź.

Pozwalam mu zrobić jeszcze pięć kroków i rzucam zaklęcie. Xavier zatrzymuje się gwałtownie, odbijając się o niewidzialną ścianę energii, którą postawiłam przed nim.

– Evie! – warczy, odwracając się do mnie. Pociera nos, jakby właśnie zderzył



się z drzwiami.

– Przykro mi, ale twój ostatni komentarz brzmiał strasznie, jakby był groźbą pod moim adresem. Co miałeś na myśli, mówiąc, że wszystkim się zajmiesz, Xavier? – pytam spokojnie.

Tylko spogląda na mnie ze złością i zawraca. Macham dłonią – zbliża się i udarza w kolejną niewidzialną ścianę.

– Zdejmij swoje zaklęcie – żąda.

Cofam się w reakcji na jego złość.

– Odpowiedz na pytanie.

– Nie – odmawia z uporem.

– Co powiedziałeś? – Zamykam powieki i wypowiadam do siebie poetyckie słowa.

Otwieram oczy i powoli wymachuję dłonią na boki. Oczy Xaviera rozszerzają się, gdy zaczyna się kiwać. Opiera się energii, która nieubłaganie spycha go w stronę barierek statku. Gdy opiera się mojej magii, czuję jego delikatną moc. Część jego energii uderza we mnie, jakby mnie żądłąc.

– Ostatnia szansa, Xavier. – Przesuwam go bliżej burty.

Kiedy kręci głową na „nie”, przesuwam dłońmi w powietrzu i spycham go na barierkę.

Chwyta ją mocno.

– Evie – wymawia moje imię, warcząc, aż dostaję gęziej skórki.

– Przepraszam, nie słyszę odpowiedzi – reaguję z udawanym spokojem i przykładam dłoń do ucha.

Xavier nie odpowiada, zamiast tego puszcza barierkę i na nią wskakuje. Zawieszony nade mną rozkłada skrzydła i wzbija się w powietrze. Odkrywa słabość mojej magii – niewidzialne ściany nie mają sufitu.

– Uch, och – oddycham ciężko. Przeszukuję niebo w poszukiwaniu Xaviera i szybko uznaję, że go zgubiłam. – Niedobrze – mruczę pod nosem, zaciskając zęby ze strachu.

W moim umyśle przebłyskują strategie obronne. Reaguję na pierwsze możliwe do wykonania rozwiązanie, które się pojawia. Koncentruję się, klękam na jednym kolanie i setki moich klonów wyskakują ze mnie; doskonałe repliki stoją na pokładzie jak odbicia w sali luster, chroniąc mnie przed zagrożeniem

czyhającym nade mną.

Czekam kilka chwil i decyduję się wejść do wnętrza statku. Posuwając się w stronę wejścia, rozsyłam klony, aby poruszały się wokół mnie. Po chwili się zatrzymuję, gdy Xavier wyrasta dwadzieścia metrów przede mną.

Ociekający deszczem i totalnie wkurzony, ociera swoje usta grzbietem dłoni; jego duże czerwone skrzydła poruszają się ciągle. Próbuję mieć spokojny wyraz twarzy po to, by wmieszać się w tłum swoich klonów, lecz oddech wydobywa się ze mnie i tego nie mogę kontrolować.

Wciągając powietrze nosem jak wilk, Xavier warczy niskim tonem – serce mi przyspiesza i podchodzi do gardła. Xavier przegląda wszystkie klony na pokładzie, a ja stoję w całkowitym bezruchu i obserwuję, jak woda ścieka z jego podbródka na nagą pierś. Kolana uginają się pode mną, gdy jego wzrok pada na mnie i się zatrzymuje.

Xavier szeroko rozkłada ramiona i nie bacząc na nic, zbliża się do mnie. Każdy klon, którego dotyka na swojej ścieżce, zamienia się w obłoczek mgły, a po chwili znika jak dym. Xavier nie patrzy na nie, jego wzrok jest cały czas skupiony na mnie.

Kiedy dochodzi do mnie, jestem sparaliżowana ze strachu. Nawet nie próbuję walczyć, kiedy chwyta poły mojego marynarskiego płaszcza i przyciąga mnie do siebie.

– Skąd wiedziałeś, że to ja? – pytam go osłabiona.

– Znam twoje serce – odpowiada i całuje delikatnie. Po chwili szepcze smutno tuż przy moich ustach: – Pamiętaj o mnie. – Jego uchwyt rozluźnia się i po chwili mnie uwalnia.

– Nigdy więcej mnie nie całuj. – Przeszywam go wzrokiem. – To nie liceum. Już ciebie nie kocham. Nie jestem tą samą dziewczyną...

– Nie mówię o liceum. Pamiętaj mnie – powtarza, spoglądając mi w oczy; nadal trzyma mnie za ramiona.

Przez chwilę jestem zaskoczona i tylko gapię się na niego; na moją twarz wypływa rumieniec.

– Pamiętać ciebie? Nie mów mi, że byłam też twoją bratnią duszą – mamrocę dziwnym, przyduszonym głosem.

– Nie – odpowiada równie napiętym tonem. – Ty masz tylko jedną bratnią duszę... człowieka. Ja jestem aniołem.

– Och... – Biorę głęboki wdech. – Więc... mówisz, że co? Że znaliśmy się... wcześniej... kiedy byliśmy?... – Palcem pokazuję na niebo.

Smutek pojawia się w jego oczach.

– Nie byłem twoją bratnią duszą w Raju, Evie... Byłem twoim aniołem – odpowiada.

– Xavier... To nie jest śmieszne – jąkam się.

– Evie, zapewniam cię, że nie ma nic bardziej poważnego od tego... – odpowiada z ponurym wyrazem twarzy i dotyka dłonią mojego policzka.

– Ale nie masz żadnego znaku powiązania na sobie. – Wskazuję na jego pierś.

– Powiedzieliśmy, że zaczekamy, aż to wszystko się skończy... Aż wrócimy razem do Raju – odpowiada.

– Nie mogę teraz tego słuchać. – Panika przejmuje kontrolę nad biciem mojego serca. Kładę dłoń na jego piersi i próbuję go odepchnąć, lecz on nie porusza się, tylko kładzie swoją dłoń na mojej. Skupiam się na niej. Silna, myślę.

– To już mi nie umknie, Evie. Już cię nie opuszczę – deklaruje zdecydowanie.

– Musisz odejść! – wypowiadam prośbę, nie patrząc mu w twarz. – Ja mam swojego *aspire*! Spóźniłeś się.

Jego dłoń zaciska moją.

– Powiązanie z Reedem zostało dokonane pod przymusem.

– Nie. – Gwałtownie kręcę głową. – Ja chciałam Reeda.

– To był przymus – odpowiada.

– Nie, zrobiłam to z własnej, nieprzymuszonej woli! – oznajmiam wprost.

Xavier zaciska zęby, a zdenerwowanie pogłębia jego rysy twarzy.

– Nie miałaś własnej woli, odkąd cię ostatni raz widziałem – odpowiada. – Wszystko po tym to było przetrwanie... przymus... z użyciem siły – cedzi, splatając palce z moimi.

– Kto jeszcze o tym wie? – Czuję przyjemne ciepło jego dłoni.

– O nas? Tau, Cole, Fedrus... – Uśmiecha się, gdy robię wielkie oczy z zaskoczenia.

– Fedrus wie? Od jak dawna?

– Rozmawiałem z nim w Dominium. Potrzebowałem odpowiedzi i... jego porady – przyznaje Xavier.

– I on ci poradził, żebyś mi powiedział, że byliśmy przyjaciółmi, zanim tu przybyliśmy... To znaczy przed liceum... eee... przed moimi narodzinami? – Otwieram usta, mocno skupiając się na tym.

– Byliśmy więcej niż tylko przyjaciółmi w liceum i byliśmy więcej niż tylko przyjaciółmi, zanim przybyliśmy na Ziemię, lecz... nie, on nie doradził mi, bym ci o tym powiedział – odpowiada.

Unosi moją dłoń do ust i ją całuje.

– Nie. – Odsuwam rękę. – Co powiedział Fedrus? – pytam, bo potrzebuję znać opinię Fedrusa. Jest aniołem Cnót, nie mówiąc o tym, że dokonał rytuału powiązania mnie i Reeda.

– On ma swoją filozofię... A ja mam swoją – oznajmia poważnie Xavier.

– Jaka jest jego filozofia?

– Jak zwykle nieustępliwa... – Uśmiecha się.

– Xavier – warczę na niego, a on swobodnie zakłada kosmyk włosów za moje ucho.

– Czas... Twierdził, że będziesz potrzebowała czasu, żeby znów mnie poznać...

– To była dobra rada! – Patrzę na niego ze złością.

– Nie – opiera się. – Robiłaś, co chciałaś, beze mnie. Przemieszczałaś się, by pozostać przy życiu. Musisz wiedzieć, że jestem tu dla ciebie... I musisz wiedzieć, dlaczego tu jestem. Musisz mnie znów poznać. To był twój plan, aby być tu ze mną.

– Dlaczego miałabym ci wierzyć lub ponownie zaufać? Jeśli to, co mówisz, jest prawdą, to oznacza, że zostawiłeś mnie tu samą – oskarżam go surowym głosem, którego nie potrafię opanować.

– Mam nadzieję, że nigdy się nie dowiesz, jak potwornie byłem rozdarty, jakiego bólu doznałem – odpowiada cicho. Cierpienie pojawia się w jego oczach, gdy chwyta moje dłonie. – Ból świadomości, że mogę cię już nigdy więcej nie zobaczyć... Odliczanie chwil niczym ziarenek piasku, podczas gdy byliśmy rozdzieleni po ucieczce z nieba, i odkrycie, że ty rozpoznajesz mnie jako jakiegoś chłopaka ze szkoły... – Milknie. Spogląda mi w oczy w poszukiwaniu śladów rozpoznania.

– Xavier, ja nie pamiętam niczego poza tym życiem – wyznaję. – Pamiętam liceum i ciebie, jak rzucasz we mnie kulkami papieru na apelu. – Wytykam go palcem. – I naukę jazdy! Pamiętasz? Ty i Cole siedzieliście na tylnym siedzeniu samochodu nauki jazdy i udawaliście, że każdy zakręt, w który wchodziłam, jest naszym ostatnim...

– Byłaś zbyt ostrożna – zauważa delikatnie Xavier. Sięga, aby pogłodzić moje mokre włosy. – Gdybyś wchodziła w te zakręty jeszcze wolniej...

– Nieważne – ucinam poirytowana tym, że wciąż jest w stanie mnie zdenerwować, nawet w trakcie takiej rozmowy. – Chodzi mi o to, że to, co o tobie pamiętam, nie jest przyjemne.

– Bal w gimnazjum był przyjemny.

– Tak. I kilka tygodni później powiedziałaś mi, że nie pasujemy do siebie – zwracam na to uwagę zaskoczona, że nadal czuję ból odrzucenia, nawet po tym wszystkim, co się zdarzyło od tamtego czasu.

– Stawaliśmy się sobie zbyt bliscy – odpowiada z grymasem na twarzy. – Ty byłaś taka delikatna... Ja traciłem kontrolę. – Jego wzrok łagodnieje. – A co, gdybym ci powiedział, że bycie z tobą nadaje sens nocy? – pyta. – Zapamiętałem każdy łuk twojego ciała, kiedy leżałaś w moich ramionach. Przysłuchiwałem się twojemu delikatnemu oddechowi, kiedy trzymałaś głowę na mojej piersi. I pewnego dnia wkrótce stałbym się tym, który pozbawiłby cię sił jednym pocałunkiem – mówi, kładąc moją dłoń na swojej piersi, tak abym czuła bicie jego serca pod opuszkami palców.

– Nie pamiętam, byś tak mnie trzymał – mruczę, kręcąc głową i próbując uwolnić dłoń.

– Nie wiedziałaś, że tam byłem. Miałem zadanie cię chronić, także przed wiedzą o tym, kim jesteśmy.

– Wcale cię nie znam. To wszystko były kłamstwa – powtarzam w desperacji.

– Znasz mnie. Wkrótce sobie o nas przypomnisz – mruczy.

– A jeśli nie? – Widzę w jego oczach narastający ból.

– Przypomnisz sobie – obiecuje.

– Nie możesz o tym powiedzieć Reedowi – oznajmiam stanowczo, a mój umysł analizuje sposoby, jak wymusić od niego obietnicę milczenia.

– Dlaczego nie? Ktoś musi mu o tym powiedzieć.

Moje palce zwijają się w pięść na jego piersi.

– Dlaczego musi o tym wiedzieć? To wszystko dotyczy przeszłości... czasów liceum. To sprawiłaby, że on... – Zagryzam dolną wargę.

– Evie, ktoś musi mu o tym powiedzieć. – Xavier mruży oczy w grymasie. – Nie zamierzam trzymać tego w sekrecie.

– Dlaczego?! – krzyczę i odciągam dłoń od niego. Czerwienię się na myśl o tym, jak Xavier mówi Reedowi o czymkolwiek, co kiedyś mogło się zdarzyć między nami, a co dla mnie samej jest trudne do wyobrażenia.

– Dzięki temu znajdzie odpowiedź na pytania, które musiał sobie zadawać, odkąd cię poznał.

– Jakie pytania? – rzucam w panice.

– Musiał się zastanawiać, jak się znalazł pomiędzy dwiema bratnimi duszami – wyjaśnia. – Takie powiązanie jest praktycznie nierozzerwalne.

– A tobie się to udało? – pytam pospiesznie. – Ty znalazłeś się pomiędzy Russellem i mną?

– Nie ja... Ty – mówi cicho. – Sama o to prosiłaś: to nagroda za twoją misję tutaj na Ziemi.

– Przepraszam – mamroczę zmieszana. – Nie rozumiem.

– Poprosiłaś o miłość, którą sobie sama wybierzesz, a nie taką, która była tobie przeznaczona. Bratnie dusze są dwiema połówkami całości, stworzonymi do tego, by pasować do siebie w doskonałej symetrii. Ty pragnęłaś miłości, którą sama stworzysz... Całkowicie wolnej woli. Zrobiłaś to dla mnie... Dla nas. – Xavier mówi niezwykle dostojnym tonem, co jeszcze potęguję moją panikę.

– Nie, kłamiesz! Nigdy bym tego nie zrobiła Russellowi. – Kręcę głową.

– Wszystko było inaczej między wami.

– Dlaczego? Dlaczego było inaczej?

– Było inaczej, ponieważ ty mnie kochasz – odpowiada z uśmiechem na ustach.

– Ja ciebie kocham? Mówisz, że wybrałam tę misję dla ciebie? Że wybrałam bycie... aniołem z duszą?

– I ja przybyłem z tobą, by cię chronić – przytakuje ze szczerą powagą.

– Ale później mnie zostawiłeś... – Czuję, że tracę grunt pod stopami.

Mina Xaviera zaczyna wyrażać desperację.

– Zostałem przywołany! W tej sprawie nie miałem wyboru: żadnej wolnej woli – oznajmia ponuro. – Każda chwila z dala od ciebie była ciężarem nie do zniesienia.

– Xavier... – Próbuję strząsnąć jego dłonie ze swoich ramion, lecz on przyciąga mnie do siebie i przytula.

– Znasz mnie – szepcze z ustami przy moich włosach. – Musisz mnie sobie przypomnieć, Evie. Twoja niepowtarzalna słodycz... Twój ogień płonie we mnie, a ja muszę znaleźć sposób, by ciebie odzyskać.

– Xavier, nie mogę do ciebie wrócić.

Zacieśnia uścisk, by za chwilę puścić mnie wolno.

– Nie masz wyboru, Evie. – Uśmiecha się smutno. – Nasza przyszłość jest spleciona w taki sposób, że nie możemy się rozstać. Czas utka tę naszą historię, czy tego chcesz, czy nie. Poznasz mnie ponownie.

– A Reed? – pytam, obawiając się odpowiedzi.

Jego usta zaciskają się w wąską linię.

– Może zdoła stać się jak ta woda i zapomnieć rzeczy, które kiedyś były, lecz zostały utracone – odpowiada.

– Jego znamię mam wypalone na piersi. – Wskazuję palcem. – Nigdy go nie zapomnę.

– „Nigdy” to złudne pojęcie, Evie – odpowiada Xavier ze spokojem. – Ja skłaniam się ku „zawsze”... Nieskończoność przed nami, by móc całować twoje wargi, by dotykać twojej skóry... pomóc ci na nowo odkrywać miłość między nami.

– Między nami już dawno nic nie ma! – zaprzeczam groźnie, krzyżując ramiona na piersi.

– Jest! – spiera się z równym zapałem. – Zmusiłaś mnie, abym złożył obietnicę, że nigdy nie pozwolę ci zapomnieć o mnie, i zamierzam jej dotrzymać.

– To chore – mruczę, pocierając brwi drżącą dłonią. – Mówisz o rzeczach, do których nawet nie umiem się odnieść.

– Co jeszcze mam zrobić? – Nerwowo przeczesuje dłonią blond włosy.

– Obiecaj mi, że nic o tym nie powiesz Reedowi – naciskam.

– O tym? Masz na myśli „o nas”? – pyta z frustracją w głosie.

- Niech będzie, o nas – stwierdzam równie sfrustrowana.
- Nie – odpowiada stanowczo.
- Nie? – Mój oddech przyspiesza.
- Nie, tego ci nie obiecuję. On musi wiedzieć.

Głos dobiegający zza pleców Xaviera zakłóca moje myśli.

– Xavier... powiedziałaś jej? – pyta go Tau ze wzrokiem utkwionym we mnie. Ma na sobie ciepły marynarski płaszcz i robioną na drutach wełnianą czapkę, która okrywa jego kasztanowe włosy. Stojący za nim, podobnie ubrany Cole spogląda na mokrego Xaviera.

– Tak – przyznaje Xavier. Zrezygowany opuszcza ręce na widok Cole'a, który stoi na owładniętym chłodem pokładzie.

Robię krzywą minę.

– Gawędzimy sobie tylko. Chcecie mi jeszcze o czymś powiedzieć? – Mój głos tonie w oceanie sarkazmu. – Cole, a ty nie jesteś moją matką?

Unosi kąciki ust, a po chwili wybucha śmiechem.

– Nie, Evie. – Kręci głową. – Nie jestem twoją matką. Lecz jesteśmy przyjaciółmi od bardzo dawna.

Tau marszczy brwi.

– Myślałem, że uzgodniliśmy, aby poczekać z tą rozmową, aż uporamy się z Gankanagami. – Jego szare oczy wbijają się w Xaviera.

– Ona mnie do tego zmusiła. Próbowwała zrzucić mnie z pokładu – odpowiada, nie ukrywając uśmiechu.

– Evie? – pyta zaintrygowany Cole.

– Xavier, to wprowadzi komplikacje, których teraz nie potrzebujemy – ciągnie Tau.

– Komplikacje, którymi się zajmę – zapewnia ze spokojem Xavier.

– Fedrus powiedział... – zaczyna Tau.

– Wiem, co powiedział Fedrus – przerywa mu sfrustrowany Xavier.

Tau spogląda z dezaprobatą na Xaviera, po chwili jego wzrok pada na mnie. Unoszę podbródek i dumnie spoglądam na niego, czując się wyjątkowo niekomfortowo w jego obecności.

– Możemy porozmawiać? – zwraca się do mnie łagodnie.



– O czym chcesz rozmawiać? – pytam go z nieskrywaną wrogością w głosie.  
– O moim *aspire*... O moim zapomnianym kochanku... O mojej bratniej duszy czy o... Wiem! Porozmawiajmy o ożywionym dręczycielu! O tak, to wszystko chciałabym omówić ze swoim zaginionym przed laty ojcem!

– Nie musimy rozmawiać na żadne niewygodne dla ciebie tematy. Po prostu chętnie pobyłbym z tobą w tym samym pokoju... Możemy zjeść coś razem. Nie musimy rozmawiać, jeśli... – Milknie.

– Chcesz zjeść ze mną obiad? – W moim umyśle kumulują się poczucie winy, strach i narastająca nadzieja. Pospiesznie próbuję przełknąć tkwiący w gardle okruch nadziei.

– Tak – odpowiada, a ja odnoszę wrażenie, że mnie testuje.

– Kiedy?

– Dziś wieczorem? – proponuje Tau.

– Czy to nie dziś po południu powinniśmy przybyć do zamku?

– Powinniśmy tam dotrzeć w ciągu godziny – odpowiada.

– Tak szybko? – Powietrze wydaje mi się coraz gęstsze i duszące. Adrenalina krąży w moich żyłach jak woda; przeciska się wąskimi kanałami. Moja głowa staje się lekka.

Chyba się lekko chwieję na nogach, bo Tau przyciąga mnie do siebie i przyciska do swojej piersi.

– Zamknij oczy – prosi, a ja próbuję wziąć głęboki wdech. – Wyobraź sobie, jak stoisz skąpana w złocie księżycyca – przemawia łagodnym głosem, a mój policzek spoczywa na jego ramieniu. – Uderzający zapach uśpionych kwiatów w ich pierwszym kwitnieniu niesie balsamiczna bryza. Orzeźwiający wieczorny chłód wilgotnego piasku pod stopami i tajemna świadomość, że jesteś częścią tego wszystkiego.

Łza opada na mój policzek; wdycham jego zapach i odkrywam, że jest mi znany, to zapach domu, dzieciństwa. Powoli, delikatnie dotykam jego pleców.

– Pachniesz dla mnie jak noc – szepczę i mimowolnie mocniej go obejmuję.

– Wieczorem mogłem być najbliżej ciebie – mówi kojącym głosem. – Kiedy byłaś małym dzieckiem, mogłem nosić cię w czasie zmroku... tylko ty i ja.

– Mogłeś?

– Początkowo bałem się ciebie dotknąć. Byłaś wtedy taka ludzka... taka

krucha i maleńka.

– Bałeś się mnie? – Unoszę głowę z jego ramienia. – Czy to nie ty spotykasz Upadłych w Szeolu?

– Tak – odpowiada. – Ale żaden z nich nigdy nie skradł mi serca ani nie opuścił mnie bez słowa; zawsze rozpamiętywałem swoją stratę – wyznaje, a ja zamykam oczy, by nie ronić łez. – Zjesz ze mną obiad dziś wieczorem? – pyta ponownie.

Rozluźniam uścisk.

– Okay – zgadzam się ledwie słyszalnym głosem.

– Dziękuję – odpowiada z uśmiechem.

Odsuwam się od niego i podchodzę w stronę wejścia do wnętrza statku; unikam wzroku Tau.

– Evie – woła za mną Xavier. – Musimy porozmawiać.

Zatrzymuję się na chwilę i spoglądam na niego.

– Jesteś wieczny, prawda? – pytam go retorycznie. – Założę się, że możesz poczekać.

## Rozdział 17

### *Irlandia*

RUSSELL

Długie ukośne cienie wyglądają jak drewniany płot na intensywnie czerwonych haftowanych arrasach zdobiących ściany wzdłuż holu. Korytarz ten z wysokimi wąskimi oknami prowadzi nas do archiwum. Znajomość każdego zakamarka w zamku Gankanagów nie czyni go ani trochę mniej strasznym, wręcz przeciwnie – jestem przyzwyczajony do jego doskonałego i zadbanego stanu, a teraz okruchy szkła i zniszczone meble zaśmiecają pokoje, upodabniając je do domów bractw pod koniec semestru.

Anya ponownie pociera nos, próbując złagodzić piekąco-słodki, odrzucający odór Gankanagów. Gdybym nie był na nią wściekły, z pewnością byłoby mi jej żal, ale teraz ta sytuacja tylko mnie śmieszy.

– Trzeba było ich powąchać, zanim ich stąd eksmitowano – mruczę do niej. – Nie, właściwie to trzeba było siedzieć z nimi w jaskieniach. To dopiero był smród.

Ignoruje mój komentarz i cofa dłoń, trzymając w gotowości łuk. Wyprzedza mnie o kilka kroków, zbliża się do Reeda, Sorina i Elana na czele oddziału, a wolałbym, żeby była chroniona w środku.

Gdy posuwamy się w dół holu, kilka razy oglądam się za siebie, aby się upewnić, że nic nam nie zagraża. Stąd mam dobry widok na Anyę i zamierzam utrzymać tę pozycję do chwili, aż przekonam się, czemu musimy tutaj stawić czoło.

Reed mówi przez interkom – echo słów odbija się w moim uchu:

– Zbliżamy się do archiwum.

Potem rozbrzmiewa nam w uszach głos Prebena:

– Północna wieża jest czysta. Coś ciekawego w archiwum?

– Damy ci znać, jak już tam dotrzemy – odpowiada Reed.

Preben mówi coś w języku aniołów; Zefir się uśmiecha.

– Co on powiedział, Zee? – pytam, bo nie lubię być niedoinformowany.

Zee wzrusza ramionami od niechcenia.

– W każdej broni czarnoksiężników doszukuje się zysku – odpowiada z błyskiem w oczach. – Są znani z misternej sztuki kowalskiej, a szczególnie z produkcji zbroi i broni.

– Na dodatek ona śpiewa, prawda? – pytam, przywołując wspomnienia Rudej o tym, że broń w archiwum śpiewała, kiedy użyłem swojego kłona, by z Rudą porozmawiać, gdy była uwięziona.

– Tak, głównie dlatego Preben chce mieć jedną – odpowiada Zefir.

Mówi o wysokim, srebrnowłosym przywódcy aniołów Mocy z Dominium.

Reed pozostawił Prebenowi przydział innych drużyn Dominium po tym, jak zebrał naszą. Sorin, Elan i Tycho to jedyne anioły Mocy, którym Reed pozwolił nam towarzyszyć. Podejrzewam, że zrobił to tylko dlatego, że pracował z nimi w Chinach i tam zaskarbili sobie jego zaufanie.

Spoglądam w dal ku olbrzymim drewnianym drzwiom, które znajdują się w odległej ścianie. Sięgają niemal do sufitu, ozdobiono je pieczołowicie wyrzeźbionymi głowami smoków z kłami wystającymi na zewnątrz – stwory wyglądają niczym złowrodzy strażnicy na chwilę zatrzymani w bezruchu przed ucieczką z ich mahoniowego więzienia.

Wciągam powietrze nosem i mówię niskim tonem:

– Zaczekaj, Reed.

Anioły przed nami zatrzymują się i czekają, aż dojdę do drzwi.

– Co jest? – pyta Reed.

Ponownie wciągam powietrze.

– Nie wiem... Magia, jak sędzę, lecz zapach jest inny... Popiołowy i dymny, jakby z ogniska – wyjaśniam, próbując odnaleźć źródło energii. – Macie może pianki? – pytam przez ramię, uśmiechając się delikatnie.

Spoglądam za siebie na anioły, które gapią się na mnie, nie rozumiejąc żartu.

– Nieważne – mruczę, pragnąc, by była ze mną Ruda.

Ostrożnie sięgam do drzwi, wszystkie włosy na moich ramionach się unoszą. Światło wydobywa się z wyrzeźbionych czarnoksiężników, poruszając się po postaciach umieszczonych nad drzwiami, jednocześnie z drzwi dochodzi

przerażający odgłos trzasku i pękającego drewna. Pospiesznie cofam się o krok od tej konstrukcji.

Wijąca się, ciemna struga dymu wydobywa się i unosi z dużych nozdrzy ziejącej ogniem bestii wyrzeźbionej w drzwiach. Wyrazy pysków smoków zmieniają się z tragicznych w groźne, gdy stwory zaczynają się poruszać, walcząc o uwolnienie z drewnianej powierzchni.

– Nie, nie musicie z naszego powodu wstawać – mamroczę pod nosem z udawanym optymizmem.

Głowy kierują się ku mnie, gdy jedna pokryta łuskami czaszka gwałtownie wyrывa się w moim kierunku, a jej węzową szyję dzielą ode mnie tylko centymetry. Głos brzmiący niczym grom przeszywa powietrze. Jest czymś pomiędzy dźwiękiem odpalanych maszyn gangu motocyklistów a odgłosem startu silników na przylądku Canaveral. Wibracja, która mu towarzyszy, powoduje, że wszystko, co pozostawiono na pobliskich stołach, rozpada się na kawałki, zanim opadnie na ziemię. Dorzucić do tego zapach siarki i spalonego ciała, który w postaci dymiących obłoków wydobywa się z jego pysków, i to wystarczy, żebym przez chwilę pożałował uczestniczenia w tej misji.

Kiedy grzmiący głos smoczej głowy cichnie, pytam:

– Czy ktoś to usłyszał?

Jednocześnie cofam się od warczącej na mnie bestii, która powoli wydziera się z powierzchni drzwi.

Łoskot odpryskujących drewnianych drzazg towarzyszy próbom uwolnienia się dwugłowego smoka. Pełzające płomienie wystrzeliwiają w powietrze. To wygląda jak piekło rozpętane miotaczami ognia; zewsząd otacza mnie żar niczym z pieca.

– Też to czujecie? – pytam Reeda i Zefira stojących przy mnie.

– Nie, magia czarnoksiężników na nas nie działa. Jest ci ciepło? – pyta z uśmiechem Zefir.

– Tak, w pewnym sensie tak – przytakuje ironicznie. – Co powiedział? – pytam zlany potem. – Wiecie?

Grunt zaczyna drżeć, gdy jeden olbrzymi pazur drapie podłogę przed drzwiami. Ostre mahoniowe pazury rozdierają wiekowy kobierzec na długie, poszarpane paski, podczas gdy kamienna podłoga ustępuje z trzaskiem pod jego

ciężarem.

– Proszę, niech się okaże, że ktoś z was zna język czarnoksiężników – mówię z nadzieją.

– Ja znam – odpowiada Reed skoncentrowany.

– To zdradzisz mi, co on powiedział, czy nie? – Wzdrygam się, bo bestia odrzuca swoje głowy w tył i ryczy triumfalnie, gdy drugi zestaw pazurów uwalnia się z drewna i przerażająco tłucze o podłogę.

Reed jak nigdy profesjonalny mówi spokojnie:

– Zadał takie pytanie: „Kiedy dowiesz się, że wszystko stracone, jaką broń wybierzesz, aby uchronić się od hańby śmierci?”.

– Chce wiedzieć, jaką broń bym wybrał, gdybym wiedział, że umrę? – pytam z grymasem na twarzy.

– Tak – oznajmia.

– Myślisz, że to podchwytliwe pytanie? To znaczy... Jeśli udzielimy złej odpowiedzi, to co się stanie? – Udaję, że to mnie nie przeraża.

– Myślę, że bestia będzie rosnąć aż do chwili, gdy rozwiążemy zagadkę, lub aż do momentu, kiedy nas zabije – odpowiada Reed sztucznie. – Znasz jakieś antysmoczne zaklęcia?

Spoglądam na niego z niedowierzaniem.

– Nie, myślę, że będę musiał improwizować – odpowiadam sarkastycznie.

– Mogłaby się przydać tarcza... – sugeruje Reed, gdy z obu smoczych głów wydobywa się ognisty podmuch – żaroodporna – dodaje, patrząc znacząco.

– Zauważyłem – odpowiadam z udawaną pewnością siebie.

Smok unosi ciemne oczy i wypluwa ze swoich pysków potoki ognia. Właśnie teraz mam czas, by wypowiedzieć słowa, które wytworzą przede mną niewidzialną ścianę energii. Przykucam za nią, a żar otacza ścianę i przypala końcówkę mojego lewego skrzydła.

Kiedy otwieram oczy, Anya stoi bezpośrednio przede mną, bezsilnie próbując zablokować magiczny ogień. Sięga za plecy, wyciąga złotą strzałę z kołczanu i pospiesznie napina łuk. Uwalnia cięciwę; łuk wydaje niski, melodyjny odgłos, gdy strzała mknie prosto przez głowę smoka, jakby we mgłę, która okrywa drzwi.

Sfrustrowana zwraca się do Reeda; wypowiada serię słów w języku aniołów.

– Zastanawiam się, Anyu – odpowiada niewzruszony Reed. – Russell będzie musiał pobawić się z nim, dopóki my nie rozszyfrujemy zagadki.

Zee pochmurnieje.

– Jest więcej rodzajów broni niż słów, które je opisują – mówi niskim tonem do Reeda.

– Czy może to być magia? – oferuję własną sugestię.

W reakcji na moją odpowiedź rozwścieczony smok ryczy, ponownie zionąc na mnie siarką. Czuję tak, jakbym się roztopiał, więc kulę się za tarczą, którą sam stworzyłem. Znów spoglądam na smoka, a ten zdaje się większy, jego głowy zbliżają się do sklepienia.

– Nie, to nie magia – odpowiada Reed; stoi wśród płomieni, jakby był złudzeniem optycznym uwiecznionym w ogniu.

Z kobiecym rykiem Anya chwyta pałasz z nieruchomej ręki Zefira i pędzi w stronę smoka. Siecze jego głowę. Udaje jej się tylko przeciąć powietrze, miecz przechodzi przez smoka jak przez zjawę.

– Dlaczego nie możecie go dotknąć? – Zaciskam szczękę.

Wtedy smok wydziera się z drzwi na wolność wśród deszczu odpryskujących drzazg. Pot ścieka z mojej twarzy, którą ocieram w podenerwowaniu. Potworny drewniany gad przesuwa się, atakując nas, lecz anioły nie odsuwają się na jego widok. Hebanowe skrzydła Anyi rozpościerają się niczym nocne niebo, gdy próbuje powstrzymać kreaturę przed atakiem na mnie. Fale energii jak fale w basenie zakłócają obraz połyskujących łusek, kiedy on przechodzi przez nią jakby we śnie.

– Jego magia czarnoksiężnika tak naprawdę dla nas nie istnieje. – Reed odpowiada na moje pytanie, kiedy smok, uderzając mnie głową, odrzuca mnie w tył, a ja wyrzucam z płuc bolesne westchnienie. – Zdaje się, że dobrze działa na półludzi. Musimy rozwiązać jego zagadkę, podając nazwę broni, aby otworzyć drzwi.

– Topór? – pyta Sorin smoka.

Rozwścieczone jego odpowiedzią monstrum rozwija drewniane skrzydła. Niszczy arrasy, z hałasem rozdzierając zdobione krawędzie. Powiększony i jeszcze bardziej rozwścieczony zajmuje większą część szerokości korytarza. Kulę się i wołam:

– On rośnie... – Cały czas robię uniki przed ciosami smoczego ogona.

Anioły tłoczą się przy drzwiach.

– Dla dobra Russella lepiej nie zgadujmy – rozkazuje Reed aniołom Mocy, okazując odrobinę współczucia.

– Tak, nie zgadujcie! – zgadzam się ponuro i cofam. Moje dłonie są wilgotne od potu. – Jakie to było pytanie? – Spoglądam błagalnie na Zee.

Zefir recytuje ze spokojem:

– Kiedy dowiesz się, że wszystko stracone, jaką broń wybierzesz, aby uchronić się od hańby śmierci?

Głowa Reeda unosi się i szeroki uśmiech pojawia się na jego twarzy. Wypowiada coś, najpewniej w języku czarnoksiężników, a po chwili mówi cicho:

– Nieśmiertelność.

Kucam nisko, tak by uniknąć kolejnego wybuchu ognia, lecz zamiast niego wyczuwam przypływ energii. Siłą dużo potężniejszą niż próżnia smok zostaje zwalony z nóg, jego łuski falują, jakby poruszał je huragan.

Ja także opadam z nóg i jestem zasysany w stronę drzwi do archiwum przez potężną siłę wiatru. Anya podrywa się do lotu i ustawia się na mojej drodze, abym nie został częścią zaczarowanej dekoracji na drzwiach.

Gdy wiatr cichnie, jej hipnotycznie zielone oczy wpatrują się w moje, gdy oboje unosimy się na skrzydłach. Moja dłoń przesuwa się z jej pleców, by dotknąć policzka, a kciuk delikatnie gładzi błyszczącą skórę. Zamyka oczy; nie wiem, czy jestem w stanie się powstrzymać i nie pocałować Anyi; jej usmolone rzęsy mocno kontrastują z bladą cerą.

Pochylam się, zbliżam do niej moje usta, lecz tuż przed połączeniem się z jej wargami, Anya odsuwa się ode mnie. Otwiera oczy i odwraca głowę; moja dłoń opada z jej policzka.

– Nieśmiertelność – mówi cienkim, uduchowionym tonem. – To broń obosieczna.

Odwraca się ode mnie i leci za Sorinem, Elanem i Tycho do archiwum. Reed i Zefir czekają na mnie przy rzeźbionych drzwiach, które teraz są tylko drzwiami.

– Ranny? – Reed ocenia sytuację.

Wzruszam ramionami.



– Tylko moja duma ucierpiała. – Uderzam w jedną z nieruchomych smoczycich głów i zamieniam ją w drzazgi.

– Dobra wiadomość jest taka, że ci jej nie brakuje – szczerzy się Zefir.

– Potwierdzam. – Rozprostowuję palce, obserwując Anyę, która przeszukuje prawie pusty pokój. – Wygląda na to, że zabrali prawie wszystko.

– Wszystko z wyjątkiem zbroi i topora – komentuje Zefir.

Wyjątkowa srebrna zbroja ze złożonymi krawędziami stoi samotnie w centrum pokoju. Korpus w stylu tuniki jest głęboko grawerowany zawikłymi spiralami, a na części piersiowej umieszczono parę złotych skrzydeł. Nie muszę zaglądać do tyłu, aby mieć pewność, że w zbroi są dwa podłużne otwory, przez które noszący ją uwalnia swoje skrzydła. Dopasowana srebrna kolczuga chroni uda, a nagolenniki, w tym przypadku srebrne metalowe buty przypominające obramowanie witraży, osłaniają łydki i stopy.

Jedna ze srebrnych rękawic dzierży śmiertcionośny topór. Poszczerbiona krawędź srebrnej główicy topora przypomina łuk skrzydeł, a długa rękojeść jest osadzona tak, aby ułatwić chwytanie.

– Ona należy do Evie – oznajmiam, pochmurniejac. – Brennus dał jej tę zbroję, ponieważ zaraz po swoim przybyciu Evie do niej podeszła. Zbroja należała do niego. Sam ją wykonał. – Mój wzrok kieruje się do Reeda. – Cholera, jakby wiedział, że my się zbliżamy.

– Powiedziałem mu, że przybędę, kiedy umowa zostanie zerwana – odpowiada Reed.

– Pokażemy ją Rudej?

Reed powoli podchodzi do zbroi i zatrzymuje się przed nią. Odbicie jego twarzy połyskuje w gładkiej powierzchni, ozdobione złożonymi spiralnymi wzorami. Wyciąga dłoń i delikatnie opiera o zimny metal napierśnika w miejscu, gdzie była jego twarz. Napina mięśnie i niszczy przyczepione złote skrzydła. Kiedy odsuwa dłoń, metal porusza się, wygina i wygładza – po chwili znów jest jak nowy.

– Wyglądałaby pięknie. Wiedzieliś, że zbroja dopasowałaby się do jej sylwetki, gdyby Evie tylko chciała? – pyta mnie Reed, nie odrywając wzroku od zbroi.

– Naprawdę? – Próbuję sobie to wyobrazić.

– Tak, lecz wtedy zawsze przypominałaby mi o Brennusie – dodaje nerwowo.

Spoglądam groźnie na zbroję.

– Moglibyśmy użyć jej jako celu ćwiczebnego, opracowując nowe zaklęcia.

– Zbroja jest dla niej. Evie zdecyduje, co z nią zrobić – mówi Reed niskim tonem. Naciska w swoim uchu urządzenie aktywujące mikrofon. – Archiwum czyste.

– Jakaś broń? – pyta głos Prebena w naszych uszach.

– Zniknęła, jest tylko prezent dla Evie – odpowiada. – Przesuwamy się do południowej wieży... do Haremu.

– Zbliżamy się do wschodniej wieży – relacjonuje Preben.

– Większość martwych dziwolągów zamieszkiwała w tej części zamku – dodaje.

– Powinno tu pięknie pachnieć – odpowiada Preben. Jest dla mnie oczywiste, że w jego tonie przebija się sarkazm Brownie.

– Tak, powodzenia – odpowiadam, uśmiechając się delikatnie.

Opuszczamy archiwum, poruszamy się w dół korytarza łączącego zachodnią i południową wieżę. Ten korytarz jest jeszcze bardziej niepokojący niż poprzedni, ponieważ kałuże zaschniętej krwi są świadectwem rzezi, której tu dokonano. Przewrócone stoły i potłuczone wazony sprawiają, że wnętrze wygląda bardziej jak speluna po bójce niż pałac, który pamiętam.

Mijam krwawe odciski dłoni rozsmarowane na ścianie, przykładam swoją dłoń do jednego z nich. Moja jest dużo większa, więc to musiała być kobieta.

– Przemalowali tutaj – mówię niskim tonem.

Spoglądam na Anyę, która wygląda bardzo blado na tle swoich ciemnych jak noc skrzydeł.

– Zostań przy mnie – rozkazuję jej ze srogim spojrzeniem.

– Dlaczego? – pyta, prostując ramiona.

– Ponieważ kanibale stają się tym, co jedzą – odpowiadam.

Jej oczy zwężają się, lecz nie odmawia.

Jeszcze więcej dziwnych drewnianych drzwi staje nam na drodze do południowej wieży, zwanej inaczej Haremem, lecz te drzwi nie są zaczarowane.

– Jakiś ruch – ostrzega Reed.

Nastawiam uszu, próbując wyłowić jakieś odgłosy, lecz cisza narasta, im bardziej wytężam słuch.

– Przypomnij mi, żebym nigdy nie był twoim sąsiadem – szepczę do Reeda. – Może powinniśmy zapukać. – Wskazuję brodą na drzwi przed nami.

– Nie. Oni już wiedzą, że tu jesteśmy. – Reed powoli popycha jedno ze skrzydeł drzwi.

Ostry fetor Gankanagów zmieszany z zapachem krwi wydobywa się z wnętrza. Moje ciało przeszywają dreszcze, kiedy Reed mówi:

– Próbują nas okrążyć.

Przeszukuję przestrzenie pomiędzy końcem korytarza a nami. Nasza pozycja przed drzwiami czyni nas łatwym celem nie tylko dla tego, kto znajduje się w Haremie, ale także dla tych w południowym i wschodnim korytarzu, które łączą się w tym miejscu w kształcie litery L. Delikatny, kobiecy głos prosi cicho:

– Pomóżcie mi... Proszę.

Młoda kobieta, utykając, zbliża się do nas po pokrytej szczątkami kamiennej podłodze wschodniego korytarza.

Gęsia skórka pojawia się na całym moim ciele na widok jej szyi powyżej seksownego kołnierzyka białej bluzki. Ze śladów po ugryzieniach już nie sączy się krew.

Spoglądam na Reeda.

– Bądź gotów – rzuca do mnie niskim tonem. Jego oczy nie skupiają się na dziewczynie w korytarzu, lecz na drzwiach od wieży.

– Potrzebuję pomocy – mówi szeptem dziewczyna.

Coś zaciska się w mojej piersi. Spoglądam na Anyę i wyobrażam sobie ją z podobnymi krwawymi śladami na szyi.

– Jest ich więcej na końcu tego korytarza – informuje mnie Zefir tak cicho, że nie sądzę, by ktokolwiek inny to usłyszał.

Ciemne skrzydła na plecach Anyi trzepoczą w reakcji na pełną żalu prośbę niezwykle kruchej ofiary. Anya porusza nimi przerażona. Robi krok w kierunku dziewczyny, zapewne żeby jej pomóc.

– Anyu! – ryczę potężnym głosem, który jest zupełnie do mojego niepodobny.

To działa, bo zatrzymuje się na kilka kroków od nieznajomej. Lecz gdy

spogląda na mnie przez ramię, nie zauważa nieznacznego uśmiechu, który pojawia się na zranionych wargach dziewczyny, zdradzającego jej złowrogą naturę. Ułamek sekundy później nowo utworzony Gankanag rzuca się biegiem do Anyi z nienaturalną prędkością urodzonego drapieżcy.

Anya dostrzega przerażenie na mojej twarzy, ponieważ odwraca się i próbuje unieść łuk, lecz jej palce drżą na cięciwie i strzała z niej spada. Klik, odbija się w korytarzu – kły wysuwają się z ust świeżo przemienionego Gankanaga. Błysk bieli ostrych jak igły kłów napędza mnie do działania. Zapominam o masakrze innych kobiet ożywieńców, które pozostają w wieży.

W tym momencie ostatecznie pojmuję: ta choroba jest śmiertelna. Jeden dotyk całkowicie zmieni moje patetycznie usnute plany, aby chronić Anyę. I już nie będzie moja... nigdy.

Z narastającą falą kobiet Gankanagów wspinających się przez wejście do wieży Haremu ignoruję zarówno ich pułapkę, jak i fakt, że prawdopodobnie nigdy już nie zbliżę się do Anyi. Piękna krwiopijczyni prawie na niej siedzi. Biegnę obok Zee, który blokuje napływ rozszalałych morderczyń przed grupowym atakiem na mnie. Zefir używa swojego pałasza – wymachuje nim, tnie i brudzi krwią ściany, gdy głowy odpadają od ciał.

Reed porusza się między Gankanagami tak, że jest prawie niewidoczny; jest jak sylwetka cienia pozostawiająca po sobie szlak martwych ciał rozrzuconych na podłodze. Przesuwam się obok Sorina, Tycho i Elana, zajętych walką z najbliższym wrogiem.

Czerwone malowane paznokcie zbliżają się do twarzy Anyi, gdy dziewczęce, pożądliwe spojrzenie pojawia się w martwych oczach. Ironią tej chwili jest to, że moja choroba jest równie śmiertelna jak ta, która zniszczyła duszę tej bezwzględnej morderczynie. Wiem, że jeśli dotknie Anyi, to równie dobrze ja też mógłbym umrzeć. Teraz rozumiem słowa Anyi określające, kim jest: moją *aspire*.

Gdy uświadamiam sobie ten fakt, oddaję się ciemności, która narasta wokół mnie po to, bym był wystarczająco szybki, bym był ścianą, która powstrzyma dotyk toksycznych palców na delikatnej skórze mojego anioła. Zimna, czarna pustka otacza mnie i w czasie jednego uderzenia serca ślepnę i głuchnę. W pustym, dokuczliwym bólu nicości pędzę przez ciemność, aby zmaterializować się przed Anyą.

Zimna dłoń kobiety ożywieńca dotyka mojej szyi. Szok pojawia się w jej

pozbawionych blasku oczach, gdy odkrywa, że to mnie dotyka, a nie policzka Anyi.

– To mój anioł – warczę; moje czerwone skrzydła odgradzają ją od Anyi.

Zerka w miejsce, gdzie byłem jeszcze przed sekundą, kilka kroków dalej, i podobnie jak ja nie bardzo wie, jak się tam znalazłem. Kładę dłoń na jej lodowatym czole, z którego wydobywa się smuga światła, unoszę ją i odrzucam w tył. Ląduje na środku korytarza, teraz całkowicie martwa.

Krzyki dochodzą od innych morderców we wschodnim korytarzu, lecz są bardziej jak okrzyki przerażenia na widok tego, co zrobiłem z ich przyjaciółką, niż jak okrzyki wojenne. To nie są wytrenowani czarnoksiężnicy, którzy zostali ożywieni w walce o własne życie. To zwykłe kobiety, wiele z nich to nastolatki, które nie oparły się kuszącemu upojeniu pochodzącemu ze skóry Gankanagów. Najprawdopodobniej stały się posiłkiem dla jednego lub kilku kolesi, by potem zostać przemienionymi w bezwzględne morderczynie; ostatecznie pozostawiono je jak problem gryzoni dla nowych lokatorów.

Rwący się pomruk kobiecych głosów przeszywa powietrze, gdy chwytam Anyę i ukrywam ją w swoich ramionach. Moje skrzydła instynktownie otulają ją, gdy zwroty typu „rude zło” i „ten drugi” są wypowiedane szeptem pełnym przerażenia. Gankanagowie najbliżej nas we wschodnim korytarzu próbują się wycofać, przepychając innych, jakbyśmy właśnie wypuścili gaz łzawiący na tłum protestujących. Lecz gdzieś z tyłu dobiega szczekliwy rozkaz ataku.

– Oj! Ten drugi szaleje – mówi cięty, męski głos. – Teraz jesteście potężni... Nieśmiertelni, a on jest zaledwie waszym drugim śniadaniem...

Gankanagowie nie kupują kłamstwa Declana i nadal próbują uciec ode mnie.

– Ach, no nie, chyba sobie żartujecie – mówię, widząc Declana i Faolana, którzy stoją za próbującymi uciec kobietami. – Czyżbyście chowali się za dziewczynami? – wołam do nich. – Zdawało mi się, że czuję smród tchórzostwa.

– To nie tchórzostwo – odkrzykuje oburzony Declan. – To strategia. Uczymy je dominacji przez wojnę... I uczymy was, że kiedy nas zabijecie, my stworzymy więcej nowych istot.

– Chowacie się za ich spódnicami – drażnię ich. – I dobrze wiecie, że te kobiety nie są potężne.

– Ach, lecz mają potężny wpływ na was, prawda? To sprawiłoby wam ból, gdybyście musieli je zabić, wiedząc, że kiedyś były ludźmi – wyjaśnia Declan

z szyderczym uśmiechem.

– Zabranie jego *aspire* sprawiłoby mu większy ból – mówi Faolan tak, jakby prowadził luźną rozmowę z Declanem. – Wiesz, odkąd byłem z naszą królową, to strasznie pożądam anielicy, a jej ciemne skrzydła są niesamowicie sexy.

Kły wysuwają się z ust Faolana z kliknięciem, gdy uśmiecha się z fałszywą skromnością do Anyi. Anielica warczy na niego, a jej oczy zmieniają się w szparki. Dochodzące do nas odgłosy nadal trwającej walki przekonują mnie, że muszę ich tu zatrzymać.

– Fay – odzywa się Declan. – Czy uznałbyś to za zbyt zachłanność, gdybym próbował zatrzymać sobie dwie anielice?

– Tak, Deck. To naprawdę bardzo zachłanne – zgadza się, wskazując na mnie głową, w czasie gdy kilka ożywionych kobiet przeciska się obok niego w innym kierunku. – Co powiedziałbyś na to, że dasz nam Genevieve, a sam zatrzymasz tę drugą? – Patrzy na Anyę.

Sztywnieję.

– Czy to uczyniłoby ją tą drugą? – pyta Declan Faolana z uśmiechem.

– Zgadza się – potwierdza Faolan.

– Tak czy inaczej... – Declan uśmiecha się do mnie – my już jesteśmy bardzo oddani naszej królowej i... bez obrazy... naprawdę jesteś cudowna i pewnie w innych okolicznościach z przyjemnością bym cię spróbował – dodaje, zwracając się do Anyi.

– Popatrz – znów wtrąca się Faolan. – Zostawimy dla was w tym domu coś w rodzaju prezentu ślubnego.

– Nie licząc tej całej demolki, przez którą jest tu trochę jak na polu przyczep kempingowych, gdzie się wychowałeś – dodaje zadowolony z siebie Declan i po chwili poważnieje. – Dobra, to gdzie jest nasza królowa? – pyta przez zaciśnięte zęby.

– Declan, ty wyglądasz na śmiertelnie poważnego. – Uśmiecham się. – Ruda mówiła mi, że macie skłonności do nagłych zmian nastroju; to prawdopodobnie od żeńskich hormonów, które pochłaniacie z krwią. Pewnie dlatego łatwo się denerwujecie.

Declan bez zastanowienia tworzy ognistą kulę i rzuca ją w moim kierunku. Koncentruję się, przyciągam energię i uwalniam ją ze swojej dłoni. Moja magia zatrzymuje kulę w połowie drogi pomiędzy nami.

– Zdaje się, że twoja elficka rzutka zgubiła drogę. – Pozwalam, by ogień migotał przez kilka sekund, i rozbijam kulę na setki małych płomyków, które kieruję z powrotem do nich.

Ogień omija ich, przekierowany przez Declana. Uderza w kilka kobiet Gankanagów, zapalając ich ubrania i włosy. Choć krzyczą z przerażenia, wiadome jest, że płomienie nie są w stanie uszkodzić ich toksycznej skóry.

– To ona nauczyła cię magii? – Declan oskarża Rudą o zdradę.

– Zdziwiony? Jest moją bratnią duszą.

– I naszą królową – dodaje ponury Faolan.

– Jest też moją *aspire* – wtrąca Reed.

Stojący obok mnie Reed wygląda, jakby przeszedł przez maszynkę do mielenia mięsa. Kawałki ciała i krwi okleją jego ciemną zbroję, lecz nie widzę jego twarzy okrytej czarnym kapturem zabójcy.

– Anioł – woła Declan. – Jak to się stało, że jeszcze nie zabiłeś tego drugiego?

– Czasami mi przeszkadza – odpowiada łagodnie Reed.

– Jak odcisk? – pyta zgryźliwie Declan.

– Coś w tym stylu – odpowiada Reed i z olbrzymią prędkością zbliża się do Declana.

Reed toruje sobie drogę mieczem, przebijając się przez kobiety stłoczone w korytarzu, próbuje zbliżyć się do byłych strażników Rudej. Widząc to, Declan wyciąga z kieszeni małe, ozdobione klejnotami lusterko.

– Prawda, że przekażesz jej pozdrowienia od nas? – Otwiera pokrywę lusterka.

W tej samej chwili Declan i Faolan zaczynają kurczyć się i zmieniać kształt, jakby ktoś spuścił ich w toalecie. Otwarte lusterko opada na podłogę w miejscu, gdzie były ich stopy.

Reed zatrzymuje się przed nim i z niepohamowaną złością uderza w niepotężnym ostrzem. Obok mnie przelatuje Zee, podąża za Reedem, a ja z niedowierzaniem obserwuję, jak postać Reeda eksploduje i zamienia się w rój agresywnie brzęczących pszczoł.

Rój unosi się nad lustrem, krąży nad nim, przygotowując się do wejścia w portal. Zefir chwyta lusterko, zamyka pokrywkę tak, aby owady nie mogły

przejsć.

– Pozwolisz im się podpuścić? – pyta ze złością Zefir unoszące się w powietrzu pszczoły.

Pszczoły powoli tworzą postać Reeda, który po chwili pojawia się już w swojej anielskiej formie. Nerwowo ściąga kaptur z głowy; zęby ma zaciśnięte, groźnie łąpie na lusterku w dłoni Zefira. Zee widzi utkwiony w lusterko wzrok Reeda, więc miażdży je w palcach, nie mrugając przy tym okiem.

– Zee! – Reed wybucha całym ogromem swojej frustracji. – To było bezpośrednie przejście do Brennusa! – Krzycząc, wskazuje na bezużyteczny kawałek metalu w dłoni Zee.

– A teraz jest niczym. Od kiedy to działamy według ich zasad? – pyta racjonalnie Reeda.

– Mogłem go zabić, zabić ich wszystkich na swoich zasadach! – wydziera się na Zee. Nie widziałem Reeda w takim stanie od czasu, gdy Brennus zabrał Evie.

– Nie! – Zefir wściekle dźga palcem Reeda. – Nie wiesz, co czekało na ciebie po drugiej stronie tego portalu.

– Doskonała okazja – odpowiada pełen emocji.

– Lub doskonały koniec – rzuca chłodno Zefir.

– Co mam teraz zrobić? – pyta pospiesznie Reed. – Ten tchórz nie stanie ze mną twarzą w twarz.

– Na razie ciesz się z wyzwolenia od zła – odpowiada spokojnie Zefir. – Sorin, Tycho, Elan... znajdziemy pozostałych nowo przemienionych Gankanagów i pozbadzmy się ich. Evie się zdenerwuje, gdy ich zobaczy. A ty, Reed, zostań z Russellem i pomóż mu chronić Anyę.

Zee odchodzi w poszukiwaniu Gankanagów. Reed podnosi swój miecz, opiera go o ścianę i niedbale zdejmuje zbroczoną krwią czarną zbroję.

– Wszystko w porządku? – pytam Anyę i przytulam ją do siebie.

Kiwa głową, nie mówiąc ani słowa. Pochyliłam się, by delikatnie ucałować jej skroń. Pragnę całować czulej, ale nie wiem, jak na to zareaguje.

– Na szczęście dla mnie bardziej interesowali się Evie – mówi miękkim, drżącym głosem.

– Co? – mruczę poruszony zapachem jej skóry. Moje serce bije coraz mocniej, gdy gładzę kontury jej skrzydeł. Koniki polne w brzuchu dziko reagują



na to, że ją przytulam. Chcę ją bardzo mocno do siebie przycisnąć, gdy tylko pomyślę, co mogło jej się przydarzyć kilka minut temu.

– Jedno proste rozwiązanie załatwiłoby ci dwa problemy – odpowiada, odsuwając się ode mnie, a jej drżąca dłoń dotyka czoła. – Miałam farta, że nie byli zainteresowani wymianą. – Wypuszcza powietrze z płuc, tak jakby wstrzymała oddech z przerażenia.

Spoglądam na jej bladą twarz, na której rysuje się strach; Anya unika mojego wzroku. Po tym, co przed chwilą usłyszałem, ze złością mrużę oczy.

– Myślisz, a może nawet wierzysz w to, że oddałbym cię, gdyby tamci chcieli się wymienić? Twoje życie za życie Evie? – Obawiam się, że właśnie tak uważa.

Odchodzi ode mnie na chwiejnych nogach do miejsca, gdzie leży jej złoty łuk. Podnosi go, lecz ma problemy z założeniem strzały na cięciwę, jej palce są sztywne.

– Odpowiesz mi? – pytam ze złością.

– Nie wiedziałam... – Jeszcze bardziej sztywnieje, a głos ma odrętwiały jak ktoś, kto doświadczył traumy. – Nie wiem, do czego możesz się posunąć, aby się mnie pozbyć. Jestem zaledwie tą drugą.

– Ach, przestań! – pry cham rozdrażniony, a żołądek skręca mi się w węzeł. – Nie możesz ich słuchać, Anyu, nie możesz wierzyć w to, że oddałbym cię tym potworom!

– Stałam obok ciebie... Słyszałam, co mówili. – Zaczyna się jąkać, jej łuk drży. – Mówili, że jesteś zachłanny, że pragniesz dwóch anielic. Zamknęłam oczy i wstrzymałam oddech, bo oni nie mieli pojęcia, że ty mnie nie chcesz, że dla ciebie jestem niczym... – Mała łza spływa z kącika jej oka, wyciera ją pospiesznie. – A ten strach, którego nigdy przedtem nie znałam, sprawia mi ból. – Przykłada zaciśniętą pięść do serca i spogląda na mnie. – To nie strach przed tym, że mnie zabiją, ale przed tym, że mnie zdradzisz i skażesz na śmierć.

– Nigdy bym tego nie zrobił – oznajmiam ze smutkiem. – Musisz wiedzieć, że nigdy bym tego tobie nie zrobił – powtarzam dobitnie.

Teraz już potok łez spływa z jej zielonych oczu, gdy spogląda na zakrwawione ściany. Tak przerażonej jeszcze nigdy jej nie widziałem.

– Ja chcę... Potrzebuję... – Z trudem przełyka.

– Anyu – łagodnie wypowiadam jej imię, bo to przeze mnie jest zagubiona.

To ja sprawilem, że się mnie boi... I może boi się mnie kochać.

Coś ściska mnie w piersi. Podchodzę, by ją utulić, ale cofa się ode mnie. Zaciska zęby, unosi łuk i celując we mnie, odsuwa się.

– Anyu – odzywa się Reed. – Wiem, jaki to kuszący pomysł, żeby zabić Russella, ale proszę, nie rób tego. Potrzebuję go, by odszukał ukryte przez Gankanagów portale.

Reed, ubrany tylko w podkoszulkę i czarne sportowe spodenki, zbliża się powoli do Anyi. Wyciąga do niej dłoń, a ona powoli opuszcza łuk, jakby nie mogła go już dłużej utrzymać.

– Jest wykończona bitwą, Russell – mówi do mnie Reed niskim tonem. – Doznała szoku... Pewnie po raz pierwszy była świadkiem takiej rzezi.

Spoglądam na podłogę, wszędzie leżą kawałki ciał. Ostatnia bitwa, w której braliśmy udział, była straszna, ale ta była bardziej krwawa.

Łypię ze złością nie ze względu na to, co przed chwilą powiedział, ale dlatego, że Anya właśnie wpadła w jego ramiona i znajduje w nich ukojenie. Niski złowrogi pomruk wydobywa się z mojego gardła, co przywołuje uśmiech na twarz Reeda. Przesuwa dłoń na plecy Anyi i mocniej przytula ją do siebie.

– Nie ma nikogo lepszego niż Tron wprowadzający właściwą ilość karmy – mówi, gdy Anya dotyka swoim bladym policzkiem jego ramienia. – Tak samo się czuję, kiedy widzę, jak ty przytulasz Evie... Mógłbym wyrwać ci serce.

– A ja myślałem o tym, żeby zmiażdżyć twoje i zostawić je tam, gdzie było – odpowiadam zgorzkniale.

– Tak... Karma. – Uśmiecha się szeroko.

Mówi do Anyi coś w języku aniołów, lecz ona nie odpowiada, wygląda na sparaliżowaną. Unosi ją w ramionach i próbuje powstrzymać uśmiech, gdy ja warczę na niego. Podchodzi do mnie i składa ją w moich ramionach, jej głowa spoczywa na mojej piersi. Z trudem powstrzymuję się, by jej nie przycisnąć zbyt mocno.

– Sofy w bibliotece, którą mijaliśmy w północnej wieży, wyglądały na wygodne. Chodź, znajdziemy jedną dla Anyi – proponuje Reed.

– Myślisz, że wszystko będzie z nią dobrze? – pytam zmartwiony. Już kiedyś, w wielu moich poprzednich życiach, widziałem żołnierzy z takim spojrzeniem, ale nie anioła.

– Tak. Znajdziemy kilka koców i ją okryjemy. – Zbiera swoją broję

i wychodzi z nami na korytarz.

– Cholera, Reed, wiesz, co to znaczy?

– Nie, co? – Wygląda na zaskoczonego pytaniem.

– To znaczy, że nie jesteś sztywnym, pozbawionym emocji dupkiem, który kradnie bratnie dusze, tak jak myślałem – odpowiadam poirytowany.

Brwi Reeda łączą się, gdy analizuje, co przed chwilą powiedziałem.

– A ty nie jesteś... – tu wypowiada coś w języku aniołów – którym myślałem, że jesteś.

– Tak, jasne... – Na moich ustach pojawia się uśmiech, gdy kierujemy się w dół kolejnego długiego korytarza.

– Tak, właśnie – zgadza się.

## Rozdział 18

### Witaj w domu

EVIE

Zachmurzone nocne niebo nie oświetla terenu otaczającego posiadłość Brennusa, lecz mój anielski wzrok sprawia, że wszystko widzę bardzo dobrze – zbyt dobrze. Łuski z wystrzelonej amunicji leżą na ziemi jak żołędzie przy starym dębie, wyrwane z korzeniami sosny i rozdarta darnina przypominają martwych żołnierzy po straszliwej bitwie.

Ze statku zakotwiczonego przy irlandzkim wybrzeżu przelatuję o własnych siłach obok klifów. Nadal widzę zacierające się ślady opon na trawniku, pozostałość po mojej desperackiej ucieczce z więzienia. Upstrzone gwiazdami niebo rozdarło się dla Reeda i dla mnie, kiedy mknąc wzdłuż krawędzi skał, weszliśmy do portalu prowadzącego do Londynu. Teraz to samo niebo, które kiedyś było moim współnikiem w misji, by być z Reedem, jakby nie godziło się na moją obecność. Wiatr nawiewa mi włosy na twarz, jak gdyby chciał w ten sposób powiedzieć, że jest zły z powodu mojego powrotu, po tym jak kiedyś ostatkiem swoich sił pomógł uratować mi życie.

Łąduję na zwirowym okrągłym podejździe przed masywną kamienną fasadą forticy Brennusa. Przez szyby sączy się blask światła, w otwartych oknach falują białe firany. Skupiam się na każdym kolejnym kroku. To prosty plan, który nie wymaga zbyt wiele wysiłku. Przynajmniej nie powinien.

Zbliżam się do imponujących kamiennych gargulców przed oświetlonym wejściem. Zatrzymuję się na moment rozproszona wilgotnym chłodem, który pada na mnie z jednego z nich. Po obu moich stronach stoją Tau i Xavier – ten nie marnuje czasu i niszczy kamiennego potwora. Kawałki kamienia padają u moich stóp.

– Nie jesteś fanem sztuki? – pytam złośliwie, uśmiechając się, aby ukryć swoje wahanie.

– Nie, nie jestem fanem zła. – Obdarowuje mnie idealnym uśmiechem.

Spoglądamy przez frontowe wejście, anioły Mocy są wszędzie. Nie rozpoznaję żadnego z nich. Wszystko, czego chcę, to znaleźć Reeda, Russella i Zee i upewnić się, że z nimi wszystko okay. Niestety nie wiem, jak te nieznanne anioły zareagują na moją obecność, więc zaczynam układać sobie w myślach inną trasę.

– Jakiś problem? – pyta spokojnie Tau.

– Znasz ich? – Moje szare oczy spotykają jego wzrok, gdy wskazuję na wojownicze anioły, które poruszają się w forticy jak rój wewnątrz ula.

– Te anioły Mocy? – upewnia się Tau, a jego kasztanowe brwi unoszą się w łuk.

Kiedy przytakuję, bacznie przygląda się tłumowi. Niektóre anioły usuwają zniszczone meble, podczas gdy inne reperują szklany sufit rozbity przez armię Upadłych Casimira. To było wtedy, kiedy zaatakował Brennusa, by mnie dorwać. Niektóre z nich gapią się na nas pustym wzrokiem bez wyrazu.

– Rozpoznaję kilka, ale większości nie znam – odpowiada cierpliwie Tau.

– Czy wiedzą, że przybywam? – Wbijam paznokcie w swoje dłonie, ponieważ anioły poruszają się z nienaturalną prędkością i nie mogę rozpoznać, czy są przyjazne.

– Tak, dlaczego pytasz? – dziwi się.

Spoglądam na twarz Xaviera, która pochmurnieje po tym, jak odczytał język mojego ciała.

– Ponieważ tym, którzy o mnie nie wiedzą, zwykle odbija. – Wzruszam ramionami, a Xavier uważnie mi się przygląda. Unoszę głowę i celowo udaję się do najmniej zatłoczonego wejścia.

– Już nie jest tak jak kiedyś – odpowiada Tau i delikatnie dotyka mojej dłoni.

– Więc dlaczego czuję się jak kryminalistka na zjeździe policjantów? – Powstrzymuję się, by nie wypalić, że dla mnie to jest jak wejście do jednej z piwnic w jaskini Brennusa w Houghton. Nie chcę o tym z nimi rozmawiać.

– Jesteśmy tu, żeby cię chronić – oznajmia Tau poważnym tonem.

– Z tego, co pamiętam, to ty nawet nie chciałeś powiedzieć mi, co było zadane z matematyki, kiedy opuściłam zajęcia – atakuję go zdenerwowana. – A, i gdybyście nie zauważyli, to was jest dwóch, a ich ponad setka. Nie macie przewagi, panowie.

– Jesteś niebiańską Serafinką – odpowiada Xavier zamiast Tau. – Jesteś

wyższej rangi anielicą. A uciekanie z lekcji, żeby zjeżdżać z górki na tacach ze szkolnej stołówki, nie jest zachowaniem godnym pochwały.

– Skąd o tym wiesz? – pytam podejrzliwie, lecz po chwili odpuszczam i nie drażę dalej. – Nieważne. Bycie Serafinką coś dla nich znaczy. Ale jestem także dla nich rażąco ludzka. – Uwalniam swoją dłoń z uchwytu Tau.

– Jesteś połączeniem obu tych istot i zabiję każdego, kto się z tym nie zgadza – odpowiada nieco mniej poważny Xavier.

– Proszę, daruj sobie żarciki. – Przewracam oczami.

– Ja nie żartuję – odpowiada przytomnie. – Pokaż mi tych, którzy mają jakieś zastrzeżenia, a ja ich wykończę.

– Nie dajmy się zwariować... Większość aniołów jest przyzwyczajona do status quo. Jeśli to możliwe, nie powinniśmy robić im krzywdy – odpowiadam przerażona jego agresją.

– Sądysz, że jestem w błędzie? Naprawdę nic nie pamiętasz z Raju? – Gdy kręcę głową, dodaje: – Zamierzam wprowadzić tutaj rządy... nasze rządy.

– Dlaczego tak musi być? Oni prawdopodobnie uważają mnie za koszmar – wzdycham.

– Anioły Mocy są silnymi wojownikami. We wszystkim chodzi o moc. Upewnię się, czy wiedzą, że twoja moc łączy się z moją. – Xavier ignoruje to, co powiedziałam.

Celowo zajmuje miejsce na środku średniowiecznego foyer, które zawsze uważałam za lobby w tym zamku. Stojąc obok kutej z żelaza kolumny, poniżej wieżyczek, Xavier przemawia po anielsku do otaczających go aniołów Mocy.

Żar z kamiennego kominka ogrzewa mnie, gdy obserwuję Xaviera. Jego olbrzymie skrzydła rozkładają się imponująco, karmazynowy dowód jego mocy. Na ich widok przechodzi mnie impuls energii.

– Co on mówi? – pytam Tau, który z aprobatą przygląda się tej scenie.

– Właśnie ogłosił twoje przybycie.

– Och... I to wszystko? – pytam sceptycznie. – Dla mnie to brzmiało tak, jakby powiedział dużo więcej.

– Ogłosił też ten dzień Dniem Ruiny dla wszystkich, którzy się tobie sprzeciwią – dodaje, cmokając.

– Dzień Ruiny? Kto tak mówi? – Marszczę brwi. – Co to znaczy?

– To znaczy, że każdy, kto sprzeciwia się twojej obecności, jest zaproszony do walki z nim, aby okazać swoją niechęć – odpowiada Tau niezwykle usatysfakcjonowany. – Oni uznają siłę, więc pokaże im siłę.

Patrzę na oświetlonego płomieniami z kominka Xaviera, który z pogardą spogląda na każdego innego anioła, jakby był bezwzględnym dyktatorem na wiecu, gdzie palono książki. Każda część jego ciała wskazuje na to, że jest gotów natychmiast zareagować nawet na najmniejszy znak prowokacji. Czuję mrowienie, gdy oceniam kilka szeregów aniołów znajdujących się w tym pomieszczeniu.

Jak długo jest w stanie z nimi walczyć? – zastanawiam się, gdy przerażenie rysuje straszne wizje w moim umyśle.

– Lubią też, gdy traktuje się ich jak równych – stwierdzam. Podchodzę i staję u boku Xaviera.

– Ekhm, czy mogę coś powiedzieć? – pytam rozdrażniona. Oczy wszystkich kierują się na mnie. – Cześć, jestem Evie – przedstawiam się, rozglądając się dookoła. – Nastąpiła mała zmiana planów... Nie będzie żadnego Dnia Ruiny. – Spoglądam ze złością na Xaviera. – Zamiast tego chciałabym wam wszystkim podziękować za pomoc. Może kiedyś już się spotkaliśmy... Tak czy inaczej, przekonacie się, że nie jestem straszna i że możemy być... przyjaciółmi?

Potok melodyjnych głosów rozbrzmiewa wokół nas, a anioły przyglądają mi się tak, jakby chciały mnie stopić i sprawdzić, z czego jestem zrobiona. Na szczęście Tau staje przed nami i przemawia. Mówi w języku aniołów, więc nic nie rozumiem, lecz to brzmi tak, jakby wydawał im rozkazy. Na twarzy każdego z nich pojawia się spojrzenie pełne szacunku, gdy go słuchają.

– Czy to była twoja najlepsza próba przekonania ich do siebie? – szepcze do mojego ucha Xavier.

– Nie, próbowałam nie dawać im powodu, by ciebie zaatakowali – odparowuję ze złością. – Ale teraz nie jestem pewna, dlaczego miałabym się tym przejmować.

Policzek Xaviera ociera się o mój.

– Więc przybyłaś, aby mnie uratować? – pyta kuszącym tonem, z nutką humoru. – Ty to masz dużo odwagi. Już zapomniałem, jak to jest być blisko ciebie... ten twój złowrogi urok... ta dzika tęsknota, którą wyzwalas. Przez ciebie będę musiał nauczyć się oddychać od nowa.

– W porządku – odpowiadam sarkastycznie i delikatnie oblizuję wargi. – Nie

chcę niszczyć twojego wyobrażenia o mnie, ale próbowałam tylko chronić siebie.

– Nie, gdyby tak było, próbowałybyś uciec, lecz tego nie zrobiłaś. Weszłaś na arenę i stanęłaś obok mnie – odpowiada.

Zagryzam wargę; muszę przyznać mu rację.

– To była normalna reakcja na zaistniałe zagrożenie – spieram się z nim.

– To była normalna reakcja anielicy chroniącej swoją bratnią duszę – odpowiada jak sprawny taktyk.

– Nie, każda normalna kobieta próbowałaby załagodzić sytuację. – Uśmiecham się lekko.

Xavier unosi dłoń i bawi się kosmykiem moich włosów.

– Nie ma w tobie niczego zwyczajnego... zaakceptuj to. Pokażę ci, kim jesteś.

– A kim jestem? – Unoszę brew, odsuwając jego dłoń od swoich włosów.

– Jesteś moja – odpowiada łagodnie z przekonaniem. Światło z żyrandola nad naszymi głowami sprawia, że jego włosy stają się złote, a skrzydła nabierają głębokiego odcienia czerwieni. – Rozedrę niebo, abyś to zrozumiała.

Czuję, jak motyle w moim brzuchu zrywają się do lotu, spoglądam na drzwi, które prowadzą do zachodniej wieży. Pomimo zdenerwowania na moich ustach pojawia się uśmiech.

– Reed – mówię z ulgą tak intensywną, że miękną mi kolana.

Obserwuję go, jak podchodzi do mnie, i podziwiam sposób, w jaki się porusza. Po chwili mój wzrok pada na jego nagą pierś. Ciemnoszare skrzydła, złożone niedbale z tyłu, rozwijają się po tym, jak moje, trzepocząc, przekazują mu jakiegoś rodzaju sygnał. Nie mogę powstrzymać się przed dotykaniem go, kiedy jest przy mnie, obejmuję ramionami jego szyję, a moje czerwone skrzydła się rozkładają. Staję na palcach i dotykam jego twarzy policzkiem.

– Wszystko dobrze? Nic ci nie jest? – szepczę do jego ucha, niby pytając, niby okazując ulgę.

Czuję, jak obejmuje mnie i przyciska do siebie.

– Tak, nic mi nie jest. A tobie? – Opływa mnie jego niesamowity zapach; sięgam dłońmi do jego włosów.

Xavier wydaje z siebie niski pomruk, zanim udaje mi się odpowiedzieć



na pytanie. Natychmiast sztywnieję, lecz Reed mimo to składa długi zmysłowy pocałunek na moich wargach. Po chwili opiera czoło o moje i mówi:

– Tęskniłem za tobą.

Delikatnie się uśmiecha.

– Nie musiałbyś za mną tęsknić, gdybyś pozwolił mi pójść ze sobą. – Opuszczam dłoń na jego ramię.

– Bezbłędne rozumowanie – odpowiada z uśmiechem.

– Czy znaleźliście coś... złego? – Próbuję nie wstrzymywać oddechu.

– Tak – potwierdza. – Wszystko udekorowano z mocną przesadą.

Patrzę na niego ze złością, bo wiem, że celowo nie odpowiada na moje pytanie. Dłoń Reeda osuwa się na mój bok, odwraca mnie tak, byśmy mogli stanąć twarzą w twarz z Tau i Xavierem.

– Rezydencja i pobliskie grunty nadal są zabezpieczone. Zefir i Russell kontynuują poszukiwanie ukrytych zaklęć i portali, ale jest ich bardzo dużo... Tyle udało nam się ustalić. Może trochę potrwać, zanim Evie zdoła bezpiecznie poruszać się po całej posiadłości. – Reed składa raport Tau.

– Będzie dobrze chroniona – zapewnia Xavier chłodnym głosem. – Nie odstąpię jej na krok.

– Nie jesteś nam do tego potrzebny – oznajmia równie chłodnym tonem Reed, a jego palce delikatnie dotykają znamienia na piersi. – Ja się nią zaopiekuję.

– Xavier jest strażnikiem Evie. Bezbłędnie wypełni to zadanie. – Szare oczy Tau spoglądają na mnie.

Reed bardziej przyciska mnie do siebie i nadal próbuje zachować spokój. Czuję jego napięcie, moje serce przyspiesza, gdy rumieniec okrywa mi twarz, jakbym właśnie została przyłapana na czymś wstydlwym.

– Jej strażnikiem? Przecież jest Serafinem. – Reed przechyla głowę, okazując niezadowolenie.

– Byłem strażnikiem Evie od chwili jej stworzenia – odpowiada Xavier.

– Jasne, czas, żebyś przypisał się do innej duszy – odpowiada Reed, mrużąc zielone oczy. – Ta tutaj jest teraz moją *aspire*.

– Nie ma dla mnie innej duszy ani innej anielicy – oznajmia Xavier głosem pozbawionym emocji. – A jeśli wierzysz, że na nią zasługujesz, to ja jestem

tu po to, by ci pokazać, jak bardzo się mylisz.

– W takim razie czekam na walkę – odpowiada Reed, uśmiechając się z przyjemności.

– Nie będziesz musiał długo czekać. – Taki sam uśmiech pojawia się na twarzy Xaviera.

– O czym wy mówicie? Jaka walka? – pytam zaniepokojona ich zadowolonymi minami.

– Kochanie, wyjaśnię ci to później – zapewnia Reed delikatnie i pięcioma palcami mój policzek.

Tau nie podziela ich entuzjazmu.

– Evie zgodziła się zjeść ze mną obiad dziś wieczorem. Spotkam się z Prebenem i zaaranżuję wszystko. – Jego wzrok łagodnieje. – Chciałabyś odpocząć przed posiłkiem?

– Nie, wszystko w porządku. Chciałabym za to zostać sama z moim *aspire* – odpowiadam mu stanowczo; nadal czuję się dziwnie w jego towarzystwie.

– W takim razie do zobaczenia później – żegna się z uśmiechem.

– Okay – odpowiadam nieśmiało. Próbuję nie zeszywnieć, kiedy pochyla się i całuje mnie w skroń. – Zabierasz go ze sobą, prawda? – Wskazuję na Xaviera.

Tau mówi coś do Xaviera, na którego twarzy uśmiech powoli zamienia się w grymas.

– Zostaję z nią. – Xavier powoli kręci głową.

– Ja z nią będę. Będzie pod moją ochroną – oznajmia spokojnie Reed.

– Brennus mógł się do niej zbliżyć, gdy była pod twoją ochroną – atakuje Xavier z nieukrywaną pogardą.

– Każdy mógł się do niej zbliżyć, kiedy wy pozbawiliście jej ochrony.

Reed ukrywa mnie za sobą; Xavier nagle traci kontrolę i w złości zbliża się do nas. Tau porusza się szybciej, przytrzymuje go przed Reedem, kładąc mu dłonie na piersi. Ciemne skrzydła Reeda są równie rozłożyste jak złowrogie karmazynowe skrzydła Xaviera.

– Zabierz Evie do jej przyjaciół. Martwiła się o nich – zwraca się Tau do Reeda.

Zatrzymana w bezruchu gapię się na Xaviera. Oddycha ciężko, jakby próbował odzyskać nad sobą kontrolę; i spogląda mi w oczy. Mówi do mnie

w języku aniołów; jego słowa brzmią tak, jakby były wypełnione bólem.

Reed musi delikatnie pociągnąć mnie za rękę, abym udała się razem z nim korytarzem prowadzącym do zachodniej wieży. Dopiero w połowie drogi rozpoznaję, gdzie jestem.

– Co powiedział Xavier? – Zauważam srogie spojrzenie Reeda.

Natychmiast zmienia kierunek i prowadzi do przylegającej alkowy, przyciska mnie do kamiennej ściany i otacza ramionami.

– Kim on dla ciebie jest, Evie? – Próbuje znaleźć odpowiedź w moich oczach.

– Znałam Xaviera w liceum, byliśmy przyjaciółmi. No dobrze, może trochę więcej niż przyjaciółmi, ale później mu odbiło i zaczął zachowywać się tak, jakby mnie nie lubił... Nie wiem. Powiedział... Xavier powiedział, że znaliśmy się, zanim mnie tu przysłano... że łączyło nas coś więcej niż przyjaźń. Lecz przysięgam, nie pamiętam go. Wcale nie pamiętam Raju. – Ogarnia mnie panika spotęgowana poczuciem winy.

Reed przyciąga mnie do siebie i namiętnie całuje.

– Przepraszam... oczywiście, że nie pamiętasz – mówi z ustami przy moich wargach; jego dłoń spoczywa na moim sercu, które bije jak oszalałe.

– Co powiedział?

– „Co było, będzie znów” – odpowiada po chwili, mrużąc. Widzi moje zakłopotanie i dodaje: – To nasza mantra... To znaczy, że pewnego dnia wojna o niebo zakończy się, a my zjednoczymy się w Raju pod władzą Boga.

– Och... – Spoglądam na Reeda, czując ulgę, że Xavier nie mówił niczego o mnie.

– Ale – podejmuje łagodnie, a ja spoglądam na niego. – Nie uważam, by o to mu chodziło. Myślę, że miał na myśli siebie i ciebie: co było, będzie znów.

Unoszę ramiona i go obejmuję.

– Wiesz, że cię kocham. To ty i ja... zawsze.

– Myślałem, że on zginął – mówi niskim tonem. – Twój anioł stróż. Kiedy pojawiłaś się sama w Crestwood... Byłem pewien, że miałaś anioła stróża. Wtedy doszedłem do wniosku, że musiał zostać uśmiercony.

– Powiedział, że został wezwany do Nieba. Nie mógł odmówić – mamroczę cicho; nie bardzo rozumiem, co Reed ma na myśli.

– Byłaś przy tym, jak dusza się unosiła, Evie. Wiesz, jaka to moc, i gdyby się

temu opierał, to zmuszono by go siłą – odpowiada poważnie Reed.

– Więc... Niebo mogłoby cię zabrać... Zmusić, byś mnie zostawił? – Chłód przerażenia wypełnia mnie na myśl o utracie Reeda.

– Mogliby zabrać mi ciebie i potem sprawić, byś zapomniała o tym, że kiedykolwiek mnie kochałaś... że mnie pragnęłaś – odpowiada ze smutkiem. – Zdaje się, że właśnie to zrobili Xavierowi.

– Nie wolno im tego zrobić! Sprzeciwię się, będę o ciebie walczyć – deklaruje ostrym głosem, a Reed dotyka wargami moich ust i mocno całuje.

– Nie mów tak, Evie – szepcze. – Jesteś ukochana w ich oczach... Jakikolwiek plan mają wobec ciebie, to jest celowy. Musisz wierzyć w ten plan.

– Gdyby mi ciebie zabrali, to byłoby tak, jakby pozbawili mnie serca – tłumaczę szybko.

– A ty właśnie teraz udowodniłaś mi, jak bardzo jestem ukochany w twoich oczach i w oczach Raju. Żyłem przez wieki i nigdy nie miałem nadziei, że usłyszę moją emocję odbijającą się echem tak namiętnie w sercu innej osoby. – Oczy Reeda łagodnieją.

Czując się lepiej po tym, co usłyszałam, kładę policzek na jego ramieniu.

– Xavier powiedział, że jest ze mną od mojego stworzenia – mówię beznamiętnym tonem. – Czy to znaczy, że zawsze byłam do tego przeznaczona... że te wszystkie życia z Russellem... to wszystko prowadziło do tego... Czy to nadal jest jedna, ciągle trwająca misja?

– Pytasz mnie o to, czy wierzę, że stworzono cię właśnie do tego celu?

– Mhm.

– Myślę, że podarowano ci wolność wyboru własnego przeznaczenia. To właśnie to czyni cię tak bardzo nieprzewidywalną... Śmiertelnie niebezpieczną. Masz doskonałą twarz pokerzysty, ponieważ prawie w ogóle nie wiesz, co będziesz za chwilę robić. – Reed przytula mnie delikatnie. – Słuchasz swojego niezawodnego instynktu, który podlega twojemu sercu.

– Nie wiem, jak niezawodny jest mój instykt... Zgodziłam się dziś zjeść obiad z Tau – przypominam cicho.

– To było bardzo zachowawcze. – Uśmiecha się.

– Tak myślisz? – Udaję wesołość. – Sądziłam, że to będzie doskonała okazja, aby odzyskać trochę kontroli, której pozbawiły mnie Serafiny.

- Naprawdę? – prycha rozbawiony.
- Mhm – przytakuję. – Chcę, by wiedzieli, że jesteśmy zespołem... Jednością. To my podejmujemy decyzje, które wpływają na nasze życie, nie oni.
- Jak to sobie wyobrażasz?
- Hm, niedobrze – odpowiadam, poruszając brwią.
- Nie ma prawie nikogo wyższego stopniem niż Tau, a ty jesteś jego córką. Dopiero co cię odnalazł i nigdy nie zamierzał cię opuścić.
- Więc mówisz, że będzie próbował odzyskać kontrolę nad całym moim istnieniem?
- Wszelkimi koniecznymi środkami – ostrzega mnie Reed.
- Wspaniale – wzdycham. – Sprawdzę, czy ktoś ma jakieś leki na nadkwasotę, której mogę dostać po tym posiłku.
- Dlaczego nie spróbujesz go poznać? – Obejmuje mnie w talii i prowadzi na korytarz.
- To znaczy, że mam nawiązać z nim relację? – Marszczę nos. Mijamy kilka korytarzy i orientuję się, że zabiera mnie do północnej wieży.
- Tak.
- Nie ufam mu – odpowiadam delikatnie.
- Może jeśli mu pozwolisz, to zasłuży na twoje zaufanie. – Reed zatrzymuje się przed zamkniętymi drzwiami do biblioteki. – Evie, jest jeszcze coś, co możesz zrobić.
- Tak?
- Anyi przydałby się ktoś, komu ufa – wyjaśnia łagodnie. – Właśnie zobaczyła rzeczy, których nie powinny oglądać świeżo przybyłe anioły.
- Och, co się stało?
- Musieliśmy wykończyć kilku nowych Gankanagów. W zasadzie to kobiety z haremu. W pewnym sensie to było okrutne. – Niechętny uśmiech pojawia się na jego twarzy. Wiem, że w jego ustach słowo „okrutnie” oznacza „obrzydliwie”.
- Och. – Nagle blednę. – Czy z nią wszystko okay?
- Przydałaby się jej przyjaciółka – przyznaje i otwiera drzwi do biblioteki. Rozglądam się po pomieszczeniu, wiele aniołów Mocy, które były z nami

w Chinach, zasiada na kanapach i krzesłach obitych brązową skórą. Większość francuskich drzwi, które ciągną się wzdłuż pomieszczenia, pozostała nietknięta, a tylko kilka z nich zabito deskami. Odkryte belki stropowe powodują, że biblioteka wygląda jak ożebrowanie statku... bardzo podobna do stropu w kościele. Ogień żywo płonie w dużym kominku po drugiej stronie pomieszczenia. Z trudem rozpoznaję Anyę siedzącą na jednym z krzesel, zwróconym do kominka. Zdaje się taka mała i nieruchoma.

Brennus kazał mi unikać tego pomieszczenia, ponieważ tutaj gromadzili się ludzie z jego elity, to był taki klub dla dżentelmenów. Sama moja obecność tutaj sprawia, że czuję się tak, jakbym była nieposłuszna. Nagle dociera do mnie, że ponownie jestem uwięziona w eleganckim więzieniu; na całym moim ciele pojawia się gęsia skórka. Gardło zaciska mi się na widok ścian. Odruchowo szukam dłonią księżycowego medalika, który kiedyś nosiłam na szyi, lecz teraz go tam nie ma. Został spalony na wyspie, a wraz z nim wielu ożywieńców, którzy nazywali to miejsce swoim domem.

– Wszystko w porządku? – pyta zmartwiony Reed.

– W porządku – odpowiadam z wymuszonym uśmiechem. – Usiądę na chwilę z Anyą.

Na drżących nogach podchodzę do krzesła.

Any nie spogląda na mnie, tylko nieprzerwanie gapi się na ogień. Nie chcąc przesuwając krzesła bliżej niej, siadam na podłodze obok jej nóg, aby razem z nią gapić się w płomienie. Kiedy nie sprzeciwia się mojej obecności, sięgam po jej dłoń, a mój policzek spoczywa na jej kolanie. Dociera do mnie, że może być jedyną istotą, która prawdopodobnie wie, jak się czuję. Siedzimy tak, trzymając się za ręce, gdy zjawia się Russell i bierze Anyę w ramiona. Potem siada na jej miejscu, sadzając ją sobie jak dziecko na kolanach.

– Przestań patrzeć na ogień takim szklanym wzrokiem jak u lalki, Ruda. Zaczynasz mnie przerażać. – Russell gładzi długie ciemne włosy Anyi.

– Nie mam spojrzenia jak lalka – odpowiadam, mrugając.

– Tak, pewnie! Lalki mojej siostry Scarlett mają więcej wyrazu niż wy dwie – odpowiada. – No i one były adoptowane.

Uśmiecham się, zapominając przez chwilę, gdzie jestem.

– Tak sobie rozmyślałam. – Wstaję; prostuję i rozciągam odrętwiałe nogi.

– Dobrze, ja też rozmyślałem i uważam, że nie wolno wam beze mnie zbliżać

się do pokoju ze zbroją rycerza – mówi nakręcony.

– Kościół... hmm, Rycerski Bar? – pytam, uważnie go obserwując. Wygląda na bardzo zmęczonego, na starszego.

– Tak, to ten. – Przeczesuje dłonią włosy. – Właśnie musiałem przejść obok niego i włos jeżył mi się na ramionach, jakbym przechodził obok własnego grobu – wyjaśnia.

– Jeszcze nie jesteś martwy – mówi delikatnie Anya i sprawdza, czy z Russellem wszystko w porządku.

– To takie wyrażenie – wyjaśnia. – Mówiłem tylko, że to miejsce było toksyczne i wypełnione złą energią. Zee wszedł tam na chwilę, a ja czekałem na zewnątrz, lecz niczego nie znalazł. Myślę, że będę potrzebował waszej pomocy, jeśli tam wejdziemy. Z tym miejscem jest coś nie tak.

– Więc lepiej zostawmy je w spokoju – odpowiadam przejęta. – Jest tutaj mnóstwo innych pomieszczeń, w których możemy przebywać.

– Umowa stoi – zgadza się szybko Russell, co bardzo mnie denerwuje. – Będę trzymał się od tego miejsca z daleka, jeśli wy też będziecie go unikać.

– Naprawdę nie mam zamiaru oglądać tego wnętrza ponownie. – Przypominam sobie, jak Casimir postrzelił mnie w tym pokoju, a ja prawie zniszczyłam go moim zaklęciem. To tam Brennus został zmuszony uwolnić mnie od magicznego kontraktu, który mnie z nim wiązał.

– Pomyśleliśmy, że tak będziesz chciała, więc uprzątamy wschodnią i południową wieżę. Nie miałaś dostępu do nich, kiedy tu byłaś, więc przebywanie w nich powinno być dla ciebie mniej bolesne, masz mniej wspomnień związanych z nimi – przekonuje Russell.

– Dzięki, Russ – mówię cicho, zaskoczona jego przemyśleniami.

– To pomysł Reeda – przyznaje. – A potem te dwie szalone przejęły pałeczkę i zajęły się wszystkim. Czy tego chcesz, czy nie, i tak będziesz w wieży haremu, ponieważ Kosiarze oszalały, kiedy ją zobaczyły. To znaczy, odbiło im, ale w dobrym znaczeniu – dodaje, aby nie obrazić Anyi.

– Więc „odbiło” może mieć dobre i złe znaczenie? – dopytuje Anya; nadal trzyma głowę na ramieniu Russella.

– Tak, wiem, że to się myli, ale i tak uczysz się bardzo szybko. Załapałaś to błyskawicznie – mówi swoim najśłodszym i najbardziej czarującym tonem.

– Co to znaczy „te dwie szalone”? – Anya próbuje nadążyć.

– Ach, to Buns i Brownie. – Uśmiecha się i delikatnie gładzi jej włosy za uchem.

– Kiedy tu przybyły? – pytam.

– Tuż przed tobą, ale jako para generałów. Rozkazują aniołom Mocy, każą im przesuwac meble i to jest śmieszne, bo wiadomo, że są na tyle silne, że mogłyby zrobić to same – szydzi. – Myślę, że lubią rozkazywać.

– I jak nam idzie?

– Choroba, one sprawiają, że te anioły chodzą za nimi, jakby były prezentami, które trzeba otworzyć. – Mruga okiem. – A czego się spodziewałaś?

– No tak – odpowiadam. – To do nich podobne.

– Teraz cały świat leży u ich stóp. – Uśmiecha się Russell. – Były w kuchni i planują imprezę w stylu pizza party. Dla mnie to brzmi dobrze, bo umieram z głodu. Przyszedłem tylko po Anyę. Idziesz z nami?

– Nie mogę – mówię z żalem. – Mam zjeść obiad z Tau, ale zabierzcie Reeda i przypilnujcie, żeby coś zjadł, dobrze? – Spoglądam na Reeda, który siedzi z innym aniołem Mocy w drugim końcu pokoju. Nasze spojrzenia spotykają się i odnoszę wrażenie, że obserwował mnie przez jakiś czas, a może nawet przez cały ten czas.

Russell podąża za moim wzrokiem.

– On martwi się o nas. Może pogadałabyś z ojcem i dowiedziała się, jaki jest plan gry?

– Pewnie, zapytam go o to po tym, gdy już się dowiem, jak spotkał moją mamę. – Krzywię się, nie ukrywając sarkazmu.

– Twoja matka jest jego *aspire* – mówi cicho Anya; oboje spoglądamy na nią. Widząc moje zdziwienie, dodaje: – Spotkałam ją tylko raz, bardzo dobra... Eee, miła?

Russell kiwa głową; jego oczy są równie wielkie jak moje.

– Teraz zrobiło się dziwnie... I nie wiem, czy dziwnie w dobrym znaczeniu, czy złym. – Russell spogląda na Anyę. – Widziałaś jej mamę?

– Przez mały czas. – Wzrusza ramionami.

– Krótko? – pytam.

– Krótko – poprawia się. – Właśnie wróciła z Ziemi. Jest bardzo starą duszą, bardzo mędrzec... hm, mądra? – pyta nas.



– Tak, to właściwe słowo. – Na twarzy Russella pojawia się spojrzenie w stylu „a niech mnie”. A ja całkowicie się z nim zgadzam.

– Jak miała na imię? – pytam, poszukując wyjaśnienia. Potrzebuję dowodu potwierdzającego jej słowa.

– Nie bardzo rozumiem. Ty chcesz powiedzieć: jak ma na imię? Ona jest, a nie była. Ona istnieje, a nie czas przeszły. – Kręci głową. – Nie znam jej ziemskiego imienia, ale znana jest jako... – Anya wypowiada jedno słowo w języku aniołów, które brzmi podobnie do „Vivian”. Przeciąga jego wymowę, dzięki temu imię brzmi bardziej lirycznie... Piękniej, niż da się to wyrazić ludzkimi sylabami.

To, co właśnie usłyszałam od Anyi, sprawia, że moje serce wyrywa się z piersi, a ja sama czuję, jakby cały mój świat zatrzęsł się i runął. Zawsze uważałam wszystko związane z Rajem jako abstrakcję, jak coś, co istnieje, ale ma odległe znaczenie lub przeznaczenie. To było jak próba wyobrażenia sobie dalekiego miejsca, Marsa lub jednego z księżyców Saturna. Ktoś mógłby tam się udać, gdyby spełniał warunki konieczne do przetrwania. Ja nigdy nie znałam swojej matki i nigdy nie mogłam wyobrazić sobie jej inaczej niż na zdjęciach. Tak naprawdę nie istniała dla mnie. Nie była i nie mogła być prawdziwa... aż do teraz.

– O czym... o czym rozmawiałyście, kiedy się spotkałyście? – pytam Anyę, a wiele innych pytań kłębi się w mojej głowie.

– Ona cię zostawiła... Nie dała rady chronić tak, jak chciała... I zostawiła też swojego *aspire*... bardzo... trudno?

– Tak... trudno – potwierdzam bezbarwnym głosem, zamyślona.

– Jak powiedzieć: zrezygnować z czegoś ważnego, czegoś nieporównywalnie ważnego, po to, by postąpić sprawiedliwie?

– To poświęcenie – podsuwam delikatnie.

– Bardzo trudne poświęcenie dla niej – mamrocze pod nosem. – I dla niego też. – Podnosi głowę i wskazuje na stojącego w drzwiach Tau. – Powiedziała, że wtedy umarła w jego ramionach.

Podnoszę się z podłogi, staram się wygładzić dzinsy i widzę, jak Reed wita się z Tau. Russell wstaje z Anyą u boku, gdy Tau i Reed zbliżają się, by nas powitać. Tau kiwa głową, pozdrawiając Russella, i wypowiada kilka słów do Anyi w języku aniołów, a ta po chwili uśmiecha się nieco speszona jego obecnością.

- Gotowa? – zwraca się do mnie.
- Hm, tak. – Zawstydzona czuję rumieńce na twarzy. – Znajdę cię, kiedy skończymy – zapewniam nerwowo Reeda.
- Będę czekał – oznajmia z uśmiechem i podchodzi. Tuli mnie do siebie i szepcze do ucha: – Wyluzuj.
- Próbuję.
- Pozwolisz? – pyta Tau, a ja przytakuję i pozwalam się prowadzić do drzwi biblioteki.

## Rozdział 19

### Obiad

– Dokąd idziemy? – pytam Tau, który skręca we wschodni korytarz.

Powoli otoczenie staje się całkowicie mi nieznane, ponieważ nigdy nie pozwalano mi przebywać w tej części, kiedy Brennus tu rządził.

Tau zwalnia, gdy zbliżamy się do lakierowanych na czarno drzwi. Każde ze skrzydeł ozdobiono napisami wtopionymi w fornir. Masywne złote kołatki w kształcie kłów groteskowo zwisają na środku każdej połowy.

– Powinniśmy zapukać? – Unoszę brew.

– To nie będzie konieczne. – Tau szeroko otwiera drzwi.

Gestem zaprasza mnie do wejścia; krocę przed nim po czarnej polerowanej podłodze z drewna. Na środku pokoju, pod czarnym żyrandolem ustawiono dla nas piękny okrągły stół. Połączane celtyckie węzły nieskończoności zdobią katedralne sklepienie. Delikatne snopy światła padają na idealnie biały obrus, na którym elegancka biała porcelana, zdobiona czernią i złotem, doskonale współgra z ciemnoczerwonymi różami.

Tau odsuwa dla mnie jedno z dużych, pokrytych aksamitem krzeseł. Rozglądam się, a moje palce ocierają się o główki złotych gwoździ tapicerskich, którymi zabezpieczono tkaninę. Wzdłuż ściany za stylowym barem umieszczono finezyjny czarny stojak na wina.

– Jesteś głodna, Evie? – Tau zajmuje miejsce po przeciwnej stronie stołu.

– Tak. – Kiwam głową i rozkładam serwetę na swoich udach.

– Ja też. – Uśmiecha się i spogląda przez ramię na anioła, który właśnie wszedł przez drzwi za barem. – Ach, Aldo.

Sztywnieję, gdy Aldo zatrzymuje się przy stole, odgłos gwałtownego brzęczącego trzepotu papieropodobnych skrzydeł jak u ważki wibruje w powietrzu z siłą piły łańcuchowej. Ten niepokojący dźwięk sprawia, że adrenalina wydziela się do moich mięśni, a skrzydła z impetem rozkładają się za moimi plecami.

Freddie! Myślę, gdy przerażenie zaczyna przejmować kontrolę.

Bez zastanowienia chwytam z blatu nóż, obracam się i z zawrotną prędkością przykładam ostrze do gardła Aldo. Jego skrzydła znów brzęczą, co doprowadza mnie do szału, i pragnę je wyrwać.

– Na kolana – rozkazuję przez zaciśnięte zęby, wprost do ucha Kosiarza. Wykonuje polecenie bez chwili zastanowienia. – Czego chcesz? – Przyciskam nóż do jego szyi, lecz nie robię mu krzywdy.

– Przyszedłem przywitać się i zapytać, co mogę dla ciebie przygotować... – Milknie.

Spoglądam na Tau, nadal oddychając spokojnie. To ja kontroluję sytuację, a nie ten Kosiarz. Mogę pozbawić go głowy jednym ruchem.

– Evie, odłóż ten nóż. – Oczy Tau stają się wąskie, jakby czytał w moich myślach. Po chwili mówi coś w języku aniołów do Aldo.

– Kim on jest? – pytam Tau podejrzliwie i nie słucham jego rozkazu.

– Kosiarzem. – Jego twarz nadal nie wyraża żadnych emocji. – Jest jednym z najlepszych szefów kuchni, których miałem przyjemność spotkać. Teraz jednak wątpię, czy będzie chciał coś dla nas przygotować poza przypalona grzanką. Odłóż ten nóż, zanim Aldo odniesie wrażenie, że go nie lubimy.

Przyglądam się opalizującym skrzydłom – nie są niebieskozielone jak u Freddiego, ich kolor jest mieszanką fioleto i fuksji. Niemal natychmiast krew odpływa mi z twarzy. Upuszczam nóż, który z brzękiem opada na podłogę. Odsuwam się od Aldo.

– Przepraszam. Twoje skrzydła przypomniały mi o kimś... – Mój głos jest odległy; jestem przerażona tym, jak strasznie się zachowałam.

Tau wstaje z krzesła, podchodzi do mnie i tuli do swojej koszuli. Z głową przy jego piersi słucham, jak rozmawia z Aldo w języku aniołów. Kucharz wstaje z kolan i odchodzi w ciszy, zostawia nas samych. Tau gładzi pióra moich skrzydeł.

– Masz imponującą prędkość. – Ściska mnie, a po chwili odsuwa od siebie, abym mogła popatrzeć mu w twarz.

– Dzięki. – Unikam jego wzroku i pozwalam doprowadzić się do krzesła.

Podaje mi moją serwetkę. Siada po przeciwnej stronie stołu i napełnia mój szklany kieliszek płynem z eleganckiej karafki. Próbuję – smakuje jak sok winogronowy.

– Przydałoby się coś mocniejszego. – Pochyliłam się nad kieliszkiem.

– Niestety ten stojak na wina służy do przechowywania innej cieczy. Jest wypełniony krwią... ludzką i... inną. – Pochmurnieje.

Baczenie spoglądam na stojak, który ciągnie się wzdłuż całej ściany. Wybór butelek jest olbrzymi.

– Zaskoczyłaś mnie swoim zachowaniem – przyznaje, obserwując, jak piję sok.

– Naprawdę? Nie spodziewałaś się, że zaatakuję kucharza? – pytam z nieukrywanym sarkazmem. A zaraz po tym zawstydzona odstawiam kielich. – Zatem witam w moim świecie, gdzie nieoczekiwane staje się normą.

– Dlaczego go zaatakowałaś? Nie wyczułem żadnego zagrożenia.

– Nie wyczułyś, prawda? – pytam retorycznie. – On jest dla ciebie tylko jednym z Kosiarzy. Lecz gdybyś chociaż przez chwilę był człowiekiem, to wiedziałabyś, że Kosiarze są silni; dysponują brutalną siłą.

– Będziesz musiała mi wyjaśnić, o co ci chodzi. Czy to ma coś wspólnego z tym Kosiarem, który zawarł układ z Gankanagami w zamian za twoją duszę? – Jego oczy stają się wąskie.

– Miał na imię Freddie... Alfred Standish – odpowiadam, a w oczach Tau pojawia się błysk oznaczający, że wie, o kogo chodzi. – Spotkałam go w Crestwood i myślałam... Myślałam, że jest człowiekiem, takim jak ja – wyjaśniam, spoglądając na niego.

– Ale ty nie jesteś tylko człowiekiem...

– Tak, i on o tym też wiedział.

– Więc cię nękał – próbuje dowiedzieć się czegoś więcej.

– Nękał mnie... Powiedziałaś o wszystkim Russellowi, był moim najlepszym przyjacielem.

Słyszę, jak Aldo zbliża się do nas, stawia koszyk z bułkami tuż przed Tau. Jego sztywne skrzydła stają się jeszcze sztywniejsze, gdy próbuje nie patrzeć na mnie.

– Pozwól, że zamówię dla ciebie, Evie – proponuje Tau, a ja przytakuję.

Po przyjęciu zamówienia Aldo odwraca się i idzie do kuchni. Zatrzymuję go, gdy przechodzi obok mnie, kładąc dłoń na jego ramieniu.

– Aldo... – Spoglądam w jego piękne brązowe oczy. – Przyjmij moje

przeprosiny. Przeraziły mnie twoje skrzydła i zareagowałam w sposób, którego teraz bardzo żałuję.

Wzrok Aldo przesuwają się z mojej dłoni na jego rękawie do mojej twarzy. Światło delikatnie padające z góry nadaje jego ciemnobrązowym włosom złoty połysk, gdy w kącikach jego ust pojawia się uśmiech.

– Myślisz, że moje skrzydła są przerażające?

– Bardzo straszne – przytakuję poważnie, nie mogąc doszukać się żadnego innego podobieństwa do Freddiego.

– Mogę je złożyć, jeśli to coś pomoże – dodaje z uśmiechem, jakby właśnie usłyszał komplement.

– Nie, nie musisz... Ja muszę być odważniejsza – odpowiadam, uśmiechając się nieznacznie.

– A kto spośród nas mógłby być odważniejszy? – pyta Aldo. Kiedy widzi moją zdziwioną minę, uśmiech na jego twarzy się poszerza. – Przygotuję ci coś specjalnego.

Opuszczam dłoń z jego ramienia, a on znika w drzwiach za barem.

– Powinienem go zabić – oznajmia Tau delikatnie, a ja spoglądam na niego wielkimi oczami. Przez chwilę wydaje mi się, że mówi o Aldo. Tau musiał zauważyć moje zmieszanie, ponieważ precyzuje: – Alfreda. Xavier chciał to zrobić, ale uważałem, że powinniśmy poczekać i dowiedzieć się, jakie mają plany.

– Co? – Tyle udaje mi się wykrztusić; moje usta stają się suche.

– On był w Crestwood przed tobą. Czy poszłaś do jego domu przed szkołą, aby zjeść lunch? – pyta całkiem poważnie.

Przytakuję bezmyślnie.

– Xavier rozdarłby go na kawałki... Żarliwie przy tym obstawał, lecz ja pozwoliłem ci pójść, byśmy mogli się rozeznać, o co Alfredowi chodzi. Wtedy nie miałem pojęcia, że zostawiam cię bez ochrony przed nim.

– Wiedziałaś, że Freddie... Alfred zamierzał pojechać za mną do Crestwood, i nic z tym nie zrobiłaś? – żądam wyjaśnienia.

Na doskonałej twarzy Tau pojawia się grymas złości.

– Myślałem, że będziemy mogli się nim zająć po tym, jak doprowadzi nas do swoich współników. Chciałem poznać wszystkich graczy... Zorientować się,

jakie plany mają wobec ciebie upadłe Serafiny – wyjaśnia.

– Kiedy ostatni raz mnie widziałeś? Kiedy cię wezwano?

– Twojego pierwszego dnia w Crestwood. Planowaliśmy z tobą pojechać. Cole zabezpieczył nasz dom tak, byśmy mogli poczekać, aż zaczniesz się przemieniać. – Urywa.

– Dlaczego czekać? Dlaczego nie mogliście przekazać mi tego, co powinnam wiedzieć? – pytam zdenerwowana, że nic mi nie powiedział, kiedy miał na to szansę... wiele szans.

– Evie, byłaś szczęśliwa jako człowiek. Świat miał dla ciebie sens – mówi smutno. – Czekają cię wiele poważnych zadań i trudnych chwil, chciałem, żebyś była dzieckiem tak długo, jak to możliwe, a w momencie, gdybyś się o tym dowiedziała, zakończyłoby się twoje dzieciństwo.

Próbuję uspokoić emocje, trzymam w dłoni kieliszek i oczekuję dalszych wyjaśnień.

– Pamiętasz, jaka byłaś podenerwowana tego ranka, kiedy wyjeżdżałaś do szkoły? – Uśmiecha się kpiąco. – Cały czas sprawdzałaś, czy Jim ma wystarczające zapasy jedzenia na tydzień, wszędzie przykleiłaś karteczki, żeby nie zapomniał odebrać ubrań z pralni...

Spoglądam na niego, na jego łagodne oczy i kiwam głową w nadziei, że będzie mówił dalej. Zaczyna mnie ogarniać ta sama nerwowość, którą czułam tamtego ranka.

– Obserwowałem cię, jak wsiadałaś do samochodu... pełna nadziei i jednocześnie smutna.

– Byłeś tam... – szepczę; zdaję sobie sprawę, że mówi prawdę. On tam był... oni tam byli.

– To zdarzyło się zaraz po tym, jak zjechałaś z podjazdu – podejmuje z goryczą w głosie.

– Co się zdarzyło?

– Cole zaczął się unosić. Próbował się temu oprzeć, lecz jego wysiłek był nadaremny. To przyciąganie jest dla nas równie silne jak przyciąganie duszy... Zaczął blaknąć i w pewnym sensie stawał się cieniem samego siebie...

– Widziałam, jak dusza unosi się do nieba, kiedy ukrywałam się przed Paganem – mówię odrętwiała.

– Tak, Pagan. – Krzywi się, wypowiadając jego imię. – Wtedy poznałaś

intensywność tej siły... wszechogarniającą potrzebę posłuszeństwa wobec prowadzących i przywołujących cię aniołów... – Milknie, gdy kiwam głową.

– A więc ty i Xavier wznieśliście się z Cole'em?

– Nie, my się oparliśmy... – Tau kręci głową.

– Zrobiliście to? – przerywam mu zaskoczona, że przyznał się do nieposłuszeństwa wobec Nieba.

– Pojechaliśmy za tobą do Crestwood. Niebo nad nami odbijało echo głosów wzywających nas do powrotu, ale gdy nie usłuchaliśmy ich, zdecydowano nas zabrać siłą. Xavier zaczął blaknąć, kiedy dotarł do twojego pokoju w Crestwood. Był przekonany, że go widziałas, ponieważ wołałaś do niego, pytałaś, kim jest – opowiada z udręką w głosie.

– Och, mój Boże! – Przypominam sobie powrót do mojego pokoju pierwszej nocy i świadomość, że widziałam cię przemykający przy ścianie, gdy weszłam. – Ten cię to był...

– Xavier. Okazał się szybszy i zjawił się przede mną. Ja też blakłem. Kiedy przybyłem, mogłem tylko obserwować cię z wyjścia przeciwpożarowego... Wtedy skaleczyłaś się w palec... Chciałem powiedzieć ci o nas... opowiedzieć o wszystkim... Ale nie tak miało się stać... Uniosłem się do nieba – wyjaśnia. – Ja... to znaczy my, byliśmy zdezorientowani i źli – odpowiada zgorzkniałym tonem. – Czuliśmy się zdradzeni.

– Czyż nie taki był plan? – pytam, wytrzeszczając oczy.

– To nigdy nie był mój plan... Ani Xaviera... On był niepokieszony. – W jego słowach nie ma ani odrobiny beztroski.

– Ale byliście w Raju, prawda?

– Myślisz, że to ma znaczenie?

– A nie ma? To Raj... No wiesz, Niebo.

– Nic nie wiesz o Raju poza ludzkimi domysłami i informacjami z drugiej ręki. Mam rację?

– To prawda.

– Chcę, żebyś coś dla mnie zrobiła. Proszę, zamknij oczy. – Czeka, aż wykonam jego prośbę.

Zamykam oczy i słucham pięknego brzmienia jego głosu.

– A teraz wyobraź sobie Jima...



Zaciskam powieki, słysząc imię mojego wujka.

– Przywołaj obraz, kiedy pozostawiasz go, wiedząc, jak bardzo jest bezbronny w porównaniu z jakimkolwiek upadłym aniołem. Wiedząc, że nie tylko je przyciąga, ale także powoduje w nich zazdrość.

Czuję, jak ból ogarnia moje serce.

Tau ciągnie dalej.

– Wiesz, jak bardzo kruchy jest Jim... że mogłabyś bez trudu rozplatać go na pół. A teraz weź pod uwagę moją olbrzymią wiedzę na temat zabijania. Gdybyś miała wyobrazić sobie każdą możliwą torturę, której byłaś świadkiem, i skazać go na nią, to i tak byłoby to niczym w porównaniu z tym, jaki ból czułem, opuszczając ciebie – wyznaje cicho.

Łzy ciurkiem płyną z moich zamkniętych oczu.

– A teraz wyobraź sobie najbardziej przerażające miejsce. Wyobraź sobie Szeol, gdzie zapach gnijącego ciała byłby ulgą, i wyobraź sobie, że oni go tam zabierają. Tak bardzo ukochany przez ciebie Jim jest teraz nie do rozpoznania, ponieważ albo przepadł u nich, albo zamieniono go w coś tak brzydkiego, że z trudnością mogłabyś spojrzeć na niego i na ślady okrucieństwa, którego doświadczył.

Powoli otwieram oczy, Tau sięga po moją rękę.

– Czy myślisz, że Niebo mogło mnie wtedy pocieszyć, gdy miałem świadomość, że zostawiłem swoją córkę?

Kręcę głową, boję się spojrzeć mu w oczy.

– Widziałeś Jima? – pytam, lecz mam wrażenie, że z moich ust wydobywa się tylko jęk.

– Xavier i ja odnaleźliśmy go – przytakuje.

– Co z nim zrobili? – Próbuję powstrzymać łzy rozpacz i złości. – Wyobraziłam sobie każdą możliwą mękę. Czy oni go torturowali?

– Nie pamiętał niczego o swojej śmierci... Ani o torturach lub bólu. Jest zadowolony – mówi delikatnie, a ja szlocham, czując ulgę. – Dał mi coś, abym ci przekazał... I teraz jest na to właściwy moment. – Puszczą moją dłoń.

– Co takiego? – Tracę oddech.

Wstaje z krzesła i podchodzi do mnie, nachyla się i delikatnie całuje mnie w mokry od łez policzek. Kiedy spoglądam mu w oczy, mówi:

– Mam ci powiedzieć, że bycie twoim ludzkim opiekunem to największy zaszczyt, jakiego mógł dostąpić.

– Jak on mógł tak powiedzieć? – pytam kucającego przy mnie Tau, a on wyciera serwetką łzy z moich policzków. – Ja go nie ochroniłam.

– Nie mogłaś go ochronić. To nie twoja wina, lecz moja.

– Dlaczego to miałyby być twoja wina? – Pociągam nosem. – Ciebie porwano do Raju.

– Wszystko to nie zdarzyłoby się, gdybyśmy na samym początku pozbyli się Alfreda. Nie siedzielibyśmy teraz w zniszczonym zamku Gankanagów. – Wraca na swoje miejsce. Patrzy na mnie ze smutkiem, a grymas wykrzywia mu usta.

Próbuję się pozbierać, biorę bułkę i kładę ją na talerzu, a po chwili przekazuję koszyk Tau.

– Wiesz, co teraz powiedziałyby nam Russell? – Czekam, aż weźmie ode mnie chleb.

– Nie mam pojęcia – odpowiada.

– Powiedziałyby, że jesteśmy głupi – wyjaśniam, rozrywając bułkę.

– Naprawdę? – Kładzie pieczywo na swoim talerzyku.

– Tak – potwierdzam, gryząc bułkę. Chwilę trwa, zanim udaje mi się przełknąć. Naśladując akcent Russella, mówię: – „Jesteście głupi i arogancy, myśląc, że udałoby się wam to zrobić bez pomocy Nieba. Tak miało być... czuję to i możecie albo nad tym płakać, albo się tym zająć”.

– To by właśnie powiedział? – pyta, zagryzając swoją bułkę.

– Mhm.

– Powinniśmy go zabić? – Uśmiecha się, reagując na mój śmiech.

– Nie, jeszcze nie. Lubię go mieć przy sobie. – Biorę łyk soku i przeżuвам kolejny kęs. – Więc ty nas nie znałeś wcześniej... mnie i Russa?

– Nie – odpowiada. – Poznałem was na ludzki sposób, kiedy się urodziliście.

– Serio?!

– Serio. – Uśmiecha się. – Uznano, że będziesz się czuła bardziej jak moja córka, jeśli nigdy nie spotkamy się w Raju. Mieli nadzieję, że związę się z tobą bardziej, jeśli będę czuł, że zostałaś stworzona jako moje dziecko.

– Zadziałało?

– Czy tutaj jestem?

– Och... – Moje policzki stają się różowe.

– Cole cię znał. I oczywiście Xavier wiedział o tobie wszystko. Zwykł opowiadać historie o twoich poprzednich życiach... O twoich przygodach, wyprawach. Po wysłuchaniu kilku z nich nie mam wątpliwości, dlaczego wybrano cię do tej misji.

Świadomość, że Xavier był zawsze ze mną, zaczyna mnie przenikać.

– Mogę cię o coś zapytać?

– Tak. – Uśmiechem podkreśla, że ciągle go o coś pytam.

– Jeśli anioł stróż jest cały czas z jakąś duszą, czy to oznacza, że wie znacznie więcej niż jej bratnia dusza? – pytam, oblana rumieńcem.

– Możliwe, że był świadkiem wielu więcej rzeczy niż bratnia dusza – odpowiada. – Przemawia za tym też to, że mogli być razem w Raju aż do czasu, gdy bratnie dusze zostały połączone.

– To się często zdarza?

– Nie – odpowiada powoli, jakby podkreślając coś, czego nie chcę zaakceptować.

– A co z aniołem stróżem Russella? Gdzie on jest?

– Russell miał ich wielu, inny dla każdego życia na ziemi. Nie jest powszechne posiadanie tylko jednego anioła stróża na całe życie.

– Jak bardzo niepowszechne? – dopytuję, nie mogąc się powstrzymać.

– Nigdy nie słyszałem o innej parze takiej jak ty i Xavier. Także nie jest powszechne, by Serafin strzegł duszy.

Kurczę się na słowa Tau.

– Dlaczego za każdym razem Russell dostawał innego anioła stróża? – pytam poirytowana, wiedząc, że nie miał żadnej ochrony z Nieba, kiedy dorastał.

– Nie każda dusza ma swojego strażnika. Przeważnie są zarezerwowani dla dusz wykonujących specjalne zadania.

– Tak? – Czuję niezadowolenie, ponieważ okazuje się, że zawsze miałam anioła stróża, który teraz myśli, że należę do niego.

– Anioły Cnót pomagają większości dusz, kiedy to konieczne. Pomyślano, że anioł stróż dla Russella zwracałby uwagę innych na niego... Niepożądaną uwagę. Był dużo bardziej bezpieczny, gdy urodził się wśród mas, ukryty wśród

ludzkiej rasy. Przyszedł na ten świat pierwszy, pamiętasz? To było celowe – tłumaczy Tau. – Został człowiekiem, aby nie zwracać na siebie uwagi.

– Nie tak jak zwracałaby na siebie uwagę półanielica.

– Właśnie – zgadza się Tau.

– Dobra, ale gdy poszedł do szkoły, żeby mnie poznać, to dlaczego nie dano mu wtedy ochrony?

– Wierzę, że znasz na to odpowiedź – odpowiada Tau.

Podano obiad; uśmiecham się grzecznie i potakuję Aldo, który wyjaśnia, co dla mnie przygotował. Nie słyszę tego, co mówi, tylko rozmyślam o ostatnich słowach Tau. Russell nie otrzymał ochrony, ponieważ nie miał pozostać tutaj na ziemi. To ja zmieniłam plan, ale być może ten plan został wcześniej zmieniony. Tau musiał odejść i to nie był jego plan. Freddie mógł mnie dostać i to znów nie był plan Tau. Być może Niebo ma swój własny plan działania, który jest utrzymywany w ścisłej tajemnicy.

Udaje mi się uśmiechnąć i podziękować Aldo, zanim opuści pokój. Przez chwilę jemy w ciszy.

– Jak to było? – pyta Tau i widząc, że zdziwiona unoszę brwi, dodaje: – Dowiedzieć się, że jesteś anielicą. Przechodzić przemianę w anielicę.

– Ja... rany – jąkam się, nie wiedząc, co powiedzieć. – To... Trudne pytanie.

– Przepraszam. Nie powinienem go zadawać. – Pochmurnieje. – Jak twój posiłek?

– W porządku. Mhm... Zamknij oczy – proszę cicho i czekam cierpliwie, aż to zrobi. – Może... Może to jest trochę podobne do przebywania samemu w pędzącym pociągu po raz pierwszy w życiu. Podekscytowanie i ciekawość związane z nowym doświadczeniem powoli ustępują miejsca poczuciu, że coś jest nie tak. Kolejny raz sprawdzasz bilet i widzisz, że może popełniłeś błąd... to nie jest ten pociąg, którym chciałbyś pojechać. Początkowo próbujesz temu zaprzeczyć. Obserwujesz przesuający się krajobraz i starasz się znaleźć jakiś znajomy punkt, ale to uspokaja cię tylko na chwilę. Wkrótce przerażająca obcość terenu za oknem powoduje, że wpadasz w panikę. Niszczycielski strach, którego nie możesz zignorować, napędza twój umysł, aby poszukiwał drogi wyjścia. Lecz pociąg porusza się tak szybko, a ty wiesz, że nie możesz z niego wysiąść, dopóki się nie zatrzyma. Więc wracasz powoli na swoje miejsce i usiłujesz nie zwracać na siebie uwagi, ponieważ nieznajomi w pociągu mają dziwny, sztuczny wygląd. Jakakolwiek znajomość z nimi przeminęła i już nie

jesteś jednym z nich. Jesteś tylko osobą, która jedzie niewłaściwym pociągiem. Ta wiedza zaczyna ci ciążyć, w miarę jak oddalasz się od miejsca, do którego chciałeś się udać. Próbujesz kontrolować swój strach i przekonujesz samego siebie, że być może ten nowy kierunek podróży będzie lepszy od tego, który sobie wcześniej zaplanowałeś. Potem gdzieś po drodze odkrywasz, że twój bagaż jest niewłaściwy, i wiesz, że źle się przygotowałeś do podróży, aby ją przetrwać – opowiadam załamującym się głosem, a w moich oczach ponownie pojawiają się łzy. – To jest trudne... – Przerывam, kiedy Tau spogląda mi prosto w oczy. Biorę głęboki wdech i powstrzymuję płacz. – Ale wtedy... Wtedy zauważasz, że nieznajomy siedzący obok ciebie nie jest taki jak pozostali pasażerowie... Nie zwracając uwagi na to, że siedzisz na jego miejscu, próbuje ci pomóc rozwiązać węzeł, w który się wplątałeś. Ponieważ ten nieznajomy jest tak doskonały, zaczynasz się relaksować i zapominasz, że jesteś w niewłaściwym pociągu.

– Reed jest tym nieznajomym w pociągu. – Jego słowa nie brzmią jak pytanie.

– Tak.

– A co z Xavierem?

– A co z nim? – odpowiadam, ukrywając emocje.

– On nie odchodzi – zauważa Tau. – On cię kocha.

– Prawie go nie znam – rzucam niespokojnie. – Tak naprawdę nie jest tą samą osobą, z którą chodziłam do liceum, prawda?

– Co się stanie, kiedy twoja dusza się przebudzi i to się zmieni? Co się stanie, kiedy go sobie przypomnisz?

– Nie wiem... Może to się nigdy nie zdarzy.

– Zapomniałem, jaka jeszcze jesteś młoda, Evie. – Marszczy brwi. – Twoja dusza, twoje serce i twój umysł kiedyś będą ze sobą w zgodzie i wtedy może poczujesz to inaczej.

– Tak myślisz? – W moim tonie pojawia się irytacja. – Russell cały czas próbuje przypomnieć mi nasze poprzednie życie, a ja nadal nic nie pamiętam. Jednak czuję więź, która mnie z nim łączy. Moja dusza rozpoznaje jego duszę. Dlaczego nie czuję czegoś podobnego do Xaviera?

– Nie wiem, dlaczego pełne pasji jądro twojej duszy nie rozpoznaje go – mówi, odzyskując spokój. – Ale to z powodu twojej misji zdecydowano ukryć

to, co mogłoby cię zdradzić. Gdyby tak nie było, wszystko stałoby się dla ciebie jasne.

– Czy kiedykolwiek będziemy wiedzieć wszystko, co jest w naszych sercach? – pytam. – Siedzę tutaj w imperium Brennusa... Butelki z krwią leżą wzdłuż ścian jak trofea, a ja nadal nie mogę uwierzyć w to, kim on naprawdę jest... W to, że jest mordercą.

– Nie postrzegaj rzeczy tylko swoim sercem, Evie. Nie patrzysz na niego trzeźwo, odkąd zabrał cię z północnej biblioteki... Poczuj go... jego smak, jego zapach... On czuje twoją miłość, lecz jej nie odwzajemnia.

– Brennus chce, bym przetrwała – wzdycham sfrustrowana.

– Tylko dla swojej przyjemności, a nie po to, żebyś żyła bez niego. I pozostanie przy tobie tak długo, jak będziesz mu do tego potrzebna.

– A Xavier? Czy on też będzie przy mnie? Bo ja mam swojego *aspire*.

– On nie uznaje tego za prawomocną więź... Żaden z nas tego nie uznaje – dodaje Tau spokojnie.

– Dlaczego? – pytam całkowicie obrażona.

– Nie zrozum mnie źle. Jestem wdzięczny Reedowi, że cię chroni, i to, że chciał związać swoje życie z twoim, świadczy o jego uczuciach do ciebie – wyjaśnia poważnym tonem. – Lecz tej decyzji towarzyszyło zagrożenie śmiercią... I ta oferta. Obawiam się, że przyjdzie czas, kiedy łaska tej oferty nie wystarczy, byście byli razem.

– Myślisz, że zachowałam się nie fair, przyjmując propozycję Reeda? – Czuję, jak wstyd pojawia się na moich policzkach.

– Obawiam się, że piękno twojej miłości może zniewolić niczego niepodejrzewających... A taka miłość jak ta jest... zwodnicza – wyjaśnia ostrożnie.

– Reed nie jest moim niewolnikiem – bronię się. – Nasz związek jest oparty na partnerstwie.

– Jego życie uległo całkowitej zmianie, upodobniło się do twojego – odpowiada. – To, że on pokazał taką siłę w bólu, jest świadectwem jego miłości do ciebie, lecz czy to nie tylko chłodny, zimowy wiatr rzucił cię w jego ramiona?

– Wątpisz w moją miłość do niego? – pytam z niedowierzaniem. – Uważasz, że mu się oddałam, aby uzyskać jego pomoc?

– Uciekłaś przed nim prosto w ramiona Brennusa – odpowiada.

– Próbowałam go chronić! – przerywam. – Nie wiesz, jak było. W końcu dowiedziałam się, że nawet anioły Boskie pragnęły mojej śmierci. Ledwo uciekłam przed Paganem, który na mnie polował. Zniszczyłyby go, gdyby znalazły nas razem.

– Jeśli go kochałaś, to dlaczego udałaś się do Dominium i błagałaś, żeby cię zabili?

– Nie błagałam, żeby mnie zabili. Przedstawiłam to jako opcję i zrobiłam to, by go chronić! Pozbawiłam się nadziei, że uratuję własną skórę, ponieważ myślałam, że oszczędzę Reeda i Zee, oddając za nich swoje życie – wyjaśniam.

– I nie wiedziałaś, że twoja śmierć wszystko by w nim zabiła? – pyta, mrużąc oczy.

Na mojej twarzy pojawia się smutny uśmiech.

– Wiesz, to ty sprawiłaś, że zostałam wychowana tak jak człowiek, a teraz dziwisz się, że myślę tak jak człowiek. Nie zastanawiałam się zbyt długo nad tym, jak przetrwa wieczność beze mnie. Miałam tylko nadzieję, że będzie mu dana.

– Zdziwiło mnie to, że nie uznałaś wszystkich jego poświęceń, aby utrzymać cię przy życiu – odpowiada Tau.

– To jest spostrzeżenie z perspektywy anioła – odpowiadam. – Może ty to zrozumiesz. Będę walczyć o niego z całych sił. Nie pozwolę mu odejść... Nie mogę.

Oczy Tau stają się ciemniejsze. Gdy spogląda na mnie, zauważam, że się czymś martwi.

– Co?

– Właśnie myślałem, że może nie będziesz miała wyboru. Xavier rzuci wyzwanie Reedowi...

– Rzuci mu wyzwanie? Jakie wyzwanie? O co?

– O ciebie – odpowiada Tau.

– Nie, nie zrobi tego. – Odkładam widelec, ponieważ straciłam apetyt. – Nie mogę na to pozwolić.

– Jak to powstrzymasz? To sprawa między nimi.

– Odejdziemy stąd – oznajmiam konkretnie.

– Bez nas? – Tau też odkłada widelec i opiera się na krześle.

– Przebywanie z tobą było jak odrobina nieba – mówię z sarkazmem. – Lecz teraz mogę chronić siebie i wszystko to, co jest moje. – Odkładam serwetę na stół.

– Chcesz odejść? Tak po prostu? – pyta takim tonem, jakby uważał mnie za naiwniaczkę.

– Chciałam odejść po tym, jak rozprawimy się z Brennusem – poprawiam go. – Mamy tutaj misję do wykonania. Nie widzę powodu, by tu zostać, kiedy się skończy.

– Czy możesz pomyśleć o przynajmniej jednym innym powodzie? – pyta poirytowany.

Przez chwilę gapię się w sufit, wruszam ramionami i spoglądam Tau prosto w oczy.

– No dobrze, jeszcze to, że jesteś moim ojcem, ale mam dziewiętnaście lat i już czas odlecieć z gniazda.

– A fakt, że mam wyższą rangę od ciebie, w ogóle się liczy?

– Chwileczkę, masz na myśli stopień? – Przewracam oczami.

– Właśnie tak – odpowiada chłodno.

– Nie reaguję na stopnie.

– To na co reagujesz? Na siłę?

– O czym ty mówisz? – Powoli marszczę brwi.

Tau pochyla się i stanowczo kładzie dłoń na blacie. Z trudem udaje mi się powstrzymać, żeby się nie odchylić przed jego agresywną postawą i jednocześnie utrzymać kontakt wzrokowy. Badawczo mi się przygląda.

– Mówię, że jeśli planujesz dać nogę bez mojego pozwolenia, to lepiej już zacznij biec i się nie zatrzymuj, ponieważ znajdę cię i odpowiesz za to.

– Zmusiłbyś mnie, bym się przed tobą ukrywała?

– A czy ty zmusiłabyś mnie, bym na ciebie polował?

– Zdajesz sobie sprawę, że już nie jestem tą małą dziewczynką, którą opuściłeś? – mówię prawie groźnie.

Pochylam się do niego bliżej, przybieram jego postawę i gromadzę energię wokół siebie. Pozwalam, aby wyciekała z moich palców i rozprzestrzeniała się powoli nad stołem, pokrywając wszystko krystalicznym szronem. Tau nawet nie patrzy na zamrożony kieliszek z wodą ani nie spogląda na moją twarz. Jego



skrzydła wystrzeliwują zza pleców, niszcząc stojące za nim krzesło.

– Czyżbyś chciała spróbować na mnie swojej magii? To lepiej mnie zabij, ponieważ jeśli tego nie zrobisz, zapłacisz mi za to – cedzi złowrogim tonem.

– Nie chcę cię zabić, chcę tylko niezależności. – Wstaję błada jak duch. Tau jest silniejszy ode mnie. Czuję się jak dziecko, które próbuje wynegocjować, żeby później iść spać.

– Nie ma czegoś takiego jak niezależność. Nie istniejesz tylko dla własnej rozrywki.

– Nie istnieję także dla twojej rozrywki – argumentuję.

– Jesteś aniołem i to sprawia, że podlegasz naszemu prawu, poza tym nie znajduję w tobie niczego zabawnego, żebyś miała być dla mnie rozrywką. – Wskazuje na mnie zza stołu.

– Czy to oznacza, że już wyrosłam ze słodkiego dziecięcego wieku? – Krzyżuję ramiona na piersi. – Zapomniałeś, że jestem też człowiekiem.

– Jak mógłbym o tym zapomnieć, skoro jesteś tak podobna do matki? – Jego skrzydła delikatnie opadają.

– Mojej matki... – Milknę, czując, że smutny wyraz twarzy powoli znika.

– Byłaby w tym lepsza...

– Nie mogłaby być gorsza – mówię niskim tonem i zagryzam wargi, gdy widzę jego ponurą minę. – Rozwaliłeś swoje krzesło. – Wskazuję na połamany mebel na podłodze.

– Trudno cię przejrzeć, Evie – wzdycha sfrustrowany. – Masz tak wiele twarzy i wszystkie z nich są sobie przeciwstawne. Jesteś naiwna, lecz mądra, niezależna, ale podległa, szczerze wyrafinowana, uparcie posłuszna...

– Rozumiem: jestem wadliwa. – Unoszę dłoń, by go powstrzymać; prostuję się.

– Jesteś doskonale wadliwa i właśnie to jest w tobie tak pociągające – wyjaśnia delikatnie. – Jesteś bardzo podobna do matki.

– A ty bezczelnie schlebiający, więc to sprawia, że jestem bardziej podobna do ciebie. – Pocieram rozgorączkowane czoło.

– Może tak... Oboje mamy silną wolę.

– Więc co teraz? I nie mów, że deser, bo nie jestem głodna.

– Pytasz, jakie mam plany wobec ciebie? – Gdy przytakuję, dodaje: –

Zamierzam cię trenować.

– Umiem walczyć.

– Znasz kilka technik, ale co z prawdziwą strategią? – Kręci głową. – Planuję także nauczyć cię o twojej pozycji tutaj i w Raju. Potrzebujesz pomocy w nauce języka, protokołu, negocjacji, rozpoznania anielskiego...

– Co to jest rozpoznanie anielskie?

– Umiejętność odczytywania, co twoi anielscy wrogowie myślą, jak myślą i jak się zachowują – wyjaśnia.

– Tego wszystkiego mogę nauczyć się od Reeda.

– Od Reeda możesz nauczyć się tego, jak reaguje i rozpoznaje anioł Mocy, ale co jeśli chodzi o Serafina, a szczególnie upadłego Serafina? Reed nie może cię tego nauczyć – odpowiada Tau.

– Zdziwiłbyś się tym, co potrafi. Może nauczyć cię dużo o półludziach.

– Liczę na to, gdyż zdaje się, że mam w tym braki – odpowiada. – Doceniam jego pomoc.

– Pragnę nauczyć się wszystkiego tego, o czym mówiłeś, w czasie, gdy tu jesteśmy, ale chcę czegoś w zamian. – Obserwuję, jak przechyla głowę, podobnie jak to robi Reed, gdy słucha uważnie.

– Jakie są twoje warunki?

– Chcę dowiedzieć się o niej... Mojej matce. – Wstrzymuję oddech, lecz po chwili oddycham szybko.

– Co chcesz wiedzieć?

– Wszystko.

– Chciałbym ci o niej opowiedzieć – zgadza się łagodnie.

– Dobrze. – Kiwam głową. – Możemy zacząć jutro. – Odwracam się i podchodzę do drzwi.

– Evie, powiedziałaś: „w czasie, gdy tu jesteśmy”. Jak mam to rozumieć?

Zatrzymuję się, zamykam oczy i poruszam ustami, nie wydając głosu. Cholera. Otwieram oczy i powoli odwracam się, by spojrzeć na ojca.

– Chodziło o to, że po tym, jak dorwiemy Brennusa, warunki naszej umowy zostaną spełnione.

– Tak też myślałem – odpowiada niewzruszony. – Czy mogę zgłosić jedno

małe zastrzeżenie? – pyta retorycznie. – Warunki umowy, które próbujesz tu określić, nie są w zasięgu twojej kontroli. Pozostaniesz tutaj, dopóki nie zdecyduję inaczej, kiedy my, ty i ja, się stąd ruszymy. Razem. Niewywiązanie się z tych warunków doprowadzi do poważnych kar. Czy to jasne?

– Mhm – mruczę pod nosem i odwracam się do drzwi.

W ułamku sekundy stoi przede mną, a jego palce unoszą mój podbródek tak, aby mógł spojrzeć mi w oczy.

– Pytałem, czy to jasne.

– Jak słońce – odpowiadam przytłoczona.

– Dobrze. – Uśmiecha się. – W takim razie odprowadzę cię do twoich przyjaciół.

## Rozdział 20

### *Nie oglądaj się za siebie*

Tau i ja pozostawiamy obiad w Black Cafe i udajemy się do biblioteki. Po drodze nie mówimy nic, bo wspólny obiad – jak się okazało – nie spełnił naszych oczekiwań. Po dotarciu na miejsce natychmiast wiem, że Reeda tu nie ma, ponieważ nie czuję motyli w brzuchu. Rozczarowana opadam na jeden z foteli i przysłuchuję się, jak Tau rozmawia z jednym z aniołów Mocy.

– Twoi przyjaciele kazali ci powiedzieć, byś dołączyła do nich w południowej wieży. Myślę, że to był Harem, gdzie ciebie przetrzymywano – zwraca się Tau do mnie.

– Wiem, gdzie to jest – mówię z ulgą i wstaję z fotela. – Znajdę ich.

– Nie – zakazuje Tau autorytarnie. – Zostaniesz ze mną, dopóki cię do nich nie odprowadzę.

– Nie jestem bezbronna.

– Nie możesz chodzić tu sama – oznajmia ze spokojem.

– Dobrze – zgadzam się z największą powagą.

– Cole i Xavier są w zachodniej wieży – informuje Tau. – Muszę z nimi porozmawiać. – Wskazuje dłonią, że jest gotowy iść.

Wychodzę za nim na korytarz i kierujemy się do wieży pełnej pomieszczeń, które Brennus stworzył tylko dla mnie. Nie chcę ich ponownie widzieć. Zgromadzone tu rzeczy, najbardziej pielęgnowane pamiątki, takie jak obrazy z dzieciństwa, zniknęły, zostały skradzione przez moich przyjaciół. Zerkając na Tau, zastanawiam się, co pomyśli o archiwum powstałym na cześć przeszłości.

Czy coś rozpozna?

Po drodze zostajemy zatrzymani kilka razy przez grupki aniołów, które szukają okazji, by porozmawiać z Tau. Niektóre mają chyba do niego jakiś interes, ale pozostałe zachowują się jak nastolatki, które po raz pierwszy zobaczyły gwiazdę rocka. Próbuje być uprzejma, ale po chwili zaczynam się

czuć jak dzieciak na tylnym siedzeniu auta, podczas gdy rodzice prowadzą nudne rozmowy. W końcu uwalniamy się od wielbicieli Tau i skręcamy w korytarz prowadzący do Rycerskiego Baru. Prawie się potykam. Widoczne zniszczenie – jak w budynkach w Wenecji – pojawia się w dolnej części tego korytarza. Spowodowane jest słoną wodą, która zatopiła bar po mojej ucieczce. Uniesione wodą rzeczy osiadły tutaj poniżej strasznych, pełzających bestii utkanych na arrasach.

Ciemna złowroga energia przenika powietrze, gdy przechodzimy obok rozrzuconych przedmiotów. Staje się silniejsza z każdym moim krokiem ku podwójnym drzwiom, których strzegą dwie ciężkie średniowieczne zbroje.

– Och... – Instynktownie odsuwam się od drzwi. Energia niczym zimna woda z lodowca spływa po mojej skórze w stronę drzwi, przenika pod nimi i wchodzi w pęknięcia, aby osiąść w otchłani pokoju.

Skrzydła Tau osłaniają mnie od strony wejścia.

– Coś tam jest? – pyta mnie zatroskany.

– Można by tak powiedzieć – odpowiadam i prawie dostaję ataku serca, kiedy Tau podchodzi i otwiera oba skrzydła.

– Nie, nie rób tego! – krzyczę; chwytam go za ramię i odciągam od progu.

– Evie, wszystko jest okay – zapewnia delikatnym głosem, odwraca się do mnie i odsuwa włosy z mojego czoła. Spogląda mi prosto w oczy. – Wyczuwasz magię?

Kiwam głową, przyciskając się bardziej do jego ramienia, gdy odwraca się, by zajrzeć przez otwarte drzwi.

– Nie...

– Magia Gankanagów nie zrobi mi krzywdy. Evie, dla mnie to zabawna iluzja – zapewnia łagodzącym tonem. – Salonowe sztuczki dla aniołów... – Milknie i zdejmuję moją dłoń ze swojego ramienia. – Jeśli zgodzisz się tu zaczekać, to sprawdzę, co jest w tym pokoju.

– Może powinniśmy stąd odejść. Obiecałam Russellowi, że będę trzymać się od tego miejsca z daleka, dopóki on tu nie przyjdzie.

Spoglądam niepewnie do wnętrza pokoju, to jest tak, jakbym patrzyła przez delikatny mglistoniebieski jedwabny szal. Ten efekt powoduje, że kształty lekko rozmywają się i wszystko przybiera bardzo kuszący, spokojny wygląd. Gdybym mogła wyciągnąć dłoń, z pewnością odsunęłabym krawędź szala i odsłoniła

prawdziwą zawartość pokoju. Lecz zasłona tworzy aurę, która sprawia, że pomieszczenie wygląda tak jak przed zalaniem wodą z oceanu.

– Powiedz mi, co widzisz – prosi Tau, przekraczając próg.

– Widzę... widzę Rycerski Bar, taki jak był na początku, z nietkniętymi rozetowymi oknami, z których kolorowe światło pada na drewniany bar.

– Jest wieczór – zauważa Tau.

– Nie tam – odpowiadam. – Tam jest słonecznie.

– Co jeszcze widzisz?

– Zbroje wzdłuż ściany, żyrandole nad eleganckimi drewnianymi stołami, rzędy butelek egzotycznego alkoholu za barem...

– Kuszący widok?

– Byłby kuszący, gdyby nie... – Milknę. Po chwili podejmuję: – Wiem, że jesteś znany z podnoszenia sobie poprzeczki odwagi do granic możliwości, ale teraz strasznie mnie denerwujesz – mówię głosem wyższym niż zwykle i zbliżam się o krok do otworu drzwi, wykręcając sobie ręce: – Powiem ci, jeśli wrócisz do mnie.

– Martwisz się o mnie? – pyta rozbawiony.

– Dlaczego to cię śmieszy? – Marszcząc brwi, pokazuję mu, by wrócił.

– Nie wiem, po prostu to śmieszne. – Podchodzi do mnie, lecz nadal zostaje wewnątrz baru. – Mówiłaś, że byłby kuszący, gdyby nie...

– Gdyby nie to uczucie, że został stworzony tylko dla jednego gatunku. Dla Gankanagów – wyjaśniam.

– Ach, jest ubogi. – Jego wzrok pada na rozetowe okna.

– Hmm... tak... pozwól, że powiem to inaczej. Wszystko, co widzę we wnętrzu, przyciąga mnie... jestem oczarowana dbałością o szczegóły... zauroczona eterycznym blaskiem. Jednocześnie instynktownie czuję przerażenie.

– Rozumiem – mówi skupiony.

– Naprawdę?

– Tak – potwierdza. – Magiczna imitacja kusi cię i jednocześnie odrzuca.

– To coś więcej – przyznaję. – To pomieszczenie przyciąga niską energię, jak ścierwo przyciąga muchy.

– Niska energia?

– Mhm, to trudno wyjaśnić. Niska energia jest zimna, wolniejsza i bardziej jednolita, podobna do lodu. Wyższa płonie i jest szybka jak woda wodospadu. – Marszczę brwi, próbując się skupić.

– Czy ten pokój jest wypełniony niską energią?

– Tak, ale problem z magią w tym pokoju polega na tym, że nie jest nieruchoma, nie kryje się. Jest prawie płynna... jak woda. Zachowuje się jak wysoka energia.

– Może Brennus nie wie, jak bardzo stałaś się wrażliwa na jego magię – podsuwa Tau. – Być może pomyślał, że pokój wystarczająco cię oczaruje, więc wejdiesz do środka bez wahania... A gdy już przekroczysz próg, będzie mógł cię schwytać lub skrzywdzić.

– Może tak... A może nie. Podstęp, który służy jako przykrywka. Ty jesteś niewykrywalnym łowcą i nie potrzebujesz kamuflażu. Co, jeśli... co, jeśli chciał, bym zauważyła jego mylącą energię? – Unoszę brwi. – Co, jeśli nie chce, żebym weszła do tego pokoju? – Zbliżam się do progu.

– Zniechęć przeciwnika do wejścia... – Tau staje na mojej drodze, uniemożliwiając kolejny ruch. – To w ogóle nie wygląda tak, jak opisałaś, Evie. Jest ciemno, a jedyne światło dociera od gwiazd przez rozbite okna.

– Co, jeśli jego plan jest sprzeczny z intuicją? – Dreszcz przenika moje ciało, a w sercu narasta pustka.

Chcę, by to było prawdą. Nagle czuję słodko-gorzkie pragnienie, aby wejść, aby sprawdzić, czy jest inaczej niż w moich koszmarach, które męczą mnie od czasu ucieczki. Przesuwam się kilka centymetrów do magicznej mglistej tkaniny, która tańczy i faluje. Ma hipnotyzujący wpływ; sprawia, że czuję się ospała.

– Co? – pytam szmer tajemniczych głosów dochodzących z wnętrza. – Tak, słyszę cię... dlaczego tak długo czekasz?

– Evie. – Tau stoi przede mną, blokując wejście swoją barczystą sylwetką. Powoli odwracam głowę, by spojrzeć mu w oczy. – Tam nikogo nie ma. Z kim rozmawiasz?

– Z jedynym prawdziwym ukochanym... Ma dla mnie setki pocałunków... – Mój oddech zamienia się w obłoki pary.

Tau szybko zamyka drzwi, chwyta mnie za łokieć i ciągnie ku stojącej zbroi. Wyjmuje lancę z jej uchwytu i barykaduje nią drzwi. Z zamkniętymi drzwiami

myśli mi się znacznie łatwiej.

– Och, ale jazda – wzdycham.

– Nie wolno ci tam wchodzić! – Tau wskazuje palcem na drzwi.

– Dobrze... okay – zgadzam się z zapalem, choć czuję się zagubiona.

– Nie wolno ci też wchodzić do tego korytarza – rozkazuje. – I cały czas musi być przy tobie przynajmniej dwóch ochroniarzy.

– Ochroniarzy? – jęczę, z trudnością zbierając myśli. – Nienawidzę ochroniarzy.

– Przyzwyczaisz się. – Gniewnie spogląda na drzwi. – W tym domu szaleje ich magia, a ty jesteś niezwykle podatna na jej działanie.

– Nie przejmuj się. Oni są podatni na moją magię. – Widzę, jak bardzo jest przejęty moją bezbronnością.

– I ona mi mówi: nie przejmuj się – prycha Tau i spogląda w sufit, jakby właśnie rozmawiał z Niebem. Patrzy na mnie gniewnie. – Właśnie rozmawiałaś z jakąś magiczną postacią w tym pokoju.

– Dziwne, co? Robi się jeszcze dziwniej, kiedy zaczynasz ją słyszeć – odpowiadam, posępnie się uśmiechając.

– Co takiego ta osoba ci powiedziała? – Wygląda tak, jakby przygotowywał się do przesłuchania.

– Poprosiła mnie, bym spojrzała na ten pokój oczami ukochanej... bym ujrzała jego piękno jako odbicie tego, co będzie należeć do mnie, jeśli tylko zdecyduję się to przyjąć... mniej więcej tak to było. – Policzki mi płoną, prostuję się i wzruszam ramionami.

– Wiesz, że to zaledwie podły teatr? – pyta z napięciem w głosie.

– Bardziej peep-show. Gankanagowie nie są sentymentalni, tylko zmysłowi i nieprzewidywalni.

– Ta posiadłość jest mocna, stawia opór. Nie możesz tu osiągnąć pełni zadowolenia – ostrzega mnie.

Przewracam oczami. To ja mieszkałam tu z tymi zabójcami i to daje mi pewne wyobrażenie o tym, czego oczekiwać.

– Wiem, że to nie wygląda tak słodko jak na pocztówce. Dodam tylko, że lanca użyta przez ciebie do zablokowania drzwi nie powstrzyma nikogo od wyjścia – zauważam.



– To nie lanca, to rodzaj broni drzewcowej o nazwie bardysz i nie należy jej mylić z halabardą, która przypomina topór. Użyłem bardysza jako ostrzeżenia dla aniołów, aby tam nie wchodziły – oznajmia.

– Och, dobrze, twoja wiadomość jest bardzo subtelna. – Zaczynam przyciągać energię, aby wystrzelić nią w stronę stojącej obok drzwi zbroi.

Głośne skrzypienie metalu ocierającego się o metal towarzyszy poruszającej się zbroi, kolana z zimnego metalu wyginają się. Obie zbroje zeskakują z wgłębień w ścianach i stukając ciężkimi butami o podłogę, maszerują jak straż przed pałacem Buckingham. Wyprostowane stają na baczność przed drzwiami, aby skutecznie zniechęcić każdego, kto chciałby zbadać, co jest po drugiej stronie. Spoglądam na Tau, aby zwrócić jego uwagę na to, co przed chwilą zrobiłam.

– No co? Za dużo? – pytam, niewinnie unosząc brwi.

Wzrusza ramionami i odchodzi od drzwi, trzymając mnie za rękę.

– Nie myślałeś, że to samo się stało, prawda? – Próbuję go rozbawić. – To ja sprawiłam, że to żelastwo zaczęło maszerować.

– Wiem, widziałem – odpowiada, przewracając oczami, ale na jego ustach pojawia się uśmiech. – Twój żołnierz wydawali się trochę nieszkodliwi. – Uśmiecha się, gdy mrużę ze złością oczy.

– Ale jako przypadkowemu obserwatorowi musi ci być bardzo trudno ocenić, prawda? – Wiem, że mnie podpuszcza. – Nie, nie. Nie odpowiadaj – radzę mu, gdy widzę błysk w jego oku.

Posuwając się wzdłuż zachodniego korytarza, z trudem łapię oddech i cały czas wymieniam złościwość z Tau. Wspomnienie Eiona odciągającego Lachlana od atakujących Werree niszczy wszelkie przyjemne uczucia, które moje schronienie kiedyś wzbudzało. Przechodzę przez drzwi zdobione rzeźbionymi skrzydłami aniołów i zatrzymuję się, gdy Tau staje tuż za progiem. Zwykle bardzo spokojny, teraz jest poruszony czymś, czego się nie spodziewałam.

Meble z domu, w którym dorastałam z wujem Jimem, nadal tu stoją prawie nietknięte. Buns, Brownie i Zee pomogli Reedowi ograbić ten pokój z moich zdjęć i sentymentalnych pamiątek z dzieciństwa. Zabrali też mój portret namalowany przez pana MacKinnona. Lecz pozostałe rzeczy nadal tu są i Tau bez trudu je rozpoznaje. Nie skupiam się na odległej przeszłości, ale na rzeczy stojącej na kominku. Kryształowe pudełko nadal tu jest i zdobi przestrzeń nad paleniskiem.

– To było moje ulubione krzesło – mówi cicho, podchodzi do krzesła obok kominka i delikatnie dotyka je koniuszkami palców. – Nadal czuję zapach domu.

– Mhm. – Staję obok niego przy kominku. – Pochodzi z czasów, kiedy wszystko było proste.

Unoszę zimną, gładką pokrywę pudełka; nie dziwi mnie brak noża do otwierania listów, który kiedyś tam był. Stał się moją bronią, kiedy broniłam się przed Brennusem po tym, jak porwał mnie z biblioteki. To jest jedyny drogi mu relikw.

– Tau – Głos Cole’a dobiega z kilku poziomów nad nami.

Zamykam pudełko i idę z Tau pod balkony zawieszane na trzech poziomach. Spoglądam na okrągłe sklepienie i zauważam Cole’a opartego o barierkę, dwa piętra nad naszymi głowami.

– Znalazłem filmy z dzieciństwa Evie. Musicie to zobaczyć – woła.

Tau patrzy na mnie, a ja tylko wzruszam ramionami. Z uśmiechem zrywa się do lotu i prawie niewidzialny udaje się do sali kinowej na trzecim piętrze. Lecę za nim znacznie wolniej, bo nie mam tyle siły w skrzydłach co on.

– Och, hej – wita mnie Cole, potrząsając podbródkiem, jak zwykł to robić za czasów liceum. Czarne włosy opadają mu na brwi; po chwili odsuwa je, odsłaniając orzechowe oczy.

– Hej. – Kiwam delikatnie głową.

Na przymocowanym do ściany dużym kinowym ekranie pojawiają się obrazy siedmioletnich dziewczynek w różowych koszulkach i różowych podkolanówkach naciągniętych na ochraniacze. Podają sobie białą-czarną piłkę, biegając po zielonej murawie, oznaczonej białymi kredowymi liniami.

– Zaraz wejdzie Evie – komentuje Cole ze wzrokiem utkwionym w ekran i z pilotem w dłoni.

Tau stoi nieruchomo obok mnie. Po chwili odgłosy tłumu zostają zagłuszone przez okrzyki dopingującego mnie wuja Jima: „Dalej, Evie! Ruszaj!” Obraz podskakuje i traci ostrość.

Coś ściska mnie za gardło, gdy to słyszę. W tej samej chwili pragnę otulić się tym głosem, a z drugiej strony chcę od niego uciec. Przez oczy pełne łez spoglądam na Tau, który z uśmiechem ogląda siedmioletnią mnie, jak gnam za piłką, kopię ją, a moje rude kucyki podskakują radośnie. Tau podchodzi bliżej ekranu, zajmuje miejsce na skórzanym fotelu i z zafascynowaniem ogląda film.

– „Różowe chochliki” – mruży pod nosem nazwę naszej drużyny, a na moich ramionach pojawia się gęsia skórka.

– Zaraz strzeli gola – informuje go z przejęciem Cole.

Obaj są przykuci do ekranu, gdy mała dziewczynka, którą kiedyś byłam, biegnie obok obrońcy z przeciwnej drużyny w żółtej koszulce. Kopie piłkę i kieruje ją prosto do bramki.

– Taaak! – Obaj zrywają się z siedzeń i klaszczą, jakby to działo się przed chwilą, a nie dwanaście lat temu.

Kamera robi zbliżenie na mnie, jak truchtam na środek boiska. Na drugim planie widać tłoczących się wzdłuż linii bocznej rodziców. Cole unosi pilota i odtwarza film w zwolnionym tempie.

– Tam jest Xavier. – Uśmiecha się, wskazując palcem na ekran.

To bez wątpienia on, niezmienny, stoi uśmiechnięty przy linii bocznej, głośno bije brawo i gwizdże jak odurzony sukcesem rodzic. Był zaledwie kilka kroków ode mnie. Zakrywam dłonią otwarte ze zdziwienia usta, podczas gdy Tau i Cole nadal z przejęciem oglądają mecz. Odwracam się – nie mogę dać sobie rady z przerastającą mnie rzeczywistością. Znajduję schody, idę do mojego położonego piętro wyżej pokoju. Opuszczam klatkę schodową, gdy głęboki głos warczy do mnie.

– Powiedziałem ci, że chcę być sam. – Xavier leży na moim młodzieżowym łóżku, a jego nogi zwisają z krawędzi, ramieniem zasłania sobie oczy, a piękne wargi są wykrzywione w grymas.

– Przepraszam... – jąkam się. – Nie wiedziałam, że tu jesteś.

– Evie – wypowiada moje imię i odsłania rękę, żeby spojrzeć na mnie. Z wyciągniętych z uszu słuchawek dociera do mnie muzyka. Wyłącza ją.

– Nie miałam zamiaru ci przeszkadzać. Dam ci spokój... – zaczynam.

– Nie. – Z wdziękiem zeskakuje z łóżka, a jego rozczochrane blond włosy nadają mu kuszący wygląd; T-shirt opada na nagi tors. – Zostań – prosi aksamitnym głosem.

Opieram się o ścianę obok drzwi i nie wiem, co robić.

– Oni odtwarzają stare, domowe filmy, tam na dole – mówię nerwowo, pocierając swoje ramię.

– Wiem. – Jego supermęskie ciało zbliża się do mnie. – Cole oszalał na ich punkcie i dlatego postanowiłem się usunąć w cień.

– Ja też – przyznaję, nerwowo się uśmiechając, i spoglądam mu w twarz.  
– Ktoś ukradł twojego trolla – mówi tajemniczo, obejmując mnie.  
– Och, naprawdę? – Imituję ton jego głosu i zerkam na półkę obok plakatu Nirvany.

Przytakuje ponuro.

– Tego z fioletowymi włosami. Zawsze stał na drugiej półce w twoim pokoju. Jeszcze teraz widać odcisk jego stóp pozostawiony w kurzu.

– To pewnie Eion. Uznał to za ironię, ponieważ według niego trolle są zupełnie do tego niepodobne.

– Dlatego ten mi się podobał – dodaje z uroczym uśmiechem Xavier. – Dopadnę go i zabiję dla ciebie.

– On już jest martwy. Russell go zabił. – Odwracam się od niego.

– To sprawia, że poszukiwania twojego trolla będą bardziej interesujące – odpowiada nieporuszony.

– To nie ma znaczenia – mówię jakby nieobecna, gdy czuję jego zapach, który wywołuje we mnie dziwne emocje.

– To ma znaczenie – sprzeciwia się.

– Dlaczego? To tylko głupia zabawka.

– To twoja głupia zabawka – odpowiada powoli. – A ja nikomu nie pozwolę zabrać ci czegokolwiek bez poważnych reperkusji.

Przez chwilę podoba mi się otwartość jego słów. Coś w moim języku ciała musi mnie zdradzać, bo powoli z lubością przymyka oczy.

– Widziałam cię przed chwilą – wyrzucam z siebie. – Na filmie, tam na dole. To byłeś ty, miałam tylko siedem lat, a ty tam byłeś...

– Czy teraz stałem się dla ciebie bardziej realny? – pyta mnie poważnie i dotyka mojego policzka. Próbuje mnie objąć, a na jego twarzy wymalowana jest troska.

Zagryzam wargę i przytakuję.

– Tak, zupełnie prawdziwy... wyglądasz... wyglądasz dokładnie tak samo. – Serce bije mi jak oszałałe.

– Przecież wiesz, że my się nie starzejemy – Unosi brwi, kciukiem pieszczotliwie dotyka mojej skóry.

– Tak, ale zobaczenie cię tam... To było jak, sama nie wiem, może jakbym zobaczyła ducha. – Po chwili dodaje: – A tak, i rzeczywiście wcześniej zobaczyłam ducha.

– Myślę, że one wolą być nazywane duszami – poprawia mnie pełnym humoru tonem.

– Nieważne. – Ignoruję jego uwagi.

Xavier bacznie przygląda się mojej twarzy, a jego uśmiech staje się coraz większy. Na moich policzkach pojawiają się rumieńce, bo czuję w nim niewymuszone pożądanie.

– Tak, teraz staję się dla ciebie prawdziwy. – Palce Xaviera poruszają się wzdłuż linii mojej żuchwy.

Odsuwam jego dłoń.

– Dlaczego... Dlaczego wróciłeś? Byłeś wolny od tego wszystkiego... Ode mnie. Miałeś szansę być szczęśliwy, a teraz to zniszczyłeś.

Wplata dłoń w moje włosy, przyciąga mnie do siebie i zbliża swoje wargi do moich. W jego pocałunku wyczuwam nieokiełznane pożądanie. Po chwili opanowuję szok i odpycham jego pierś, aby przestał mnie całować. Wyczuwam jego niechęć, kiedy odsuwa swoje usta. Jego twarz nadal jednak jest zaledwie o kilka centymetrów od mojej.

– Wróciłem po ciebie... Kocham cię.

– Nie, Xavier. Nie mów tak. – Zaciskam powieki.

– Powiedz jeszcze raz moje imię – prosi delikatnie. – Będę żył tym dźwiękiem.

– Nie możesz mnie całować. – Otwieram oczy i mówię drżącym głosem: – Już mnie nigdy więcej nie pocałujesz.

– Jeszcze cię pocałuję, a ty odwzajemnisz mój pocałunek. – Na jego ustach pojawia się uśmiech, a ta wypowiedź brzmi jak obietnica.

– Ja mam *aspire* – odpowiadam zdenerwowana jego postawą.

– Ty nawet nie wiesz, co to znaczy. Jesteś z nim tylko dlatego, że straciłaś moją ochronę. To jedyny powód. Wróciłem i już nie potrzebujesz Reeda – odpowiada, a uśmiech znika z jego twarzy.

– Nie masz pojęcia, czego potrzebuję – oskarżam go, a złość wypełnia mnie i wybucha. – Opuściłeś mnie! – mówię z zaciśniętymi zębami i odczuwam

zdradę tak głęboką, że nawet nie wiem, od czego to wszystko się zaczęło.

Xavier pochmurnieje, a po chwili obejmuje mnie, unosi w powietrzu i mocno tuli.

– Robiłem wszystko, co mogłem, by zostać. – Delikatnie ociera wargami o moje włosy.

– A teraz musisz zrobić wszystko, by mnie zostawić. – Mój policzek opiera się na jego ramieniu.

– Nie mam zamiaru cię zostawić, ani teraz, ani nigdy. Będziesz musiała mi w końcu wybaczyć. – Sztywnieje, jeszcze bardziej przyciskając mnie do siebie.

– Przebaczę ci, jeśli obiecasz, że nie wyzwiesz Reeda na pojedynek. – Z trudem powstrzymuję łzy.

– Tego warunku nie mogę zaakceptować – odpowiada ponurym tonem. – Będę musiał żyć bez twojego przebaczenia, ponieważ nie chcę żyć bez ciebie. Potrzebuję twojego uśmiechu, twoich pocałunków, twojej miłości...

– Mówisz podobnie jak Brennus: ja, dla mnie, moja... Już prawie wcale mnie nie znasz.

– Ani trochę nie jestem do niego podobny. – Pociera nosem moją szyję. – On jest martwy... Ja żyję.

– Obaj jesteście za bardzo sentymentalni – zauważam, próbując uwolnić się od niego.

Odstawia mnie na podłogę i chwyta palcami mój podbródek, tak abym na niego spojrzała. Blond włosy opadają mu na czoło, kiedy spogląda na mnie.

– Nie było mnie przez dwa długie lata, to prawda, ale my... Razem przemierzyliśmy tysiące lat... dużo więcej, niż trwa ludzkie życie. Kiedyś znałem wszystkie twoje sekrety i poznam je ponownie – wyznaje żarliwie.

– Więc poznaj ten sekret, Xavier. Kocham Reeda i oddam życie, by go chronić – oświadczam. – Jeśli wyzwiesz go na pojedynek, to będziesz musiał wyzwać też mnie.

– Ach, Evie! Nie mów tak! Zapomnij o nim! – cedzi przez zaciśnięte zęby, a jego oczy stają się coraz węższe.

– Nie mogę. – Kręcę głową. – Nie mogę odwrócić fali uczuć, które mam dla niego, nawet gdybym chciała.

– On nigdy nie miał być częścią tego. – Puka we mnie palcem ze złością.

– Nie zamierzam przeproszać cię za to, że go w to wciągnęłam. – Widzę, jak postawa Xaviera staje się agresywna. – Nie byłoby mnie tutaj, gdyby nie on.

– Nie zamierzam cię stracić – ostrzega spokojnie.

– Nie wiem, jak mógłbyś temu zapobiec – spoglądam na swoje stopy, by nie widzieć bólu w jego oczach.

– Istnieje tysiąc sposobów, by cię odzyskać. Ja potrzebuję tylko jednego. – Unosi mój podbródek tak, bym patrzyła na niego. W jego oczach dostrzegam determinację.

Cofam się o krok.

– Co zamierzasz zrobić? – pytam podejrzliwie.

– Musisz poznać moje sekrety, jeśli chcesz otrzymać na to odpowiedź. – Jego twarz nieruchomieje, a oczy nie zdradzają niczego. – Kiedyś znałem każdy twój czyn, zanim go dokonałaś. Jeśli chcesz być o krok przede mną, musisz mnie poznać.

Odwracam się do niego plecami i idę na balkon. Spoglądam na potłuczone świetliki w stropie.

– Nie pozwolę zrujnować ci tego, co łączy mnie z Reedem. – Wzdycham ciężko.

– A ja nie pozwolę zrujnować ci tego, co kiedyś nas łączyło – odpowiada. Czuję promieniujący żar jego ciała. Nachyla się, szepcząc mi do ucha: – Pustkę, która pozostała po mnie, wypełniłaś namiastką miłości... Wróciłem, aby upomnieć się o twoje serce.

– Namiastką miłości! Czy ty mówisz poważnie? – reaguję na jego prowokację i hardo spoglądam mu w twarz.

– Tak.

– Nawet nie wiem, co ci powiedzieć. Och, poczekaj. Już wiem. Żyjesz złudzeniami. – Spoglądam na niego gniewnie spod brwi.

Kładę dłoń na jego piersi, by go odepchnąć. Chwyta ją i unosi do ust. Kiedy ją całuje, odczuwam coś jakby déjà vu. Gęsia skórka pojawia się na moim nadgarstku i przesuwa w dół ciała. W moim umyśle pojawia się obraz Xaviera całującego mnie namiętnie pod drzewem, w miejscu, gdzie nigdy nie byłam, a przynajmniej ostatnio. Mrugam, kiedy mgliste wspomnienie oddala się, a ja gapię się na Xaviera. To na pewno był on... jego niepasujące do siebie oczy uśmiechały się do mnie... – myślę, uważnie przyglądając się jego twarzy.

– Evie – szepcze łagodnym głosem, odwraca moją dłoń i całuje jej wewnętrzną stronę.

Chwilę później panika pozbawia koloru moją twarz. Znam go, myślę. Ja go naprawdę znam.

Xavier nieruchomieje, bacznie mnie obserwuje; jego oczy badawczo mnie przenikają.

– Evie, co się dzieje? – Przechyliła głowę.

– Co? – udaje mi się wydusić z siebie. Próbuję uwolnić dłoń. – To nic... – Unikam jego wzroku.

– Jakie nic? – odpowiada zamyślony i jeszcze mocniej ściska moją dłoń.

– Xavier, puść – odpowiadam ostrym tonem, próbuję ukryć panikę, ale serce o mało co nie wyskoczy mi z piersi.

– Nie puszczę, dopóki nie powiesz, co się stało. Ty... Przez chwilę patrzyłaś na mnie najśłodszy spojrzeniem... Jakby... – Nieruchomieje, a ja znów próbuję uwolnić dłoń, jednocześnie zaciskając zęby na swojej wardze. – Coś pamiętasz! – mówi, łącząc w jedno oskarżenie i radość.

– Nie. Nie wiem...

– Co? Co pamiętasz?

– Puść mnie – nalegam. – Nie mogę swobodnie myśleć.

To są te magiczne słowa, które pomagają mi się uwolnić. Xavier patrzący na mnie z niecierpliwością wywołuje szereg niejasnych obrazów w mojej głowie: Xavier trzyma moją dłoń, śmieje się głośno, spaceruje u mojego boku, całuje mnie... Nagle czuję, że powietrze jest zbyt rzadkie, abym mogła oddychać. Nie udzielam mu odpowiedzi, tylko podchodzę do krawędzi balkonu i skaczę. Już w powietrzu moje skrzydła rozkładają się, a ja nurkuję w stronę podłogi.

– Evie! – woła za mną, lecz go ignoruję.

Kiedy dotykam ziemi stopami, bez wahania biegnę wprost do drzwi. Słyszając za sobą Xaviera, rzucam zaklęcie zamykające wszystkie drzwi w wieży. Pędzę pustymi korytarzami. Moje serce bije jak szalone, gdy Xavier sięga do drzwi i wali w nie pięściami. Drzwi ustępują pod naporem; nawet magia nie pozwoli im zbyt długo przetrwać. Odwracam się na pięcie i gnam z nienaturalną prędkością do południowej wieży. Trach, sypią się drzazgi, kiedy Xavier wydostaje się na korytarz; kryję się za zakrętem.



– Evie, stój! – Jego rozwścieczony głos odbija się echem od kamiennych ścian.

Przyspieszam; czuję się tak, jakby ktoś na mnie polował. Wpadam do pokoju w połowie długości korytarza prowadzącego do południowej wieży i po chwili rozpoznaję, że jest to pomieszczenie, w którym gankanagańscy ochroniarze uczyli mnie walczyć. Razem z Molly nazwaliśmy je „pokojem wojennym”, chociaż wiedziałyśmy, że wcześniej służyło jako sala muzyczna.

Wysokie sklepienia z intrygująco wyciętymi sztukateriami, urozmaiconymi wyjątkowymi kamiennymi kokardami nadawały temu wnętrzu wyjątkową grację. Miękkie maty, dodatek z czasów moich treningów, nadal pokrywają ciemne drewniane podłogi. Lecz poza nimi nie ma niczego, za czym można by się ukryć, z wyjątkiem fortepianu w rogu. Odsuwam się od drzwi, oddychając ciężko; mam nadzieję, że Xavier przejdzie obok tego zaciemnionego pokoju. Docieram do przeciwległej ściany i czekam, próbując zwolnić oddech. Nie udaje mi się to, kiedy potężna sylwetka Xavier pojawia się w drzwiach.

Ukryj się – myślę i niemal natychmiast ubrania rozdzierają się na mnie, opadają w strzępach na podłogę, gdy rozpląszczam się, a moja skóra przyjmuje kolor i kontury ściany znajdującej się za mną. Ogarnia mnie chłód, kiedy opieram się o kamienny mur.

– Evie. – Głos Xavier odbija się o ściany przepastnego pomieszczenia.

Nawet gdybym chciała, nie mogę mu odpowiedzieć. Moja skóra, teraz zimna i szara, stanowi doskonały kamuflaż. Xavier wącha powietrze jak wilk. Serce bije mi coraz szybciej.

Xavier, węsząc, przeszukuje pokój, jego wzrok mnie nie wyłapuje.

– Wiem, że tu jesteś. – Krąży w kółko. – Czuję twój zapach... – Znów na mnie spogląda, zamyka oczy i robi krok w moją stronę... potem kolejny. – Wszędzie poznałbym twój zapach... Jest taki delikatny, słodki... – Podchodzi bliżej. – Zaczynasz sobie przypominać, prawda?

Próbuję się poruszyć, lecz udaje mi się jedynie delikatnie oderwać od ściany, ponieważ utknęłam w tym miejscu.

– Nie bój się mnie – mówi pieszczotliwie. – Ja tylko chcę, byś mnie znów poznała.

Zbliża się do mnie, szerzej otwiera oczy – zauważa moje podarte ubranie leżące przede mną. Unosi wzrok i rozpoznaje moje kształty wtopione w ścianę. Pochyla się i zbiera ciuchy.

– Doskonały kamuflaż, Evie, i gdyby nie to, że ja cię tego nauczyłem, to prawdopodobnie dałbym się oszukać.

Jego dłoń dotyka ściany i odnajduje moją sylwetkę. Palce ma miękkie w porównaniu z moją utwardzoną postacią. Szepcze coś do mnie w języku aniołów i po chwili dodaje:

– Zdziwiająca. – Jego palce muskają moją twarz, by po chwili odszukać wargi i muskać je pieśczośliwie. – Chcę być znów twoją miłością, ale na razie muszę zadowolić się tym, że będę mentorem. Obiecuję, że przy mnie nic ci się nie stanie.

Pochyla się, dotyka ustami moich kamiennych warg i całuje je z taką łagodnością, że chce mi się płakać. Chwilę później zmieniam swoją postać – kamienne więzienie staje się rojem jasnoczerwonych motyli. Unoszę się wokół Xaviera, krążę w karmazynowym kolorze, by po chwili wystrzelić w górę z dala od niego.

– Nie, Evie, nie odchodź... – woła głosem pełnym bólu. – Nie stanę się tylko częścią twojej przeszłości...

Ignoruję jego rozkaz, odlatuję w milionie trzepoczących aksamitnych skrzydeł ku rozbitym szklanym drzwiom prowadzącym na zewnątrz. Uciekam przez wybitą szybę i kryję się pospiesznie na tle zimnego nocnego nieba.

Powietrze jest mroźne, naznaczone zapachem morza. Krążąc wokół południowej wieży, czuję, jak unosi mnie słony wiatr. Jakiś inny zapach, który jest dla mnie jak nektar, przyciąga mnie do pokoju przy ogrodzie. Lecę nad uśpionym, otoczonym murem ogrodem z kamiennymi ścieżkami ku kryształowemu oknom. Za pomocą magii otwieram je, a oprawiony w drewniane ramy kryształ zaprasza mnie do środka.

Reed leży na wielkim łożu z czterema kolumnami i czyta starą, oprawioną w skórę książkę. Siada, gdy pierwszy z moich motyli ląduje mu na piersi. Stopniowo jeden za drugim okrywam jego ciało stworzeniami o szkarłatnych skrzydłach. Delikatnie odkłada książkę. Kiedy ostatni motyl spoczywa na nim, przybieram swój zwykły kształt. Leżąc na jego piersi, drzę cała z zimna, a on oplata mnie ramionami.

Całuję go z pełną paniki namiętnością, której dorównać może tylko strach.

– Nigdy nie pozwól mi odejść – mówię to z ustami przy jego wargach.

– Nigdy nie pozwolę – składa mi obietnicę, nie pytając, o co chodzi.

## *Rozdział 21*

### *Tańcząc w kręgu*

Leżę na Reedzie w luksusowym łóżu o czterech kolumnach; nagle z niezwykłą siłą układa mnie pod sobą. Jego perfekcyjne zielone oczy kryją się za opadającymi na nie ciemnymi włosami. Delikatnie odsuwam kosmyki na bok, a jego widok topi chłód w moim sercu.

– To było poetyckie wejście, kochanie – mówi delikatnie i uśmiecha się do mnie. – Rozpoznałem twoje delikatne linie w fali szkarłatu. Robiłem, co mogłem, by nie zacząć cię szukać. – Smutnieje. – Dlaczego nikt ci nie towarzyszy?

– Obiad nie przebiegł zgodnie z planem – odpowiadam ze złością.

– Cała drżysz. – Otula mnie grubym kocem. – Co się stało?

– Co byś powiedział na to, żebyśmy stąd uciekli, jak to wszystko się skończy? – Przyglądam mu się uważnie.

– Chcesz odejść bez Serafinów? – Brwi Reeda unoszą się w zaciekawieniu.

Kiwam głową. Reed wzdycha, a w jego spojrzeniu pojawia się troska.

– Powiedziałbym, że ufam twojemu osądowi, ale jestem ciekaw, co doprowadziło cię do takiego wniosku.

– Czy da się to zrobić?

– Tak. – Na jego twarzy pogłębia się zatroskanie. – To nie jest trudne, Evie. Najtrudniej być o jeden krok przed nimi. Są bardzo pomysłowe.

– Ale możemy to zrobić, prawda? – pytam zdesperowana.

– Tak, jeśli to będzie konieczne – zgadza się ponuro.

Zarzucam mu ramiona na szyję i tulę go do siebie.

– Dobrze – szepczę. – Musimy mieć plan awaryjny, taki tylko dla nas, dla naszej grupy, to znaczy dla Zee, Russella, Buns, Brownie i Anyi.

– A co z Prebenem? – pyta, a potem wzrusza ramionami, widząc moje uniesione brwi. – Jego coś łączy z Brownie.

– Nie wiem... Opracujemy szczegóły z Zee i Russellem, a z Prebenem porozmawiamy później, okay? – Gryzę paznokcie kciuka.

– Evie, co się zdarzyło na obiedzie? – wraca do tematu zaniepokojony Reed. Próbuję ukryć wszystko, co w oczach Reeda zapewne wygląda tak, jakby mi odbiło.

– Odniosłam wyraźne wrażenie, że ich plany wobec mnie nie dotyczą moich przyjaciół.

– Wiedzieliśmy, że będą mieli własne pomysły związane z innymi aniołami. Kosiarze bardzo rzadko biorą udział w walce. Oni jeszcze nie znają Buns i Brownie. Wkrótce odkryją korzyści, jakie płyną z tego, że obie są przy tobie – zapewnia odrobinę spokojniejszy Reed.

– Nie, niczego nie rozumiesz... Chodzi mi o wszystkich moich przyjaciół... – Milknę, gdy złość wylewa mi się czerwienią na policzki. Reed powoli zaczyna łapać. – Oni są od nas starsi stopniem, prawda?

– Tak – potwierdza.

Szybko opowiadam mu o tym, co zdarzyło się podczas dzisiejszego obiadu.

– Co byś zrobił, gdybyś chciał nas rozdzielić? – pytam go cicho.

– Wysłałbym nas na oddzielne misje – odpowiada bez wahania.

– Czy moglibyśmy odmówić?

– Nie, ale Tau znalazłby powód. – Reed się prostuje. – Jeszcze nie miał szansy obserwować nas razem. Ty jesteś jego córką, a on przejmuje się okolicznościami, w jakich związaliśmy się ze sobą.

– Dlaczego mielibyśmy się tłumaczyć przed kimkolwiek? To nie jest jego decyzja. To nasza decyzja i już ją podjęliśmy.

Seksowny uśmiech pojawia się na ustach Reeda pomimo powagi naszej rozmowy.

– Tak, oczywiście.

Pochyla się i zsuwa koc z mojego nagiego ramienia. Jego wargi przesuwają się w miejsce, gdzie przed chwilą było okrycie. Tracę oddech.

– Musimy mieć plan – mówię szeptem, kładąc się na miękkim materacu.

Reed podąża za mną.

– Jeśli dyplomacja nie zadziała, będziemy wiedzieli, co robić. – Składa pocałunek za pocałunkiem na mojej wrażliwej skórze. – Miejmy nadzieję, że nie

będziemy go potrzebować.

– Dlaczego?

– Ponieważ przyjdzie nam zapłacić wysoką cenę, jeśli nas rozgryzą – odpowiada niskim tonem.

– Kocham cię – szepczę delikatnie do jego ucha i znów go obejmuję. – Dla mnie jesteś wart każdej ceny.

– A ty jesteś bezcenna.

– Będziesz walczył, by ze mną zostać? – Czuję, jak jego usta przesuwiają się coraz niżej. Zagryzam wargę i zamykam oczy.

– Dla mnie nie ma niczego ważniejszego – deklaruje; muska ustami moją skórę, a potem znów mnie całuje; wzdycham lekko.

Głośne pukanie do drzwi powoduje, że aż podskakuję. Po chwili słyszę dochodzący z zewnątrz głos Russella.

– Reed, jesteś tam? – woła Russ poirytowanym tonem.

Reed wydaje z siebie krótkie warknięcie i po chwili wstaje z łóżka. Czeką, aż owinę się kocem, i dopiero wtedy otwiera drzwi.

– Oni zgubili Evie. Xavier wścieka się, szukając jej... – wypluwa z siebie Russell bardzo szybko i milknie, gdy Reed otwiera drzwi na tyle szeroko, żeby było mnie widać. – Ach, Ruda! – wykrzykuje; w jego głosie wyczuwam ulgę i poirytowanie. – Co, do licha?

– To długa historia. Możesz im powiedzieć, że nic mi nie jest.

– Nie, ty możesz mu powiedzieć. – Kręci głową z odrazą. – Ja już wkurzyłem jedną anielicę i na razie to mi wystarczy.

– Anyę?

– A niby kogo innego? – odpowiada niechętnie. – Ja tylko chciałem, by dzieliła ze mną pokój, ponieważ nigdy nie pozwolę jej być samej, a ona zaczęła wyklinać mnie w języku aniołów i zanim zapytałem, skąd wiem, że mnie wyklinała, to wam powiem, że już tyle razy mnie wyklinaliście, że się nauczyłem rozpoznawać. – Russell spogląda gniewnie na Reeda.

– Gdzie teraz jest Xavier?

– Och, chciałaś zapytać, dokąd poszedł po tym, jak przewrócił do góry nogami mój pokój w poszukiwaniu ciebie? – Nawet nie usiłuje ukrywać sarkazmu.

Całkowicie blada przytakuje.

– Zee powiedział mu, że Reed jest w północnej wieży i zasugerował, że ty też tam jesteś. Potem przysłał mnie po Reeda – odpowiada z radosnym uśmiechem.

– Przypomnij mi, żebym podziękowała Zefirowi – mówię do Reeda, a ten potwierdza.

– Pójdę i powiem Tau, że tu jesteś. Russell, zostań z Evie do czasu mojego powrotu, dobra? – prosi Reed.

Russ spogląda na moją zmartwioną twarz.

– Pewnie, Zee pilnuje dla mnie Anyi. Ona prawdopodobnie woli być teraz z nim niż ze mną, więc ja zaopiekuję się twoim skarbem, dopóki nie wrócisz – zapewnia.

Reed podchodzi do pięknej mahoniowej skrzyni, otwiera ją i wyciąga długi ciemnoczerwony szlafrok. Wręcza mi go. Patrzę na ten szlafrok tak, jakby był zimnym, martwym stworzeniem, potem spoglądam na Reeda.

– Wolałabyś gorset? – pyta z uśmiechem.

– Nie – wzdycham. – Szlafrok jest w porządku. – Zakładam go i pozwalam, by jedwabna tkanina otuliła moje ciało.

– Proszę, zostań tu, aż wrócę.

– Okay – odpowiadam. Lecz gdy kieruje się do wyjścia, wyskakuję z łóżka i wołam: – Poczekaj!

Odwraca się do mnie, chwytając mnie w ramiona. Pocałunek Reeda sprawia, że zapominam o Russellu, który znacząco pochrząkuje za naszymi plecami.

– Ej, ja tu nadal jestem – mówi zgorzkniały.

Reed patrzy na szlafrok, który otula każdą moją krągłość.

– Zaraz wracam.

– Pospiesz się – odpowiadam, a on znika w jednej chwili.

Zamykam drzwi i wślizguję się z powrotem do łóżka, ściągając z niego koc i owijam się nim jak szalem.

– Masz ładny pokój – zauważa Russell, rozglądając się.

Rzeczywiście jest ładny. Ma taki rustykalny charakter. Duże łóżko w pewnym sensie tu dominuje, a inne meble to tylko prosta komoda i kilka wyściełanych krzeseł przy kominku. W kącie obok paleniska umieszczono drzwi prowadzące do otoczonego murem ogrodu, który widziałam, lecąc tutaj. Podchodzę

do drzwi, otwieram górną połowę, dolna pozostaje zamknięta. Zimne morskie powietrze rozwiewa mi włosy.

– Myślałam, że będzie inaczej w tej wieży... w Haremie. – Spoglądam przez ramię. Russell podchodzi do ognia i podnosi pogrzebacz, rozsuwa żar, dokłada drewno do paleniska.

– Nie wszędzie tak jest... Większość tego budynku wygląda jak burdel. Ten pokój jest inny. Był pokojem... – Urywa.

– Brennusa – kończę, wiedząc, że to w jego stylu: prosta elegancja. Wszystko inne jest na pokaz, aby zademonstrować bogactwo i władzę. To miejsce pozostaje w zgodzie z jego gustem: cichego piękna.

– Tak – potwierdza. – Powiesz mi wreszcie, o co chodzi? – pyta Russell.

Po raz ostatni zerkam na zimowy ogród za oknem, zamykam drzwi i odwracam się do Russella.

– To wszystko moja wina. – Nerwowo wyginam palce.

– Nie przejmuj się, Ruda. Xavier jest... – Milknie, widząc, jak kręcę głową.

– Nie, mi chodzi o ten bałagan... O to, dlaczego tu jesteśmy. – Głos grzęźnie mi w gardle.

– Ach, tak, co ty nie powiesz, Ruda. – Uśmiecha się szyderczo. – Już dawno się zorientowałem, że to nie chodzi o mnie. Ja lubię, żeby wszystko było proste, to ty zawsze musisz udowadniać innym, że Ziemia nie jest płaska.

– Nie, Russell... Przepraszam – mówię z żalem. – Uważam, że to wszystko przeze mnie... to, że nam się nie ułożyło.

– Dlaczego, czego się dowiedziałaś? – Stoi nieruchomo i powoli uśmiech znika z jego twarzy.

– Xavier powiedział... Mówił coś o tym, że jest moim aniołem stróżem od wielu wieków... – Przetykam ślinę. – I jeszcze, że to ja prosiłam, by mieć całkowicie wolną wolę.

– Całkowicie wolna wola. Ruda, co to jest? – pyta cicho.

– Och, niedobrze mi – mruczę pod nosem i opadam na krzesło.

– Co to jest całkowicie wolna wola? – ponownie pyta i siada obok mnie.

– To możliwość dokonywania wyboru... Prosiłam o możliwość wyboru miłości... takiej, która nie była dla mnie stworzona – przyznaję, a olbrzymie poczucie winy uderza we mnie niczym fala wzburzonego morza. – Bratnie dusze

są stworzone jedna dla drugiej i w tym nie ma za dużo wolnej woli.

– Dlaczego miałybyś to zrobić? – W jego głosie słychać zagubienie.

– Nie wiem. – Kręcę głową i spoglądam w jego brązowe oczy. – Xavier powiedział, że zrobiłam to dla niego, że byliśmy w sobie zakochani...

– Nie! Nie ma mowy! – stwierdza Russell ze złością. – Nie przybyłabyś tu tylko z jego powodu; przybyłaś, ale nie dla niego. Znam cię – mówi to, wskazując palcem na swoją pierś. – Przyjęłabyś to i wykorzystywała jak najlepiej, ale nie uczyniłabyś tego moim kosztem.

– Russell, a co, jeśli jestem taka samolubna? – pytam ze smutkiem.

– Nie jesteś – upiera się twardo. – Musimy porozmawiać z Anyą. Ona będzie wiedzieć.

– Myślisz, że nam powie?

– Myślę, że tak. Nie potrafi grać. Albo nam powie, albo nie, ale na pewno nie zatrzyma tej informacji, by ją wykorzystać.

– Dlaczego?

– Ponieważ oni mają plan, Ruda. Oczywiście Xavier chce ciebie mieć, a twój tata chce ciebie kontrolować. Nasza drużyna jest zagrożeniem dla nich obu.

– Skąd to wiesz? – Mrugam okiem, rozumiejąc, o co mu chodzi.

– Ponieważ żyłem tysiące razy i prawie za każdym razem byłem rodzicem. Ty i ja mieliśmy córki... Bardzo dużo córek. Zdziwiłabyś się, co jesteś w stanie powiedzieć, aby zmusić swoją córkę do posłuszeństwa, aby ją chronić.

Przez chwilę rozważam to, co powiedział, i uśmiecham się do siebie.

– Tamte anioły mają zbyt mało broni, jeśli chodzi o ten rodzaj arsenału, Russell.

– Powinni zacząć robić notatki. – Znacząco unosi brwi. – Teraz, kiedy już pozbyłaś się wstydu, możesz mi powiedzieć, co jeszcze mówili.

Opowiadam mu o obiedzie z Tau, a później o swojej konfrontacji z Xavierem. Nerwowo kręci głową.

– Może chcą cię złamać?

– Nie wiem. Tylko mną się interesują... Wszyscy pozostali nie mają dla nich znaczenia – przyznaję. – Tau zamierza mnie uczyć, jak być Serafinką, dawać mi wykłady o randze, pozycji, bla, bla, bla.



– I to ci się nie podoba? – pyta Russell, szukając potwierdzenia.

– Nie, nie podoba mi się – mówię, imitując jego akcent. – Dla mnie oni są tylko aniołami. Równymi sobie.

– Tak. – Kiwa głową.

Oboje milczymy i gapimy się na płomienie w palenisku, które powoli sprawiają, że staję się omamiona ich hipnotycznym tańcem. Uderzenia morskiego powietrza o tafłę szkła w oknach tworzą dziwną muzykę, która odbija się ode mnie otulonej miłym kocem.

– Pamiętam to – mówi Russell, a jego powieki ciężko opadają, gdy na mnie spogląda.

– Hm? – pytam ospale.

– Już zapomniałem, jak to jest... Jak bardzo to lubię. – Delikatnie chwyta moją dłoń, ściska ją lekko i puszcza.

– Co masz na myśli? – Uśmiecham się do niego.

– Uwielbiam tak siedzieć z moją najlepszą przyjaciółką i obserwować, jak ogień powoli gaśnie... – wyjaśnia i po chwili milknie, przywołując jakieś odległe wspomnienie.

– Ja też to lubię – przyznaję z oczami utkwionymi w żarzące się drewno.

– To zwykle dzieje się później, kiedy naszą namiętność zastępują stare kości.  
– Russell uśmiecha się zmęczony.

Ja uśmiecham się do niego rozmarzona.

– Albo tracę kontrolę, albo Anya sprawiła, że się nie starzejemy.

– Ona coś zrobiła – potwierdza Russell. – Gdy znajduję się blisko niej, jestem gotowy rzucić się na każdego, kto się do niej zbliży.

– Tak? – Z zaciekawieniem unoszę brwi.

– Mhm – przyznaje. – Potem, kiedy jesteśmy sami... To jest tak, jak było z tobą... z wyjątkiem... – Spogląda na mnie.

– Nie trzymaj mnie w niepewności. Z wyjątkiem czego?

– Z wyjątkiem tego, że ja mam takie motyle w brzuchu, jakie ty masz, gdy Reed jest w pobliżu – odpowiada, obserwując moją reakcję.

– Och... motyle. A jak ty je czujesz?

– Naprawdę chcesz tego słuchać? – Wygląda na lekko zawstydzonego.

– Jasne – potwierdzam bez zastanowienia.

Bierze głęboki wdech i zaczyna:

– Cholera, to jest jak... Jakbym krążył wokół niej, tak jak wilk, przepełniony czystymi emocjami. Jakbym chciał odrzucić głowę w tył i wyć aż do utraty tchu. Niestety nie mogę powstrzymać lawiny pożądania, która na mnie spada. Im dłużej z nią przebywam, tym bardziej czuję, że żyję, i z tym większą zachłannością pragnę jej uwagi.

– Tak, to jest coś takiego. – Kiwam głową. – I co z tym zrobisz?

– Nie wiem. – Pochmurnieje. – Myślę, że już nieźle narozrabiałem. Potraktowałem ją jak kogoś gorszego i teraz mnie nienawidzi.

– Russell, nie można ciebie nienawidzić – przyznaję szczerze.

– Ty pewnie nie możesz... Lecz ona nieźle daje sobie z tym radę – wzdycha.

– Coś wymyślisz – mówię ze szczerym przekonaniem.

– Moje notowania ostatnio spadły – spogląda na mnie.

– Ach, ale masz jedną przewagę, ponieważ założę się, że ona czuje takie same motyle w brzuchu, gdy jest przy tobie – odpowiadam mu z drwiącym uśmiechem. – Zdaje się, że to zjawisko występuje parami.

– Tak sądzisz?

– Ona musi iść z nami – dodaję cicho i kiwam głową.

– To wyjeżdżamy stąd? – pyta mnie równie cicho.

– Nie pozwolę im nas rozdzielić – odpowiadam przepełniona żalem.

– Kiedy? – Jest gotowy przyjąć każdy plan, który ułożymy.

Uczucie ciepła promieniuje w moim sercu, kiedy słyszę jego słowa.

– Najpierw musimy opracować strategię.

– Mam nadzieję, że to się stanie wkrótce – wzdycha znużony. – To miejsce bardzo męczy.

– Zgadzam się. – Ziewam przeciągle.

Zamykam oczy, aby nie oślepiąły mnie rozmazujące się płomienie. Decyduję się odpocząć chwilę.

Budzi mnie miękki odgłos zamka. Po chwili zastępuje go niska czarująca muzyka z instrumentu, który całkowicie mnie pochłania... Może to brzmienie hawajskiej gitary? Spoglądam przez drzwi do ogrodu, gdzie fioletowe, sine

cienie odsuwają się przed promieniem złotego światła dobywającego się przez szczelinę.

Ciepła zmysłowa bryza niosąca zapach spieczonego słońcem piasku czai się wokół mnie. Spoglądam na krzesło, na którym wcześniej siedział Russell, lecz teraz jest puste. Nieco zaniepokojona, siadam wyprostowana i nerwowo przeszukuję pokój, ale Russella nie ma.

– Russ? – Mój delikatny głos zdradza nadzieję na to, że mi odpowie. Niestety tak się nie dzieje.

Powoli przechodzę obok paleniska do ogrodowych drzwi. Uchylam je odrobinę i wyglądam na zewnątrz. Rytm muzyki dochodzącej z oddali staje się ledwo słyszalny; mrużę oczy, próbując je przyzwyczaić do rażącego światła słonecznego. Unikając oślepienia, zezuję na pokrytą mchem kamienną ścieżkę, która prowadzi do drzwi. To jedyna oświetlona część ogrodu, pozostała tonie w ciemności.

Jestem już gotowa, by zabarykadować drzwi, gdy nagle zza zagajnika dociera do mnie głośny śmiech Russella. Waham się przez chwilę, ale znów słyszę pełen humoru tembr śmiechu przyjaciela, a wraz z nim ujmujące odgłosy leśnej fauny.

Wychodzę do ogrodu; dół jedwabnego rubinowego szlafroka odsłania moje nagie stopy, a jego tył ciągnie się za mną jak tren. Z każdym moim krokiem roślinność rozkwita wzdłuż ścieżki, a w miejsce pożółkłych liści wyrasta bujna zieleń.

– Russell, gdzie jesteś? – szepczę ostrożnie w stronę ustępującej nocy.

Otoczająca mnie bujna roślinność rozrasta się; pokryta rosą winorośl wspina się po kamiennych murach. Moje rozpostarte skrzydła przygotowują się do lotu, a ich końcówki stają się ostre jak brzytwa. Dreszcz przerażenia wstrząsa moim ciałem, kiedy szorstkowłosy królik wyskakuje zza drzewa pokrytego białymi kwiatami. Śnieżnobiałe wonne płatki kwiatów opadają na brązowe puszyste futro zwierzątko.

Balsamiczne powietrze wypełnione egzotycznymi i upajającymi zapachami muska moją skórę. Opieram się towarzyszącej im usypiającej melodii.

– Russell Marx! – wołam szeptem w stronę otaczającej ścieżkę ciemności.

– Tak, tak... słyszę cię, Ruda – odpowiada z roztargnieniem Russ. – Tu jestem.

Z ulgą wypuszczam powietrze z płuc, prostuję plecy, zapominając o postawie

obronnej.

– Co ty tam robisz? – Nie kryję zdenerwowania. – Czy to jest twoja magia?

Idę wzdłuż ścieżki i mijam małą altanę. Potykam się zaskoczona tym, co widzę, a w brzuchu czuję olbrzymi kawał lodu. Russell rozmawia sobie w najlepsze z Faolanem i Declanem pod kwitnącym na różowo drzewem. Panowie stoją u jego boków; Faolan pokazuje Russellowi zakłęcie wiatru. Tworzy wirującą burzę pyłową, która porusza się po trawniku w misternym tańcu. Wiatr sprawia, że miękkie płatki opadają im na włosy i ramiona.

Declan i Faolan wydają się otwarcie przyjaźni. Śmieją się, gdy Russell w magiczny sposób przejmuje kontrolę nad wirującym pyłem i kieruje go w przeciwną stronę. Moje nogi i ramiona są ciężkie od paralizującego strachu, gdy w myślach układam kilka możliwych scenariuszy ataku. Dobrze wiem, że oni są w stanie uśmiercić Russa. Declan, widząc moje drapieżne nastawienie, obejmuje Russella na znak przyjaźni lub groźby pod moim adresem. To wszystko zależy od interpretacji, a ja jestem tak zszokowana, że nie mogę powstrzymać się przed warknięciem na niego.

Dokładnie przyglądam się swoim wrogom, którzy w tej chwili wyglądają inaczej niż kiedyś. Szczupły i wysoki Faolan stracił bladość i teraz jest wręcz różowiutki. Skóra Declana też wygląda zwyczajnie. Otwieram usta ze zdziwienia, kiedy Declan odwraca się i kroczy z Russellem za burzą pyłową, a z jego pleców wystają łuki srebrzystych skrzydeł. Uszy Declana są takie jak u wrózek, nieco wydłużone w miejscach, gdzie kiedyś były zaokrąglone.

– Ruda – woła do mnie Russell. – Widziałaś? – pyta oczarowany tym, jak wiatr rozplywa się w nicość. Macha, zapraszając mnie, abym do nich dołączyła. Po chwili opuszcza głowę, dając mi do zrozumienia, że pozostaje pod wpływem jakiegoś zaklęcia lub uroku.

Muzyka nadal unosi się w ogrodzie jak w wesołym miasteczku, jak na karuzeli. Słyszę ją raz blisko, a za chwilę dociera do mnie z daleka; daje stereofoniczne złudzenie. Mój wzrok pada na ścianę pokrytą bluszczem i słodkogorką winoroślą; tam doszukuję się źródła magii. Zauważam Finna, który gra na jakiejś gitarze o długich strunach. Instrument zwisa nisko, co upodabnia go bardziej do broni niż gitary. Finn pochyla głowę w czasie, gdy gra, koncentrując się na hipnotyzujących dźwiękach. Skupiam wzrok na białych skrzydłach wystających zza jego ramion.

Muzyka jest wielowarstwowa, zawile melodie ukryte w innych melodiach

i jeszcze... coś poza dźwiękiem. Jest zmysłowa i poruszająca – żar arabskiego słońca powiązany z uderzającym do głowy zapachem beduińskich ognisk i kociołków wypełnionych jedzeniem na piaszczystej równinie. To ma na mnie mocny wpływ i sprawia, że czuję się bezsilna... jakby upojona. Z całych sił próbuję pamiętać, że to wszystko nie jest prawdziwe... że to tylko taka bajka. Oni potrafią przywoływać podstępne iluzje i rzucać usypiające zaklęcia, które czynią wszystko nierealnym, podobnym do snu.

Stojący obok Finna nieruchomy Brennus opiera się o mur i patrzy na mnie tymi swoimi jasnozielonymi oczami. Laur ze złotych liści ostro kontrastuje z jego czarnymi włosami. Białe skrzydła nad jego koroną układają się w kształt podobny do postrzępionych jedwabistych liści, a ich końcówki zwisają poniżej łydek. Opalona słońcem skóra zastąpiła niegdyś oczywistą dla mnie bladość. Krótko mówiąc, on jest teraz oszałamiająco piękny i wcale niepodobny do ożywieńców.

Rozciąga rękaw swojej eleganckiej białej tuniki, gładzi dłonią wszelkie nierówności na jedwabistej tkaninie... i czeka.

– Russell – odzywam się najśłodszy tonem i nie spuszczam oczu z Brennusa. – Może pójdziesz pokazać Anyi swoją nową sztuczkę z wiatrem?

Na twarzy Brennusa powoli pojawia się szeroki uśmiech.

– Poczekaj, Russell – zatrzymuje go jowialny Faolan. – Muszę pokazać ci jeszcze jedno zaklęcie, takie leczące urażoną dumę.

– Ruda, oni teraz wracają do siebie – przerywa mu Russell, nie czując się zagrożony. – Znaleźli lekarstwo na swoją chorobę, więc mogą wrócić do domu.

– Naprawdę, Russ? Istnieje lekarstwo na arogancję? – pytam go i dociera do mnie, że jestem osamotniona w tej walce, bo mój przyjaciel jest jakby nieobecny. Dał się całkowicie zwieść wymyślnej grze, tańczy, jak mu zagrają, obraca się w zaklętym kręgu.

Russell śmieje się jak pijany i poklepuje z rozbawieniem pierś Declana, nie zauważając jego złej miny.

– Ona jest zabawna – chichocze.

– O tak – złowrogo szczyrzy się Declan.

– Russell. – Ponawiam próbę, zerkając to na niego, to na Brennusa. – Nie sądzę, że odejdą do domu... i jestem raczej pewna, że nadal są Gankanagami.

Russell marszczy brwi i kręci głową.

– Sama zobacz! – Pokazuje na usta Faolana. – Nie ma klów!

W mojej głowie złość miesza się ze strachem.

– Ocknij się, Russell! – krzyczę na niego. – Przecież wiesz, że potrafia chować kły!

– Co? – mamrocze Russell i spogląda zagubiony. – To ty ukrywasz tam jeszcze więcej zębów?

Z całych sił próbuję zgromadzić tak dużo energii, jak to możliwe, aby rzucić zaklęcie, które pomoże Russowi odzyskać kontakt z rzeczywistością, ale powietrze jest gęste i muzyka rozprasza energię, odsuwa ją ode mnie. Musi być w tym jakaś sztuczka, ponieważ oni nadal używają swojej magii.

– Finn, zagraj coś innego, okay? – krzyczę do niego poprzez kuszące dźwięki i sapię sfrustrowana swoją bezsilnością.

– Co chciałabyś usłyszeć? – woła do mnie z uśmiechem.

– Nie wiem... Może Stairway to Heaven? – Próbuję powstrzymać go przed wykonywaniem tego strasznego utworu.

– Chyba tego nie znam, Genevieve – odpowiada łagodnie. – Musisz mnie nauczyć.

– On nie gra na zamówienie – wtrąca się Brennus, prostuje się i odpycha od muru. – Ale ja tak.

– Och? – Spoglądam na niego gniewnie i pytająco unoszę brwi: – A znasz piosenkę: „Idź do diabła i nigdy nie wracaj?”.

– Nie znam melodii, ale słowa już gdzieś słyszałem – odparowuje z uśmiechem Brennus. Zbliża się z utkwionym we mnie wzrokiem.

Czuję, jak przygotowuje dla mnie najnowszą klatkę, i walczę, by nie odlecieć.

– Jeśli zamierzasz zostać, to mogę ci zanucić kilka taktów – blefuję; próbuję zmuszać go do mówienia. To jedyna szansa, by uratować Russella. Na Casimira podziałało.

– Zawołaj do mnie syrenim śpiewem, miłości mojego serca, lecz ja nie usłyszę twego śpiewu, więc proszę, usłysz mój – mówi niewzruszony Brennus.

– Więc znów jestem miłością twojego serca? – pytam, udając uśmiech, gdy dochodzą do mnie jego słowa.

– To nigdy się nie zmieniło. – Nadal idzie w moim kierunku, nie zważając na nic. – Zawsze będziesz w moim sercu.

Znów próbuję przyciągnąć energię, ale udaje mi się zebrać tylko odrobinę. Staram się zbudować wokół siebie niewidzialny mur, który chroniłby mnie przed Brennusem. Ale kiedy zbliża się do niego, jednym ruchem ręki sprawia, że mur znika.

– Jest magia, której nigdy cię nie uczyłem – syczy groźnie. Patrzę na niego zdziwiona. Okropny, koszmarny strach sprawia, że moje nogi stają się odrętwiałe. Dłoń Brennusa sięga do mnie; czuję chłód jego dotyku. Bierze mnie w ramiona, w jego oczach dostrzegam furię zazdrosnego kochanka. Krzyknęłabym, ale już za późno. Unosi dłoń i uderza mnie mocno w policzek – to uderzenie przepełnione zemstą.

Russell ryczy wściekły i rzuca się ku nam. Brennus trzyma mnie w pasie, unosi jedną dłoń i strzela – impuls energii podrywa Russa w powietrze i rzuca nim o pień kwitnącego drzewa, z którego po chwili niczym cudowne konfetti opadają różowe płatki. Russell upada przy pniu, lecz szybko staje na nogi tylko po to, by zostać schwytanym przez Declana i Faolana, których kły wysuwają się z głośnym kliknięciem.

Russell kopie z półobrotu – żuchwa Declana wykrzywia się pod dziwnym kątem. Chwyta pień drzewa i wyrywa je z korzeniami, z których opada wilgotna ziemia.

Z miną typu „no, chodź tutaj” spogląda na Faolana. Wymachuje drzewem, różowe płatki wypełniają powietrze wraz z brązowym pyłkiem, który niesie lepki, słodki zapach. Pokryte porostami gałęzie chłuszczą Faolana i rozpadają się w drzazgi. Faolan przesuwa się w zacienioną część ogrodu, która nie jest oświetlona zmysłowym światłem Edenu stworzonego przez Finna.

Declan rzuca się na Russella i pcha go z siłą pociągu towarowego, zmuszając do porzucenia roztrzaskanego drzewa. Z otwartych, wykrzywionych ust Declana cieknie ślina. Ożywieniec chwyta Russella w pasie, upada z nim na ziemię i siłą wydusza z jego płuc powietrze. A Finn gra dalej.

Odwracam się w ramionach Brennusa, desperacko próbuję uwolnić się z jego uścisku, aby pomóc przyjacielowi. Brennus używa swojej dzikiej siły, by zatrzymać mnie przy sobie. Z plecami przyciśniętymi do jego piersi czuję, jak delikatnie całuje mnie w szyję.

Moje skrzydła próbują go odepchnąć, lecz to sprawia, że jeszcze bardziej ściska mnie w talii. Jego magia rozplywa się, odsuwając karnawał walczących towarzyszy, dziko zarośnięty ogród i magiczną muzykę. Zamiast nich pozostają

tylko cienie i kontury nocy.

– *Mo chroí*, tak bardzo pragnąłem mieć cię w ramionach – szepcze z ustami przy mojej napiętej skórze. – Wyrwałaś mi serce.

Zaprzestaję bezcelowej walki w chwili, gdy słyszę jego oskarżenie. Odchylam głowę i opieram ją na miękkiej białej tkaninie okrywającej jego pierś. Sapię ze zmęczenia i marzę, by gwałtowne bicie serca zamieniło się w odgłos moich stóp uciekających z tego miejsca.

– Tak bardzo wstydzę się tego, czym się stałam – wyduszam z siebie przez zaciśnięte gardło; wiem, że on zrozumie to lepiej niż ktokolwiek inny. Jego ciało nieruchomieje za mną, a chłodne wargi muskają skórę. – Nigdy nie chciałam cię zranić... Oni powiedzieli... powiedzieli, że sama się o to prosiłam... Że zgodziłam się stać narzędziem powodującym zazdrość, i już wiem, że jestem dokładnie taka jak ty... Jestem kuszącym potworem.

– To prawda i właśnie dlatego nie mogę bez ciebie żyć. Ty wyznajesz mi rzeczy, które potrafią złagodzić największy gniew – mruczy, a ja czuję jego oddech na swojej szyi. – Jesteś potworem, Genevieve, i właśnie to najbardziej w tobie kocham. Tę niebezpieczną, kuszącą zabójczynię, która kryje się w tobie. Masz w sobie słodycz przepięknej dziewczyny i siłę niebiańskiego stworzenia. Lecz wstyd jest domeną słabych, *shíorghrá* – mówi czule, nazywając mnie swoją wieczną miłością. – Ale ja znam na to lekarstwo.

Jego kły wysuwają się, klik, i przebijają miękką skórę na mojej szyi w miejscu, gdzie pulsuje tętnica. Tym razem krzyczę z przeszywającego bólu, który bezlitośnie uświadamia mi, że walczę o własne życie. Utrata krwi wkrótce sprawia, że ciemnieje mi w oczach i z trudem sapię, by wciągnąć powietrze. Wbijam paznokcie w jego policzki, potem uderzam pięściami. Wkrótce pojawia się narastające uczucie zadowolenia, gdy opuszki moich palców nieprzytomnie tańczą na jego ciele, które ogrzewa się moją krwią.

Oszalałe bicie serca zaczyna słabnąć, puls zwalnia, prawie zanika, i nie dzieje się to na skutek pięknej miłości ani uczucia do ukochanego czy też bliskości serc. Ciemność ogarnia mnie i z bólem zabija wszelką nadzieję. Ciepła łza opada z mojego policzka wprost na policzek Brennusa. Kiedy kolana uginają się pode mną, wyciąga kły z mojej szyi i obraca moje wiotkie ciało w swoich ramionach. Ostre linie jego pięknej twarzy łagodnieją, gdy jej obraz faluje w moich oczach. To moja krew osłabia go i sprawia, że jest upojnie zaspokojony.

Trzymaj mnie jak lalkę, a ja szukam Russella poza magicznym welonem,



który stał się cienki i faluje teraz, oddzielając rzeczywistość od iluzji. Bijatyka pomiędzy Russellem a chłopakami trwa nadal. Walczą na naszych oczach, by po chwili znów się oddalić.

Brennus odwraca moją głowę tak, bym mogła patrzeć w jego jasnozielone oczy. Z trudnością rozpoznaję jego pełen pasji głos.

– Tym razem spełnisz moje żądania. Wyznaj mi miłość, a ja odwzajemnię uczucia, oddam swoją krew. Znów wszystko będzie twoje i pokonamy każdego.

Pycha, która przemawia przez niego, powoduje, że powolny uśmiech pojawia się na moich niebieskawych wargach; krew spływa mi z szyi. Drżącymi palcami dotykam jego policzka.

– Już wygrałeś. Umieram... Dokonałeś zemsty – odpowiadam ledwie słyszalnym szeptem.

Strach sprawia, że jego oczy stają się szersze, a gdy zamykam powieki, potrząsa mną, żebym je otworzyła. Moje serce z trudem bije, a każde uderzenie jest słabsze od poprzedniego.

– To nie zwycięstwo! – Jego usta układają się w ponury grymas, gdy mówi do mnie i ponownie mną potrząsa, gdy zamykam oczy. – Utrata ciebie oznacza wieczną żalobę...

– Więc... przegrałeś. – Delikatnie klepię go po policzku, potem moja dłoń osuwa się bezwładnie.

Brennus nachyla się nade mną i widzę, jak mały uśmiech kryje się w kącikach jego ust.

– Genevieve, czy ty kiedykolwiek słyszałaś, żebym przegrał?

– Co? – Ciemny, zimny strach zaciska moje umierające serce.

– Pocałuj mnie na pożegnanie, *mo chroí* – mówi z uśmiechem i przykładła swoje usta do moich. Rozszerza moje wargi żarliwymi pocałunkami i po chwili wbija kły w swoją dolną wargę. Jego krew jak potok łez zwilża mi usta.

Ożywienie jak straszliwa trucizna wpełza w moje kończyny. Mięśnie napinają się i drżą w spazmach, gdy stają się sztywne.

– Nie – rzucam oskarżycielsko w jego rozradowaną twarz, gdy przygląda się mojej przemianie w ożywionego potwora.

– Tak – odpowiada szeptem, z miłością gładząc moje włosy. – Teraz naprawdę jesteś moja.

Nadal w ramionach Brennusa zwijam się z zimna ogarnięta cierpieniem i całkowitym smutkiem.

– Zostaw ją, zanim oderwę ci głowę. – Złowrogo brzmiący głos Russella odzywa się gdzieś obok mnie.

Odrobinę unoszę głowę w jego kierunku i widzę, jak stoi za Finnem z metalowym instrumentem, na którym ten przed chwilą grał. Ze zdeterminowanym spojrzeniem dociska go bardziej do szyi Finna. Teraz wystarczy tylko gwałtownie pociągnąć ostry koniec instrumentu, aby pozbawić Finna głowy.

– Spóźniłeś się – odpowiada łagodnie Brennus.

– Zostaw ją! – krzyczy Russell, piorunując go wzrokiem.

Brennus kładzie mnie delikatnie, jakbym była ze szkła, na zimnym, twardym podłożu. Dookoła nas cudny ogród znika, a bujna soczysta zieleń cofa się przed zimową ciemnością. Przejmujący chłodny wiatr zastępuje przyjemny upał powstały dzięki magii Finna.

Także Finn i Brennus zaczynają się zmieniać. Ich przepiękne białe skrzydła stają się obłokami dymu, a skóra znów nabiera bladego śmiertelnego odcienia. Biała magiczna szata ożywieńców znika, a w jej miejscu pojawiają się doskonale skrojone, szykowne czarne garnitury.

– A teraz się odsuń! – rozkazuje Russell, spoglądając gniewnie na Brennusa. Kiedy ten cofa się o krok, Russ popycha Finna w moją stronę.

– Wstawaj, Ruda. Idziemy. – Szybko zerka na mnie, potem na Brennusa.

– Ona nie może się ruszać – informuje go Brennus, nie kryjąc uśmiechu. – Umiera... Albo raczej zostaje ożywiona, jak wolisz.

Declan, utykając, podchodzi do Brennusa. Gdy magiczna zasłona opadła, wygląda tak, jak zawsze wyglądał: zimny i bezlitosny – Gankanag zabójca.

– Co? – rzuca Russell podniesionym tonem i znów spogląda na mnie, gdy krew ocieka z jego twarzy.

Próbuję kazać mu uciekać, ale nie czuję swoich warg, wypala mnie najzimniejszy lód. Moje żyły stają się czarne pod śnieżnobiłą skórą dłoni i ramion, gdy pełza w nich trująca krew Brennusa.

– Nie, nie, nie... – Przesiąknięty paniką głos Russella wydobywa się z jego ust, jakby bezwiednie, i brzmi nienaturalnie. – Ona nigdy nie napiłaby się twojej krwi...

– Ale jednak to zrobiła, miałem krew na wargach, kiedy pocałowała mnie na pożegnanie – oznajmia spokojnie. – Pozostanie ze mną po tej stronie wieczności.

– Jak mogłeś jej to zrobić? – krzyczy Russell, sycząc jak wąż. – Skazałeś jej duszę na wieczne potępienie! To miał być jej wybór!

– Ale wybrałem ja – pointuje, obserwując, jak Russell z coraz większą siłą dociska srebrzysty instrument do szyi Finna.

– Brenn – charczy Finn, spoglądając ze smutkiem na mnie. – To nie tak miało się stać.

– Ale tak się stało! – cedzi Brennus.

Jęczę w agonii, kurczowo trzymam się bólu, aby nie wpaść w czarną przepaść wewnątrz mnie. Po chwili czuję, jak Russell tuli mnie w ramionach, a jego głowa tonie w moich włosach. Kołysze mnie i cierpi razem ze mną; jego krwistoczerwone skrzydła osłaniają nas przed Gankanagami.

– Ach, Ruda, nie... przepraszam... – szepcze ochrypłym głosem i mocno przyciska mnie do piersi. Jest tak ciepły, że chciałabym otulić się nim jak kocem.

Jego łyzy delikatnie zwilżają moją skórę.

– Co ja teraz zrobię? Jak mogę to zatrzymać?

Z moich ust nie wydostają się już obłoki pary, ponieważ powietrze, które wydycham, stało się zimniejsze do tego na zewnątrz.

– Zabij... mnie. – Gdy wypowiadam te słowa, pięść Russella zaciska się w moich włosach.

Jęczy, jakby był chory.

– Nie mogę – mówi głosem torturowanego przez zaciśnięte zęby.

– Proszę... – Mój szept jest cichszy niż szelest jesiennego liścia opadającego na oszroniony mrozem trawnik.

– Już nie możesz jej uratować. Zajmiemy się nią, będzie dla nas najdroższa. Powinieneś odejść, aby nie zmusiła cię, żebyś ją zabił. – Finn pochyła się nad nami, okazując współczucie.

– Nie masz pojęcia, do czego jestem zdolny! – Russell spogląda groźnie na Finna.

– Nie możesz tego zatrzymać. – Brennus podchodzi do niego z obnażonymi kłami. – Idealnie pasujesz na jej pierwszą ofiarę.

Obity i mocno poturbowany Faolan pada z jękiem u stóp Brennusa, który z wrzaskiem spogląda w niebo, gdy kopniak Reeda łąduje na jego twarzy. Powalony siłą uderzenia opada z dala od nas.

Antracytowe skrzydła, w których znam każdy kontur i każdą linię, rozkładają się między nami a Brennusem jak osłona przed Gankanagami. Później Reed łamie nogę trzymającego się za połamaną szczękę Declana, a ten nieskutecznie próbuje go uderzyć pięścią.

– Cokolwiek planujesz zrobić, Russell, zrób to! – W tonie Reeda odznacza się odgłos narastającej paniki.

Oczy Russella stają się dzikie, szerokie, gdy bierze głęboki wdech. Wypuszcza powietrze drżącymi nozdrzami i kładzie swoją dużą dłoń na mojej piersi. Jego palce zaczynają świecić i ogrzewać mnie jak roztopione żelazo; ciepło penetruje moją pierś, aby roztopić skryzalizowany we mnie lód.

Wyję z bólu, gdy krew zmienia kierunek w żyłach. Russell opada obok mnie niczym kaskada zmrożonych kawałków ziemi. Leżymy obok siebie, jego dłoń nadal spoczywa na mojej piersi, jesteśmy połączeni jak bliźnięta syjamskie, gdy wyciąga z mojego ciała zatrutą krew i pozwala, by wpłynęła do niego.

Zaniepokojony tym, co się dzieje, Finn próbuje oderwać dłoń Russella od mojego serca, lecz Russ drugą ręką sięga Faloana i kładzie mu ją na piersi. Ta druga dłoń także zaczyna świecić. Finn wykrzywia twarz w grymasie zaskoczenia, wreszcie odpycha dłoń Russella z mojej piersi i zmaga się, by oderwać drugą z tułowia Faolana. Gdy nie może jej odciągnąć, rozgląda się i widzi Reeda walczącego z Brennusem. Wstaje i pomaga swojemu bratu.

Twarz Faolana blednie, przyjmuje szarobiały kolor, a jego żyły wypełnia czarna krew. Teraz wyglądają jak wijące się pijawki pod skórą. Jego włosy, do niedawna czarne jak noc, stają się białe jak u leciwego staruszka. Dwie głębokie rany otwierają się na jego szyi – wyglądają identycznie jak ślady ugryzień Brennusa. Z tych otworów sączy się coś, co podobne jest bardziej do gęstego zużytego oleju silnikowego niż do krwi. Kilka sekund później jego pijawkowe żyły rozrywają się i krwawi czarną cieczą przez wszystkie pory, oczy i uszy. Przestaje walczyć, gdy jego oczy stają się ciemniejsze niż niebo nad nami.

Kojące ciepło, które uzdrawia moje gnijące ciało, sprawia, że jestem słaba i cała się trzęsę. Dłoń Russella opada bezwładnie, a ja unoszę się, próbując chwycić go i przyciągnąć do siebie.

Płacząc, czołgam się w jego kierunku; Russ krztusi się, z trudem łapie oddech. Spoglądam na jego twarz i widzę, jak gapi się na mnie.

– Russell – sapię. – W porządku?

– Nie. – Powoli kręci głową. – Czuję się wypalony w środku.

– Możesz się ruszać? – Próbuję go posadzić.

– Żyjesz – mamrocze zaskoczony, potem odwraca głowę i spogląda na martwe ciało Faolana leżące obok niego. – To zadziało – mruczy pod nosem.

– Co zadziało? – Spoglądam w niebo w poszukiwaniu Reeda i Brennusa.

– Miałem to przyjąć... twoją chorobę, ale gdy Faolan jęknął za moimi plecami, pomyślałem: „ty to przyjmiesz, zimny dziwaku”, więc pozwoliłem, by twoja choroba przeszła przeze mnie do niego – wyjaśnia grobowym tonem i pociera dłonie, jakby go bolały. – Pewnie się usmażył.

– Więc to przeszło przez ciebie do niego jak napięcie elektryczne?

– Tak myślę – odpowiada odrętwiały.

Białe światło miga w powietrzu blisko mnie, gdy Declan pociera dłońmi połamaną nogę. Kończyna niemal natychmiast się prostuje, a po złożonym złamaniu nie ma już śladu. Declan robi dokładnie to samo ze swoją zwisającą żuchwą, wpycha ją na miejsce z głośnym trzaskiem i łączy za pomocą magicznego światła.

Potem groźnie patrzy na nas leżących na ziemi. Złowrogi ryk wydobywa się z moich ust, a oczy robią się coraz węższe. Jak lwica chroniąca swoje młode odstraszam Declana, którego stalowe oczy ze złością świdrują Russella.

– Zabiłeś Faolana! – ryczy Declan i kroczy do nas w furii. Macha w stronę szarego kamiennego muru, rozbija go na kawałki i przesuwa je w naszą stronę jak falę kamieni i gruzu.

Bez działania magii Finna mogę przyciągnąć do siebie energię i odbić nią pędzące w naszym kierunku kamienie. Pierwsze kawałki zamieniają się w pył, kilka pozostałych opada na ziemię.

– Russell, musimy ruszać! – rozkazuję mu, nie spuszczać wzroku ze wściekłego, miotającego się przede mną Gankanaga.

– Dlaczego? Przecież jestem większy od niego – pyta osłabiony i z trudem stoi u mojego boku. Delikatnie pochyla się do przodu, zdejmując ciężar z lewego boku.

- Powstrzymam go na jakiś czas. Idź po pomoc – szepczę do Russella.
- To ty idź po pomoc, ja go powstrzymam – odpowiada, wijąc się z bólu.
- Nie bądź uparty – cedzę przez zęby.
- To ty jesteś uparta.

Brennus i Reed materializują się tuż za Declanem. Obracając się i kręcąc dookoła, walczą na noże z nadprzyrodzoną prędkością. Z trudem mogę rozpoznać ich ruchy; mój słaby puls przyspiesza, gdy widzę Reeda unikającego brutalnych ciosów Brennusa. W jego dłoni jest broń, którą dobrze rozpoznałem... To nóż do otwierania listów... Moja broń. Towarzyszy mu Finn i używa własnego noża, wymachując nim w stronę Reeda, który skupia się głównie na Brennusie.

Brennus skacze jak owad po całym ogrodzie, odwraca grawitację siłą inercji i magii. Reed zachowuje się jak cień Brennusa i jest zaledwie o milisekundy za nim, aż do momentu gdy przewiduje jego następny ruch. Reedowi udaje się brutalnie rozplatać plecy Brennusa; po chwili zadaje kolejny cios i sprawia, że przeciwnik traci więcej krwi.

Jestem tak pochłonięta ich walką, że zapominam o Declanie, który stoi przede mną i wcale o mnie nie zapomniał. Russell odpycha wirującą magię Declana. W potężnym powiewie błyszczącego powietrza Declan kieruje na nas wiatr. Wirujące powietrze wchodzi w nasze nosy i wypycha tlen z płuc przez usta. Razem z Russellem opadamy na kolana i z trudem walczymy o oddech.

Declan chwyta mnie za szyję i unosi. Spoglądam na niego z przepęlnioną bólem miną i wytrzeszczonymi oczami – jak u kogoś, kto się dusi z braku tlenu.

– Faolan cię kochał! Dlaczego nas nie posłuchałaś? – pyta z wyrzutem, choć prawdopodobnie wie, że nie mogę mu odpowiedzieć. – Będziesz jedną z nas i przez resztę życia będziesz odpokutowywać to, co mu zrobiłaś, i wiesz... głupia, że nie jesteś w stanie tego odpokutować!

Bezsilnie drapię dłoń Declana, duszę się, moja twarz staje się czerwona, gdy w bólu potrząsam nogami niczym w śmiertelnym tańcu. Declan wygląda jeszcze straszniej, z jeszcze większą siłą ściska moją szyję. W jego oczach widzę wściekłość, a tuż za nim dostrzegam piękne zielone oczy.

Tępe krawędzie noża penetrują tył szyi Declana i wychodzą tuż przed jego oczami. Gniewnym pociągnięciem Reed przecina ścięgna i chrząstkę. Uścisk Declana natychmiast słabnie, a ja opadam na ziemię, gdy jego głowa zwisa

do przodu w połowie przytwierdzona do szyi. Declan jest całkowicie martwy.

– Evie – dyszy Reed z wzrokiem pełnym troski; chwyta mnie w ramiona.

– Reed – wzdycham z ulgą, lecz zanim udaje mu się mnie dotknąć, za jego plecami pojawia się Brennus.

Wytrzeszczam oczy, a panika powoduje, że z mojego opuchniętego gardła wydobywa się tylko nikły dźwięk przerażenia. Reed musiał jednak wcześniej odczytać wyraz mojej twarzy, ponieważ w ułamku sekundy odwraca się i wbija nóż w ramię napastnika. Brennus wzdryga się, lecz nadal może dosięgnąć swoimi zimnymi toksycznymi palcami dłoni Reeda, która zaciska się na rękojeści.

Przerażenie ogarnia moje serce, gdy mięśnie Reeda się rozluźniają. Bezsilny powoli opuszcza skrzydła. Stoi potulnie przed Brennusem, a ten patrzy na niego, jakby to on był jego ukochanym, nie ja.

Kładzie dłoń na silnej piersi Reeda i odpycha go delikatnie; bierne ciało zatrzymuje się obok mnie. Jednym ruchem Brennus wyciąga sobie nóż z ramienia.

– Zostań tam – mówi do Reeda, a mój anioł jest mu posłuszny.

Słyszę jakieś dźwięki podobne do krzyków, lecz siła głosu jest bardzo mała. Dopiero po kilku chwilach zdaję sobie sprawę, że to ja je wydaję. Moja zniszczona krtań nie pozwala mi wydać z siebie odgłosu desperacji i rozpacz. Tylko słabe skamłanie dobywa się z mojego drżącego ciała, a wszystko to, co teraz rozdziera mi serce, nie może ze mnie ulecieć.

W oczach Brennusa widzę dokładnie taki sam smutek, kiedy dotyka mojego wilgotnego policzka. Odłamek nienawiści, głębokiej i brutalnej, przedziera się przez moje ciało, gdy patrzę na tego Gankanaga. Właśnie wydał na mojego ukochanego wyrok śmierci. Reed zginie z rąk Brennusa lub innego anioła, ponieważ trucizna, którą dostał przez dotyk, jest śmiertelna, prawie tak niebezpieczna jak próbowanie krwi ożywieńca...

– Czy płakałabyś tak samo za mną, *mo chroí*, gdyby on mnie zabił? – pyta przepełniony bólem, palcem ścierając moje łzy.

Wielkie krople nadal płyną mi z oczu, ale mój umysł krzyczy. Była śmiertelna... była... ale Russell mnie uratował...

– Zrobię wszystko, czego pragniesz – błagam go zachrypłym głosem, który wznosi się i załamuje. Mój wzrok ucieka do Reeda, na którego twarzy gości

uśmiech zadowolenia, spowodowany mglistym czarem czarnoksiężników.

Będę o ciebie walczyć – moje oczy obiecują to Reedowi; po chwili przenoszę wzrok na Gankanaga.

Układam usta, aby ucałować dłoń Brennusa na znak oddania. Jego spojrzenie łagodnieje; w pewnym sensie jest zadowolony z tego, co zrobiłam. Ociera kciukiem moje wargi.

– Nie znałem nikogo, kto przeżył moją krew – dodaje i delikatnie gładzi mnie po policzku. – Ty jesteś cudem, Genevieve.

– Będę twoim cudem, Brennusie. Pozwól Reedowi odejść z Russellem, a ja będę cała twoja – obiecuję z uśmiechem, który, mam nadzieję, jest kuszący.

Brennus prostuje plecy.

– Jeszcze jakieś warunki? – Jego oczy zdradzają wyrachowanie.

– Uwielbiasz się targować. Po to żyjesz. – Próbuję zwolnić tempo bicia swojego serca, które tak wali, że aż dudni. – Zabierz mnie ze sobą, a jego zostaw. – Spoglądam na Reeda. – Teraz widzę, że jest słaby. Pokonałeś go, więc pozwól aniołom się nim zająć.

– Nie, nigdzie z nim nie pójdziesz – warczy Russell, chwytając mnie za ramię i wrywa z rąk Brennusa.

Wyraz twarzy Brennusa zmienia się. Zaczyna przyciągać do siebie energię, czuję, jak ona przeze mnie przechodzi.

– Zabiłeś Faolana. – Przeszywa wzrokiem Russella. – Nawet przez chwilę nie myśl, że pozwolę ci żyć.

– Nie, to ty go zabiłeś. To była twoja krew, którą w niego wepchnąłem, nie moja – odcina się Russell, a energia unosi się też wokół niego. Klon wystrzeliwuje i odlatuje w stronę zamku.

Brennus już wie, co to oznacza. Zaraz przybędą tu inne anioły.

– On nie jest bardzo bystry, prawda, *mo chroí?* Czy to dlatego rzuciłaś go dla tego anioła? – pyta, a jego brwi łączą się w linię. – Zdajesz sobie sprawę, drugi, że ja kontroluję teraz śmiertelnie niebezpiecznego anioła Mocy? Zniszczy każdego na skinienie mojej dłoni.

– Wiedział, że kiedyś go zabiję – odpowiada Russell, odpychając mnie od siebie.

Opadam na ziemię, a gdy próbuję wstać, odbijam się od niewidzialnej ściany,



którą Russell stworzył, bym nie poszła z Brennusem. Walę pięściami w przezroczystą barierę, serce łomocze w mojej piersi, ponieważ ja muszę iść; to jedyny sposób, by uratować Reeda.

– To teraz masz szansę go zabić – zachęca kpiąco Brennus i po chwili zwraca się do Reeda: – Aniele, zniszcz tego drugiego...

Skrzydła Reeda układają się w tył, gdy biegnie z całych sił do Russella, ale ściana energii otaczająca zarówno mnie, jak i Russella, odbija go gwałtownie. Warcząc nisko, Reed zbliża się i bada energię, szukając jej słabych punktów. Jego wściekły wzrok jest straszniejszy niż dźwięki, które wydaje, ponieważ Reed nigdy przedtem tak na nas nie patrzył... Jakby chciał nas wypatroszyć.

Krzyki i hałasy docierają spoza ścieżki, z miejsca, gdzie znajdują się drzwi do mojego pokoju. Piękne głosy aniołów wołają w noc. Wpadam w desperację. Zaczynam opierać się magii Russella i sama rzucam się na niewidzialną ścianę w poszukiwaniu słabych miejsc.

– Russell, nadchodzą! Musisz mnie wypuścić! Muszę pójść z Brennusem – błagam, czując, jak Russell przyciąga jeszcze więcej energii, aby zaklęcie stało się silniejsze.

– Nie mogę ci na to pozwolić – mówi smutno.

Brennus macha ręką i rzuca ogień na ścianę tylko po to, by ten odbił się milionem iskier.

– Dawno temu cię ostrzegałem przed tym, czym się stanę. Nie przejmowałeś się tym, a teraz już za późno. Twój ludźmi są martwi, a ty będziesz następny – cedzi Russell ze złością.

– To nie jest dokładnie tak, prawda? – drwi Brennus. – Twoja słabość właśnie doprowadziła twoją przyjaciółkę do rzezi. Ona może cię zabić, zanim ja to zrobię. – Kiwa głową na mnie. – Jej anioł już jest martwy... przez ciebie.

– Russ! Proszę! Wypuść mnie! – błagam histerycznie, z oczami utkwionymi w Reedzie, który spogląda na Russella jak na swoją ofiarę.

– Nie mogę! – W jego tonie łączy się gniew i desperacja.

Brennus czuje potrzebę ucieczki – głosy aniołów zbliżają się nieubłaganie. Wyciąga rozkładane lustro z wewnętrznej kieszeni marynarki, otwiera portal i rozkazuje Reedowi:

– Wejź tam i zaczekaj na mnie.

Reed natychmiast zmienia swój kształt i rozpada się na rój pszczoł miodnych,

by po chwili zniknąć wewnątrz portalu.

– Nie! – krzyczę, a w moim umyśle pulsują najbardziej przeraźliwe obrazy tortur, które czekają Reeda po drugiej stronie.

Brennus waha się przez chwilę, gdy walę w otaczającą mnie niewidzialną klatkę.

– Poczekaj! Brennus, poczekaj! – wydzieram się desperacko. – Przyjdę do ciebie. Obiecuję.

– Przyjdiesz? – Na jego ustach pojawia się uśmiech.

– Przyjdę! Nie przemieniaj Reeda!

– Dlaczego nie? – Pytająco unosi brwi.

Opuszki moich palców osuwają się po niewidzialnej barierze.

– Ponieważ... Ponieważ chcę uczynić go swoim *sclábhaí* – kłamię. – Będzie dobrym niewolnikiem.

Brennus jeszcze bardziej się uśmiecha.

– Rzeczywiście.

– Brenn, musimy już iść. – Finn wskazuje na ruch przy budynku za nami. Kiedy widzi, że Brennus kiwa głową, znika wewnątrz portalu.

– Wiesz, gdzie będę – mówi Brennus z uśmiechem.

– Wiem – potwierdzam; mam się udać do Rycerskiego Baru.

– Pospiesz się... Nie zamierzam go dla ciebie długo trzymać.

– Przyjdę, przysięgam... – Przykładam dłonie do dzielącej nas bariery.

– Do zobaczenia. – Pochyla głowę, wskakuje do portalu i niknie w ciemności.

## *Rozdział 22*

### *Szpiedzy i sprzymierzeńcy*

Portal, którego Brennus użył do swojej ucieczki, opada na zamrożoną ziemię i leży tam, zapraszając mnie, bym do niego weszła. Russell uwalnia się od chroniącej go energii i podchodzi do niego.

– Nie... – błagam, gdy podnosi portal i miażdży go w dłoni. Po chwili macha ręką, aby uwolnić mnie z niewidzialnej celi.

Opadam na kolana przytłoczona ciężarem smutku tak wielkim, że nie mogę stać. Łzy cieką mi ciurkiem; zakrywam dłonią usta, by się uspokoić. Muszę... mieć plan... Muszę... Muszę... Reed! Moje serce ogarnia ból. On zabrał mi Reeda! Krzyczę cicho, gdy mój umysł próbuje okiełznać ogarniające mnie bolesne emocje.

– Ruda – brzmi łagodny głos Russella w moim ogarniętym wściekłością mózgu, podczas gdy uzbrojone anioły z groźnymi minami okrążają nas, przeszukując teren w poszukiwaniu zagrożeń.

Unoszę drżącą dłoń, aby zabronić mu wziąć mnie w ramiona. Nie chcę, by Russell mnie uspokajał. Nie ma żadnego ukojenia. Potrzebuję Zee... on jest bystry, wie, co robić... on pomoże mi uratować Reeda – chaotycznie układam plan i wstaję.

Chwytam najbliższego anioła Mocy i szarpie napierśnicę jego zbroi.

– Zefir! Muszę go znaleźć! – przemawiam drżącym głosem.

Jego dłonie dotykają moich ramion, by mnie uspokoić, bo chwieję się na nogach, a wszystko wokół zaczyna wirować. Bez chwili namysłu błyszczący klon wychodzi ze mnie, co sprawia, że anioł Mocy otwiera szeroko oczy ze zdziwienia. Mój obraz pędzi przez tłum aniołów, wywołując ciche szepty i dźwięczne komentarze. Zdezorientowana i zgubiona wycofuję się od aniołów Mocy i pędzę wzdłuż ogrodowej ścieżki. Russell już jest u mojego boku, próbuje mi pomóc, obejmując mnie.

– Nie! – rzucam z goryczą i chcę strząsnąć z siebie jego ramię, lecz on trzyma

mocno.

– Musiałem cię powstrzymać – tłumaczy się Russ błagalnym tonem i stara się mnie zmusić, żebym na niego spojrzała. – Dobrze wiem, jak to jest, kiedy ciebie zabierają, i nie chcę przeżywać tego jeszcze raz.

Odwracam się do niego i celuję palcem prosto w jego twarz.

– To nie twoja decyzja! – warczę na niego chrapliwie, bo Declan zostawił głębokie sińce na moim gardle. Declan! Declan nie żyje, krzyczy mój umysł.

Russell też wygląda na porządnie obitego, lecz prostuje się i wskazuje palcem na mnie.

– Ale ja sprawiłem, że to jest moja decyzja! Reed chciałby, żebym cię powstrzymał. Nie jesteś teraz w stanie walczyć z Brennusem! – argumentuje zdenerwowany. – I nie mów mi, że mogłabyś uzdrowić Reeda, zanim Brennus ponownie by cię ukąsił, bo ja tego nie kupuję.

– Nie mów o Reedzie w czasie przeszłym! – pryham, gdy coś ściska boleśnie moje serce. Zdaję sobie sprawę, że tracę cenny czas. Czas nie jest teraz nieskończony, Reed go już prawie nie ma. Odsuwam Russella i biegnę do posiadłości w poszukiwaniu Zee.

– Evie! – krzyczy Russell, biegnąc za mną.

Xavier opada z nieba z powiewem potężnych skrzydeł i ląduje tuż przede mną z miną tak smutną jak moja. Próbuję go ominąć, lecz jest równie szybki i łapie mnie w ramiona.

– Musimy porozmawiać – zaczyna i spogląda na mnie, a jego oczy stają się ciemniejsze. Chwyta mnie za podbródek i obraca moją głowę, by dobrze się przyjrzeć poczerwiałej szyi.

– Puść mnie – rozkazuję szorstkim szeptem. – Nie mogę teraz rozmawiać!

– Dziwne, że w ogóle możesz mówić – odcina się Xavier. – Kto ci to zrobił?

– Gankanagowie. – Wskazuję na nieruchome ciało Declana. – Sam sprawdź...

– Zostałaś zaatakowana? – żąda potwierdzenia.

– Tak. – Próbuję uwolnić się z jego uchwytu.

– Evie – dociera do mnie uspokajający głos Zefira.

– Zee! – wołam, a moja twarz wykręca się w bólu, gdy spoglądam w jego jasnoblękitne jak lód oczy. Wyciągam do niego ręce i zarzucam mu je na szyję.

Chcę się wydostać z potężnego uścisku Xaviera. Moim ciałem wstrząsa szloch.

Gdy przywieram do Zefira, Xavier w końcu uwalnia mnie i pozwala mi spocząć w jego ramionach. Mówię mu, co się stało i co powinien wiedzieć, aby pomóc Reedowi. Z moich ust wydobywają się jednak trudne do rozpoznania słowa, zniekształcone szlochem.

– Cii... – Zefir uspokajająco gładzi moje włosy. – Odebrałem wiadomość od ciebie, Evie. Wiem, że Brennus cię zaatakował... Wiem, że... straciliśmy Reeda.

– Nie. – Kręcę głową. – Nie straciliśmy.

– Czy Brennus zaatakował Evie? – pyta Xavier Zefira.

– Tak, wyobrażasz sobie? – odpowiada Russell zamiast Zee.

Xavier agresywnie pochyła się nad Russellem, a jego oczy ciemnieją z gniewu.

– Powiedz mi, co się stało, zanim rozerwę cię na kawałki!

– Xavier – mówi ostrzegawczo Tau, który pojawia się razem z Cole'em u boku. Oczy Tau spotykają się z moimi, a jego twarz jest całkowicie nieruchoma.

Odwracam się i chowam twarz w ramieniu Zefira.

– Evie... – Tau wypowiada moje imię głosem pełnym miłosierdzia. – Jesteś ranna? Zefir, zabierz ją do środka.

– Nie jestem ranna – udaje mi się wykrztusić. – To Reed... – Muszę przerwać, by wstrzymać potężny ból, który skręca mój brzuch, jakbym została dźgnięta bagnetem. Zaciskam oczy.

– Do środka – nakazuje Tau Zefirowi z powagą i nie czeka, aż skończę.

Chłodny wiatr owiewa moje odrętwiałe kończyny, gdy Zefir niesie mnie w swoich ramionach. Idzie za Tau labiryntem korytarzy z prędkością, która przyprawia mnie o zawroty głowy. Patrę przez ramię Zefira na Russella, który jest tuż za nami. W moim gardle nadal płonie gniew zdradzonej osoby; spoglądam na zbliżającego się Xaviera.

W powietrzu pojawia się nikły zapach drogich perfum, kiedy Zee przynosi mnie obok gabinetu Brennusa. Te perfumy były prezentem od niego w czasach, kiedy zamieszkiwałam w pokojach połączonych z jego gabinetem. Mijając drzwi tego pomieszczenia, zauważam, że jest prawie niezniszczone po bitwie w posiadłości. Olbrzymie mahoniowe biurko nadal tu jest, a przy nim stoją

krzesła obijane jedwabiem.

Zefir przechodzi obok stolika, przy którym kiedyś zwykłam jeść śniadanie każdego ranka, i opuszcza mnie na elegancką sofę blisko okien z widokiem na morze. Układa mnie na poduszkach i natychmiast zaczyna przyglądać się ranom. Tau stoi obok niego, mówi coś w języku aniołów i bacznie obserwuje każdy badany fragment mojego ciała.

– Nie ma na to czasu! – mówię szybko do Zefira. – Reed nas potrzebuje.

– Co się stało? – pyta Tau.

Próbuję powiedzieć mu o wszystkim, ale nie mogę; moje usta wykrzywia cierpienie. Russell szybko przybywa mi z pomocą i relacjonuje nocne zdarzenia z bolesną wręcz dokładnością. Gdy kończy, wszyscy są w szoku.

– Zmuszono Evie, by wypila krew Gankanagów, a ty ją uleczyłeś? – zwraca się Tau do Russella.

– Tak – odpowiada Russ z grymasem na twarzy i dodaje: – Ale to moja wina, że znalazła się na zewnątrz.

– Jak mogła przyswoić krew Brennusa? – dopytuje Tau cicho. – Ona żyje i nadal ma duszę.

– Nie wiem – odpowiada szczerze. – Myślałem, że któryś z was zdoła to wytłumaczyć.

– Możemy go uratować... Muszę się do niego zbliżyć... dotknąć go... zdjąć z niego klątwę... – szepczę do ucha Zefira, ignorując pozostałych.

– A skąd wiesz, że potrafisz uzdrowić takiego anioła jak Reed, uwolnić go od klątwy Gankanagów? – przerywa mi Tau.

– Russell mnie uzdrowił, a toksyczna skóra jest dużo słabszą trucizną niż ich krew – szepczę ochryple. – A ja jestem na nią odporna.

– Tak, ale skąd pewność, że to zadziała na Reeda? – drąży. – Ty i Russell macie podobną fizjologię... Czego nie można powiedzieć o tobie i Reedzie.

Nieruchomieję; widzę, jak kwestionuje logikę mojego planu.

– To zadziała – oznajmiam z przekonaniem.

– Ryzyko jest ogromne. – Z jego głosu sączy się pesymizm.

– Ale nie ty je podejmiesz – rzucam śmiertelnie poważnym tonem.

– Ty też go nie podejmiesz – wtrąca Tau ze spokojem. – Twój plan jest wadliwy. Równie dobrze może zakończyć się tym, że Reed cię zabije... Lub

czymś gorszym, na przykład zamieniona w ożywieńca zostaniesz królową Brennusa.

– Reed nigdy nie zrobiłby mi krzywdy – przerywam ojcu.

– To już nie jest Reed – oznajmia posępnie, a moje gardło zaciska się tak, jakby właśnie założył mi pętlę na szyję.

– Co ty mówisz? – Nowa fala paniki dołącza do i tak już przytłaczającego poczucia strachu i grozy, by mnie jeszcze bardziej pogrążyć.

– Najlepsze, co możemy teraz zrobić, to zacząć polować na Reeda, spróbować go pojmać i może po tym zdołasz go uzdrowić, ale tylko wtedy, gdy go dobrze przywiążemy... – Tau snuje całkowicie niedorzeczny plan.

– Nigdy się do niego nie zbliżycie! – charczę. – Teraz Brennus go kontroluje i mamy tylko jedną szansę, jeśli ja pójdę do Brennusa i się z nim spotkam.

– Nie! – ryczy Xavier i gwałtownie kręci głową. Stoi przy biurku Brennusa i ściska w dłoni małą figurkę, którą Reed dla mnie wyrzeźbił.

– Nie? – pytam, jakbym nie zrozumiała tego słowa, a moje serce gubi rytm.

– To, co mówisz, jest całkowicie nieracjonalne. – Xavier odkłada figurkę na blat.

– Nieracjonalne? – powtarzam retorycznie. – Nie, to jest całkowicie wykonalne! – upieram się, a zimny pot pojawia się na moim czole.

– Nie możesz tego zrobić – przekonuje Xavier łagodnym tonem, muskając palcami figurkę. – My się tym za ciebie zajmujemy.

– Jak? – Robi mi się niedobrze.

– Ja go zabiję i nie będzie cierpiał. – W różniących się od siebie oczach Xaviera rozpoznaję współczucie.

– Co? – mamrocze w szoku.

– Reed musi umrzeć, zanim zrobi krzywdę innym – odpowiada ostrożnie, badając moją reakcję.

– Czy później mnie też zabijesz? – pytam z narastającą furją. – Ponieważ anioł, który zabije Reeda, zanim będę mogła go uzdrowić, będzie musiał zabić również mnie. Nigdy nie przestanę go ścigać i stanie się to moją jedyną misją.

Tau mówi coś do Xaviera w języku aniołów, odcinając mnie od ich rozmowy. Wzrokiem proszę Zee, żeby tłumaczył. Ogromny smutek, który dostrzegam w jego oczach, sprawia, że zagryzam wargę i wybucham płaczem. Czuję się

rozdarta na kawałki.

– Co oni mówią? – szepczę do Zefira prawie niesłyszalnie.

– Cii... Nie tutaj – odpowiada tajemniczo. Po chwili unosi głos i zwraca się do Tau. – Evie musi odpocząć. Zabiorę ją do jej pokoju.

Ojciec znów spogląda na mnie z nieprzeniknioną miną.

– Zajmę się nią – oznajmia spokojnie i po chwili wyjaśnia coś po anielsku Zefirowi.

Zee prostuje się, słysząc coś o wiele gorszego niż do tej pory. Szarpię go za rękaw.

– Co, Zee?

– Zamierzają usunąć mnie stąd siłą, Evie – odpowiada chłodnym tonem.

– Usunąć cię siłą?

– To nie mój wybór. Jestem niższy stopniem. – Brwi Zefira ściągają się mocno. – Wystarczy, jeśli powiedzą, że moja misja tutaj się zakończyła, a będę musiał odejść.

– Ale... Ja też jestem Serafinem. Nikt naprawdę nie wie, jaką mam rangę, prawda? – pytam go, poszukując luki w ich prawie. Cały czas ściskam jego dłoń i kręcę głową.

– Jakim cudem córka mogłaby mieć wyższy stopień od ojca? – pyta Tau delikatnym tonem.

– Dlaczego to robisz? – dopytuję.

– Ponieważ pragnę ci pomóc. – Dotyka mojego policzka, a ja z wrogością odpycham jego dłoń.

– A jak niby miałbyś mi pomóc, odsyłając mojego przyjaciela?

– Bez swoich przyjaciół będziesz musiała zdać się na moją pomoc, poradę... moje przewodnictwo – argumentuje z chłodną logiką. – Jeśli zostaną, to nigdy mnie nie zaakceptujesz.

– Ha! – prychnął złośliwie Russell. – Chyba nie mówisz serio? Bo nas nikt nie rozdzieli!

– Mówię serio – odpowiada Tau niewzruszony.

– Chodzi o kontrolę, prawda? – Mrużę oczy. – Chodzi o zmuszenie mnie, żebym była ci posłuszna.



– Taki będzie tymczasowy cel, dopóki nie nauczysz się mi ufać.

Spoglądam na oddział aniołów Mocy strzegących okien i drzwi prowadzących na balkon oraz do salonu i obliczam, jakie mam szanse w tej sytuacji. Nikłe, ponieważ one wszystkie opowiedzą się za Tau. Spoglądam na Xaviera, który patrzy na mnie z ponurą miną, lecz w pełni zgadza się z moim ojcem. Znowu przenoszę wzrok na Tau.

– Nigdy cię o nic nie prosiłam, a teraz proszę: pomóż mi odzyskać Reeda! Zaufam ci i zrobię, co zechcesz, obiecuję!

– Z całych sił będziemy się starać odnaleźć Reeda – zapewnia Tau.

– Dobrze – wzdycham, czując dziwną ulgę. – W której drużynie jestem?

– Nie weźmiesz udziału w akcji ratunkowej.

– Ale... Jestem wam potrzebna, by go uzdrowić – zauważam powoli; głos zaczyna mi drżeć.

– Powiadomimy cię, jeśli weźmiemy go żywego.

– Jeśli weźmiecie go żywego?

– Tak – potwierdza Tau głosem pełnym ojcowskiej tolerancji.

– Jest mi niedobrze – jęczę. – Proszę, nie róbcie tego. Musicie mi pomóc – błagam.

– Nie pozwolę twojemu dziwactwu i źle pojętej lojalności doprowadzić do tego, żebyś poświęciła siebie lub swoją duszę – oznajmia stanowczo Tau.

– Mojej źle pojętej lojalności? – powtarzam bezbarwnym głosem. – Czy nie zrobiłbyś czegokolwiek... wszystkiego, co byłbyś w stanie, aby uratować swoją *aspire*?

Marszczy brwi ze smutkiem i odwraca ode mnie głowę.

– Evie... – zaczyna Xavier tonem, który ma mnie ostrzec, a gdy na niego spoglądam, znacząco kręci głową.

– Co takiego, Xavier? – pytam go tonem pełnym cierpienia. – Mam po prostu pozwolić Reedowi umrzeć? Tak jak ojciec pozwolił umrzeć mojej matce? Czy tak postępujemy w mojej rodzinie? – pytam z rosnącą wściekłością. – Nie mogę tego zrobić! Reed nie będzie miał kolejnej szansy. On nie pójdzie do Raju, jeśli dam mu umrzeć. – Kładę drżącą dłoń na piersi, którą rozrywa potworny ból.

– To anioł Mocy. Jest gotów na takie poświęcenie – wyjaśnia Xavier i zbliża się do mnie. Stoi pomiędzy mną a Tau; wygląda na mocno zdenerwowanego.

Tau traci wszelkie pozory spokoju, które widziałam jeszcze przed chwilą, a złość pojawia się na jego twarzy.

– Ty będziesz chroniona inaczej niż twoja matka – oświadcza groźnym głosem.

– Nie chcę twojej ochrony! – rzucam przez łyzy.

– Tobie nie wolno przejść na stronę wroga. Oddanie się Brennusowi jest bezpośrednim naruszeniem anielskich praw. – Kiedy Tau próbuje wyjaśnić swoje stanowisko, w jego głosie brzmi dezaprobata. – Twój plan jest zły.

– Czy to nie przypadek, że nie znam ani waszych praw, ani waszego języka? Uczę się, że nic nie jest przypadkiem, więc to doprowadza mnie do wniosku, że skoro nie znam tych praw, nie muszę ich przestrzegać. Jestem o wiele bardziej efektywnym zabójcą, kiedy nie ogranicza mnie protokół, a czy to nie jest właśnie to, czego ode mnie oczekujecie? Czy nie chcecie, żebym była zabójcą? – Jawnie odmawiam przyjęcia jego punktu widzenia, a moje brwi ściągają się w złości. – Pozwólcie robić mi to, do czego zostałam stworzona. Pozwólcie mi zabić Brennusa.

– Jesteś strasznie uparta – oskarża mnie Tau, patrząc przymrużonymi oczami.

– Nie! To ty nie chcesz mnie zrozumieć! – odrzucam jego oskarżenie.

– Emocje nie pozwalają ci myśleć logicznie. Dopóki sama nie będziesz do tego zdolna, to ja będę podejmował decyzje, które wpływają na twoje życie – mówi, próbując uspokoić mnie i wydać mi rozkaz.

– Nie. – Podchodzę do drzwi salonu.

Cole natychmiast je blokuje, stojąc przede mną z rękami skrzyżowanymi na piersi. Waham się przez chwilę, widząc jego postawę.

– Nie możecie trzymać mnie tu siłą – mruczę pod nosem.

– Będziesz robić, co ci każę – oznajmia Tau jak typowy rodzic.

– Nie będę – sprzeciwiam się, spoglądając groźnie.

– Evie... – Tau wypowiada moje imię z westchnieniem.

– Jak możecie mnie zatrzymać? – pytam. – Nie zdołacie zrobić tego siłą; jeśli tylko chcę, mogę zamienić się w motyle i wylecieć przez komin.

– Fedrus – mówi spokojnie Tau.

– Fedrus? – Jestem coraz bardziej przerażona.

– On nam powie, co planujesz – odpowiada, dając do zrozumienia, że wie

o umiejętności Fedrusa, który potrafi czytać w myślach i słyszy je, jakbym do niego mówiła.

– Fedrus by tego nigdy nie zrobił – odpowiadam z pewnością.

– Fedrus respektuje rangę. Wykona rozkaz. – Tau mówi to z podobną pewnością, co sprawia, że się czerwienię. – Teraz masz chwilkę, aby pożegnać się z Zefirem i Russellem.

– Nie! – krzyczy wściekły Russell, a jego skrzydła się rozkładają; pięści ma gotowe do walki. – Nie rozdzielicie nas!

– Zobaczysz się z nią po zakończeniu misji, ale teraz odejdziesz dla własnego bezpieczeństwa. Brennus pokazał, że może ciebie kontrolować, i to czyni cię niebezpiecznym, Russell – wyjaśnia logicznie Tau.

– Nie zostawię jej. – Russell wskazuje na mnie.

– Możesz ją skrzywdzić. Udowodniłeś to dziś wieczorem i dlatego w ciągu godziny musisz opuścić to miejsce razem z Zefirem i Kosiarzami – odpowiada, a na jego twarzy ponownie gości stanowczy spokój.

– Popełniasz błąd! – sprzeciwia się Russell, kiwając się w przód i w tył. – Wy wszyscy będziecie mnie potrzebować, żebym go powstrzymał i odzyskał Reeda. Jego też mogę uleczyć.

– Podjąłem już decyzję. Skontaktujemy się z tobą, kiedy Gankanagowie zostaną wyeliminowani – oznajmia bez emocji Tau.

Russell – zagubiony i rozwścieczony niczym dziki tygrys schwyty w klatkę – prawdopodobnie rzuciłby się na Tau, ale Zefir odczytuje jego język ciała i kładąc dłoń na jego piersi, powstrzymuje go przed tym.

– Russ... – Zefir spogląda mu w oczy. – Musimy iść.

Russell z twarzą czerwoną od gniewu próbuje odepchnąć od siebie Zefira, lecz ten przytrzymuje go mocniej i zmusza, aby nawiązał kontakt wzrokowy.

– Posłuchaj mnie – mówi nieugięty. – Mamy rozkazy. Nic teraz nie możemy zrobić.

Russell pewnie dostrzegł coś w oczach Zefira, ponieważ zatrzymuje się i gapi na niego.

– Zee, to nie w porządku, i ty o tym wiesz! – Spogląda po chwili na aniołów Mocy zbliżających się do niego. Ryczy na nich, co sprawia, że zaczynają się wahać.

– Nie jest idealnie – zgadza się Zee ponurym tonem i dodaje: – Ale mam kilka pomysłów na to, jak zabić czas, czekając na Evie.

– Zee! Nie możesz odejść! – błagam go owładnięta paniką. Potrzebuję jego pomocy, a on jest dla mnie jak starszy brat.

– Jeszcze się zobaczymy, Evie – obiecuje i puszcza Russella.

Zaczynam szlochać.

– Potrzebuję cię. Reed cię potrzebuje! – Zapłakana przywieram do Zefira, a on mnie obejmuje. – Nie możesz tak po prostu nas opuścić.

– Ukryj pęknięcia w swojej zbroi, Evie – szepcze do mojego ucha i mocno mnie przytula. – Nie pokazuj im swoich emocji i odszukaj nas tam, gdzie znalazłaś Buns. – Wciska coś zimnego do mojej dłoni; natychmiast wsuwam to do rękawa.

Chwilę później Russell chwytą mnie w ramiona, a ja przyciskam się do niego zdesperowana. Z trudem powstrzymuję łzy.

– Nie idę daleko – zapewnia półtonem Russell, a mnie coś dławi tak, że z trudem mówię.

– Wiem. – Ściskam go mocniej.

Russell mnie puszcza i wskazuje na Serafinów w pokoju.

– Jeśli coś jej się stanie, dopadnę was wszystkich.

– Pożegnaj się – ryczy Xavier na Russella, a jego skrzydła zdają się większe niż przedtem.

– Wkrótce się zobaczymy, Ruda – obiecuje Russell, mrużąc oczy.

Tylko mu przytakuję, nie jestem w stanie wydusić z siebie ani słowa. Z trudem oddycham, gdy Russell i Zefir opuszczają pokój, rozglądam się chaotycznie, poszukując drogi ucieczki.

– Fedrus? – mówi głośniej Tau, ale cały czas patrzy na mnie.

Z salonu do biura wchodzi Fedrus. Jego czarne oczy koncentrują się na mnie, a na twarzy pojawia się ponury wyraz, gdy czyta w moich myślach. Opieram się pragnieniu, by pobiec do niego i przycisnąć swój mokry policzek do jego puszystych skrzydeł w kolorze karmelu.

– Muszę wiedzieć, co Evie planuje. – Tau nadal nie spuszcza ze mnie wzroku.

Prostuję się, a moje oczy są utkwione w Fedrusie, gdy czekam na to, co zrobi. Bierze głęboki wdech i odpowiada:

– Gdy tu wszedłem, próbowała znaleźć drogę ucieczki i odszukać Reeda... Zobaczyła mnie i bardzo chciała się przytulić... podobają się jej moje skrzydła – wyjaśnia pospiesznie.

– Jak miałyby próbować uciec? – naciska Tau, patrząc gniewnie.

– Myślała o przemienieniu się w motyle... – Milknie, gdy w myślach obrazam go, często powtarzając słowo „zdrajca”.

– Nie jestem zdrajcą! – odpowiada na moje niewypowiedziane oskarżenia, a jego twarz pochmurnieje. – Mam obowiązki. – Cały pąsowieje.

– Evie, jeśli będziesz się zastanawiać nad zmianą kształtu, to pamiętaj, że wystarczy mi schwytać jednego twojego motyla i go uwięzić, a nie będziesz mogła wrócić do swojej postaci, dopóki go nie uwolnię. Tym samym staniesz się moim więźniem.

– Już nim jestem – rzucam z furią i zaciskam pięści.

– O czym ona teraz myśli? – pyta Tau Fedrusa.

Próbuję ukryć wszystkie swoje myśli, ale jestem zbyt mocno przepełniona emocjami, które kłębią się w mojej głowie.

– Ona... – Fedrus się waha.

– Tak? – naciska go Tau.

– To nie ma nic wspólnego z ucieczką – kluczy Fedrus.

– O czym teraz myśli? – powtarza ojciec groźnie.

Moje oczy błagają Fedrusa, którego skrzydła zaczynają drżeć, gdy pochyla swoje ramiona.

– Ona widzi swoje marzenia...

– Marzenia? – pyta zaskoczony Tau.

– Obrazy ciebie i jej, które chciałaby, żeby były prawdziwe... Były tak żywe i wibrujące, chciała pewnego dnia nazwać cię tatą... Chciała znaleźć litość w twoich ramionach, ale teraz... – milknie.

– Co teraz? – Głos Tau staje się ponury.

– One blakną i zostają zastąpione scenariuszem, w którym ty nie istniejesz w jej umyśle – przyznaje niechętnie Fedrus.

– Znajdziesz litość w moich ramionach, Evie – mówi Tau łagodnym głosem.

Kręcę głową, czuję się rozbita z powodu wszystkiego, co się stało.

– Jeśli chciałeś wiedzieć, o czym myślę, mogłeś mnie zapytać. Pokazałabym ci – mruczę z wrogim nastawieniem.

Zbliża do mnie dłoń i próbuje mnie dotknąć, lecz jego ręka drży, jakby opierał się temu pragnieniu.

– Chciałbym, żebyś mi pokazała, o czym myślisz. – Patrzy mi prosto w oczy.

Spoglądam niebezpiecznie na niego, zdaję sobie sprawę, że nie wie, o co prosi.

– Tau, ja nie jestem bałaganem, który masz posprzątać.

– Więc spraw, żebym cię zrozumiał – rozkazuje, a jego spojrzenie przeszywa mnie na wylot.

– To nie chodzi o ciebie i o mnie, tylko o Reeda – mówię przez zęby; czuję się potwornie bezsilna.

– Chcę się spotkać z tobą sam na sam – oświadcza poważnie. – Chcę, byś zrozumiała, że nie zgadzam się na to, abyś ryzykowała swoje życie, ratując jakiegoś anioła.

– On jest moim życiem! – odpowiadam rozgorączkowana, próbuję przebić się przez obojętność Tau.

– On jest chorobliwą obsesją – przerywa nam Xavier.

– Jeśli w to wierzysz, Xavier, to nigdy się nie dowiesz, kim jestem – odpowiadam cała blada, bez krzty niepewności. – Macie teraz możliwość mi pomóc. Jeśli nie zrobicie tego, drugiej szansy nie będzie.

– Musimy uratować cię przed skutkami twoich czynów, Genevieve – oznajmia Tau. – Nie dopuszczam do siebie myśli, że miałbym udać się do Szeolu w poszukiwaniu twojej słabnącej duszy! Przestań śnić na jawie o Piekło, ponieważ nic, co możesz sobie wyobrazić, nie jest w stanie dorównać horrorowi, który tam jest.

– Mogę cierpieć za własne grzechy. Nigdy nie prosiłam, byś mnie ratował – odpowiadam z uporem.

– Nigdy nie musiałaś, jesteś moją córką. Zrobię, co w mojej mocy, dla Reeda, ale ty musisz trzymać się od tego z dala, nawet jeśli osobiście będę zmuszony związać cię i zakneblować.

Moje palce zaciskają się bardziej, a ból w piersi osiąga nieznośny poziom.

– Tak, powodzenia – mówię z ponurym sarkazmem, przyjmuję pozycję

obronną i wycofuję się w stronę drzwi balkonowych.

Zwykle to ja rządę energią, która mnie otacza, ale teraz z trudem ją zbieram. Chaotyczne emocje rozpraszają mnie i nie pozwalają mi zatrzymać jej przy sobie. Gdy energia uchodzi ze mnie, ściany wokół nas pękają od siarczystego mrozu i pełzają po nich błyszczące kryształki lodu.

– Ona użyje swojej magii, aby nas unieruchomić. – Fedrus podpowiada Tau, a jego czarne jak węgiel oczy spoglądają tylko na mnie. – Planuje iść sama do Brennusa... w Rycerskim Barze...

Rzucam na niego zaklęcie, a Fedrus robi unik z prędkością ptaka. Krzesło, które za nim stoi, kurczy się do rozmiarów takiego jak w domku dla lalek, kiedy dociera do niego zaklęcie. Przede mną materializuje się Xavier i dmucha w otwartą, odzianą w rękawiczkę dłoń. Wirujący powiew pyłu barwi powietrze jak błyszcząca srebrna folia i otacza mnie supercienką chmurą. Przed oczami mam czarne plamy; nogi mi słabną, zaczynam opadać na kolana. Xavier chwytamnie w ramiona, spogląda swoimi odmiennymi oczami, a ja próbuję chwycić delikatną tkaninę jego koszuli. W panice kilka moich klonów wychodzi ze mnie. Błyszcząc, pędzą w różnych kierunkach.

Jeden pełen smutku klon wchodzi w Xaviera i znika w konturach szerokiej klatki piersiowej. Oczy Xaviera rozszerzają się w bólu, gdy atakują go wszystkie moje oszalałe emocje, nagromadzone w ciągu kilku ostatnich godzin. Ognisty blask kolejnego mojego klona zanurza się w Tau. Ojciec blednie i pochyła się z gorączkowym grymasem. Cole i Fedrus podobnie reagują na klony, które w nich uderzyły i rozplynęły się w powietrzu. Xavier unosi mnie, a to, czym we mnie dmuchnął, sprawia, że zachowuję się jak potulne zwierzątko.

– Przepraszam, ale dopiero teraz jesteś bezpieczna – mówi cicho do mojego ucha.

Mój odrętwiały policzek spoczywa na jego piersi; zaczynam odpływać.

– Nigdy... wybaczę... – Nie mogę mówić dalej.

Gapię się tępo na swojego ojca, gdy ten przemawia do aniołów, prawdopodobnie wydaje im rozkazy i instrukcje. Wkrótce znów tracę przytomność, gdy chemikalia zaczynają mocniej działać. Kiedy odzyskuję świadomość, jest przy mnie Tau. Gładzi moje włosy.

– Evie, to dla twojego dobra – mruczy uspokajająco.

– Kłamca – wydobywa się z moich ust szept, który powoduje, że oczy Tau ciemnieją; ponownie odpływam.



Powoli otwieram oczy, by ujrzeć słabe światło zmierzchu. Cienie kurczą się i rozciągają nad elegancką szafką nocną stojącą obok rzeźbionego w drewnie łóżka w pokoju Brennusa. Odrętwiałe próbuję napiąć obolałe mięśnie; okazuje się, że nie mogę rozciągnąć ramion, ponieważ są związane puszystym miękkim sznurem za moimi plecami. Skrzydła też są unieruchomione, owiniętą tuż przy plecach liną, co nie pozwala na większy ruch. Jęczę, głowa pulsująca bólem z powrotem opada mi na poduszkę. Staram się choć odrobinę wyprostować kolana, lecz jedwabna lina krępująca kostki się zaciska. Połączona z linami na nadgarstkach, unieruchamia mnie niczym związanego dzika. Knebel wcina się w kąciki ust i blokuje moje paniczne oddechy.

Nadal walczę, by nie zwymiotować, kiedy przypominam sobie pusty i oglupiony wyraz twarzy Reeda, to powoduje przypływ adrenaliny i budzi mnie całkowicie. Potem zdaję sobie sprawę, co oznaczają te cienie – wskazują, że musiało minąć kilka godzin i słońce ponownie zachodzi za horyzont. Usilnie próbuję rozerwać krępujące mnie liny, jestem pewna, że za chwilę zostaną rozerwane na strzępy, a ja będę wolna, lecz trzymają mnie zadziwiająco mocno, wbijając się w ciało. Oddycham ciężko i na chwilę przestaję się szamotać, próbując myśleć.

Zmień kształt – koncentruję się na wyobrażaniu sobie, jak zmieniam się w chmurę skrzydeł. Moje skrzydła próbują się schować, a ja zaczynam przemianę ze ssaka w motyla, ale chwilę potem przerażający ból przeszywa mnie u podstawy skrzydeł w miejscu, gdzie łączą się z moimi plecami. Tak jakby ktoś usiłował odrąbać je od ciała. Lina, która tam się znajduje, ostro wcina się w skrzydła i jestem przekonana, że je stracę, jak tylko zacznę się przemieniać. Skamlę żałośnie i ponownie staram się uwolnić z lin. Udaje mi się obrócić na plecy, spoglądam na sufit i zamieram w bezruchu, ponieważ knebel w moich ustach uciska krzyk, który właśnie wybucha we mnie.

Unoszący się nade mną Brennus przywiera do sufitu jak pająk, który zaraz zaatakuje swoją ofiarę. Jego piękne oczy badają mnie, a na ustach pojawia się zmysłowy uśmiech. Gdy patrzę na niego, moje serce bije trzy razy szybciej na wspomnienie o Reedzie. Boję się, że zaraz tu umrę. Reed mnie potrzebuje... udobruchaj go – myślę szybko, oddychając przez nos; muszę uspokoić oddech, aby nie zemdleć.



Brennus odczepia palce od sufitu, lecz nie spada, tylko powoli zniża się i zatrzymuje kilka centymetrów nade mną. Zimne powietrze dociera do mnie, kłuje moją skórę, a ja patrzę w ogień płonący w jego jasnozielonych oczach.

– Sposób, w jaki walczysz... Sprawia mi ból – odzywa się, zbliżając się do mnie; cicho się śmieje.

Sięga do moich potarganych włosów i odsuwa je z czoła, a po chwili kładzie się obok mnie, cały czas patrząc mi w oczy. Głowę podpira dłonią, a łokieć trzyma oparty na materacu. Łóżko ugina się odrobinę pod ciężarem, gdy Brennus nachyla się i całuje łzę opadającą obok moich zakneblowanych ust. Na jego twarzy pojawia się ponętny uśmiech; cała drzę.

– Czy nie mówiłem ci, że nie możesz ufać aniołom?

Przytakuję, a z moich oczu płynie kolejny potok. Brennus ociera moje łzy kciukami. Jest tak delikatny, że chce mi się jeszcze bardziej płakać, ale opieram się temu.

– Kiedy nie przyszłaś do mnie od razu, pomyślałem, że mnie zdradziłaś – szepcze, jakby powierzał mi jakiś sekret.

Opuszki jego palców są delikatniejsze niż cień, kiedy muskają moje ramię. Coś wewnątrz mnie reaguje na to; pragnę, by mnie dotykał. Więcej jadu... Chcę go bardziej... on kryje się pod moją skórą... we mnie... Zimowy chłód pełnie mi w żyłach, gdy prerażenie i pożądanie przenikają się wzajemnie; moje nogi stają się ciężkie, znów próbuję uwolnić je z lin.

– Och, nie walcz, *mo chroí*, ta anielska lina staje się mocniejsza, gdy tak się szamoczesz – wyjaśnia, lekko wzdychając. Pochyla głowę i dodaje: – Albo... walcz z tym. Nie mogę się zdecydować. Skaleczyłaś się i krwawisz.

Brennus dotyka moich nadgarstków, a na jego palcach pojawia się krew, którą oblizuje. Zamyka oczy i delektuje się smakiem. Ponownie je otwiera, by włożyć palec trochę dalej pod jedwabne liny. Delikatnie obraca mnie i dokładnie bada moje okaleczone dłonie. Odpycha mnie na miejsce.

– Nie znam tego węzła. To Finn potrafi rozwiązać nawet najbardziej skomplikowane węzły. – Słyszę podenerwowanie w jego tonie.

W otaczającej nas ciemności próbuję zapytać go, o czym mówi, lecz mogę to zrobić tylko oczami. Zauważa to i rozwiązuje jedwabny knebel. Kąciki ust pieką boleśnie. Poruszam wargami we wszystkie strony, wykrzywiam się, gdy dolna warga pęka. W ustach mam pustynię.

– Rozwiąż mnie, Brennusie – proszę go z trudem.

Przeczesuje dłonią moje włosy i odkrywa szyję. Tętno mi przyspiesza, gdy przykłada chłodne usta do mojego gardła.

– Nie słyszałaś, co powiedziałem? – pyta, a jego zęby delikatnie drapią moją skórę. Nabieram powietrza w płuca; przechodzi przeze mnie dreszcz. – Nie znam tego węzła.

– Więc rozerwij linę – sugeruję, oddychając ciężko; spoglądam w stronę drzwi. Mogłabym wołać o pomoc, ale wtedy Reed byłby martwy. Jeśli jakiś anioł przejdzie przez tamte drzwi, to już nigdy nie zobaczę Reeda żywego. Muszę zadbać o bezpieczeństwo Brennusa. To on ma Reeda.

Brennus bawi się rubinowym jedwabnym paskiem szlafroka, który mam na sobie. Cienka tkanina opada z krągłości mojego ramienia. Brennus przesuwa palcem w dół i dociera do miejsca, gdzie brzeg jedwabiu okrywa serce.

– Nie mogę przerwać tej liny. To są anielskie włosy. – Milknie, kiedy zaciskam zęby na swojej dolnej wardze, aby powstrzymać łagodne westchnienie, które zaraz wyrwie mi się z piersi. Widząc moją reakcję na jego pieszczoty, mruży oczy z pożądania. – Ta lina tak się nazywa, bo jest zrobiona ze specjalnego drzewa w Raju. Nie mogę przerwać jej swoją magią, a ponieważ nie znam tego węzła, to jeden zły ruch może sprawić, że Finn go nie rozwiąże, a ty pozostaniesz skrępowana do czasu, aż ten, kto go zawiązał, cię uwolni.

– Żartujesz, prawda? – Oddycham płytko; mój policzek opada na poduszkę.

– Nie żartuję. Czy niczego ci nie powiedzieli? – pyta, marszcząc brwi.

Jego dłoń sięga moich pleców. Czuję, jak delikatnie dotyka liny, a ta zaciska się, odciągając moje ramiona w tył. Błyszczący jedwabny szlafrok opada niżej, eksponując więcej skóry; piersi niebezpiecznie naprężają się pod tkaniną. Ten ruch także dociska mnie mocniej do Brennusa.

– Musimy załatwić sobie trochę tej liny, *mo chroí*, na przyszłość – ciągnie.

– Brennus! Po prostu unieś mnie i zabierz ze sobą – szepczę. – Ktoś się nią zajmie później.

– Chcesz, żebym ci pomógł uciec od aniołów? – Powoli kręci głową; dziki uśmiech pojawia się w jego oczach.

– Czy to zbyt niebezpieczne, byś ustanowił precedens? – pytam go, układając brwi w łuk; wiem, że mój tupet działa na niego jak afrodyzjak.

– Czy w końcu zamierzasz się pozbyć tego wszystkiego, *mo chroí*? – Jego

kamiennobiały palec ociera moje spuchnięte wargi, łagodząc ból niczym lód.

– Co? Swojego życia?

– Twojego życia. – Kiwa głową.

– Odkąd ciebie poznałam, Brennusie, moje życie nigdy nie należało do mnie.  
– Odwracam od niego wzrok i mówię bardziej uczciwie, niż sama mogłabym to przyznać: – Czas spędzony z tobą bazuje na instynkcie... To chwile pełne napięcia, które sprawiają, że czuję, że żyję. Myślę, że uzależniłam się od strachu i pożądania, które wyzwalasza... Ciągła niepewność stała się potrzebą, jak pigułka, które ludzie trzymają w apteczkach.

– Jesteś rozrabiarą – wzdycha z uśmiechem. – Wszyscy inni nużą mnie... usypiają.

– Ty nigdy nie śpisz.

– A więc rozumiesz, o co mi chodzi? – Unosi brew. – Jesteś zbyt idealna dla swojego dobra.

– A ty jesteś zbyt brutalny dla swojego dobra – odpowiadam mu bez zastanowienia.

Znów śmieje się niskim tonem. Pociąga linę krępującą moje dłonie, abym wydała z siebie westchnienie bólu; moje piersi mocno dociskają się do jego torsu. Bliskość ciała Brennusa przy moim ciele jest dezorientująca, daje zarówno przyjemność, jak i ból. Brennus widzi moje zmieszanie, a jego uśmiech staje się jeszcze szerszy.

– Zaczynasz widzieć różnicę pomiędzy zbędnymi i niezbędnymi chwilami w życiu, *mo chroí*. Nie jesteś stworzona do nijakiej egzystencji, więc może już czas wyjść z piaskownicy.

– Wyszłabym, ale powiedziałaś, że nie możesz rozwiązać tego węzła – zauważam sarkastycznie.

Pociąga bardziej za linę, a ja krzywię się z bólu. Muska ustami moją skórę przez tkaninę szlafroka, aż chce mi się krzyczeć.

– Cwana jesteś – mruczy tuż przy mojej skórze i spogląda mi w oczy. – I jesteś przede wszystkim prototypem broni o szalonym posmaku... Na pewno znajdziesz sposób, by się uwolnić. – Gładzi kontur mojego policzka wierzchem palców.

Puszcza linę za plecami, a ona luzuje się odrobinę, przez co tworzy się przestrzeń pomiędzy naszymi ciałami.

– Co? – pytam pozbawiona tchu, jakbym nie usłyszała dokładnie. – Nie pomożesz mi?

– Nie – potwierdza łagodnie.

– Dlaczego? – Szepcząc, prawie krzyczę na niego i z niepokojem spoglądam na drzwi, czy nikt nie wchodzi.

– Ponieważ wiem, że przyjdiesz do mnie tak szybko, jak będziesz mogła. Mam coś, czego pragniesz najbardziej na całym świecie: twojego anioła. On jest dla ciebie tym, czym Finn był dla mnie. Węzłem, który łączy... – Milknąc, obserwuje, jak moja twarz staje się biała.

– Czy on nadal żyje?

Wzrusza ramionami i mówi:

– Żeby to sprawdzić, musisz do mnie przyjść.

– Jaką to robi różnicę, czy sama do ciebie przyjdę? – pytam sfrustrowana.

– Nie sama. Chcę, żebyś przyprowadziła kogoś ze sobą – oznajmia z utkwionym we mnie wzrokiem.

– Kogo? – jęczę, ponieważ już znam odpowiedź.

– Tego drugiego. – Zaciska zęby. Palcami przesuwa po jedwabiu między piersiami w dół do brzucha, potem chwyta moje biodra.

– Russella? – Duszę się.

Na dźwięk jego imienia nozdrza Brennusa poruszają się, a w jego oczach pojawia się gniew.

– On jest ceną, *mo chroí*, za twoje nieposłuszeństwo... Za Faolana i Declana – informuje lodowatym głosem.

– Russell nie chciał zabić Faolana. On tylko chciał mnie uratować – usiłuję wyjaśnić. W kolejnej desperackiej próbie naprężam się, żeby uwolnić nadgarstki z lin. – Nie mogę przyprowadzić do ciebie Russella – dyszę. – Musisz poprosić mnie o coś innego.

Brennus łapie mnie za pośladki i przyciąga do siebie. Zatrzymuję się na jego masywnej sylwetce. Zaciska dłonie na moim ciele, gdy próbuję uwolnić się z uścisku. Gdy już jestem zmęczona i brakuje mi tchu, słyszę:

– Niemożliwe, żebym zmienił zdanie. Albo mi go przyprowadzisz, albo zabiję twojego anioła.

– Nie mogę ci ułatwić zemsty. – Niemrawo kręcę głową, chciałabym

wypłakać mu się na piersi, lecz nie poddaję się temu pragnieniu.

– To nie do końca jest zemsta. – Odsuwa się odrobinę ode mnie, abym widziała jego wyrachowane spojrzenie. – Widzisz, my go potrzebujemy. Jest silny, a pewnego dnia stanie się potężny. Potrafi kontrolować magię, która ma wpływ na aniołów, tak jak ty.

– Więc? – Czuję, że mi niedobrze.

– Russell stanie się jednym z nas... Będzie moim *sclábhaí*. Wytresuję go sobie – wyjaśnia. – Będziemy mieć wielu wrogów, a on nam się przyda.

– Myślałam, że chcesz jego śmierci!

– Chciałem – zgadza się Brennus. – Ale to jest dużo lepsza zemsta. On utraci swoją duszę dla Szeolu i na wieki pozostanie moim niewolnikiem.

– Russell nigdy się na to nie zgodzi. Prędzej umrze – oznajmiam.

– Zgodzi się – zapewnia bez cienia wątpliwości. – Dla ciebie zrobi wszystko. Już zgodził się umrzeć za ciebie, kiedy dałem ci swoją krew.

– A nie byłoby lepiej, gdybyś najpierw mnie przemienił i razem schwytałibyśmy Russella? – Desperacko próbuję zmienić jego plan.

Modłę się, by się zgodził, wtedy miałabym szansę uratować Reeda, nie mieszając w to wszystko Russella. Brennus jednak kręci głową.

– Nie oddałby się mnie, gdybym cię przemienił. Musi być przekonany, że to jedyny sposób, by cię ratować... Poza tym chcę, żeby to wyszło od ciebie.

– Dlaczego? – krzyczę szeptem i otwieram szeroko oczy.

– Ponieważ zdrada rani głęboko. – Uśmiecha się zmysłowo. – To będzie jak śmiertelny cios odczuwany przez całą wieczność.

– Byłam taka ślepa... – mamroczę. – Jesteś zły do szpiku kości.

– Tak – potwierdza, zaciska dłonie na moim tyłku i przyciąga mnie do siebie; nie ma wątpliwości, że mnie pożąda. – A ty jesteś całkowicie naiwna. Myślałaś, że oszczędzę ci cierpienia takiego, jakiego sam doświadczyłem? Wiem więcej o bólu, niż sobie możesz wyobrazić, i zamierzam cię tego wszystkiego nauczyć.

– Więc mnie naucz – sapię. – To wszystko moja wina.

– Twoja – przytakuje. – Twoja wina, ale z doświadczenia wiem, że nie potrafię się długo na ciebie gniewać... Mam słabość do ciebie. Więc ten drugi będzie niewolnikiem, a ty staniesz się moją królową. – Spogląda na mnie z pełną determinacją. – A potem niech wszyscy nasi wrogowie przybędą, by zostać

pokonani.

– Nie będę dla ciebie zabijać – szepczę.

Chytry uśmiech pojawia się na ustach Brennusa. Jego wargi odszukują moje usta; całuje mnie, a ja nie mogę go powstrzymać. Nie mogę go ugryźć, ponieważ będzie krwawił. Nie mogę go odepchnąć ze związanymi rękami. To on kontroluje całą energię w tym pokoju; ja nie jestem w stanie zebrać wystarczającej jej ilości, żeby zapalić świeczkę. Sposób, w jaki dociska wargi, zdradza, że nie zamierza przestać, dopóki nie odwzajemnię pocałunku. Robię to niechętnie, ale wkrótce pomiędzy nami zaczyna płonąć pasja. Czuję jego uśmiech, gdy odwraca się ode mnie.

– Będziesz zabijać, ale nie dla mnie. Będziesz zabijać, aby przetrwać, to jedyny sposób. Ty jesteś w centrum, nie widzisz tego? Nie widzisz, dokąd to wszystko zmierza? Anioły rozerwą cię na strzępy, próbując przejąć nad tobą kontrolę.

– To dokładnie to samo, co ty robisz! – Spoglądam na niego złowrogo.

– Tak – przyznaje Brennus. – Tylko że ja to robię, ponieważ cię kocham, a oni po to, by cię złamać. – Odsuwa się ode mnie i spogląda na wyjątkowy zegarek na swoim nadgarstku. Kręci głową. – Już prawie nie masz czasu. Twój anioł słabnie z każdą chwilą. Długo nie wytrzyma.

– A więc... On żyje. – Oddycham z ulgą.

– Żyje... Jest całkiem smaczny – dopowiada Brennus, a ja blednę, wiedząc, że wysysał krew Reeda.

– Jakie masz plany wobec niego? – pytam z bólem w sercu.

– Pozwolę ci go przemienić... Będzie doskonałym ochroniarzem mojej królowej... Dopóki nie zrozumie, że nie może ciebie dotknąć. Jeśli to zrobi, zmuszę cię, byś go zabiła – zastrzega Brennus.

Zamykam oczy i odwracam głowę.

– A jeśli nie przyjdę do ciebie? – pytam, unosząc głos.

– Wtedy sam go przemienię i razem zapolujemy na ciebie.

Nachyla się, przyciska swoje zimne wargi do moich i całuje z pasją, nad którą już nie ma kontroli. Kiedy unosi głowę, śmieje mi się prosto w oczy.

– Znów się we mnie zadurzyłeś, Brennusie – zauważam ostrzegawczo.

– Nie będę zaspokojony, dopóki się w tobie nie zagłębię – odpowiada i wstaje

z łóżka. – Czas zabawy się skończył. Przyrowadź mi tego drugiego albo zrobię z twojego anioła ożywieńca, który będzie na ciebie polował do końca świata.

Brennus zbliża się do zegara, który stoi na antycznym stole przy oknie, i otwiera szklany cyferblat. Po chwili jego ciało wiruje i zostaje wciągnięte przez portal z gorliwością doświadczonego podróżnika. Inne figurki na stole trzęsą się i przewracają, by po chwili zniknąć we wnętrzu tarczy. Pokój także zaczyna tracić kontury, ale po chwili to wszystko kończy się tak szybko, jak szybko się zaczęło. To wskazuje, że Brennus wyszedł z drugiej strony i zamknął portal.

Natychmiast zalewam się łzami; mam złamane serce. To koniec, myślę. Nie mogę zdradzić Russella, więc nie jestem w stanie uratować Reeda. Brennus zmusi Reeda, by na mnie polował, a ja pozwolę mu się zabić. Pociągam nosem i płaczę coraz głośniejsze.

Małe skrzypnięcie dochodzi z zawiasu drzwi prowadzących do łazienki. Spoglądam w ich stronę i rozpoznaję ciemnowłosego Trona – niedbale opiera się o framugę drzwi. Po chwili dociera do mnie melodyjny głos Anyi, przenikający przez smutek.

– Russell miał rację: Brennus to zły dupek. Jeśli obiecasz, że pomożesz mi go zabić, rozwiążę cię.

## *Rozdział 23*

### *Stare jest nowe*

– Anyu! – wzdycham, widząc, jak odrzuca za ramię swój czarny kucyk.

Przechodzi szybko od drzwi łazienki do łóżka z baldachimem. W dłoni trzyma szklankę wody, którą stawia na pięknej szafce nocnej. Jej szmaragdowe oczy przyglądają mi się uważnie, po chwili odgarnia włosy z mojej twarzy.

– Cii... – mówi z palcem przy ustach i spogląda przez ramię na drzwi za jej plecami. Przesuwa się w stronę okna blisko zegara. Szybko je otwiera i machając rękami, próbuje przewietrzyć pokój. – Fuj! – Marszczy nos i się krzywi. – Ale on śmierdzi! – mówi oskarżycielsko o słodkim, lepkiem zapachu Brennusa utrzymującym się w pokoju.

Kiedy zauważa zegar na stole, uderza go łokciem i zrzuca na podłogę. Zegar rozbija się, a szklany cyferblat rozpada się na kawałki na drogim dywanie. Nagle drzwi do salonu otwierają się szeroko i cztery anioły Mocy z Dominium pojawiają się z wyciągniętymi mieczami. Jeden idzie prosto do łazienki i sprawdza ją szybko, podczas gdy pozostałe przeszukują pokój, otwierają szafy i okna.

Anya mówi po anielsku do wysokiego anioła Mocy o popielatych skrzydłach. Minę ma pojednawczą, gdy wskazuje dłonią rozbity zegar. Anioł Mocy rozgląda się podejrzliwie dookoła i zauważa mnie, jak leżę związana na olbrzymim łóżku Brennusa. Z groźnym wyrazem twarzy odwraca się do Anyi i mówi do niej też w języku aniołów. Ona wzrusza ramionami i rozmawia z nim, jednocześnie siadając przy mnie. Unosi szklankę wody ze stolika i przystawia ją do moich ust, pomagając mi się napić. Gdy opróżniam połowę zawartości, Anya zabiera szklankę i odstawia na szafkę.

Ten sam anioł Mocy z Dominium zbliża się do mnie i podnosi z łóżka rozwiązany szal. Wręcza go Anyi, a ta delikatnie wpycha tkaninę w moje usta i luźno wiąże na szyi. Po wszystkim uśmiecha się z fałszywą skromnością do zbliżającego się do niej anioła Mocy, który zdaje się upojony jej kształtnym ciałem kryjącym się pod zbroją. Anioł znów przemawia, ale tym razem na jego



ustach pojawia się flirtujący uśmieszek. Anya odwzajemnia uśmiech i odpowiada mu coś, czego nie jestem w stanie zrozumieć. Anioł Mocy – ten, który sprawdzał łazienkę – z rozbawieniem klepie pierś swojego partnera i odpycha w stronę drzwi do salonu. Melodyjnym tonem wymieniają między sobą chyba jakieś żarciki. Ostatni z aniołów Mocy obrzuca Anyę przelotnym spojrzeniem, wychodzi z pokoju i zamyka za sobą drzwi.

– Anioły Mocy. – Anya wzdycha, spoglądając na zamknięte drzwi. – Są tu zbyt długo.

Zerka na mnie i usuwa mi knebel z ust. Potem nachyla się blisko mnie i patrzy prosto w moje oczy.

– Jeśli ci zaufam, czy obiecujesz pomóc mi zabić Brennusa? – Marszczy brwi i zanim udaje mi się odpowiedzieć, dodaje: – Chcę wiedzieć, czy chcesz wyrwać lodowate serce z jego piersi. Jeśli pragniesz czegoś innego, to zostawiam cię tutaj i sama się nim zajmę.

– Obiecuję – szepczę ochryplym głosem.

– Dobrze – przytakuje. Zaczyna szybko rozwiązywać linę z moich nadgarstków.

– Gdzie Russell? – pytam, leżąc na boku.

– Odszedł – odpowiada odrętwiale, nadal skoncentrowana na rozwiązywaniu węzła.

– Russell odszedł bez ciebie? – dopytuję z niedowierzaniem.

– Niezupełnie.

– Nie rozumiem. Jest tutaj czy go nie ma?

– Odszedł, ale nie z własnej woli – odpowiada niskim tonem. – Potrzeba było Xaviera, Cole’a i ponad dwudziestu innych aniołów, by zmusić go do odejścia. A i tak dopiero Zee udało się wciągnąć Russella do portalu.

– Dlaczego nie poszłaś z nim, Anyu? On cię kocha.

– Nie byłam jeszcze gotowa. – Jej dłoń nieruchomieje na chwilę.

– Auu – jęczę. – Prawdopodobnie odbija mu, gdy wie, że tu nadal jesteś – szepczę z przejęciem.

– Odbija mu w złym czy dobrym znaczeniu? – pyta beznamiętnie.

– Odbija mu w złym znaczeniu! Bardzo, bardzo złym znaczeniu – pry cham, marszcząc brwi. – On szaleje za tobą. Odpychał cię, ponieważ bał się ciebie

stracić. Opowiadał mi, jak się czuje, gdy jest przy tobie.

– No i jak się czuje? – podchwytuje Anya; jej dłonie nadal są nieruchome.

– On... On ma, no wiesz, te motyle czy koniki polne w brzuchu. I nie mów, że nie rozumiesz, o co mi chodzi, ponieważ doskonale wiem, że też je masz – odpowiadam sfrustrowana, ponieważ Russell nigdy by mi nie wybaczył, gdyby coś się stało Anyi.

Anya nadal próbuje rozwiązać węzeł.

– To tylko zauroczenie... A nie miłość. Nie słyszałaś tego, co mi powiedział, zanim odszedł – szepcze, a moje serce zaczyna bić szybciej.

– Co takiego powiedział?

– Zażądał, bym z nim poszła... Powiedział, że moja chęć bycia twardzielką zabije mnie – przerywa na chwilę, a potem pyta: – Co to znaczy: „chęć bycia twardzielką”?

– Och... To znaczy być naprawdę odważną i pewną siebie, może nawet trochę arogancką.

– On tak mnie nazwał – przyznaje Anya. – Ale w tej sytuacji to dobra rzecz, bo nikt cię nie szanuje, jak nie umiesz się postawić. A co znaczy „debil”?

– On czasami też tak mnie nazywa. – Krzywię się.

– Debil? – Cedzi przez zęby i po tonie mojego głosu prawdopodobnie zgaduje niepoehlebny wydzwięk tego słowa.

– To ktoś, kto nie potrafi podejmować logicznych decyzji, ale... – szepczę pospiesznie.

– A co znaczy „z jajami”?

– To akurat jest komplement i odnosi się do kogoś, kto podejmuje ryzyko... kto jest odważny... – wzdycham.

– „Dzikacholerniesexy”? – pyta dociekliwie szeptem, a ja nie bacząc na nic, uśmiecham się.

– „Dzika, cholernie sexy” równie dobrze może oznaczać najpiękniejsze, uwodzicielskie stworzenie, jakie możesz sobie wyobrazić.

Słyszając to, prychna z frustracją i po chwili zaczyna szeptać uniesionym tonem:

– Mało z tych określeń znajduje się w słowniku, więc gdyby Russell cały czas mówił dobrym angielskim, to ja nie chciałabym go zabić!

– Twój angielski się poprawił – zauważam.

– Jestem bardzo inteligentna – odpowiada nieśmiało, jakby obawiała się, że się z nią nie zgodzę.

– Wiem – potwierdzam. – Musisz być, skoro się tu dostałaś.

– To było łatwe. – Wzrusza ramionami w reakcji na mój komplement. – Xavier wierzy, że walczymy ze sobą o Russella. Ufa, że będę cię obserwować jak drapieżnik ofiarę i zatrzymam cię, podczas gdy on szuka Reeda.

– A my walczymy o Russella?

– Nie – odpowiada. – Ale obie pragniemy tego samego.

– Czyli? – Unoszę brwi.

– Pragniemy, by Russell był bezpieczny, a ten debil Brennus mu zagraża – mówi szeptem, skupiając się na linach. Czuję, jak więzy się rozluźniają, gdy Anya przekłada je raz w przód, raz w tył. Po chwili dodaje: – Uch, Xavier musi desperacko pragnąć twojego bezpieczeństwa. Związał to włóknami serca.

– Czym? – pytam, mając nadzieję, że nie mówi dosłownie. – Powiedz, że to była przerośnia.

– Tak, to była przerośnia. Xavier... Boi się ciebie stracić i zwariował na twoim punkcie – wyjaśnia, używając moich określeń. – Zwariował na twoim punkcie bez duszy, która mogłaby się połączyć z twoją, albo głębokiego zauroczenia, by cię przebudzić... Ale z oddaniem i gotowością poświęcenia, by przybyć do tego bezbożnego miejsca po ciebie.

– Nie prosiłam go o to!

– Jesteś tego pewna?

– Dlaczego miałabym go chcieć tutaj, jeśli on robi ze mną takie rzeczy? – pytam retorycznie i unoszę nadgarstki, by pokazać, że jestem związana za plecami.

– Ponieważ twój anioł stróż jest groźny i straszny... inteligentny i szacowny... I niekontrolowanie jurny – odpowiada z łatwością.

– Nie zapomnij dodać, że okrutny i apodyktyczny. To on mnie tu przyniósł i związał! – Wpadam w gniew.

– Nie powiedziałam, że jest doskonały – odpowiada ze spokojem. – Mówiłam tylko, że cię kocha. Zawsze kochał, nieprzerwanie od chwili, kiedy zostałam stworzona – szepcze Anya i mocno pociąga linę.

Zaczynam jęczeć, ale nie z powodu więzów.

- Czy ja... Czy ja też go kocham? – mamroczę.
- Oczywiście. – Wzdycha sfrustrowana, gdy lina ponownie się zaciska. – Wy dwoje mieliście swój język, spędzaliście ze sobą więcej czasu, niż gdybyście byli bratnimi duszami. Ostrzegałam go przed tym.
- Co takiego? – Wstrzymuję oddech.
- Powiedziałam mu, że to zła karma, kiedy próbował wejść pomiędzy bratnie dusze. Zasugerowałam, żeby został przypisany do innej duszy, ponieważ nie był dla ciebie bardzo dobrym aniołem stróżem – szepcze z żalem.
- Nie był? – wypowiadam cicho pytanie, próbując na nią spojrzeć.
- No więc... On był wyjątkowy, gdy miałaś stanąć twarzą w twarz z niebezpieczeństwem i okropnymi sytuacjami. Znalazłaś własną drogę prowadzącą do znacznie gorszych katastrof, rewolucji i przewrotów, których przeciętna dusza by nie zniosła. Powiedział, że dasz sobie z nimi radę, lecz ja myślę, że chciał cię odzyskać i odsunąć od Russella.
- Jak zareagował na twoje ostrzeżenie? – zastanawiam się głośno.
- Xavier sprawił, że to wyglądało tak, jakbyście razem mieli jakąś tajną misję. Na początku tak się wydawało, ale później kiedy zbliżył się do ciebie... Nie rozmawiał o tym ze mną. Łatwo dało się zauważyć, że było coś...
- Co takiego dało się łatwo zauważyć? Co podejrzanego było w tym, że został do mnie przypisany? – przerywam jej.
- On jest wysokiej rangi Serafinem, wykonującym obowiązki anioła Cnót – wyjaśnia. – A jego jedynym zadaniem byłaś ty, nie strzegł żadnej innej duszy. Nie było żadnej rotacji pomiędzy twoimi kolejnymi żywotami, aby zapewnić brak nawiązania wzajemnej więzi między wami. Nigdy przedtem o czymś takim nie słyszałam... – Lina wokół nadgarstków opada i pozostają tylko liny krępujące kostki i skrzydła. – Fajnie, że znam Xaviera tak dobrze, inaczej nigdy bym tego nie rozwiązała! – szepcze z triumfem.
- A skąd znasz go tak dobrze? – To pełne ciekawości pytanie dźwięczy w moich uszach jak oskarżenie byłej dziewczyny.
- Pocieram sobie dłonie, próbując przywrócić w nich krążenie.
- Zrodziliśmy się z tego samego ognia – wyjaśnia łagodnie i pomaga mi usiąść. – Poza tym często go widywałam. Nasze drogi przecinały się z powodu ciebie i Russella. Karma lubi wybuchać wokół ciebie.
- Okay, mam tak wiele pytań. – Prawie nie mogę mówić, gdy rozprostowuję

obolałe nogi i odchyłam plecy, żeby rozluźnić mięśnie. – Zaczniemy powolutku, a później się rozkręcimy, okay? Co to znaczy być zrodzonym z tego samego ognia?

– To straszne, że tak dużo nie pamiętasz – mruczy pod nosem. – Może to coś takiego jak dzielenie tego samego łona, ale nie wiem, czy to prawda – odpowiada zdeorientowana Anya.

– Więc ty i Xavier jesteście rodzeństwem?

– I znów. Ja nie wiem, jak to jest – odpowiada.

– A chcesz pocałować Xaviera?

– Fuj! – Marszczy nos podobnie jak Russell. – Raczej pocałowałabym śmierdzącego, starego diabła!

– Rodzeństwo – stwierdzam cicho. – A ta karma? Co przez to rozumiesz?

– Evie, ty zawsze musisz przypierać każdego do muru – oznajmia, jakby to była oczywistość.

– Tak robię?

– Owszem – potwierdza. – I jesteś z tego znana w moich kręgach.

– Serio?

– Jasne.

– Dlaczego?

– Nie rozumiem. Co „dlaczego”?

– Dlaczego jestem z tego znana?

Krzywi się, jakbym powiedziała coś obraźliwego.

– Ty wszystko kwestionujesz. Nigdy nie jesteś zadowolona z tego, co jest. Kiedy próbujesz zmieniać pewne rzeczy, powodujesz reakcje innych istot, czasami negatywne, innym razem pozytywne, ale one zawsze reagują. Trony czuwają nad tobą, niekiedy nagradzając zachowanie innych lub karząc ich.

– W jaki sposób?

– Karma... fortuna, nieszczęście. Zależy, co jest potrzebne. My rozdzielamy nagrodę i karę... Zasłużony los i zadośćuczynienie.

– Czy w taki sposób zakochałaś się w Russellu? – pytam. – On zawsze próbuje postępować właściwie.

– Nie ma nikogo takiego jak on.

– Wiem.

– Podążałam za nim zbyt długo... Nie mogłam się powstrzymać – wyjaśnia. – Próbowałam zmienić swoje zadanie ze względu na te uczucia, lecz mnie zignorowano. To było tak, jakby chcieli, żebym zakochała się w Russellu. Dla Xaviera to musiało być znacznie trudniejsze, ponieważ on przebywał z tobą dużo dłużej.

– Śledziłaś nas... mnie i Russella? Jak to się stało, że nie mówisz naszym językiem?

– Zrobiłam to samowolnie. Nie zostałam przypisana do tej misji. Dużo dłużej zabiera mi przypomnienie sobie wszystkiego, czego nauczyłam się w przeszłości.

Pociąga za linę krępującą skrzydła. Zagryzam dolną wargę, by nie jęknąć z bólu, gdy jedwabne nici wrzynają się głębiej. Anya szybko nabiera powietrza i wypuszcza je z sykiem.

– Próbowałaś zmienić swój kształt, kiedy byłaś związana?

– To nie zadziałało. – Krzywię się.

– Oczywiście, że nie zadziałało. – Patrzy na mnie ze złością. – Dziwi mnie, że nie oderwało ci skrzydeł!

– Mnie też. – Chrząkam, próbując złapać oddech.

– Nie możesz zmieniać kształtu, jeśli nie masz rozłożonych skrzydeł. Nie ruszaj się – mówi bardzo delikatnie. – Czy nikt nie nauczył cię, jak być aniołem?

– No... w pewnym sensie znajdujemy się w fazie reagowania... w fazie obronnej. Docierają do mnie informacje tylko o tym, co naprawdę niezbędne – szepczę. – Właśnie nauczyłam się zmieniać kształt i na pewno ktoś poinformowałby mnie o tym wcześniej czy później.

– Zapomniałam, że jeszcze jesteś dzieckiem – jęczy Anya ze skruchą.

– Nie jestem dzieckiem – odpowiadam trochę obrażona.

– Dusza nie jest, lecz jest nim twoja anielska część – komentuje z tęsknotą. – Stare jest nowe, tak jak twoja misja tutaj...

Wstrzymuję oddech.

– Co wiesz o mojej misji tutaj? – mówię chrypiącym głosem, próbując powstrzymać się od piskliwego uniesienia.

– Wiem to, co mi powiedziałaś – odpowiada odrętwiale i nadal skupia się

na węzłach.

– Czemu miałabym ci się zwierzać?

– Ponieważ miałyśmy ten sam obiekt zainteresowania – szepcze napiętym głosem.

– Ten sam? – upewniam się. – To Russell?

– Russell – przyznaje.

– To niezbyt silny układ. Próbowalaś przeszyć mnie strzałą w Toruniu.

– A ty zatrzymać mojego *aspire* – odpowiada markotnie. – Jak to mówi Russell... Byłam „wkurzona”. To właśnie ta karma, na którą myślałam, że zasługujesz.

– Naprawdę? – odpowiadam sarkastycznie. – Tak czy inaczej, on jest moją bratnią duszą – mówię równie markotnie.

– Zawsze będzie twoją bratnią duszą, lecz teraz jest moim *aspire*. Odepchnęłaś Russella i nie możesz go odzyskać – mamrocze nerwowo, pociągając liny odrobinę za mocno.

Syczę z bólu.

– Karma – szepcze Anya.

– Ja go odepchnęłam? – pytam sceptycznie. – Dlaczego miałabym to zrobić?

– Twoja misja tutaj była ściśle tajna, lecz mam pewną teorię.

– Jaką znowu teorię?

– Myślę, że byłaś przekonana, że nie wrócisz – mruczy pod nosem. – Nie chciałaś, by cierpiał na wieki.

Moje usta znów robią się suche.

– Och...

– Powiedział mi, że coś zostało przerwane po tym, jak zgodziłaś się na tę misję... Że więź łącząca wasze dusze... Może nie zniknęła całkowicie, ale nie była już taka sama. Nie potrafię tego opisać, bo nigdy tego nie czułam. To jest połączenie, więź...

– Nić – szepczę jak nieobecna i myślę o tym, co łączy mnie z Reedem. O tej nici, której oboje tak mocno się trzymamy.

– Rozumiesz – mówi cicho. – Wtedy tak bardzo byłaś pochłonięta planowaniem tej misji. Klóciliście się z Russellem. Nie chciał, żebyś na nią szła.

- Dlaczego? – dopytuję, gdy głos Anyi cichnie na chwilę.
- Ponieważ robiłaś z siebie cel dla aniołów w Szeolu.
- Więc to prawda? – Zamykam oczy. – Zamierzałam wrócić na ziemię i stać się pół aniołem i pół człowiekiem... Bronią przeciwko złu.

Anya nieruchomieje za mną.

– Myślisz, że to jest jedyny powód, dla którego tu przybyłaś?

– A nie jest?

– Znam cię na tyle, żeby uznać, że samo zabijanie Upadłych nie wystarczyłoby, abyś zgłosiła się na tę misję – oznajmia surowym głosem i delikatnie wyciąga linę zatopioną w moim ciele na plecach.

Zaciskam palce na narzucie, zbijam je w pięści, powstrzymując się od płaczu.

– To nie było zamierzone. – Anya wzdycha spokojnie.

Mija kilka sekund, zanim otwieram oczy.

– Jest okay – sapię.

Lina owiązana wokół skrzydeł delikatnie opada z karmazynowych piór. Anya staje przede mną, by zacząć uwalniać moje kostki.

– Dziękuję – szepczę.

– Za co? – pyta, a jej hebanowe skrzydła unoszą się do tyłu.

– Xavier cię rozerwie, jeśli się dowie, że to zrobiłaś.

– To o wiele mniej straszne od tego, co Brennus zaplanował dla Russella. Zostawiłaś go tam samego... W tym ogrodzie... – mówi, a jej palce poruszają się szybko.

– Nie, nie mogłabym – zaprzeczam.

– Zapłaciłaś za to najwyższą cenę. Widzę, dlaczego kochasz Reeda. Jest inny od jakiegokolwiek anioła Mocy, którego znałam... Szczególny.

– Muszę go odzyskać! – Przelykam tkwiącą w moim gardle grudę i modłę się, by Anya to wszystko zrozumiała.

– To mój plan – reaguje natychmiast, a ja rzucam się, by ją przytulić, i robię to z taką siłą, że nie może się poruszyć.

– Masz plan? – Rozluźniam uścisk, a łzy zaciskają mi gardło.

Pospiesznie sięga do mojego rękawa i wyciąga ten zimny przedmiot, który Zefir wręczył mi wcześniej.



– Kiedy ty spotykałaś się z Tau, ja nie tylko ćwiczyłam angielski z Buns i Brownie – informuje z przejęciem, trzymając w dłoni odznakę bractwa należąca albo do Buns, albo do Brownie. Odznaka jest wymyślna, wykonana ze złota i zdobiona małymi perełkami. Po bliższym przyjrzeniu się zauważam, że otwiera się na malutkich zawiasach i klamerce. – Zastanawialiśmy się, jak zabić potwornych ożywieńców i uciec od Serafinów. Anielice Kosiarze były przerażone tym scenariuszem. Są niższe stopniem prawie od wszystkich tutaj. Lecz zacytuję ich słowa: „to my odnalazłyśmy ją pierwsze”.

– Czy to jest... – mrugam, kiedy wciska mi odznakę w dłoń.

– Portal – dopowiada Anya.

– Dokąd?

– Do... – przerywa, gdy drzwi ustępują i pojawia się w nich olbrzymia sylwetka Xaviera.

Jego oczy natychmiast stają się wąskie ze zdenerwowania, kiedy widzi mnie rozwiązana na łóżku. Jego brwi łączą się w jedną.

– Anya – warczy złowrogo, co powoduje, że włosy na ramionach stają mi dęba.

W mgnieniu oka przyciągam do siebie energię i wyrzucam na zewnątrz, tworząc niewidzialną barierę w połowie drogi pomiędzy Xavierem a nami. On tego nie zauważa i uderza w nią, by po chwili opaść na piękny dywan. Wstaje niemalże natychmiast i atakuje ścianę, którą stworzyłam, w poszukiwaniu niedoskonałości w oddzielającej nas energii. Za jego plecami widzę, jak Tau wchodzi cichutko do pokoju, jego wzrok utkwiony jest we mnie, a skóra zdaje się odrobinę bledsza.

– Odzyskałaś swoją magię – oznajmia, ignorując Xaviera, który usiłuje przebić się przez barierę.

Moje usta wykrzywiają się ze smutku, gdy dotykam dłonią liny zaciśniętej wokół kostek, zamrażam ją, by stała się krucha. Poruszam nogami, a więzy pękają i rozpadają się jak szkło.

– Intensywne emocje hamują twoją magię – oznajmia ze spokojem Tau, przygląda mi się badawczo, jakbym była owadem w szklanym pojemniku.

– Tak, to prawda. Oraz to, że nie chciałam zrobić ci krzywdy. To są te dwie rzeczy, które teraz już nie mają na mnie wpływu – odpowiadam tak opanowanym tonem, na jaki mnie stać.

– Znalazłem twojego *aspire*, Evie – informuje i spogląda na Xaviera.

Moja bariera natychmiast opada, ponieważ jestem rozproszona tym, co właśnie do mnie powiedział. Xavier zbliża się na kilka centymetrów do łóżka, by ponownie uderzyć w barierę, którą stworzyłam przed nim. Wydiera się na Anyę... Nawija coś do niej pełnym złości tonem w języku aniołów. Anya odpowiada mu z podobną złością.

– Ona próbowała zmienić swój kształt z założonymi linami!

Xavier błędnie, patrząc na rozerwaną linię ze śladami krwi. Spogląda z troską na mnie i mówi pospiesznie:

– Nie możesz zmieniać kształtu, kiedy masz związane skrzydła.

– Naprawdę? – Próbuję być sarkastyczna, lecz moje słowa brzmią raczej boleśnie i żałośnie.

– Uszkodziły się? – Xavier rozpląszcza dłoń na barierze pomiędzy nami, gdy pyta spanikowany.

Moje skrzydła poruszają się niekontrolowane i z bólem rozkładają, lecz są w pełni sprawne. Cierpienie w spojrzeniu Xaviera łagodnieje, ale tylko odrobinę.

– Evie, wiem, gdzie jest Reed – przemawia ponownie Tau, zwracając na siebie moją uwagę, lecz ściana oddzielająca mnie od Xaviera pozostaje nietknięta.

– Ja też wiem, gdzie jest – próbuję przekrzyczeć swoje rozszalałe serce, którego bicie dudni mi w uszach. – Jest z Brennusem, czeka, żebym przybyła go uwolnić, więc nie próbuj mnie okłamywać, że go znalazłeś. Brennus tu był, on...

– Brennus był tutaj? – ryczy Xavier.

Jego oczy stają się tak wąskie jak szparki; po chwili unosi stół i uderza nim w barierę między nami, próbując się do mnie dostać. Czuję, jak energia odbija się o mnie, gdy stół rozpada się na drzazgi, lecz to wcale nie pomaga Xavierowi się przedostać. Serce łomocze mi dwa razy szybciej.

– Czy ty się uspokoisz? – wrzeszczę z narastającą złością. – Przerażasz mnie!

– Przerażasz w złym znaczeniu! – dodaje stojąca za mną Anya, przytakując mi, lecz jej dłonie drżą.

Tau dołącza do Xaviera przy krawędzi bariery: dwa olbrzymie, czerwonoskrzydłe anioły stoją obok siebie z ponurymi twarzami. Tau zaczesuje dłonią kasztanowe włosy znad swoich szarych oczu. Przez chwilę wydaje mi się,

że widzę w nich poczucie winy.

– Jak się przed nim obroniłaś? – pyta.

– Wierzysz, że tu był?

– Wierzę tobie – poprawia mnie.

– Ja się przed nim nie obroniłam. On nie był tu po to, by mnie przemienić. – Biorę głęboki wdech, by uspokoić rozszalałe serce.

– Zrobił ci krzywdę? – pyta, mrużąc lekko oczy.

Kręcę głową.

– Fizycznie? Nie – odpowiadam. – No, jeśli nie bierzemy pod uwagę jego pocałunku.

Xavier odchodzi, unosi krzesło i miażdży je w dłoniach. Drzazgi i odłamki opadają na podłogę, lecz naprawdę strasznie to wygląda wtedy, kiedy otwiera zaciśnięte pięści, a z nich sypie się na podłogę pył. Stoi odwrócony do mnie plecami i sapie sfrustrowany.

– On już nigdy więcej cię nie dotknie – oznajmia pełnym napięcia głosem.

– Nigdy więcej nie składaj mi obietnic, których nie możesz dotrzymać – odpowiadam mu z goryczą.

Tau sięga do ramienia Xaviera i obraca go odrobinę, po chwili spogląda na mnie.

– Brennus chce czegoś od ciebie. O co mu chodzi? – Głos mojego ojca jest spokojny; unoszę brwi w podziwieniu dla jego zdolności do szybkiego analizowania faktów. – To oczywiste – odpowiada logicznie. – Pragnie czegoś tak bardzo, że jest w stanie na chwilę powstrzymać głód ciebie. Co to takiego?

– Zemsta – mówię ochryple.

– Dasz mu to?

– Nie. – Kręcę głową, a łza spływa mi z policzka.

– Więc... ochronisz Russella i pozwolisz Reedowi odejść? – pyta z tajemniczym wyrazem twarzy, a moje oczy stają się coraz większe z powodu jego niesamowitej intuicji. – Russell to jedyne, co chciałby mieć – kontynuuje Tau ze spokojem. – Jedyne, dla czego mógłby powstrzymać się przed przemianą ciebie w chwili, w której cię tu znalazł. Russell nabiera mocy. Pewnego dnia będzie równie potężny jak ty... Na tyle potężny, by stanąć między tobą a Brennusem. Chce, żebyś przyprowadziła mu Russella?

Przytakuję, ból zaciska moje gardło.

– On nie pozwoli mu żyć. Nie może zachować go przy życiu ani też przemienić w Gankanaga. Wiesz o tym, prawda? – pyta mnie. – Musi powstrzymać Russella przed przemianą w potężniejszą istotę niż on sam i musi to zrobić teraz, zanim Russell stanie się prawdziwym zagrożeniem. Jeśli zabierze cię teraz bez zabijania twojej bratniej duszy, to Russell będzie ciebie szukał. Znajdzie cię, tak jak znajdował wcześniej. Brennusa nie stać na to, by przemienić Russella, ponieważ nie ma gwarancji, że ten przestanie ewoluować, tak jak to robił za życia. Kto przemienił Brennusa?

– Aodh – odpowiadam cicho.

– Aodh nauczył go tego – mówi Tau. – Nauczył go, by nie przemieniał nikogo silniejszego od siebie. To prawda, że Brennus zabił swojego twórcę?

– Tak.

– Oddasz Russella Brennusowi, a on go zabije. Pozwól mi sobie pomóc – prosi łagodnie.

Obruszam się na jego słowa.

– Nie, dziękuję. Zajmę się tą sprawą – odpowiadam zgorzkniałym tonem.

W oczach Tau pojawia się zmartwienie.

– Wiem, że mi nie ufasz...

– Ufać tobie? – prychem zagniewana. – Z trudnościami mogę być blisko ciebie. Chętnie bym się ciebie pozbyła jak martwej skóry.

– Ale nie chcesz, żebym cię zostawił. – Jego brwi łączą się, co daje wyraz zatroskaniu. – Czujesz, jakbym cię zdradził, lecz to nieprawda. Ja tylko pragnąłem cię chronić – wyjaśnia łagodnym tonem.

– Nie mów mi, jak mam się czuć – chrypię.

Ruchem palca otwieram portal w odznace bractwa, która leży spokojnie w mojej dłoni. Unoszę wzrok do Anyi.

– Anyu, ty pierwsza. Kiedy będziesz po drugiej stronie, przeciągnij mnie.

Kiwa głową, rozpada się w rój małych biedronek i przeciska się przez mały otwór w odznace.

– Evie, zostań z nami! – woła Tau z przejęciem. – Brennus nie dotrzyma żadnej umowy, którą zawarł z tobą, nawet...

– Wiem – przerywam mu. – To znany mi wróg... Taki jak ty.

– Nie jestem twoim wrogiem! – odpowiada ostrym tonem, a jego oczy stają się ciemne jak niebo przed burzą.

– No i kto teraz jest naiwny? – pytam, celowo go raniąc. – Czuję wielką ulgę, że od ciebie odchodzę, i jeśli Brennusowi uda się mnie przemienić, to uważaj na siebie, bo będziesz idealny na moją pierwszą ofiarę!

– Evie! – ryczy; traci powody, by być spokojnym, i ze złością uderza pięściami w dzielącą nas barierę.

Jego desperackie próby, by mnie powstrzymać, poruszają moje serce, czuję ból, jakby ojciec ścisnął je w pięści. Xavier dołącza do niego i nabija sobie wielkie siniaki, waląc ramieniem o nieustępliwą przeszkodę. Energia uderza mnie niczym fale po wybuchach. Czuję, jak skóra mnie pali, kiedy obaj pchają barierę. Z trudem walczę, by utrzymać energię, dzięki której ściana nie opadnie ponownie.

– Nie wiesz, co mówisz! Ty jesteś cenniejsza od każdego z nas. – W każdym słowie Tau słychać frustrację.

– Cenniejsza? – Śmieję się rozbawiona. – Ty we mnie widzisz tylko broń.

– Ja w tobie widzę swoją córkę!

– Strategia to twoja mocna strona. Przez chwilę prawie uwierzyłam, że coś dla ciebie znaczę – odpowiadam sztucznym tonem, gdy serce skręca mu się z bólu i coś zaciska mi gardło.

– Nie widzisz, kim dla nas jesteś? Przekraczasz wszelkie ograniczenia naszej kontroli, Evie – dodaje stojący obok Tau Xavier.

Ogarnia mnie pustka.

– Mieliście szansę mi pomóc, lecz zamiast tego przyniosłeś mnie tutaj i związałeś. To ty sprawiłeś, że nie mogę ci zaufać – oskarżam go surowym tonem i wściekle spoglądam na Xaviera, którego usta wykrzywia ból. – Wracaj na swoją chmurkę, Xavier. Nie chcę ciebie tutaj.

– Nie ma możliwości, bym wrócił tam bez ciebie – obiecuje mi, kładąc dłoń na barierze.

Powietrze gwałtownie zmienia kierunek i rozwiewa moje włosy.

– Xavier, z nami już koniec – oznajmiam spokojnym głosem.

– Mylisz się – odparowuje chrapliwie. – My dopiero zaczęliśmy.

Odkładam otwartą odznakę na jedwabną narzutę łóżka. Obaj, Xavier i Tau,

warczą na mnie, napinając się jak uczestnicy biegu przed wystrzałem oznaczającym start. Kiedy utracę swój kształt, by przejść przez portal, nie będę w stanie ich powstrzymać. To będzie wyścig do drugiej strony portalu. Ktokolwiek dotrze tam pierwszy, wygrywa. Z mocno bijącym sercem i spoconymi dłońmi wypowiadam w myślach słowa: Gotowi, do startu...

## Rozdział 24

### *Twoje serce staje się zimne*

RUSSELL

Pocieram spocone dłonie o szorstki, niebieski dzins na moich kolanach. Noga podskakuje mi bezwiednie. Gapię się na ścianę biblioteki, w której został otwarty portal w kształcie litery X. Promienie słońca padają na ścianę przez kryształowe okna, oświetlając ją snopami światła. Pył tańczy w jasnych smugach.

Jeśli chodzi o portale, to ten wydaje się najbardziej zawily, w jakim kiedykolwiek byłem. Jest ukryty w tandetnie wyglądającej odznace bractwa, której kształt przypomina dwudziestą drugą literę greckiego alfabetu. Ten kawałek chromu kryje w sobie zakrzywioną przestrzeń.

Pochylam się na miękkiej, brązowej skórzanej sofie. Niski, groźny pomruk z mojej prawej strony sprawia, że nieruchomieję na sekundę i zaciskam dłoń na oparciu.

– Nie zmuszaj mnie, żebym cię stąd wyrzucił, Russell. – Głos Zefira dochodzi z siedzenia ustawionego obok mojego w bibliotece Reeda.

– Chciałbym to zobaczyć. – Mój pomruk jest złowrogi, lecz nie przesuwam się w stronę portalu. Po kilku chwilach ponownie zaczynam nerwowo poruszać nogą.

– Ona przyprowadzi Evie. Anya jest sprytna, więc... – odzywa się Brownie z końca sofy.

– Jeśli coś się stanie Anyi – przerywam jej – to będzie to twoja wina.

– Moja? – mówi Brownie z niedowierzaniem. – To był jej plan!

– A ty dałaś jej portal, żeby to zrobiła! – cedzę przez zęby. – Powinnaś ją chronić.

– Skarbie, ona jest Tronem – wyjaśnia Buns siedząca obok Zee. – Ma wyższy stopień niż każdy z nas.

– Ach, nawet nie próbuj, Buns, wiem, że nic sobie nie robisz ze stopni, kiedy ci to odpowiada. – Spoglądam na nią ze złością.

– To prawda – odpowiada nieskruszona. – Także potrafię rozpoznać, kiedy ktoś ma dobry plan.

– To dobry plan? Że jest tam bez ochrony? – Złowieszczo marszczę brwi i opieram plecy o sofę, a moja noga podryguje dwa razy szybciej.

– Ona jest z armią aniołów Mocy – tłumaczy łagodnym tonem Brownie.

– A co one z nią zrobią po tym, jak dowiedzą się, że chce uwolnić Rudą? – pytam. – Jaka jest kara za zdradę w waszym świecie? – wypalam, a Brownie trochę blednie. – Dobrze! Tak jak myślałem! – Spoglądam ze złością na wyraz jej twarzy i staję na równe nogi.

Niemal natychmiast Zefir blokuje mi dojście do portalu, jednocześnie gapiąc się we mnie tymi swoimi zabójczo niebieskimi oczami.

– Nie trać głowy – radzi mi Zee.

Moje skrzydła odciągają się do tyłu jak uszy kota.

– Lepiej się przesun, bo za chwilę stracisz swoją.

Zee przygotowuje się na mój atak, przyjmuje pozycję obronną. Buns przemieszcza się szybko przed Zefira, z błagalnym spojrzeniem.

– Oni jej nie zrobią krzywdy... Xavier i Anya są sobie bliscy. Anya przekonywała mnie, że nigdy nie pozwoli im skrzywdzić Evie.

– Mówiłaś też, że Xavier i Ruda mieli ze sobą coś wspólnego, zanim tu przybyła. Jeśli to prawda, to Xavier będzie ją chronił wszelkimi możliwymi sposobami – odpowiadam, próbując znaleźć jakiś słaby punkt w postawie Zefira.

– Skarbie... – wtrąca się Buns ze spokojem. – Nie jadłeś nic od czasu naszego powrotu do Crestwood. Pozwól, że ci coś przygotuję.

– Nie jestem głodny – upieram się jak dziecko, choć w brzuchu mi burczy.

Buns bierze się pod boki i tupie nogą.

– Czyżby? – pyta jak rozpieszczona młodsza siostra. – W takim razie pomożesz nam ogarnąć to miejsce!

Wskazuje dłońmi elegancką bibliotekę Reeda i zalegający wszędzie kurz. Wygląda to tak, jakby nikt nie sprzątał tu od czasu, gdy Dominion wezwało Reeda i Zefira na przesłuchanie w sprawie Evie – od czasu, kiedy Pagan myślał, że Evie jest Nefilimem. Pomimo tego, że większość rzeczy w tym pokoju



pozostała nietknięta, resztę domu przetrząsnęli Gankanagowie poszukujący rzeczy Evie do kolekcji Brennusa.

Znalazłem wszystkie swoje ubrania, które zostawiłem w pokoju na górze, porzucane na podłodze i na moim łóżku, lecz nawet bez tego bałaganu samo przebywanie w posiadłości Reeda w Crestwood jest nierealne niczym powrót do domu z dzieciństwa. Przeprowadziłem się tutaj zaraz po tym, jak zacząłem stawać się aniołem – po tym, jak Freddie próbował zabić Rudą i mnie i wydrzeć jej duszę.

Byłem wtedy dzieckiem, które właśnie zaczynało się przemieniać i nabierać anielskich umiejętności. Zee trenował mnie w jadalni na końcu korytarza. Zdaje się, że to było bardzo dawno temu. Od tamtego czasu przebywałem w świecie, w którym... goniły mnie potwory bardziej przerażające niż te z moich snów.

– Później wam pomogę. – Nie spuszcza wzroku z Zee, czekając, aż rozproszy się na milisekundę.

– Nie możemy zacząć sprzątać, bo musimy cię pilnować i powstrzymać przed wejściem do portalu. Nie rozumiem, dlaczego się tak napinasz, portal i tak się nie otworzy z drugiej strony, dopóki one nie wejdą – wyjaśnia Buns sfrustrowanym tonem.

Spoglądam na nią z rezygnacją, bo wiem, że ma rację. Powoli siadam na miejsce.

– Wy wszyscy macie inne portale prowadzące do posiadłości Brennusa, prawda? – pytam delikatnie.

– Oczywiście... Ukryliśmy je blisko... – przytakuje Brownie i zaraz milknie po tym, jak Zefir ostrzegawczo piorunuje ją wzrokiem.

– Gdzie? – pytam.

– Później ci powiemy. – Odwraca wzrok od mojego przeszywającego spojrzenia, a ja znów zaczynam dygać nogą. – Skarbie, pozwól mi przygotować ci coś do jedzenia. Co zrobić? – Próbuje mnie uspokoić Buns.

– Cokolwiek – wzdycham.

– Dobrze! – Pospiesznie, niczym duszek, opuszcza pokój.

– Pomogę ci! – woła Brownie za Buns i znika w ten sam sposób.

Zefir wraca na swoje siedzenie i uważnie przygląda mi się przez cały czas.

– Ty nigdy nie powinienes... – warczę, ale Zee mi przerywa.

– Nie zaczynaj ze mną znów. Ja też mam tego dość – warczy podobnie jak ja i zaciska pięści, jakby chciał coś zmiażdżyć. – Pracuję nad innym planem... Nad takim, w którym jesteśmy tylko ty i ja – oznajmia nerwowo.

– Jakim planem? – Imituję jego ton i nachylam się, gotów z uwagą go wysłuchać.

– Wrócimy, aby znaleźć Brennusa – rzuca lakonicznie.

– A potem... – Milknę, czekając na więcej.

– To wszystko – informuje posępnie.

– Żadnej strategii ucieczki? – pytam cicho.

– Albo odejdziemy, albo nie – odpowiada mi napiętym głosem. – Zabijemy tyłu, ile możemy. Jeśli załatwimy szefa, Brennusa, pozostali Gankanagowie rozdziela się i rozpadną, staną się łatwym łupem dla innych. My tylko się upewnimy, że nikt z nas nie zostanie zmieniony w ożywieńca.

– A Reed? – podsuwam.

Na chwilę zamyka oczy.

– Nie wykluczam, że będziesz mi potrzebny, żeby go zabić – przyznaje Zefir.  
– W razie gdybym się zawahał... – urywa nagle, gdy tłumi niewygodne dla siebie emocje.

– Mogę go uzdrowić. – Dotykam dłonią ramienia Zefira.

– Russell, on jest zabójcą – wyjaśnia łagodnie Zefir. – Porusza się szybciej niż jakikolwiek znany mi anioł. – Musisz go podejść... dotknąć. Sekunda, w której wejdiesz z nim do pokoju, może być ostatnią sekundą twojego życia.

– W takim razie nie będę tracił czasu – odpowiadam przesadnie pewny siebie, lecz Zee się nie uśmiecha.

– Jeśli do tego dojdzie, musisz go zabić dla własnego bezpieczeństwa. On będzie na ciebie polował z precyzją, którą ćwiczył miliardy lat. Nie ma takiego miejsca na ziemi, gdzie mógłbyś przed nim się ukryć – wyjaśnia, a na moich przedramionach pojawia się gęsia skórka. – Myśl o Evie.

– Myślę o niej. Zee, ona tego nie przeżyje – zapewniam bez cienia wątpliwości.

– Jest silniejsza, niż ci się wydaje. Buns i Brownie utrzymają ją przy życiu, dopóki nie wyjdzie z tego... Jeśli Reed i Brennus zostaną zniszczeni, to czas uleczyć rany.

– Zapomniałeś rozważyć, jak śmierć na nią wpłynie – mówię łagodnie. – Jesteś dla niej jak brat.

– Masz rację, może nigdy z tego nie wyjść. – Zefir unosi brodę i rozluźnia pięści.

Niechciany uśmiech znika z mojej twarzy, gdy spoglądam na portal po drugiej stronie pokoju.

– Jestem gotowy, tylko powiedz kiedy – mrużę pod nosem, myśląc o broni ukrytej w prywatnej zbrojowni Reeda. Potem moje myśli wracają do Anyi i ogarnia mnie smutek.

– Serafiny zadbają o ich bezpieczeństwo, dopóki ty i ja tego nie skończymy – oznajmia Zefir, odczytując moje myśli.

– Sądzisz, że Anyi się nie udało? – pytam zaciśniętym głosem.

– Sądzę, że już powinna tu być – odpowiada zdenerwowany.

Nerwowo zaciskam zęby, moja noga nadal podskakuje pozbawiona kontroli.

– Powinienem być dla niej miłszy... Kiedy odszedłem, byłem wstrętny. Ona nawet nie wie, co do niej czuję. Może to i lepiej... na wypadek gdybym nie wrócił...

– Wierzysz, że nie płakałaby po tobie, gdyby nie wiedziała, że ją kochasz? – pyta spokojnym tonem Zefir.

– No... nie mam pojęcia, czy... – zaczynam i widzę, jak kręci głową.

– Jesteś głupi. Miłość tak nie działa – odpowiada Zefir. – Ona cię kocha bez względu na twoje uczucia do niej.

– Jestem głupi? – Marszczę brwi, a dzikość rodzi się w moim spojrzeniu. – Od kiedy to jesteś ekspertem od miłości, Zee?

– Buns jest bardzo dobrą nauczycielką – odpowiada, lekko się uśmiechając.

Nerwowo przeczesuję włosy, ponieważ myśl, że już nigdy nie zobaczę Anyi lub Rudej, wypala mnie od środka. Serce bije mi szybciej, gdy poczucie winy we mnie narasta.

Okruchy pyłu blisko portalu lekko drgają, unosząc się w powietrzu i obracając jak w dzikim, nieprzewidywalnym tańcu. Moja stopa przestaje podskakiwać. Razem z Zefirem zrywamy się na równe nogi. Wstrzymuję oddech i po chwili wypuszczam powietrze z płuc, kiedy z portalu wychodzi mała, okrągłutka biedronka. Zefir przytrzymuje mnie, gdy cały rój pojawia się

w pokoju, rzucając małe cienie na podłogę i ścianę. Potrzeba zaledwie kilku sekund, aby małe owady przyjęły seksowną sylwetkę i implodowały w najpiękniejsze stworzenie, jakie kiedykolwiek widziałem. Po chwili trzymam Anyę w ramionach, przyciskam mocno do piersi i wdycham podniecający zapach jej czarnych włosów. Koniki polne, które czuję zawsze, gdy jest blisko mnie, skaczą we mnie jak oszalałe z siłą taką, że już bardziej się do niej zbliżyć nie mogę. Bez zastanowienia składam pocałunki na jej smukłej szyi, a po chwili przechodzę na łagodne kontury policzka i miękkich, pełnych warg.

– Russell... – protestuje Anya, lecz moje usta przerywają to, co miała powiedzieć.

Całuję ją z nagromadzonym pożądaniem, które wstrzymywałem w sobie, odkąd ją poznałem. Namiętność trawi mnie z całą surowością i niesłabnącą siłą. Stoję z Anyą w ramionach, w słońcu padającym na nas przez kryształ szyb. Moje serce ogarnia lekkość, jak ćmę uwolnioną ze śmiertelnej pułapki pajęczyny.

– Gdzie Evie? – pyta stojący obok Zefir.

Odrywam usta od warg Anyi. Spoglądam na nią – z trudem łapie oddech, spojrzenie ma mgliste.

– Co? – Przyплыw krwi czerwieni jej policzki.

– Gdzie Evie? – powtarza Zefir.

Przestraszona Anya gapi się na niego.

– Russell, puść mnie! – żąda w panice, która powoduje, że ściskam ją jeszcze mocniej. – Muszę przeciągnąć Evie przez portal! Ona próbuje powstrzymać Tau i Xaviera!

Zefir pospiesznie podchodzi do portalu na podłodze i zaczyna nim obracać. Portal wiruje szybko i po chwili nabiera własnej prędkości. Unosi się kilka centymetrów nad podłogą. Zefir pochyla się nad ciągle śmigającym w kółko portalem, z którego po chwili wylatuje karmazynowe pióro, unosi się, by zaraz swobodnie opaść na podłogę przy ścianie. Zee zerka na Anyę, którą nadal trzymam w ramionach.

– Zbliży się – zapewnia go, a jej palce zaciskają się na moim rękawie, gdy patrzy w portal w poszukiwaniu oznak Evie.

Niedługo potem pojawia się Evie, jak nowo narodzone źrebię, tylko bez tego całego śluzu i innych ohydnych rzeczy. Próbuje schwycić portal. Gdy dotyka

jego krawędzi, przedmiot przestaje wirować. Bezskutecznie próbuje go zamknąć, zaciskając obie części – portal jednak nadal przyciąga materię i dwa elementy przeciwstawiają się sobie jak identyczne bieguny w magnesach.

– Pomocy! – Ruda odwraca do nas pobladłą twarz.

Z całych sił stara się złączyć dwie połówki. Prawie udaje jej się zamknąć portal, lecz po sekundzie jej ciało zostaje odrzucone, jakby ktoś próbował otworzyć go od środka. Mimo to nie wypuszcza go z rąk, rzuca się na niego całym ciężarem, dociskając go do podłogi.

– Do jasnej cholery! Zee! Pomóż mi! – woła Ruda o pomoc, nie pozwalając portalowi całkowicie się otworzyć.

Zefir chwytając najbliższą mu krawędź i z głośnym hukem zamyka wieczko.

– Kto to był? – sapie przerażony.

– Xavier. Wciskał się tuż za mną! – mamrocze wycieńczona Ruda.

Zefir bierze portal z jej rąk i zaczyna miażdżyć go w dłoniach.

– Nie! – Ruda z trudem łapie oddech.

– Dlaczego? – Zefir waha się przez moment, gdy w jej oczach pojawia się cień złości.

– Czy to ich zrani? – pyta przerażona. – Pozostaną tam uwięzieni?

– Nie – odpowiada. – Mogą wyjść z niego w miejscu, gdzie do niego weszli.

– Okay, zniszcz go. – Ze świstem wypuszcza powietrze z płuc.

Szczerząc się, Zefir podchodzi do zakurzonego biurka i kładzie na nim to, co zostało z portalu. Pochylona Ruda nadal dyszy, mruży oczy, które nie mogą się przystosować do jasnego światła, i rozgląda się po pokoju.

Ponownie zerkam na Anyę – ona również wygląda na oszołomioną, gdy wlepia we mnie te swoje zielone oczy.

– Wszystko okay? – udaje mi się zapytać ją przez zaciśnięte gardło. Boże, chcę rozwiązać węzeł trzymający jej włosy, rozpuścić je i patrzeć, jak opadają na ramiona... Nie potrafię się powstrzymać, by o tym nie myśleć.

– Hm? – mruczy, jakby była w transie.

Zbliżam do niej twarz, delikatnie dociskam wargi do jej skroni, tuż obok miejsca, gdzie czarne włosy stykają się z porcelanową skórą. Wdycham lekki, słodki zapach – myślę sobie, że tak musi pachnieć Raj.

– Jesteś ranna? – szepczę z ustami przy jej skórze, gdy w końcu udaje mi się

odzyskać głos.

Jej skóra różowieje, ogrzewa się pod moimi ustami. Kręci głową, prawie odrętwiała, i nic nie mówi. Przytulam ją do siebie i czuję jedwab jej skrzydła. Delikatnie przesuwam palcami wzdłuż niego, podziwiam, jak jej błyszczące skrzydła mieniają się w słońcu niebieskim światłem. Anya trzyma policzek na moim ramieniu, a rękoma ledwo wyczuwalnie głaszcze tył mojej szyi. Serce skręca mi się z bólu, gdy zdaję sobie sprawę, że nie ściska mnie równie mocno, jak ja to robię. Jej pieśczoła jest dużo bardziej ostrożna, niepewna.

– Niedobrze ze mną – szepczę blisko jej ucha i czuję, jak sztywnieje. – Traciłem zmysły, martwiąc się o ciebie.

– Ale czy Brownie i Buns nie powiedziały ci o naszym planie? – pyta zagubiona.

– Tak, powiedziały... – zaczynam.

– Więc po co się martwiłeś? – ucina oschle. – Ja tylko musiałam go wykonać.

Adrenalina szaleje w moich żyłach, gdy z przerażającym bólem wyobrażam sobie, co mogło pójść nie tak. Marszczę brwi.

– Mogłaś zostać zabita przez Gankanagów lub przez jednego z tych aniołów, gdyby cię złapały!

– Dlatego nie dałam się złapać.

Jej aroganckie stwierdzenie wcale nie uspokaja mojego rozszalałego serca. W rzeczywistości zadziało jak sól posypywana na ranę.

– To nie ty powinnaś wykonać ten plan – odpowiadam, oddychając ciężko.

Jej ramiona wokół mojej szyi stają się odrętwiałe, a ona sama pręży się bardziej.

– To musiałam zrobić ja. Tamci darzyli mnie zaufaniem.

– Anya spisała się wspaniale, Russell – zapewnia Ruda drżącym głosem; rozgląda się po bibliotece Reeda i rozpoznaje, że jesteśmy w Crestwood. Jej twarz traci kolor. – Musimy trzymać ją z dala od Tau i Xaviera. Są na nią wściekli za to, że mi pomogła.

Bardzo chcę coś rozbić, gdy jeszcze większa dawka adrenaliny dostaje się do mojego krwioobiegu.

– Zee, co oni mogą jej zrobić? – pytam go, widząc, jak unika mojego spojrzenia.

– Pogadamy o tym później, Russell, dobra? – odpowiada wymijająco, a moja dłoń zatrzymuje się na skrzydle Anyi.

– Nie chcesz mi powiedzieć, że...

– Mogą aresztować mnie tymczasowo, odesłać do Dominium i postawić przed sądem za zdradę – wyjaśnia sztywno Anya, nadal trzymając policzek na moim ramieniu.

– Do diabła tam mogą! – ryczę.

Odsuwam ją od siebie na długość ramion i trzymam ze zwisającymi w powietrzu nogami, abym mógł spojrzeć jej w oczy.

– Nie ma mowy, bym pozwolił im zbliżyć się do ciebie! Rozumiesz?

– Postaw mnie. Sama mogę się sobą zająć – mówi spokojnym tonem Anya.

– Nie, nie możesz! – odpowiadam rozgrzany emocjami.

– Tak. Mogę – akcentuje każde słowo.

Marszczę brwi ze złością.

– Nie jesteś większa od Rudej... nie znasz magii... nikt nie uczył cię walczyć... Prawdopodobnie trudno byłoby ci powalić człowieka!

Anya staje się jasnoczerwona na twarzy, kiedy wytykam jej braki.

– Tak, to wszystko jest zapewne prawdziwe – przyznaje. – Ale w przeciwieństwie do ciebie ja mam plan, który zadziała.

– Masz plan? – Moje brwi się unoszą. – Jaki plan?

– By zabić twojego złego ożywieńca Brennusa – odpowiada ze złością.

– Ha, ha, ha! – Udaję śmiech, jakby powiedziała słaby dowcip. – Nawet nie zamierzam rozmawiać z tobą o tych ożywieńcowych dziwolągach! Nie zbliżysz się do nich. A ja mam nadzieję, że masz plan, jak wypłatać się z problemów z tymi czerwonoskrzydłymi wielbicielami własnego ego – odpowiadam; emocje gotują się we mnie. – Tamci kolesie mają tendencję do rozpamiętywania swoich porażek.

Macha ręką, jakby odganiała moje obawy unoszące się w powietrzu.

– Xavier w końcu mi wybaczy... Szczególnie wtedy, gdy... Ożywieńcowe dziwolągi? Czy my wszyscy nie jesteśmy martwi?

Stawiam Anyę na podłogę, lecz nie chcę jej wypuścić z ramion.

– Anya! Evie! – wołają jednocześnie Buns i Brownie i po chwili wpadają

do biblioteki. Przybiegają do Anyi i Rudej, obejmują je razem jak nastoletnie dziewczyny, które spotykają się przypadkiem w galerii handlowej.

– Mamy gotowy lunch w kuchni – oznajmia Buns, głaszcząc skrzydło Evie. – Musisz coś zjeść, abyśmy mogli omówić plan.

– Nie jestem głodna; czuję się świetnie – mówi natychmiast Ruda. – Jaki jest wasz plan?

– Przykro nam... – Buns kręci głową. – Nie powiemy, dopóki czegoś nie zjesz.

– Buns! – Zaczyna się sprzeczać Evie, ale gdy widzi przymrużone oczy przyjaciółki, zdaje sobie sprawę, że będzie szybciej, jeśli wciśnie w siebie trochę jedzenia.

W okamgnieniu Ruda znika z pokoju i już kieruje się do kuchni. Wraca sekundę później z dużym kęsem wepchniętym w usta.

– Mhm, grillowany ser – bełkocze z pełną buzią, a kawałki kanapki wypadają z jej ust. – Jaki jest plan?

Anya zdaje się trochę zde gustowana tym widokiem.

– Evie, ty i ja jesteśmy wewnątrz. Idziemy razem. Będziesz udawać, że jestem twoim więźniem... Brennus musi uwierzyć w to, że Russell przyjdzie do niego.

– Co?! – krzyczę poirytowany.

Ruda przestaje przeżuwać i oboje zaszokowani gapimy się na Anyę, która ignoruje mnie w tej chwili.

– Brennus musiał coś dla ciebie i Russella zaplanować... Coś, co, jak myśli, osłabi twoją magię... Coś takiego jak ta melodia, której użył w ogrodzie. Oboje staliście się bardzo potężni, Brennus nie jest pewien, czy on i jego ludzie dadzą wam radę, zwłaszcza gdy Russell go pokonał, zatrzymując Evie z daleka od niego w ogrodzie. Brennus zapewne zastawi pułapkę na Evie, kiedy się pojawimy, tak by nie mogła się bronić, ale gdy Russella nie będzie z nami, on nie zostanie uderzony tym... eee, magicznym... ścieraczem...

Anya milknie, a jej zielone oczy przeszywają mnie. Dopiero po kilku sekundach głębokie grzmiące porykiwania dochodzą z moich ust, prawie jak odgłosy dzikiego kota w dżungli, który odstrasza innych drapieżników od swojej zdobyczy. Nagle przestaję ryczeć, ale nie mogę powstrzymać się przed zadaniem pytania:



– Planujesz wejść do tego samego pomieszczenia, w którym jest Brennus?

– Prawdopodobnie wszyscy jego ludzie też tam będą – dodaje Anya, jakby przypomniawszy sobie o nieważnym szczególe. – Będzie zaintrygowany nowym zwrotem akcji w jego planie zemsty... Posiadanie *aspire* jego najgorszego wroga zapewne go podnieci. I jednocześnie rozproszy i zmyli. To kluczowe dla tego planu, byśmy go rozproszyli na tak długo, żeby Russell mógł wślizgnąć się i pochłonąć ich energię, zabrać im całą magię, której używali, by kryć się w tym złym, małym kościele na terenie ich posiadłości.

Evie udaje się przełknąć kolejny kęs jedzenia.

– Wiesz, gdzie oni są? – pyta Anyę z rozszerzonymi, mokrymi oczami.

– Oczywiście – przytakuje anielica. – Nie jestem pewna, jakiej magii używają, by się tam ukryć, ale to jest to miejsce. Wyczułam ich tam, gdy przeszukiwałam kościół. To było jak cień rozciągnięty między dwiema płaszczyznami rzeczywistości... ich i naszej. Ale taki cienki, jakby zajmowali tę samą przestrzeń co ja, tylko nie w tej samej rzeczywistości lub w tym samym wymiarze. Czy ma to dla ciebie jakiś sens? Dobrze to wyjaśniam?

Ruda kiwa głową.

– Tak, to jest tak, jakby tam był mglisty welon, który nas oddziela, i gdy się wsłuchasz, możesz ich usłyszeć... W ich wersji Rycerskiego Baru.

– Tak – zgadza się Anya powoli, a jej oczy stają się rozmarzone; wyobraża sobie równoległy świat.

Nie mogę dłużej milczeć i zachowywać spokoju.

– A więc, trenerze, pozwól mi przeanalizować całą akcję. Mam pozwolić wam wejść do nory Brennusa, pełnej tortur i bólu, po to, byście odwróciły jego uwagę ode mnie, żebym mógł tam się dostać i zniszczyć ich swoją magią?

Anya marszczy nos, prawdopodobnie dlatego, że coraz bardziej denerwuje się, wytykając najgłupsze elementy jej planu.

– Nie będziesz sam – zaczyna, ale jej przerywam.

– Och tak... Ty też idziesz, prawda, Zee?

Zefir spogląda na mnie zadumany.

– Nie tylko Zee – cedzi Anya przez zęby.

– Co? Kosiarze! – syczę, wskazując ze złością na Buns i Brownie, które wzdychają obrażone i nerwowo krzyżują ramiona na piersiach.

– Nie! – przerywa Anya. – Już ustaliłam sygnał z Prebenem, by mógł wprowadzić swoją drużynę. Wszystko, co musisz zrobić, to usunąć magię, która ich kryje. Potem anioły Mocy będą miały niezłą zabawę, rozrywając ich na kawałki i krusząc kości.

– A co się stanie, jeśli Brennus cię dotknie, zanim ja usunę całą starożytną magię, którą tam umieścił? – Spoglądam na nią gniewnie i wskazuję ręką kierunek, w którym prawdopodobnie leży Irlandia. – Nie mam najmniejszego pojęcia, jaki to rodzaj magii. Co będzie, jak on dotknie twojego policzka? – Jestem tak wściekły, że mógłbym za chwilę coś zmiażdżyć pięścią.

– Nie boję się już jego klątwy. Ty możesz mnie uzdrowić – odpowiada z zadziwiającym spokojem.

– Teoretycznie! – krzyczę na nią. – Mogę cię uzdrowić teoretycznie!

– Ja wolę w to wierzyć – odpowiada.

– Dlatego że jesteś aniołem! – wrzeszczę, kompletnie tracąc głowę. – On spróbuje zdmuchnąć cię jak świeczkę!

Anya nieruchomieje na chwilę, zanim głęboko zakorzeniony gniew pojawia się w jej śmiertelnościm spojrzeniu.

– Nie jestem świeczką, Russell. Jestem ogniem... szalejącą, wkurzoną pożogą! Brennus zagroził czemuś, co należy do mnie, więc musi zostać ukarany... zapłacić dziesięć razy więcej, ale do tego potrzebuję twojej pomocy.

– Trony. – Słyszę, jak Zefir mówi coś cicho i z niepokojem kręci głową. Podenerwowany przeczesuje włosy, próbując się uspokoić.

– Okay, jaki jest plan B? – kieruję pytanie do Zefira.

– Pójdę sama i zaoferuję Brennusowi coś innego – mówi Ruda cicho, zanim Zefirowi udaje się odpowiedzieć. Gniew ogarnia mnie na samą myśl o tym, że Ruda ma tam iść.

– Nie!

– Czego innego Brennus mógłby chcieć? – pyta ją Zefir niskim tonem.

– Mogłabym zaoferować, że go uzdrowię... – mówi, blednąc. – Zdejmę z niego klątwę Gankanagów.

– Tak! – woła podekscytowana Anya. – Kiedy tam razem pójdziemy, ty możesz mu to zaoferować! Będzie zaskoczony! Potem Russell skradnie mu energię i anioły Mocy przybędą i...

– Ruda, nie możesz tego zrobić! Nie potrafisz zabrać jego choroby... Jest ryzyko, że stracisz przy tym własną duszę! Ty tam nie idziesz! – przemawiam do niej, czując, że mnie ignoruje.

– To dobry plan – stwierdza. Stoi tak blisko mnie, że wyraźnie widzę sińce pod jej oczami.

– Jeśli już, to tylko dla ciebie, bo daje szansę twojemu *aspire*, ale może zabić moją! – stwierdzam, jeszcze bardziej marszcząc brwi.

– On daje nam wszystkim szansę – odpowiada Ruda z pełnym smutku spojrzeniem. – Brennus posłuży się Reedem, by na nas polować. Russell, to zabójca. Nie uciekniemy przed Reedem, jeśli Brennus przemieni go w Gankanaga. On nas zna. Zabije Kosiarzy bez zastanawiania się dwa razy, a kiedy złapie ciebie i mnie... – milknie i niemal zielenieje na twarzy – zamieni nas w potwory.

– Może twój tata by pomógł... – zaczynam.

– Nie pomoże! – krzyczy na mnie Ruda. – Będzie szukał Reeda, ale to już będzie za późno, a potem skupi się jedynie na tym, żeby mnie chronić. Nie ciebie, nie Zee ani Buns i Brownie. Tylko mnie. A jeśli chodzi o Anyę, to dla nich ona jest już skazańcem.

– Evie ma rację – potwierdza Anya. – Wy wszyscy nie jesteście potrzebni, a ja zostanę ukarana. Naszą jedyną szansą jest zabić Gankanagów, zanim oni zabiją nas.

– Co zrobimy? – pyta spokojnie Brownie.

– Wy pójdziecie zmylić Serafiny – odpowiada Anya, patrząc znacząco.

– Skarbie, jestem do tego stworzona – mówi Buns ze złośliwym uśmiechem.

– Nie podoba mi się wasz plan – komentuję delikatnie, myśląc, że zmiana tonu odwróci ich uwagę.

– Co ci się w nim nie podoba? – wzdycha Anya.

– Od czego mam zacząć, jeśli wszystko jest do bani? – odpowiadam. – Może od tego, że samo stanięcie twarzą w twarz z Brennusem powoduje, że większość dorosłych mężczyzn zaczyna szlochać?

– Brennus jest... – zaczyna Anya, ale jej przerywam.

– Dlaczego myślisz, że on ciebie nie zniszczy w tej samej chwili, gdy wejdiesz razem z Rudą? – pytam chłodnym tonem, lecz Anya tylko wzrusza ramionami na scenariusz, który jej przedstawiam.

– Nie zrobi tego. Pragnie zemsty. Będzie z tym zwlekał do czasu, kiedy ty będziesz na widowni.

– Skąd takie przekonanie?

– Jestem Tronem. Zemsta to jest to, co robię. Rozumiem ją.

– Naprawdę przypuszczasz, że moja obecność tak dużo zmieni? Uważasz, że magia to zabawa w kamień, nożyce, papier? – wypluwam z siebie serię pytań.

– Nie, ale... – prychna.

– Chcesz poznać tajemnicę? – Mój głos jest odrobinę głośniejszy od szeptu. – Ja nawet nie wiem, co się zdarzy, kiedy rzucam zaklęcie. Czasami wydaje mi się, że mój umysł pęka na kawałki, a szaleństwo przecieka do rzeczywistości. Sama rozmowa o magii sprawia, że czuję się, jakby przyłapano mnie na jakimś czacie w sieci z wariatami, którzy mają nicki „dzikakatastrofa” i „porąbanytowar”.

Anya spogląda na Rudą.

– Nie wiem, co to znaczy czat w sieci. – Wygląda jak mała zagubiona owieczka.

– Naprawdę, Russell? – wtrąca się Ruda.

– Dobrze, Ruda – mówię przez zęby i wskazuję palcem na Anyę. – Może to ty powinnaś wyjaśnić słabe punkty jej planu. Powiedzieć, że nie wiem, co się zdarzy, kiedy próbuję używać magii. Wyjaśnić jej, że możecie tam wpaść w pułapkę, czekając na mnie, bym was uratował przed zachłannym pożądaniem Brennusa, bo znów zawiodłem... jak zawodziłem ją przez cały ten czas... I nawet nie mam pojęcia, dlaczego to sprawia mi ból, bo w zasadzie jest dla mnie obca.

Skrzydła Anyi rozkładają się do przodu, a jej piękne brwi o kolorze sadzy ściągają się, jakbym zranił ją moim komentarzem.

– Nie zawiedziesz mnie... Tak czy inaczej... czy się uda, czy nie... to bez znaczenia – zapewnia chłodno, a mnie aż serce się ściska w piersi.

Smutek w głosie Anyi studzi moją zapalczliwość.

– „To bez znaczenia”? Nie rozumiem...

Anya mocno zaciska zęby, by nie zdradzać jakichkolwiek emocji.

– To bez znaczenia, ponieważ z tobą czy bez ciebie Evie wejdzie do tego pokoju... I ja z nią. – Prostuje ramiona.

Głęboko w oczach Anyi widzę coś, co sprawia, że czuję, jakby ktoś mnie

kopnął w brzuch... Nie wiem, jakie to uczucie, ale być może ja miałem takie samo spojrzenie, kiedy myślałem, że nie mam nic do stracenia. Kiedy Ruda umierała w jaskiniach Brennusa.

– Dla mnie to ma znaczenie – odpowiadam łagodnie. – Martwię się tym, co ci się stanie.

Oczy Anyi rozszerzają się na chwilę, by zaraz znów się zwęzić.

– Poczucie winy z powodu obcej nie powinno dokuczać ci zbyt długo, Russell – odpowiada, używając mojego określenia; jej słowa niczym ostry nóż wbijają się w moją pierś. – Jestem teraz związana z Ziemią... Sama się na to skazałam. Nie żałuję, że tu przybyłam, i nie zmieniałabym tego, gdybym mogła, lecz to nie jest mój dom. – Odwraca ode mnie wzrok.

– Więc mówisz, że nie masz powodu tu zostać? – Wiem, że nie rozmawiamy o jej odejściu w inne miejsce, lecz o śmierci w ramionach Brennusa, którego zimne wargi zniszczą każdą jej doskonałość.

– Mówię, że wierzę, że ta sprawa jest warta ofiar. – Nadal unika mojego wzroku. – Warta zemsty za to, co zrobił.

– Potrzebuję chwili sam na sam z Anyą. – Ogarnia mnie potężny chłód.

– Ale my musimy ułożyć plan – pospiesza nas Ruda.

– Powiedziałem, że muszę porozmawiać ze swoją *aspire*. Sam – nalegam stanowczo i spoglądam w szare oczy, które wyglądają tak, jakbym znał je od wieków.

– Nie mamy już na to czasu – spiera się Evie, a Buns obejmuje jej ramiona.

– Zaczniemy przygotowania, Evie – mówi z przekonaniem Buns i odciąga ją od nas. – Mam dla ciebie idealną broń. Czarny jedwab, tak myślę.

Buns i Brownie idą z Evie do wyjścia z biblioteki. Po tym, jak znikają, Zee spogląda na mnie wzrokiem „tylko spokojnie”. Lekko unoszę podbródek na znak, że zrozumiałem jego poradę. Kiedy drzwi zamykają się za jego plecami, odwracam się, by spojrzeć na Anyę, wtedy jej dłoń głośno uderza w mój policzek z kłaśnięciem; głowa odskakuje mi na bok. Natychmiast mrużę oczy, gdy zdaję sobie sprawę, że mnie uderzyła.

– Co, do diabła? – warczę. Koszula rozrywa się na plecach, gdy skrzydła gwałtownie się wydostają i rozkładają wokół mnie.

– Więc teraz jestem twoją *aspire*! – niemal ryczy na mnie, z jeszcze bardziej nienawistnym spojrzeniem.

Pędzi w stronę drzwi, ale ja jestem szybszy, staję przed nią i blokuję wyjście. Kiedy kładę dłonie na jej ramionach, by ją powstrzymać, chwytam mój palec i wygina do tyłu. Stękam, gdy sprawia, że opadam przed nią na kolano.

– Nie jestem wariatką. Sama mogę podejmować decyzje, które mają wpływ na moje życie – mówi tonem delikatnym jak jedwab.

Chwilę później prostuję się, unoszę ją w powietrzu i przerzucam przez ramię. Przenoszę ją i opieram o najbliższą wbudowaną szafkę z książkami. Uderzenie powoduje, że kilka tomów chwieje się i spada z półek, Anya okłada mnie pięściami, próbując się uwolnić.

– Przestań – sapię i spoglądam jej w oczy. Szalejące koniki polne w moim brzuchu nakazują mi się do niej zbliżyć. Unoszę się lekko, by przytrzymać ją przy szafce. Kładzie ręce na moich ramionach, by mnie odepchnąć, lecz ma bardzo ograniczone ruchy. Z trudem oddycham – Anya to chyba najpiękniejsze stworzenie, jakie kiedykolwiek widziałem. Policzki ma zaczerwienione, jej oddech skraca się i przyspiesza. Czarne rzęsy sprawiają, że zielone oczy iskrzą się oprawione pięknymi brwiami, które układają się w łuk.

Zbliżam usta, by ją pocałować... jakbym miał zadać jej pytanie: Czy jesteś moja? Początkowo nie odpowiada i udaje, że nie zwraca uwagi na moje starania. Ocieram wargami jej usta, jak gdybym ponownie pytał: Czy jesteś moja?

Wstrzymuję oddech, odnoszę wrażenie, jakbym czekał na tę chwilę całe życie. Jej ręce niepewnie przesuwają się z moich ramion, obejmują mnie za szyję; odwzajemnia mój pocałunek. Otwiera usta i natychmiast czuję, jakby blask jej skóry wchodził we mnie i palił mnie. Jęczę, ponieważ intensywność tego uczucia jest nieoczekiwana. Jej palce giną w moich włosach; dzieją się we mnie różne rzeczy i to takie, które z trudem mogę opanować. W jednej chwili ból, który ścisnął mi serce, znika, gdy ból pożądania narasta, omal nie rozdziera mnie na pół.

Koniuszki jej palców przesuwają się po moich policzkach, gdy pogłębia swój pocałunek, trzymając moją twarz w dłoniach. Przyciągam jej nogi, aby bardziej zacisnęły się wokół mojego pasa. Jej ciemne skrzydła odpychają ją od szafki i dociskają do mojej piersi.

Zanim się orientuję, zrywam dłonią tył jej zbroi i ściągam napierśnicę. Stęka, gdy biała trykotowa bluzka zostaje odkryta. Jej oczy robią się coraz bardziej okrągłe z zaskoczenia.

– Przepraszam – mruczę, choć wcale nie jest mi przykro. – To mi przeszkadzało. – Odrzucam broję na podłogę. Moje wargi znów poszukują jej ust, gdy w szaleńczym pożądaniu usiłuje usunąć resztę swojej zbroi.

Oczy Anyi znikają za powiekami, gdy odpycha się stopami od szafki; jej skrzydła się rozkładają. Przyłapuje mnie bezbronnego i rzuca się w tył. Rozbijam się o spiralną barierkę schodów, które prowadzą na balkon. Skrzydła przyjmują większość uderzenia, kiedy opadam na schody.

– Przepraszam – mówi to, choć wcale nie jest jej przykro. – Nie jestem Evie. – Unosi się nade mną, niebezpiecznie się uśmiechając, i dociska mnie kolanami do ziemi. – Nie jestem wybaczeniem i odkupieniem. Jestem zemstą i brutalnym odwetem.

– Więc teraz się odpłacasz, ha? – pytam i z całych sił chwytam ją za ramię, przyciągam i po chwili znajduję się na niej, przyciskając ją do schodów. – To dobrze, ponieważ ja zawsze szukam zysku z każdej mojej inwestycji.

Myślę, że ją przeraziłem, ale nie daję jej czasu na odpowiedź, tylko znów całuję. Jej ramiona przesuwają się po moich i dalej – na kark. Gdy wsuwa palce w moje włosy, czuję, że robi to instynktownie.

Próbuję pokonać nieposkromioną chęć wydania z siebie ryku. To pożądanie jest tak intensywne, że chciałbym albo się do niej zbliżyć, albo coś zmiażdżyć. Wstaję ze schodów z Anyą w ramionach i zakładam jej nogi wokół swojego pasa. Cofając się od schodów, odwracam się i... brzdęk. Moje skrzydła strąciły lampę ze stolika znajdującego się za mną. Spada i rozbija się o podłogę. Nie odrywając ust od warg Anyi, zaledwie zerkam niedbale na odpryski.

Jej dłonie zaciskają się w moich włosach. Warczy przy moich ustach:

– Ja nie jestem zادیorna. Ty jesteś zادیorny.

Zaciska usta na mojej dolnej wardze.

– Ach... – jęczę, chcąc ją powstrzymać, lecz kiedy to robi, natychmiast pragnę tego jeszcze bardziej.

Jej dłonie przesuwają się na moje skrzydła. Opuszkami palców gładzi trzpienie piór: tik, tik, tik, dźwięk jest podobny do stukania w alabaster, sprawia, że jakiś instynkt przyspiesza bicie mojego serca i przyprawia mnie o dreszcze. Rozkładam skrzydła, jakbym miał za chwilę odlecieć. Rzeczy, które Reed zgromadził na półkach, opadają z nich, kiedy przechodzę i trącam je krawędziami skrzydeł. Skrzydła Anyi reagują tak jak moje, trzepoczą w taki sposób, że zaciskam palce na jej skórze, i chociaż nie wiem, co to oznacza,

czuję, że mogę zaraz umrzeć, jeśli nie będzie moja. Potem Anya delikatnie gładzi moje skrzydła; bezwiednie napinam mięśnie brzucha. Pędzę w stronę biurka przed nami. Jednym ruchem ręki zmiotam wszystko, co stoi na blacie. Z głośnym hukiem jeden za drugim spadają na podłogę drogie artefakty.

Czuję, jakbym był pomiędzy niebem a piekłem za każdym razem, kiedy muszę rozłączyć nasze usta. Sadzam ją na ciemnej drewnianej powierzchni biurka. Jedną dłońią gładzę biodro Anyi, aż docieram do miejsca, gdzie zaczyna się zbroja. Sfrustrowany warczę, powoli przyciągam do siebie energię, początkowo instynktownie, a później z pełną świadomością. Pozwalam, by wyciekała z koniuszków moich palców i w postaci błyszczących rozżarzonych węglików zmieniała resztę czarnej zbroi w szary pył, który opada, a częściowo unosi się w powietrzu. Moim oczom ukazują się miękkie czarne legginsy.

Anya cicho wzdycha, widząc całkowity rozpad swojego stroju obronnego. Spogląda z niepewnością w oczach i mały uśmiech pojawia się na jej ustach, ponieważ znów udało mi się ją zaskoczyć. Przejmuję kontrolę, chwytam gumkę spinającą jej włosy, by po chwili zobaczyć, jak czarne fale otulają jej ramiona i spływają po plecach. Zaczesuje do tyłu luźne kosmyki, odsłaniając miękką skórę. Piękna, myślę i całuję ją w skroń; zapach włosów Anyi budzi do lotu motyle w moim brzuchu.

– Russell – odzywa się Anya, zanim ponownie udaje mi się ją pocałować. – Poczekaj! – Odsuwa mnie delikatnie, kładąc dłonie na mojej piersi.

Po kilku sekundach dociera do mnie, co właśnie powiedziała, ponieważ jestem oszołomiony jej seksownym głosem wypowiadającym moje imię; przypomina chrapliwy i jęczący szept.

– Hm... – mruczę, ocierając wargami o jej wargi.

– Poczekaj! – powtarza i napręża się w moich ramionach.

Instynktownie marszczę brwi.

– Dlaczego musisz znać to słowo? – marudzę, spoglądając jej w oczy – „Poczekaj” to najgorsze słowo, którego można użyć w takiej sytuacji.

– Musisz poczekać... To trudne... Ty nie jesteś... – wykrztusza z siebie i po chwili odwraca ode mnie wzrok.

– Nie jestem kim? – pytam delikatnie.

– Nie jesteś... sobą – kończy, uważnie mi się przyglądając.



– Przepraszam? – chrypię równie zmieszany. – Ja nie jestem sobą?

Wygląda na zagubioną, znów unika mojego wzroku.

– Przed chwilą zerwałeś ze mnie zbroję, jakby nigdy nic, a potem ją stopiłeś.

– To jakiś problem? Załatwimy ci drugą.

– Ale zerwałeś ją ze mnie gołymi rękami – mamrocze pod nosem. – To jest bardziej...

Marszczę czoło z zakłopotania i próbuję spojrzeć jej w oczy.

– Bardziej? Co jest bardziej?

– Ty jesteś bardziej! – Patrzy oskarżycielskim wzrokiem.

Moje oczy stają się węższe, gdy próbuję ją zrozumieć.

– Jestem bardziej? W jaki sposób jestem bardziej?

– Spójrz na siebie. – Zagryza wargę przez chwilę, a dłonią wskazuje moją pierś. – Nigdy nie byłeś taki... taki... duży.

– Duży? – Robię zaskoczoną minę.

– I silny – dodaje. – Między nami nigdy nie było takiego pożądania – dodaje, zerkając na mnie niepewnie.

– A motyle? – pytam, a Anya przytakuje i przesuwa palcami po moim brzuchu; znów chce mi się ryczeć... Napinam mięśnie, jakbym chciał ją do siebie przyciągnąć.

– A to... to jest nierealne. – W jej głosie ponownie wyczuwam oskarżenie.

– Nierealne?

– Wyglądasz tak, jakby ktoś wyrzeźbił cię w kamieniu. – Patrzy gniewnie, jednocześnie spokojnie głaszcze pióra w moich skrzydłach. Wzdycham głośno, bo jej dotyk jest niesamowity. – A twoje skrzydła... to skrzydła Serafina.

– To źle? – Mam nadzieję, że zaprzeczy.

– Jesteś wyższy ode mnie rangą – przyznaje.

– Doprawdy? – Czuję, jak ciepło w moim brzuchu rozprzestrzenia się, ale próbuję to przed nią ukryć. Czuję się potężny i to mi się podoba. Czuję olbrzymią potrzebę chronienia Anyi, a to, że będzie musiała mnie słuchać, stanie mi się pomocne.

– Serafin, Cherubin, Tron – wylicza na palcach każdy stopień. – To jest w tym porządku – przyznaje ze smutkiem. – Teraz, z tobą, jestem Tronem-

Serafinem, czyli mamy równy stopień. Kiedy usuniesz łączącą nas więź, pozostaną tylko Tronem.

– Myślałem, że te więzi są wieczne – mówię z przymkniętymi oczami. Myśl o tym, że ona usunie moje skrzydła, doprowadza mnie do szaleństwa.

– Zwykle nie ma wielu powodów, aby taka więź została usunięta – wyjaśnia.  
– Jednym powodem mógłby być upadek, jeśli jeden anioł upadłby, to można starać się o usunięcie więzi między nimi. W naszym przypadku ty uczyniłeś to warunkiem dla naszej misji.

– Więc teraz jesteśmy tej samej rangi, ale jeśli nasza więź zostałaby przerwana, to ty jako niższa stopniem musiałabyś mnie słuchać? – dopytuję dla wyjaśnienia.

– Grrr... – Anya wydaje z siebie seksowny pomruk, a jej brwi znów się ściągają. – Sam widzisz! Teraz jesteś inny, tylko w pewnej części jesteś aniołem. Mój Russell nie chciałby, bym wykonywała jego rozkazy. Mój Russell chciałby, bym była we wszystkim równa!

– Dobrze, to wspaniale dla twojego Russella. Twój Russell miał ciebie w Raju, gdzie jest bezpiecznie. Ten Russell, ja, czyli nowy Russell – wskazuję palcem swoją pierś – ma ciebie tutaj, na ziemi, gdzie wszystko dookoła stanowi zagrożenie.

– Może ja nie lubię nowego Russella – usiłuje mnie przekonać Anya niesamowicie seksownym głosem.

– Słuchaj, kochanie, w tej chwili jest tu tylko nowy Russell – mówię ponuro.  
– Więc powiem prosto: jesteśmy równi teraz, ponieważ ty masz moje skrzydła, ale jeśli zdejmę je z ciebie, wtedy będę miał nad tobą władzę. Zgadza się?

– Tak – przytakuje sztywno. – Jesteś wyższy rangą od wszystkich z wyjątkiem Evie.

– To znaczy, że gdybyś spróbowała wykonać swój plan bez mojego pozwolenia, byłabyś oskarżona o niesubordynację?

– Teoretycznie?

– Tak, teoretycznie – powtarzam.

– Mhm – przyznaje niechętnie.

– W takim razie rozkazuję ci pozostać tu, podczas gdy my zajmiemy się Brennusem – wypowiadając to, czuję ulgę, jakiej nigdy wcześniej nie czułem.

Grymas złości pojawia się na twarzy Anyi.

– Nie możesz mi rozkazywać. Nadal noszę twoje skrzydła i żeby je usunąć, potrzebujesz anioła Cnót. – Stuka palcem w moją pierś. – Jeśli nie uda ci się znaleźć anioła Cnót w ciągu kilku następnych godzin, to wracam do Irlandii.

Wydostaje się z moich ramion i schodzi z biurka, poprawia białą bluzkę, która z trudem zakrywa ciało, ponieważ prawie wcale nie ma pleców. Spoglądam na obcisłe, czarne legginsy, które podkreślają jej kształty, i w myślach używam wobec siebie wszelkich określeń idioty, gdy obserwuję, w jak ponętny sposób Anya porusza się, przechodzi przez pokój i z trzaskiem zamyka drzwi biblioteki. Przeskakuję na kanapę, chwytam poduszkę i zakrywam nią twarz. Po kilku minutach słyszę, jak ktoś otwiera drzwi. Siadam z nadzieją, że to Anya, lecz zamiast niej widzę Rudą.

– Co? – pytam rozgniewany.

– Mieliśmy spotkanie – mówi cicho; wygląda na bardzo smutną. – Anya ma tyle samo do stracenia, co reszta nas, jeśli Brennus zwycięży, więc zdecydowaliśmy, że będzie członkiem drużyny. Jeśli tylko chce, może z nami iść.

Strach i gniew walczą we mnie o dominację i w ciągu kilku sekund gniew wygrywa.

– Ja oczywiście nie mam nic do powiedzenia? – żądam odpowiedzi i zaciskam zęby.

– Twój głos liczyłby się jak jeden przeciwko pięciu – odpowiada Ruda, prostując ramiona. – A ja jestem równa tobie stopniem.

– I nie ma nic, co mogłoby zmienić twoje zdanie? – rzucam oskarżycielsko.

– Nie. – Kręci głową.

Moje oczy wbijają się w Rudą; nawet nie próbuje unikać mojego wzroku.

– Jeśli coś jej się stanie, nigdy ci tego nie wybaczę – cedzę cicho.

– Wiem – mówi pobladła.

## Rozdział 25

### *Wątpić w gwiazdy*

EVIE

Zapadam się powoli w pościel na dużym łóżku i obserwuję zniszczenia w zdewastowanym pokoju Reeda. Stare obrazy i dzieła sztuki leżą na podłodze jak szczątki ludzkie wśród odłamków szkła i połamanych ram. Ubrania Reeda są tak porozrywane, że nie mogę ich rozpoznać, przypominają małe skrawki materiału doczepione do ogona latawca. Gipsowe sztukaterie, rozbite i popękane, szpecą ściany.

Drżącymi palcami przesuwam wzdłuż rozcięć w pościeli i materacach. Podnoszę z podłogi jedwabną poduszkę; gdy tulę ją do siebie, wylatują pióra.

Gankanagowie przetrząsnęli dom kilka miesięcy temu w poszukiwaniu wskazówek, jak mnie znaleźć, ale nigdzie nie dokonali takiego zniszczenia jak w tym pokoju. Ten pokój nie został przeszukany, został wybebeszony.

Moje serce nagle zaczyna bić jak oszalałe na myśl, że Brennus to zrobił, to jego nienawiść tego dokonała, a teraz on ma Reeda.

Podnoszę poduszkę do nosa i wdycham ledwie wyczuwalny zapach mojego anioła; ból przeszywa moje serce.

Proszę, bądź żywy – modłę się w ciszy za Reeda i przyciskam poduszkę do piersi.

– Evie? – miękki głos Anyi dobiega od drzwi pokoju.

Buns i Brownie właśnie skończyły się nią zajmować. Ubrana w mlecznobiałą sukienkę do pól uda wygląda oszałamiająco. To strój Buns, ale leży na Anyi, jakby był dla niej uszyty. Prawie bez pleców, z jedwabnej siateczki, mocno kontrastuje z hebanowymi skrzydłami. Anya wygląda zabójczo z rozpuszczonymi ciemnymi włosami, które opadają na ramiona.

– Wyglądasz... jakbyś była już gotowa – mruczę i wstaję z łóżka, poduszka wypada mi z rąk.

Anya gładzi boki sukienki.

– To nie bardzo wygląda jak broń, wolałabym mieć łuk i strzały.

– To jasne, nie? – pytam retorycznie. – Początkowo myślałam, że Buns odbiło, kiedy po raz pierwszy powiedziała mi, o co chodzi z tą mocą pochodzącą od kobiecej tajemniczości. Ale ma rację. Piękno i urok to potężna moc przeciwko Gankanagom. Potrzebujemy ciebie żywej. Kiedy ujrzą ciebie taką, będą chcieli zatrzymać cię przy życiu tak długo, jak tylko się da – wyjaśniam.

Zaniepokojona Anya dotyka czarnego jedwabnego materiału mojej sukni, która jak ciecz opływa moje ciało.

– A co z tobą? – pyta, próbując spojrzeć mi w oczy. – Czy dzięki niej pozostaniesz przy życiu?

– Nie wiem, co robi Brennus – odpowiadam z lekkim drżeniem w głosie. – Taki strój równie dobrze może dać mi trochę czasu albo zadziałać przeciwko mnie. Mam nadzieję, że Brennus tak od razu nie zechce mnie ukatrupić za to, że nie przyprowadziłam mu Russella.

Anya prostuje się na wspomnienie Russa.

– Brennus nigdy go nie dostanie, zatroszczymy się o to.

– Ty go kochasz – oznajmiam.

– Tak.

– Ja też go kocham – przyznaję.

– Wiem – przytakuje ponuro i chwyta moją dłoń. – Już na nas czekają tam na dole.

– Zaopiekujesz się nim? – Ściskam dłoń Anyi, a jej oczy zdradzają obawy.

– Jeśli ja nie będę w stanie, to na pewno ty dasz radę.

Zwalniam kroku, gdy dociera do mnie, co powiedziała.

– Nie masz żadnego planu B – szepczę, powłócząc nogami, gdy wchodzimy do holu. – Nie mylę się, prawda? Nie oczekujesz, że to przeżyjesz.

– Cii... Russell cię usłyszy – mówiąc to, mruży oczy niebezpiecznie. Kiedy widzi, że się waham, dodaje po chwili: – Mam prawo chronić swojego *aspire*!

To prawda, dlatego idę w stronę klatki schodowej na końcu holu.

– Masz takie prawo – zgadzam się. – Ale odkryłam, że dobrze też mieć plan B.

Milczy, gdy schodzimy po schodach.

– Więc możesz zająć się planem B – stwierdza po chwili.

– Nie ja – szepczę, zbliżając się do pokoju audiowizualnego Reeda. – Russell się tym zajmie.

Russ nieruchomieje, gdy wchodzimy do „męskiej jaskini”. Pokój audiowizualny był kiedyś czymś pomiędzy szykownym nowoczesnym apartamentem na Manhattanie a kryjówką nietoperzy. Teraz niewiele zachował ze swojego charakteru. Półki, na których kiedyś stało mnóstwo sprzętu wysokiej klasy, teraz są puste.

Russell opiera się z udawanym spokojem o rozbity stół multimedialny na środku pokoju, a jego czekoladowobrazowe oczy śledzą każdy centymetr ciała Anyi. Do czarnej jak noc zbroi, którą nosi, doczepiono mnóstwo broni: noży, sztyletów, pistoletów i granatów. On nie jest przygotowany na to, by polegać tylko na magii, więc zabiera ze sobą cały ten arsenał.

Z każdym następnym krokiem Anyi coraz bardziej posępnieje i zaciska zęby.

– O, nie, Ruda! – W jego słowach wyczuwam poirytowanie. – Dlaczego ty po prostu nie posypiesz jej solą i zawołasz: „obiad gotowy”? – Nie spogląda w moje oczy, tylko ciągle gapi się na Anyę, ale i tak widzę strach w jego spojrzeniu.

– Wolę nie mówić, że to „sól”, tylko „lukier” – odpowiada Buns i staje obok Russella, a Brownie mruga znacząco do Anyi.

– Ostro wygląda, co? – mówi Buns.

Brownie nosi obcisły czarny sweter, który sięga do połowy uda, a jej atramentowe legginsy wsuwają się w buty z czarnymi rzemykami. Jest też kaptur, którym może okryć swoje platynowe włosy i twarz, żeby się chronić przed toksyczną skórą Gankanagów. Buns jest podobnie ubrana, tyle że w ciemnoszary zestaw. Wolałabym, żeby założyły swoje zbroje, ale wyjaśniły mi, że to mogłoby zdradzić Serafinom, co zamierzają.

Russell zaciska usta w nerwach tak jak prawdziwy Serafin.

– Dla mnie byłoby lepiej, żeby udawała trudną do zdobycia, ponieważ teraz wygląda jak łatwa zdobycz – wyjaśnia, starając się nie zdradzić emocji.

– Russell, to strategia – przekonuje Zefir, wchodząc przez drzwi, za którymi kryje się sekretny magazyn broni Reeda. – W tym ubraniu nie stanowi dla nich zagrożenia.

Zee ma na sobie zbroję z dwoma mieczami skrzyżowanymi na plecach w literę X. Spogląda przez chwilę na Russella, ale tylko przez chwilę.

– Nie stanowi zagrożenia? – mruczy Russ. – W jakim sensie? – pyta z ramionami założonymi na piersi.

– W sensie: tnij i rozrywaj – odpowiadam łagodnie i otrzymuję karcące spojrzenie za swoją wypowiedź.

– Ona wygląda jak chodząca katastrofa – mówi Russell, wskazując na Anyę.  
– Wszyscy będą się ślinić na jej widok.

– Właśnie, chodzi o to, aby chcieli się wzajemnie dla niej pozabijać. Chęć, by ją mieć tylko dla siebie, będzie dojmująca – wyjaśniam, ale to tylko pogłębia gniew Russella.

Moje słowa, zamiast pomóc, dręczą go tylko. Odwraca się od nas i koncentruje na zamkniętych portalach spoczywających na dużym multimedialnym stole. Te dwa szlaki, które prowadzą do posiadłości Gankanagów, są diametralnie różne. Jeden z portali umieszczono w starym, oprawionym skórą tomie z wierszami. Ta książka z połączanymi krawędziami kartek jest tak stara, że pewnie powstała, zanim jeszcze wynaleziono maszyny do pisania. Drugi portal jest ukryty w smukłych kształtach wysokiej klasy laptopa.

– Czy każdy ma swój portal? – Pełen autorytetu głos Zefira rozbrzmiewa w pomieszczeniu.

Buns i Brownie kiwają głowami, dotykają swoich zegarków, które wyglądają na męskie. Russell unosi nadgarstek z podobnym zegarkiem, gdy Zefir pokazuje swój. Otwarte wyjścia każdego z ich osobistych portali są ustawione wzdłuż ściany niczym menażeria zegarów. Cyferblaty wirują z oszałamiającą prędkością tak, by w chwili, gdy otworzy się portal w zegarku, nosząca go osoba została wessana natychmiast, a potem wróciła do pokoju.

Zee spogląda na Anyę, ona przytakuje, trzymając w dłoni medalik zdobiony pięknymi diamentami, który spoczywa między jej piersiami. Do kompletu ma srebrne, zamykane lustro z diamentami osadzonymi w pokrywie – jest na półce obok zegara Russella.

– Ja mam swój – mruczę cicho i przytakuję, kiedy Zefir na mnie spogląda.

Hebanowa, owalna onyksowa broszka została przyczepiona do jedwabnej czarnej wstążki i zawiązana na mojej szyi. Czarny kamień osadzony w spince ukrywa portal. Pasujące do broszki zamykane lustro leży obok lusterka Anyi.

Zee podchodzi do półki, podnosi każde lusterko i nadaje im ruch obrotowy. Unoszą się o kilka centymetrów nad powierzchnią półki. Zefir wraca do nas, bacznie mi się przyglądając.

– Musisz to przetrwać, Evie, i kiedy to się skończy, nie będziemy już do tego wracać. – Delikatnie dotyka mojego policzka.

Łzy natychmiast cisną się do moich oczu, ale udaje mi się je powstrzymać. Nie mogę kontrolować gęsiej skórki – to reakcja całego ciała na jego słowa. Jestem ciekawa, czy wie, że oddałabym ciało i duszę, by choć przez chwilę być sama z Reedem... Chwilę wystarczająco długą, by móc go przemienić w takiego, jakim był wcześniej. Jedyne, co teraz mogę zrobić, to kiwnąć głową. Nie wolno mi okazywać zbyt dużo pewności, ponieważ Russell chwytą mnie za ramiona. Spoglądam w jego zdenerwowane oczy, gdy zaczyna mnie pouczać:

– To będzie tak proste jak przemykanie się bocznymi uliczkami do domu, Ruda. – Próbuje ukryć swój niepokój pod szerokim uśmiechem. – Znasz Brennusa tak, jak kiedyś znałaś każdy zakręt, każdy łuk i pęknięcie w chodniku wzdłuż drogi do twojego domu. On jest od ciebie słabszy, więc oczekuję, że nieźle mu przywalisz. Słyszysz? – pyta.

Kiwam głową, ponieważ nie mogę mówić z zaciśniętym gardłem.

Russ też mi przytakuje.

– Uda ci się. A teraz nabierz energii, byśmy mogli sprowadzić tu twojego chłopaka. – Na jego słowa otwieram szeroko oczy, a kiedy zauważa moje zdziwienie, robi szczerze zatroskaną minę. Zaczesa kosmyk moich włosów. – Wolałbym brzmieć jak hipokryta, niż wysłać cię tam bez motywacyjnej gadki. Ty i tak tam pójdziesz bez względu na to, co powiem, więc idź, wiedząc, że nie tracę wiary w ciebie. I że będę cię chronił.

– Nigdy nie myślałam, że stracisz wiarę we mnie – odpowiadam z pewnością, której nabyłam w ciągu tysiąca swoich istnień. Russell prawie miażdży mnie, tuląc z siłą, która zdradza jego strach.

– Nie pozwól Brennusowi, by dopadł Anyę – szepcze mi do ucha. – Ona nie jest jego.

– Wiem – odpowiadam. – Jest twoja.

– Przypomnij jej o tym, jeśli zapomni. – Mimo wysiłków nie udaje mu się ukryć niemożliwej do opanowania paniki.

Puszczą mnie powoli, bez słowa odwraca się i idzie do Anyi, by chwycić ją



w ramiona i przytulić równie mocno jak mnie.

– Możesz ode mnie żądać wszystkiego, czego tylko zapragniesz... Tylko wróć. – Ukrywa twarz w jej włosach.

– Ciężko cię rozgryźć – odpowiada mu łagodnym tonem Anya. Zamyka oczy, jakby cierpiała.

– Nie, ja jestem prosty. Sama zobaczysz, gdy wrócisz – obiecuje i ją całuje.

Dyskretnie odwracam wzrok od nich, ponieważ to nie jest przyjacielski całus w policzek. Wkrótce potem Zefir znacząco chrząka i Russell uwalnia oszołomioną anielicę.

– Skarbie, jesteś gotowy? – pyta Buns Russella ostrożnie, lecz jego szczeka jest zbyt napięta, by mógł odpowiedzieć.

Marszczy brwi, gdy spogląda raz na mnie, raz na Anyę; po chwili kiwa głową.

Buns i Brownie stoją przed stołem blisko starej księgi. Najpierw ją otwierają, a potem ja i Anya idziemy za nimi. Russell i Zefir użyją laptopa, by dotrzeć do posiadłości. Buns wyciąga rękę, by złapać dłoń Brownie. Spojrzenia, które wymieniają, łączą w sobie miłość i przyjaźń. Są dla siebie siostrami w pełnym tego słowa znaczeniu. Buns spogląda na Zefira i muszę zagryźć swoją wargę, by nie zacząć błagać jej, aby została dla jego dobra. Oczy Zee są jak oczy mężczyzny przypartego do muru. W języku aniołów mówi coś, co sprawia, że Buns się do niego uśmiecha i po chwili kokieteryjnie mruga okiem. Po otwarciu księgi pokój zaczyna wirować i tracić kształt. Buns i Brownie zostają wciągnięte w wir znajdujący się w ciemności pomiędzy pustymi stronami. Zefir zamyka książkę tak, byśmy ja i Anya mogły się przygotować. Russell spogląda na nas, jakby za chwilę miał wejść na ring. Nie może się powstrzymać – ciągle podskakuje i walczy z cieniem. Czuję, jak palce Anyi splatają się z moimi; spoglądam na nią – jest bardzo przerażona.

Zefir otwiera księgę, gdy Anya prosi łagodnie:

– Russell, nie pozwól mi upaść.

W czasie, gdy tracimy swój kształt, dochodzą do nas słowa Russella:

– Będę tam, by cię złapać.

Podróżujemy szybko przez przejście o kolorze herbacianego pergaminu, na którym znajdują się runiczne symbole. Wypadam z korytarza jak zakładka, która wysuwa się z książki. Ląduję na czworakach w snopie słonecznego światła

dochodzącego z wysokiego, strzelistego okna w archiwum. Z trudem przełykam ślinę i spoglądam na platynowe włosy Brownie opadające na ramiona tulącego ją Prebena. Buns zamyka książkowy portal i bierze go pod pachę, by po chwili pomóc mi wstać. Obrzucam ją ciekawskim spojrzeniem.

– Preben cieszy się na jej widok. – Buns wzrusza ramionami.

Spoglądam ponad srebrne włosy Prebena i zauważam dwa oddziały aniołów Mocy, które bacznie mi się przyglądają. Prostuję ramiona, aby przyjąć pozycję lidera. Kiedy Preben zauważa mnie, staje obok Brownie, lecz nadal przytrzymuje ją ramieniem.

– Zebraliśmy się – wyjaśnia, widząc zaciekawienie w moich oczach. – To są anioły Mocy o randze Prostat... Przyjaciele Zefira i Reeda.

– Rozumiem – odpowiadam, ale po chwili dopytuję: – Jesteś aniołem Mocy z Dominium. Czy pomaganie mi nie jest przeciwstawianiem się władzy Serafinów?

– Byłoby, gdybym nadal należał do Dominium. Oni wybrali twojego ojca na przywódcę. Lecz ja, odkąd zostałem podniesiony do rangi Prostat, nie muszę być przywiązany do Dominium – wyjaśnia z uśmiechem.

– Nadal jesteś niższy stopniem. – Mrużę oczy.

– Przyjmuję rozkazy od Serafinki, prawda? – Uśmiecha się rozbawiony, a jego srebrnoblond brew unosi się pytająco.

– Więc dzięki mnie znalazłeś lukę w prawie. – Wydycham powietrze, cała drżąc.

– Twój stopień można różnie interpretować – zgadza się Preben. – Nie zostało wydane oficjalne oświadczenie dotyczące twojej rangi lub pozycji wśród nas, więc słuchając twoich rozkazów, nie popełniamy zdrady.

– W takim razie dziękuję wam wszystkim za przybycie – odpowiadam z kpiącym uśmiechem.

– To zaszczyt walczyć u twego boku. – Preben składa delikatny ukłon.

– Chciałabym tylko, aby jedno było jasne. Nikt nie może zabić Reeda – mówię najbardziej groźnym tonem, jakim potrafię. – Zrozumiano?

– To rozkaz? – pyta spokojnie.

– Tak.

– Więc zostanie wykonany.

Mrugam, nie mogąc uwierzyć, że nie natknęłam się na znaczny opór. Czuję na sobie spojrzenia ich wszystkich i próbuję ukryć swoje przerażenie. Spoglądam na Anyę, ona też mnie obserwuje. Jest biała jak kreda, dłonie trzyma splecione przed sobą, próbując powstrzymać je od drżenia. Chwytam jedną z jej dłoni i mocno ściskam na znak swojego wsparcia. Uśmiecha się do mnie prawie niezauważalnie, ale jej zielone oczy zdradzają trudny do opanowania strach.

– Serafiny strzegą drzwi do Rycerskiego Baru. Spodziewają się, że wrócisz i właśnie tam się udasz. – Słowa Prebena przerywają ciszę.

Marszczę czoło i klnę w myślach.

– Skarbie... – Uśmiecha się Buns. – Ja i Brownie zajmiemy się nimi.

– Macie plan? – pytam zaskoczona, gdy zbliżamy się, by porozmawiać.

Buns i Brownie uśmiechają się do siebie znacząco, a ich miny zdradzają nieczne zamiary.

– Ten plan to mieszanina czegoś zawilego i prostego. Po prostu udamy, że przypadkiem na nich wpadłyśmy.

– To wasz plan? – pytam sceptycznie; obawiam się, że zostaną złapane.

– Skarbie, oni myślą, że Kosiarze mają małe mózdzki – wyjaśnia Buns. – A my tylko utwierdzimy ich w tym przekonaniu.

– Odciągniemy ich – obiecuje Brownie. – Jedyne, co musisz zrobić, to dotrzeć tam.

Na wspomnienie o ciemnej energii, która otacza Rycerski Bar, na całym moim ciele pojawia się gęsia skórka. Z trudem pokonuję dreszcze zaczynające przechodzić przez moje ciało.

– W takim razie ustalone – przytakuje Brownie, widząc, że nie oponuję, i przylegamy do siebie w grupowym uścisku, jak to zwykłyśmy robić w czasie meczu hokeja.

Otoczające nas anioły mają dość dziwny wyraz twarzy, widząc to, co przed chwilą zrobiłyśmy. Zauważam zbroję, która stanowi jedyną dekorację w tym pokoju. Podchodzę razem z Anyą i chwytam topór wojenny doczepiony do srebrzystej rękawicy. Próbuję go odczepić, wtedy słyszę, jak wydaje z siebie cichą, dziwną muzykę i wibruje delikatnie.

Skóra Anyi napręża się, kiedy anielica dotyka przeraźliwego poszarpanego ostrza głoźni.

– Czyj to topór? – pyta.

– To prezent – odpowiadam. Biorę ją pod ramię i razem z Buns i Brownie wychodzimy z archiwum.

Rozdzielamy się, Buns i Brownie pospiesznie udają się do holu w kierunku Baru Rycerskiego po przeciwnej stronie. Preben i anioły Mocy posuwają się cicho za mną i Anyą. Zatrzymuję się tuż przed łukiem blisko przejścia. Preben wyciąga małe lustro na teleskopowym uchwycie i ustawia je tak, byśmy mogli podejrzeć, kto jest w korytarzu. Tau stoi nieruchomo w środku holu, dokładnie naprzeciwko średniowiecznych zbroi, które umieściłam tam wcześniej, aby strzegły drzwi. Widok mojego ojca sprawia, że w brzuchu wszystko mi się boleśnie zaciska, a nogi drętwieją ze strachu. Staram się nie panikować, ale sama słyszę swój przyspieszony oddech.

On może mnie powstrzymać... Dudni mi w głowie, ale zmuszam się, by się uspokoić i dostosować do sytuacji.

Cole stoi tuż obok Tau. Przyjął bardzo swobodną postawę i opiera się o ścianę pokrytą wodnymi znakami. Bacznie przygląda się Xavierowi, który maszeruje z zawrotną prędkością pomiędzy pustymi alkowami i wygląda tak, jakby był chińskim smokiem o karmazynowym ciele. Z każdej strony otacza ich liczne grono aniołów Mocy z Dominium. Niski pomruk rozmów w języku aniołów dochodzi do nas melodyjnym i łagodnym rytmem. Te głosy milkną, gdy rozlega się słodkie szczebiotanie Buns i Brownie.

– Skarbie, myślałam, że to Truman Capote powiedział: „Kiedy zwyczajnie staje się dziwnym, dziwne staje się doskonałym”. – Rozpoznaję dźwięczny głos Buns.

– Nie, to zdecydowanie słowa Huntera S. Thompsona... – W przeciwległym wejściu pojawia się Brownie.

Staje w bezruchu jak jeleni schwyty w światła reflektorów i chwyta Buns za łokieć. Buns wytrzeszcza oczy, jakby grała swoją oscarową rolę. Robi kilka kroków w tył, a Buns bełkocze pod nosem:

– Uch, och...

Odwraca się na pięcie i ucieka, potrząsając długimi złotymi lokami.

Xavier nieruchomieje, a jego twarz jaśnieje teraz pełna nadziei. Brownie zaczyna kląć jak szewc i także ucieka w przeciwnym kierunku do tego, który obrała Buns. Xavier bez wahania niczym oddany kochanek rzuca się za Buns. Kiedy kilka aniołów Mocy udaje się za nim, wstrzymuję oddech i w ciszy modłę się do Nieba, prosząc, by nie zrobili jej krzywdy.

Ciemne orzechowe oczy Cole'a spoglądają na Tau, który skinieniem głowy zezwala mu na akcję. W ułamku sekundy Cole znika, biegnąc za Brownie w stronę północnej wieży. Tylko garstka aniołów Mocy pozostała z Tau, aby osłaniać Rycerski Bar. Ojciec oddala się od nas o kilka kroków do punktu, gdzie – po drugiej stronie – pojawiły się anielice Kosiarze. Po chwili zatrzymuje się i prostuje plecy. Spogląda przez ramię na miejsce, w którym się ukrywamy tuż za łukiem korytarza. Preben szybko chowa za ścianą małe lustro, odkłada je na podłogę i bezszelestnie wyciąga miecz z pochwy, a moje oczy zwężają się z paniki.

Biorę głęboki wdech, opadam na kolano i wyrzucam z siebie klona. Kieruję go na korytarz i sprawiam, by zamarł, kiedy ojciec go zobaczy.

– Tau! – Wydobywam głos z klona.

– Evie! – Moje imię wydziera się z ust Tau jako desperacka niekontrolowana reakcja.

Nie daję ojcu czasu, by odkrył mój podstęp, i zmuszam klona, aby uciekał z dala od nas. Zdaję sobie sprawę, że muszę ukryć siebie i swoją drużynę, więc zatrzymuję w dłoni odrobinę energii i ją uwalniam. Udaje mi się z niej utworzyć iluzję pustego korytarza, która osłania nas jak miękka chmura. Jeśli Tau jej dotknie, ona zniknie i zostaniemy namierzeni.

Kiedy Tau mijają nasz korytarz, zatrzymuje się na chwilę i spogląda w moim kierunku, a nie za klonem. Robi kilka kroków i ponownie się zatrzymuje. Jego ciemnoszare oczy poszukują mnie. Zaciskam powieki i wstrzymuję oddech, ale i tak czuję zapach ojca stojącego na odległość ramienia ode mnie. Tau odwraca się i po chwili łagodne podmuchy pieścżą mój policzek, gdy znika w korytarzu w pogoni za klonem. Otwieram oczy i nie oczekuję tego brutalnego bólu, który rozdziera moje serce, gdy widzę, że ojca już nie ma. Czuję się tak, jakby znów mnie zdradził.

Nieliczne anioły Mocy z Dominium, które pozostały, by strzec Rycerskiego Baru, szybko się rozpraszają, gdy kilka moich kolejnych klonów ucieka w różne strony. Korytarz jest czysty, więc mogę już wstać i opuścić magiczną zasłonę. W miarę jak zbliżam się do Baru, czuję, że powietrze staje się coraz cięższe. Dochodzę do średniowiecznych zbroi blokujących drzwi, macham dłonią i odsuwam je z głośnym stukotem metalu obijającego się o zimny szary kamień.

Próbuję dotknąć drzwi, ale Preben staje przede mną i mnie przed tym powstrzymuje.

– Pozwól, że wejdziemy pierwsi, Evie – oznajmia i wyciąga berdysz blokujący klamki.

Z hukiem otwiera drzwi, rozpraszając złą energię, która pulsuje w pokoju.

– Co widzisz? – pytam Prebena wstrząsana dreszczem.

– Jasne światło przedostające się przez rozetowe okna bez szyb, połamane meble, zardzewiałą ludzką zbroję i krzywo wiszące żyrandole – wylicza, składając swoje podobne do sokolich skrzydła.

Anioły Mocy o randze Prostat przechodzą przez drzwi i znikają mi z oczu.

– Czy oni nadal tu są? – pytam Prebena, wysilając głos, bo z trudem łapię oddech.

– Tak. – Mruga okiem. – Nie widzisz ich?

– Nie – odpowiadam przytłumionym tonem.

– A co widzisz?

– Brennusa – szepczę.

Tuż za progiem stoi Brennus, obserwuje mnie, lekko przechylając głowę. Na jego ustach pojawia się leniwy uśmiech, gdy wyciąga do mnie ramiona. Mruga do mnie zielonym okiem, żebym do niego dołączyła. Ma na sobie ciemny elegancki garnitur i przybiera pozę, jakby oczekiwał mojego przyjścia właśnie w tej chwili.

Preben gwałtownie zatrzaskuje drzwi i blokuje je berdyszem. Ma ponurą minę, gdy patrzy na mnie pytająco.

– Wiedziałaś, że tu będzie! – oskarża mnie.

– Hmm, tak... – Udaję zmieszanie.

– Jak mam ci pomóc, jeśli on jest poza moim zasięgiem? – warczy, okazując niepokój.

– To nie potrwa długo – przerywa mu Anya. – Jak tylko wejdziemy, bądź gotowy do walki. – Gdy staje obok mnie, widzę, że jej skóra jest biała jak jej jedwabny strój. Zaciska ręce, żeby powstrzymać ich drżenie. Jej przeraźliwy strach rani mnie jak nóż wbity w pierś.

– Nie musisz tego robić – szepczę do niej. – Zostań tu z Prebenem!

– Nie lekceważ moich możliwości, Evie. – Powoli kręci głową, a jej głos nadal się trzęsie. – Jestem ci potrzebna.

– Boisz się – oznajmiam wprost.

– Tak – przyznaje, pochylając głowę. – Boję się jak diabli, ale to małe poświęcenie dla miłości.

Odwraca ode mnie twarz i spogląda na drzwi. Przyjmuje pozycję pomiędzy moimi ramionami i przyciskając skrzydła do ciała, zmusza mnie, bym chwyciła rękojęść topora wojennego i przyłożyła go do jej brzucha. Spogląda na mnie przez ramię i mówi:

– Teraz to wygląda tak, jakbym była twoim więźniem.

– Otwórz drzwi, Preben – wydaję rozkaz; z trudem opanowuję emocje.

Preben zaciska szczękę i próbuje opanować chęć ochrony nas, ale robi to, co mu poleciłam, i wyciąga berdysz. Otwiera drzwi szeroko. Brennusa już nie ma przy wejściu. Przesunął się do środka pokoju. Mglisty welon, który osłania magiczny wymiar, zniekształca widok – obraz teraz faluje i unosi się niczym dym z lufy pistoletu.

– No to idziemy – mówię cicho do Anyi i robimy krok, wchodząc do pomieszczenia.

Nieważkość porywa mnie; odnoszę wrażenie, jakbym unosiła się w bezdźwięcznym, nocnym niebie. Moje włosy rozsypują się dookoła, jak gdybym była zanurzona w wodzie, ale skóra pozostaje chłodna i sucha. Zaraz to się zmienia, gdy dociera do mnie stukot i łomot.

Chwilę później Anya i ja leżymy na twardej kamiennej podłodze jakże innego Rycerskiego Baru. W tej rzeczywistości kościół jest dwa razy większy i proporcje są zupełnie inne. Sklepienie jest strzeliste i unosi się wysoko nad moją głową, a olbrzymie, trzy razy większe od poprzednich, gotyckie żyrandole zwisają pod belkami stropowymi. Także rozetowe okna są większe. Już nie ma w nich rozbitych witraży, lecz pokrywa je atramentowa powłoka, przedstawiająca gwieździste niebo z orbitującymi planetami.

Zbroje wzdłuż ścian nie są ludzkie – to kolekcja zbroi czarnoksiężników, którą przechowywano w archiwum. Błyszczą jak polerowane diamenty na tle ciemnych celtyckich węzłów zdobiących ściany. Z każdej zbroi spogląda na mnie żołnierz Gankanagów swoimi zimnymi ciemnymi oczami. Mnóstwem szeregów wypełniają całe pomieszczenie i galerie nad nami.

Wstaję i czekam, aż Anya zrobi to samo. Jej włosy podobnie jak moje falują i unoszą się, jakby zostały schwytane w magicznym basenie. Widząc przerażający strach w jej oczach, chcę chwycić ją za rękę, ale się powstrzymuję. Kątem oka zauważam, jak coś się przesuwają; odwracam głowę w tym kierunku.

Brennus przemieszcza się z nieprawdopodobną prędkością. Nie mogę sobie przypomnieć, by kiedykolwiek się tak poruszał. Staje kilka kroków ode mnie, a ja przerażona otwieram lekko usta, okazując wielkie zaskoczenie.

Nie zauważam, kiedy jego palec dotyka mojego podbródka i zamyka mi usta. Moje nozdrza pulsują ze strachu, oczy są szeroko otwarte. On jest sto razy szybszy ode mnie!

Uśmiecha się, jakby czytał w moich myślach.

– Gdyby to była muzyka, *mo chroí*, ty grałabyś w tempie adagio... wolnym tempie – wyjaśnia. – Chyba nie sądzisz, że pozwoliłbym ci tu wejść, gdybym nie mógł cię kontrolować, prawda? – pyta, a jego głos unosi się w dziwnym rytmie.

– Jakoś wiedziałam, jak się od ciebie uwolnić – zaczynam, ale przerywam, gdy Brennus chwyta dłonią moje ramię w niezbyt subtelny sposób, każąc mi się zamknąć.

Jego nieszczerzy uśmiech jest zaledwie o kilka centymetrów od mojej twarzy; Brennus pokazuje ostre kły, a mnie aż skóra cierpnie na wspomnienie bólu, który powodują.

– Cii, *shíorghrá*. – Przyciska moją twarz do swojej piersi. Czuję ciężką tkaninę ciemnej marynarki. Trzymając mnie za szyję, drugą ręką gładzi moje włosy. – Tak bardzo cię teraz pragnę, że gorzej może być tylko bez ciebie. Nie zmuszaj mnie, bym cię zabił.

Chcę unieść głowę, żeby sprawdzić, gdzie Reed, ale boję się poruszyć.

– Kogo mi przyprowadziłaś? Co to jest? – pyta szorstkim tonem, a jego dłoń nie pozwala mi się poruszyć, więc nie widzę Anyi.

– Podarunek... – Żar rozlewa się na moich policzkach, a ból skręca mi wnętrzności.

– Naprawdę? – mówi Brennus niepewnie. – Mówi się, że kot mruczy wtedy, kiedy tego chce. Czy ona cię zmusi, żebyś mruczała?

– Jest szczególna – odpowiadam.

– Ale nie jest tym drugim. Myślisz, że wezmę jakiegoś innego anioła? – warczy, a jego palce wplatają się w moje włosy; przechyla mi głowę tak, by odsłonić szyję. Jego wargi ocierają się o moje gardło, a kły nacinają powierzchnię skóry.

– Nie – wzdycham; nie mogę nic więcej powiedzieć, ponieważ jego dłoń się zaciska.



Brennus nie pije, lecz trzyma usta tuż nad małymi dziurkami, z których powoli wydobywa się krew. Wdycha jej zapach.

– Kazałem ci przyprowadzić tego drugiego. Nie posłuchałaś mnie. Jeśli chcesz, żebym cię zabił... odesłał gdzieś daleko, gdzie nie będę ci zagrażał, to nic z tego. Nie pozwolę, żeby cię zniszczono. Znów musisz mnie słuchać i uwierzyć, że jestem twoim królem. Ból to dobry nauczyciel, który pozostanie z tobą na długo. – Jego dłonie opadają na mój tyłek i delikatnie go głaszczą.

– Nie – szepczę.

– *Dun do chlab* – mówi ze złością, abym się zamknęła. Ścisną mnie strasznie mocno, czarne włosy opadają mu na czoło. – Zostaniesz ukarana później... Na osobności. Nadal jesteś moją królową i cała reszta musi cię szanować.

– A ty jesteś strasznym sadystą i ukaranie mnie teraz z pewnością dałoby ci większą uciechę – wypalam niskim tonem i drżę na myśl, co dla mnie przygotował.

– To prawda, *mo chroí* – przyznaje z szyderczym uśmiechem. – Zamierzam cieszyć się każdą chwilą z tobą.

– Jeśli to zrobisz, znienawidzę cię – obiecuję.

– Kiedy to zrobię, staniesz się moją własnością – odpowiada. – Ale na razie musisz poznać inny ból. – Zanim zaczynam się zastanawiać, co to takiego, Brennus rozkazuje: – Zabij tego anioła!

– *Tristitiaie!* – jęczę.

Unosi dłoń, a garstka jego ludzi, którzy otaczają Anyę, zaczyna złowrogo się uśmiechać.

– Powiedziałaś, że pragniesz zemsty! Więc ci ją daję! – złoszcę się. – Jeśli zabijesz tę anielicę, będziesz musiał wymyślić inny plan, by dorwać Russella, bo twój ostatni sposób całkowicie zawiódł!

Niemal natychmiast chłodne palce Brennusa wplątują się w moje włosy z tyłu głowy i przechylają moją twarz w jego kierunku. Z trudem łapię oddech, kiedy Brennus ciągnie mnie, bym spojrzała na Anyę. Chwytam jego rękaw, aby złapać równowagę. Anya wytrzeszcza oczy, gdy zatrzymuję się tuż przed nią. Brennus nachyla się i wciąga nosem zapach mojej skóry, a jego delikatny oddech łaskocze mnie.

– Co to znaczy, że mój plan zawiódł, *mo chroí*? – syczy mi do ucha.

Kolana uginają mi się ze strachu, chwytam się jego ramion, żeby nie upaść.

– *Tristitia* – szepczę. – Powiedziałeś mi kiedyś, że to oznacza smutek i że jest moją słabością.

– Przypominam sobie – odpowiada, dotykając kciukiem mojej szczęki.

– To jest też słabość Russella – wyjaśniam; moje serce bije szybciej. – W tym jesteśmy do siebie podobni.

– To prawda – zgadza się Brennus, lekko marszczy brwi i odsuwa usta od mojej szyi.

– Myliłeś się, myśląc, że on ze mną przyjdzie, że zrobi dla mnie wszystko. – Głos mi drży, kiedy Brennus spogląda w moje oczy. Aby zapomnieć o strachu, pozwalam, by moje palce gładziły szyję i policzek tego potwora. – Chciał mnie uratować, tak jak kiedyś uratował mnie w jaskiniach...

– Próbował cię zabić! – W głosie Brennusa pobrzmiwa nienawiść, źrenice mu ciemnieją.

– Jego interesuje tylko moja dusza. Jeśli umrę, on się ze mną znów spotka – odpowiadam, a mój dotyk staje się delikatny, co sprawia, że oczy Brennusa łagodnieją. – Ale Anya jest aniołem, jeśli umrze... – Wzruszam ramionami. – Jego *aspire* nie ma duszy ani mocy przeciwstawienia się tobie... – Milknę i czuję, że mi niedobrze. Nawet jeśli właśnie uratowałam Anyę przed śmiercią, to skazałam ją na jeszcze gorszy los.

– Mówisz, że ona jest *aspire* tego drugiego? – Uśmiecha się szyderczo i spogląda na Anyę wystraszoną jak królik zapędzony w róg. – Ach, pamiętam cię... – mruczy Brennus do Anyi. – To przez ciebie mieliśmy takie problemy w Polsce, to ty chciałaś zabić moją królową.

Palcami dotykam policzka Brennusa i odwracam jego głowę tak, abym mogła spojrzeć mu prosto w oczy.

– Jeśli ją tkniesz – ostrzegam go – Russell nie będzie miał powodu, by tu przyjść.

– Nieprawda. – Łagodnie gładzi mój policzek. – Pragnienie zemsty zawsze zostaje. Zbyt mocno będzie chciał mojej śmierci za to, że przemieniłem jego anioła i bratnią duszę, żeby się nie pojawić.

– Fakt... – Opuszczam wzrok. – Jeśli chcesz czekać na jego ruch. Dobrze wiesz, że Russell nie jest głupi. Gdyby już nas przemieniono, na spokojnie przygotowałby plan zemsty i to taki, by pozbawić cię życia. Ale jeśli wolisz, żeby przyszedł teraz... – przerywam.

– Dobrze to wymyśliłaś. – Jego wargi muskają moje czoło. – Finn byłby z ciebie dumny, gdyby tu był. – Teraz całuje każdą z moich powiek.

– Gdzie jest Finn? – szepczę, zamykając oczy.

– Zabezpiecza nasz nowy dom. Tak bardzo chce ci pomóc, *mo chroí* – mówi czułym tonem, dotykając palcem mojej dolnej wargi. – Według niego powinniśmy obchodzić się z tobą łagodnie. Sprawić, żebyś znów nas pokochała. Uważa też, że jeśli zapewnię ci bezpieczeństwo, to ty ułożysz się obok mnie i już nigdy mnie nie opuścisz. – Łza spływa po moim policzku, a Brennus chwyta ją dwoma palcami niczym perłę. Jego głos staje się zimny i oschły. – Finn się myli. Ty respektujesz tylko siłę, więc czego nie mogę osiągnąć miłością, dostanę przez zastraszenie. Tym razem już cię nie wypuszczę. Jesteś moja.

– Co zamierzasz? – Głos mi się łamie.

– Nie chodzi o to, co ja zamierzam, tylko o to, co ty masz zrobić. – W oczach Brennusa pojawia się zimne wyrachowanie. – Musisz dokonać wyboru.

– Jakiego wyboru? – Chłód ogarnia moje ciało.

– Dobrze wiesz, że nie będę się tobą z nikim dzielił i że sama tylko myślisz o tym, że ktoś inny cię dotyka, doprowadza mnie do szaleństwa. – Chwyta moje ramiona. – Więc wybieraj: ja mam wykończyć twojego anioła czy ty to zrobisz?

– Co? – Kręci mi się w głowie, nerwowo gniotę palcami piękne klapy marynarki.

– Przemyśl to, Genevieve. Jeśli każesz mi go zabić, zrobię to powoli... z torturami. Będzie żył kilka dni, wiedząc, że ty tak szybko mogłabyś zakończyć jego ból. Oczywiście gdybyś kochała go na tyle, by to zrobić. – Zimny szept rzuca ponure cienie na moje przerażone serce.

Zdesperowana przyciągam Brennusa do siebie i bez zastanowienia zaczynam pospiesznie mówić:

– Gdybym mogła cię wyleczyć... naprawić, czy puściłbyś Reeda? – pytam błagająco.

Brennus odsuwa mnie od siebie i trzymając moje dłonie w swoich, uśmiecha się groźnie.

– Uleczyć mnie? – pyta rozbawiony. – Genevieve, ja nie jestem chory. Dobrze się czuję... Nic mi nie dolega.

– A gdybym mogła zwrócić ci wszystko, co straciłeś... Przywrócić ci skrzydła i sprawić, byś żył – naciskam dalej, całkowicie ignorując jego

chłodne spojrzenie.

Nie zdążam osłonić się przed ciosem w twarz, który powala mnie na podłogę; kiedy spoglądam w górę, widzę twarz Brennusa kucającego obok mnie.

– Nigdy więcej nie składaj mi obietnic, których nie możesz dotrzymać – oznajmia wściekły.

– A co, jeśli mogę dotrzymać? – jęczę z dłonią przy policzku.

– Nigdy więcej o tym nie mów. – Łagodnieje. – Albo spędzisz następne tysiąc lat w najczarniejszej dziurze, jaką ci wybiorę. – Rozgląda się, upewniając, czy nikt z jego ludzi nie słyszał tego, co powiedziałam. Kilku, którzy stoją najbliżej nas, wygląda na zaskoczonych. Po kilku sekundach Brennus stawia mnie na nogi. – Teraz... – zaczyna – czas przeciąć wszystkie te nici, jedna po drugiej, które wiążą cię z tym aniołem. – Mój wzrok wznosi się do jego twarzy; brwi Brennusa układają się w łuk. – Dużo sobie rozmawiałem z twoim aniołem przez te kilka dni. Z trudem się powstrzymałem, żeby go nie zabić, kiedy dał mi to. – Sięga do kieszeni i wyciąga zwinięty skrawek papieru, zniszczony i ponadrywany przy krawędziach. Unosi ten strzępek przed moją twarzą, ale nie musi go rozkładać, bo wiem, co zawiera. To kawałek notatki, którą kiedyś zostawiłam Reedowi; w wersie z Szekspira wyznałam mu swoją miłość. – Kiedy go nie będzie, zostaną ci tylko ja – obiecuje Brennus i wkłada skrawek z powrotem do kieszeni. – Przeprowadźcie mi jej anioła!

Rozglądam się po pokoju i na galeriach tuż pod rozetowymi oknami w poszukiwaniu Reeda. Legiony ubranych w srebrne zbroje Gankanagów, którzy gęsto okupowali ściany kościoła, rozstępują się. Reed wychodzi z apsydy jak człowiek, który był zmuszony do przebywania na pustyni bez wody przez kilka dni. Bardzo się myliłam, myśląc, że jestem gotowa go zobaczyć. Nie spodziewałam się, że jego widok może jeszcze głębiej rozedrzeć mi serce, i tak już mocno rozdarła.

Gdy Reed podchodzi bliżej, ogarnia mnie fala mdłości – to dobrze, dzięki temu przynajmniej nie rzucam mu się na szyję. Spoglądam na każdy kawałek jego nagiej piersi, pokrytej śladami ugryzień i strużkami zakrzepłej krwi. Jego skrzydła, kiedyś piękne i dumne, opadają połamane na ramiona, w kilku miejscach pozbawione piór. Na jego twarzy i rękach zauważam wiele sińców różnego koloru, w różnym stadium gojenia.

Reed nie spogląda na mnie swoimi zielonymi oczyma, lecz gapi się z tęsknotą na Brennusa, chcąc być przez niego zauważonym. Czar Gankanagów jak pętla

zaciska się wokół jego szyi, dusząc go tak, że sama czuję jego ból. Kiedy podchodzi do nas, opada na kolano przed Brennusem i z pokorą składa mu pokłon.

– Widzisz, *mo chroí*, twój ukochany już jest martwy, tylko nie chce tego zaakceptować. – Brennus uśmiecha się do mnie nikczemnie.

Dotyka policzka Reeda i nadaje jego przepelnionym bólem oczom głupekowaty wyraz jakby pustego zadowolenia. Pozbawia mnie siły – tylko dlatego nie rzucam się na niego z pięściami. Potężny gniew płonie we mnie z siłą, jakiej nigdy przedtem nie doświadczyłam. Z trudem próbuję przyciągnąć energię, poszukuję jej między pęknięciami w drewnie, ceglach i murze. Pojawia się, lecz odbija od magicznej sfery, która mnie otacza.

– Wstań, aniele – rozkazuje arogancko Brennus. – Zobacz, kogo ci przyprowadziłem!

Reed zrywa się natychmiast i spogląda na mnie.

– Evie – jego głos jest niski i pusty, całkowicie nie przypomina głosu dawnego Reeda.

– Tak, przyszła, by mi ciebie zabrać – oznajmia spokojnie.

Brwi Reeda ściągają się gwałtownie; nachyla się w agresywnej postawie, rozkłada połamane skrzydła na tyle, na ile jest w stanie.

– Nie chcę być od ciebie oddzielony – odpowiada groźnie, a jego oczy spoglądają na mnie jak oczy drapieżnika.

– Ona zazdrości nam tego, co jest nasze wspólne, aniele – kłamie Brennus. Reed ryczy na mnie przeraźliwie, powodując, że włosy stają mi dęba. – Jeśli chcesz zostać ze mną, musisz ją pokonać – wyjaśnia Brennus tonem fałszywie żalonym. – Musisz udowodnić pozostałym moim ludziom, że powinieneś z nami zostać.

– Jestem gotowy do walki. – Powolny okrutny uśmiech pojawia się na twarzy Reeda.

– Wiedziałem. – Brennus uśmiecha się dziko. – Wybierz broń – rozkazuje i macha w stronę ściany obwieszanej przeróżnego rodzaju bronią ręczną.

Reed przechyla głowę i z dzikim spojrzeniem poszukuje idealnej broni, by mnie zabić. Stoję całkowicie nieruchomo i próbuję przyciągnąć do siebie skrawki energii, lecz Reed szybko znajduje to, czego szuka, i z zawrotną prędkością zdejmuje ze ściany dwa krótkie sztylety.

– A którą broń ty wybierzesz? – pyta mnie rozbawiony swoją grą Brennus.

Nawet nie spoglądam na ścianę, tylko cicho wypowiadam słowa układające się w wiersz.

W oczach Brennusa pojawia się gniew, gdy przez klapę marynarki przedziera się tępe stalowe ostrze noża do otwierania listów, który ukrył w wewnętrznej kieszeni. Nóż przelatuje do mnie i ląduje w mojej dłoni, jakbym była potężnym magnesem.

– Tu cię mam – mówię łagodnie.

Brennus spogląda zaniepokojony, gdy zauważa, że moje włosy już nie unoszą się wokół głowy, jakby były w stanie w nieważkości. Natychmiast spogląda na galerię nad nami. Wśród tłumów stojących nade mną z kilkunastu młodo wyglądających ondyn rozpoznaję parę twarzy.

Safira jest jedną z nich – jej długie złote włosy opadają wokół niej falami, co sprawia, że wygląda w każdym calu jak syrena. Zauważam jednak subtelne różnice w jej wyglądzie. Teraz ma głupkowatą minę osoby będącej pod wpływem czarów Gankanagów. Jej siostry, Marlowe i Kendall, nie wyglądają dużo lepiej, gdy ciężko oddychając przez swoje rekinie zęby, próbują odzyskać energię skradzioną im przeze mnie.

– Twoje ondyny słabną – oznajmiam Brennusowi. – Może powinieneś karmić je lepiej.

Brennus odzyskuje spokój i z uśmiechem obserwuje, jak moje włosy ponownie unoszą się wokół głowy, co oznacza, że odzyskał kontrolę nade mną.

– Nie ma potrzeby się nimi zajmować. Długo nie zagoszczę. Jak tylko skończymy tutaj, nie będą mi już potrzebne.

– Będą niepokieszone. – Ponownie spoglądam na niebezpieczne stworzenia, które tworzą tę magiczną przestrzeń, oddzielającą nas od aniołów. Brennus wzrusza ramionami, okazując brak zainteresowania. – Dlaczego od razu mnie nie przemienisz? – pytam z ciekawości, bawiąc się nożem do otwierania listów. Wspominam moment, kiedy wbiłam jego małe ostrze w stopę Brennusa podczas mojej próby ucieczki z Houghton.

– Za bardzo by ci się podobało zabicie twojego anioła, gdybyś była przemieniona. A tak cała przyjemność pozostanie dla mnie. – Gładzi mój policzek.

Nieznacznie uśmiecham się, kiedy wzrokiem trafiam na to, czego szukałam

w galerii. Srebrny połysk zbroi czarnoksiężników tuż poniżej rozetowego okna sprawia, że moje serce rozpiera duma.

– Brenn, powinieneś opuścić ten domek z kart – ostrzegam. – Zanim staniesz się niepotrzebny.

– Wtedy nie mógłbym zobaczyć, jak zabijasz anioła. Pamiętam, jak załatwiłaś Keegana w jaskiniach. Był twoją pierwszą ofiarą... Nie zamierzam zrezygnować z tego widowiska – odpowiada.

– A może to on mnie zabije. – Próbuję zyskać trochę czasu. – Jak zauważyłeś, gram w tempie adagio. Moja prędkość będzie tu ważnym czynnikiem. Wszystkie moje ruchy są dużo wolniejsze, tak jakbyś znów uczynił mnie człowiekiem. Nawet Reed porusza się szybciej ode mnie.

– Nie myśl, że pozwolę ci uciec we własną śmierć... Musisz doświadczyć prawdziwego cierpienia. – Oczy Brennusa ciemnieją. Odwraca się do Anyi, która nie porusza się ani o milimetr z miejsca, gdzie stoi.

Kilku jego ludzi nadal krąży wokół niej z wystawionymi kłami, aby jeszcze bardziej ją przerazić. Brennus przepycha się między nimi i zbliża do niej. Anya ze strachem odwraca wzrok i spogląda na mnie.

– Jest wyjątkowa, *mo chroí* – mówi do mnie Brennus przez ramię. – Może podzielę się nią z tobą później... – Wyciąga rękę i dotyka jej policzka.

Delikatne westchnienie wydobywa się z ust Anyi, która natychmiast rozluźnia się i zerka na Gankanaga, jakby był najpiękniejszym stworzeniem. Brennus bierze jej dłoń i prowadzi w stronę apsydy, gdzie czeka na niego elegancki fotel. Siada na nim, a Anyę pozostawia u swoich stóp. Anielica z uwielbieniem trzyma głowę na jego kolanie, gdy on gładzi jej ciemne włosy, jakby była jego ulubionym zwierzątkiem. Brennus macha dłonią na Reeda i na mnie.

– Możecie zaczynać – oznajmia jak król zasiadający na tronie.

Nieważkość, pod której byłam wpływem, gdy weszłam do tego miejsca, natychmiast opada. Moje włosy już się nie unoszą, tylko leżą spokojnie na ramionach. Wreszcie mogę poruszać się szybciej niż w zwolnionym tempie i to jest dla mnie szczęśliwy obrót sprawy, ponieważ sztylet Reeda przeszywa powietrze i przecina mi ramię. Czuję, jak moja skóra płonie, a krew ścieka z ostrza. Słyszę dochodzące z każdego zakątka pomieszczenia odgłosy uwalniających się kłów. To Gankanagowie poczuli zapach krwi.

Chwytam nóż do otwierania kopert i krążę z dala od Reeda – ten ocenia

każdy mój ruch. Podąża za mną powoli, naśladowując moje kroki, jakby wiedział, co zaraz zrobię. Wycofując się, docieram do niewidzialnej ściany, którą ondyny stworzyły, by trzymać mnie pod kontrolą.

Rozproszona przez chwilę, zdążam tylko obrócić się, kiedy sztylet pędzi w stronę mojej szyi. Na szczęście przecina jedynie powietrze, ale drugi sztylet pozostawia małe, bolesne rozcięcie na moim policzku. Brennus syczy ze złością. Ja go ignoruję, ale Reed nie – zdeorientowany spogląda na Brennusa. Takiego odwrócenia uwagi właśnie potrzebowałam. Wyciągam dłoń i dotykam piersi Reeda.

– Ty wątpisz, że gwiazdy są ogniem... – szepczę do jego ucha, a palcem delikatnie drapię skórę. Moja dłoń świeci się i wyciąga część trucizny z jego ciała. Coś łamie się w moim skrzydle, a jego skrzydło staje się proste.

Reed odsuwa się ode mnie na chwilę, lecz ja znów go dotykam. Jest zaskoczony i kręci głową, jakby próbował zrzucić z niej przyczepioną pajęczynę. Zbliżam się do niego i mówię spokojnie:

– Wątpisz, że słońce się porusza... – Opieram dłoń o jego ramię i widzę, jak krwawe ślady ukąszeń znikają, pozostawiając gładką skórę. – Wątpisz, że prawda może być kłamstwem... – Opadam na Reeda. Chwyta mnie w ramiona i tuli do piersi. – Ale nigdy nie możesz wątpić w moją miłość... – Głos mi się załamuje, gdy krew wycieka z otwartych ran wzdłuż mojej szyi i piersi. Tracąc siły, spoglądam w idealne zielone oczy.

I wtedy słyszę, jak mi szepcze:

– Ale nigdy nie wątp w to, że cię Kocham... Kocham cię najbardziej, bardziej niż najbardziej, uwierz w to. – Przyciska mnie mocno do siebie.



## Rozdział 26

### Wejść do kręgu

RUSSELL

Mój brzuch skręca się, jakby został przeciągnięty przez portal w starej książce razem z Anyą i Rudą. Kurczowo trzymam się stołu multimedialnego, by nie upaść, kiedy Zee zatrzaskuje przejście do Irlandii. Rozwścieczony uderzam pięścią w szklaną powierzchnię, która pęka jak lód. Nawet nie mogę spojrzeć na Zee, tylko obserwuję, jak mijają minuty na moim zegarku, i czekam na czas, kiedy będę mógł innym portalem udać się za nimi do Irlandii.

– Nie zastanawiaj się nad tym, co może się im przytrafić – radzi mi Zefir ze srogą miną. – Lepiej pomyśl o wszelkich problemach, które planujesz złożyć u stóp Brennusa.

– W mojej głowie jest miejsce na te wszystkie rzeczy – odpowiadam oschle i unoszę dłonie znad stołu. – Jestem w stanie obsesyjnie skupiać się na wielu sprawach w tym samym czasie, ale to myśli o Anyi rozdzierają moje wnętrze.

– Tak – odpowiada posepnie. – Rozumiem... Buns jest jak żywiol.

– Fakt – odpowiadam z uśmiechem. – W pewnym sensie masz przerąbane, stary. Ona zawsze ma jakieś własne pomysły.

– Nie śmiej się za bardzo, twoja jest Tronem... Karma... – Uśmiecha się, a po chwili, przytakując, zmienia wyraz twarzy na pełen grymasu i dodaje: – Auć.

Bezwiednie uśmiecham się coraz bardziej.

– Zee, od kiedy ty jesteś taki zabawny?

– Po ludzku trudno być zabawnym. – Spogląda na swój zegarek i chwytając pokrywę portalu w laptopie. – Naucz się mojego języka, a przekonasz się, jaki jestem dowcipny. – Po sekundzie poważnieje i pyta: – Jesteś na to gotowy?

– Cholera, ja już doszedłem do ligi zawodowej... a to teraz wygląda tak,

jakbym wracał do juniorów. – Spoglądam na niego z niepokromioną pychą, a on obdarza mnie złośliwym uśmiechem.

– Z każdym dniem stajesz się bardziej aniołem.

Otwiera laptopa i natychmiast wpadamy w ciemny tunel utkany z przecinających się błysków światła i energii. Po chwili zostaję wyciśnięty z kieszeni odtwarzacza CD spoczywającego na miękkim, skórzanym siedzeniu luksusowego samochodu.

Spoglądam na deskę rozdzielczą pokrytą żółtymi skorupami wypolerowanymi na wysoki połysk i zauważam Zee siedzącego na fotelu kierowcy.

– Czy portale standardowo mają wyjście w bentleyach? – Dotykam doskonałych szwów siedzenia.

– Nie, ten jest na zamówienie. To Buns skąd go wytrzasnęła, zanim musieliśmy wyjechać – odpowiada z dumą i pieszczotliwie głaszcze kierownicę, jakby to była jego ukochana.

– Przypomnij mi, żebym poprosił ją o jazdę testową, kiedy to się skończy – mówię, oceniając garaż za szybko. To wstyd nazywać to pomieszczenie garażem, jest raczej hołdem oddanym luksusowym pojazdom. Chciałbym tu mieszkać.

– Gdzie jesteśmy? – pytam.

– W stajni dla powozów, po drugiej stronie trawnika jest kościół – odpowiada i naciska jakiś przycisk. Po chwili drewniane garażowe drzwi rozsuwają się na boki, a jaskrawe światło słoneczne wdziera się do środka.

– Mogę prowadzić? – pytam po tym, jak Zee rozkazuje samochodowi, by ruszył, używając słowa, które brzmi podobnie jak w języku czarnoksiężników.

– Nie. – Uśmiecha się. – To ja jestem kierowcą.

– No weź, Zee – błagam. – Jedyne auto, które miałem, to był jakiś gruchot.

– Tym bardziej nie pozwolę ci prowadzić. Nie opanujesz go... To Europejczyk – mówi z szerokim uśmiechem. Wyjeżdża z garażu i sunie wzdłuż żwirowego podjazdu. Gdy spogląda na mnie, widzi moje wrogie spojrzenie. – Nie bądź zły, kupię ci takie, jak to się wszystko skończy.

– Nie jestem zły – odpowiadam pochmurnie. – Jestem zatroskany.

Wskazuję palcem na Xaviera, który stoi z ramionami skrzyżowanymi na piersi poniżej rozetowego okna kościoła.

- Skąd on wiedział, że tu będziemy?
- Schwycił jedną z nich. – Zefir blednie.
- Zrobiliby im krzywdę? – mamroczę.

Zee niedbale prowadzi auto w stronę Xaviera.

– A czy ty byś zrobił, gdyby doprowadziły cię do twojej ukochanej? Przypiesza; duże kawały darni wrywają się spod pędzących kół auta. Xavier nawet nie drgnie, kiedy samochód zatrzymuje się na milimetry przed nim. Dopiero gdy chwytam za klamkę, rzuca się w moją stronę. Bez zastanowienia posyłam mu masę energii, która uderza w niego jak olbrzymi blask światła. Xavier leży przez chwilę na ziemi, by zaraz zerwać się na równe nogi i skoczyć na mnie. Tau ląduje przed Xavierem i odsuwa go ode mnie.

– Potrzebujemy go! – ostrzega groźnie Xaviera, który natychmiast przestaje się szamotać. Tau odwraca się do mnie.

– Evie weszła do tego kościoła z Anyą. O której godzinie zniknęły z posiadłości?

– One nadal tu są – odpowiadam pewny siebie, widząc, że niepokój w jego oczach maluje się tak samo jak u Rudej. – Jestem tu, by im pomóc.

– A jak my możemy ci pomóc? – pyta z napiętą miną.

– Ach, to wy chcecie teraz pomóc? – kontruję sarkastycznie, ale Zee posyła mi znaczące spojrzenie. – Na początek możecie oddać nasze anielice Kosiarzy. – Wzdycham z ulgą.

– Cole, wypuść je! – rozkazuje. – Co jeszcze? – pyta mnie zwięźle.

– Nie wiem. Muszę sprawdzić. – Przechodzę obok nich i wzbijam się w powietrze. Podlatuję do wielkiego okna w kształcie kwiatu i wiszę w powietrzu, aby spojrzeć przez ciemną gwiazdną patynę, która zasłania i zniekształca szczegóły wnętrza. To jak próba patrzenia przez mętną wodę.

– Jej tu nie ma! – warczy Xavier i skacze mi do gardła. – Byłem w środku, przesłuchałem wszystkie anioły Mocy!

– Daj mi spokój! Możesz się zamknąć na chwilę? – Patrząc na niego wściekłym wzrokiem i po chwili zaglądam do wnętrza.

– Widzisz je? – pyta Zee, unosząc się obok mnie.

– Tak – odpowiadam spokojniejszym tonem. – Żyją. – Po chwili zaciskam zęby, obserwując, jak Brennus uderza otwartą dłońią Rudą, a ta upada

na podłogę.

– Co się stało? – Tau aż czerwienieje na twarzy, widząc moją reakcję.

– Właśnie uderzył Evie – oznajmiam bez ogródek. – Ona nie może mu oddać.

– Dlaczego? Co z nią nie tak? – Xavier zdesperowanym tonem domaga się odpowiedzi.

– Nie wiem. Dziwnie wygląda... Jest powolna. – Przyglądam się innym elementom sytuacji w pomieszczeniu poniżej.

– Musisz tam wejść... zabić go! – pospiesza mnie Xavier i szturcha w ramię.

– To właśnie zamierzam zrobić! Tylko daj mi chwilę, żebym ogarnęła, jak się dostać do środka i nie zginąć! Tam są setki uzbrojonych Gankanagów i jeszcze niezła ekipa dziwnie wyglądających syren.

– Syren? – powoli powtarza Tau. – Masz na myśli ondyny?

– Dla mnie one wyglądają jak syreny... mają skrzela. – Dotykam boków swojej szyi. – A, i jeszcze długie proste włosy i zęby jak u barrakudy.

– Ondyny – warczy Tau, a jego twarz staje się jeszcze bardziej czerwona. – Niewinne połączone z przekłętymi...

– Nie wyglądają na takie niewinne... Raczej przypominają bestie. – Przeczესuję dłonią włosy. – Okay – zwracam się do Zee. – Muszę sprawdzić, jak wejść.

Docieram do szklistej powłoki okna, która wygląda jak nocne niebo pokryte planetami nienależącymi do Układu Słonecznego... Te planety orbitują, jakby były prawdziwe. Niepewnie dotykam szkła, palec zanurza się w nim; wnętrze kusi, bym wszedł. Cofam dłoń i czuję ulgę, gdy nadal widzę cały palec.

– Teraz muszę tylko wmieszać się w tłum – informuję wszystkich.

Łąduję na ziemi obok bentleya, zamykam oczy i koncentruję się na celu. Xavier łąduje obok mnie.

– Co robisz? – pyta niespokojnym tonem.

– Cii – szepczę i otwieram oczy. – Załatwiam coś.

Kilka sekund później uśmiecham się, gdy słychać brzęk taki, jakby uderzało o siebie kilka metalowych pokryw od koszy na śmieci. Zbroja Brennusa biegnie do nas wzdłuż niskiego muru z polnych kamieni. Nie przystaje, gdy się do mnie zbliża, lecz okrąża mnie i wtapia się, jak gdyby była moją drugą skórą.

– Mocne. – Biorę wdech, gdy spoglądam na ramiona i pierś skryte pod

błyszczącą lekką zbroją. – Wreszcie coś na mnie pasuje. – Uśmiecham się.

– Teraz wyglądasz jak czarnoksiężnik – stwierdza Buns, klepie błyszczący srebrny hełm i dodaje: – Muszę przyznać, że Brennus ma styl.

– Buns... – Spoglądam na jej siniaki i opuchnięte usta. Niski pomruk dobiega od Zee, gdy ten tuli ją w ramionach.

– Ze mną wszystko okay – mruczy cicho do Zefira i przyciska się do niego.

– Jak z tym skończymy, to cię dopadnę – grozi Xavierowi, przeszywając go spojrzeniem.

– Ty zrobiłbyś to samo. Żałuję, że do tego doszło – odpowiada Xavier z pustym wyrazem twarzy.

– Mimo wszystko... Przysięgam, że cię dorwę. – Brwi Zefira stykają się ze złości.

– Nie jesteś tam, gdzie powinieneś – rzuca Xavier.

– Mylisz się, Serafinie. To ty nie jesteś tam, gdzie trzeba. Evie już dawno ciebie zostawiła.

– Więc dlaczego potrzebuje mnie teraz bardziej niż kiedykolwiek? – sprzecza się ponury Xavier, który powoli traci cierpliwość.

– Buns, gdzie Brownie? – przerywam ich kłótnię.

– Och, skarbie. Cole nie mógł jej złapać, więc pewnie jest z Prebenem. – Uśmiech pojawia się na jej posiniaczonych wargach.

– Dobrze – wzdycham. – Więc nie muszę się o nią martwić.

Zaczynam po cichu wypowiadać coś podobnego do dziecięcej rymowanki, przywołując w ten sposób zapach gnijącej słodyczy, który pozwoli mi wmieszać się w tłum Gankanagów. Xavier zatyka nos i odsuwa się ode mnie z odrazą.

– Doskonale. – Wącham powietrze wokół siebie i oceniam, że to właściwy odór.

Zefir nie odsuwa się ode mnie pomimo tego odoru.

– Będziesz musiał schować skrzydła zaraz po wejściu do kościoła – radzi mi.

Spoglądam przez ramię na swoje jaskrawokarmazynowe skrzydła.

– Masz rację. – Kiwam głową. – Tak zrobię.

– A więc do zobaczenia po tym, jak usuniesz zasłonę – mówi bez cienia wątpliwości Zefir.

– Pamiętaj, wiesz mi nowy samochód... Więc masz przeżyć – zaznaczam żartobliwie.

– Pamiętam – odpowiada ze stoickim spokojem.

– To chyba nie ma sensu z tym zwlekać – mruczę, a Buns krótko tuli się do mnie i odsuwa. Z uśmiechem na twarzy kieruję się do rozetowego okna.

– Nagrodzę cię, jeśli uratujesz moją córkę – słyszę głos Tau.

Kiedy spoglądam w jego oczy, widzę w nich żal, smutek i bezradność... Tak, to jej ojciec, bez wątpienia.

– Nie martw się – zapewniam. – Gankanagowie mnie nie powstrzymają. Bądźcie gotowi.

Unoszę się w powietrzu i podlatuję do okna. Widzę, jak Reed klęczy przed Rudą i Brennusem. Czuję ulgę, gdy widzę go żywego. Ponury uśmiech pojawia się na moich ustach, ponieważ każda para oczu skierowana jest na tę scenę. Nie dostałbym lepszej szansy, żeby wejść niezauważonym. Opuszczam przyłbicę i szepczę do siebie:

– Niech Bóg będzie ze mną.

Biorę głęboki wdech i gromadzę tyle energii, ile jestem w stanie utrzymać. Wkładam głowę przez szkło okna i czuję, jak ono mnie natychmiast wciąga. Opadam ze schowanymi skrzydłami, jakbym zjeżdżał po zamarznętej rzece. Po kilku sekundach ląduję wśród okrytych zbroją, śmierdzących koleśki ustawionych na balkonie poniżej okna.

Dźwięk uderzających o siebie elementów zbroi ogłuszyłby ich wszystkich, gdyby nie to, że uwolniłem trochę energii, aby wyciszyć ten hałas. Stając na równe nogi, zauważam dwóch Gankanagów – pojawiają się obok mnie gotowi do ataku. Macham dłonią i zatrzymuję ich w bezruchu. Mogą poruszać jedynie oczami.

Teraz – zburzyć ich infrastrukturę, myślę, a pot zaczyna spływać mi z czoła.

Na wyglądającym jak strych miejscu dla chóru zauważam ondyny, które koncentrują się na akcji poniżej. Także spoglądam w to miejsce – Brennus stoi obok Anyi, wyciąga dłoń i dotyka jej policzka. Bolesny cios rozcina moje serce, które płonie z żalu. Zamieram w bezruchu, kurczowo trzymając się poręczy. Brennus prowadzi Anyę za rękę do swojego tronu i zmusza ją, by siedziała u jego stóp. Gniew eksploduje we mnie.

Oddycham ciężko.

– Możecie zaczynać – oznajmia Brennus.

Te słowa powodują, że otrząsam się z osłupienia, zaciskam zęby, chwytam miecz z dłoni jednego z unieruchomionych Gankanagów. Dźwięk towarzyszący wyciąganiu ostrza z pochwy jest dla mnie jak najśłodsza muzyka. Dochodzi do mnie kliknięcie wysuwających się kłów Gankanagów stojących na dole i wzdłuż galerii. To reakcja na zapach krwi Rudej ranionej przez Reeda. Nie mogę się powstrzymać. – Warknięcie wydobywa się z mojego gardła i po chwili każda blada twarz na górnym balkonie odwraca się do mnie, co wygląda, jakby kostki domina opadały w jeden punkt.

– No to zaczynamy – słyszę własny głos.

Błysk diamentowobiałych kłów setek ludzi Brennusa sprawia, że mocno napinam mięśnie. Pierwszy, najbliższy mi koleś unosi miecz, celując w moją pierś, podczas gdy jego usta poszukują odkrytej części szyi. Wzdrygam się z powodu siły, z jaką jego miecz odbija się od mojej napierśnicy i pozostawia w niej wgniecenie. Nakręcony adrenaliną przystawiam miecz do jego szyi i odcinam mu głowę. Zimne spojrzenie następnego wwierca się we mnie, kiedy on rzuca czar i wywołuje deszcz ostrych jak brzytwa gwoździ. Hebanowe końcówki amunicji kruszą się o srebrną powłokę zbroi, co brzmi, jakby grad walił w metalowy dach. Magiczna zbroja znów ratuje mi życie.

Czuję smak potu i skumulowaną nutę strachu, kiedy deszcz kolorowych świateł i ognia opada na mnie ze wszystkich stron. Ogłuszające wybuchy oraz strzelające iskry rozpalają powietrze oślepiającymi błyskami. Dzięki nagromadzonej energii udaje mi się odwrócić ruch agresywnych świateł, które przemieniają się w przerażające potwory przypominające szare, pokryte mchem maszkarony. Uderzam energią w plujące ogniem kamienne gady, odwracam je i kieruję na koleśi, którzy je stworzyli. Okrzyki przerażenia rozdzierają ich usta, gdy jeden z maszkaronów skacze na pierś Gankanaga, rozszarpuje ją i zanurza zęby we wnętrzu.

Kiedy spoglądam na kolejnego żołnierza Gankanagów, dochodzi mnie taki głos, jakby chór aniołów zaczął śpiewać. Harmonijna melodia sprawia, że moje palce zaciskają się na rękojeści miecza. Rzucam się na przeciwników najbliżej mnie i po chwili ostrze mojego miecza ocieka antracytową krwią. Kiedy przecinam ożywieńca stojącego przede mną, słyszę łagodną, kojącą melodię, która mnie motywuje, bym posuwał się naprzód. Głowy opadają i toczą się po podłodze jak nierównego kształtu kule. To nie robi na mnie wrażenia. Nie przerażają mnie okrzyki, trzask pękających kości ani też plastikowy zapach

słodko-gorzkiej krwi. To wszystko to tylko rzeczy prowadzące mnie do celu – śmierci Brennusa.

Zanim zdaję sobie z tego sprawę, jestem już przy chórze. Szafirowe oczy blond ondyny spoglądają na mnie, lecz nie widać w nich żadnych emocji, gdy skacze z otwartą paszczą, pełną ostrych zębów barrakudy. Wyciągam rękę i kładę na jej twarzy. Moja dłoń świeci, a blondyna upada na podłogę. To przypomina scenę z jakiegoś filmu o nawiedzonym kaznodziei. Kiedy siostry pokonanej dobiegają do mnie, dostają podobną dawkę energii. Wszystko wokół mnie zaczyna topnieć.

Spoglądam przez ramię na scenę poniżej, gdzie Reed trzyma Rudą w ramionach, a całe pomieszczenie nieruchomieje. W powietrzu unoszą się kształty innego kościoła i jak migocące znaki wodne krążą w przestrzeni. Zauważam znajome twarze aniołów. Te dwie rzeczywistości zaczynają łączyć się w jeden wymiar.

– Ten drugi – woła do mnie Brennus z dziką satysfakcją.

Jego głos sprawia, że włosy stają dęba na moich ramionach. Widzę go, jak siedzi bez ruchu na swoim tronie, a gdy ostentacyjnie głaszcze Anyę, zaciskam zęby. Chwytam kamienną poręcz i po sekundzie zostaje z niej tylko szary pył, bo magia, która ją stworzyła, słabnie. Rozkładałam skrzydła, rzucam się w dół i lotem ślizgowym opadam powoli na posadzkę.

– Twoja magia zaczyna słabnąć, Brennusie. – Nie kryję wściekłości, gdy podchodzę do niego.

– To nie jest moja magia – odpowiada opanowany. – To dzieło ondyn, które nie są już mi potrzebne, skoro tu jesteś.

– Nie zamierzasz teraz uciec? Czy nie tak robisz za każdym razem, kiedy wszystko się wali? – Rozkładając ramiona, wskazuję, że anioły są coraz bardziej wyraźne, kiedy się do niego zbliżam.

– Czekamy na ciebie – oznajmia rozpromieniony.

– Wiedzieliście, że przyjdę?

– Ja wiedziałem, że będziesz. Mam coś, bez czego nie możesz żyć – odpowiada.

– Russell – wypowiada Evie moje imię, nadal stojąc w ramionach Reeda. – Poczekaj – błaga cicho. Prawie całe jej ciało pokrywają ślady ugryzień. Mocno przywarła do Reeda, który osłania ją przed nadciągającymi Gankanagami.



– Nie mogę – mruczę. – On ma moją dziewczynę.

– Twoją dziewczynę... – Uśmiecha się Brennus rozbawiony. – To nawet nie ten gatunek – mówi do mnie protekcyjnym tonem, potem zwraca się do Anyi.  
– Masz szczęście, że się tobą zająłem. Ten chłopak-anioł uważa cię za dziewczynę.

Anya chichocze rozbawiona komentarzem.

– Chce mnie uformować tak, bym pasowała do jego niewinności – mówi z uśmiechem mogącym roztopić nawet zatwardziałe serce.

– Co ty w nim widziałaś? – Brennus z żalem kręci głową.

– On jest stworzony do miłości. – Uśmiecha się coraz bardziej.

– Teraz też? – pyta dociekliwie. – Przeraza mnie to, że stać go na taki spokój w chwili, gdy wali się jego świat.

– Russell, proszę, przestań! – Ruda woła do mnie błagalnym tonem.

– Dlaczego? – Spoglądam na nią ze złością. – Nie mógł mnie tknąć wcześniej... tam w ogrodzie.

– Wtedy był upojony moją krwią – wyjaśnia i spogląda na Brennusa, który patrzy na Rudą, jakby za chwilę miał ją ugryźć. – Teraz nie jest.

Wokół Rudej i Reeda kłębią się Gankanagowie, niektórzy z nich nie reagują na niskie porykiwanie Reeda. Spoglądam raz na Evie, raz na Anyę i czuję się rozdarty.

– Ty drugi, pozwól, że rozwiążę problem za ciebie – drwi Brennus. – Genevieve jest moja. Jeśli nadal chcesz tę tutaj – wskazuje na Anyę – to będziesz musiał dołączyć do mnie, zanim skręcę jej kark. – Palce Brennusa przesuwają się z włosów do gardła. Wystarczyłaby mu ledwie sekunda, by ją zabić.

Stoję osłupiały, nie bardzo wiem, co zrobić. Anya uśmiecha się do mnie głupkowato.

Nie zauważam, kiedy Reed zjawia się obok mnie z Evie na rękach. Odwraca się tyłem do Brennusa, aby obserwować sytuację za moimi plecami.

– Możesz uzdrowić Evie? – pyta.

Pospiesznie oceniam jej stan. Wzdrygam się na widok głębokich sińców pod jej oczami, które teraz są zapadnięte; usta ma prawie niebieskie. Jej czarna sukienka ocieka krwią, która strużkami spływa wzdłuż ramion i skapuje

z koniuszków palców. Zapach krwi doprowadza zbliżających się do nas Gankanagów do szaleństwa. Skamlą jak dzicy, próbując powstrzymać się przed atakiem na konającą Evie.

– Tak – wzdycham. – Lecz wtedy...

– Przyprawdę ci Anyę. Jego magia na mnie nie działa – mówi Reed tak szybko, że z trudem go rozumiem.

– Nie! – Ruda jęczy i przyciska go mocniej. – Zostań ze mną – prosi zdesperowana.

– Zawsze – odpowiada i tuli ją jeszcze bardziej. – Kiedy jego już nie będzie. Trzymaj ją Russell! – Niemal rzuca Rudą w moje ramiona. – Brennus będzie próbował ci ją zabrać... Nie pozwól mu na to. – Bierze z dłoni Rudej nóż do kopert i znika, zamieniając się w rozmazany z powodu prędkości cień.

Oddzielający nas od Brennusa Gankanagowie opadają na posadzkę z odciętymi kończynami, rozplatanymi trzewiami i wystającymi z ciał kośćmi. To Reed brutalnie toruje sobie dojście do Brennusa.

– Zabijcie tego anioła! – krzyczy rozwścieczony Brennus.

Zaczynam rozumieć, dlaczego czekał, aż Reed przekaże mi Rudą. Sam nie mógł za pomocą magii zmusić Reeda, by mu ją oddał. Mnie jednak może do tego zmusić. Tuląc Evie w ramionach, widzę, jak wstaje i pcha Anyę przed sobą niczym żywą tarczę. Wyciąga rękę w moim kierunku i natychmiast jesteśmy rażeni ogromnym uderzeniem ogłuszającej energii. Coś miażdży moje wnętrze i po chwili, z Evie w ramionach, lewitujemy sześć metrów nad ziemią.

Desperacko próbuję utrzymać Rudą, która wyslizguje się z mojego uścisku. Wyrzucam z siebie zmagazynowaną wcześniej energię, ale jestem w stanie utworzyć barierę tylko między nami a Gankanagami. Brennusowi jednak udaje się przez nią przebić i dosięgnąć magią Evie, która zwija się teraz z bólu, jakby łamano ją kołem lub rozrywano końmi. Nie mogę użyć swojej magii, ponieważ on nadal kryje się za Anyą. Uderzam skrzydłami jak oszalały, aby osłonić nas przed Brennusem i zatrzymać Rudą przy sobie. Na mojej twarzy pojawiają się koraliki potu.

Postaci aniołów wokół nas stają się coraz bardziej wyraźne. Reed toruje sobie drogę do Brennusa; walcząc z rojem Gankanagów, pozostawia po sobie stosy martwych ciał. Nieuchronnie zbliża się do Brennusa. Pojawia się Zefir. Chlasta mieczem ożywieńców po drugiej stronie mojej bariery. Niestety jego miecz

przenika ich jak mgła, co podpowiada mi, że muszę utrzymać pozycję trochę dłużej. Z trudem oddycham; sapiąc, zastanawiam się, co dalej.

Brennus uśmiecha się, ukazując ostre kły, i po chwili unosi nadgarstek do ust. Ku mojemu przerażeniu odgryza kawałek własnego ciała, a ciemna krew sączy się z jego ust. Przykłada nadgarstek do ust Anyi, która natychmiast zaczyna pić jego krew. Charkot przerażającej agonii wyrywa się z mojej piersi.

– Russell... – Głos Evie dociera przez chaos moich myśli.

Spoglądam na jej twarz zaledwie o centymetry od mojej.

– Musisz mnie puścić – mamrocze.

Anya zaborczo przyciska nadgarstek Brennusa do ust, a kolor jej skóry zaczyna blaknąć. Wygląda tak, jakby umierała; jej puste, głupkowate spojrzenie zamienia się w pełne bólu.

– Nie! – wrzeszczę przez zęby.

– Russell, możesz ją uratować! – mówi Evie pospiesznie. – Puść mnie!

– Nie mogę! – krzyczę zdesperowany.

– Zrób to, Russell! – naciska Evie równie desperacko. – Jeszcze zdążysz, ja sama dam sobie radę!

Kręcę głową i zamykam oczy. Kiedy znów je otwieram, widzę piękne szare oczy Rudej.

– Ona ciebie potrzebuje, Russ. Proszę, puść mnie!

Przestaję opierać się magii Brennusa. Razem z Evie rzucam się w jego stronę i gdy jesteśmy zaledwie o metr od niego, puszczam ją. Brennus upuszcza Anyę, by pochwycić w ramiona Evie. Zaraz potem przytula ją do siebie z zadowoleniem na twarzy.

– *Mo chroí* – mówi uśmiechnięty i pospiesznie wyciąga zamykane lusterko z kieszeni marynarki. Gdy tylko otwiera pokrywkę, znika razem z Evie w otworze portalu, który opada na ziemię obok Anyi.

Udaje mi się złapać Anyę, zanim upada na podłogę; przyciskam do siebie jej zimne ciało. Dociera do mnie echo krzyków i odgłosów walki pomiędzy aniołami i Gankanagami. Znów jesteśmy w Rycerskim Barze w Irlandii. Magia ondyn rozwiązała się. Anya dusi się i krztusi, ponieważ w jej organizmie powoli zaczyna działać zatruta krew. Dociskam jej policzek do swojego i z przerażeniem czuję jej zimno.

– Russell – jęczy z bólu; jej wargi są lodowatoniebieskie od zimna. –  
Przepraszam.

Coś zaciska mi gardło tak, że nie mogę wydusić z siebie ani słowa. Odsuwam włosy z jej twarzy i dociskam ją bardziej do siebie. Kładę ją delikatnie na posadzce. Wstaję i łapię pierwszego Gankanaga, który akurat jest pod ręką, chwytam go za szyję i przewracam. Jednym ruchem ręki zdzieram z niego przednią część zbroi. Nie zwracając uwagi na jego próby obrony, rzucam go na podłogę obok Anyi, teraz leży unieruchomiony moją magią.

Mój oddech jest ciężki i to nie ze zmęczenia, ale z emocji, które mną targają. Jedną dłoń kładę na Anyi, a drugą przytrzymuję żołnierza Gankanagów. Nie mogę odwrócić wzroku, gdy widzę, jak ona na mnie patrzy. Dłoń, która spoczywa na Anyi, zaczyna się świecić.

– Cii, kochanie – mówię wtedy szeptem. – Nigdy nie musisz przeproszać.

## Rozdział 27

### Dom

EVIE

Z policzkiem opartym na piersi Brennusa obserwuję wolno opadające płatki śniegu. On trzyma mnie mocno i mruży coś w niezrozumiałym dla mnie języku. Gładzi moje czoło i odsuwa mi włosy z twarzy. Zdejmuje marynarkę, otula moje skrzydła i ramiona. Stoimy poniżej promienia żółtawego miękkiego światła, które pada na nas ze starej ulicznej lampy.

– Wszystko jest okay, *mo chroí* – mówi łagodnie. – Jesteś w domu.

– W domu? – Lekko unoszę głowę i rozglądam się z trudem. W ciemności rozpoznaję znaną mi wieżę zegara, która samotnie stoi na tle gwieździstego nieba.

– Przepraszam, że cię uderzyłem. Nie wolno ci mówić nikomu z nas o uzdrowieniu. Niektórzy z moich ludzi byliby zdesperowani, żeby tego spróbować, i gdyby ci się nie udało, naprawdę by się wściekli – przemawia do mnie Brennus.

– A co, jeśli by się udało?

– Spróbuj... – Jego twarz krzywi się z bólu. – To prawdopodobnie by cię zabiło.

– Nie wiesz tego – sprzeciwiam się.

– Wiem tyle, że nie dasz rady mnie uratować. To ty potrzebujesz ratunku. – Gładzi mój policzek. – Mam dla ciebie prezent.

– Co takiego mógłbyś mi dać, Brennusie, co zastąpiłoby wszystko to, co mi skradłeś? – Drżę w jego ramionach.

– Nic nie ukradłem. Ja tylko zamieniłem to, co ty myślisz, że jest ci potrzebne, na to, co ja wiem, że jest ci potrzebne. Już kiedyś ci mówiłem, że twoja krew zdradza twoje wszystkie najskrytsze tajemnice. W ten sposób dowiedziałem się, że teraz to miejsce nazywasz domem, za którym tęsknisz.

Więc przyprowadziłem cię do domu.

– Crestwood – szepczę osłabiona i rozpoznaję budynek nazywany centralną halą. Musi być naprawdę późno, ponieważ nikogo w nim nie ma.

– Możemy tu mieszkać tak długo, jak tylko zapragniesz, i razem uczynimy z tego miejsca nasz wspólny dom.

– Bez Reeda to już nie jest mój dom. Doskonale zdajesz sobie z tego sprawę, przecież moja krew krzyczy o tym do ciebie – mówię łagodnie i cofam się o krok. Marynarka Brennusa opada z moich skrzydeł i ląduje w śniegu.

– To wszystko wkrótce się skończy, obiecuję ci, *mo chroí*. Już niedługo nie będzie cię niepokoiło twoje uczucie do anioła.

Twarz Brennusa pochmurnieje.

– Moje uczucie do niego? – pytam, widząc, jak zaciska szczękę.

– Ta nić, która was łączy... Opowiedział mi o niej; to dla was okropny ból. Ja go uciszę, bo znam sposób, żebyś już nie potrzebowała Reeda – odpowiada rozgoryczony; miękki śnieg lepi się do jego pięknych czarnych włosów.

– Jaki sposób? – Próbuję utrzymać się na nogach. Krew nadal cieknie mi z ran, które przejęłam od Reeda. Śnieg wokół mnie staje się czerwony.

– Moja krew uleczy cię z tego, *mo chroí*, zatrze desperackie pożądanie, które czujesz do tego anioła. – Unosi nadgarstek i pokazuje bladą skórę, która już się zagoiła. – Nowe życie czeka na ciebie w śmierci... bez bólu, bez polujących na ciebie aniołów, którzy wkrótce oddadzą ci pokłon.

– Dusisz mnie. To będzie tylko nowe życie dla mojego ciała, ale nie dla duszy. Przekażesz mnie do Szeolu, a ja będę jedynie wydmuszką, pustą lalką dla ciebie, żebyś mnie kochał. Wolę umrzeć! – Unoszę podbródek i próbuję wyprostować ramiona.

– Doprawdy? – pyta smutnym tonem. – Spójrz na siebie, wiem, jaka jesteś silna, ale co zrobisz, kiedy zaczną się halucynacje? Mogę je zakończyć, rozcinając sobie ciało i karmiąc cię krwią.

Zaraz po jego słowach słyszę, jak zegar na wieży wybija godzinę: ding... ding... ding...

– Pozwól mi dać sobie wszystko, Genevieve. – Uśmiecha się do mnie i rozdziera sobie oba nadgarstki, z których zaczyna płynąć krew. – *Táim i ngrá leat* – intonuje Brennus, informując, że mnie kocha. – Jesteś moim sercem i moją jedyną miłością. Należysz do mnie. – Wyciąga obie ręce

z zakrwawionymi nadgarstkami. Cierpliwie czeka, kiedy do niego podejść.

Zaciskam drżące dłonie w pięści i próbuję oprzeć się zapachowi jego krwi unoszącemu się w powietrzu. Przyciąga mnie jak aromat świeżo pieczonego chleba głodującą osobę. Mój wzrok traci ostrość, kiedy się odwracam, podejmując desperacką próbę powstrzymania głodu. Lampa uliczna obok mnie zaczyna się chwiać. Staram się nie patrzeć, bo nie jestem pewna, czy to halucynacje, czy też Brennus używa swojej magii.

Kątem oka zauważam czarnoskrzydłą istotę, która nurkuje obok lampy. Łopot pokrytych skórą skrzydeł przypomina odgłos zluzowanego masztu na wietrze.

– Brennus! – Trzęsę się z przerażenia.

Brennus obserwuje lot – potwór wyglądający jak maszkaron krąży nad nami.

– To, co widzisz, to zwiadowca. Nawet w tej chwili Szeol cię poszukuje. Wysłali zwiadowców w każdy zakątek tego świata – mówi z żalem. – Nie zbliży się do światła. To stworzenie nocne.

W myślach poszukuję zaklęcia i kieruję je na lampę. Wkrótce światło rozbłyśka jaśniej, a z podstawy wyrastają nogi. Lampa podnosi się z ziemi wśród potężnych iskier i zwarć elektryczności. Sunie do przodu na skrzypiących żelaznych kończynach i posłuszna moim rozkazom zbliża się do nas. Brennus uśmiecha się na ten widok.

– Żywa lampa uliczna? – pyta rozbawiony. – Czegoś takiego jeszcze nie widziałem, ale jest tylko jedna, *mo chroí*. Aby twoje stworzenie mogło przetrwać, potrzeba armii. – Brennus unosi dłoń w stronę rzędu żelaznych lamp ulicznych ciągnącego się wzdłuż chodnika. Zastępy lamp zaczynają wrywać się z ziemi. W powietrzu czuć energię elektrostatyczną, wokół lamp wirują iskry. Nadal świecąc żółtym światłem, zbliżają się do stworzenia, które przywołałam.

– Widzisz... twoja lampa jest tak jak ty: sama. Potrzebujesz armii, by ją chronić. Bez wsparcia stajesz się jak zwierzę schwyte w pułapkę. – Brennus łagodnieje, a ja obserwuję, jak stworzona przez niego armia lamp otacza nas, oświetlając pokryty śniegiem dziedziniec. Poza jasnym kręgiem migają zacienione postaci Gankanagów, którzy nie mogą się oprzeć zapachowi mojej krwi.

– Nasza armia... – Brennus zachowuje się tak, jakby ją przedstawiał; ruchem ręki wskazuje na hordy lodowatych ożywionych czarnoksiężników. – Przygotuje nam fajne gniazdo. Crestwood jest idealnym do tego miejscem.

Tracę oddech na widok ich liczebności, wokół nas stoją całe legiony. Przez

chwilę staram się odszukać wśród nich znajome twarze i dowiedzieć się, czy nie zostali sprowadzeni z innego miejsca. Chwilę później elficka rzutka uderza zwiadowcę i strąca go na zaśnieżony dziedziniec. Najbliżej stojący kompani rozdzierają bestię na kawałki.

– Oni teraz potrzebują tylko królowej. Podobnie jak ja chcą jedynie, abyś dzieliła swoje istnienie z nimi – przyznaje niskim tonem Brennus.

Ogania mnie panika, robi mi się niedobrze. Przypominam sobie o swoim osobistym portalu, instynktownie sięgam palcami do szyi, lecz tam go nie ma. W miejscu, gdzie wisiała piękna onyksowa ozdoba, są tylko ślady zasychającej krwi.

– Tego szukasz? – Brennus unosi czarną wstążkę z przyczepionym do niej onyksowym portalem. – Dokąd prowadzi? – pyta z wysublimowanym uśmiechem. – Zgaduję, że gdzieś blisko... Do domu tego anioła? Tam, gdzie myślał, że wszyscy uciekniecie? Podobnie jak ja, zna ciebie bardzo dobrze. Może zaraz się tam udamy... Zaraz po tym, jak się do nas przyłączysz...

Przerażona bez zastanowienia unoszę dłoń i wysyłam w stronę Brennusa impuls białej gorącej energii. Mała wiązka uderza w niego, unosi go w powietrze i odrzuca w ciemność. Brennus pada na ziemię.

– Nikt nie tknie mojej rodziny – mruczę groźnie.

Brennus natychmiast wstaje, lecz nie tak jak człowiek, tylko unosi się siłą swojej magii. Słyszę, jak jego ludzie syczą i próbują zbliżyć się do mnie, pragnąc mojej krwi. Zatrzymują się dopiero, gdy Brennus ryczy na nich.

– Ty nic nie rozumiesz. Jesteś taka naiwna. Czuję się, jakbym rozmawiał z dzieckiem. Nie masz pojęcia, czego chcą od ciebie te anioły, prawda? – pyta retorycznie. – Chcą, żebyś upadła, Genevieve. Abyś przyłączyła się do Upadłych, nie widzisz tego?

– Co? – Wzdrygam się. – Oszalałeś! Każdy chciał mnie chronić, chronić moją duszę przed tobą.

– To dlatego, że mają dla ciebie inne plany, Genevieve! Chcą, byś pozostała taką, jaka jesteś, abyś była półkwi aniołem, kiedy upadniesz. Nie mogą sobie pozwolić, bym oddzielił duszę od twojego ciała. Upadłych interesujesz tylko taka, jaką jesteś teraz. Twoja dusza jest nagrodą, ale nie jest ona tak potężna bez twojego anielskiego ciała. Ja mogę uratować tylko twoją anielską część od Szeolu. Gdyby był sposób uratowania twojej duszy, zrobiłbym to – mówi nerwowo.



– Ty mówisz o upadłych aniołach – mówię.

– Mówię też o niebiańskich aniołach – przerywa mi.

– Dlaczego wszystkim aniołom ma zależeć na tym, żebym upadła? – Czuję, że mi niedobrze, bo znam Brennusa i wiem, że wierzy w to, co mi teraz mówi.

– Nie mogłem się rozeznąć dlaczego. Może tym aniołom Boskim zależy, żebyś dotarła do kogoś w Szeolu, a jedynym sposobem, by to zrobić, jest upadek i zasilenie ich szeregów. – Brennus zaciska pięści. – Ty im ślepo ufasz, nawet gdybym ci powiedział, żebyś tego nie robiła!

– Nie mogę ci ufać, Brennusie. Ty tylko pragniesz mnie kontrolować – odpowiadam, próbując sobie przypomnieć, że tak naprawdę jest moim wrogiem.

– Zgadza się, pragnę cię kontrolować. Nie masz pojęcia, co nadchodzi. To jest potężniejsze od ciebie. Nie podoba ci się zostać moją królową, ale to jedyny sposób, by cię uratować – tłumaczy zaniepokojony. – Tak jak powiedziałem wcześniej, ty uznajesz tylko siłę. Więc niech tak będzie. – Spluwa. – Pokażę ci siłę.

– Brennusie, pokaż mi litość – wzdygam. – Proszę... Litość.

– Jesteś taka piękna, *mo chroí* – mówi to tak, jakby odczuwał mój ból. – Myślisz, że chcę cię przemienić? Ja bardziej przypominam dawnego siebie, kiedy jestem przy tobie, przypominam tę istotę, którą byłem, zanim Aodh mnie przemienił. Co ty ze mną robisz? Przy tobie przypominam sobie, jak to jest być dobrym. Nie chcę stracić ani odrobiny ciebie. Szeol cię nie dostanie... W przeciwnym razie świat się skończy. Zniszczysz ten świat i każdą żywą istotę. Chodź ze mną teraz, a ja cię ochronię. Nie przemienię cię, dopóki nie będzie to absolutną koniecznością. Ty jesteś moim światem.

Bez trudu rozpoznaję głos Reeda, który dobiega zza moich pleców.

– *Go hlfreann leat* – krzyczy do Brennusa, co w luźnym tłumaczeniu oznacza „idź do diabła”.

Czuję, jak silne ramiona Reeda chwytają mnie wpół i odciągają od prześladowcy.

– Reed. – Z trudem opanowuję emocje; czuję się odrobinę bezpieczniejsza.

Z ulgą wtulam się w jego ciepłą nagą pierś, a on pochyla się nad moją głową.

– Chcę, by umierał powoli, w bólu. Dla ciebie, kochanie. Ale nie sądzę, żebym mógł się powstrzymać. Wybaczysz mi, jeśli zabiję go szybko? – pyta, a jego łagodny oddech porusza moje włosy.

Strach zaciska mi gardło.

– Poczekaj, Reed! On ma armię – mówię drżącymi ustami.

Silne ramiona Reeda dociskają mnie do niego.

– Obiecuję ci, że umrze pierwszy. Evie, musimy się zamienić, tak jak to zrobiliśmy w Toruniu – mruży z ustami w moich włosach. – Przygotuj się do walki – mówi niskim tonem. Potem przenosi mnie za siebie i oddziela od Brennusa. Spoglądam przez ramię i widzę, jak Gankanagowie zbliżają się do nas.

– To okropne, w jaki sposób uwolniłeś się od mojego czaru, aniele. – Brennus krzywi usta. – Genevieve jest nieprzewidywalna.

– Jest wyjątkowa – odpowiada mu Reed, a jego dłoń zaciska się na małym nożu do kopert.

– Evie jest wszystkim, czego pragnę. – Brennus spogląda na mnie rozgniewany.

– A dla mnie jest wszystkim, czego potrzebuję. Jeśli nie uda mi się ciebie zabić, ona zrobi to za mnie. Czujesz brak tlenu, gdy przyciąga do siebie energię? Ona jest naprawdę groźna – mówi łagodnie i delikatnie uśmiecha się do mnie.

– To ja ją tego nauczyłem – oznajmia z groźnym wyrazem twarzy.

– A była dobrą uczennicą. Zapytaj Lonana... No tak, zapomniałem, przecież nie możesz go zapytać. To właśnie Evie zamieniła go w popiół... – odpowiada Reed.

– Dlaczego nie powiesz jej, co nadchodzi, aniele? – Brennus się uśmiecha.

– Nie wiem, co nadchodzi – oznajmia nieporuszony Reed.

– To nie do końca prawda. Oczekujesz czegoś... Pamiętasz, rozmawialiśmy o tym? – przymila się.

– Rozmawialiśmy o moich najskrytszych obawach – odpowiada spokojnie Reed.

– To w zasadzie to samo. – Brennus wzrusza ramionami. – To, czego najbardziej się boisz, nadejdzie. Dlaczego nie powiesz Evie, że boisz się, że upadnie i że ona ma upaść? – pyta szyderczo Brennus. – Wszystko na to wskazuje. Jej ojciec jest negocjatorem z Szeolem. Więż z jej bratnią duszą została naruszona, a to może się zdarzyć tylko wtedy, kiedy zostało to ustalone jako część jej misji. Sama mogłaby to zrobić, aby ratować swoją bratnią duszę od *tristitiae*... smutku wywołanego upadkiem. Ty znalazłeś ją samą...

pozbawioną ochrony. Szeol poszukiwał jej i z trudem zdołała uciec. Wtedy była jak ofiarne jagnię. Obawiasz się, że jest wysłana z Nieba, aby załagodzić sytuację w Piekło.

– Niebo nie idzie na kompromis – oznajmia Reed.

– Już to zrobiło! Tylko popatrz! Ma ludzką duszę. Nigdy wcześniej nie było większego kompromisu – sprzecza się Brennus, wskazując na mnie.

– Spójrz jeszcze raz, Brenнусie. Z każdą godziną ona rośnie w siłę. – Reed zdaje się nieporuszony rewelacjami Brennusa.

– Jest słaba... Ty czynisz ją słabą. Coraz więcej krwi z niej wycieka. Już za chwilę nawet nie ustoi o własnych siłach. – Brennus spogląda na mnie.

Reed marszczy brwi, lecz nadal stoi nieruchomo między mną a Brennusem.

– Jest młoda... to jej jedyna słabość... Jeszcze nie wie, do czego jest zdolna, ale ja to wiem. Widziałem, co potrafi, i jak na razie była bardzo litościwa. Niestety, czas litości się skończył.

Wokół mnie kłębią się żołnierze Gankanagów, którzy czekają, aby Brennus dał sygnał do ataku. Z każdym uderzeniem serca czuję ból w piersi. Z całych sił staram się przyciągnąć każdą drobinę energii znajdującą się w powietrzu. Pozyskując ją, mam wrażenie, jakbym przeciągała linę z ożywionymi czarnoksiężnikami, którzy próbują pozbawić mnie tej energii. Zaczynam oddychać coraz szybciej – strach potęguje silne emocje.

– Nie wygrasz, aniele – rzuca gniewnie Brennus.

– Ani nie przegram, bo ona mnie kocha. – Reed uśmiecha się delikatnie.

– Ona jest moja. Każdego zabiję dla niej, umrę dla niej – obiecuje Brennus. Powoli zdejmuje koszulę i odsłania swoją bladą pierś, która przypomina rzeźbiony grecki marmur. Nie spoglądając na Reeda, sięga ręką do najbliższego mu żołnierza, który bez pytania oddaje nóż swojemu mistrzowi.

– W takim razie przyjmuję twoje wyzwanie i będziesz mógł dla niej umrzeć. Tu i teraz – oznajmia Reed z satysfakcją.

Nie mogę oddychać na widok Reeda i Brennusa przygotowujących się do walki. Stoją teraz w bezruchu, napinają mięśnie, lecz za chwilę rzucają się na siebie z zawrotną prędkością. Brennus unosi rękę i szerokim zamachem opuszcza ją blisko szyi Reeda. Reed rozpada się w rój pszczoł, który po chwili otacza Brennusa. Potem pszczoły zbierają się za nim i ponownie tworzą postać Reeda, a ten wbija nóż do kopert w plecy przeciwnika. Przepętny agresją

wycina głęboką, krwawą linię. Po chwili jest już z przodu i wymierza kopniaka, Brennus potyka się i prawie upada. Tłum ożywieńców zebranych wokół nas zaczyna napierać, próbując ochronić swojego króla. Używając całej pozostałej energii, tworzę barierę wokół Reeda, Brennusa i siebie. Pot zaczyna ściekać mi po czole, w miarę jak horda rzuca się na magiczną ścianę. Najbliżsi nam Gankanagowie ciskają elfie rzutki, które eksplodują na niewidzialnej zaporze; energia przepływa do mnie. Ja znów ją odwracam, z całych sił utrzymując ochronny mur. Wokół nas opada deszcz magicznych ogni – to czarnoksiężnicy rzucają w nas zaklęcia.

Brennus ustawia nóż, obraca go w dłoni. Zamyka oczy i wypowiada ciche zaklęcie. Po chwili nóż się kręci, a wraz z nim Brennus. Staje się rozmazanym wirem, a jego kawałki odpadają od ciała, tworząc kilku innych Brennusów stojących w świetle lamp ulicznych.

On siebie sklonował! Wzdycham, widząc, jak Reed zatrzymuje się i bacznie przygląda każdemu z dwunastu ciemnowłosych zabójców, którzy do złudzenia przypominają przywódce Gankanagów.

Reed ryczy, ściąga brwi, a jego podbródek opada jak u drapieżcy, gdy cztery idealne kopie Brennusa rzucają się do ataku. Wprawnym ruchem noża zadaje głęboką ranę pierwszemu z nich. Ranny Brenn wraca do Brennusa stojącego z tyłu w snopie światła. Na jego twarzy pojawia się ból i po chwili zostaje wciągnięty w kolejnego. Z dwóch klonów powstaje jeden, na którego piersi pojawia się rana, a jego twarz blednie, gdy dotyka jej opuszkami palców i leczy siebie za pomocą swojej magii.

Dokładnie przyglądam się każdemu z Brennusów. To nie są magiczne klony. To kawałki Brennusa, odgaduję.

Na ciele Reeda pojawiają się okropne rany, gdy Brennusowie atakują go ze wszystkich stron... Reed mocno krwawi. Trafia trzech Brennusów i sprawia, że wnikają w kolejnego, powodując pojawienie się na jego brzuchu i twarzy nowego zestawu ran.

Gdy staję się rozkojarzona, bariera słabnie i przenika przez nią garstka Gankanagów. Chrząkam i ponownie się koncentruję, aby zamknąć w niej otwór. Przerażliwy ból przeszywa moją pierś, gdy widzę, jak pocisk uzbrojonego w pistolet ożywieńca trafia Reeda w plecy. Reed przecina rękę jednemu z Brennusów i błyskawicznie wrywa z niej nóż. Bez wahania rzuca nim w tego, który go postrzelił, i rozcina mu głowę na pół. W miarę jak kawałki zniszczonych Brennusów zbierają się i wracają do oryginału, pozostali zaczynają

się wahać.

Reed uwalnia się od reszty atakujących go Brennusów i koncentruje się na ożywieńcach. Zanim udaje mi się głęboko odetchnąć, żołnierze znajdujący się wokół nas padają martwi i leżą jak brudne szmaty na ziemi. Sapię ciężko, ponieważ całe moje ciało drży z potrzeby udziału w tej bitwie. Jęczę i zamykam oczy. Łączę się z energią przepływającą przez żołnierzy po drugiej stronie naszej bariery. Oni próbują mi ją skraść, ale jest jakby namagnesowana i zbliża się do mnie: wybiera mnie, a nie ich.

Płomień, który we mnie płonie, jest tak bolesny, że nie mogę powstrzymać się od jęku. Kiedy otwieram oczy, zauważam, że zostało tylko dwóch Brennusów – reszta połączyła się z prawdziwym, który teraz jest w kiepskim stanie; jego ciało nosi ślady walki. Stoi pochylony, trzyma swój zakrwawiony brzuch, ale skóra leczy się szybko. Brennus spogląda mi w oczy i próbuje ukryć swoje cierpienie, gdy przywołuje pozostałe części siebie. Chwilę później jego ból sprawia, że cierpię coraz bardziej i wybucham płaczem.

– Evie? – Reed z uwagą spogląda na mnie.

– Płonę – mówię desperacko, gdy łza spływa po moim policzku.

Reed podchodzi i gdy próbuje mnie dotknąć, odruchowo cofa dłoń, bo żar i energia uderzają w niego jak porażenie prądem. Ostatecznie zwalcza odruch, nie opuszcza mnie, tylko unosi w ramionach.

– Uciekaj, Reed – ostrzegam go. – Otworzę przestrzeń, będziesz mógł polecieć.

– Nie zostawię cię – warczy.

– Coś się ze mną dzieje – mamroczę.

W tym samym momencie magiczna ściana przesuwa się do nas. Już wkrótce przestanie istnieć. Próbuję ją utrzymać, ale energia potrzebna do jej stworzenia wiruje we mnie.

– Uwolnij tę energię, *mo chroí* – nakazuje ostrym tonem Brennus. Wije się z bólu, nie mogąc podejść do mnie. – Zabije cię, jeśli tego nie zrobisz!

Kręcę głową, moją twarz wykrzywia cierpienie. Wrogo nastawieni żołnierze przesuwiają się w naszym kierunku, gdy kurtyna, która ich powstrzymuje, gwałtownie przesuwa się o kilka metrów w przód. Na samą myśl, że dopadną Reeda, w ich oczach pojawia się rozkosz. Napierają na barierę, rozpościerając na niej dłonie. Za wszelką cenę pragną dotknąć Reeda swoją toksyczną skórą,

a ich kły wysuwają się z głośnymi kliknięciami. Są gotowi go rozedrzeć i tym razem nie uciekną przed nimi. Palce Reeda łagodnie muskają moją twarz, delikatnie odsuwają mi włosy z czoła.

– Opuść, Evie – szepcze do mnie.

– Nie mogę – stękam przez zaciśnięte zęby. – Oni cię zabiją!

– Kochanie, cokolwiek się stanie, zawsze będziemy razem – mówi łagodnie.

– Opuść.

Używając większej części pozostałej we mnie mocy, tworzę otwór w osłonie nad nami, który jest na tyle duży, by Reed mógł przez niego wylecieć.

– Otwarte... proszę, odejź... musisz ode mnie uciec. Coś ze mną nie tak – szepczę, ale Reed kręci głową. – Proszę – błagam ponownie.

– Nie bez ciebie. Nigdy bez ciebie. – Spogląda w moje oczy, a z ruchu jego warg odczytuję: – Kocham cię. – Potem całuje mnie i nie mam już wyjścia. Opuuszczam.

## *Rozdział 28*

### *Crestwood*

REED

Boże, proszę, ochroń ją...

Z ciała Evie wydobywa się gwałtowna fala uderzeniowa białego światła. Oślepiająca energia dociera do mnie, pulsuje we mnie i czuję, jakby ciało stanęło mi w płomieniach. Zagryzam zęby, żeby zatrzymać powietrze w płucach, i mocniej obejmuję Evie, którą jakaś magiczna siła wyrywa z moich ramion. Nieokiełznana energia odrzuca mnie w kłębiące się płomienie. Ogłuszający grzmot przerywa ciszę, chwilowo tracę słuch. Po kilku sekundach opadam bezsilny na skrawek spopielonej ziemi.

Evie... Dotykam palcami pogorzeliska.

Oddychaj... Z trudem udaje mi się napełnić powietrzem zapadłe płuca; odgłos mojego słabego oddechu jest prawie niesłyszalny. Z każdym oddechem walczę o tlen, pokonując paraliżujący ból w plecach. Z trudem opieram się chęci zatrzymania powietrza i zmuszam się, by ponownie wziąć głęboki wdech.

W pobliżu unosi się zapach spalonych ciał i smród tłącej się skóry... Leżę na ziemi, nie wiedząc, co dalej, do chwili aż coś miękkiego dotyka mojego policzka. Otwieram oczy i widzę, jak szare płatki pyłu opadają z nieba niczym śnieg.

Evie...

Światło wokół mnie zgasło, lampy uliczne leżą nieruchomo ułożone w stos stopionego żelaza. Wokół mnie ziemia tworzy czarny okrąg, którego promień ma przynajmniej pięćdziesiąt metrów. Mrugam, żeby usunąć popiół z oczu.

Evie... Evie...

Próbuję usiąść, moje oczy zamykają się automatycznie, a ja jeszcze raz opadam na ziemię. Ból jest prawie nie do zniesienia. Martwa czarna skóra zwisa miejscami z moich ramion, pod nią gwałtownie narasta nowe ciało, lecz jest

różowe i delikatne, z trudem pokrywa mięśnie.

Ból jest ulotny... Kontroluj go... Wstań...

W jakiś sposób musiałem osłonić ramionami twarz, bo tu skóra jest nietknięta. Tylko ramiona, nogi, pierś i brzuch przechodzą teraz proces zdrowienia.

Evie...

Poruszam głową, poszukując swojego anioła. Czarne cienie rozciągają się na ziemi i dopiero po jakimś czasie rozpoznaję w nich szczątki Gankanagów. Rozpadli się na popiół.

Znajdź Evie... Wstań! Evie...

Ignoruję ból i dźwigam się na kolana. Walczę z nim ze spuszczoną głową i zaciśniętymi pięściami. Wstaję i czuję, jak moje skrzydła rozkładają się, by pomóc mi utrzymać równowagę. W szoku cały drzę.

Gdzie teraz jesteś... Bądź tutaj... Proszę... Bądź tutaj... Evie...

Coś jasnego przyciąga mój wzrok, to Brennus budzi się do życia zaledwie kilka kroków ode mnie. Jego skóra się świeci i ten blask rozprasza cienie. Zbliża swoje świecące dłonie do twarzy i przygląda się im tak, jakby ich wcześniej nie widział. Coś porusza się za jego plecami i on chyba to czuje, przechyla się na bok, żeby sprawdzić, co to takiego. Skrzydła Brennusa rozkładają się, pospiesznie pokrywają alabastrową materią utkaną w spiralne wzory, które sięgają aż do jego głowy. Po tej regeneracji unoszą się przez chwilę, ukazując swoją olśniewającą biel. Skóra Brennusa błyszczy złotem i pokrywa się zdrową powłoką ożywieńców. Co jakiś czas ciemne plamki pojawiają się na końcówkach białych skrzydeł, biegną wzdłuż nich, barwiąc je na hebanową czerń, identyczną jak jego włosy. Skóra króla Gankanagów blednie, ale nie przypomina odcienia skóry pobratymców ani też nie zachowuje blasku.

Brennus zaczyna robić dłońmi małe kółka, a z jego ust wydobywa się szept. Kule światła unoszą się nad nami i oświetlają zniszczony trawnik w centralnym holu. Nadal opada na nas pył i byłoby cudownie, gdyby się do nas nie kleił.

Oderwij mu uszy i wepchnij do gardła. Wydłub mu oczy, w pięściach zmiażdż jego czaszkę... Nie, taka śmierć jest zbyt prosta... On musi cierpieć... Dlaczego Brennus nie umarł razem ze swoimi żołnierzami?

Robię krok w jego stronę i nagle tracę oddech, kiedy czuję, jak motyle trzepoczą się w moim brzuchu.



Evie...

Zatrzymuję się i sprawdzam teren. Znajduję swoją ukochaną – leży nieruchomo, połamana. Rozłożone ciemne skrzydła mocno kontrastują z bladą skórą. Nie jestem pewien, czy żyje, ponieważ nie słyszę jej serca i nie wykrywam żadnego ruchu. Cierpki smak strachu pali moje gardło; natychmiast rzucam się do niej. Choć tak naprawdę to z trudem się poruszam, utykając, bo mięśnie nie są sprężyste. Rozkładam skrzydła, z lekkością unoszę się nad ziemią, by wylądować u stóp Evie. Opadam przy niej na kolana i biorę ją w ramiona. Trzymam jej policzek przy swojej szyi... Czuję bijący od niej chłód.

Nie oddycha...

Mówię coś do jej ucha, ale ledwie wydobywam z siebie głos przez zaciśnięte gardło.

– Evie, nie odchodź. Zostań ze mną. Bez ciebie jestem zgubiony... – Spoglądam w niebo na księżyc, który rozświetla noc. – Nie zabieraj mi jej... Błagam – udaje mi się powiedzieć. – A jeśli proszę o zbyt wiele... Zabierz mnie też. Wieczność jest zbyt długa...

Czuję jej słaby oddech na skórze. Krew z jej ran pulsuje i wypływa na moją pierś. Żyje...

– Tak jest, kochanie... – Próbuję powstrzymać się przed zbyt mocnym przytuleniem Evie. – Oddychaj.

– Ona się wykrwawia. – Głęboki głos Brennusa dociera zza moich pleców. Jest równie wypalony jak ziemia wokół nas.

Zabij go. Niski pomruk wyrywa się z mojej piersi, gdy przytulam Evie, chroniąc ją przed tym potworem.

– Ona umiera! – mówi nerwowo Brennus. Klęka obok nas i spogląda niespokojnie. – Daj mi ją.

– Spróbuj mi ją zabrać, a zaraz umrzesz. Nigdy nie pozwolę ci jej przemienić – ryczę.

Brennus spogląda złowrogo i wyciąga swoją długą rękę. Gładzi palcami jej policzek.

– Daj mi Genevieve – powtarza nieporuszony.

– Nigdy – warczę na niego przez zaciśnięte zęby i odsuwam od niego Evie.

– Ty nie jesteś pod wpływem mojego czaru. – Brennus z niedowierzaniem otwiera szeroko oczy.

– Nie – odpowiadam i dociera do mnie, że albo Brennus stracił umiejętność rzucania czarą na swoje ofiary, albo ja stałem się na niego odporny... Lub i to, i to. Unoszę pięść i uderzam go w twarz, a mój cios odrzuca go od Evie.

Z zamkniętym jednym okiem Brennus potrząsa głową i lekko zaskoczony pociera obolały policzek. Po chwili mruży oczy i uważnie mi się przygląda.

– Pozwolisz jej umrzeć? – pyta ze złością, a jego czarne jak u ćmy skrzydła rozpościerają się gwałtownie. Światło pochodzące z unoszących się w powietrzu kul odbija się w jego skrzydłach i rzuca jaskrawe cienie.

– Uratuję jej duszę przed tobą... przed Szeolem – cedzę cicho, czując panikę w każdym swoim słowie. Czy mogę uratować coś więcej niż jej duszę? Czy mogę uratować jej życie? Z trudem oddycham, gdy opanowuje mnie smutek i miażdży moje serce.

– Ona jest moja – syczy Brennus tonem przesiąkniętym jadem, gotowy do ataku. – Nie możesz trzymać mnie z dala od niej. – Porusza ustami i wymachuje dłońmi w moim kierunku.

Chwyta mnie potężna siła. Płuca zostają szybko pozbawione powietrza, gdy niewidzialna kula odrzuca mnie w tył. Evie zaczyna wyślizgiwać się z moich ramion. Jej włosy są jak linki latawca. Moje puste dłonie stają się zimne, gdy już jej nie trzymam. Kiedy ląduje w ramionach Brennusa, ten tuli ją i całuje w skroń. W tym samym momencie magiczna siła odrzuca mnie z dala od nich. Uczucie straty powoduje, że cierpię przeraźliwy ból i nie mogę oddychać. Ląduje na ziemi kilka kroków od nich. Marszczę brwi i zaczynam ryczeć; po chwili wstaję. Brennus delikatnie gładzi jej włosy. Rzucam się w jego stronę, ale on znów unosi dłoń. Ponownie opadam na wypaloną ziemię. I tym razem wstaję, ale nie stoję długo – niewidzialna siła rozciąga moje skrzydła i pozostawia mnie zawieszzonego w powietrzu. Przypominam teraz motyla przyszpilonego do ściany gąbłoty.

– Aniele, ona mnie zmieniła. W moich żyłach jest jej krew i to ona uchroniła mnie przed jej najbardziej niebezpieczną bronią... jej pełną ognia naturą. To jedyne wytłumaczenie, dlaczego ty też przetrwałeś. Też masz w sobie jej krew. Ja czuję jej moc w sobie. Energia, którą uwolniła, uczyniła mnie silniejszym... Zwiększyła moją moc. Moja magia teraz na ciebie działa – kończy, uśmiechając się zaczepnie.

– Ty zaczynasz żyć? – pytam, próbując odwrócić jego uwagę od Evie.

– Czuję, że żyję... Przez chwilę, ale to była bardzo krótka chwila –

odpowiada gniewnie.

Znajdź sposób, by złamać zaklęcie, a potem wyrwij mu kręgosłup. Zmiażdż go...

– Cóż, Evie może spróbować jeszcze raz – mówię szybko, ukrywając emocje. Usiłuję znaleźć argument, który powstrzyma Brennusa przed nakarmieniem jej swoją krwią.

– Nie będzie mogła, jeśli umrze! – warczy desperacko.

– Brennus! – krzyczę sfrustrowany.

– Uratuję jej anioła i sprawię, by odzyskała siły. – Kły wysuwają się z jego ust. Rozcina nimi swoje ciało i czeka, aż krew napłynie do rany.

Z całych sił walczę z mocą, która unieruchamia mnie w powietrzu. Ból nie może mnie powstrzymać. Sprawia tylko, że to staje się dla mnie bardziej realne i zwiększa moje pragnienie, by do niej dotrzeć.

– Stracisz to, co najbardziej kochasz! Bez duszy nie będzie już taka sama! Zniszczysz tę jedyną część, która naprawdę ciebie kocha...

Unosi swój krwawiący nadgarstek nad ustami Evie, ale zatrzymuje się na chwilę. Z zapartym tchem obserwuję, jak zamiera w bezruchu. Jego dłoń zaczyna drżeć, a zęby nerwowo się zaciskają.

Przekonaj go, żeby jej nie zabił.

– Będziesz miał z niej piękną wydmuszkę, lecz dusza już nie będzie twoja. Pozostanie na zawsze w Szeolu – przemawiam łagodnym tonem.

Brennus jęczy w agonii. Jego nadgarstek przechyla się, a ja kulę się z przerażenia. Po chwili opuszcza zakrwawioną dłoń z dala od jej ust i przyciska do siebie jej bezwładne ciało.

– Dlaczego nie mogę tego zrobić? – wykrzykuje rozgniewany. – Dlaczego nie mogę jej przemienić?

– Kochasz jej duszę... Czy tego chcesz, czy nie. Jej dusza wrosła w ciebie i pragnie twojego odkupienia. – Z ulgą opuszczam głowę.

– Wiesz dobrze, że dla mnie nie ma odkupienia. – Brennus po raz pierwszy mówi to, z czym się zgadzam.

– Wiem – przyznaję bez wahania.

– Ona tego nie akceptuje. Nie mogę pozwolić jej odejść – ciągnie Brennus drżącym głosem. – Musi pozostać po tej stronie wieczności. Nieśmiertelność bez

niej jest przekleństwem... Otwieram szeroko oczy, gdy strach wybucha we mnie na myśl, że Brennus chce zmienić zdanie. Znów poszukuję sposobu, by uratować swojego anioła. Brennus jest jedynym istniejącym stworzeniem, które podziela mój strach związany z nieśmiertelnością bez Evie...

– Oddaj mi ją, a ja zabiorę ją do Russella... tego drugiego – przekonuję, lecz on przyciska ją jeszcze bardziej. – Tylko Russell może ją uratować!

– Ten drugi – mruczy pod nosem. Na jego twarzy pojawia się czysty gniew, lecz po chwili znika, co oznacza, że Brennus walczy ze sobą. Walczy z myślą, że może stracić Evie, jeśli mi ją przekaże.

Nie odczuwam wobec niego współczucia, choć sam dobrze wiem, czego doświadcza – ja też musiałem zostawić z nim Evie.

On musi umrzeć... Wkrótce. Nie mogę pozbyć się pragnienia, żeby go zniszczyć.

– Russell jest dokładnie taki jak ona... Ona mnie uzdrowiła, a on uzdrowi ją... – Czekam z zapartym tchem. Obserwuję jej nieruchomą twarz. Oczy ma nadal zamknięte. Z ran leje się krew, a każda wyciekająca kropla jest dla mnie jak tykanie zegara. Tik, tak, tik, tak...

– Jest słaby – sprzecza się ze mną Brennus.

Kręcę głową.

– Russell jest silny, dlatego chciałeś, by przyprowadziła go do ciebie. On ją uratuje – oznajmiam z całkowitą pewnością. – Sprawí, że stanie się potężniejsza. Zdoła pokonać Szeol. Jeśli teraz pozwolisz im zabrać duszę Evie, to już koniec, jej niewinność zwiąże się z przeklętymi. Pewnego dnia będziesz musiał ujrzeć jej duszę, kiedy pojawi się w poszukiwaniu oddzielonego od niej ciała. Sprowadzi wszystkich Upadłych. – Czuję gorycz na języku, gdy opisuję mu przyszłość, której sam się lękam. – Teraz masz możliwość zatrzymać Evie przy sobie bez przemieniania jej. Twoja magia jest olbrzymia. Znajdziesz sposób, by zdobyć swoją królową zaraz po tym, jak zostanie uzdrowiona, i nie utracisz jej duszy.

Brennus krztusi się i mocno marszczy brwi.

– Nie oddam im ani jednego jej kawałka – deklaruje poruszony i czule gładzi jej skrzydło. Potem nachyla się i szepcze: – Jesteś moją jedyną miłością... Więc nie możesz umrzeć. Przyjdę po ciebie, *mo chroí*, zaraz po tym, jak ten drugi cię uzdrowi. Nie czuj się swobodnie z tym aniołem... On nie jest dla ciebie. Ja nadal jestem twoim królem.

Macha białą dłońią i usuwa niewidzialną siłę, która utrzymuje mnie w powietrzu, a ja natychmiast opadam na ziemię. Po sekundzie znajduję się obok nich i wyciągając ramiona, czekam, aż Brennus przekaże mi Evie. Gdy dotykam jej ciała, ulga przeszywa moją pierś, a ból wokół serca cichnie na moment. Twarz Brennusa staje się popielata – i tym razem to skutek utraty Evie. W jego oczach widać błysk cierpienia. Świeące kule nad nami gasną, jakbym to ja właśnie pozbawił je zasilania.

O tak. Cierp.

– Szybko znajdź tego drugiego – rozkazuje Brennus, przelękając ślinę. Wyciąga z kieszeni hebanową broszkę doczepioną do czarnej wstążki. – To przeniesie cię do niego... Jeśli nadal żyje. To portal, który miała przy sobie. Prowadzi do miejsca, gdzie mieli się spotkać.

Kiedy wręcza mi broszkę, grymas wykrzywia jego twarz. Po chwili zaciska pięści.

– Nie pozwól jej umrzeć, inaczej cię zabiję. Będę w pobliżu, by ją zabrać.

– Wykończę cię, gdy przyjdiesz – obiecuję mu, nie zwracając uwagi na jego groźby.

– Spróbuj tylko. – Uśmiecha się chytrze.

Otwieram portal i razem z Evie zaczynamy tracić kształt.

Wciąganie zaczyna się od mojego podbrzusza i na moment przerywa trzepot motyli skrzydeł. Pochyliam się w przód z Evie przyciśniętą do piersi i po kilku sekundach wciskamy się w portal. Gdy już w nim jesteśmy, ciemne ściany wirują bezszelestnie. Hebanowy kamień przecinają żyły macicy perłowej, która pobłyskuje jak wnętrze muszli. Przed nami pojawia się jaśniejsze światło; instynktownie próbuję ochronić Evie, gdy zbliżamy się do wyjścia. Krzywię się, gdy moja nowa skóra pęka i zaczyna krwawić. W uszach słyszę lekkie „pyk”, kiedy organizm dostosowuje się do ciśnienia w pokoju. Po chwili wszystko staje się niesamowicie głośnie.

Anya wstaje z szerokiej skórzanej sofy; gdy unosi dłoń, by zakryć otwarte usta, miękki koc opada z jej ramion. Siedzący obok niej Russell trzyma łokcie na kolanach i chowa głowę w dłoniach. Spogląda na mnie, kiedy próbuję wstać z podłogi z nieruchomym ciałem Evie.

– Zee! – krzyczy Russell, zrywając się na równe nogi.

Rozglądam się. Leżąc na drewnianej podłodze, czuję wstrząsy wywołane

tupotem nóg. Głowa Evie dociska się do mojej piersi. Gdybym mógł, wepchnąłbym ją całą w siebie i tak moje serce biłoby za nas dwoje. Russell stoi nade mną i spogląda zagubiony. Nie jest pewien, gdzie może mnie dotknąć, by pomóc mi wstać i nie sprawić bólu.

Nigdy nie używałem wołania „pomocy!” i nie umiem wypowiedzieć tego słowa na głos. Robię to, co zawsze, kiedy mam zły dzień: zmuszam się do działania. Udaje mi się wstać z Evie w ramionach, choć dość niezgrabnie.

Stojąca przy oknie Buns cofa się przed nami w szoku. Dłonią opiera się o jedwabną tapetę i próbuje się uspokoić. Oboje musimy dla niej wyglądać przerażająco; dociera do mnie ironia tej sytuacji. Ona jest Kosiarzem, który teraz boi się naszej śmierci. Musimy być podobni do trupów. Moja skóra jest czerwona i surowa, gdzieniegdzie odrywają się całe jej płyty, w innych miejscach się regeneruje. Moje skrzydła są okropne, pokryte zwęglonymi i nowo wyrastającymi piórami. Evie jest tak blada i wykrwawiona, że mało kto jest w stanie uwierzyć, że nadal żyje. Ale na szczęście żyje; słyszę bicie jej serca... puk... puk... puk... puk... Jest bardzo słabe, ale pracuje. To bicie wypełnia pęknięcia w moim sercu i pomaga zapanować nad paniką.

– Evie! – wyje obok nas Russell – Zee, oni tu są! – Wiem, że krzyczy raczej ze strachu niż z konieczności przywołania Zefira, ponieważ nawet szept zwróciłby jego uwagę na cokolwiek, co dzieje się w tym domu.

Zefir wchodzi do pokoju medialnego bezszelestnie jak pantera. W zaciśniętej, odzianej w rękawiczkę pięści trzyma żołnierza Gankanagów, który nie stanowi już dla niego zagrożenia, ponieważ odcięto mu ręce w łokciach. Jednak Zee lubi być ostrożny. Potwór musiał próbować go dotknąć, inaczej nie straciłby rąk. Śmiertelnie blada twarz Gankanaga zmienia się, gdy ten czuje zapach krwi. Natychmiast staje się wygłodniałą bestią, której kły błyskają w ciepłym oświetleniu pokoju. Nic nie czuję, gdy go widzę, jest tylko złym złodziejem dusz... ożywionym trupem. Gdyby go teraz uwolniono, w kilka sekund zamordowałby Evie.

Ruch powietrza ostrzega mnie o nadchodzącej burzy, podobnie jak zapach deszczu. Russell przyciąga do siebie energię, a ja czekam, kiedy grzmot rozedrze ciszę, gdy w jego dłoniach zaczyna się rozgrzewać błyskawica.

– Reed, połóż ją tam! – Russ wskazuje na duży, popękany stół multimedialny.

Czuję delikatny dotyk Brownie, która materializuje się obok mnie. Jej druga dłoń dotyka mojego skrzydła i łagodnie kieruje mnie do stołu; usta uśmiechają

się zachęcająco, w oczach jednak widzę błysk nieokiełznanego strachu.

Poruszam się jak stonoga, ponieważ moja chęć zrobienia kroku musi poczekać na reakcję ciała. Przesuwam się do przodu, ale jakbym wcale nie szedł. Potykam się o krzesło. Oczy Buns otwierają się szeroko i z przerażeniem obserwują ten brak płynności. Po chwili Buns chwyta mnie za łokieć i pomaga mi dojść do stołu. Delikatnie kładę Evie na blacie. Gładzę splecione włosy i odkrywam bladą twarz. Powieki ani drgną.

Pochylam się nad jej uchem i chcę błagać ją o przebaczenie za to wszystko, co przeszła. Zamiast tego szepczę:

– Bez ciebie zginę, Evie. Tylko w twoich oczach jest moje istnienie.

Coś boleśnie ściska mi serce.

Czy ja modłę się o jej życie, czy o swoje? One są jednością... Składam tę duszę w twoje ręce... Przerywam; nie mogę się modlić o jej wniebowstąpienie. Nie mogę pozwolić jej odejść, myślę w agonii. Próbuję jeszcze raz. Niech ta dusza w twoich dłoniach pozostanie ze mną... Na zawsze...

Zefir rzuca Gankanaga na stół obok Evie. Krtań żołnierza unosi się i opada, kły wysuwają się, żądając krwi, lecz ona pozostaje poza jego zasięgiem. Russell kładzie dłoń na piersi Gankanaga i ruchem ręki rozkazuje Zefirowi, by się cofnął. Zefir spogląda na mnie i zaciska zęby, nie mogąc mi pomóc. Podobnie jak ja jest bezsilny.

– Reed... – Russell spogląda na mnie znacząco. Mnie też zmusza, żebym się odsunął od Evie tak, by mógł położyć na niej dłoń. Oderwanie się od niej jest prawie niemożliwe. Czuję, że jeśli nie będę jej dotykał, to zostanie wzięta do Nieba. Poczucie winy, że chcę ją przy sobie zatrzymać, nie daje mi spokoju. Przez zaciśnięte gardło nie mogę wydusić z siebie ani słowa. Po chwili udaje mi się wyszeptać:

– Najszczęśliwszy dzień mojego życia... – głos mi się załamuje, ale zaraz ciągnę dalej – to był dzień, kiedy ciebie spotkałem, Evie. Potrzebuję ciebie tutaj... Proszę, zostań ze mną... Będę cię kochał aż do końca swoich dni. Obiecuję ci to... – Wtedy robię najtrudniejszą rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłem w swoim życiu: odsuwam się od niej.

Strach, który do tej pory trzymałem pod kontrolą, teraz staje się nie do zniesienia. Trzęsę się cały, stoję nieruchomo, jakbym przyrósł do podłogi. Palce Russella zaczynają świecić złotodiamentowym światłem z czystej energii. Jedna dłoń Russella wtapia się w Evie, druga zanurza się w Gankanaga. Ból

wykrzywia twarz Russella, który wygląda teraz jak pianista nad klawiaturą z kości słoniowej grający jakiś szalony utwór.

Twarz Evie pozostaje nieruchoma; cały oblewam się potem, gdy zauważam jej brak reakcji na to, co robi jej bratnia dusza. Boję się, czy jeszcze żyje, choć ją czuję. Ślady ugryzień powoli goją się na niej, pojawiają się na szyi i przedramionach Russella, by zaraz przenieść się na Gankanaga. Z ciała ożywieńca zaczyna wypływać czarna krew i właśnie wtedy staje się to, na co czekałem.

Evie wygina się z bólu i bierze głęboki wdech. Otwiera szeroko oczy i chwyta dłoń Russella, próbując zepchnąć ją ze swojej piersi, ale jest na to zbyt osłabiona. Russell spogląda w jej oczy i daje do zrozumienia, że czuje jej ból. Oczy leżącego obok Gankanaga wypełniają się czarną krwią i stają się wyłupiaste jak u żaby, po chwili eksplodują. Z oczodołów wycieka czarna ciecz, z ust wysypuje się pył, który śmierdzi jak dym z płonącego torfowiska.

Dłonie Russella powoli tracą światło, a on sam opiera się o blat, by nie upaść z wycieńczenia. Kiedy znów spogląda na Evie, ta zaczyna płakać.

– Nie! Reed! – zawodzi. – Reed! Uciekaj! – Próbuje poruszyć się, jednocześnie sapiąc ze zmęczenia.

– Ruda! – mówi zmęczony Russell. Po jego sile nie ma już śladu, zużył wszystko, co miał, aby uzdrowić Evie, a teraz spogląda na nią brązowymi oczami.

– Nie, Russell! Nieee! – zawodząc, zakrywa dłonią jego usta i głosem pełnym bólu mówi: – Zabiłam go, Russell! Zabiłam Reeda!

Nigdy nie widziałem jej tak płaczącej, nie opłakiwała tak nawet swojego wujka. Wyczuwam w tym przerażenie i poczucie winy; ta mieszanka powoduje straszne cierpienie. To nie jest ból złamanego serca, lecz trauma wywołana tragedią i smutkiem. *Tristitia*.

Nie mogę tak stać, skazując ją na cierpienie, przesuвам się bliżej, żeby mnie zauważyła. Na mój widok przestaje szlochać, ale łzy nadal płyną po jej policzkach.

– Reed – szepcze i dokładnie przygląda się mojej nadpalonej skórze w nadziei, że to nie jest sen. Niepewnie sięga drżącą ręką do mojej piersi, ale waha się, nie wiedząc, gdzie może mnie dotknąć, by nie sprawić mi bólu.

Chwytam jej dłoń i przykładam do policzka, z ulgą zamykam oczy.



W naturalnym dla mnie języku zaczynam mamrotać do siebie.

Słyszę, jak Evie próbuje powstrzymać się przed szlochaniem. Otwieram oczy i biorę ją w ramiona, unoszę i tulę do siebie. Obejmuję mnie za szyję i przykładam do niej policzki. Nie może przestać płakać, wstrząsają nią spazmy rozpacz. Spoglądam na wykończonego Russella, który obserwuje nas, wciąż opierając się o blat.

– Dzięki, Russell – zwracam się do niego.

Tylko wzrusza ramionami.

– Za co? A, za to? Spoko, nie ma o czym gadać. – Na jego twarzy pojawia się pełen pychy uśmiech, ale w jego oczach mogę wyczytać zupełnie inną historię.

– Jeśli masz jeszcze odrobinę mocy, powinienesz zużyć ją do ochrony tego domu – radzę śmiertelnie poważnym tonem.

Russell prostuje się zaniepokojony.

– Dlaczego? – pyta z przerażeniem.

– Jeśli tego nie zrobisz... – staram się mówić możliwie najprościej – to Brennus będzie próbował zabić nas wszystkich. Wszystkich z wyjątkiem Evie.

– To on żyje? – Głos Zefira przerywa ciszę wiszącą w powietrzu.

– Teraz jest o wiele potężniejszy – z trudem cedzę przez zęby. – Jego magia na mnie działa. Krew Evie go ochroniła i gdy ona unicestwiła jego żołnierzy... coś go zmieniło. Russell, możesz nas ochronić? – pytam.

– Mogę osłonić dom tarczą i nic się nie przedostanie – szepcze szorstko.

Widzę przerażone spojrzenia udęczonych członków rodziny. Buns, Brownie, Zefir, Russell i Anya obserwują mnie, gdy rozglądam się po pokoju. Wiem, że oczekują ode mnie wyjaśnień, ale w tej chwili nie mogę zacząć im wszystkiego tłumaczyć. Odwracam się od nich i z Evie w ramionach wychodzę z pokoju, skręcam w stronę schodów i powoli wnoszę ją na górę.

Zatrzymuję się w drzwiach mojego pokoju, waham się na widok ogromnych zniszczeń. Powinno mnie to zdenerwować, ale nie dbam o to. Odwracam się na pięcie i niosę ją do pokoju, który kiedyś zajmowała. Potem idę do przylegającej łazienki i zamykam za nami drzwi.

Zimna woda opada z deszczownicy zamontowanej na suficie, a ja nie zwracając uwagi na to, że mamy na sobie ubrania, wchodzę do kabiny z Evie w ramionach. Uderzająca w nas woda zmywa pył z włosów i stróżkami czarnych

łez spływa nam po twarzach. Sadza miesza się z krwią i w szalonym wirze znika w odpływie.

Po kilku minutach osuwam się na podłogę i siadam wsparty plecami o pokrytą płytkami ścianę. Na kolanach trzymam Evie i delikatnie głaszczę jej skrzydło. Woda przynosi ulgę mojej poparzonej skórze i wspomaga proces gojenia. Obserwuję, jak sine plamy na mojej dłoni przybierają naturalny odcień skóry.

– Myślałam, że cię zabiłam – szepcze Evie, nie unosząc głowy z wgłębienia u podstawy mojej szyi.

– Nie dziś – odpowiadam zachrypniętym głosem i tulę ją do siebie. – Dziś mnie uratowałaś.

– On nie umarł, tak? – pyta bez tchu.

– Tak, nie umarł.

– Więc przyjdzie po mnie – oświadcza bez cienia wątpliwości.

– Będzie próbował – nie chcę jej oszukiwać.

Evie wierci się, a jej podbródek ociera się o moją szyję. Motyle w brzuchu zrywają się do lotu, pobudzone tym delikatnym dotykiem. Zaciskam palce na jej biodrze, nie mogąc oprzeć się pożądaniu. Jej serce zaczyna do mnie śpiewać pieśń syreny, która wabi statki, aby rozbiły się o skały. Poddaję się temu, a gdy jej wargi dotykają do moich, już wiem, że przepadłem, że się odnalazłem... że jestem w domu.

Odgłos podobny do jęku lub mruknięcia wydostaje się z moich ust, kiedy ona unosi się i siada okrakiem na mnie. Moje dłonie pieszczotliwie przesuwiają się w górę jej ud i odsłaniają nagie ciało skryte pod czarnym jedwabiem. Tuli się do mnie, a moja świeżo zregenerowana skóra tysiąc razy silniej odczuwa tę pieszczotę. Przesuwam dłoń po jej doskonałym krągłym biodrze, wzdłuż pleców aż do ramienia. Ściągam z niej czarne ramiączko sukienki.

Kiedy ustami dotykam jej ramienia, jej dłoń zaciska się w moich włosach, coś się ze mną dzieje, rozrywam suknię na pół i ściągam ją z Evie. Jedyne, co nas dzieli, to resztki moich dzinsów i skrawek cienkiej koronki, który służy za bieliznę. Łagodnie pociągam za delikatną tkaninę. Czerwone skrzydła Evie instynktownie rozkładają się, gdy koronka opada w kąt kabiny prysznicowej.

Evie sięga dłonią do guzika moich porwanych spodni. Wstaję z nią w ramionach, a ciężki, nasiąknięty wodą dzins zsuwa się z moich bioder. Evie

oplata mnie w pasie nogami. Jej mokra skóra podnieca mnie bardziej niż jedwab sukni. Napinam mięśnie brzucha, w miarę jak narasta moje pożądanie.

Trzepocze skrzydłami, a z ust wyrywa mi się kolejny głęboki pomruk. Moje skrzydła reagują na jej ruch. Rozkładają się w pełni, gdy przyciskam ją do ściany. Delikatnie bawi się paskiem mojej bielizny, by po chwili się jej pozbyć. Chwytam dłońmi jej doskonały tyłek, a serce prawie mi eksploduje, gdy ona też mocno ściska moje pośladki. Nie mogę powstrzymać się przed całowaniem jej warg, a kiedy czuję jej smak, pragnę tego jeszcze bardziej. Gdy dociskam usta do jej dolnej wargi, jęczy łagodnie z rozkoszy, a ja napawam się tym odgłosem.

Gdy przywieramy do siebie idealnie, czuję, jakbym się zapadał w niej i w jej oczach. Przymyka je lekko, pochyla się nade mną i dotyka mojego czoła. W oczach prawie widzę jej duszę, to miejsce, za którym tęsknię i chciałbym tam być. Być gdzieś pomiędzy jej duszą a sercem. Jej anielskie ciało i serce należą do mnie, zresztą zawsze należały, ale Russell miał rację, że jej dusza kocha jego, a teraz kawałek jej serca kocha Brennusa. Ja pragnę tego wszystkiego, teraz zrozumiałem, że pragnę jej całej i że bitwa o całe serce i duszę Evie właśnie się zaczęła.

Zaczynam grę, odsuwając usta od jej ust. Mój atak na duszę jest powolny, lecz nasila się wraz z biciem jej serca. Składam pocałunek za pocałunkiem wzdłuż szyi i przesuвам się do znaku moich skrzydeł umieszczonego na jej piersi. Nadal tu są. Moja *aspire*. Po raz pierwszy od bardzo dawna uśmiecham się i dociskam wargi do symbolu, którym jest oznaczona, przemawiam do jej kokieteryjnej duszy w języku aniołów. Wiem, że Evie tego nie rozumie, ale jej dusza zna ten język sama z siebie. Mówię jej duszy, że ją kocham i że poczekam, aż zacznie mnie kochać równie mocno jak ja.

Zatracam się w niej: w jej zapachu, dotyku i smaku. Czuję, że zawsze będzie mi jej mało. Pomimo żaru, który jest między nami, na jej ciele pojawia się gęsia skórka. Kiedy Evie krzyczy z rozkoszy, ma na ustach moje imię, wypowiedziane jedynym językiem, jaki jest mi drogi – jej językiem.

Moje opanowanie sięga granic. Chwytam jej ciężkie mokre włosy u podstawy szyi i odciągam jej usta od swoich tak, by mogła na mnie spojrzeć.

– Evie, ja... Ja mogę nie być delikatny – cedzę przez zaciśnięte zęby, a jej paznokcie wbijają mi się w plecy.

– Nieważne, jak mnie dotykasz, tylko mnie dotykaj.

Jedynie ona potrafi doprowadzić mój żołądek do takich gwałtownych skurczów. Pcham ją na ścianę, a spod jej skrzydeł opadają kawałki płytek. Jej uda ściskają mnie silniej – nie mogę już być bliżej niej; białe zęby delikatnie kęsają moje ramię.

– Myślałam, że cię straciłam – mruczy do mojego ucha.

– Nigdy – obiecuję. Jej płaski brzuch ociera się o mój, a ja upajam się ponętym zapachem mokrych włosów. – Zawsze znajdę nic, która łączy mnie z tobą.

– Reed. – Moje imię brzmi jak prośba na jej ustach.

Tracę oddech, a mój umysł przepełnia już tylko pożądanie.

– Kocham cię – mamrocze.

Nie możemy powiedzieć niczego więcej; pozwalamy naszym ciałom przekazać sobie to, co leży w naszych sercach.

## Rozdział 29

### Łaska

EVIE

Moje włosy okrywają ramię Reeda jak płaszcz, osłaniają jego doskonałą skórę kosmykami koloru ognistego brązu. Wschodzące słońce muska wygniecioną białą pościel naszego łóżka i zmienia jej kolor na złoty. Nic nie spałam, nie mogłam zamknąć oczu, mając świadomość, że wojna toczy się tuż za naszymi drzwiami i zbliża się do nas. Wkrótce mordercy upomną się o mnie, a ja nie jestem w stanie powstrzymać ich cieni przed atakiem.

– Evie, musisz spać. – Reed delikatnie dotyka moich włosów, ociera udem o moje udo.

Jego ciężar uspokaja mnie, gdy przyciska mnie mocniej do swojego ciała. Kochaliśmy się całą noc, ale nie tak jak pod prysznicem. Robiliśmy to wolno, jakby ponownie siebie odkrywając – badając, delikatnie kierowani chęcią upewnienia się, że przetrwaliśmy.

– Nie mogę... – Milknę.

– Dlaczego?

– Oni tam są – mówię cicho, a gęsia skórka pojawia się na całym moim ciele; z trudem powstrzymuję dreszcze. – Brennus, Upadli, przerażające potwory, o których nawet jeszcze nie słyszałam...

Reed gładzi moje ramiona, żeby mnie uspokoić, dodać mi otuchy.

– Tak, oni tam gdzieś są. Ale nie bierz udziału w następnej bitwie, dopóki się nie zacznie. Musisz nauczyć się rozpoznawać chwile łaski i żyć nimi. Walka z niewidzialnym wrogiem prowadzi jedynie do wycieńczenia. Ta chwila jest darem pokoju. Przyjmij ją.

– A co, jeśli nie będę w stanie ich powstrzymać? – pytam go pozbawionym emocji głosem.

Milczy przez chwilę i tylko gładzi palcami linie mojego ramienia.

– Jesteś niezwykłym stworzeniem, Evie. Ale nie jesteś Bogiem. Jeśli zaakceptujesz ten fakt, to o wiele łatwiej będzie ci pogodzić się z niemożliwością kontrolowania wszystkiego.

Obracam się i okrakiem siadam na jego biodrach tak, aby móc spoglądać mu w oczy. Reed sięga do mojego policzka, a ja całuję jego dłoń. Kciukiem muska moje wargi. Rozchylam je delikatnie i przyciskam do kciuka. Reed przygląda mi się nieruchomym wzrokiem, gdy muskam językiem opuszek palca.

– Zobacz, co potrafisz ze mną zrobić, tylko mnie dotykając – mruczy. – Myślę, że potrafisz zrobić to samo ze mną bez dotykania, wystarczy tylko zapach twoich włosów, gdy przechodzisz obok mnie, albo kokieteryjnie uniesiona brew, gdy zadajesz pytanie. Cały czas muszę się powstrzymywać, by nie rzucić się i nie zedrzeć z ciebie ubrań.

– No, to teraz masz nade mną przewagę. – Spoglądam na siebie. – Nie mam ubrań.

– Więc muszę ją wykorzystać. – Siada. Nasze ciała dotykają się, a ja topnieję w jego ramionach. Gdy stajemy się jednością, wiem, że to jest to niebo, o które chcę walczyć: niebo w jego ramionach.

Leżę cicho w objęciach Reeda, czekając, aż serce zacznie wolniej bić. Spoglądam w przygasający ogień w palenisku, który ogrzewa pokój o oszronionych oknach, i zastanawiam się, czy cokolwiek będzie tak jak kiedyś.

Oddycham Reedem. Trzymam głowę na jego piersi, a on głaszcze krzywiznę moich łędźwi, przesuwając palce coraz niżej. Na jego ciele nie ma już żadnych sińców, a wszystkie szramy zagoiły się przynajmniej powierzchownie. W dniach, które spędził z Brennusem, był wielokrotnie raniony i bity, nie wiem tylko, jak bardzo. Dopiero teraz dociera do mnie, jak on się czuł, gdy ja byłam z Brennusem i nie mógł mnie znaleźć. Cierpiał wiele miesięcy, a ja miałam tylko tego przedsmak, bo jego niewola trwała kilka dni. Do jakich zniszczeń doszło?

Dotykam wargami jego piersi i czule ją całuję. Chcę być jego schronieniem przed burzą, a nie tylko burzą. Czuję się tak, jakbym nosiła na głowie niechcianą koronę. Jak w kiepskiej tragedii, której jestem główną bohaterką. Tajemnicza więź łącząca moje serce z sercem Reeda gwałtownie odrzuca takie myśli i zaciska się boleśnie. Znajdę i zniszczę każdego, kto spróbuje nas rozdzielić; każdego, kto spróbuje zrobić mu krzywdę. Ale co, jeśli to ja go krzywdzę?

– Reed... Czy ty...? Czy oni...?

– Nie chcę, nie mogę o tym rozmawiać. Było, minęło. – Unosi moją dłoń

i całuje palce, a po chwili jego wargi przesuwają się na mój nadgarstek, co sprawia, że znów przeszywają mnie dreszcze.

– Jak to: nie możesz? – Nie rozumiem, dlaczego odrzuca rozmowę o swoim cierpieniu.

– Powiniennem powiedzieć, że nigdy nie będę się nad tym rozczulał. Kiedy oczekujemy pewnych następstw, to nie powinniśmy się dziwić, że wystąpią. Byłem przygotowany, by umrzeć, i to było błogosławieństwo, że nie umarłem...

– Nie rób tego – mówię jednym tchem.

Unosi usta znad moich nadgarstków i pytająco spogląda na mnie.

– Nie umieraj dla mnie – dodaję.

– To samo mógłbym tobie powiedzieć, ale wiem, że ty też byś nie posłuchała. Przysięgałem, że będę cię chronił całym swoim ciałem, i zламаłem tę przysięgę.

– Nie zламаłeś.

– Evie, tak się stało. – Jego głos jest przepełniony bólem. – Nie powinnaś zrobić tego, co zrobiłaś. Wtedy mogłem cię zabić.

– Więc umarłabym z tobą – szepczę, a jego odpowiedzią jest głęboki pomruk pełen frustracji.

– Jak to się stało, że znalazłaś się w Rycerskim Barze? Dlaczego ojciec ci nie pomógł?

– On nie był zainteresowany ratowaniem ciebie, Reed. Nie był w stanie wyrwać cię z łap Brennusa, więc ja musiałam iść!

– Próbował cię powstrzymać?

– Tak.

– Ale go nie posłuchałaś? – mówi zatroskany.

– Ma szczęście, że tylko tak go potraktowałam. – Nerwowo marszczę brwi. – Xavier złapał mnie i związał. To Anya mnie uwolniła. Jesteś tu ze mną teraz, ponieważ rodzina cię kocha: Zee, Buns, Brownie, Russell i Anya.

– I ty... – dodaje łagodnym tonem.

– I ja. Jestem twoją rodziną, twoją *aspire*. – Mój głos jest bardzo cichy. – Muszę cię chronić. Należysz do mnie.

– A ty do mnie.

– Tak – zgadzam się z powagą.

– Ufasz mi? – pyta mnie nagle, a jego zielone oczy otoczone ciemnymi grubymi rzęsami wpatrują się we mnie.

– Czy ci ufam? Reed, tylko tobie ufam. – Siadam, by spojrzeć w jego twarz. Klęczę przed nim na naszym łóżku.

Przytakuje i po chwili staje, ściąga prześcieradło i zawija sobie wokół bioder. Idzie w stronę drzwi do łazienki i znika za nimi. Czuję głęboką potrzebę, by za nim iść, i to nie jest impuls, lecz przerażająca mnie panika, która mi mówi, by go chronić. Z trudem powstrzymuję się przed tym odruchem; po chwili Reed wraca i moje rozszalałe serce zwalnia rytm do znośnego tempa. W jego dłoni połyskuje prosty średniowieczny sztylet. Mój ukochany wchodzi na łóżko i klęka przede mną.

Trzyma ostrze sztyletu w zamkniętej dłoni niczym krzyż. Recytuje coś w języku aniołów głosem czystym i płynnym. Po chwili zatrzymuje się i zaczyna mówić po angielsku.

– Genevieve Ava Claremont, moją krwią przypieczętowuję swoją wierność, lojalność i oddanie dla ciebie i tylko dla ciebie. Tak mi dopomóż Bóg.

Drugą dłonią chwyta rękojeść sztyletu i wyciąga go z zaciśniętej pięści. Kiedy pojawia się krew, otwiera dłoń i pokazuje ranę, z której wydobywa się rdzawy zapach krwi. Kładzie sztylet obok i wyrwa szare pióro ze swojego skrzydła. Zanurza jego końcówkę we krwi i wbija ją w moje karmazynowe skrzydło.

Pochyla się i składa głowę na mojej piersi, obejmując mnie w talii. Przyciągam go do siebie bliżej, a moje dłonie wplatają się w jego włosy. Nad nami unoszą się jego przepiękne skrzydła.

– Reed? – pytam zaciekawiona, co się właśnie stało.

– Twój ojciec już nie może wejść między nas, Evie. Złożyłem ci przysięgę oddania i teraz ty masz nade mną władzę. Tylko Bóg jest ponad tobą. Zostałaś stworzona jako Serafinka, czyli mój naturalny przywódca. Jedynie posłaniec od samego Boga może to zmienić.

– Co? – Czuję, jak zasycha mi w ustach.

– Wiedziałem, że do tego dojdzie. Będzie walka o władzę. Twój ojciec jest liderem i będzie walczył o kontrolę nad tobą, a raczej nad armią, która stanie po twojej stronie.

– Po mojej stronie?



– Anioły Boskie, które rozproszyły się po całym świecie, przybędą, by zdecydować, po której są stronie.

– Nie chcę nimi dowodzić.

– Nie masz wyboru, jeśli nie zamierzasz pozostać na łasce Tau. On może nie pozwolić nam być razem. Musimy znaleźć sposób, by pogodził się z tobą bez pozbawiania cię władzy. Czy tego chcesz, czy nie, będziesz miała swoją armię.

– Dobrze, daj mi ten nóż. Teraz ja złożę ci przysięgę oddania.

– Nie możesz, kochanie. – Spogląda w moje oczy. – To ty musisz dowodzić, ale nie jesteś sama.

– Obawiam się, że jestem – szepczę.

– Nie bój się. – Obejmuje mnie ramionami. – Jesteśmy razem. Będę przy tobie i wiedz, że wszystko, co mam, należy do ciebie. Będę walczył o ciebie i u twego boku aż do ostatniego oddechu. Już nigdy nie pozbawię cię ochrony. Cokolwiek się stanie, razem stawimy temu czoło... jako jedność.

– Jako jedność – powtarzam, przytakując. Nie potrzeba nam słów, gdy przypieczętujemy obietnicę krwią.



Ostatecznie głód zmusza nas do opuszczenia pokoju. Owinięta ręcznikiem pozwalam Reedowi prowadzić się za rękę wzdłuż korytarza do jego pokoju. Przekopując się przez swoją szafę, znajduje dla mnie zapinaną na guziki koszulę. To jedyne, co mogę założyć, ponieważ Gankanagowie zabrali wszystkie moje ubrania. Prawdopodobnie trzymają je w Irlandii... Nieruchomieję... Nie, Gankanagowie już ich nie mają. Ja unicestwiłam tak wielu... Mój ojciec jest w Irlandii i to on przejął wszystko, co do mnie należało. Trzęsą mi się ręce ze strachu, gdy przypominam sobie, czego mogę nimi dokonać. Moje dłonie są w stanie zapalić wszystko, co jest w zasięgu mojego wzroku.

Reed przyciska jedną z moich dłoni do ust i całuje. Jego spojrzenie ogrzewa mnie, odsuwa ode mnie chłód przerażenia i sprawia, że zatracam się w nim. Po chwili Reed puszcza moją rękę i spokojnie zapina guziki koszuli, bym nie musiała robić tego sama. Zakłada dzinsy i chowa skrzydła. Na koniec wciąga przez głowę biały bawełniany T-shirt. Tkanina niczym woda opływa jego napięte mięśnie, pięknie wyrzeźbione niczym piasek pustyni.

Lekko unoszę koszulkę, by dokładnie przyjrzeć się zarysom jego brzucha.

Pochyliam się i całuję jego pierś, później tors. Moje pocałunki powodują, że skrzydła Reeda wysuwają się, a biała tkanina wyslizguje mi się z dłoni. Reed chwytą mnie za włosy, przechyla mi głowę i namiętnie całuje, sprawiając, że mięknię mi kolana. Muszę oprzeć się o niego, by nie stracić równowagi. Po chwili przesuwam dłonie do kołnierzyka koszuli i rozrywa wszystkie guziki, które odpadają jeden po drugim i lądują na podłodze. Odślania moją pierś, z żarem tuli się do mojej skóry. Wydaję z siebie delikatny odgłos, coś pomiędzy jękiem a piskiem.

– Brakowało mi tego – mówi przytulony do mnie Reed, całując moją szyję.

– Hm – mruczę z przyjemności, ogarnięta dreszczami rozkoszy.

– Te dźwięki, które wydajesz... szczególnie takie jak ten... – Całuje mnie w ramię i po chwili jego zęby delikatnie zagłębiają się w moją skórę, a ja wzdycham głęboko. – Ten też mi się podoba – pomrukuje. – Jest ich jeszcze kilka i muszę je usłyszeć, zanim wyjdziemy z garderoby. – Kładzie mnie na podłodze i sprawia, że wydaję z siebie kolejne intymne odgłosy, o których istnieniu nie miałam pojęcia.



Ubrana w koszulę i bokserki Reeda idę za nim do kuchni. Moją uwagę zwraca stukot odbijających się od siebie kul bilardowych; gdy razem z Reedem przechodzimy obok sali bilardowej, spoglądam w głąb. Zefir pochyła się nad stołem gotowy do strzału, a Russell opiera się na kijku. Obaj odwracają się w stronę drzwi, gdy prześlizgujemy się obok nich. Mojej uwadze nie umknęły dwa potężne obosieczne miecze, oparte o drewnianą boazerię. Na ich widok kulę się i zaczynam niepokoić. Widzę, że oni też na coś czekają; z niepokojem ściskam dłoń Reeda.

Po wejściu do kuchni podchodzimy od razu do lodówki. Buns i Brownie musiały dobrze ją zaopatrzyć zaraz po swoim przybyciu. Wątpię, by Zefir pozwolił im przebywać blisko korytarza lub poruszać się bez ochrony. Russell stworzył barierę wokół domu, wyczuwam jej magiczną, chroniącą nas siłę.

Reed otwiera zamrażarkę i się uśmiecha. Wyciąga z niej duże pudło hamburgerów z serem, podnosi je i mi pokazuje. Rumieniec zdobi moje policzki, gdy z uśmiechem przytakuję. Biorę od niego pudełko, odwracam się i ustawiam piecyk. Ramiona Reeda wślizgują się od tyłu, by objąć mnie w talii. Przyciska mnie do siebie i czule całuje. Potem jego dłoń unosi się i dociera do mojej piersi.

Cała drzę.

– Co na kolację? – Do kuchni wchodzi Russell, zaraz za nim pojawia się Zefir. Niosą swoje miecze i po chwili dyskretnie opierają je o szafkę kuchenną, z dala od mojego wzroku.

Sztywnieję i spoglądam w brązowe oczy Russa, który badawczo przygląda się każdemu skrawkowi mojego ciała. Rozczochrane włosy luźno opadają mi na plecy, więc na wpół świadomie przeczesuję je ręką.

– Nie rób tego, Ruda – mówi, jakby czytał w moich myślach. – Z taką fryzurą wygrałabyś konkurs na najbardziej roztrzepane włosy po udanym seksie.

– Dzięki. – Cała się czerwienię. – Przygotujemy obiad, dołączycie?

– Tak – odpowiada bez zastanowienia. – Wszystko okay?

– Okay – odpowiadam. – Żyję.

– Pozostać przy życiu to już połowa wygranej... – Bacznie obserwuje moją reakcję.

– A jaka jest ta druga połowa? – pytam ze smutkiem.

Wzrusza ramionami.

– Dokopać komuś. – Próbuje rozluźnić napiętą atmosferę po tym, co się wydarzyło.

– Dziękuję za udział w pierwszej części bitwy. – Uśmiecham się, kręcąc palcem w powietrzu.

– Nie odpuściłbym sobie tak łatwo. Nadal cię potrzebuję – przyznaje, pochylając głowę.

– Już mnie nie potrzebujesz. Jesteś tak silny jak ja, a nawet silniejszy.

– Ja naprawdę cię potrzebuję – mruczy pod nosem. – Jesteś moją najlepszą przyjaciółką... A Zee udziela najgorszych porad dotyczących związków. Anya nadal się do mnie nie odzywa.

Mimowolnie uśmiech pojawia się na moich ustach.

– Przyjdzie do ciebie. Jakże mogłaby inaczej? – mówię z pełnym przekonaniem.

Russell pociera czubek swojego podbródka, jest zamyślony, a jego oczy są zwężone, gdy próbuje się skoncentrować.

– Brennus żyje? – Zefir kieruje pytanie do Reeda.

Przez długą chwilę wpatrują się jeden w drugiego i oceniają nawzajem.

– Na chwilę obecną tak. – Reed zachowuje spokojny wyraz twarzy.

– Myślałem, że będę musiał na ciebie polować – mówi cicho Zefir. – Nie sądzę, żebym mógł cię zabić.

– Gdyby do tego doszło, byłbym wdzięczny, gdybyś to zrobił ty – odpowiada Reed.

– I wzajemnie – zgadza się Zefir.

Russell zrzuca swoją koszulę i pozwala skrzydłom rozłożyć się w pełni. Obserwuję, jak Zefir też rozkłada skrzydła. Reed sięga ręką i wyciąga jasnobrązowe pióro ze skrzydła Zefira, który robi dokładnie to samo z piórem w skrzydle Reeda. Reed wkłada pióro Zefira w swoje skrzydło, w miejscu, gdzie przedtem było wyrwane jego pióro. Zefir powtarza tę samą czynność.

– A to co takiego? – Russell spogląda to na Reeda, to na Zefira.

– Obietnica – odpowiada Zefir i po chwili dodaje: – Złożona mojemu bratu.

Brownie i Buns wpadają do kuchni razem z Anyą.

– Coś cudownie pachnie – wykrzykuje Buns. – Ja nakryję do stołu, a ty, Brownie, przynieś kieliszki.

Kiedy Buns idzie do mahoniowych szafek, dotyka dłonią mojego ramienia i delikatnie je ściska. Jej próba bycia normalną nie pozostaje niezauważona. Prostuję ramiona; Reed dotyka mojego łokcia, a po chwili przesuwając palce w dół mojego ramienia. Instynktownie odwracam się do niego. Splata palce z moimi i delikatnie ściska moją dłoń, lecz ja ją puszczam, mówiąc:

– Sprawdzę piecyk, powinien być już gotowy.

– Anyu, jesteś głodna? – pyta Russell; stoi w drzwiach i spogląda niepewnie. Potem podchodzi do stołu i odsuwa dla niej krzesło tuż obok trzaskającego ognia w kominku.

Anyą kiwa głową, siada przy stole i pozwala Russellowi zająć miejsce obok siebie.

Gdy Reed i Zefir otwierają kilka butelek wina i napełniają kieliszki, ja razem z Buns i Brownie stawiamy jedzenie na stole. Zasiadamy przy nim wszyscy z wyjątkiem Reeda, który nadal stoi i mówi coś w języku aniołów. Po ich minach zgaduję, że to jakaś wersja modlitwy. Reed przechodzi na angielski i unosi swój kieliszek.

– Za moją rodzinę, nieważne, co kryje przed nami przyszłość, obyśmy zawsze znaleźli do siebie drogę.

– Za rodzinę. – Każdy z nas wznosi toast.

Reed siada obok mnie i znajduje pod stołem moją dłoń. Jego prosty dotyk sprawia mi ulgę i w końcu mogę usiąść wygodnie, aby cieszyć się swoją rodziną. Aby cieszyć się chwilą łaski.

[1] Przywódca klanu wojowników w popularnej grze *League of Legends* (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

[2] Taniec w parze, charakterystyczny dla lat dwudziestych.

[3] XIX-wieczny francuski kompozytor i organista.

[4] Popularny program pokazujący domy sławnych i bogatych.

[5] Rodzaj topora wojennego.

[6] Stwór podobny do jaszczurki, o czarnych łuskach, żółtych oczach i ostrych szponach.

[7] Popularna firma cukiernicza w Stanach Zjednoczonych.

[8] Impreza z piwem nalewanym z beczki, często na zasadzie „płacisz za wejście i pijesz, ile chcesz”.

Wydawnictwo Akurat

imprint MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: [info@muza.com.pl](mailto:info@muza.com.pl)

Dział zamówień: +4822 6286360

Księgarnia internetowa: [www.muza.com.pl](http://www.muza.com.pl)

Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz